

Historie prawdziwe

Garbala

G. Fagerholm

NIEBIESKIE OCZY CZARNY ŁĄD

Uwaga, o czym marzysz,
bo może ci się spełnić

Impresso

Gunilla Fagerholm

NIEBIESKIE OCZY CZARNY ŁĄD

przełożyły Teresa Tomczyńska i Maria Jeżewska

Pragnę z całego serca podziękować pani Lindsay Johansson ze Szwecji za jej wysiłki włożone w poprawę mojej angielszczyzny oraz panu Andrew Ashdown z Anglii za ciężką pracę nad wskazaniem fragmentów wymagających korekty lub wyjaśnienia.

Książkę tę dedykuję: mojemu mężowi Bertilowi, mojemu bratu Per Erikowi, moim synom - Christianowi i Davidowi oraz mojej kochanej przyjaciółce Susannie.

Jest to autentyczna opowieść o latach, które spędziłam z moim mężem na kenijskiej wsi. Celem tej książki nie jest rzucanie oskarżeń, ale pokazanie kenijskiej prowincji z przełomu tysiącleci, ciągle jeszcze stanowiącej mieszkankę dawnych plemiennych tradycji i wierzeń oraz nowoczesnego życia z wszechobecną korupcją - tak powszechną w wielu krajach. Dlatego też, aby chronić prywatność poszczególnych osób, zmieniałam imiona, nazwy miejsc i niektóre szczegóły.

Pragnę podkreślić, że kochamy Kenię i Kenijczyków i kiedy już minął szok związany z naszym nagłym wyjazdem, nigdy nie żałowaliśmy naszej przygody.

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o naszym życiu w Kenii, odwiedźcie naszą stronę internetową: www.medialib.se

Prolog.

(8 maja 2001).

- Panie Lindstrom, proszę chwilę zaczekać.

Rozejrzałam się czujnie w koło, żeby sprawdzić, kto woła. Przed hotelem już od dawna czekała na nas taksówka, którą mieliśmy pojechać do centrum na zakupy. Zobaczyłam, że zza kontuaru recepcjonista daje nam znaki. Podeszliśmy, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

- Panie Lindstrom - powiedział, podając jakąś kartkę Bertilowi - ktoś do pana dzwonił. Zostawił wiadomość. Oszupiałam.

- Co znowu? - zastanawiałam się. Przed chwilą rozmawiałam z rodziną w Szwecji, więc byłam pewna, że wiadomości nie zostawił żaden z naszych bliskich, a nikt inny nie wiedział, gdzie się zatrzymaliśmy. Znowu poczułam, że grozi nam niebezpieczeństwo - miałam wrażenie, że spadam w czarną otchłań. O Boże! Czułam, że gwałtownie przyspiesza mi puls; zaczęłam drżeć i ciężko oddychać. Bertil, pragnąc dodać mi otuchy, objął mnie mocno ramieniem i trzymał kartkę tak, abyśmy mogli przeczytać ją razem. Kiedy skończyliśmy, popatrzyliśmy na siebie. Wiadomość była z Kakamega, od Noah, który pomógł nam sprzedać komputery. Sama w sobie nie była może aż tak istotna, ale skąd u diabła wiedział, gdzie nas szukać? Na pewno nic mu nie mówiliśmy, że zatrzymamy się w hotelu Boulevard. Prawdę mówiąc, okłamaliśmy go, że jedziemy na północ do Turkana na urlop, a tymczasem w tajemnicy przyjechaliśmy do Nairobi. Dla zmylenia tropów nie zabukowaliśmy bezpośredniego lotu do Szwecji, ale wybraliśmy połączenie przez Włochy i Hiszpanię. Poczułam, jak nagle ogarnia mnie chłód. Nie wyglądało to dobrze. Postanowiliśmy, że nikt w Kenii nie może się dowiedzieć, że jedziemy do Nairobi. Przecież grożono nam śmiercią, a teraz pewnie już wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy. Skoro Noah nas odszukał, to pewnie inni też mogą.

Szczerze mówiąc, byliśmy tak bardzo zdenerwowani, że natychmiast wskoczyliśmy do taksówki i pojechaliśmy do szwedzkiej ambasady. Wyjaśniliśmy, co się stało i dlaczego jesteśmy tacy niespokojni. Urzędniczka zaproponowała nam

ochroniarzy, którzy mieli nas pilnować aż do wyjazdu. Odrzuciliśmy tę propozycję, bo nie chcieliśmy wyjść na histeryków. Poradziła nam, żebyśmy już na lotnisku skontaktowali się z dyżurnym pracownikiem ochrony ambasady, jeżeli czujemy się w jakimkolwiek stopniu zagrożeni. Wezwała mężczyznę do pokoju, bo chciała mieć pewność, że w razie potrzeby go rozpoznamy.

Oczywiście zrezygnowaliśmy ze zwiedzania i zakupów; wróciliśmy do hotelu, a tam staraliśmy się trzymać jak najbliżej innych gości z Europy. - Może w razie czego nam pomogą - myślałam. Cały czas mieliśmy dziwne wrażenie, że nasi prześladowcy nas śledzą.

Bładym świtem złapaliśmy taksówkę na lotnisko i tam przeczekaliśmy w nerwach kilka godzin. Ciągle czuliśmy się niespokojni, jakby w ostatniej minucie ktoś mógł nas dopaść i przeszkodzić nam w wyjeździe z Kenii. To był irracjonalny strach, niemniej bardzo silny

Czekaliśmy na odprawę, krążąc niecierpliwie w pobliżu sekcji imigracyjnej. Od kilku lat czekaliśmy na ten moment - wyjazd z Kenii. Ulżyło mi na widok szwedzkiego pracownika ochrony, który upewniał się, czy wszystko jest w porządku. Jednak, kiedy spojrzałam na urzędnika imigracyjnego, przed którym stałam w kolejce, uczucie ulgi znikło. Miał tak srogą minę, że przestraszyłam się, że może nas nie wypuścić. Kto wie? Może nie wolno opuszczać kraju, kiedy sprawa sądowa jest jeszcze w toku - pomyślałam.

- Bertil - powiedziałam do męża - może przejdźmy do innej kolejki. Ten facet mnie przeraża.

- Lepiej będzie, jak tu zostaniemy. Jeśli zaczniemy miotać się z kolejki do kolejki, dopiero wtedy wzbudzimy podejrzenia. Do zobaczenia po drugiej stronie. I nic się nie bój.

Odprawa strasznie się dłużyła. Pot ściekał mi z czoła i nie potrafiłam zachować spokoju. Miałam ochotę krzyknąć na cały głos: Szybciej!

W końcu nadeszła moja kolej. Urzędnik imigracyjny patrzył na mnie, jednocześnie wertując mój paszport strona po stronie. Potem spojrzał na mnie raz jeszcze, a ja nagle poczułam, że dłużej nie wytrzymam.

- Proszę pani, nie może pani pozostać dłużej w Kenii - oświadczył poważnym głosem. - Jutro wygasa pani wiza.

- Tak, wiem. Właśnie dlatego wyjeżdżam - tłumaczyłam się niezręcznie.

- Życzę pani przyjemnej podróży - dodał na zakończenie i wręczył mi paszport.

Odwrociłam się i zauważyłam, że Bertil też już przeszedł przez odprawę. Przez szybę zobaczyłam, jak pracownik ochrony szwedzkiej ambasady macha nam na pożegnanie.

- Zapraszamy pasażerów do wyjścia numer dwanaście. - Cóż za cudowne słowa. Łzy spływały mi po policzkach.

- Bogu dzięki, żyjemy! - powiedziałam. - Udało się...

Dostałam czkawki, śmiałam się i płakałam jednocześnie. A jednak mimo tego śmiechu, byłam zupełnie rozbita. Tak jak ktoś, kto cudem uniknął wypadku, odczułam gwałtowny przypływ adrenaliny. A do tego potworne zmęczenie. Nogi miałam jak z ołowiu, ledwie mogłam się ruszyć.

W samolocie startującym z międzynarodowego lotniska w Nairobi siedzący obok mnie, zarośnięty i spocony Bertil miał, tak samo jak ja, łzy w oczach. Objął mnie ramieniem i mocno uściśnął. Tylko dzięki niemu zdołałam przetrwać te straszliwe chwile.

- A teraz wypijmy szampana - powiedział. - Za przyszłość i za to, że wreszcie lecimy do domu.

- Ależ Bertil, jestem taka...

- Ciii, już cicho, zapomnij o złych czasach. Pomyślmy o przyszłości. Być może, kto wie, kiedyś będziemy wspominać tylko dobre chwile.

Pod nami rozpościerały się rozległe wysuszone równiny, na których znajdowały się slumsy otaczające Nairobi oraz Park Narodowy. Opuszczaliśmy Kenię, kraj, który przez pięć lat był naszym domem i miejscem, w którym zamierzaliśmy spędzić resztę życia. Wyjeżdżając, wzięliśmy tylko po jednej walizce. Reszta naszych rzeczy pozostała w Riverdale Gardens, w naszej kenijskiej wsi.

Spełniliśmy toast, a potem Bertil przysnął. Myślałam o naszych psach, które zostawiliśmy w Kenii. Tak strasznie za nimi tęskniłam: za Rufusem rudobrazowym retrieverem, którego przywieźliśmy ze Szwecji w 1996 roku, kiedy przyjechaliśmy na stałe do Kenii, jego ukochaną sunią Merry oraz ich szczeniakiem Mussem, uroczym, czarnym, małym rozrabiaką.

Rozmyślałam też o raju, który opuściliśmy. Nasz azyl Riverdale Gardens to bogactwo różnobarwnych kwiatów, krzewów i drzew, stada tropikalnych, kolorowych ptaków, tysiące motyli i te wszystkie drzewa owocowe oraz wspaniała pogoda. Jak, na Boga, mam żyć bez tej cudownej natury?

Z drugiej strony, żyliśmy tam otoczeni złodziejami i przemocą. Marzyłam o powrocie do normalnego życia. Bez czujnego oglądania się za siebie, czy ktoś nie stoi za blisko, czy ktoś za mną nie idzie, czy ktoś nie wygląda podejrzanie. Chciałam ukryć się w tłumie; rozpuścić i nigdy więcej nie być celem dla złych ludzi.

Tylko... Boże święty, co niby mamy robić po powrocie do Szwecji? - rozmyślałam z niepokojem. Gdy pięć lat temu wyjeżdżaliśmy do Kenii, złożyliśmy wypowiedzenie i raczej nie mogliśmy liczyć na powrót do tej samej pracy. Sprzedaliśmy też nasz dom. Znowu mam znosić chroniczne bóle wywołane zimnym klimatem Szwecji (to był jeden z powodów naszego wyjazdu). A zatem nie mieliśmy pracy, domu, pieniędzy i żadnego dobytku...

Kiedy steward przyniósł mi szklankę whisky, odchyliłam się w fotelu. Czulałam się teraz znacznie lepiej; ciśnienie wróciło do normy. Z zamkniętymi oczami starałam się myśleć pozytywnie i wyłącznie o przyjemnych sprawach, choć to wcale nie było takie proste.

Bertil obudził się, przeciągnął i drapiąc się po brodzie, stwierdził:

- Czemuż, na Boga, uwierzyliśmy wodzowi wioski, kiedy powiedział, że mieszkańcy będą świętować nasz przyjazd?

- Jesteśmy pewnie najbardziej naiwnymi białymi we wszechświecie. Powiedz, Bertil, czy my się nigdy niczego nie nauczymy? - Myśląc o słowach wodza czulałam, że znów skacze mi ciśnienie.

- Fakt. Pomyśl tylko, że wpakowaliśmy się w to bagno tylko z powodu złota.

Rozdział 1.

Złoto na sawannie.

Nasza kenijska przygoda zaczęła się od wyprawy do rezerwatu przyrody Maasai Mara pod koniec 1995 roku, kiedy znalazłam na sawannie kamień zawierający złoto. Pokazałam go Hermanowi, szefowi obozowiska, a wtedy on opowiedział nam o swoim rodzinnym mieście, Kakamega, owładniętym gorączką złota. Tydzień później znaleźliśmy w atlasie Kenii opis poszukiwań tego szlachetnego kruszcu właśnie w Kakamega. Po kilku miesiącach Bertil, wytrawny poszukiwacz złota, wrócił do Kenii, aby z właścicielem obozowiska i Hermanem zaplanować kolejne wyprawy. W maju 1996 roku wybraliśmy się wspólnie do dystryktu Kakamega1, gdzie natknęliśmy się na całe wioski żyjące z wyplukiwania złota. Cudownie spędzaliśmy czas razem z mieszkańcami, pozyskując złoto. Okolica była przepiękna, a ludzie tacy gościnni! Pewnego ranka spojrzałam z okna naszego hotelu w Chavakali na zieloną dolinę.

- Pamiętasz - powiedziała do Bertila - jak rozmawialiśmy o planach wyjazdu ze Szwecji? Mówiliśmy, że tam jest nudno i marzyliśmy, żeby znaleźć sobie miejsce na ziemi w jakimś lepszym klimacie. Właśnie tu chciałabym osiąść.

- To tak zróbmy - odparł bez wahania Bertil.

Wróciliśmy do Kenii w sierpniu tego samego roku i długo tłukliśmy się po wertepach, jeżdżąc niemal nieistniejącymi drogami w poszukiwaniu naszego wymarzonego kawałka ziemi. Miałam wrażenie, że przebyliśmy setki kilometrów, a od dziur i wybojów mieliśmy siniaki na całym ciele. Z rzadka jedliśmy coś porządnego, a na sen prawie nie było czasu.

Niespodziewanie odkryliśmy naszą zieloną dolinę. Spokój, piękno, a na dodatek w pobliżu las tropikalny. Tu i ówdzie rozsiane wśród niewielkich poletek gliniane chaty. W dolinie strumień, a na górze, po drugiej stronie resztki lasu deszczowego. Z pól niósł się radosny śmiech pracujących tam ludzi. To jest to - pomyśleliśmy od razu.

Podczas ceremonii zakupu przesiedzieliśmy pięć godzin na krzesłach w palącym słońcu, wraz z połową mieszkańców wioski, całą jej starszyzną, lokalną władzą i wodzem we własnej osobie, no i oczywiście - sprzedającym, przebranym w odświętną różowo fioletową szatę, z wielkim krzyżem wiszącym na szyi. Wyglądał jak prawdziwy prorok. Wręczyliśmy zwyczajowe podarunki, przede wszystkim pieniądze, potem odmówiono chyba wszystkie możliwe modlitwy w języku luhia, wręczono całą dokumentację, wraz z tłumaczeniami. Tuż po zakończeniu uroczystości, wyruszyliśmy do miasta po umowy sprzedaży - świadkowie złożyli odciski palców, były znaczki, pieczęcie i mnóstwo innych nudnych detali. Po załatwieniu wszystkich żmudnych formalności posiadłość wreszcie należała do nas: dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych ziemi wykorzystywanej wcześniej pod uprawę kukurydzy, wraz ze znajdującymi się na niej glinianymi chatami. Byłam wtedy taka szczęśliwa.

W Szwecji sprzedaliśmy nasz szeregowiec i spłaciliśmy pożyczki bankowe. W ten sposób udało nam się zgromadzić kilkaset tysięcy szwedzkich koron w gotówce. Szóstego grudnia 1996 roku nadszedł wreszcie moment naszego wyjazdu. Wyjechaliśmy z błogosławieństwem naszych dorosłych synów oraz rodziców, aby rozpocząć nowe, wspaniałe życie. Pełni optymizmu, mieliśmy ciągle w pamięci słowa sympatycznego wodza wioski: Cała wioska będzie tańczyć i śpiewać w dniu waszego powrotu!

Rozdział 2.

Lotnisko międzynarodowe Kenyatta.

(7 grudnia 1996)

Z przeraźliwym zgrzytem ruszył wreszcie pas bagażowy. Oczy wszystkich pasażerów automatycznie skierowały się na wiszący pod sufitem monitor. Tak, to nadjeżdżały nasze bagaże. Żołądek podszedł mi do gardła. Jak poszło? Gdzie on jest? Jak się czuje? - myślałam.

Spojrzałam na taśmociąg. Wcale nie interesowały mnie walizki ani nic innego. Wpatrywałam tylko jednej konkretnej przesyłki. Nagle usłyszałam szmer rozchodzący się wśród tłumu pasażerów i gromada ludzi ruszyła ku linii i ku mojej paczce. Kilku mężczyzn przecisnęło się przez tłum, zdjęło przesyłkę z taśmy i w asyście reszty niosło ją w moją stronę. Przykucnęłam na kamiennej posadzce naprzeciwko szarej skrzynki i otoczona wianuszkiem ciekawskich, ostrożnie otworzyłam drzwiczki.

Siedział tam, ciągle jeszcze na wpół oszołomiony środkami uspokajającymi, które podaliśmy mu tuż przed odlotem - nasz piękny, młody pies Rufus. Chwiejnym krokiem wyszedł z kontenera prosto w moje ramiona i czule polizał mnie w ucho, po czym szeroko ziewnął. Świadkowie tego szczególnego powitania dopytywali się z niepokojem, czy z psem wszystko w porządku. Na lotnisku Arlanda musieli słyszeć naszą rozmowę z załogą samolotu, kiedy nerwowo wypytywaliśmy, czy aby na pewno Rufus trafi do ogrzewanego luku. Pewnie słyszeli także, jak odgrażałam się, że nie wsiądę do samolotu, dopóki nie przyrzekną nam, że psu będzie ciepło. Miałam wrażenie, że ci obcy ludzie byli tak samo szczęśliwi jak my, że wszystko dobrze poszło.

Bertil zebrał cały nasz dobytek i ruszyliśmy, pchając przeładowany wózek w stronę odprawy celnej. Prowadziłam Rufusa na smyczy, a w drugiej ręce trzymałam kopertę z różnymi urzędowymi papierami, opatrzonymi licznymi pieczęciami. Wybraliśmy oznakowane na czerwono wyjście i mieliśmy nadzieję, że nikt nie będzie nam robił problemów.

Dwaj odwrócenii do nas plecami celnicy pochłonięci byli ożywioną rozmową. Żeby zwrócić ich uwagę, przełknęłam kilkakrotnie głośno ślinę, zakasłałam, aż wreszcie po długiej chwili jeden z celników się odwrócił i spytał poirytowanym głosem, czego właściwie chcemy.

- Podróżujemy z psem i mamy zaświadczenia od weterynarza - powiedziałam.

- Proszę przejść - odparł szorstko.

- Dokąd? - spytał Bertil.

- Tam. - Celnik wskazał wyjście. - No już, szybko.

Zdumieni wyszliśmy przez drzwi odprawy celnej na zewnątrz - na wolność.

Co się, do diabła, dzieje?

Tyle czasu i wysiłku poświęciliśmy na skompletowanie dokumentów weterynaryjnych wymaganych przy transporcie Rufusa do Kenii. Wypełniliśmy cały stos papierków. Kilka dni przed wyjazdem odkryliśmy, że dokumenty psa zapakowano przez pomyłkę do kontenera, który płynął statkiem. Nie mogliśmy się do nich dostać. Cudem zdobyliśmy przefaksowane kopie. Tyle zachodu, a nikt nawet nie chciał rzucić na nie okiem.

Wyprowadziliśmy naszego pupilka na dwór, chcieliśmy, żeby na wątłym trawniczku, tuż obok olśniewających rabat kwiatowych, choć na chwilę rozprostował łapy. Nie było mowy; ukryte wśród kwiatów wielkie zwoje drutu kolczastego nie dały mu nawet powęszyć. Przechodnie wyglądali na przestraszonych i cofali się na widok brązowego potwora na smyczy.

Był jeszcze wczesny ranek, w powietrzu unosił się kuszący zapach frangipani - uroczynu czerwonego oraz kwiatów posadzonych wokół budynków lotniska. Cóż za cudowna odmiana po szarej, zimowej szwedzkiej pogodzie! Wyjeżdżaliśmy podczas szalejącej śnieżycy, ulice pokrywała gruba warstwa śniegu. Teraz, ledwie po kilku godzinach lotu, byliśmy w samym sercu tropików i upajaliśmy się cudownym klimatem. Ludzie wokół sprawiali wrażenie życzliwych, aczkolwiek zaciekawionych ogromną stertą naszych bagaży. Miejscowe kobiety były piękne, wiele z nich miało na sobie wspaniałe afrykańskie sukienki. Dumnie

wyprostowane szły majestatycznym krokiem. Stojący obok nas ludzie śmiali się radośnie i żartowali -zupełnie inaczej niż w Szwecji.

Taksówką, wyładowaną tak, że mało nie pękła, dotarliśmy do jedyne go hotelu w Nairobi, który przyjmował gości z psami. Bagaże wniesiono do pokoju, ja zaś zabrałam Rufusa do hotelowego ogrodu, żeby się wybiegał. Spacer skończył się raptownie, kiedy osa użądliła go w nos. Nasz pies pewnie już znieawidził nową ojczyznę. Na domiar złego zmieszany recepcjonista wyjaśnił nam, że nowy właściciel hotelu poprzedniego dnia postanowił, że jednak nie będą przyjmowali gości z psami. Zmartwieni musieliśmy opuścić pokój, do którego chwilę wcześniej się wprowadziliśmy. Nie mieliśmy się gdzie zatrzymać.

W towarzystwie sympatycznego taksówkarza godzinami staraliśmy się znaleźć hotel przyjmujący psy. W końcu pojechaliśmy pod Nairobi, gdzie w trakcie poprzedniego pobytu odwiedziliśmy naszą znajomą ze Szwecji. Po długim poszukiwaniu wśród setek podobnych willi, odnaleźliśmy w końcu jej dom i z radością nacisnęliśmy dzwonek. Co za ulga, okazało się, że służąca nas pamiętała, zaprosiła do środka i się zgodziła, żebyśmy zostali razem z Rufusem. Dodała, że choć nasza przyjaciółka spędzi następny tydzień w Maasai Mara, to na pewno bardzo się ucieszy, kiedy zastanie nas u siebie po powrocie.

Nasz pierwszy długi pobyt w Nairobi wykorzystaliśmy na zakup rzeczy potrzebnych w Kakamega. Miotaliśmy się między willą znajomej a sklepami w centrum Nairobi, obładowani nowym, niezbędnym sprzętem. Prawdę mówiąc, nawet nie mieliśmy pojęcia, co można kupić w głębi kraju, ani też jak daleko będzie do lokalnych sklepów.

Wkrótce byliśmy w stanie poruszać się po Nairobi bez mapy, choć od czasu do czasu ładowaliśmy przez pomyłkę w slumsach, które robiły na nas przerażające wrażenie. Głód, śmierć, zniekształcone ciała, okaleczone dzieci, mali ulicznicy odurzeni klejem lub rozpuszczalnikami... Nie mogłam tego znieść, chodziłam ze łzami w oczach. Ze sterty śmieci, które ludzie przetrząsali w poszukiwaniu jedzenia, wydobywał się straszliwy fetor. To nie było życie. Wstrząsający kontrast ze światem dobrze odżywionych i ubranych Afrykańczyków, których widzieliśmy na lotnisku.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy u kolejnej znajomej ze Szwecji, która zaprosiła nas do swojej pięknej rezydencji na przyjęcie - wspaniały świąteczny stół.

Kilka dni później, tuż przed Nowym Rokiem, załadowaliśmy nasz nowo zakupiony land rover po sam dach: jedzenie w puszkach, narzędzia, naczynia, sztucce, kuchenka, lodówka, butle gazowe, generator; wraz z wygodnie rozłożonym na tylnym siedzeniu Rufusem wyruszyliśmy w podróż na północ, do naszego nowego domu w zachodniej Kenii.

Rozdział 3.

Ku podniecającej przyszłości.

Podróż w głąb kraju była ekscytująca, choć zmundna, jechaliśmy i chłonęliśmy przesuwający się za oknami samochodu krajobraz. Naszym przeładowanym land roverem nie dało się jechać szybciej. A to znaczyło, że mieliśmy mnóstwo czasu, by się rozglądać i podziwiać widoki. Oczywiście podróżowaliśmy już samochodem podczas naszych poprzednich wizyt w Kenii, ale nigdy w aż tak ślimaczym tempie.

Wcześniej wyobrażałam sobie Kenię jako równinny kraj o czerwonawej, spalonej ziemi, tu i ówdzie porośnięty akacjami z rozrzuconymi skupiskami okrągłych, glinianych chat o pokrytych trawą dachach. Wędrujące żyrafy i zebry, także lwy, a stada sępów zarówno krążące w powietrzu, jak i żerujące na rozkładającej się padlinie. Rzeczywiście, tak to wygląda na przykład w Maasai Mara, ale już w górach na zachodzie widoki są zupełnie inne.

Kiedy wjeżdżaliśmy na zachodnią stronę Wielkiego Rowu Afrykańskiego, myślałam o losach wytrwałych białych osadników, którzy w początkach XX wieku wspinali się po stromych, w tamtych czasach pozbawionych dróg, górskich zboczach, osiągających miejscami wysokość od 2000 do 3000 metrów. Ludzie wówczas mozolnie wpychali na szczyty gór zaprzężone w woły wozy wyładowane całym dobytkiem po to, żeby skolonizować nieznane tereny ciągnące się na zachód od Wielkiego Rowu Afrykańskiego. Był to region znacznie żyźniejszy niż te równiny, które pozostawili za sobą. Zielony, pagórkowaty krajobraz, strumienie wijące się w dolinach i przepływające przez wówczas jeszcze bujne lasy tropikalne. Dzisiaj większą ich część wycięto, a wykarczowaną ziemię przeznaczono pod uprawę herbaty.

Kiedy zostawiliśmy już za sobą Kisumu, stolicę prowincji Nyanza, jechaliśmy powoli na północ w kierunku płaskowyżu położonego na wysokości 1600-1800 metrów. Na drodze panował spory ruch. Szosa była wprawdzie wyasfaltowana, ale pełna wybojów. Tam gdzie droga opadała w dół w wielu

miejskach wbudowano specjalne progi, by zmusić kierowców do zmniejszenia prędkości, ale i tak liczba wypadków śmiertelnych była ogromna.

Po około dwudziestu kilometrach przekroczyliśmy równik - o czym informował nas specjalny znak - i wjechaliśmy do najgęściej zaludnionej części Kenii. Na licznych targowiskach wzdłuż drogi kwitł handel: wszędzie mrowie wędrujących ludzi, bydło, rowery i samochody; pełno ludzi w różnorodnych, barwnych strojach. Niektóre kobiety w długich powłóczystych jedwabnych szatach wyglądały tak strojnie, jakby wybierały się na bal. Żeby nie zakurzyć butów, niosły je na głowach. Część mężczyzn szła tylko w przepaskach na biodrach, inni z kolei prezentowali się bardzo schludnie i porządnie w garniturach i białych koszulach pod krawatem.

Chavakali powitało nas tym samym zachwycającym widokiem, dla którego wybraliśmy to miejsce, aby rozpocząć nowe życie: pofałdowana, zielona sceneria; grzbiety gór i doliny poprzecinane strumieniami. Wzdłuż dróg wyłaniały się okrągłe, kryte trawą chaty i tylko gdzieniegdzie widać było domy o blaszanych dachach. Chatynki ukryte były w zagajnikach bananowych pośród kwitnących zarośli, krzewów herbacianych i trzciny cukrowej. Przepiękny i fascynujący widok.

W mgnieniu oka zrobiło się ciemno. Noc blisko równika zapada bardzo szybko. Zdaliśmy sobie sprawę, że w żaden sposób nie zdołamy sami odnaleźć drogi do domu. Położony był gdzieś na prawo w kierunku lasu deszczowego - tylko gdzie? Po długich dyskusjach postanowiliśmy udać się do domu naszego przyjaciela Timothy'ego.

To właśnie on obwoził nas całymi dniami po okolicy pod koniec sierpnia, gdy szukaliśmy wymarzonej ziemi. Był kuzynem i bliskim przyjacielem członka parlamentu, przedstawiciela naszej wsi. Nie pamiętaliśmy jednak dokładnie, gdzie mieszkał, więc musieliśmy pytać ludzi, jak do niego trafić. Wszyscy w okolicy dobrze znali Timothy'ego, bez większych kłopotów znaleźliśmy jego dom.

Chociaż przyjechaliśmy bez uprzedzenia, Timothy i jego rodzina przyjęli nas niezwykle ciepło. Zaproponowali nam pokój w domu jego matki. Był to oryginalny budynek z cegły, wzniesiony jeszcze w latach trzydziestych, w epoce

gorączki złota. Kupił go ojciec Timothyego, który był niegdyś najbardziej szanowanym i znanym w całym regionie wodzem.

Następnego dnia wyruszyliśmy z Timothyem na nasze ziemie we wsi Wuasiva. Po kilkuset metrach zatrzymaliśmy się na wąskiej wiejskiej drodze. Przed nami znajdował się wąż ostrych, wielkich kamieni. Praktycznie nie było tam miejsca na koła. Jar opadał stromo ku plantacji herbaty. Gdybyśmy przebijali się dalej, nasz land rover wylądowałby wśród herbacianych krzewów. Ale Bertil zakasał rękawy - musieliśmy przejechać. Metr po metrze usuwaliśmy kamienie i po kilku minutach grozy dotarliśmy na drugi koniec cali i zdrowi. My i nasza terenówka.

- Przejeżdżaliśmy tędy w sierpniu zeszłego roku zwykłym samochodem. Jak to możliwe, że droga jest teraz w takim stanie? - zwróciłam się do Timothyego.

- Mieliśmy straszną porę deszczową - wyjaśnił. - Droga została kompletnie zniszczona.

- Jedno jest pewne - stwierdził Bertil. - Nie mam ochoty męczyć się tak za każdym razem, kiedy będziemy jechać po zakupy. Trzeba naprawić drogę. Musimy naradzić się z mieszkańcami wioski i dowiedzieć się, czy możemy to zrobić razem.

Wiść o naszym przyjeździe rozeszła się pocztą pantoflową, bo na naszej działce już czekał sam wódz wioski, w towarzystwie starszyny plemiennej i okolicznych mieszkańców. Wcześniej postanowiliśmy, że na razie zamieszkamy w dolnej chacie, jednej z dwóch, które stały na naszym terenie. Zostawiliśmy tam samochód, a mężczyźni pomogli nam rozładować bagaże.

Zanim wprowadziliśmy się do chaty, musieliśmy zorganizować toaletę, prysznic, ogrodzenie oraz zatrudnić paru strażników - askari. Posiadłość nie była ogrodzona i, w trosce o nasze bezpieczeństwo, Timothy chciał początkowo wynająć nam dom w Kakamega. Wódz był temu przeciwny i wielokrotnie powtarzał: Wasze bezpieczeństwo to moja sprawa. Byliśmy jednak świadomi, że póki nie było ogrodzenia, nie mogliśmy spuścić Rufusa ze smyczy, dlatego postanowiliśmy pojechać z Timothyem do Kakamega i na jakiś czas wynająć dom. Po wielogodzinnych poszukiwaniach nawet Timothy zrozumiał, że nie znajdziemy nic odpowiedniego. Wszystkie nieruchomości z reguły wynajmowano na minimum pół

roku, a my przecież nie byliśmy zainteresowani takim terminem. Z nieba lał się żar. Rufus był głodny, spragniony, ział z gorąca i robił się coraz bardziej niespokojny.

Nagle Bertil przypomniał sobie niewielki hotelik, w którym jedliśmy lunch podczas jednego z pobytów w Kakamega. Na szczęście mieli wolny pokój i zgodzili się też przyjąć psa. Ten problem mieliśmy na razie z głowy, postanowiliśmy zatrzymać się w hotelu, dopóki robotnicy nie skończą ogrodzenia.

Nowy Rok spędziliśmy w hotelowym ogrodzie przy wybornej kenijskiej kolacji z szampanem. Nad nami, na czarnym jak smoła niebie, migotały miliardy gwiazd. Czuliśmy się pewni siebie, pełni planów na nowe wspaniałe życie, które mieliśmy rozpocząć następnego dnia.

Rozdział 4.

Wyzwania.

Ze zmęczenia nie mogłam zasnąć. Nowe wrażenia i nadmiar słońca zupełnie mnie wykończyły. Nie potrafiłam się odprężyć. Ale to było nieważne, czułam się taka szczęśliwa. Prace na naszej ziemi szybko szły naprzód i miałam nadzieję, że już wkrótce wprowadzimy się do małej glinianej chaty. Kenijska przygoda była dla nas prawdziwym wyzwaniem.

Wróciłam myślami do mojego wcześniejszego życia; zanim poznałam Bertila. Nagle zrozumiałam, że nasza afrykańska wyprawa nie była moim pierwszym życiowym wyzwaniem. Kiedyś z własnej woli zamieniłam bezpieczną egzystencję na niepewną przyszłość.

Przez wiele lat ciężko harowałam w szwedzkiej agencji turystycznej i w końcu osiągnęłam wysokie stanowisko z dobrą pensją. Miałam pracę cieszącą się uznaniem i otwierającą wiele drzwi. Dużo podróżowałam po świecie, zawsze zatrzymywałam się w najlepszych hotelach. Wszyscy uważali mnie za prawdziwego VIPa. Prowadziłam komfortowe życie; buty kupowałam na Filipinach, ubrania w Hongkongu, a stroje na miarę szyłam w Bangkoku. Pijałam wykwintny koktajl Singapore Slings w samym hotelu Raffles w Singapurze, odwiedziłam Alice Springs w Australii, miejsce, o którym marzyłam przez całe życie, na Borneo mieszkałam w typowym długim domu z łowcami głów...

Podczas wakacji zmieniałam się w kogoś zupełnie innego. Chodziłam na bosaka w naszym letnim domku, łowiłam ryby, chodziłam do lasu na grzyby...

Pewnego dnia zaczęłam się zastanawiać nad przyszłością. Czy już zawsze tak będzie? Czy w pracy nie czeka mnie już nic nowego? Czy rok po roku będę odwalać tę samą nudną robotę? Czy miało mi wystarczyć, że uważano mnie za kogoś ważnego?

Nie, to mi nie wystarczało. Postanowiłam zejść o szczebel niżej. Zacząć od początku. Potrzebowałam prawdziwych wyzwań.

W pracy używałam komputera do prostych czynności. Nie znałam się na komputerach, ale wiedziałam, że kryją w sobie ogromny potencjał. Kupiłam komputer - 640 kb RAM i zaczęłam uczyć się podstawowych programów. Ale nie potrafiłam jeszcze robić tego, co chciałam. Musiałam zdobyć konkretne umiejętności w programowaniu.

Zrezygnowałam z pracy, a wysoka, regularna pensja stała się przeszłością. Metodą prób i błędów, po wielu komputerowych kursach, zdobyłam pewną wprawę i mój PC zaczął mnie wreszcie słuchać. Nauczyłam się programować. Moja niewielka firma dostała kilka ważnych zleceń od dużej firmy, a ja mogłam się z tego utrzymać.

Życie nagle okazało się porywające. Musiałam walczyć - to było wspaniałe. Nieważne, że nie mogłam sobie pozwolić na zagraniczne wojaże czy luksusowe rzeczy, które dawniej kupowałam z taką łatwością. Czułam, że żyję.

Po kilku latach kupiłam nowy komputer. Nie działał zbyt sprawnie, więc firma przysłała pracownika z zespołu technicznego, żeby mi pomógł. Zaczęliśmy rozmawiać i szybko zorientowaliśmy się, jak wiele nas łączy. Oboje uwielbialiśmy Australię, oboje zwiedzaliśmy Borneo... W poszukiwaniu opali wielokrotnie wyjeżdżał do Australii, wypłukiwał też złoto.

Tym mężczyzną był właśnie mój przyszły mąż, Bertil. Wprowadził się do mnie, a po kilku latach pobraliśmy się w szwedzkiej ambasadzie w Bangkoku. Świadkami byli Christian i David, moi synowie z pierwszego małżeństwa. Towarzyszyli nam też w podróży poślubnej po Azji.

Teraz zaczęło się nowe, pełne stresów życie i robota na okrągło. Bertil pracował na pełen etat w agencji informacyjnej, a wieczorami pomagał w mojej firmie komputerowej. Nasza wspólna praca sprawiała nam ogromną frajdę. Gdy tylko mieliśmy okazję, braliśmy urlop i wyruszyliśmy płucać złoto w północnej części Szwecji i Norwegii, co wkrótce stało się moim hobby.

Największym problemem w naszym związku stawał się brak równowagi między pracą a odpoczynkiem. Praca zabierała nam coraz więcej czasu. Ja cierpiałam na fibromialgię³, która zaostrzała się w szwedzkim, surowym klimacie i zaczęłam wpadać w depresję. Czy już zawsze będę cierpieć na te bóle? - myślałam.

Miałam za dużo pracy. Za mało wolności. Za mało czasu, by cieszyć się życiem. Czytanie prasy doprowadzało mnie do rozpacz. Wszędzie na świecie cierpieli ludzie. Chcieliśmy im pomóc, ale uznano, że jesteśmy za starzy. Jak możemy zmienić nasze życie? Chcieliśmy czerpać z niego garściami.

Pewnego dnia dostaliśmy wspaniały prezent: trzytygodniową wycieczkę do Kenii dla dwóch osób. I to był właśnie początek naszego nowego wyzwania...

Rozdział 5.

Nasz afrykański dom.

Gdy wnosiliśmy walizki do naszej banda (glinianej chaty), zerkaliśmy na siebie ukradkiem. Byłam pewna, że Bertil, tak samo jak ja, zastanawiał się, co my tu robimy. Rozmyślałam nad tym, czy nasza afrykańska przygoda dobrze się skończy. Różnica między naszym szeregowcem w Taby pod Sztokholmem a nowym domem była niewiarygodna.

Nasz nowy dom był bardzo mały, a przy tym niezwykle afrykański - tradycyjna, okrągła, trzydziestoletnia banda o pochyłym, pokrytym trawą dachu. Jej średnica wynosiła niewiele ponad pięć metrów. I na tej powierzchni musieliśmy mieszkać razem: dwoje dorosłych, ludzi i pies. Byłam jednak pewna, że jakoś się pomieścimy. Przecież inni mieszkańcy wioski zajmowali podobne chaty, a ich rodziny były z reguły znacznie liczniejsze.

Ogrodzono już część naszej posiadłości. Kilka metrów od banda wybudowaliśmy prostą drewnianą wiatę na prysznic i toaletę. Prysznic składał się z siedemdziesięciolitrowego plastikowego baniaka na dachu, kurka i węża. Woda, podgrzewana ciepłem słonecznym, była wystarczająco gorąca. Musieliśmy oczywiście poprosić kogoś, żeby napełnił baniak. Za toaletę służyła po prostu głęboka dziura w ziemi, a żeby sprostać wymogom cywilizacji, nabyliśmy deskę klozetową.

Po pierwszej nocy spędzonej w banda w trybie pilnym wezwaliśmy stolarza. Umocował na ścianach papirusowe maty, by miejscowi nie podglądali nas przez szpary.

Timothy pożyczył nam długi stół i kilka biurowych krzeseł, które mogliśmy wystawiać na zewnątrz. Rosnące obok banda niewielkie drzewo papai rzucało skąpy cień, dlatego kilkakrotnie w ciągu dnia musieliśmy przestawiać meble, by schować się przed słońcem.

Udało nam się rozwiązać problem z ochroną. Naczelnik wioski i Timothy, którzy najwyraźniej nie byli zbyt zaprzyjaźnieni, zawarli wreszcie kompromis i

każdy z nich wybrał po jednym askari. Timothy, kuzyn przedstawiciela w parlamencie, znalazł szefa strażników, człowieka o imieniu Jim, który wcześniej pracował jako ochroniarz naszego przedstawiciela w parlamencie. Już sam jego wygląd onieśmiał. Bez wahania zdecydowaliśmy się na niego - wyglądał na profesjonalistę. Na strażnika numer dwa wódz wyznaczył Nicka, jednego ze swoich kuzynów. Wybudowaliśmy dla nich niewielką, drewnianą wiatę, a wódz pomógł nam ją wyposażyć.

Poza dwoma askari zatrudniliśmy także Johannesesa, który był tak zwanym shamba boy, czyli ogrodnikiem. Nie wybralibyśmy go (nie znał słowa po angielsku), gdyby nie oficjalne pismo z biura wodza, które otrzymaliśmy na początku pobytu, w którym to wódz opisał trudną sytuację Johannesesa - że jest bardzo biedny, że niedawno zmarła mu żona, i nie stać go nawet na odebranie jej ciała z kostnicy. Wódz prosił, żebyśmy pożyczyci Johannesowi pieniądze, a on je odpracuje. Było nam go żal, więc daliśmy mu pieniądze i tymczasową pracę. Z każdej jego wypłaty potrącaliśmy część pożyczki. Dzięki temu zostawały mu jeszcze pieniądze na jedzenie dla córki.

Zatrudniliśmy także cały sztab robotników, którzy zajmowali się ogrodnictwem, robieniem kompostu, przygotowaniem ogrodu warzywnego i wieloma innymi rzeczami. Prace szły bardzo szybko, więc kolejka ludzi stojących pod koniec dnia po wypłatę stawała się coraz dłuższa.

Nasze sprzęty domowe płynęły kontenerowcem, czas oczekiwania włókł się w nieskończoność. Odbywaliśmy zatem liczne wyprawy po zakupy do pobliskiego miasta Kakamega. Wprawdzie wiele rzeczy kupiliśmy w Nairobi, ale zupełnie zapomnieliśmy o tych najpotrzebniejszych, takich jak: lampy naftowe, materace, koce, itd. Prawie codziennie jeździliśmy do miasta z długą listą zakupów, której prawie nigdy nie udawało nam się zrealizować w całości. Wyszukanie każdej rzeczy zabierało mnóstwo czasu.

Nawet na tak z pozoru prostą czynność, jak otwarcie rachunku bankowego, straciliśmy kilka dni. Nie wystarczyło po prostu wejść do banku i poprosić o założenie konta. Nic podobnego, najpierw musieli nas polecić stali klienci. Następnie

sprawę omawiano na posiedzeniu zarządu, i dopiero wtedy, jeśli miałeś szczęście, mogłeś otworzyć rachunek - doprawdy wielki zaszczyt.

Ciężko byłoby pokonać te wszystkie trudności bez Timothyego. Towarzyszył nam prawie zawsze i wszędzie, oprowadzał nas, przedstawiał różnym ważnym osobom i wyjaśniał kenijskie obyczaje.

Rozdział 6.

Moje poprzednie życie.

Podniosłam wzrok znad książki. Bertil rozmawiał z kilkoma robotnikami w górze posesji. Wydawał się taki pełen życia, szczęśliwy - zupełnie inny niż mój wiecznie zmęczony mąż, jakiego pamiętałam z ostatniego roku w Szwecji. Wyglądało na to, że nie tęsknił do swoich komputerów, nawet o nich nie wspominał. Jego umysł pochłonięty był opracowywaniem rozwiązań technicznych poprawiających nasze codzienne życie. Zaczął nawet opowiadać o ptakach i kwiatach; w końcu dostrzegł naturę i jej cuda. Był naprawdę szczęśliwy. Na przeprowadzkę do Kenii zgodził się nie tylko dlatego, żeby zrobić mi przyjemność - bez wątpienia on także chciał żyć inaczej.

Byłam taka szczęśliwa, że jeszcze przed wyjazdem ze Szwecji obaj moi synowie w pełni zaakceptowali naszą decyzję. Bardzo lubili Bertila, a ponieważ był spokojnym i solidnym człowiekiem mieli pewność, że będzie się o mnie troszczył, a ja o niego.

Nie dziwiło mnie, że David zaakceptował nasz wybór, ponieważ, tak samo jak mnie, pociągały go przygody. Kilka lat wcześniej przerwał studia architektoniczne i wyruszył w podróż po Indiach i Dalekim Wschodzie. Poznał wtedy Matkę Teresę i pracował z nią w Kalkucie. Zjeździł na motocyklu indyjskie Himalaje. W głębi duszy był prawdziwym poszukiwaczem przygód. Rozmyślałam o tym, jak bardzo z wyglądu przypominał ojca, a przy tym jak wiele cech charakteru odziedziczył po mnie. Był prawdziwą mieszanką nas obojga.

Także Christian, mój starszy syn, dał nam na drogę swoje błogosławieństwo. Prowadził zupełnie inne życie niż brat. Skończył inżynierię wodno-ładową ze specjalizacją informatyczną. Po szkole średniej od razu zaangażował się w poważny związek i zamieszkał z dziewczyną. Oboje pilnie się uczyli, szybko skończyli studia i znaleźli dobrze płatną pracę.

Niewiele widzieli poza Szwecją, ale miałam nadzieję, że wkrótce nas odwiedzą.

Moja córeczka Ulrika zmarła śmiercią łóżeczkową, kiedy miała zaledwie miesiąc. Gdyby żyła, byłaby teraz o rok starsza od Davida. Bardzo boleśnie przeżyłam jej stratę. Odchodziłam od zmysłów. Gdyby nie Christian, który miał wtedy trzy latka i potrzebował matczynej troski, pewnie by mnie tu nie było.

Pierwszego męża i ojca moich dzieci poznałam, kiedy studiowałam języki obce na Uniwersytecie Sztokholmskim. On kończył studia ekonomiczne, a ja właśnie wróciłam z Hiszpanii, gdzie przez ostatnich kilka lat spędzałam większość czasu. Do dnia ślubu mieszkałam u rodziców - wspólne mieszkanie z chłopakiem było w tamtych czasach nie do pomyślenia. Zaloty, narzeczeństwo i małżeństwo, wszystko zgodnie z tradycją i zwyczajami - taka była kolej rzeczy.

Tuż po moim ślubie rodzice wyjechali do Sri Lanki, gdzie ojciec prowadził jakiś oenzytowski projekt. Na czas pobytu za granicą zostawili nam swoje mieszkanie. Było ogromne - ponad 275 metrów kwadratowych; położone w dobrej, zamożnej części Sztokholmu. I w tym wszystkim ja - świeżo upieczona mężatka, na dodatek nie mająca kogo spytać o radę. Nie umiałam ugotować nawet jajka. Nie potrafiłam wyfroterować podłogi. Nie miałam zielonego pojęcia o prowadzeniu domu. Nigdy nie mieszkałam sama, a kochający i troskliwi rodzice chronili mnie przed światem.

To niesamowite, jak inne było moje życie w pierwszym małżeństwie od tego, które prowadziłam teraz z Bertilem. Kolacje, wytworne koktajle, huczne bale, wieczorki brydżowe. Suknie wieczorowe, koktajlowe i obowiązkowo szpilki, świeży manicure i fryzury prosto od fryzjera. Miałam dwie krawcowe; szyły mi sukienki ze wspaniałych materiałów, które rodzice przysyłali mi ze Sri Lanki i Indii.

Prowadziłam światowe życie, przynajmniej na początku. Potem wszystko zbrzydło. Kiedy pojawiły się dzieci, coś się zmieniło. Mój mąż był zawsze najważniejszą osobą w rodzinie i, prawdę mówiąc, nie był to partnerski układ. Pod tym względem był to bardzo staroświecki związek.

Po dwunastu latach moje małżeństwo nagle się rozpadło, a ja razem z synami przeprowadziłam się do szeregowca i rozpoczęłam nowe życie. Było mi bardzo ciężko. Żeby zarobić na utrzymanie rodziny, pracowałam na dwa etaty: w

ciągu dnia i w nocy. Kochałam moich synów i chciałam, żeby niczego im nie zabrakło.

W ten sposób starałam się zrekompensować im brak ojca, który był zbyt zajęty urządzaniem sobie nowego życia, by interesować się synami. Chłopcy prawie nie mieli z nim kontaktu.

Przez trzynaście lat walczyłam o przetrwanie. Bardzo trudno jest wychować samotnie dwóch nastolatków. Nie miałam nawet z kim porozmawiać o problemach. Nie miałam czasu dla siebie i ani chwili na wypoczynek. Rodzice, którzy wrócili do Szwecji, pomagali mi jak mogli, ale byli coraz starsi. Nie mieli też cierpliwości do nastolatków.

Właśnie wtedy spotkałam Bertila i to był koniec mojej samotności.

Rozdział 7.

Interludium w Nairobi.

Cóż za nonsens, że zaledwie po dwóch tygodniach spędzonych w naszej wiosce, musieliśmy wrócić do Nairobi, żeby załatwić wizę pobytową. Było to jednak konieczne, więc zapakowaliśmy do samochodu trochę ubrań, Rufusa, potem wstąpiliśmy po kenijską parę, której obiecaliśmy podwózkę do stolicy i już byliśmy w drodze.

Kisumu i Jezioro Wiktorii pozostały za nami daleko w tyle, a my jechaliśmy w kierunku Kericho, gdy nagle, z dala od cywilizacji, nawalił silnik. Utknęliśmy w drodze, w pełnym słońcu... i bez żadnej nadziei na cień. Bogu dzięki, że był z nami w samochodzie Kenijczyk. Matatu, czyli mikrobusem, aż do zmierzchu objeździł jak szalony całą okolicę, aby znaleźć mechanika i części zapasowe.

Czas mijał, a upał stawał się coraz większy. Na dodatek Rufus nie chciał pić. Bałam się, że się odwodni. Byłam taka szczęśliwa, kiedy kilka godzin później wychłptał trochę świeżego soku ananasowego, który zabraliśmy ze sobą w drogę. Tuż przed zachodem słońca wiejskiemu mechanikowi udało się prowizorycznie naprawić nasz samochód i mogliśmy ruszyć dalej. Pozostanie tam w ciemnościach mogło być niebezpieczne. Samochód ledwo jechał, a przednie światła słabo oświetlały drogę. Naprawdę baliśmy się, gdy w tak ślimaczym tempie podjeżdżaliśmy pod górę do Kericho, na dodatek w strugach deszczu, przy kiepskiej widoczności. Co pewien czas musieliśmy świecić latarką, żeby Bertil widział drogę. Ponoć okolica znana jest z napadów, a włokąc się tak, stawaliśmy się łatwym łupem. W Kericho przenocowaliśmy w hotelu, a nazajutrz udało się nam przejechać całą trasę do Nairobi.

Po męczącej podróży spędziliśmy około trzech tygodni w kenijskiej stolicy na wypełnianiu papierków. Nasi przyjaciele obiecali nam załatwić pozwolenia na wjazd jeszcze przed naszym przylotem do Kenii, ale dostali złe formularze. Po przyjeździe do kraju odkryliśmy ku naszemu zaskoczeniu, że nie mamy ważnego pozwolenia na pobyt. Pierwszy tydzień w Nairobi spędziliśmy w Nyayo House,

gdzie wydawano wizeny wjazdowe. Na próżno czekaliśmy na urzędników, którzy nie pojawiali się w uzgodnionym czasie i musieliśmy ganiać z piętra na piętro. Wydawało się, że nigdy nie zdobędziemy pozwoleń, więc postanowiliśmy skontaktować się z naszym lokalnym deputowanym i poprosić go o protekcję. Łatwiej było powiedzieć niż zrobić, bo „nasz” człowiek pracował również w kancelarii prezydenta, a to oznaczało, że jeśli prezydent Moi był w Nairobi, to on przebywał razem z nim, a wtedy był poza naszym zasięgiem.

Godzinami czatowaliśmy przed parlamentem, aż w końcu udało nam się umówić z nim na spotkanie. Skierował nas do różnych urzędników, którzy mieli nam pomóc. Całymi dniami lataliśmy tam i z powrotem. Beznadziejnie skorumpowana administracja utrudniała nam życie ponad wszelką miarę. Europejczycy mieszkający w Kenii wielokrotnie ostrzegali nas przed biurokracją. Teraz zaczynaliśmy się obawiać, czy nie porwaliśmy się z motyką na słońce.

Nasze dokumenty przyjęto w pięćdziesiąte urodziny Bertila - całkiem miły prezent. Byliśmy już wtedy jednak tak zmęczeni, że nawet nie mieliśmy ochoty świętować. Myśleliśmy jedynie o tym, by jak najszybciej wrócić do wioski.

Pomachaliśmy na pożegnanie przyjaciółom, u których się zatrzymaliśmy, przedarliśmy się przez centrum Nairobi i wyjechaliśmy na jedną z wielkich obwodnic. Razem z nami jechała Betty, nasza przyszła, polecona przez przyjaciół, służąca.

Bertil z rozpaczą w głosie poprosił mnie, żebym pokierowała go przy wyjeździe z miasta. - Mam po dziurki w nosie tej szalonej jazdy po niebezpiecznych rondach - powiedział.

Studiowałam przez chwilę mapę, pokrzykując histerycznie za każdym razem, gdy cudem udawało się nam uniknąć kolejnej stłuczki. W końcu opuściliśmy Nairobi, za nami pozostał fetor zaśmieconych ulic. Znowu byliśmy w drodze do naszego domu w górach na zachodzie kraju - o ile lżej było tam oddychać. Betty siedziała na tylnym siedzeniu land rovera razem z naszymi psami, Rufusem i Meriy - nowym członkiem naszej rodziny: dziesięcioletnim, uroczy, czarnym

szczeniakiem schabradora; kupiliśmy ją w Nairobi. Cieszyłam się, że liczący sobie niewiele ponad rok Rufus będzie miał w końcu towarzystwo do zabawy.

Jechaliśmy już jakiś czas autostradą Uhuru w stronę Naivasha i w końcu poczułam się rozluźniona. Mieliśmy przed sobą cały dzień podróży i spodziewałam się, że dotrzemy do celu już po zmierzchu. Miałam nadzieję, że samochód znowu nie nawali.

Zdrzemnęłam się przez chwilę, ale obudziłam się, gdy Bertil wjechał na ogromny parking. Poznałam to miejsce. Przed nami rozpościerał się jeden z najpiękniejszych widoków na świecie: panorama Wielkich Rowów Afrykańskich. Kupiliśmy colę i poszliśmy na spacer z Rufusem i Merry. Czuliśmy rześki powiew wiatru i rozkoszowaliśmy się wspaniałym krajobrazem. Nie do wiary, że wioski znajdowały się niemal kilometr niżej. Był to niewyobrażalnie piękny widok.

Jechaliśmy dalej w dół Wielkich Rowów. W samochodzie robiło się coraz cieplej. Pod Nakuru zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Skorzystaliśmy też z okazji, by kupić w przydrożnej szkółce sadzonki bugenwilli i jacarandy.

- Musimy tu jeszcze wrócić - powiedziałam kilka godzin później. Chwilę wcześniej zostawiliśmy Betty w jej rodzinnej wiosce, ponieważ miała zacząć u nas pracować dopiero w następnym tygodniu.

Bertil zjechał z szosy na drogę gruntową. Tłoczyli się na niej: ludzie, krowy, kozy, świnie, busiki matatu i boda boda, czyli różnego rodzaju pasażerskie ryksze. Panował wręcz nieopisany zgiełk. W powietrzu wirował czerwony pył. Zorientowaliśmy się, że wreszcie jesteśmy w prawdziwej Afryce. Cały dzień byliśmy w drodze, a słońce chyliło się ku zachodowi. Dzieliło nas od Nairobi zaledwie pięćset kilometrów, ale byliśmy tak zmęczeni, jakbyśmy przejechali co najmniej kilka tysięcy.

Po chwili znaleźliśmy się na naszej wiejskiej drodze. Bertil dodał gazu i migiem przejechaliśmy najgorszy odcinek trasy jarem, a nasza terenówka cudem się nie rozpadła. Po kilkuset kolejnych metrach zobaczyliśmy znajomy plac. Bertil zjechał na lewo i zatrzymał samochód. Szybko z niego wyskoczyliśmy - z Rufusem

przypięty na smyczy i z Merry na rękach - pragnęliśmy jak najszybciej zobaczyć naszą piękną dolinę. Znowu byliśmy w domu.

Rozdział 8.

Pole kukurydzy.

Dostaliśmy dwuletnią wizę pobytową i nareszcie mogliśmy zabrać się do realizacji naszych marzeń. W Kenii byliśmy już od kilku miesięcy i tęskniliśmy za prawdziwą pracą, tym bardziej, że mieliśmy naprawdę wiele do zrobienia. Była jeszcze pora sucha, tu i ówdzie z wysuszonej gliny sterczały tylko pożółkłe żółtła trawy. Nad udręczoną ziemią wirował pył, który przypominał mgłę. Nasze okulary, a właściwie cały nasz dobytek, pokrywała cienka warstwa drobnego, dokuczliwego kurzu.

Zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek uda się nam zmienić to wysuszone pole kukurydzy w kwitnący raj. Wyglądało to raczej na beznadziejne przedsięwzięcie, ale wierzyliśmy, że damy radę. Po przyjeździe do wioski, na początku roku, nasi ogrodnicy zasadzili dziki hibiskus przed banda. Wkopali w ziemię suche flance i podlewali je kilka razy w tygodniu. Sadzonki wypuściły już zielone pędy i czerwone pączki. Podczas naszego pobytu w Nairobi zasadzili wzdłuż całej posesji około dwustu pięćdziesięciu sadzonek bananowca i to dwa gatunki: słodkie dojedzenia na surowo oraz mączyste do gotowania. Ładnie się przyjęły i już mieliśmy pierwsze zbiory.

Szacowaliśmy, że roczne plony wyniosą około czterech ton. Dwie kiście bananów wisały już pod prysznicem: jedna z gatunku słodkich, które jedliśmy na śniadanie, a druga z tych do gotowania lub smażenia. Gotowane banany są jeszcze smaczniejsze niż najlepsze ziemniaki. Banany są jak chwasty - łatwo się przyjmują. Wystarczyło wykopać dołek, wsadzić do niego roślinę, dodać trochę nawozu i podlać. Po sześciu miesiącach rośliny osiągały wysokość od trzech do sześciu metrów i dawały około dwudziestu pięciu kilogramów bananów. Podczas zbiorów ścinało się roślinę i po krótkim czasie pojawiało się kilka siostrzanych pędów. W ten sposób liczba roślin wzrastała w niemal astronomicznym tempie.

Mieliśmy wielkie szczęście, że już na samym początku znaleźliśmy w sąsiedztwie ogrodnika. Miał na imię Petrus. Z zapałem hodował kwiaty i jarzyny.

Sam założył sporą szklarnię. Całym sercem zaangażował się w nasze przedsięwzięcie. Dostaliśmy od niego mnóstwo kwitnących krzewów i drzew; pomógł nam także znaleźć najlepszy nawóz dla roślin.

Całymi dniami nasi ludzie kopali, siali i sadzili. Teren opadający ku niewielkiemu strumieniowi przeznaczaliśmy na ogród warzywny. Zamierzaliśmy posadzić wszystkie warzywa - chcieliśmy być samowystarczalni. Tutaj, w Prowincji Zachodniej, z dala od turystycznych szlaków, można było kupić niemal wyłącznie: marchew, pomidory, cebulę i jarmuż - sukuma wiki. Dlatego teraz mieliśmy na rozsadniku małe roślinki: kabaczka, bakłażana, słodkiej papryki, groszku cukrowego i fasolki szparagowej, kalafiora, ogórka, czerwonej kapusty, szpinaku, buraka pastewnego i pomidorów; w pozostałej części posadziliśmy słodkie ziemniaki, maniok, pochrzyn, kukurydzę, orzeszki ziemne i trzcinę cukrową.

Należało chronić sadzonki przed promieniami palącego słońca, więc zbudowaliśmy nad nimi rodzaj zadaszenia z gałęzi i liści bananowych. Dobrze, że do noszenia wody potrzebnej do podlewania roślin zatrudniliśmy młodych ludzi, którzy schodzili po nią do doliny. Szybko zorientowaliśmy się jednak, że trzeba będzie znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu.

Ciężko harowaliśmy - zaczęliśmy dzień o świcie. Ja karczowałam ogrodzoną część naszego pola, usuwałam kamienie i suche łodygi kukurydzy po poprzednich zbiorach, a Bertil budował wiatę na generator, który miał nam dostarczać prąd i musieliśmy dobrze go zabezpieczyć. Już od rana zaczynał się skwar, więc czas pracy był krótki. Odpoczywaliśmy pod wzniesioną z żerdzi wiatą, której dach i ściany wykonane były z mat papirusu. To był prawdziwy luksus - wreszcie nie musieliśmy ganiać wokół banda za cieniem.

Gdy tylko nasi robotnicy zaczynali pracę, powstawał straszliwy harmider. Nieustannie wydawaliśmy instrukcje i sprawdzaliśmy, co już zostało zrobione. Cały czas, zza otaczającego naszą banda płotu, przyglądali się nam ludzie, gromadzili się wokół i z nas śmiali. Wszyscy chcieli nas poznać. Powodów ku temu było mnóstwo. Jedni pewnie chcieli się pochwalić, że byli u Wazungu (Europejczyków), inni

szukali pracy albo prosili, żebyśmy opłacili chesne ich dzieciom. Pewnie chcieli załatwić dwie sprawy naraz - przecież wiadomo, że biali mają pieniądze.

Przez te wszystkie wizyty nigdy nie mieliśmy czasu, żeby usiąść i spokojnie pomyśleć. Postanowiliśmy więc, że nasi askari muszą ograniczyć liczbę gości. Nie było to wcale proste. Nie mogli powiedzieć, że jesteśmy zajęci albo że nas nie ma, bo cały czas byliśmy na widoku. Nie mogliśmy również zabronić wejść starszyźnie plemiennej, wodzowi i jego zastępcom. Ich zawsze musieliśmy witać z otwartymi ramionami.

Pod wieczór, kiedy robotnicy już sobie poszli, kąpaliśmy się w nagrzej od słońca wodzie, po czym przebieraliśmy się w czyste szorty i podkoszulki. Potem nadchodził czas, aby coś przekąsić, zjedliśmy wszystkie konserwy kupione w Nairobi, a z zakupem świeżej żywności był kłopot. Można było dostać jedynie: bekon, mdławę parówki i ser, i to po wygórowanej cenie. Z powodu suszy nie było warzyw i tylko od czasu do czasu trafialiśmy na mrożoną rybę. Mieliśmy wrażenie, że w sklepach w Kakamega sprzedawano tylko: dżem pomarańczowy, napoje owocowe, spaghetti, mąkę, olej i margarynę. Za to polędwica wołowa była tania, pod warunkiem, że trafiło się na odpowiedniego rzeźnika. Trudno było znaleźć mięso na pieczeń czy dobry stek, gdyż większość rzeźników dzieliła je na drobne kawałki. Musieliśmy wybierać między polędwicą a mięsem do mielenia, choć to drugie nie wchodziło w grę, bo nasza maszynka znajdowała się w kontenerze, który jeszcze nie dotarł. Zakupione mięso zawijaliśmy zwykle w liście papai i zostawialiśmy w lodówce, żeby skruszało. Inaczej nie nadawałoby się dojedzenia. Nauczyli nas tego moi rodzice, którzy wiele lat spędzili w tropikach.

Wieczorem wychodziliśmy na dwór i odpoczywaliśmy w łagodnym świetle kilku lamp naftowych. W dole rechotały zaby, robaczki świętojańskie wykonywały jakiś egzotyczny taniec. Rozgwieżdżone niebo migotało milionami gwiazd, a białe kwiaty papai pachniały przepięknie.

Nie mogliśmy się nagadać. W końcu mieliśmy na to czas. Obiecaliśmy sobie, że koniec z rozmowami na temat komputerów i oprogramowania; nie musieliśmy się troszczyć o naszych klientów. Wreszcie poczuliśmy się naprawdę

wolni. Mieliśmy czas dla siebie, mogliśmy snuć plany i cieszyć się życiem. W tym wspaniałym otoczeniu wszystko stawało się banalnie proste. Innym powodem do zadowolenia był fakt, że wreszcie nie miałam żadnych problemów z bolącymi stawami." Po wielu latach cierpień czułam się wspaniale.

Psy, Rufus i jego wierna towarzyszka Merry, odpoczywały na kocu obok nas. One także rozkoszowały się urokami wieczoru. W dzień było często tak gorąco, że wołały siedzieć w cieniu albo w banda. Kiedy robiło się chłodniej, świetnie się bawiły, biegały wolno po ogrodzonej już części parceli o powierzchni pięciu tysięcy metrów kwadratowych. W nocy tylne drzwi do banda zostawialiśmy otwarte, tak żeby nasze psy mogły swobodnie krążyć.

Przeważnie chodziliśmy spać około dziewiątej, ponieważ wstawaliśmy wcześnie, by podziwiać wschód słońca. Zaganialiśmy psy do środka, a potem walczyliśmy z nieprzeniknioną ciemnością, żeby dostać się do naszych polowych łóżek w ciasnej sypialni. Leżeliśmy potem przez chwilę, wsłuchując się czujnie w odgłosy dochodzące z zewnątrz. Czasami słyszeliśmy, jak w okolicy naszej banda, po drugiej stronie płotu, para wołów orała ziemię pod siew kukurydzy. Potem zasypialiśmy pod moskitierą w naszej glinianej chacie.

Zaczęliśmy nasze spartańskie życie. Ale to nam odpowiadało. Dni i tygodnie mijały szybko, a nas nie obchodziło, jaki jest dzień tygodnia, czy która jest godzina. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje na świecie. Nie mieliśmy ani gazet, ani radia, ani telewizora. Obchodziło nas tylko to, co wydarzyło się w naszej okolicy, reszta była nieważna.

Z drugiego końca doliny dochodził radosny śmiech. O tej porze roku wszyscy przygotowywali glebę pod zasiew na swoich mikroskopijnych poletkach. Trzeba się było spieszyć. Niedługo zaczynała się pora deszczowa i wtedy natychmiast należało zasiać kukurydzę. Wiek nie miał znaczenia. Pracowali wszyscy, młodzi i starzy, machając jembe, czyli motyką. Dzieci, zbyt małe, by unieść motykę, zbierały patyki i inne rzeczy nadające się na opał i dźwigały do domu wielkie paki. Niektórzy mali chłopcy zaganiali do obejścia krowy i kozy, niestety niemiłosiernie je dźgając. Zauważyliśmy już, że nie traktowano tu dobrze zwierząt;

wiele z nich kulało, większość miała pętane przednie nogi. Ciągnięto je na postronku i często kuśtykały na trzech nogach.

Kobiety z naszej wioski chodziły tam i z powrotem do źródła, niosąc na głowach chyboczące się baniaki z wodą. Chciałam zobaczyć źródło, więc poszłam do ogrodu warzywnego poszukać Johannaesa. Podlewał nasze roślinki. Przykro było patrzeć na niego biednego analfabetę, który nie potrafił wydusić z siebie słowa po angielsku. Doglądał troskliwie nawet najmniejszych roślin. Dlaczego jednak był taki leniwy, jeżeli chodziło o jego własny dom? I dlaczego nie zasadził bananowców czy drzew awokado na własnej działce? Przecież można je było dostać za darmo i nie wymagały podlewania. Miałby wtedy owoce na sprzedaż, a jego córka - witaminy.

- Merembe Johannes - powitałam go grzecznie, kiedy wyszedł do mnie z uśmiechem. Zorientowałam się, że mnie nie rozumie, więc przesłam na język migowy, żeby wyjaśnić mu, o co chodzi. Widziałam, że jest zachwycony i dumny, że, pomimo suszy, wszystko rośnie jak szalone. Pewnie nigdy nie jadł ani nawet nie widział tych warzyw. Chciałam nauczyć pozostałych pracowników uprawy nieznanych roślin. Obiecałam im także nasiona.

Razem z Johannesem zeszliśmy do niewielkiego strumienia, który teraz w porze suchej płynął tylko cieniutką stróżką. Stanowił dolną granicę naszej działki. Mój ogrodnik wskazał na wodę, wyłowił rękami rybę i roześmiał się radośnie. Zrozumiałam, że to tutaj, w trakcie nabierania wody, znalazł miękkawkę, rybę mierzącą dwadzieścia pięć centymetrów, wyglądającą jak niewielki sum.

Fakt, że były tu miękkie ławki, sprawił, że wszyscy nalegali, żebyśmy założyli staw rybny. No cóż, to jednak musieliśmy odłożyć na później. I tak mieliśmy mnóstwo pracy.

Wyjaśniłam Johannesowi, że chcę zobaczyć źródło tryskające jakieś sto metrów od naszej parceli. Po drodze wskazał inne miejsce na wodzie, mówiąc coś w rodzaju pesa. Nie rozumiałam, wskazał wtedy żółty kwiat i jednocześnie zakołysał rękami. Pojęłam nagle, co chciał mi powiedzieć i byłam tym absolutnie zachwycona. W strumieniu znajdowało się złoto. Cudownie, złoto na naszej ziemi! Poczułam się fantastycznie. Roześmiałam się radośnie, pokazując mu, że wiem, o co chodzi.

Przy źródle stała grupka kobiet. Kiedy podeszliśmy, nagle zamilkły i patrzyły na mnie z zaciekawieniem. Odpowiedziały mi uprzejmie na słowa powitania w języku luhia i rzuciły się, by uścisnąć mi rękę i grzecznie pozdrowić.

Źródło zostało częściowo ocembrowane, a wypływająca z rury woda wyglądała na czystą. Wiele rodzin nie przynosiło sobie wody ze źródła. Zamiast tego nabierali ją z niewielkiego strumienia, zanieczyszczonego zarówno przez ludzi, jak i zwierzęta. Większość mieszkańców nie przygotowywała wody, co było główną przyczyną wielu epidemii szerzących się na kenijskiej wsi. My oczywiście zawsze gotowaliśmy wodę przeznaczoną do celów spożywczych, nawet jeśli pochodziła ze źródła.

Pożegnałam się z kobietami i wracałam w cień pod naszą wiatą, żeby odpocząć, zanim Bertil wróci z Kakamega. Kiedy szłam pod górę do naszej banda, czułam, jak moje nogi stają się coraz cięższe, a pot ścieka ze mnie strumieniami. Panował niebywały upał i z dnia na dzień robiło się coraz goręcej. Szczeliny w spękanej, wypalanej słońcem ziemi były coraz głębsze i szersze. Gazety pisały o głodzie w zachodniej Kenii, ciągle jeszcze nie padało, chociaż pora deszczowa powinna się już zacząć.

Rozdział 9.

Kłątwa.

Pewnego dnia obudziłam się przygnębiona. Nawet piękny wschód słońca nad wzgórzem po drugiej stronie doliny nie poprawił mi nastroju. Przeszedł mnie dreszcz. Czułam się nieswojo z powodu wczorajszego incydentu. Cóż to była za okropna noc, prześladowały mnie koszmary o czarownicach i czarownikach.

Trudno się jednak dziwić. W nocy, leżąc w łóżku, czułam rozpacz, strach i gniew. A wszystko przez tego okropnego Makuso przebranego w biały mundur Armii Zbawienia.

To Makuso pokazywał nam Wuasiva, kiedy razem z Timothyem szukaliśmy ziemi i w końcu znaleźliśmy ją w tej wiosce. Później napisał do nas, dopytując się, kiedy będzie mógł odebrać przyobiecane mu matatu. Odpowiedzieliśmy stanowczo, że nigdy nie obiecywaliśmy mu matatu, a nawet o tym nie rozmawialiśmy. Nie stać nas było na tak kosztowne prezenty.

W poprzednim tygodniu Makuso pojawił się przy bramie w towarzystwie dużej grupy ludzi i chciał się z nami widzieć. Pozwolono mu wejść samemu do naszej banda. Rozmawialiśmy przez chwilę, nie wspominając wcale o matatu. Moim zdaniem nie był sympatyczny, więc, szczerze mówiąc, ucieszyłam się, kiedy Rufus pobrudził jego biały mundur.

Wczoraj niespodziewanie przyszło do nas mnóstwo gości. Przyglądali mi się dziwnie i dopytywali o zdrowie. Odpowiadałam oczywiście, że całkiem dobrze się czuję. Miejscowy szef Armii Zbawienia, wypytawszy mnie uprzejmie o zdrowie, poprosił, żebyśmy pozwolili mu otworzyć lokalne biuro na naszej ziemi. Razem ze swoimi żołnierzami zajęłyby się pilnowaniem bramy, a także codziennie modliłby się z nami i z naszymi pracownikami. Dyplomatycznie odrzuciliśmy jego propozycję.

W końcu pojawił się nasz przyjaciel Timothy. Kiedy on także zaczął wypytywać mnie o zdrowie, spytałam wreszcie, o co chodzi, dlaczego wszyscy tak się tym interesują.

- No cóż - odpowiedział - niestety Makuso odwiedził wioskowego czarownika i zapłacił za rzucenie na was klątwy. Teraz przechadza się po okolicy i chwali, że wkrótce umrzecie, ale wcześniej spuchną wam różne części ciała. Jesteś pewna, Gunillo, że nic ci nie spuchło?

- Ależ oczywiście, że nie - odparłam oburzona. Nie chciałam, żeby się dowiedział, że obudziłam się ze spuchniętym i obolałym dziąsłem. Jeszcze pomyśli, że wierzę w zabobony! - Dlaczego Makuso chce mnie zabić? - zdziwiłam się.

- Makuso chce zdobyć waszą ziemię - odpowiedział Timothy.

- Planuje, że kiedy umrzesz, Bertil ożeni się z jedną z jego córek. Oni potem zamordują Bertila, a Makuso i jego rodzina będą mogli przejąć ziemię.

- O mój Boże! - wykrzyknął Bertil. - To ja już nie mam nic do powiedzenia?

- To wcale nie jest śmieszne - ciągnęłam ze łzami w oczach. - Oczywiście nie wierzę w gusa, ale to straszne, że ludzie mogą być tacy podli.

- Nawet jeśli wy nie wierzycie w klątwy - dodał Timothy - zauważcie, że są one dość rozpowszechnione i ludzie mogą stać się groźni. Każdy stara się wyrwać dla siebie jak najwięcej, nawet jeśli musi zabić. Błagam, nie kupujcie jedzenia na wsi. Kupujcie mleko tylko w kartonie; chleb i inne produkty wyłącznie w szczelnym opakowaniu. Całkiem możliwe, że będą chcieli was otruć.

Kiedy Timothy wyszedł, siedzieliśmy w milczeniu. W co myśmy się wpakowali? Tak, słyszeliśmy oczywiście różne przerażające opowieści o tym, co się dzieje w kenijskich wioskach. Pewna matka - dotąd siedzi w więzieniu - oblała naftą jedno ze swoich dzieci, a potem podpaliła, i to tylko dlatego, że chłopiec ukradł trochę ugali, kaszki kukurydzianej, przygotowanej na kolację. Ludzie nie tylko trują zwierzęta sąsiadów, ale także samych sąsiadów. Potrafią zadźgać ich nożem. I nieważne czy to krewni, przyjaciele, czy wrogowie. Przesiadują wśród bananowców, popijając nielegalnie pędzony changaa (lokalny bimber), a kiedy są już dobrze wstawieni, zabierają się do dzieła...

Tak więc poprzedniego dnia wieczorem poszliśmy do łóżka zdenerwowani; już nie byliśmy pewnymi siebie Szwedami.

Rozdział 10.

Kłopoty z Patrickiem.

Siedziałam wygodnie w cieniu z nogami na krześle i ze szklanką piwa w rękę. Pracowałam w upale w naszym warzywniku i byłam potwornie zmęczona. Musiałam trochę odpocząć.

- Dzień dobry, psze pani. Jak się pani czuje?

Podsłoczyłam do góry, a piwo wylało mi się na bluzkę. Obok mnie stał Patrick, jeden z synów byłego właściciela. Zesztywniałam. Przychodził, kiedy chciał i wchodził, gdzie chciał. Od razu skoczyło mi ciśnienie. Nie mieliśmy ani trochę prywatności. To się musiało skończyć.

- Witaj, Patricku - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to przyjaźnie. - Wiesz, że musisz zameldować się u askari, kiedy chcesz nas odwiedzić? Właśnie odpoczywam, a ty mi przeszkadzasz.

Jak zwykle przyjął to obojętnie. Najwyraźniej nie chciał zrozumieć, że jego rodzina sprzedała nam ziemię. Gdy tylko przechadzałam się po posiadłości, on pojawiał się jak duch, siedł obok mnie jak cień i paplał bezustannie. Czulałam się tak, jakby to on pokazywał gościowi swoją ziemię. To się musiało zmienić.

- Proszę pani, przyszedłem po pieniądze na czesne, potrzebny mi jest też nowy mundurek - mówił dalej nieporuszony. - Przecież obiecaliście.

- Nie, Patricku, nic nie obiecywaliśmy - zaprzeczyłam. - Ale przyjdź z powrotem o szóstej wieczorem, kiedy wróci bwana Bertil. Wtedy będziemy mogli z tobą o tym porozmawiać. A teraz odejdz, bo chcę trochę odpocząć. I pamiętaj, następnym razem zamelduj się u askari.

Znowu usadowiłam się wygodnie na krześle, ale natychmiast w mojej głowie pojawiły się wspomnienia. Myślałam o Patricku i o tym, jak go poznaliśmy.

Miał szesnaście lat i w gruncie rzeczy był miłym chłopcem. Kiedy kupiliśmy naszą ziemię, poprosił, żebyśmy pomogli mu zapłacić zaległe czesne. Było to w sierpniu zeszłego roku i obiecaliśmy, że mu pomożemy.

Kiedy w grudniu 1996 roku wróciliśmy do Kenii, by zamieszkać tu na stałe, okazało się, że Patrick zajmuje jedną z chat postawionych w górnej części parceli. Wyglądało na to, że w ogóle nie ma zamiaru się wyprowadzić. Co więcej, odkąd nas poznał, bezustannie dopytywał się o chesne, a kiedy wyjechaliśmy do Nairobi, zapraszał do nas swoich znajomych. Pokazywał kolegom posiadłość i mówił, że będzie u nas brygadzystą.

Kilka tygodni temu przybyła pieszo rodzina byłego właściciela. W chacie, którą zajmował Patrick, zamierzali obchodzić „dzień pamięci” jednej ze zmarłych córek. Jako że najważniejsze tradycyjne obrzędy ludu Luhia związane są ze śmiercią, pogrzebami i podobnymi okazjami, musieliśmy się zgodzić. Przez kilka dni chatę zajmowało mnóstwo ludzi, którzy całymi nocami tańczyli i śpiewali, a my na własnej ziemi czuliśmy się jak intruzi.

Musieliśmy jakoś rozwiązać ten problem i sprawić by Patrick i jego rodzina zrozumieli wreszcie, że ich panowanie się skończyło i ziemia należy do nas.

Zjedliśmy właśnie kolację i siedzieliśmy na słońcu przed banda, kiedy wrócił Patrick.

- Siadaj, Patricku - powiedział Bertil. - Bibi Gunilla powiedziała mi, że byłeś już u niej dzisiaj i prosiłeś o pieniądze na chesne. Dlaczego?

- No bo... obiecaliście zapłacić za moją szkołę.

- Nie, nigdy czegoś takiego nie mówiliśmy, dobrze o tym wiesz. Obiecaliśmy tylko, że zapłacimy za ostatni semestr i to zrobiliśmy.

- No to jak ja mam chodzić do szkoły? Nie mam pieniędzy, a wy jesteście bogaci.

- Ależ, Patricku - przerwałam mu - posłuchaj, po pierwsze wcale nie jesteśmy bogaci, a po drugie, nie jesteś naszym dzieckiem i to nie nasza sprawa. Wcześniej radziłeś sobie z chesnym bez naszej pomocy. Powiedz, jak?

- No, może dlatego, że pracowałem w czasie wakacji... i oszczędzałem. A tak naprawdę to nie wiem. - Widać było, że nieco się speszył.

Przez chwilę rozmawialiśmy z Bertilem o tej sprawie. Było nam trochę żal chłopaka. Był czysty, schludny i chciał się uczyć. Może powinniśmy mu pomóc?

Ale, tak czy siak, musieliśmy mu uświadomić, że nie może przychodzić i czekać, aż damy mu pieniądze. Bertil poprosił Patricka, żeby pokazał oceny z ostatniego semestru oraz jakiś dokument stwierdzający o jaką sumę chodzi. Wyglądało na to, że Patrickowi ulżyło; zniknął i wkrótce zjawił się z jakimiś papierami. W międzyczasie uzgodniliśmy z Bertilem, co zrobimy.

Bertil przestudiował uważnie dokumenty i powiedział poważnym głosem:

- Mówimy o dużej sumie, ale widzę, że masz całkiem niezłe stopnie. Jak wiesz, nie stać nas na wyłożenie takiej kwoty, ale chcemy ci coś zaproponować. Bibi Gunilla wszystko ci wyjaśni.

Teraz przyszła kolej na mnie. Miałam szansę pozbyć się Patricka z naszej ziemi, a jednocześnie go wesprzeć.

- No cóż, Patricku, możemy ci pomóc, ale ty też musisz coś dla nas zrobić. Zapłacimy ci chesne i kupimy mundurek, a ty będziesz pracował dla nas w każdą sobotę i niedzielę. W niedzielę masz przychodzić zaraz po kościele. I musisz robić wszystko, począwszy od noszenia wody i koszenia trawy, aż po pilnowanie bramy. W tych dniach będziesz dostawał lunch.

Patrick wyglądał na bardzo szczęśliwego, więc dodałam:

- Ale pamiętaj, mówimy tylko o chesnym za ten semestr. Jeżeli będziesz miał dobre stopnie i będziemy z ciebie zadowoleni, to się zastanowimy, co dalej.

- I coś jeszcze muszę ci powiedzieć - mówił dalej Bertil. - Niedługo zaczniemy zagospodarowywać górną część naszej posesji. To znaczy, że trzeba będzie rozebrać banda, w której na razie mieszkasz, a ty będziesz musiał się wyprowadzić. Słyszałem, że po drugiej stronie drogi stoi pusty dom. Całkiem przywoity, z dachem z blachy - mabati. Właściciele chcą go wynająć. Możemy za ciebie zapłacić w tym semestrze.

Chłopiec wyglądał na niezadowolonego. Poczul pewnie, że traci punkt zaczepienia na naszej posesji. Za to mi ulżyło, że wreszcie zniknie stara chata. Nie będzie już najazdów ze strony dawnego właściciela i całej jego rodziny.

Obiecaliśmy mu, że może do nas przychodzić raz w tygodniu po herbatę, cukier i mąkę kukurydzianą. Zaproponowaliśmy także, by na niewielkim poletku w

naszym warzywniku uprawiał kukurydzę i sukuma wiki. Ale najpierw będzie musiał przygotować ziemię pod zasiew i zajmować się nią po lekcjach. Na koniec Bertil zapewnił, że chętnie pomoże Patrickowi w fizyce i chemii, przedmiotach, z którymi chłopiec sobie nie radził.

No cóż, summa summarum, jak zwykle okazaliśmy się zbyt hojni. Serce zwyciężyło rozum. Ale, tak czy owak, chłopak wyglądał na usatysfakcjonowanego, gdy odchodził w ciemną noc.

Rozdział 11.

Nieprzewidziana przeszkoda.

Był słoneczny ranek, ptaki śpiewały. Przy śniadaniu omawialiśmy z Bertilem plany na kolejny dzień.

- Muszę pojechać do Ministerstwa Wodociągów w Kakamega, żeby ich trochę ponaglić - stwierdził Bertil.

- Myślisz, że kiedykolwiek doczekamy się wody? - Tym razem nie tryskałam optymizmem.

- Kiedyś pewnie tak, chociaż są bardziej skorumpowani niż przypuszczałem, więc trochę to potrwa - odpowiedział Bertil. - Ale nie powinniśmy się godzić na płacenie łapówek, bo będą żądać coraz więcej.

Kiedy Bertil wyjechał do Kakamega, zasiadłam ponownie z filiżanką rozpuszczalnej kawy i zastanawiałam się nad naszymi problemami - a mieliśmy ich sporo. Kłopoty z wodą należały do tych najpoważniejszych. Obiecано nam, że woda zostanie doprowadzona do granicy naszej działki przed naszym przyjazdem. Oczywiście, jak zwykle, były to tylko obietniczki cacanki. Wodociąg kończył się w Wushiye, kilometr od naszej ziemi.

Aby mieć wodę na potrzeby gospodarstwa, musieliśmy wynajmować do pracy kobiety, które przynosiły ją ze źródła. Z kolei wodę pitną transportowaliśmy samochodem w plastikowych pojemnikach ze szkoły znajdującej się w odległości kilku kilometrów.

Kiedy nasz przedstawiciel w kenijskim parlamencie dowiedział się, że jeszcze nie podciągnięto do nas wodociągu, polecił wodzowi, aby natychmiast rozwiązał problem. Za robociznę i podłączenie mieliśmy nic nie płacić. Niestety, wódz całkowicie zignorował polecenie i byliśmy zmuszeni zapłacić mnóstwo pieniędzy za wykopanie rowu pod wodociąg. Mimo że sownie wynagrodziliśmy robotników, oni tylko udawali, że pracują. Przeżyliśmy prawdziwą gehennę, próbując zdobyć odpowiednie rury od Ministerstwa Wodociągów. Rów był już prawie gotowy, gdy nagle chłop mieszkający przy drodze pokrzyżował nasze plany.

Utrzymywał, że mamy mu zapłacić za grunt położony przy drodze tam, gdzie przebiegał rów. Mimo że prawo kenijskie dotyczące pobocza przeznaczonego na infrastrukturę, czyli tak zwanej „rezerwy drogowej”, stanowiło, że właściciele gruntów muszą udostępnić nieodpłatnie miejsce pod rury wodociągowe, on nie przyjmował tego do wiadomości. Nawet sam wódz Weaky nie mógł przemówić mu do rozumu.

Dziwne, że mieszkańcy wioski nie zdawali sobie sprawy z tego, że z wody będą mogli korzystać wszyscy; na publicznym placu miał także stanąć ogólnodostępny kran. Oni jednak postrzegali to jako prywatną usługę dla Wazungu (białych ludzi) i to my mieliśmy obowiązek za nią zapłacić. Uważaliśmy, że wódz powinien ludziom wyjaśnić tę sprawę, ale zdawało się, że nic go to nie obchodzi.

Bertilowi nie powiodło się w ministerstwie, ale na otarcie łez, kilka dni później, spotkała nas wspaniała niespodzianka. Podłączono nam telefon.

- Och, to są chyba najdroższe łzy, jakie kiedykolwiek w życiu przelałam - stwierdziłam, otarłszy je z policzków. - Nieważne, za to strasznie się cieszę, że wreszcie mogłam usłyszeć ich głosy.

Właśnie skończyłam rozmawiać przez telefon z moimi rodzicami. Nasza konwersacja składała się głównie z niemiłosiernych trzasków, hałasów, kilku oderwanych słów, które dochodziły zresztą z dużym opóźnieniem, i oczywiście z radosnego pochlipywania po obu stronach linii. Ale to nieważne. Usłyszałam głos mamy i taty. Oni także mogli mnie usłyszeć. Wspaniale!

To była naprawdę ogromna radość - mieć wreszcie telefon. Musieliśmy się sporo nabiegać, by go nam podłączono. W Kenii panowała niewyobrażalna korupcja i żaden pracownik firmy telekomunikacyjnej nie pracował w dni robocze, tylko w niedziele; w tym dniu bowiem stawka była podwójna. Wtedy pojawiało się nawet i dziesięciu chętnych, i wszyscy domagali się łapówek. Kiedy nie dostali pieniędzy, odchodzili, nawet nie kiwnąwszy palcem. Taka sytuacja trwała długo.

Nic się nie działo, póki nie zagroziliśmy, że wyjedziemy z Kakamega. Wtedy nasz parlamentarzysta wysłał do Ministra Komunikacji ostrzeżenie. Zagroził, że odpowiedzialni za ten stan rzeczy stracą pracę, jeśli, do wyznaczonego terminu,

nie zajdą jakieś zmiany. Oczywiście, termin ten minął i nic się nie zmieniło, natomiast pracownicy telekomunikacji tłumaczyli się, że nie mieli samochodu i dlatego nie mogli podłączyć telefonu. Tego samego dnia szefa wyrzucono z pracy, a nam wkrótce podłączono aparat. To była nasza pierwsza rozmowa.

Cóż za wspaniałe uczucie mieć telefon! Już nie byliśmy odcięci od świata. Połączenia były wprawdzie nie tylko kiepskiej jakości, ale i kosztowne, co oczywiście skutecznie nas powstrzymywało przed prowadzeniem długich rozmów. Jednak odkąd Bertil podłączył Internet przez modem i mogliśmy korzystać z poczty elektronicznej, częściej komunikowaliśmy się z naszymi krewnymi i przyjaciółmi w Szwecji, i wypisywaliśmy długie epistoły.

Życie w Kenii bezustannie nas czymś zaskakiwało. Miejscowi zostawiali w bramie małe drukowane karteczki - dla nas była to zupełna nowość. Chcieli, żebyśmy napisali na nich nasze nazwiska oraz kwotę, a następnie przestali je innym Europejczykom. Petrus 'wyjaśnił, że są to tak zwane kartki harambee.

Słowo harambee to typowo kenijskie pojęcie oznaczające „połączenie wspólnych wysiłków”, „zgromadzenie” i „pracę zespołową”.

Pierwszy prezydent, Jomo Kenyatta, zaczął używać tego słowa w celu zjednoczenia wszystkich Kenijczyków w pracy na rzecz rozwoju kraju i nowego niezależnego narodu. Zachęcał mieszkańców wiosek do zbierania pieniędzy na różne lokalne projekty. Rząd w niektórych przypadkach również się do nich dokładał. Harambee, czyli zbieranie składek i wspólna praca, jest dzisiaj niezwykle popularna przy realizacji różnych projektów, zarówno dużych, jak i małych, i tak brzmi oficjalne hasło Kenii umieszczone nawet w godle kraju.

Petrus poradził nam, żebyśmy jednak starali się unikać harambee. Powinniśmy ograniczyć udział w harambee do działania na rzecz naszej wioskowej szkoły i różnych projektów w najbliższej okolicy. Stwierdził, że musimy wyznaczyć granicę naszego zaangażowania tak, abyśmy nie byli zmuszani do udziału we wszystkich harambee, były one bowiem bardzo popularne.

Musieliśmy się jeszcze wiele nauczyć na temat naszej nowej ojczyzny i życia na wsi. Zauważyliśmy, że jako Szwedzi mieliśmy fałszywe pojęcie o tym kraju

i byliśmy uprzedzeni. Nie było tak, że od momentu odzyskania niepodległości w 1963 roku kraj pogrążony był w stagnacji; po prostu był na zupełnie innym poziomie rozwoju niż Szwecja.

Podam jeden przykład: kilka dni pełnych cierpienia i kilka nieprzespanych nocy spowodowanych zapaleniem palca u nogi zmusiło mnie do wizyty w szpitalu. W Szwecji wielokrotnie ostrzegano nas, że poziom higieny w kenijskich szpitalach jest bardzo niski, a nawet zalecano nam zakup jednorazowych strzykawek. Oczywiście zabraliśmy je ze sobą i przekazaliśmy pielęgniarkom z prośbą, aby ich użyły. Wyśmiały mnie - już od dawna używały takich strzykawek z polecenia prezydenta Moi. Lekarze i reszta personelu szpitala wydawali się kompetentni, a metody pracy - całkiem nowoczesne; zupełnie inne niż te, które opisywano nam w Szwecji przed wyjazdem. Dostałam antybiotyki, maści i zastrzyk przeciwtężcowy i już po kilku dniach poczułam się lepiej.

Spodziewaliśmy się także, że w okolicy będzie dużo dzikich zwierząt, tymczasem otaczająca nas fauna i flora nie były wyjątkowo dzikie ani niezwykłe. Owszem, widywaliśmy od czasu do czasu karaluchy, stopniowo się do nich przyzwyczailiśmy i w końcu przestaliśmy zwracać na nie uwagę. Nie napotykalismy żadnych węży, a jeśli chodzi o niebezpieczne pająki, to nawet jeśli Bertil na nie natrafił, to chyba takie spotkanie dyskretnie przemilczał. W rzece, jakieś pięć kilometrów od naszej chaty, taplały się hipopotamy, ale nigdy nikt nie widział krokodyla. Ostatniego lamparta zauważono w lesie deszczowym kilka lat temu, a słoni nie widywano w tej części kraju od ponad dwudziestu lat.

Za to ptaki w naszym rejonie mnożyły się na potęgę. Myślałam, że kiedy nareszcie dotrze kontener z naszymi rzeczami, będziemy mieli ogromną frajdę, szperając w atlasach ornitologicznych, a potem podglądając różne gatunki przez lornetkę. W dzień po błękitnym niebie krążyły ptaki przypominające sokoły, w nocy rechotały żaby, przekrzykując się z cykadami. Rechot cichł wczesnym rankiem, zastępowany przez spokojne ptasie trele przechodzące następnie w prawdziwą symfonię. Kiedy zamierał śpiew ptaków, nadchodził czas na pobudkę, choć słońce było już nad wzgórzem po drugiej stronie doliny.

Pewnego wieczoru odwiedził nas wódz. W rękę trzymał worek, z którego dochodziło głośne pobrzękiwanie. Powitaliśmy go z szacunkiem, tak jak nas uczono. Lewą ręką uściśnęłam prawe przedramię wodza, potrząsając jednocześnie jego dłonią. W Kenii to oznaka szacunku.

Wódz poczęstował nas lekko ciepłym piwem. Siedzieliśmy na zewnątrz przy lampach naftowych i miło sobie gawędziliśmy.

Opowiedzieliśmy mu o naszych planach dotyczących stworzenia Riverdale College, centrum komputerowego z internatem, salami lekcyjnymi i nauczycielami ze Szwecji. Ponieważ odległość do najbliższego słupa elektrycznego wynosiła zaledwie 600 metrów, spodziewaliśmy się, że łatwo będzie przeciągnąć prąd - najważniejszy element naszego projektu.

Wódz zasugerował, żebyśmy najpierw zbudowali niewielki hotelik dla gości pragnących zobaczyć las tropikalny. Potem mogliśmy dobudować sale szkolne, na których nam zależało. W ten sposób szybciej zapewnimy sobie dochód. Uznaliśmy, że to całkiem niezły pomysł.

Atmosfera ochłodziła się jednak, kiedy znowu wróciliśmy do sprawy wodociągu. Po prostu nie chciał o tym rozmawiać. Po kilku chwilach niezręcznej ciszy, zasugerował, żebyśmy dali mu pięć tysięcy szylingów. Przysługa za przysługę... Kiedy nie przystaliśmy na jego propozycję i wyjaśniliśmy mu, że nie podoba nam się kenijska korupcja, zrozumiał, że się wygłupił. Pożegnał się chłodno, wstał i skierował ku bramie, znikając w ciemnościach.

Popatrzyliśmy na siebie zaskoczeni. W życiu byśmy nie uwierzyli, że ktoś bez żenady zażąda od nas łapówki. W chacie zadzwonił telefon, więc poleciałam go odebrać. To David, nasz młodszy syn, chciał powiedzieć, że przyjeżdża za tydzień. Chciał zobaczyć, jak sobie radzimy i tęsknił za nami. Rozpłakałam się z radości. Cieszyłam się, że wkrótce go zobaczę.

Rozdział 12.

Wspaniała wizyta.

Po południu odebraliśmy Davida ze stacji autobusowej Akamba w Kakamega. Wieczorem usiedliśmy z Davidem przed naszą chatą w świetle lamp naftowych. Bertil, w górnej części naszej posiadłości, udzielał instrukcji nocnej zmianie askari. Po podróży ze Szwecji David był błądy i zmęczony. Pomyślałam, że pewnie zaśnie jak kamień, choć trochę mu będzie ciasno na wąskim łóżku, które wstawiliśmy do naszej mikroskopijnej kuchni; pewnie nawet się nie obudzi, gdy stada pajaków i karaluchów będą biegały po jego łóżku.

Cieszyłam się, że do nas przyleciał. Był pierwszym członkiem rodziny, który nas odwiedził. Z radości serce waliło mi jak młotem. Nareszcie mieliśmy z kim podzielić się naszymi marzeniami i pomysłami; mieliśmy słuchacza i kogoś, kto spojrzy na nasze plany z innej perspektywy. Jeśli planujemy coś sami, bez dystansu, łatwo jest przeoczyć wiele spraw. David studiował architekturę i jego umiejętności mogły nam pomóc. Ale przede wszystkim był to nasz syn. Syn, który potrzebował odpoczynku, ciepła i miłości, a my chcieliśmy mu to zapewnić podczas tego krótkiego pobytu.

- Piękne są te robaczki świętojańskie - powiedział po długim, pełnym zadumy milczeniu. - Świetliki wyglądają jak tysiące migocących choinkowych lampek.

- Tak, rzeczywiście, pięknie tu - przytaknęłam. - Zauważyłeś, jak bardzo różni się afrykańskie niebo od szwedzkiego?

- Tak - odparł. - Nigdy wcześniej nie widziałem tak rozgwieżdżonego nieba. Widać miliardy gwiazd. Prawdę mówiąc, nie umiem rozpoznać niektórych konstelacji.

Dosiadł się do nas Bertil. Pasjonował się astronomią i od razu zaproponował:

- Jak tylko przywiozą nasz kontener, wyjmiemy teleskop. Wtedy będziesz mógł uważnie obejrzyć zarówno gwiazdy, jak i planety. A swoją drogą, zwróciłeś uwagę na to jak wygląda tu księżyc?

David znowu spojrzął w niebo i się roześmiał.

- To dziwne, leży. Bardzo dziwne. Ale koniec końców, jesteśmy prawie na południowej półkuli, prawda? Więc może nie ma w tym nic dziwnego.

- Rzeczywiście - odparł Bertil - jesteśmy oddaleni zaledwie o dwadzieścia dwa kilometry na północ od równika. Przechodzi przez drogę po tej stronie Kisumu. Jeżeli w czasie twojego pobytu uda nam się wyskoczyć do Kisumu, to będziesz mógł wysiąść z samochodu i stanąć obiema nogami na równiku.

Po chwili David zapytał:

- A kiedy ma dotrzeć kontener?

Bertil opowiedział mu o naszych kłopotach z kontenerem: najpierw utknął w Mombasie, po długim czasie dotarł wreszcie do Nairobi, ale tam zatrzymano go u kenijskiego spedytora, ponieważ szwedzki przewoźnik jeszcze mu nie zapłacił. Dźwig, który miał zdjąć kontener z ciężarówki - bez konieczności wcześniejszego rozładowywania - był jedynym tego typu sprzętem w całym regionie i na razie wysłano go do Ugandy. Musieliśmy przechować gdzieś zawartość kontenera na czas, gdy pusty pojemnik będzie ściągany z ciężarówki. Trzeba było zatem szybko zbudować długi budynek z pomieszczeniami dla pracowników i magazynem na nasze rzeczy.

- Nie martwcie się o to. Jeżeli przywiozą go w trakcie mojego pobytu, sprawa załatwiona. Jestem bardzo silny, damy radę - David oświadczył pewnym siebie głosem.

Opowiedzieliśmy Davidowi o długich karawanach wiejskich kobiet wędrujących od źródła do naszej posiadłości z baniakami pełnymi wody na głowach. Nosiły także błoto i krowie łajno, potem mieszały je, i ten lepki szlam wykorzystywano zamiast cementu do budowania ścian.

W górnej części posiadłości wzniesiono już dla pracowników szereg pomieszczeń z dachem z blachy falistej. Mieściły się tam cztery niewielkie

mieszkania z dwiema obszernymi izbami przedzielonymi prawie dwumetrową ścianą. Pięknie rzeźbione drzwi wejściowe wykonano z drzewa eukaliptusowego. Meble w lokalach dla pracowników miały być proste i funkcjonalne: łóżko, krzesło i stół. Zakładaliśmy, że większość robotników pochodzić będzie z naszej wioski, będą zatem mieszkali u siebie. Jedno z mieszkań miało być wykorzystywane w ciągu dnia jako pokój socjalny. Obok postawiliśmy jeszcze jeden mały budynek z toaletą i łazienką dla pracowników.

W dolinie przy strumieniu kumkały zaby, a my z synem omawialiśmy plany na najbliższych kilka dni. David zaraz zaprzyjaźnił się z naszymi psami, bardzo zresztą pomogła mu w tym przywieziona specjalnie dla nich ze Szwecji pasztetówka z wątróbek, która bardzo im zasmakowała. W rezultacie psy bezustannie włożyły mu na kolana. Mała Merry miała jeszcze mleczne zęby i całymi godzinami skubała Davida i go podgryzała - miał pokierszowane dłonie.

W końcu David zasnął w pół słowa; to był dla nas sygnał, że najwyższy czas iść do łóżka. Nieważne, czy była ósma wieczorem, czy minęła już północ. Tutaj nie potrzebowaliśmy zegarków.

Następnego ranka zostaliśmy gwałtownie wyrwani ze snu głośnym okrzykiem:

- Wstawajcie, śpiochy! Pobudka, śniadanie gotowe. Mamy mnóstwo pracy.

Głos Davida dochodził zza okna. Niemal wyfrunęłam z łóżka i skutecznie zaplątałam siebie i Bertila w moskitierę. Rufus i Merry skamlały z radości. Facet od pasztetówki już nie spał! Jakby bomba trafiła w sam środek naszej afrykańskiej chaty; mój Boże, Davida rozsadzała energia. W kompletnych ciemnościach przesuwiałam się w półśnie w stronę drzwi.

Na zewnątrz, w zacienionym miejscu, czekało już na nas śniadanie. Słońce wznosiło się nad drzewami, a ptaki rozpoczynały radosny poranny koncert. Czule się uściskaliśmy, a kawa i kanapki dodały Bertilowi i mnie wigoru.

Po śniadaniu omówiliśmy nasze plany budowlane. David sporządzał notatki, zadawał pytania i zgłaszał propozycje. Zupełnie jak rasowy architekt. Nie

możliśmy się doczekać wieczoru, kiedy po wstępnej wizji lokalnej, miał przedstawić swoje pierwsze sugestie i wnioski.

Resztę przedpołudnia spędziliśmy w przyjemnym chłodzie lasu deszczowego, gdzie Ben, jeden z naszych przyjaciół przewodników, prowadził nas po tropach, snując przy tym ciekawe opowieści o leśnych ptakach, roślinach, wężach i małpach. Najbardziej jednak zafascynowało mnie wykorzystywanie drzew i krzewów w celach leczniczych. Oboje z Bertilem wielokrotnie byliśmy już w tym lesie i słyszeliśmy te historie, ale wciąż tak samo nas frapowały.

Przed kolacją David odszedł na chwilę ze szkicownikiem w rękę. Po półgodzinie był już gotów przedstawić nam swoje sugestie. Przemieszczaaliśmy się po naszej posiadłości wyposażeni w zastrzone patyki i kłębek sznurka. Zaznaczaliśmy kolejne miejsca, on natomiast udzielał nam niezbędnych wyjaśnień.

- Tutaj - wskazał David - powinniście postawić budynek mieszkalny. Tak, dokładnie, musi stać tu, powyżej żywopłotu z bugenwilli. Dzięki temu z werandy będziecie mieli wspaniały widok na dolinę. Tam, gdzie według was ma stać budynek, widać tylko drugą stronę doliny.

Wyjaśniał nam swoje szkice, a my rozglądaliśmy się w koło. Jego koncepcja była wręcz genialna.

-Jeśli akceptujecie moje pomysły, muszę porozmawiać z cieślą i dać mu instrukcje.

Kiedy David wyznaczył miejsce pod główny budynek, pierwsze trzy chaty dla gości tudzież pod oddzielny pawilon z dwoma prysznicami i ubikacjami, mglisty dotąd obraz przyszłego hotelu Riverdale Gardens zaczął nabierać realnych kształtów. Wyznaczyliśmy także przestrzeń na kontener oraz staraliśmy się umiejscowić przyszłe sale lekcyjne i sypialnie naszej szkółki informatycznej, którą tak bardzo chcieliśmy otworzyć. Byliśmy szczęśliwi i nagle przestaliśmy się niepokoić rozpoczęciem budowy.

Rozdział 13.

Przybywa nasz kontener.

Kilka dni później David miał prawdziwe powody, żeby pożałować swojego komentarza, że rozładunek kontenera to łatwizna. Ledwie żywy padł na jedno z krzeseł pod daszkiem; my już tam odpoczywaliśmy, narzekając:

- Co za dzień! Jesteśmy wykończeni.

Posesję właśnie opuszczali ostatni pracownicy z dziennej zmiany, każdy z napojem w rękę i zapłatą za dzień pracy. Przyniosłam dla nas ciepławe piwo. Lodówka była tak mała, że było w niej miejsce tylko na żywność i w rezultacie musieliśmy pić piwo prosto ze skrzynki.

W górnej części posiadłości widać było zarys jasnyniebieskiego potwora. To nasz kontener. Właśnie tego dnia go przywieźli. Cóż za wspaniałe uczucie mieć więcej ubrań, meble, zdjęcia, leki, faks i całą masę niezbędnych drobiazgów. Kiedy wykończą już pierwszą chatę dla gości, wprowadzimy się tam, rozstawimy wygodne łóżka, nasze ulubione meble i bibeloty ze Szwecji. Drżałam z emocji. Wreszcie mieliśmy cały nasz dobytek. Przywieźliśmy także mnóstwo rzeczy dla najuboższych mieszkańców wioski, bo tuż przed wyjazdem zorganizowaliśmy wśród sąsiadów zbiórkę, prosząc, by oddali nam wszystkie niepotrzebne ubranka dziecięce. Owinęliśmy nimi zamiast papierem niektóre nasze rzeczy, szczególnie te delikatne i kruche. W ten sposób nasz kontener był wyładowany po brzegi.

Cieszyłam się, że wreszcie otoczę się obrazami i innymi pięknymi przedmiotami, których teraz gorączkowo poszukiwaliśmy. Wiedziałam, że czeka nas ciężka harówka. Dopiero teraz, po całym dniu oglądania ludzi dźwigających paczki i meble, zorientowaliśmy się, jaka jeszcze praca nas czeka przy rozpakowywaniu i rozkładaniu naszego dobytku. Postanowiliśmy jednak nie przejmować się tym na zapas i zamiast tego szczęśliwi omawialiśmy mijający dzień.

A oto przebieg wydarzeń. Wczesnym przedpołudniem przywieziono nasz kontener; niedługo potem pojawili się mieszkańcy. Na całe szczęście pora

deszczowa się spóźniała, bo w przeciwnym razie ogromna ciężarówka mogłaby ześlizgnąć się z wąskiej, wiejskiej drogi wprost na plantację herbaty.

Gapiów - tych nigdy nam nie brakowało - uпрzejmie, lecz stanowczo, wyprosilimy z naszego terenu, ale natychmiast utworzyli potrójny kordon po drugiej stronie ogrodzenia ustawionego w górnej części posesji.

Bertil zajął się skutecznie całą logistyką: zorganizował sprawny rozładunek ponad trzystu kartonów i mnóstwa mebli. Trzeba było opróżnić kontener, a potem zdjąć go z ciężarówki, a zatem te wszystkie manatki należało przenieść do dwóch mieszkań pracowniczych. Na szczęście najęliśmy wystarczająco dużą ekipę ludzi gotowych dźwigać nasze rzeczy.

Zajęłam strategiczną pozycję. Każdy musiał przejść koło mnie w drodze do budynku mieszkalnego, a wtedy odhaczałam numery paczek i mebli z naszej listy. Musiałam jednocześnie kontrolować, jak przenoszą nasze rzeczy, ponieważ mieliśmy mnóstwo kruchych i łatwo tłukących się drobiazgów. Bertil stał na kontenerze i dyrygował ludźmi, David natomiast zajął stanowisko w budynku i pokazywał, gdzie kłaść rzeczy.

Po wielogodzinnej harówce i kilku przerwach na picie kontener był wreszcie pusty. Kierowcy ciężarówki chcieli z nim odjechać.

- Nie - sprzeciwił się Bertil. - Kontener jest nasz i trzeba go zdjąć z platformy.

W końcu musiał odszukać nasze dokumenty i udowodnić, że kupiliśmy kontener w Szwecji. Szofer wyglądał na bardzo zawiedzionego i próbował nas przekonać, żebyśmy mu go sprzedali, ale stanowczo odmówiliśmy.

Teraz zabraliśmy się za niemal niewykonalne zadanie. Próbowaliśmy zdjąć kontener tak, aby wylądował w odpowiednim miejscu na drewnianej ramie zbudowanej przez naszego cieślę Daniela. Za pomocą żelaznych dźwignów tworzących prymitywną dźwignię, podnośnika i land rovera staraliśmy się przesunąć, przeciągnąć i podnieść metalowego potwora, ale trudno go było w ogóle ruszyć. Kiedy opasaliśmy łańcuchami i linami nasze najpotężniejsze drzewa eukaliptusowe, w końcu udało się jakoś ściągnąć kontener na dół. Oczywiście

czekało nas jeszcze mnóstwo pracy i kombinowania, zanim skrzynia wreszcie wylądowała na wyznaczonym miejscu.

I znowu zaczęła się pielgrzymka ludzi dźwigających paczki i meble, tym razem jednak w przeciwną stronę. Wszystkie łatwo tłukące się i cenne rzeczy chcieliśmy zamknąć w kontenerze przed zachodem słońca.

Kilka godzin później mogliśmy w końcu powiedzieć, że wykonaliśmy zadanie. Pochwaliliśmy naszych dzielnych tragarzy za ich wspaniałą pracę i obiecaliśmy podwójną stawkę. Byli oczywiście zachwyceni.

A teraz czekał nas zasłużony wypoczynek przed naszą afrykańską chatą, z ciepłym piwem w ręku.

Rozdział 14.

Wioska poszukiwaczy złota.

Kilka dni upłynęło nam na przeszukiwaniu kontenera. Bertil z Davidem znaleźli lampy ogrodowe i zainstalowali je wokół naszej banda. W czarne jak smoła wieczory wyglądało to bardzo przytulnie. Byliśmy jedynymi mieszkańcami naszej niewielkiej doliny, którzy posiadali światło, tak więc nasi sąsiedzi po drugiej stronie także mogli się nim cieszyć.

- Zabierzmy ze sobą lunch i pojedźmy jutro na cały dzień do Sotanini na płukanie złota - zaproponowałam pewnego popołudnia.

- Pora na relaks - dodałam.

Po kolacji pośpieszyliśmy z Bertilem do kontenera, żeby zabrać niezbędny w tym celu sprzęt. Następnie usiedliśmy na dworze z filiżanką herbaty w dłoni, by opowiedzieć Davidowi o Sotanini - wiosce, co prawda małej, ale dla nas bardzo ważnej. Kiedy życie w naszej wiosce stawało się zbyt ciężkie, wymykaliśmy się tam niejednokrotnie, żeby się odprężyć.

Tyle mieliśmy do powiedzenia, że wchodziliśmy sobie w słowo.

- Kiedy w maju 1996 roku powróciliśmy do Kenii i trafiliśmy do dystryktu Kakamega w poszukiwaniu wiosek, gdzie wyplukiwano złoto, pewnego dnia znaleźliśmy się na drodze prowadzącej w naszym przekonaniu, tylko do szkoły. Była akurat przerwa, a my zobaczyliśmy wszędzie barwy szwedzkiej flagi. Były to szkolne mundurki, w przepisowym niebieskim i żółtym kolorze. Kiedy zapytaliśmy o drogę, jeden z nauczycieli skierował nas do wioski, o której wiedzieliśmy, że leży niedaleko. Mężczyzna wydawał się bardzo miły i poprosił, żebyśmy w drodze powrotnej zatrzymali się w szkole.

Wąska droga, niemal ścieżka, której wcześniej nie zauważyliśmy, poprowadziła nas nachylnym, kamienistym grzbietem za szkołę. Liście i gałęzie uderzały o boki naszego volkswa'gena vana i ciężko było jechać. W pewnym momencie musiałam wysiąść z samochodu, żeby przegonić pasącą się na środku drogi kozę. Jechaliśmy bardzo wolno i wkrótce gromadka wesołych dzieci biegła za

naszym pojazdem. Śmiały się radośnie, i żadne z nich nawet nie zawołało: Daj mi pieniądze! Były tylko ciekawskie i pewnie nienawykłe do widoku białych ludzi. Naprawdę mieliśmy wrażenie, że to pierwszy jadący tą drogą samochód.

Posuwaliśmy się w ślimaczym tempie, chłonąc jednocześnie piękno otaczających nas gór i wijącą się w dolinie malowniczą rzekę Yala. W końcu dotarliśmy do kilku chat. Zaparkowaliśmy samochód, zabraliśmy niebieskie, plastikowe przetaki do złota i ruszyliśmy w stronę tłumu ludzi wyraźnie pochłoniętych jakimś zajęciem. Usłyszeliśmy śmiech i radosną paplaninę. Zastanawialiśmy się, co się właściwie dzieje.

Z trudem przedzieraliśmy się przez zachwycające ciemnofioletowe bugenwille, i raptem dotarliśmy do odkrywkowej kopalni złota. Pracowało tam mrowie mężczyzn i kobiet. Mężczyźni rozdrabniali i kopali, a kobiety wypełniały kosze rozłupanymi kamieniami i żwirem. Ładowały kosze na głowy i majestatycznym krokiem zmierzały głębokim żlebem ku rzece.

Jeden z miejscowych podszedł do nas, i podając nam rękę na powitanie, powiedział przyjaznym tonem:

- Merembe, mam na imię Paul.

- Merembe mono - odpowiedzieliśmy tak, jak nas uczono. Następnie wyjaśniliśmy Paulowi, że szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy razem z mieszkańcami wylukiwać złoto. Paul miał dość ograniczony zasób angielskich słów i po krótkiej chwili zawołał pracującego trochę dalej kolegę:

- Kuj a hapa! Chodź tu!

Mówiący całkiem niezłe po angielsku mężczyzna powiedział, że ma na imię Glenn.

Wyjaśniał nam bardzo podekscytowany, że trafiliśmy do właściwej wsi. Tutaj w Sotanini wszyscy mieszkańcy żyją z poszukiwania złota. Naprawdę się ucieszą, jeśli będą mogli wylukiwać złoto razem z Wazungu.

Przede wszystkim jednak chciał pokazać nam wieś i mieszkańców pracujących przy poszukiwaniu złota. Pogrzebał wśród okruchów skalnych i po chwili podniósł dwa kamienie. Obejrzelśmy je uważnie. To niewątpliwie było złoto:

tu i ówdzie na obu kamieniach widniały żółte kropki. Glenn pokazał nam miejsce odkrywkowe, gdzie ostatnio znaleziono żyłę złota. Podczas przechadzki opowiedział nam, że w 1930 roku czynna była jeszcze angielska kopalnia złotego kruszcu, która znajdowała się na wzgórzu obok szkoły. Eksploatacja była tak intensywna, że kompania wydobywcza zbudowała na wzgórzu wąskotorową linię kolejową. Powiedział nam również, że złoto w wiosce Sotanini odkryto ponownie pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, kiedy miejscowy rolnik podczas orki wypatrzył w ziemi coś żółtego.

Po chwili szliśmy w dół przez wioskę w kierunku rzeki Yala. Przy każdej chacie matki, dziadkowie, babcie i dzieci rozbijali i kruszyli kamienie. Ponieważ niektóre chaty miały niewielki teren wokół siebie, członkowie rodziny siedzieli czasem na wykopanych obok banda grobach przodków. Wszyscy ciężko pracowali, a kolejka kobiet wiła się w dół ku rzece. Zostawiały ładunek kamieni przy chatach, a zabierały kosze pełne żwiru i kamiennego pyłu.

Szliśmy dalej powoli stromą ścieżką razem z Glennem i Paulem. Schodziliśmy bardzo ostrożnie, bo łatwo było się poślizgnąć i zjechać w dół po zboczach. Gdy na drżących ze zmęczenia nogach dotarliśmy w końcu nad brzeg rzeki, czekał nas wspaniały widok.

Wśród zielonych, liściastych krzewów nad wodą mrowili się ludzie. Część z nich pracowała na brzegu, przesiewając złotawy miął przez skorodowane płuczki, ale większość z nich, głównie kobiety i dzieci, tańczyła w rzece. Tak, przypominało to taniec. Kiedy płuczka była już pusta, zawartość wyrzucano razem z lnianą szmatką leżącą na dnie na karaja (misę do płukania). Następnie karaja stawiano na dnie rzeki, a kobieta lub dziecko wchodziły do niej, i drepcząc, wykonywały rodzaj tańca. Dzięki temu każda drobina złota oddzielała się od piasku i szmatki, i opadała na dno misy.

Widok był sielankowy, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Szybko odnaleźliśmy się w sytuacji. Pożyczyliśmy trochę złotego piasku od jednej rodziny i zaczęliśmy wypłukiwać w naszym korycie. Ludzie zebrali się wokół i przyglądali ze zdumieniem. Zasada postępowania z naszym korytem była taka sama jak ich ale

nasze było zielone i wykonane z plastiku. Po pewnym czasie opróżniliśmy koryto i ostateczne płukanie wykonaliśmy w niebieskiej płuczce. Wszyscy byli ewidentnie podekscytowani. Wielu ludzi rzuciło się na pomoc, bo uważali, że robimy to źle. Ku uciesze wioskowej gawiedzi udało nam się znaleźć kilka grudek złota i oddaliśmy je rodzinie, która pożyczyła nam pył.

Nasz sprzęt przekazywano z rąk do rąk. Każdy chciał go wypróbować. Wszyscy wspaniale się bawili, a my cieszyliśmy się życiem i towarzystwem nadzwyczaj gościnnych ludzi.

Po kilku godzinach musieliśmy wrócić do cywilizacji. Kiedy przejeżdżaliśmy obok „szwedzkiej” szkoły, zatrzymaliśmy się na chwilę. W ciasnym, obskurnym pomieszczeniu zastaliśmy kierownika. Powiedzieliśmy mu, jak bardzo byliśmy zdziwieni, widząc szwedzkie barwy na szkolnych mundurkach uczniów. Opowiadał nam o szkole, o tragicznej sytuacji finansowej i bardziej niż skromnych warunkach do nauki. W budynku były tylko dwie sale lekcyjne; reszta uczniów miała lekcje pod drzewem. W porze suchej dało się jeszcze jakoś wytrzymać, natomiast w porze deszczowej sytuacja stawała się dramatyczna.

Wyniki szkoły w rocznych testach krajowych należały do najgorszych w Kenii. Kierownik tłumaczył to brakiem podręczników. W czasie zajęć nauczyciel zapisywał treść lekcji na tablicy, a uczniowie przepisywali do zeszytów. Brakowało czasu, żeby przerobić nowy materiał, nie wspominając już o powtórzeniu wcześniejszego czy wyjaśnieniu wątpliwości.

Szkoła nie miała bieżącej wody. Ale najgorsze, że dużo dzieci w ogóle nie mogło do niej chodzić, bo nie miało pieniędzy na obowiązkowy mundur.

Po długiej rozmowie z sympatycznym kierownikiem musieliśmy się pożegnać, ale, obiecaliśmy, bez żadnych gwarancji, że postaramy się znaleźć w Szwecji jakieś finansowe wsparcie dla szkoły.

Po powrocie do Szwecji rozmawialiśmy z naszymi przyjaciółmi o potrzebach wiejskiej szkoły w Sotanini. Jeden z nich, który pracował w salonie mody, zaproponował zorganizowanie zbiórki pieniędzy.

Salon zadeklarował przekazanie na naszą kenijską szkołę całej kwoty, jaką klienci zapłacą za dokonanie poprawek krawieckich. Oczywiście byliśmy tym zachwyceni, a potem zupełnie oszołomiły nas rezultaty zbiórki: równowartość 80 000 szylingów kenijskich.

Natychmiast napisaliśmy pismo do szkoły, prosząc o listę najpotrzebniejszych podręczników. Przesłali ją nam i w sierpniu 1996 roku przywieźliśmy do Kenii wypełnione książkami pudła. Dzień przekazania darów zmienił się w radosną uroczystość dla całej okolicy.

Byliśmy zachwyceni, że nasza darowizna zapoczątkowała podobne inicjatywy niewymagające już naszego zaangażowania. Całe rodziny zgłaszały się, by wybudować sale lekcyjne, wykonać stoły i ławki. Zorganizowano akcję harambi, aby zdobyć fundusze na podłączenie wody. Powstało także stowarzyszenie rodziców, którzy wspólnie z nauczycielami prowadzili wszystkie prace. Najlepszą dla nas nagrodą była wiadomość, że pół roku później nasza szkoła zajęła trzecie miejsce pod względem rocznych wyników testów w całym dystrykcie. Dzięki temu staliśmy się mile widzianymi i pożądanymi gośćmi zarówno w szkole, jak i w wiosce poszukiwaczy złota.

Nadszedł czas, aby przedstawić Davida naszym przyjaciółom w Sotanini, a jednocześnie przeznaczyć jeden dzień na odpoczynek. Pogoda była piękna, lunch znajdował się już w naszych plecakach. Zapakowaliśmy sprzęt do samochodu: płuczki, korytka, pompy, sprzęt do wykrywania złota, przetaki i niewielkie buteleczki na złoto. Bertil, w australijskim kapeluszu, spod którego wymykały się ciemne kręcone włosy, wyglądał jak rasowy poszukiwacz złota z Sofali w Australii. Byliśmy w wyśmienitych humorach, kiedy jechaliśmy naszym starym, z lekka zdezelowanym land roverem na powitanie dnia niosącego obietnicę podniecających przygód. Może znajdziemy naprawdę okazały samorodek złota?

Przed szkołą w Sotanini podbiegł do nas chłopiec i powiedział, że kierownik chce z nami rozmawiać. Powitano nas naprawdę gorąco.

Kierownik oświadczył, że właśnie zamierzał wysłać posłańca z zaproszeniem na szkolne przyjęcie. Chciał zorganizować uroczystość, aby oficjalnie

podziękować nam za dary. Oczywiście wylewnie podziękowaliśmy za zaproszenie i obiecaliśmy, że stawimy się we troje.

Jak zwykle w wiosce powitali nas wszyscy nasi przyjaciele. Przeprowadzili dużo dzieci, które niemal walczyły o zaszczyt dźwigania naszego ciężkiego sprzętu. Zanim zeszlśmy po stoku w dół do rzeki, gdzie postanowiliśmy spędzić cały dzień, poprosiliśmy Glenna, żeby oprowadził Davida. Trasa jak zwykle wiodła przez kopalnię odkrywkową, gdzie kopacze, jak zwykle zresztą, chcieli przetestować naszą „dzidę” do wykrywania złota.

Natychmiast nachyliłam się nad ziemią i przez szkło powiększające przyglądałam się uważnie żwirowi i kamieniom, wypatrując złotych, świecących punkcików. Dzięki swojej bezpośredniości David szybko zjednał sobie mnóstwo przyjaciół zarówno wśród dorosłych, jak i dzieci; pozwolono mu nawet kruszyć żwir na pył między dwoma kamieniami. Przy rzece, jak zwykle pełnej radosnej wrzawy, szybko stał się wdzięcznym uczniem kilku młodych dziewcząt tańczących w wodzie w karaja.

Zastanawiałam się, czy David także ulegnie gorączce złota? Bawiła mnie już sama myśl, że może do nas dołączyć.

Zeszliśmy na skały na brzegu rzeki, żeby przetestować naszą pompę. Odkryliśmy tam kilka wypełnionych wodą zatoczek, „kieszeni skalnych” między klifami, blisko zakrętu rzeki. W Szwecji nazywane są one „kociołkami olbrzymów”.

- Tutaj wypróbujemy naszą pompę - stwierdził Bertil. - W takich zakolach jest najwięcej złota; to najlepsze miejsca dla poszukiwaczy. W czasie pory deszczowej, kiedy poziom wody jest wysoki, tutaj niewątpliwie zgromadziło się złoto. Widzisz zakręt rzeki? To jest właśnie to.

Zabraliśmy się do dzieła. Pompa wchłaniała zarówno drobny, miąłki piasek, jak i sporo czarnego piachu. Bertil przesypywał to do płuczki na ostatnie płukanie. Po chwili zobaczyliśmy drobiny skrzące się żółtawo i zmieniające się w złoty strumyczek. Nie było dużych grudek, ale to było złoto. Bertil zawołał Glenna, pokazał mu nasze znaleziska i wyjaśnił, że powinni szukać podobnych miejsc, zwłaszcza za zakrętem rzeki.

Z całym naszym ekwipunkiem przenieśliśmy się trochę dalej na płycznę, gdzie chcieliśmy wypróbować naszą wyplukiwarkę. Pracowała tam cała ekipa, a starszy z mężczyzn nurkował pośrodku rzeki i wyławiał z dna piasek. Zademonstrowaliśmy mu nasz sprzęt i postanowiliśmy pracować razem.

Bertil zrobił sobie przerwę i przyszedł korytem rzeki do brzegu, gdzie siedziałam i płukałam żwir z tłumem gapiów za plecami.

Nagle wskazał na brzeg rzeki i wykrzyknął:

- Popatrz! Tam jest!

Schylił się, podniósł biały kamień kwarcowy i podał mi go. Tak, wyraźnie dostrzegłam drobinki złota. Bertil zauważył kamień z daleka właśnie dzięki promieniom słońca odbijającym się w złotych punkcikach.

Po wielu godzinach wyplukiwania nadszedł czas, żeby z powrotem wdrapać się na stromy stok. Dobrze mieć przyjaciół chętnych do przeniesienia naszych bagaży.

Kilka dni później wystroiliśmy się w nasze najlepsze, odświętne ubrania. Jeszcze nie udało nam się zlokalizować wszystkich rzeczy, a zatem nasza garderoba była dość ograniczona. Następnie wyruszyliśmy na przyjęcie w szkole podstawowej w Sotanini. Chyba cała wieś wyległa nam na spotkanie. Wszyscy chcieli uściskać nasze dłonie. Mieszkańcy przybyli w swoich najlepszych ubraniach, dzieci wyglądały uroczo - dziewczynki w króciutkich, falujących spódniczkach, a chłopcy w czystych szortach i wyprasowanych koszulach. David natychmiast zyskał sobie tłum wielbicielek - stał otoczony wianuszkiem rozchichotanych dziewczynek i był naprawdę tym wzruszony.

Czułam się dość dziwnie, zajmując honorowe miejsce na trybunie wzniesionej specjalnie na tę okoliczność, ale byłam bardzo wdzięczna za oceniający ją daszek. Z nieba lał się żar.

Po mowie powitalnej wygłoszonej przez kierownika odbył się pokaz tańców wykonany przez dziewczęta przebrane w afrykańskie spódniczki i białe Tshirty. Tańce i pieśni stanowiły ilustrację lokalnych legend. Po występie zaproszono nas do nowo dobudowanego pokoju nauczycielskiego. Poczęstunek był znakomity.

Kierownik wyjaśnił, że prawie wszyscy rodzice przynieśli jedzenie albo pomagali przy organizowaniu przyjęcia, jak przedtem, kiedy budowali dodatkowe sale lekcyjne i zbijali ławki. Kiedy podziękowali nam za pomoc, wygłosiłam krótką mowę, przekazałam pozdrowienia od naszego szwedzkiego sklepu, który zebrał pieniądze, oraz wręczyłam folder od pracowników ze zdjęciami i tekstem. Wszyscy przyjęli to oklaskami i okrzykami radości.

Zanim opuściliśmy szkołę po miło spędzonym popołudniu, poprosiliśmy, żeby kierownik sam wybrał pięć sierot, które nie miały pieniędzy na mundurek i na pokrycie kosztów nauki. Obiecaliśmy opłacić im chesne i kupić mundurki szkolne. Skorzystaliśmy także z okazji i wręczyliśmy uczniom bloki rysunkowe. Poprosiliśmy, żeby coś narysowali, a potem obejrzeliliśmy wszystkie prace i wybraliśmy najlepsze. W nagrodę za najładniejsze rysunki dzieci otrzymały materiały plastyczne, żeby mogły poważnie rozwijać swoje zdolności. Mieszkańcy byli zachwyceni.

Rozdział 15.

Wybór wodza.

- Nareszcie w domu. To niewiarygodne, jak strasznie chce mi się pić po wyprawie na zakupy w Kakamega - powiedział Bertil następnego dnia, wjeżdżając przez bramę.

David wyglądał jakby wyszedł z kąpieli.

- Zimne piwo to jest to - stwierdził.

- Witajcie - Johannes powitał nas swoją słabą angielszczyzną. Jego twarz promieniała uśmiechem.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Co robieś, kiedy byliśmy w mieście?

- Sprzątałem i zmywałem.

Gestami i mimiką pokazał nam, co robił. Betty akurat miała wolne, więc Johannes wykonywał niektóre z jej obowiązków domowych. Rzeczywiście, wokół banda było czysto i schludnie. W zlewie suszyły się talerze z poprzedniego dnia, w tym również nasza wysłużona, żeliwna patelnia.

- Johannesie, umyłś patelnię? - spytałam zaniepokojona.

- Ależ tak. Była brudna, zupełnie czarna.

Wskazał na duże, świeżo kupione opakowanie zmywaków ze stalowej wełny; zużył wszystkie, co do jednego. Następnie pokazał nam naszą starą, żeliwną patelnię, która należała wcześniej do dziadka Bertila. Można się było w niej niemal przejrzeć. Mnóstwo energii musiał włożyć w to, żeby aż tak błyszcząca. Była pewnie taka czysta, jak w dniu kupna na początku XX wieku.

Widać było, że miał naprawdę dobre intencje i robił, co mógł, żeby tylko nas zadowolić. Nie mogliśmy mu robić wyrzutów. Potem wyjaśniliśmy mu ostrożnie, że patelnia musi być czarna, bo inaczej mięso będzie przywierać podczas smażenia. Poprosiliśmy go grzecznie, żeby w przyszłości nie mył patelni.

Zdaliśmy sobie sprawę, że czasami zbyt wiele kwestii uznawaliśmy za oczywiste. Niewiele osób w Kenii posiadało żeliwne patelnie, więc ludzie zwykle nie wiedzieli, co z nimi robić. Byliśmy przygnębieni, ale nie mieliśmy innego

wyjścia, jak tylko zacząć ponownie prawidłowo jej używać. Minie pewnie kolejnych dziesięć, a może dwadzieścia lat, zanim wróci do normy.

Pod koniec tygodnia odwiedzili nas przyjaciele Timothy'ego. Wyjaśnili nam, że jego ojciec przez wiele lat był naczelnikiem wioski Khasili, a obecnie ich wioska nie miała wodza i ludzie, którzy uważali Timothyego za dobrego, prawego i mądrego człowieka, chcieli go wybrać. Zorganizowano nawet harambi i zebrano całkiem pokaźną kwotę, ale ciągle jeszcze brakowało sporo pieniędzy, aby Timothy mógł wydać prawdziwą ucztę. Skończyliśmy rozmowę, obiecując, że zapłacimy za połowę wołu na przyjęcie i że pożyczymy mu pieniądze na drugą połowę.

Nadszedł dzień wyboru wodza plemienia. Zaproszono całą naszą trójkę, ale David miał kłopoty z żołądkiem i wołał zostać w domu.

Uroczystości zaczęły się od oficjalnego zgromadzenia, które odbyło się niedaleko przyszłego biura wodza. Mieszkańcy w odświętnych szatach, wśród nich cała śmietanka wioski, zasiedli w cieniu rozpiętych spadochronów. I ani śladu Timothyego. Do ostatniej chwili trzymano go w ukryciu, żeby kontrkandydat, który także chciał zostać wodzem, nie zabił go tuż przed elekcją. Nam przekazano tę wiadomość tak, jakby to było normalne. Poczuliśmy się jednak przybici i mieliśmy nieprzyjemne wrażenie, że nie obejdzie się bez przemocy. Kiedy byliśmy w Szwecji, nigdy nie podejrzewaliśmy, że bezprawie może być tak powszechne na wiejskich obszarach Kenii, a teraz niemal osobiście zetknęliśmy się z próbą przemocy.

W końcu Timothy przyjechał samochodem. Wygłoszono uroczyste mowy przeplatane śpiewami. Potem goście się rozeszli, mieliśmy się bowiem spotkać ponownie u Timothyego, by kontynuować uroczystość. Jim, szef naszych askari, niósł Timothyego na ramionach przez całe dziesięć kilometrów aż do jego domu. Po drodze coraz więcej ludzi przyłączało się do orszaku, śpiewając, tańcząc i grając na instrumentach. Zatrzymywali się także przy każdym targowisku i tam wszyscy oddawali mu honory. Aż miło było popatrzeć, jak bardzo był lubiany.

Gdy rozradowany orszak z nowo wybranym wodzem przybył do domu, powitali go zebrani goście. Na ucztę zeszło się prawie dwa tysiące osób. Timothy i jego żona zajęli honorowe miejsce pod baldachimem, wtedy zaczęły się prawdziwe

uroczystości. Oczywiście znowu wygłaszano mowy i wręczano prezenty. Powoli przystrajano Timothyego w tradycyjne szaty wodza. W końcu zasiadł na honorowym miejscu; wyglądał jak wódz z afrykańskiej legendy - przyodziany w skórę lamparta i w czapie z małpich skór na głowie.

W porównaniu z uroczystością wyboru wodza gala oskarowa wypada błado. Wszystkich gości zaproszono na poczęstunek i hojną popitkę. W oddzielnym pokoju w domu matki Timothyego jedli i pili inni wodzowie plemienia z tego obszaru. Kiedy patrzyłam, jak łąpczywie chleją piwo i samogon, miałam wrażenie, że uczestniczą w jakichś zawodach. Timothy był abstynentem, ale plemiennej wierchuszce musiał dostarczyć wszelkie możliwe trunki.

Pewnego poranka, tuż przed powrotem do Szwecji, David wybrał się razem z Johannesem nad strumień położony w dolnej części naszej posiadłości. Po chwili pojawili się z powrotem, dźwigając wiadro do połowy wypełnione żwirem, piaskiem i gliną. Ustawili koryto i przynieśli kubły wody. Przesypali pół kubła żwiru przez koryto. Następnie pozostałości piachu poddali ostatecznej obróbce w płucce. W rezultacie otrzymaliśmy pięć całkiem pokaźnych grudek złota. I to znalezionych pół metra od naszego strumienia na głębokości jednego metra. Na własnym terenie. Koniec końców, nawet odrobina złota to jednak złoto. Tak więc David teraz wiedział, że jeśli ja i Bertil pożegnamy się z życiem w Kenii, to razem z Christianem będą musieli szukać swojego spadku, rozbijając cementowe fundamenty budynku przyszłej restauracji. Najprawdopodobniej zawierały złoto.

Rozdział 16.

Znowu zabieramy się do pracy.

Kiedy David wrócił do Szwecji, musieliśmy zająć się załatwianiem pilnych spraw. Najważniejszą z nich było nawadnianie warzywnika. Bertil włożył naprawę dużo wysiłku w to, żeby nowa pompa elektryczna działała.

Mogliśmy teraz pompować wodę ze strumienia po trzydziesto-pięciometrowym stoku - około dwudziestu metrów w pionie - bezpośrednio na grządki. Dzięki temu nie musieliśmy bezradnie czekać na porę deszczową, która, prawdę mówiąc, skończyła się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

Bertil poświęcił wiele godzin na uporządkowanie naszych rzeczy w kontenerze. Jednocześnie urządzał wygodne biuro z telefonem, faksem i elektrycznością. Już nie mogłam dłużej szukać wymówek, aby odwlekać załatwienie pilnych spraw papierkowych. Musiałam wyliczyć zysk ze sprzedaży naszego domu w Szwecji oraz przygotować dokumenty dla szwedzkiej izby skarbowej. Największym moim problemem był upał panujący w kontenerze. Może urząd skarbowy przyzna mi ulgę z tytułu cierpień doznanych podczas wypełniania zeznań podatkowych? Pewnie niewielu Szwedów wypełnia formularze w 47-stopniowym upale.

W trakcie wykonywania tej całej papierkowej roboty musieliśmy zwolnić Betty. Wszystko lepiło jej się do rąk i wielokrotnie zauważyłam, że nie umiała odróżnić swoich rzeczy od naszych. Mieliśmy tego dosyć. W rezultacie przez pewien czas sama musiałam zajmować się gospodarstwem.

Pewnego środowego poranka pojechaliśmy do Wulushi kupić mięso. W kontenerze znaleźliśmy w końcu nasz robot kuchenny, postanowiliśmy więc zmielić mięso i schować je do zamrażalnika. Strasznie tęskniłam za spaghetti bolognese. Wybraliśmy się do wioski i kupiliśmy u rzeźnika dwa kilogramy mięsa.

Po powrocie włączyłam generator, wyjęłam elektryczną maszynkę i zabrałam się do mielenia mięsa. Nagle poczułam straszliwy smród. Początkowo nie wiedziałam, skąd pochodzi, ale zorientowałam się, że mięso było zepsute. Cuchnące,

stare mięso ukryto pod warstwą świeżego. O mało nie wybuchłam. Wrzuciłam mięso do torby, a Bertil zawiózł mnie z powrotem na targ. Spotkaliśmy tam kobietę i mężczyznę, którzy stali na rogu i prowadzili ożywioną rozmowę. Pozdrowili nas grzecznie i spytali, dlaczego jesteśmy tacy wściekli. Wyjaśniłam im, że nas oszukano i sprzedano nam zepsute mięso.

- Macie szczęście, że na nas wpadliście - powiedziała kobieta. - Jestem inspektorem na tym targu. A to jest Nelson, miejscowy pielęgniarz i jeśli trzeba, może wezwać przedstawiciela państwowego zakładu higieny.

- Zgadza się - potwierdził Nelson. - Ale najpierw powinniśmy porozmawiać z właścicielem straganu. Możemy go tak postraszyć, że nie trzeba będzie ściągać urzędników.

Zrobiliśmy tak, jak nam poradzili. Poszliśmy do sklepiarza, któremu inspektorzy udzielili solidnej reprymendy. Powiedzieli mu, że jeśli to się powtórzy - ukrywanie starego mięsa pod świeżym - zamkną sklep na dobre. Postawiliśmy na ladzie torbę z cuchnącym mięsem i zażądaliśmy, żeby je zważył i dał nam tyle samo świeżego. Właściciel sklepu nie odważył się odmówić.

Zanim odjechaliśmy, poradzili nam, żebyśmy zawsze przy zakupie mięsa, zwracali uwagę, czy ktoś w sklepie nie macha krowim ogonem, żeby odgonić muchy. To nieomylna oznaka, że mięso jest nieświeże.

Dwudziestego siódmego marca o szóstej po południu po raz pierwszy lunęło. Byłam właśnie w naszym warzywniku i pieliłam pomidory. Robotnicy pili coś na budowie naszej pierwszej chaty dla gości, aby uczcić fakt, że właśnie skończyli fundamenty. Prace ciągnęły się przez długich dziesięć dni zamiast jednego, tak jak nam przyrzekli. Nagle usłyszeliśmy straszliwe wycie i poczuliśmy gwałtowny powiew chłodnego wiatru. Przybiegli shamba boys i pokazali na migi, że powinniśmy przykryć pomidory impregnowanym brezentem. W tym samym czasie robotnicy budowlani biegali jak spłoszone kury, starając się przykryć fundamenty chaty. Kiedy udało nam się wszystko zabezpieczyć, pobiegłam schować się w naszej banda. Miałam wrażenie, jakby nagle pochłonęły nas ciemności. Grad piorunów i morze deszczu. Ulewa trwała zaledwie kwadrans, ale w tym czasie spadło ponad sto

pięćdziesiąt mililitrów wody. Grad był wielkości piłek golfowych. Faks, za pośrednictwem którego mogłam korespondować z rodzicami, nagle spalił się w wyniku uderzenia piorunu. Ucierpiał także rosnący przed chatą rozłożysty melonowiec; niektóre liście podziurawił grad, inne zerwał gwałtowny wiatr. Eukaliptus przy „basenie” został częściowo powalony na ziemię. Fundamenty wykończone przed chwilą zostały całkowicie zatopione.

Stojąc w drzwiach chaty, zobaczyłam, jak potok ziemi i kamieni spływa ze stoku w moją stronę. Woda i błoto płynęły nieprzerwanym strumieniem. Bertil popędził z łopatą i zaczął kopać rów na wodę, żeby zmienić kierunek spływającej masy, która, wydawało się, wkrótce przeleje się przez próg do naszej chaty. Wyobrażaliśmy sobie brudną, ponurą przyszłość. Jak my, dwoje dorosłych ludzi i dwa psy, przeżyjemy na kilku metrach kwadratowych, nie mogąc usunąć z siebie grubej warstwy brudu i biota? Trudno wręcz opisać wygląd naszych kaloszy - od spodu przywarło do nich dziesięć centymetrów szlamu. O psach lepiej nie mówić.

Pewnego wieczoru około dziewiątej przeżyliśmy zmasowany atak latających mrówek; były wszędzie, zarówno w środku, jak i na dworze. Pewnie zważyło je światło lamp ogrodowych. Otoczyło nas tysiące natrętnych insektów. Doprawdy okropne uczucie.

Na horyzoncie dostrzeżyliśmy błyskawicę. Pomyślałam, że w nocy pewnie znowu nadejdzie burza. Na dworze wszystkie rośliny wypuszczały świeże pędy. Po deszczu trawa zmieniła kolor na soczyście zielony; taki sam, jaki przybierały pokrywające się świeżymi liśćmi drzewa w Szwecji. Psy spały, a nasz nocny askari obchodził teren z latarką.

Rano zobaczyliśmy, że ziemia pokryta była białą warstwą - szczególnie grubą na lampach ogrodowych i wokół nich. Kiedy przyjrzeliliśmy się bliżej, stwierdziliśmy, że wyglądało to jak miniaturowe skrzydełka.

Tego samego dnia w drodze z Kakamega zauważyliśmy coś dziwnego. Kenijczycy to naród piechurów. Wzdłuż dróg często widać idących gęsiego ludzi. Być może mają dość czekania na przepelnione matatu, które zresztą bez przerwy się psuły. Tego dnia było podobnie.

Nagle elegancko ubrany mężczyzna w garniturze, białej koszuli i ze skórzaną teczką w rękę rzucił się na ziemię, a za nim następni. Co się dzieje? Nalot? - pomyślałam. Nie, po chwili zauważyłam, że ludzie podnoszą coś z ziemi i wkładają do ust. Inni przybiegli z puszczkami i kubkami. Kucali, zbierali coś z ziemi i wrzucali do puszek. Wyglądali na bardzo szczęśliwych.

O co chodziło? Cóż, wyroiły się termyty. Larwy termitów to znany, bogaty w białko smakołyk. Nic dziwnego, że ludzie je uwielbiają i zbierają, gdzie się da.

Teraz zrozumiałam, że poprzedniej nocy, przed naszą banda, pewnie też wyroiły się termyty i to im odpadły skrzydełka.

Mieliśmy naprawdę dużo do zrobienia. Kiedy nie pracowaliśmy fizycznie, zabieraliśmy się za planowanie działań i nadzorowanie innych. Nie miałam czasu na zajmowanie się domem, więc zatrudniłam Milly. Wyglądała na kompetentną osobę. Miała około 35 lat i czworo dzieci, którymi w dni powszednie zajmowała się jej matka. Mieliśmy nadzieję, że nasza nowa pomoc domowa będzie lepsza niż Betty.

Kiedy Bertila nagle rozboleły palce u stóp (co wcześniej też mi dolegało), Milly uważnie je obejrzała. Od razu domyśliła się, co to jest, i powiedziała nam, że to infekcja wywołana przez pewien rodzaj pchły piaskowej, jiga, która dostaje się pod paznokcie i składa larwy. Trzeba było natychmiast usunąć gniazdo. Podałam Bertilowi dużą szklankę whisky, i Milly zaczęła dłubać w jego stopach ostrą igłą. Pomimo znieczulenia alkoholem i tak krzywił się z bólu. Po tej drobnej „operacji” dostaliśmy przykaz, żeby nigdy nie chodzić po banda boso i natychmiast zgłaszać się do Milly, kiedy pocujemy swędzenie stóp.

Rozdział 17.

Pięćdziesiąte urodziny.

„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... fałszujące głosy, mój i Bertila, wdary się do niewielkiej chaty i obudziły bohatera dnia, mojego brata, Per Erika. Właśnie dziś obchodził pięćdziesiąte urodziny i uciekł ze Szwecji do Afryki, aby uchronić się przed ewentualnymi obchodami.

Przed banda czekało śniadanie z szampanem. Psy rzuciły się na niego i wylizały go na powitanie. Jakby dla uczczenia tego dnia pogoda na razie była wspaniała. Nasz brązowy nektarnik siedział nieustraszony na drzewie papai, spijając z kwiatów nektar, i od czasu do czasu wyśpiewywał triumfalną, radosną pieśń. Popijając szampana, jedliśmy ciastka. Znaleźliśmy je w hinduskim sklepie w Kakamega. Były obrzydliwe. Bez wahania rzuciliśmy je psom, które pożarły je w mgnieniu oka.

Mój brat spędził z nami ponad tydzień i nakręcił w okolicy mnóstwo filmów. Rodzice ciągle nie mieli pojęcia, jak wygląda nasz dom, Per Erik kręcił zatem filmy wideo, aby pokazać je naszej rodzinie. Miałam tylko nadzieję, że nie doznają szoku.

Per Erik miał także nakręcić film o poszukiwaniu złota w Kenii na specjalne zamówienie telewizji. W tym celu postanowiliśmy pojechać do Sotanini, gdzie mógł sfilmować wydobywanie złota na małą skalę. Po drodze opowiedzieliśmy mu o tym, jak odkryliśmy tę wioskę oraz o szkolnych mundurkach w kolorach Szwecji. Był tym zafascynowany.

Ślizgaliśmy się i podskakiwaliśmy na błotnistych lokalnych drogach, ale dotarliśmy w końcu do wioski, gdzie powitał nas nasz przyjaciel Glenn, który szybko zaprzyjaźnił się z Per Erikiem. Kamera niemal rozgrzała się do czerwoności, kiedy brat filmował odkrywkową kopalnię złota i pracujących tam ludzi. Zanim wyruszyliśmy nad rzekę, przeprowadził jeszcze kilka wywiadów, a po drodze zrobiliśmy sobie przystanek w miejscu, gdzie całe rodziny kruszyły rudy złota.

Nad rzeką Yala Per Erik, tak samo jak wcześniej David, osłupiał na widok tak niezwyklej sceny. Zobaczył piękne dziewczyny tańczące w rzece w swoich karaja, a potem dostrzegł, co się działo trochę dalej, w cieniu rosnących nad brzegiem drzew. Kilku chłopców w wieku około dwunastu lat paliło rtęć w płucze. Opary buchały im prosto w twarz, a oni stali pochyleni nad płuczką i wcale się tym nie przejmowali. Przy pomocy rtęci próbowali oczyścić złoty pył.

Bardzo się zdenerwowałam na ten widok. To nie było bezpieczne zajęcie; Per Erik i Bertil wyglądali na równie przerażonych.

- Czy oni nie wiedzą, jakie to groźne? - dopytywałam się z niepokojem. - Przecież to może ich zabić.

Odciągnęliśmy Glenna na bok i spytaliśmy, czy wie, jakim niebezpieczeństwem grozi używanie rtęci.

- Tak, oczywiście, teraz już wiem - odparł. - Przekonaliśmy kilku starszych ludzi w wiosce, żeby tego nie robili. Ja sam już jej nie używam. Ale wiecie, jak to jest z młodymi; nigdy nie słuchają starszych.

Per Erik sfilmował chłopców z rtęcią, ale starał się nie stawać w jej oparach. Następnie zaczął kręcić wywiad z Glennem.

- Gdzie oni kupują rtęć? - zapytał.

- To zależy - odpowiedział Glen. - Czasami sprzedają ją skupujący złoto, kiedy pojawiają się we wsi po samorodki. Można ją także dostać w sklepie.

- W sklepie? Czy masz na myśli jakieś specjalne sklepy?

- Nie, w zwyczajnym wiejskim sklepiku, w którym można kupić mleko, chleb i inne tego typu rzeczy.

- Czy rtęć jest zapakowana w jakiś specjalny sposób? - dopytywał się mój brat.

- Nie, kupuje się ją na wagę, tak jak na przykład mleko - wyjaśnił mu Glenn.

Zrobiło mi się słabo. Pomyślcie tylko, handlowano rtęcią stojącą tuż obok mleka, i to wcale nie w kartonach. Miałam ochotę krzyknąć. Czy oni nie wiedzieli, co robią?

Po chwili jeden z chłopców spytał, czy chcemy oczyścić złoto przy pomocy rtęci. Bertil, który był z nas najspokojniejszy, stanowczo odmówił, starając się jednak nie urazić chłopców. Następnie usiadł wśród nich i zaczął im wyjaśniać, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Opisał objawy zatrucia rtęcią i ostrzegł, że jest to niebezpieczne także dla innych. Rtęć bowiem, mówił, dostaje się do wody i potem mogą połknąć ją ryby. W efekcie wiele niewinnych istot, a wręcz cała przyroda, zostaną w ten sposób skażone. Część naszych młodych słuchaczy była wyraźnie wstrząśnięta i obiecała, że nigdy już nie użyje rtęci. Twierdzili, że nie wiedzieli, że to takie niebezpieczne.

Następnego dnia Per Erik obejrzał sekwencje filmu wideo nakręcone w Sotanini. Stwierdził, że musi mieć więcej materiału, spytał więc, czy może sfilmować Bertila i mnie podczas płukania złota. Spakowaliśmy nasz ekwipunek i wyruszyliśmy nad rzekę Yala.

W pięknej okolicy znaleźliśmy niewielki dopływ, przygotowaliśmy sprzęt i zaczęliśmy kopać piach z rzeki. Wlaliśmy go do koryta. Świeciło słońce i życie zdawało nam się wspaniałe.

Nagle poczułam na plecach jakiś dotyk. Otoczyło nas stado krów kroczących do wodopoju. Przykucnięci nad korytem i otoczeni przez zwierzęta poczuliśmy się tacy niepozorni. Na szczęście po kilku dramatycznych chwilach krowy poszły dalej, a potem dostrzegliśmy za skałami roześmiane dziecięce twarze.

W końcu jakaś dziewczynka odważyła się i do nas podeszła. Powiedziała, że w miejscu, w którym byliśmy, nic nie znajdziemy. Wyjaśniła, że musimy się przenieść niżej do właściwego koryta rzeki Yala i wskazała nam ścieżkę po drugiej stronie. Jakiś kilometr dalej dostrzegliśmy miejsce płukania złota. W oddali zobaczyliśmy mężczyzn kopiących w piachu i postanowiliśmy, że wybierzemy się tam któregoś dnia, żeby przetestować nasz sprzęt. Zapamiętaliśmy nazwę wioski - brzmiała jak Nianini. Leżała blisko naszego domu i mogła stać się jednym z ulubionych celów wycieczek.

Ponieważ mieliśmy gościa, postanowiliśmy połączyć przyjemne z pożytecznym. Do tej pory zajmowaliśmy się tylko tym, co konieczne, ale teraz mieliśmy uzasadniony powód, by się trochę rozerwać.

Pewnego dnia udaliśmy się na drugą najwyższą górę Kenii, Mount Elgon, przy granicy z Ugandą. Jeździliśmy po parku narodowym razem ze strażnikiem w poszukiwaniu dzikich zwierząt, ale najdziksze, jakie spotkaliśmy - bawoły - uciekły w popłochu na nasz widok.

Kolejną wycieczkę zorganizowaliśmy do Eldoret. Zaplanowana na pół dnia wyprawa znowu zajęła cały dzień. Zabraliśmy ze sobą Petrusa, ogrodnika, ponieważ prawdziwym celem wycieczki był zakup, roślin do naszego ogrodu. Petrus wcześniej pracował w Eldoret, znał właściciela miejscowego sklepu ogrodniczego i obiecał załatwić nam najlepszy towar po dobrych cenach. Poza roślinami i obornikiem - ćwierć tony przywiózł nam ostatnio człowiek z sąsiedniej wioski - potrzebna była także woda. W kwestii wodociągu nie poczyniono żadnych postępów, nawet nie wykopano rowu, mimo że już kilka tygodni wcześniej nasz lokalny deputowany polecił wodzowi natychmiastowe rozpoczęcie prac. Poinformowaliśmy deputowanego, że nadal nic się w tej kwestii nie dzieje, mając nadzieję, że wodza wyrzucą. I tak było wszystko jedno. Miałam wrażenie, że nasz lokalny watażka do niczego się nie nadawał.

Prawdę mówiąc, większość mieszkańców naszej wioski również nie lubiła wodza. Wszyscy twierdzili, że nie dbał o sprawy miejscowej społeczności i zajmował się tylko interesami swoimi i swojej rodziny, nie przejmując się ludźmi, którym naprawdę potrzebna była pomoc.

Pogoda była naprawdę dziwna. Myśleliśmy, że dwudziestego siódmego marca, kiedy spadł pierwszy deszcz, zacznie się pora deszczowa, ale od tamtej nocy niewiele padało. Oczywiście byliśmy wdzięczni za każdy dzień bez ulewy, bo w naszej banda, w której przebywało teraz troje dorosłych i dwa psy, zrobiło się naprawdę ciasno. Skoro nie padało, mogliśmy więcej czasu spędzać na dworze. Ale nasz ogród, kwiaty i warzywa potrzebowały wody. Niestety w okolicy raczej nie spodziewaliśmy się mżawek, tylko rześzystych ulew; należało więc chronić warzywa

przed strumieniami wody. Postanowiliśmy zbudować dużą szklarnię. Miała być przestronna, szeroka na około osiem metrów i długa na dwadzieścia pięć, pokryta specjalnego rodzaju folią polietylenową wytrzymałą na promienie słońca. Petrus z chłopcami pracowali nad jej konstrukcją. Mieliśmy nadzieję, że będzie gotowa, zanim ulewny deszcz doszczętnie zniszczy nam warzywa.

Rozdział 18.

W pogoni za trawą.

Kilka tygodni później Per Erik wracał do domu do Szwecji i Bertil zawiózł go na lotnisko w Kisumu. Przy tej okazji postanowił się zważyć na wadze bagażowej. Wiedziałam już, że zrzucił sporo kilogramów, ale nie spodziewałam się, że aż dwadzieścia. Od czasu naszego przyjazdu do Kenii pod koniec poprzedniego roku pięciokrotnie przesuwiał dziurki w pasku. Mieścił się teraz w dzinsy Davida, które zostawił u nas, bo wcześniej były na niego za ciasne. Mój puciołowaty mąż bardzo wyprzystojniał. Utrzymywał, że smukłą sylwetkę zawdzięcza kiepskiej pamięci; za każdym razem, kiedy był już na dole przy strumieniu, przypominał sobie o czymś, co zostawił na górze. Wtedy wspinał się szybko na górę, a następnie zbiegał. Czasem się to powtarzało nawet kilka razy dziennie.

Ale nie tylko Bertil ciężko pracował. Ja także starałam się karczować nasze poletko. Usuwałam wszystko, co uznałam za niepotrzebne: krzaki, zarośla, wyschnięte łodygi kukurydzy, gałęzie i kamienie. Kiedyś wczesnie rano, kiedy zbierałam kamienie, przewróciłam niechcący kilka słupków, które wyznaczały miejsce, gdzie mieliśmy wybudować chaty dla gości. Słupki przewróciły się na ziemię i odkryłam, że były połamane. Dlaczego? No cóż, kiedy im się dobrze przyjrzelśmy i zobaczyliśmy białe plamki, nabraliśmy podejrzeń, a Petrus i Daniel niebawem je potwierdzili. Termity!

Natychmiast wstrzymaliśmy inne prace. Robotnicy i shamba boys przekopywali grunt w poszukiwaniu gniazda termitów. Niedobrze jest mieć termity pod domem. By znaleźć królową, przez cztery dni drążono dziurę szeroką na dziesięć metrów i głęboką na metr. W końcu się udało. Królowa była dziesięciocentymetrowym, grubym, białym robalem. Słyszeliśmy, że może żyć nawet ponad trzydzieści lat. Kupiliśmy trutkę na termity i waliśmy do odkopanych gniazd. Potem przywróciliśmy poprzedni stan, czyli zasypaliśmy dziury, co także zabrało nam wiele czasu. Mieliśmy nadzieję, że udało nam się zlokalizować

wszystkie gniazda i usunąć termity. Liczyliśmy też na to, że nasi robotnicy wiedzą, iż drewno w budynkach nie powinno dotykać gruntu.

Położyliśmy już folię polietylenową na naszej pierwszej chacie dla gości i nadszedł czas na wyszukanie odpowiedniej trawy do pokrycia dachu. Strażnik dał nam pozwolenie na zebranie jej w lesie tropikalnym. Trzeba było ją tylko znaleźć.

Pewnego dnia w poszukiwaniu trawy poszliśmy na wzgórze. Towarzyszący nam leśnik wyjaśnił, że trawa używana do pokrycia dachów rośnie zazwyczaj na stokach pagórka. Musieliśmy się wspiąć na sam szczyt. Gdy spoceni wdrapaliśmy się na górę, zobaczyliśmy, że cała trawa była wypalona.

Po długich poszukiwaniach spotkaliśmy mężczyznę wiozącego na rowerze olbrzymi ładunek trawy i to takiej, jaka była nam potrzebna. Spytałśmy, gdzie ją znalazł. Wsiadł do naszego samochodu i pokierował nas do tego miejsca. Droga była straszna. Prawdę mówiąc, nie było żadnej wytyczonej trasy, żadnego szlaku. Nasza terenówka podskakiwała na pniakach i kamieniach, przebijając się wśród chaszczki po sawannie. W końcu dotarliśmy na miejsce i postanowiliśmy wrócić tam następnego dnia z ludźmi, którzy pomogą nam ściąć trawę.

Na pokrycie dachu potrzebowaliśmy około dwóch ton świeżej trawy. Przez dwa tygodnie Bertil codziennie organizował wyprawy do lasu. Wczesnie rano zabierał kilku wynajętych chłopców i dwóch strażników leśnych. Następnie jechał wąską ścieżką i głęboko w lesie docierał do przesieki porośniętej tą specjalną trawą. Tam panga (maczetami) chłopcy ścinały trawę. Ładowano ją do samochodu i Bertil kilka razy dziennie pokonywał tę samą trasę. Po południu zwykle padało, a ponieważ dach naszego samochodu przeciekał, mąż miał na sobie, nawet podczas jazdy, płaszcz przeciwdeszczowy.

Zdobicie trawy było nużącym, czasochłonnym, niebezpiecznym i kosztownym zadaniem. Pewnego dnia, kiedy Bertil powrócił do lasu, kobra leśna zaatakowała jednego z chłopców. Kiedy chłopak szybko cofnął rękę, aby uchronić się przed ukąszeniem, zranił się niechcący maczetą w lewą dłoń i to tak poważnie, że przeciął ścięgno w palcu. Mimo to zdążył porąbać węży na kawałki. Na szczęście uniknął ukąszenia. Błyskawicznie wrzucono do terenówki trawę i biednego

chłopaka, po czym Bertil pognął po pniakach i skałach do prowadzonego przez misjonarzy szpitala. Operacja zszycia przeciętego ścięgna trwała bardzo długo, ale zakończyła się sukcesem. Po rehabilitacji oraz kilku wizytach kontrolnych w szpitalu chłopiec wkrótce mógł wrócić do pracy, choć nie wolno mu było wykonywać żadnych ciężkich robót.

Trawę wyładowywano na ramy ustawione nad ziemią tak, by mogła wyschnąć i żeby można ją było przewracać. Niemal codziennie padało i musieliśmy szczelnie ją zakrywać. Doprawdy zadziwiające jest to, że w końcu wyschła.

Rozdział 19.

„Wasze bezpieczeństwo to moja sprawa”.

Niestety, nasze życie nie składało się jedynie z radosnych momentów. Zdążyliśmy się już przyzwyczać do faktu, że kiedy tylko zaczynaliśmy czuć się szczęśliwi, natychmiast nadchodziły klęski i niepowodzenia. Łyżką dziegiu było prawie zawsze zachowanie naszych pracowników.

Niełatwo było znaleźć odpowiednich i uczciwych ludzi. Po wielu naszych rzeczach zostało tylko wspomnienie, a kłótnie, a nawet bójki między pracownikami były na porządku dziennym. Milly za nic nie chciała nas słuchać i upierała się, żeby wieszać ubrania na drucie kolczastym, chociaż kupiliśmy sznurki i klamerki do suszenia bielizny, a Jim przez pewien czas stanowił dla nas zupełną zagadkę.

Na początku maja zachowanie Jima bardzo się pogorszyło. Odkryliśmy, że nie wywiązywał się z wielu obowiązków, dlatego wręcziliśmy mu upomnienie na piśmie, przedstawiając listę naszych uwag. Nawet się tym nie przejął.

Pewnego sobotniego ranka zdarzył się nieprzyjemny incydent. Dziki pies biegał po terenie i usiłował dostać się do naszej banda. Nasze psy szalały, a zgiełk był wręcz niewyobrażalny. Mimo to Jim pojawił się dopiero po kwadransie. Spał sobie smacznie, chociaż był jedynym askari pełniącym dyżur. Zachowywał się bezczelnie i arogancko, a na dodatek miał na sobie nasze ubrania.

Kiedy przeprowadziliśmy inspekcję w pokojach przeznaczonych dla pracowników, gdzie znajdowała się również część rzeczy z naszego kontenera, odkryliśmy, że Jim wspiał się na ściankę działową i przywłaszczył sobie trochę ubrań, również tych, które trzymaliśmy dla biednych. Wręcziliśmy mu kolejne, drugie już, ostrzeżenie na piśmie - trzecie oznaczało zwolnienie - i poinformowaliśmy go, że może zostać w domu przez całą dobę i zastanowić się, co w tej sytuacji robi. Zanim odwieźliśmy go do jego wioski, zdążył jeszcze zaatakować Johannesa; groził mu śmiercią, podobnie zachował się wobec drugiego askari. Milly rozpaczła po kątach, bo rzucił klątwę na jej dzieci i wrzeszczał, że czarownik je zabije.

Gdy wróciliśmy do domu, pracownicy powiedzieli nam, że przez cały czas, kiedy Jim u nas pracował, przywłaszczał sobie część wynagrodzenia pozostałych robotników, żądał pieniędzy za przekazywanie nam wiadomości i groził tym, którzy nie chcieli płacić. Byliśmy wściekli i postanowiliśmy, że nazajutrz wrócimy do jego wioski, przywieziemy mu wszystkie jego rzeczy i wręczymy trzecie ostrzeżenie, a dokładniej mówiąc, wypowiedzenie. Timothy, który mieszkał w tej samej wiosce co Jim, pojechał z nami w roli świadka. To było naprawdę okropne przeżycie i, szczerze mówiąc, wcale nie poczuliśmy się lepiej, widząc Jima paradującego w ubraniach, które nam ukradł.

Zmęczeni i w kiepskich nastrojach wsiedliśmy do land rovera, który zostawiliśmy na posesji Timothyego. Proszę sobie wyobrazić nasze zaskoczenie, kiedy samochód nie chciał ruszyć. Nagle nawalił. Sabotaż czy co? - pomyślałam.

Jedynym sposobem, by dostać się do domu, było przejście kilku kilometrów w skwarze i kurzu, a potem złapanie na skrzyżowaniu lokalnej drogi z asfaltową miejscowego autobusu do Wageya. Ostatnie sześć kilometrów do Wuasiva można było przejechać boda boda. W każdym razie taki był plan. Opłata za przejazd boda boda wynosiła trzydzieści szylingów od osoby, ale ponieważ byliśmy Europejczykami, zażądano od nas prawie siedem razy tyle. Gdybyśmy byli zwykłymi turystami, pewnie byśmy zapłacili, ale ponieważ uważaliśmy się za stałych mieszkańców wioski - w tym momencie bez dochodów - uznaliśmy, że to nie fair.

- Nie - powiedzieliśmy. - Idziemy piechotą.

Tak więc szliśmy i szliśmy, było coraz goręcej i sześciokilometrowy marsz zmienił się w prawdziwą mordęgę.

Później, jeszcze tego samego dnia, dowiedzieliśmy się od Johannesesa, że Jim był na nas wściekły. Odgrażał się nawet, że wróci i nas wszystkich pozabija. I to nie zjawi się sam, tylko przyprowadzi ze sobą swoich kumpli bandziorów. Poprosiliśmy zatem o pomoc Timothyego i przekonaliśmy naszego wodza, Weakyego, żeby przysłał nam jednego ze starszyny, Luke'a, który przez kilka dni mógłby

zastępować Jima. W obliczu gróźb naprawdę musieliśmy podjąć wszelkie środki ostrożności.

I rzeczywiście - to nie był jeszcze koniec historii z Jimem. Trochę później, w piątek, usłyszeliśmy, że widziano go po drugiej stronie doliny. Ludzie opowiadali, że leżał w trawie i obserwował naszą posiadłość. Doszły nas słuchy, że miał ze sobą strzelbę. Wszyscy byli przekonani, że to prawda. Oczywiście bardzo się zdenerwowaliśmy.

Bertil wysłał posłańca do domu wodza, by w naszym imieniu zaprosił go do nas. Nikt jednak nie otwierał. Potem Bertil, w towarzystwie jednego z askari, poszedł do niego osobiście. Długo stukali do drzwi, zanim wódz w końcu raczył otworzyć.

Na prośbę, żeby do nas przyszedł, odparł krótko:

- Pada.

Ale Bertil nie ustąpił. W końcu wódz Weaky oświadczył:

- Wasze bezpieczeństwo to moja sprawa. Przyjdźcie do mojego biura w poniedziałek w godzinach urzędowania. - A potem zatrzaskał drzwi.

Noc dłużyła się w nieskończoność. Na dworze szalała ulewa jak zwykle w porze deszczowej. Po długich naleganiach przyszedł w końcu Johannes - co prawda pijany - ale przynajmniej pilnował nas przez noc. Bertil przeczołgał się po mokrej trawie i ukrył w nowo wybudowanej chacie, a potem w land roverze. Cały czas czuwał, a ja siedziałam rozdygotana w kuchennej części naszej chaty, przytulając nasze zaniepokojone psy. Bogu dzięki, nic się nie stało. Może to był fałszywy alarm? Powiedzenie wodza: „Wasze bezpieczeństwo to moja sprawa” stało się potem czymś w rodzaju rodzinnego dowcipu.

Ponieważ młody, ledwie dwudziestoletni mechanik, który naprawił nasz samochód po awarii na podwórku Timothyego, był bystry, a na dodatek szukał pracy, postanowiliśmy go zatrudnić. Charlie, tak się nazywał, miał zostać naszym kierowcą, jak tylko dostanie prawo jazdy, za które obiecaliśmy zapłacić. Poza tym miał pomagać naszym chłopcom w ogrodzie, gdy nie będzie zajęty przy samochodzie. Wprowadził się do jednego z mieszkań dla pracowników. Martin,

który wcześniej pracował jako zawodowy askari, również był naszym nowym pracownikiem. Andreas, młodszy brat Petrusa, został zatrudniony jako shamba boy. Wydawało się, że wszyscy się lubią, więc mieliśmy nadzieję, że nie będzie już więcej sporów i utarczek jak wtedy, gdy zatrudnialiśmy Betty i Jima.

Ciągle jednak działały się dziwne rzeczy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak to się stało, że zepsuł się samochód. Mieliśmy także kłopoty z telefonem i faksem. Przez ostatni tydzień nie mogliśmy się z nikim połączyć. Można było do nas dzwonić i przysyłać fakсы, ale my nie mogliśmy zadzwonić nawet do Kakamega. Nikt nie wiedział, w czym problem. Aż tu nagle znowu działały połączenia wychodzące, ale z kolei nawaliły połączenia przychodzące. I także nie wiedzieliśmy dlaczego.

Rozdział 20.

Wąż w raju.

Pewnego dnia Patrick znalazł wielką kobrę leśną w samym środku naszej posiadłości, niedaleko pięknego starego fikusa. Patrick urodził się tutaj i powiedział, że kobra mieszkała w tym miejscu od wielu lat.

Potwornie bałam się węży, więc całkowicie wyparłam ze swojej świadomości fakt, że w naszej okolicy jest ich tak dużo.

Natychmiast pobiegłam z powrotem do naszej banda, ciągnąc za sobą psy; niemal frunęłam ponad trawą. Włożyłam kalosze i, trzymając psy na smyczy, usiadłam na krześle w cieniu drzewa. Nie ruszyłam się z miejsca, póki robotnicy nie odpędzili węża i nie ścięli trawy, która wybujała od początku pory deszczowej.

O mój Boże! Nagle zrozumiałam, że Jim stworzył prawdziwy raj dla węży. Przypomniałam sobie, jak Jim, po naszym powrocie z Nairobi w styczniu, oświadczył nam z dumą, że zasadził pestki dyni.

- Pestki dyni? Po co? - spytałam go wtedy.

- Cóż, wszyscy Hindusi lubią dynie. Możemy im je sprzedać i zarobić mnóstwo pieniędzy.

- Ile pestek zasadziłeś, Jim?

- Tylko cztery - odpowiedział. - Pod każdym bananowcem.

- Jim, mamy dwieście pięćdziesiąt bananowców. To daje łącznie tysiąc dyń.

- To dobrze - odparł Jim, a jego twarz jaśniała jak słońce. - To znaczy, że będziemy bardzo bogaci.

Teraz, kiedy po ulewach wszystko rośło jak szalone, zauważyliśmy, że być może nie był to wcale taki dobry pomysł. Dynia, podobnie jak ogórek, rozrasta się, pokrywając ziemię grubą warstwą rozłożystych liści. Teraz bez wątpienia stanowiły one chłodne i przyjemne schronienie dla węży i innych gadów. Rośliny już zdążyły zakwitnąć i dynie stawały się coraz większe. Podjęłam błyskawiczną decyzję, że natychmiast je zbierzemy, a potem pozbedziemy się tego warzywa.

Miałam duże wątpliwości, czy kiedykolwiek dorobimy się na dyniach. Rozmawialiśmy już w mieście z Hindusami i, gdy powiedzieliśmy im, że niedługo będziemy mieli dla nich dużo dyń, to wszyscy patrzyli na nas ze zdziwieniem i mówili, że wcale nie lubią dyni.

Zawołałam Milly.

- Milly, musimy usunąć liście dyni. Boję się, że mogą się pod nimi chować węże - oświadczyłam jej.

- Nie może pani tego zrobić. My uwielbiamy liście dyni. Gotujemy je na mleku, są pyszne.

- Milly, podjęłam już decyzję. Jeżeli ty i inni pracownicy chcecie zebrać liście, to się pośpieszcie. Jutro zaczynamy je usuwać.

Okazało się, że hodowaliśmy dynie nie dla ich owoców, tylko z tej prostej przyczyny, że pracownicy lubili ich liście. Teraz będziemy mieć cały stos dyń. I żadnej korzyści. Dlaczego zawsze wierzymy w to, co mówią nam ludzie?

Dużo padało, ale od czasu do czasu zdarzały się całkiem słoneczne dni. Potem znowu zaczynało lać. Rowy, które wykopał Bertil, by choć trochę zmienić kierunek spływającej wody, znowu były pełne szlamu. Ile błota może przyłągnąć do jednej pary butów? Błoto, które Bertil zeszkrobywał po powrocie z krótkiej przechadzki do szklarni, żeby wylać wodę zbierającą się na polietylowym dachu, ważyło na oko kilka kilogramów.

Gdy dostarczono nam więcej obornika, rozpoczęliśmy prace ogrodowe w szklarni: sianie i sadzenie. Na dworze zebraliśmy już z naszych grządek sporo ogórków. Obrodziły także pomidory. Były naprawdę dorodne i już zaczęły się czerwienić. Gdzieś tam pojawiły się kabaczki, kalafiory osiągały olbrzymie rozmiary, a groszek cukrowy piął się w górę jak szalony.

Niestety - zdawało się, że nasza chata dla gości długo jeszcze nie będzie gotowa, chociaż sufit już był wykończony. Kosztował majątek, więc wyglądało na to, że w przyszłości będziemy musieli decydować się na jakieś tańsze rozwiązania. Okorowanymi, zaokrąglonymi częściami pnia wyłożyliśmy ściany w środku i na zewnątrz. Pozostało jeszcze malowanie, wstawienie okien i drzwi oraz pokrycie

dachu strzechą. Ponieważ budowa jednej chaty zajęła Danielowi dwa miesiące, przekonałiśmy go, żeby ściągnął jeszcze jednego fundi, w celu przyspieszenia prac. Po skończeniu chaty robotnicy mieli zająć się wznoszeniem budynku restauracji.

Pewnego popołudnia usłyszałam radosną wrzawę. Pobiełam na budowę i zobaczyłam, że Bertil pokazywał robotnikom, jak się wbija szwedzki gwóźdź. Nie wygiął się; pozostał idealnie prosty. Robotnicy krzyczeli z radości. Każdy chciał wbić taki gwóźdź. W Kenii używano głównie importowanych z Chin, które wyginały się niemal od patrzenia.

Zanim położono strzechę, powiązano w pęki całą suszoną trawę i przycięto na odpowiednią długość. Nasi pomocnicy ogrodnika zajmowali się tym przez ostatnich kilka dni. Wszystko musiało być gotowe przed przybyciem fachowca od krycia dachów. Strzecha, zgodnie z lokalną tradycją, była czymś niezmiernie ważnym i musiał ją położyć prawdziwy ekspert. Zdarzało się, że przybywał z daleka i trzeba było obchodzić się z nim delikatnie oraz podejmować z najwyższymi honorami, a gdy zakończył pracę, dać mu w nagrodę koguta.

Rozdział 21.

Gościnność.

Dla ludu Luhia najważniejszy jest szacunek i gościnność. Zauważyliśmy to szczególnie podczas wizyt u Timothy'ego. W jego domu spotykaliśmy starszych ludzi, którzy zajmowali najlepsze krzesła, gdy przychodzili zapraszani na herbatę i poczęstunek. Niezależnie od tego, jak bardzo się śpieszyliśmy, musieliśmy usiąść na chwilę i przyłączyć się do posiłku albo wypić wspólnie herbatę i posłuchać rozmów. Rozumieliśmy, że nie wolno nam było odmówić poczęstunku ani też od razu przystąpić do wyłożenia jakiejś ważnej sprawy.

Kiedy przechadzaliśmy się po Wuasiva, mieszkańcy wioski często zapraszali nas do domu. Gdy wchodziliśmy do ich chat, częstowali nas herbatą z mlekiem, a niekiedy także jajkami na twardo. Jeśli na dodatek była to pierwsza wizyta w ich domu, dostawaliśmy w prezencie żywą kurę - nawet jeśli to była ich jedyna kura - i nie wolno nam było odmówić. Wiedzieliśmy, że to bardzo drogi prezent, nawet jak na nasze standardy, i uważaliśmy, że nie powinniśmy zmuszać ludzi do takich wydatków; że to przecież poważny uszczerbek dla ich skromnego budżetu, dlatego postanowiliśmy grzecznie się wymawiać od zaproszeń do cudzych domów. Lepiej było porozmawiać na wiejskiej drodze.

Gościnność, jaką okazywali nam mieszkańcy wioski, od samego początku sprawiła, że wkrótce staliśmy się właścicielami całkiem sporego stadka kur oraz paru kogutów - te ofiarowano Davidowi podczas jego wizyty. Jim, niestety skutecznie, wykończył koguty i dwie kury, podając im za dużą dawkę leku. Nie chciał nas słuchać i kiedyś przyłapałam go, jak dodawał dwie łyżki lekarstwa na pół szklanki wody. Weterynarz zalecał, by dwie łyżki rozpuszczać w dziesięciu litrach wody. Na szczęście dziesięć kurczaków i pozostałe kury odmówiły picia mikstury i przeżyły tę szczególną kurację.

Podczas jednej z wizyt Timothy podarował nam dwie piękne gęsi - każda z nich była warta jakieś tysiąc pięćset szylingów. Musieliśmy przyjąć podarunek, chociaż darczyńca był biedny i miał ośmioro dzieci. Zabraliśmy podarowane gęsi do

domu, jednak długo były one moim przekleństwem. Kiedy wychodziłam z domu, przybiegały do mnie, sycząc straszliwie i próbując mnie uszczypnąć. Od dzieciństwa, kiedy spędzałam lato z moimi kuzynami w Skanór, śmiertelnie bałam się gęsi. Pewnie to wyczuwały, bo atakowały wyłącznie mnie. W końcu miałam tego dosyć i poprosiłam naszych shamba boys, żeby zabrali potwory do siebie.

Rozdział 22.

Przeprowadzka.

Minęła już połowa maja, a my ciągle jeszcze nie mogliśmy przeprowadzić się do nowej chaty. Nasz fundi, który na swój afrykański sposób był bardzo zmyślny, kompletnie zepsuł wykonanie okien i drzwi. Ościeżnice były krzywe i nie dało się osadzić skrzydeł okien; drzwi, na pierwszy rzut oka, wyglądały ładnie i porządnie, ale były za duże. Bertil odmówił ich przyjęcia i trzeba je było wykonać ponownie.

Dwudziestego maja nadszedł w końcu dzień zwycięstwa. Nareszcie przeprowadzaliśmy się do pierwszej nowej chaty i mogliśmy żyć jak normalni ludzie - mieszkać we własnym domu, wśród własnych mebli, z miejscem na ubrania. Od momentu rozpoczęcia budowy chaty byłam przygnębiona i niespokojna. Leżałam w łóżku chora na malarię, w chacie było ciemno i to nie poprawiało mi nastroju. Póki nie zaczęliśmy budowy, byłam całkiem zadowolona z sytuacji, lecz długie oczekiwanie na jej ukończenie okazało się nie do wytrzymania. Wreszcie nadszedł ten wyjątkowy dzień.

Nasi robotnicy byli wyraźnie szczęśliwi. Śmiali się, pomagając nam przynieść meble i paczki z kontenera. Mieliśmy do umeblowania dwie niewielkie izby i mały przedpokój. Chata była okrągła, przez co cała operacja była dosyć skomplikowana. W tej sytuacji to prawdziwe wyzwanie - tak urządzić dom, aby był miły i przytulny.

Jeden pokój, wychodzący na górną część posesji, miał pełnić rolę sypialni i biura zarazem, a drugi, z większą liczbą okien, w dodatku wychodzących na dolinę, pełnił funkcję salonu. Wstawiliśmy do niego półki na książki, wygodne krzesła i stoliki do kawy. Czekało mnie ciężkie zadanie rozpakowania książek, zdjęć i bibelotów, rozłożenia dywanów na czerwonej cementowej podłodze i zawieszenia obrazów.

Meblowanie sypialni skończyliśmy późnym popołudniem, a potem uczciliśmy to wystawnym obiadem i dobrym winem. Beztrosko rozmawiając, jedliśmy obiad w salonie.

Wyobraźcie sobie sosnowy sufit chroniący przed deszczem pajaków, brudu i starej trawy osypującej się na podłogę i łóżko. Co za luksus! Szyby w oknach, zasłony, meble i półki na ubrania. Na dodatek, jeśli tylko miałam ochotę, mogłam wstać w nocy z łóżka, zasiąść wygodnie w salonie, zapalić lampę naftową i poczytać książkę.

Nieważne, że jeszcze przez jakiś czas będziemy musieli pokonywać spory kawałek do starego prysznica i toalety. W nocy musiałam prosić Bertila, żeby ze mną chodził, bo sama się bałam. Kuchnia miała pozostać w starej banda do momentu wykończenia budynku restauracji. Oczywiście bieganie zjedzeniem w deszczowe dni było dość męczące, ale przy słonecznej pogodzie mogliśmy jadać posiłki przed banda, tak jak do tej pory. Prysznice, toalety i kuchnia miały być wkrótce gotowe. Skoro tak długo radziłam sobie w spartańskich warunkach, to teraz mogłam poczekać jeszcze trochę na odrobinę luksusu. Czułam się szczęśliwa i silna. Wreszcie zmierzamy ku nowej przyszłości - myślałam, zasypiając pod moskitierą.

W nocy nagle się obudziłam i poczułam się zupełnie zdezorientowana. Gdzie ja jestem? Zapaliłam latarkę. Co jest nade mną? Sufit? Potem przypomniałam sobie wszystko i postanowiłam pójść do salonu, zapalić świecę i posiedzieć tam przez chwilę. Wyślizgnęłam się z łóżka tak, żeby nie obudzić Bertila i przeszłam na palcach do drugiego pokoju, a za mną podreptały psy. Och, było tam tak przytulnie. Nawet nasze ślubne zdjęcia stały na właściwym miejscu; na podłodze leżały dywany, a na stole stały kwiaty w wazonie. W końcu mieliśmy prawdziwy dom.

Rozdział 23.

Kradzieże.

W Riverdale Gardens ciągle powtarzały się kłopoty z pracownikami. Okazało się, że Andreas, jeden z naszych ogrodników, kradnie. Mieliśmy szczęście, że udało nam się odzyskać część rzeczy - trzydzieści pięć drogich płyt CD z oprogramowaniem komputerowym - zanim wyniósł je dalej. Ukrył je pod sterłą liści, które zagrabił za furką, już na terenie wioski. Powiedzieli nam o tym Johannes i Fred, sezonowy shamba boy. Przeszukaliśmy sterłę i znaleźliśmy nasze rzeczy, które zniknęły z zamkniętego pokoju znajdującego się w części przeznaczony dla pracowników.

Zaprowadziliśmy Andreeasa na policję. Dwaj inni pracownicy pojechali z nami jako świadkowie. Gdy policja ich przesłuchiwała, Andreas uciekł z poczekalni komisariatu. Teraz był poszukiwany przez policję i mieliśmy nadzieję, że nie postrzelą go podczas pościgu. Uciekając, wykazał się skrajną bezmyślnością - teraz miał trafić do aresztu niezależnie od tego, czy był winny, czy nie.

- Wiesz co? - powiedział Bertil po powrocie do domu z komendy policji. - Zastanawiam się, czy to nie Andreas ukradł nasz mały telewizor. Kiedy rozpakowywaliśmy pudła po przybyciu kontenera, wszyscy pytali, czy mogą zabrać do domu puste opakowania, które chcieli wykorzystać do izolacji swoich band. Pamiętam, jak się zdziwiłem, widząc Andreeasa z kartonem na ramieniu. Dlaczego go nie złożył? Wyglądał na dość ciężki. Możliwe, że były w nim skradzione rzeczy, może nawet nasz telewizor.

Okazaliśmy się naiwnymi głupcami. Wszyscy nasi pomocnicy przy rozpakowywaniu bagaży dostali do ręki wspaniałe narzędzie, żeby niepostrzeżenie wynieść z posesji skradzione rzeczy. Znikło wiele przedmiotów. Nie pomyśleliśmy o tym, żeby kazać im złożyć kartony przed zabraniem do domu.

Ponieważ Andreas już dla nas nie pracował, na jego miejsce zatrudniliśmy Freda. Pochodził z drugiej strony doliny, dobrze mówił po angielsku, był pracowity i

wydawało się, że potrafi dogadać się z Johannesem. To oni powiedzieli nam o Andreasie. Może w końcu trafiliśmy na uczciwych ludzi?

Po kilku dniach nadeszła niedziela, a my mogliśmy dłużej poleżeć w łóżku. Przez nasze panoramiczne okna zaglądało słońce, a jego ciepłe promienie wpadały wprost do sypialni. Usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Któż to, na Boga, może być? Postanowiłam nie ruszać się z łóżka. I tak Bertil szedł zaparzyć kawę w starej chacie, więc po drodze mógł otworzyć drzwi.

Na zewnątrz stał Martin, jeden z naszych askari.

- W płocie jest dziura - zawiadomił nas.

Dopiero po chwili Bertil się zorientował, o co mu chodzi.

- Gdzie? - spytał.

- Tam. - Martin wskazał na stojącą poniżej banda szopę z generatorem.

- Zaczekaj, zaraz się ubiorę - powiedział Bertil, wkładając spodnie i podkoszulek, i wskakując w gumki.

Martin poprowadził go w dół w kierunku szopy i wskazał na płot. I rzeczywiście, tuż za komórką z generatorem widniała spora dziura. Dokładnie takiej wielkości, że mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Bertil uważnie przyjrzał się siatce; była równo przecięta nożycami do metalu, a więc narzędziem, którego większość ludzi nie posiadała.

- Chodźmy do komórki - krzyknął Bertil, próbując otworzyć skobel, który był odsunięty.

- Otwarte - stwierdził poirytowanym tonem.

- Tak, kiedy przyszedłem, zobaczyłem, że drzwi są otwarte, więc je przymknąłem.

Widać było, że ktoś tam grzebał. Jednak główny generator był na swoim miejscu. Bertil podszedł do land rovera i dosyć szybko zauważył, że zniknęła pompa do wyciągania wody. Na trawie pozostały wydeptane ślady stóp.

- OK, zanim powiadomimy policję, musimy wezwać wodza. A ty możesz tymczasem obejrzeć cały płot i sprawdzić, czy nie ma w nim więcej dziur.

Bertil był zły na Martina. Było już prawie wpół do dwunastej i wódz mógł już dawno wyjechać. Gdyby Martin dobrze wypełniał swoje obowiązki, o dziurze wiedzielibyśmy już około szóstej rano.

Zdążyłam już dojść do zadaszienia przed naszą starą chatą i Bertil wyjaśnił mi, co się stało. Zasiadliśmy do późnego śniadania. Popatrzyłam na ogrodzenie za prysznicem. Czy to rzeczywiście o tej dziurze mówił Martin? Bertil siedział tyłem do płotu i nie mógł tego widzieć - kolejnej dziury. Natychmiast tam podeszliśmy i szybko stwierdziliśmy, że złodziej wyciął jeszcze jedną dziurę, tuż za miejscem do zmywania, w budynku, w którym były prysznice.

- Nie mów nic Martinowi - polecił Bertil i spokojnie zabrał się do jedzenia.

Po kilku minutach Martin wrócił i zameldował:

- Nie ma więcej dziur w płocie.

Wymieniliśmy z Bertilem spojrzenia i mąż dodał:

- Martinie, sprawdź jeszcze raz, proszę - od tego miejsca aż tam.

Pokazał mu ogrodzenie od lewej strony w dół do generatora.

- Tylko patrz uważnie.

Nagle Martin zeszywniał i krzyknął:

- W płocie jest następna dziura.

- Tak, Martinie, w płocie jest jeszcze jedna dziura, której nie zauważyłeś.

Powiedziałeś nam przed chwilą, że nie ma ich już więcej - oświadczył oschle Bertil.

Gdy zobaczyłam zimny wzrok Bertila i jego zaciśnięte usta, cieszyłam się, że nie jestem Martinem.

- Uważasz, że dobrze sprawdziłeś płot? Zastanawiam się, czy zawsze tak pracujesz, pilnując naszej własności?

Martin aż się spocił.

- Martinie, czy uważasz, że dobrze wykonałeś zadanie? Czy myślisz, tak jak ja, że powinieneś otrzymać ostrzeżenie?

Martin nagle zbladł i odpowiedział:

- Tak, myślę, że powinienem.

Wręczyliśmy mu pisemne ostrzeżenie, podejrzewając, że i tak długo u nas nie popracuje.

Trochę później tego samego dnia pojawił się nasz wódz z Timothyem; streściliśmy im przebieg wydarzeń. Obaj stwierdzili, że po tylu godzinach, które minęły od kradzieży, złodziej jest już pewnie daleko i nie ma praktycznie żadnych szans na odzyskanie skradzionych rzeczy.

Byłam wykończona ciągłymi kradzieżami i całym tym zamętem. Czasami zastanawiałam się, czy są wokół nas jeszcze jacyś uczciwi ludzie. Zanim kogoś zatrudniliśmy, zawsze wcześniej wypytywaliśmy o niego albo wodza naszej wioski, albo wodza Timothyego, aby uzyskać ich akceptację i z reguły słyszeliśmy same pochlebne opinie. A mimo to ciągle zdarzało się to samo.

Nadeszła noc świętojańska. Tak bardzo tęskniłam za całą moją rodziną i za spokojnym, ciepłym wieczorem na tarasie w naszym letnim domku w Tyresó; z cudownym widokiem na jezioro i różnobarwnymi balonami, unoszącymi się nad lasami Naćka. Do tego jeszcze letnia przepyszna uczta - na przykład łosoś i na deser truskawki ze śmietaną. A do tego wytrawne wino.

Gdyby nie nasza nowa chata, poddałabym się. Jednak pomimo pewnych budowlanych niedoróbek czuliśmy się w niej szczęśliwi.

Rozdział 24.

Marynowany śledź i sznaps.

- Och, cóż za cudowny zapach - powiedział Bertil, wsadzając głowę do chaty.

Stałam przy piecu, przygotowując wielki rondel z przepyszną potrawką z mięsa. Zapach był naprawdę niebiański. Choć raz znalazłam: prawdziwą polędwicę wołową, marchewki, cebule i pomidory. W butelce została reszta bordeaux, którą wlałam do rondla.

Spodziewaliśmy się gości. Szwedzko-kanadyjska rodzina, znajomi jednego z braci Bertila, miała spędzić z nami kilka godzin. To nasi pierwsi goście w nowej chacie i czułam się bardzo dumna, że im ją pokażę.

Potrawka była gotowa; minęło kilka godzin. I ani śladu gości. W porze lunchu Milly przysłała spytać, czy pracownicy mogą wziąć sobie trochę gulaszu, bo goście jeszcze nie przyjechali. Zgodziłam się.

Około czwartej po południu usłyszeliśmy warkot samochodu i Bertil wybiegł na powitanie. Przyjechali. Pomyślałam sobie, że najwyraźniej postanowili wpaść tylko na chwilę, a nie na parę godzin, jak się spodziewałam.

Spacerowaliśmy po naszej działce i opowiadaliśmy o naszych planach. Byliśmy we wspaniałych nastrojach, a ja zastanawiałam się, czy niedługo nie zaczną zbierać się do wyjazdu, bo robiło się już ciemno. Może są głodni - pomyślałam. Postanowiłam podgrzać gulasz i ugotować do niego ryż. Na niebie zbierały się ciemne deszczowe chmury, więc stwierdziłam, że lepiej zjeść kolację w chacie.

- Milly - zawołałam.- Proszę cię, rozpal pod kuchnią i postaw rondel. Zaraz ugotuję ryż.

Podeszła do mnie, ociągając się, z niewyraźną miną.

- Kiedy gulaszu już nie ma. Pozwoliła nam go pani zjeść. Nic nie zostało.

Przestałam nad sobą panować.

- Spytałaś, czy możecie zjeść trochę gulaszu, a ja się zgodziłam. Chcesz mi powiedzieć, że we troje zjedliście potrawkę z trzech kilogramów mięsa i nie wiem nawet ilu kilogramów jarzyn? I co ja teraz zrobię?

Poczułam, że raptownie skoczyło mi ciśnienie. Kiedy patrzyłam na Milly, czułam ból i pulsowanie w skroniach. Odkąd zaczęła u nas pracować, tak bardzo utyla, że nie mogła dopiąć spódnicy.

Opowiedziałam gościom i Bertilowi, co się stało, i oświadczyłam, że niestety w domu nie ma nic więcej do jedzenia. Tylko się roześmiali, dodając, że przywieźli ze sobą mnóstwo specjałów, takich jak: szwedzki kawior, marynowane śledzie, ziemniaki, chrupki chleb czy sznaps. Powiedzieli, że zaraz je przyniosą, jak tylko pójdą do samochodu po pościel.

Pościel? Czyżby zamierzali zostać tu na noc? Tylko gdzie będą spali? - zastanawiałam się.

Przypomniałam sobie nagle, co napisała mi kiedyś matka, gdy mieszkali z ojcem w Sri Lance: „W tropiku ludzie nie przejmują się tak bardzo porządkiem i czystością. Materace można rozłożyć byle gdzie. Najważniejsze to kontakty z ludźmi.”. Będziemy musieli zrobić to samo.

Teraz rozpętała się prawdziwa wichura. Wspólnie opróżniliśmy samochód gości, targając ich rzeczy do chaty. Następnie w strugach deszczu pobiegłam do banda i ugotowałam nasz jedyny wkład do uczyty - jedno jajko i kilka ziemniaków. Mieliśmy też parę piw. Wrzuciłam do koszyka szklanki, talerze i sztućce i, przemoknięta wróciłam do nowej chaty. Miałam nadzieję, że nikt nie będzie musiał w środku nocy iść do toalety, bo wtedy trzeba będzie przemknąć się w deszczu przez całą posesję.

Spędziliśmy wspólnie wieczór, objadając się szwedzkimi przysmakami i śmiejąc do rozpuku. Rano goście wyjechali, a ja starałam się przemówić do rozsądku naszym pracownikom. Byłam wściekła, że zjedli cały rondel gulaszu. Zastanawiałam się jednak, czy to czasem nie moja wina. Powinnam była sama wydzielić im jedzenie.

Rozdział 25.

Budowa.

Aż miło było patrzeć, jak wrze robota na naszej działce. Prace nabrały tempa i rozmachu, odkąd zatrudniliśmy jeszcze jednego fundi i dodatkowych robotników. Na całym terenie ludzie ciosali, piłowali lub wbijali gwoździe. Przez bramę płynął potok ludzi pchających taczki lub rowery załadowane materiałami budowlanymi.

Biedny Bertil harował, starając się rozwiązać problemy logistyczne. Najtrudniej było z transportem. Musieliśmy jakoś przywieźć: drewno, cement, ścinki, beton, farbę i gwoździe. Korzystaliśmy z różnych środków transportu: naszego samochodu, cudzych aut i pikapów, rowerów, taczek, wreszcie rąk i pleców... Kiedy wszystko szło zgodnie z planem, nagle przychodziła ulewa i psuła Bertilowi szyki. Dostawca się zastanawiał, dlaczego nikt się nie pojawia, nasi budowlancy nie wiedzieli, dlaczego nie ma drewna, i tak w kółko. Oprócz czasochłonnej pracy z dowożeniem materiałów, Bertil musiał zorganizować transport trawy dla chaty numer dwa oraz zawieźć do lasu i z powrotem chłopców, którzy ją ścinali. Okazało się, że o tej porze roku w lesie jest mnóstwo trawy, postanowiliśmy zatem, że przy okazji chłopcy skoszą trawę na strzechę do trzeciej chaty.

Samochód krążył w te i wewte, a silnik nie miał kiedy ostygnąć. Na szczęście działał bez żadnych problemów, ale niestety palił jak smok, a to zwiększało koszty. Drogi były drogami tylko z nazwy; często lepiej było jechać poboczem. Nawet po zimie szwedzkie drogi pełne dziur i wybojów były gładkie jak stół, dlatego większość miejscowych aut była zdezelowana i rozpadała się na kawałki. Podczas deszczu samochody ślizgały się po drodze jak łyżwiarze na lodowisku i jazdę kończyły w rowie lub nad nim wisząc.

W budynku, w którym znajdowała się toaleta i prysznic, położono już rury i czekano tylko na zainstalowanie sedesów i natrysków. Pewnego dnia

stwierdziliśmy, że sufit budynku jest nachylony zbyt nisko, co oznaczało, że za prysznicami pozostanie nam duża niewykorzystana przestrzeń. Rozbiórka i przebudowa nie wchodziły w grę, więc musieliśmy potraktować to jako szczegół dodający pikanterii. Zbudowanie szamba pochłonęło mnóstwo czasu i pieniędzy, ale teraz było już gotowe i hydraulik obiecał, że możemy przyjmować gości przez dwadzieścia lat bez konieczności opróżniania go.

Po zakończeniu budowy kominka w restauracji natychmiast poprosiliśmy naszego zduna, żeby rozpalił ogień; chcieliśmy nacieszyć się ciepłem przy zimnej i deszczowej pogodzie. Zasiedliśmy na drewnianej podłodze na wprost płomieni. Było ciepło, przyjemnie, a nawet komfortowo.

Zawsze lubiłam zewnętrzne kominki obrośnięte pnączami, a teraz sama taki miałam. Petrus obiecał dostarczyć szybko rosnące pnącze, żeby obsadzić nim komin.

Wreszcie skończono prace nad drewnianą konstrukcją ścian w restauracji; teraz mogliśmy przekonać się na własne oczy, jak będzie wyglądać. Szeroki na trzy metry taras, z którego rozpościerał się wspaniały widok, biegi wzdłuż salonu i jadalni. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z harmonogramem, niedługo zorganizujemy przyjęcie z okazji otwarcia budynku. Innymi słowy, niewiele brakowało do zakończenia budowy naszego dużego domu.

Bertil naprawdę ciężko harował, nic dziwnego, że w końcu pojawiły się problemy ze zdrowiem. Nie przerwał pracy, ja jednak czułam się źle i musiałam się poddać i położyć do łóżka. Przyjmywałam różne lekarstwa, a mimo to ciągle miałam problemy z uszami, gardłem i do tego uporczywy kaszel. To pewnie przez tę wilgoć w powietrzu. Wkrótce miało się ocieplić, a ja liczyłam, że dzięki temu wyzdrowieję. Prawie każdego popołudnia i wieczora lał deszcz, ale zaczęły pojawiać się robaczki świętojańskie i słońce wschodziło wcześniej i coraz bardziej po prawej stronie sąsiedniego wzgórza, gdzie rosły eukaliptusy - nieomylny znak, że zbliża się pora sucha.

Nowe panele słoneczne okazały się prawdziwym krokiem naprzód. Wieczorem po słonecznym dniu mogliśmy obejrzeć film na wideo lub kilka godzin

poczytać przy świetle elektrycznym bez konieczności włączania generatora. Cóż za wspaniałe uczucie.

Musiałam zaczerpnąć łyk świeżego powietrza i niepewnie zwlokłam się z łóżka. Postanowiłam obejrzeć niewielki sklepik, który zbudowaliśmy tuż przy bramie. Właśnie został skończony i był prawdopodobnie najładniejszym sklepikiem spożywczym w całej prowincji: wykonany z pięknego drewna, wykończony blaszonym dachem. Miał dwa małe pomieszczenia, a jedno z nich wychodziło na publiczny plac po drugiej stronie płotu. Poza tym była tam zadaszona wartownia dla naszych askari. Njombo, syn naszego sąsiada, który wcześniej prowadził sklepik na działce swojego ojca, chciał go od nas wynająć. Budynek był na tyle duży, że mógł w nim mieszkać; cieszyliśmy się z tego, bo ojciec Njomba groził mu, że go zabije. W sklepiku moglibyśmy sprzedawać nasze owoce i warzywa, co byłoby dla nas bardzo korzystne.

Wracając ze sklepiku, zobaczyłam gromadę ludzi wychodzących od naszego sąsiada. Wyglądali na bardzo zadowolonych, w gazetach trzymali jakieś zawiniątka. Co się dzieje? - pomyślałam.

Daniel, nasz fundi, powiedział, że powiesiła się krowa naszego sąsiada. Pała się na stoku, po drugiej stronie doliny, wlokąc za sobą łańcuch. Nagle pośliznęła się i zjechała w dół, a łańcuch był przymocowany do drzewa. Nie mogła oddychać i się udusiła.

Krowę poćwiartowano, a mięso sprzedawano po okazyjnej cenie, więc mieszkańcy zjawili się masowo, żeby kupić co ładniejszy kawałek. Z drugiej strony doliny nadchodziła długa procesja ludzi spragnionych mięsa. Przechodzili przez strumień i wspinali się po stoku po naszej stronie. Wszyscy nieśli wielkie kawały mięsa.

Pracownicy byli bardzo męczący. Dlaczego nie potrafili zachowywać się jak dorośli? Cały czas się kłócili. Wzajemnie się oskarżali. Spiskowali, rozsiewali plotki. Ostatnio krążyła pogłoska, że Milly ukradła drewno, które nasi sąsiedzi planowali sprzedać.

Sytuacja stała się na tyle poważna, że pewnego dnia, kiedy byliśmy w mieście, pojawił się u nas zastępca wodza. Wspólnie z Timothyem, sąsiadami, którzy się zbiegli, i naszymi pracownikami, rozpoczął dochodzenie, by stwierdzić, czy rzeczywiście skradziono jakieś drewno. Wątpiliśmy w to, bo zawsze starannie sprawdzaliśmy jego stan. Jednak podczas gdy my uważaliśmy Milly za niewinną, ona rozpowiadała kłamstwa na temat Johannesesa. Nie chciała jeść, bo bała się, że z zemsty doda jej trucizny do lunchu. Nie wiedzieliśmy już, w co wierzyć. Milly niestety mocno zaniedbywała swoje obowiązki. W kuchni kompletnie nie stosowała się do naszych zaleceń, dlatego, jeśli w ogóle chcieliśmy coś zjeść, musieliśmy sobie sami ugotować. Niszczyła nasze ubrania w praniu, podczas zmywania tłukła talerze i szklanki. Swoją pracę wykonywała nonszalancko, a nawet niegrzecznie, zupełnie tak, jakby chciała nam pokazać, że jest przeciwna wszystkiemu, co nie jest typowe dla afrykańskiej wioski.

Dobrze, że w czasie weekendów zostawał z nami tylko jeden askari. Żadnych kłótni, żadnych prób mediacji. Byliśmy teraz panami na własnych włościach, a nie rodzicami łagodzącymi spory.

Rozdział 26.

Wolontariusze z Korpusu Pokoju.

Na naszym terenie mieliśmy teraz o jedną leśną kobrę mniej. Miała prawie dwa metry. Zabili ją nasi fundi, za co dostali od nas w nagrodę dwieście szylingów.

Nic nie mogłam poradzić na to, że węże mnie przerażały. W centralnej części naszej posiadłości mogłam chodzić i nie patrzeć cały czas pod nogi, ale gdzie indziej czułam się niepewnie i wołałam chodzić w kaloszach. Zastanawiałam się, w jaki sposób moja matka pozbyła się chorobliwego lęku przed węzami, kiedy przeprowadziła się z ojcem do Sri Lanki pod koniec lat sześćdziesiątych. Znajdowała węże nawet we własnej spizarce.

Już na samym początku powiedzieliśmy naszym pracownikom, że nie chcemy u nas żadnych gadów. Zaoferowaliśmy nawet nagrodę za zabicie każdego węża. Później zorientowaliśmy się, że pracownicy wielokrotnie wykorzystywali skórę tego samego węża, by wyłudzić od nas pieniądze - w ten sposób oszukano nas na dużą kwotę. Dlatego teraz wydaliśmy polecenie, żeby niechciany gad został porąbany na kawałki w obecności Bertila i dopiero wtedy wypłacaliśmy nagrodę.

Pewnego dnia przyszedł do nas z daleka pewien człowiek i przyniósł ze sobą dużą jutową torbę. Otworzył ją i wyjął olbrzymiego węża, którego położył na ziemi u moich stóp. Byłam zszokowana, a mężczyzna zażądał pieniędzy. Ogarnęła mnie wściekłość. Nic od nas nie dostał, ponieważ chcieliśmy pozbyć się węży jedynie z własnego terenu.

Zaczęliśmy martwić się naszą sytuacją finansową, kiedy zatrzymano nas podczas niespodziewanej kontroli drogowej. Policja znalazła w naszym land roverze wiele usterek i poleciła usunąć je w ciągu dwudziestu pięciu dni. Naprawa miała kosztować fortunę, choć wliczone w to były także prace lakiernicze i tapicerskie. Charlie był fantastyczny i pracował nad samochodem nieomal dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak więc mieliśmy nadzieję, że dostaniemy zieloną naklejkę (dowód, że policja zatwierdziła stan samochodu). Był to warunek konieczny, żeby dopuścić pojazd do ruchu od pierwszego lipca.

Życie bez samochodu było bardzo uciążliwe. Odżywialiśmy się głównie awokado, jajkami na twardo i warzywami z własnego ogródka. Nie chcieliśmy korzystać z matatu, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy wycofał się z pomocy finansowej dla Kenii i wszystkie ceny poszły ostro w górę. Mówiło się o czterdziestoprocentowym skoku cen w ciągu zaledwie jednego roku. Kurs w stosunku do korony wynosił 8,50 zamiast 6,50. Jak zwykle mieliśmy pecha - naprawa samochodu oraz zakup materiałów budowlanych na restaurację i chatę numer dwa przypadły akurat na moment, kiedy wszystko podróżowało.

We wrześniu spodziewaliśmy się wizyty pary poszukiwaczy złota ze Szwecji. Mniej więcej w tym samym czasie miał nas odwiedzić ponownie mój brat Per Erik. Do tego czasu prace budowlane musiały zostać zakończone. Nasi cieśle pracowali nonstop, nieomal przez okrągłą dobę, z kilkugodzinną przerwą na sen na drewnianej podłodze. Naprawę musieliśmy się spieszyć. Przed przyjazdem gości budynki musiały być gotowe.

Skończyła nam się woda pitna i musieliśmy ją skądś przywieźć. Tym razem postanowiliśmy skorzystać z baru przy asfaltowej szosie. W ten sposób mogliśmy przy okazji napić się piwa i przez chwilę odprężyć. W drodze do domu spotkaliśmy Europejczyka idącego w stronę lasu tropikalnego. Ponieważ był upał, a my się nie spieszyliśmy, zatrzymaliśmy się i zaproponowaliśmy, że go podwieziemy. Bardzo się ucieszył. Po chwili spotkaliśmy dwie białe dziewczyny wędrujące w tę samą stronę, więc je także zabraliśmy. Mężczyzna, izraelski ornitolog, znalazł wolny pokój w schronisku w lesie i został tam na noc. Dziewczeta chciały spędzić cały dzień u koleżanki, ale ponieważ akurat wyjechała, zaprosiliśmy je do nas na lunch. Z radością przyjęły zaproszenie i spędziły razem bardzo miły dzień. Dziewczyny były wolontariuszkami z amerykańskiego Korpusu Pokoju i mieszkały na północy. Jedna z nich miała uczyć mieszkańców nowej technologii pieczenia chleba w koszyku, to znaczy bez piekarnika i pieca. Druga uczyła uprawy roli.

Poznaliśmy już przy różnych okazjach wielu młodych ludzi z Korpusu Pokoju. Byli bystrzy i odważni. Mieszkali głównie na wsiach, gdzie mieli uczyć

lepszyc metod pracy. Dziewczyna, którą spotkaliśmy wcześniej po drodze z Mount Elgon, powiedziała nam, że po trzytygodniowym kursie suahili, zawieziono ją do wyznaczonej wioski, a w okolicy nie było żadnych białych. Niezłe wyzwanie.

Rozdział 27.

Poszukiwacze złota.

Kiedy się obudziłam, ciągle jeszcze byłam najedzona po wczorajszej kolacji, podczas której odbyła się inauguracja naszego nowego ceglanego grilla. Wspaniała konstrukcja z paleniskiem o wymiarach półtora metra na metr. Bertil upiekł na ruszcie soczyste duże steki oraz kilka zawiniętych w folię bananów w skórce. Smakowały jak pieczone kartofle. Następnym razem postanowiliśmy, że zawiniemy je w liście bananowca. Kolacja była naprawdę wyśmienita, chociaż Bertilowi trochę nie udało się sos bearnaise.

Nasi poszukiwacze złota mieli przyjechać za kilka dni, w związku z czym musieliśmy wypróbować jeszcze trochę dań. Prawdę mówiąc, nie jedliśmy jeszcze wszystkich warzyw, które wyhodowaliśmy. Teraz przyszedł na to czas.

- Milly, sprawdź, czy są na kolację słodkie ziemniaki. Możesz także przynieść bulwy manioku. Chcemy zobaczyć, jak wyglądają.

Jak zwykle nadąsana Milly powlokła się w stronę naszego warzywnika. Pożyczyliśmy jej pieniądze, żeby jeden z naszych cieśli zrobił solidne drzwi wejściowe do jej domu. Zawieźliśmy ją z nowymi drzwiami do domu, ale miałam wrażenie, że ona nigdy nie była zadowolona.

Po chwili wróciła i powiedziała nam prosto w oczy:

- Nie ma ani słodkich ziemniaków, ani żadnych bulw manioku.

- A potem po prostu odeszła.

Co u licha? Przecież na stoku opadającym do strumienia zasadziliśmy i słodkie ziemniaki, i maniok.

Porozmawialiśmy o tym z Bertilem, a następnie spytaliśmy Petrusa, co o tym myśli. Czy to możliwe, żeby cały zbiór się zmarnował?

- Nie - odpowiedział. - Ostatnio widziałem, że zarówno jedne, jak i drugie obrodziły. Wydaje mi się, że dziewczyna z drugiego krańca doliny, która pracowała tu sezonowo przy zbiorze kukurydzy, musiała je ukraść. W czasie przerwy na lunch

chodziła do domu nakarmić dziecko. Zawsze schodziła po zboczach i przechodziła przez strumień. Prawdopodobnie każdego dnia zabierała ze sobą warzywa.

Kompletnie nas zatkało. Czy ci ludzie stracili rozum? Daliśmy im pracę, a oni nas okradali. Miałam ochotę krzyknąć ze złości.

Denerwowałam się także z innego powodu. W poprzednim tygodniu, po dziesięciu tygodniach oczekiwania, naprawili nam telefon. Po kilku dniach, w czasie jednej z najgorszych burz ostatnich miesięcy, znowu się zepsuł. Co będzie, jeśli nasi goście zechcą do nas zadzwonić? Miałam tylko nadzieję, że byli w kontakcie z Per Erikiem, który miał przyjechać następnego dnia, i powiedzieli mu, gdzie i kiedy mamy na nich czekać.

Na kilka godzin przed przybyciem gości robotnicy pracujący w restauracji wpadli w panikę. Jeszcze stawiali ścianki i dopasowywali drzwi. Kiedy Bertil wyjeżdżał po gości, przypomniałam mu, żeby w drodze powrotnej odebrał zamówione okna. Stukot młotków ustał na dwie minuty przed powrotem Bertila. Robotnicy szybko wstawili przywiezione przez niego okna i restauracja była w końcu gotowa. Brakowało jeszcze pewnych elementów wyposażenia i dekoracji, ale z budynku można już było korzystać. Nieważne, że na naszej uroczej werandzie nie było balustrad. Można było przynajmniej na niej siedzieć.

Poszukiwaczy złota umieściliśmy w nowej chacie, a Per Erika wprowadziliśmy do naszego salonu. Zarówno mój brat, jak i nasi goście uznali, że Riverdale Gardens zasługuje na pięć gwiazdek. Też tak uważaliśmy. Nigdy nie wyobrażaliśmy sobie, że będzie aż tak dobrze. To już nie było obozowisko, tylko prawdziwy dom.

To właśnie poczucie przytulności oraz fakt, że nasz dom znajdował się nad położoną w dole kotłownią sprawiły, że wybraliśmy nazwę Riverdale. Zainspirowała nas książka J.R.R. Tolkiena *Hobbit*, w której autor opisał Rivendell jako piękne, baśniowe, pełne spokoju miejsce, w którym można spotkać się z przyjaciółmi i znaleźć odpowiedzi na dręczące pytania. Chcieliśmy, żeby w naszym domu panowała właśnie taka atmosfera, dlatego nadaliśmy mu prawie identyczną nazwę.

Rozdział 28.

Wioska Liburi.

O dziewiątej rano szliśmy wąską, krętą, zakurzoną drogą za kościołem w Wushiye. Bertil, Per Erik, dwóch naszych gości - Micky i Kenneth - oraz ja byliśmy w drodze do wioski Liburi. George, nasz stolarz, zaprosił nas do siebie, żebyśmy zobaczyli, jak wygląda prawdziwe życie w typowej afrykańskiej wiosce w Zachodniej Prowincji Kenii. O tej porze było jeszcze rześko, postanowiliśmy więc wybrać się piechotą, zamiast jechać samochodem. Po południu Charlie miał po nas przyjechać land roverem.

Z głównej szosy skręciliśmy w prawo, w niewielką boczną drogę. Była wąziutka jak leśna ścieżka, a mimo to jeździły nią samochody. Wkrótce mieliśmy już towarzystwo; eskortowała nas mała grupka dzieci, ciekawych, dokąd zmierzamy. Rzadko widywały białych ludzi. Zasypały nas gradem pytań:

- Dokąd idziecie? Dlaczego nie jedziecie samochodem? Odwiedzicie nas?

Kiedy dotarliśmy do rozwidlenia, już w Liburi, tworzyliśmy całkiem pokaźną grupę. George wyszedł nam na spotkanie i spytał ze śmiechem, czy ta cała dzieciarnia to także nasi goście. Odpowiedzieliśmy, że to nasi tymczasowi przewodnicy.

George zaprowadził nas do wioski otoczonej prostym drewnianym płotem. Wprowadził nas do krytej strzechą banda, w której urządzonej kuchni. Było ciemno. Dusił nas zapach unoszący się ze starego paleniska zrobionego z trzech położonych na ziemi kamieni. Ogień rozniecało się między kamieniami, a potem ustawiano na nich rondel i gotowano tradycyjne ugali. Komin był niepotrzebny, ponieważ dym ulatniał się przez strzechę. Dzięki temu można było wykurzyć insekty i inne niewielkie, ukrywające się w trawie, owady. Zdałam sobie sprawę, że kiedy mieszkaliśmy w naszej banda, nigdy nie rozniecaliśmy w środku ognia. I pewnie dlatego mieliśmy mnóstwo nieproszonych gości: karaluchy, świerszcze i małe domowe węże. George pokazał nam także banda, w której mieszkał z rodziną. Spali tam razem ze stadem bydła; dzięki temu mieli je w nocy na oku.

Później poszliśmy na główny plac w wiosce. Wielu mieszkańców już się tam zgromadziło. Niewątpliwie mogliśmy się spodziewać czegoś więcej niż samego zwiedzania wioski. Na ziemi ustawiono gliniany dzban i jakaś kobieta wlewała do niego gorącą wodę. George powiedział, że w dzbanie warzy się busaa - domowej roboty piwo z kukurydzy. Tylko mężczyźni mogli nieść dzban z piwem; zadaniem kobiet było wlewanie gorącej wody.

Wokół dzbana z piwem, na drewnianych balach, rozsiadło się mnóstwo ludzi. Wszyscy trzymali długie na półtora metra słomki zakończone filtrem, który sięgał do dzbana. Ludzie wciągałi do ust szarawą breję, śmiejąc się przy tym i żartując. George postawił na stole słoje z busaa, napoje bezalkoholowe i kilka butelek z jakimś przezroczystym płynem, po czym zaprosił nas na degustację. Micky miał na tyle odwagi, żeby spróbować trochę busaa, ale reszta wybrała coca-colę.

Przezroczysty płyn okazał się domowej roboty bimbrem wyprodukowanym z destylowanej busaa. Bertil był nim bardzo zaintrygowany; ostrożnie obwąchał jedną z butelek. Spodziewał się mocnej, nieprzyjemnej woni, charakterystycznej dla domowych spirytusów, a zamiast tego poczuł zapach podobny do tequili.

- Sami zrobiliśmy urządzenie do destylowania alkoholu - powiedział George i zniknął w chacie.

Niebawem wrócił razem z żoną. Taszczyli duży, gliniany dzban około metrowej wysokości. Ustawili go na podłodze, a na nim umieścili mniejszy aluminiowy pojemnik.

- A potem to uszczelniamy - ciągnął George i pokazał, jak przy pomocy gałganka uszczelniają połączenie między dzbanem a pojemnikiem.

Jeszcze mniejsze naczynie postawił na otworze w aluminiowym pojemniku, a na nim kolejne o wygiętym dnie. Całe ustrojstwo wyglądało na niezbyt skomplikowane, ale niewątpliwie produkowało całkiem czysty spirytus.

Wioskowi piwosze byli już zdrowo podchmieleni; rozpoczęły się śpiewy i tańce. Chcąc się popisać, Micky przyłączył się do zabawy. Wyciągnął niewielką racę sygnalizacyjną. Z puszkki wysypał na ziemię czarny proszek, a pośrodku umieścił flarę. Następnie wyciągnął małą buteleczkę i wylał z niej płyn na proszek. Z

pożyczoną dzidą w rękę zaczął wokół tego tańczyć. Po chwili z kupki zaczął unosić się dym, pojawił się płomień, od którego zajęła się raca i z sykiem poszybowała ku wierzchołkom drzew, gdzie rozbłysła czerwonym światłem. Ludzie zgromadzeni wokół naszego gościa zaniemówili i kompletnie oszołomieni wpatrywali się w białego czarownika. Żeby zaspokoić ciekawość mieszkańców wioski, Micky pokazał im pistolet sygnałowy, zwykle używany do wystrzeliwania rac świetlnych w celu wezwania pomocy. Załadował go ponownie, wycelował w górę i wypalił. Z sykiem, tak jak poprzednio, flara wystrzeliła i rozbłysła wysoko nad nami. Wszystkie dzieci były rozbawione i Micky skorzystał z okazji, aby rozdać im schowane w torbie słodycze.

Dołączyła do nas grupa miejscowych muzyków. Grali głównie na instrumentach perkusyjnych, między innymi na sukuti - bębnie zrobionym z pnia drzewa i metalowych części samochodowych. Używano wszystkiego, co robiło hałas. Przy pomocy tych prostych instrumentów, nasza lokalna kapela wspaniale grała, czemu towarzyszyła pieśń wykonana w lokalnym języku. Nastroj był wyśmienity.

Przyszedł George, żeby zaprosić nas na lunch. Co za niespodzianka. Weszliśmy za nim do domu. W ciemnym wnętrzu nakryto ceratą długi stół, a George i jego żona podawali jedzenie i picie. Obiad składał się z wieprzowiny, ugali i ryżu oraz napojów orzeźwiających i, oczywiście, piwa. Był bardzo obfity i smaczny.

Kiedy po lunchu wyszliśmy z banda, na dworze czekał już na nas Charlie. Wyglądał na zmartwionego.

- Co się stało, Charlie? - spytał Bertil.

- Chyba wjechałem na gwóźdź albo na coś ostrego. Mamy teraz flaka zamiast przedniej opony.

- Możesz po prostu zmienić koło, prawda? Przecież mamy zapasowe.

- Tak, ale lewarek został w domu. Używaliśmy go do podnoszenia kontenera.

Wszyscy mieszkańcy zgromadzili się wokół naszego land rovera. Szybko zorientowali się, co się stało. Podeszli do samochodu i wspólnymi siłami podnieśli

go tak, żeby Charlie mógł bez problemu zmienić koło. Po tym imponującym popisie siły podziękowaliśmy wylewnie naszym pomocnikom i gospodarzom, po czym ruszyliśmy z powrotem do domu, żegnani radosnymi okrzykami wszystkich mieszkańców wioski Liburi.

Wieczorem Per Erik wyjął kasetę wideo i pokazał nam film z minionego dnia: kobiety i mężczyźni palili fajki, pili przez długie słomki busaa i wykonywali tradycyjne tańce. To była impreza.

Pewnego dnia zabraliśmy Mickyego i Kennetha do Nianini na płukanie złota. Kiedy wieczorem zabieraliśmy ich z powrotem, byli zmęczeni, ale zachwyceni. Znaleźli całkiem sporo złotego piasku i świetnie się bawili, wypłukując kruszec razem z mieszkańcami.

Zostaliśmy zaproszeni przez naszych gości na pożegnalny obiad.

- Micky przygotował danie według przepisu, który poznał u Aborygenów w Australii - gotowaną na parze jagnięcinę. Idealne miejsce na przyrządzenie tego specjału znaleźli na dnie naszego przyszłego basenu.

A oto przepis: trzeba wykopać dużą dziurę w ziemi, po czym w poprzek otworu wrzuca się drwa i układa mnóstwo patyków. Na patykach ustawia się kamienie. Kiedy rozniecimy ogień, od płonących szczapek zajmą się patyki. Wtedy rozgrzane kamienie wpadają do dziury i tłumią ogień. Kawałki mięsa zawinięte w liście banana lub folię kładziemy na gorących kamieniach, a otwór przykrywamy drewnem. Następnie przysypujemy jamę ziemią, dzięki czemu otwór zostaje szczelnie zamknięty. Po dwóch, góra czterech godzinach, odsypujemy ziemię, usuwamy drewno i wyjmujemy zawinięte w liście mięso. Jagnięcina ma wtedy wyborny smak, jest delikatna, krucha i pyszna.

Rozdział 29.

Mamy wreszcie kamerdynera.

Podjemowanie gości to naprawdę wyczerpujące zajęcie, więc kiedy poszukiwacze złota wyjechali, cała nasza trójka - Bertil, Per Erik i ja - spędzała leniwie czas na naszej wspaniałej werandzie. Od czasu do czasu wchodziliśmy do środka, żeby rozniecić w kominku ogień - wtedy robiło się przytulnie. Choć, prawdę mówiąc, panował taki upał, że było to wcale niepotrzebne.

Uwielbiałam spacerować po naszej działce i podziwiać, jak całe nasze otoczenie robi się coraz ładniejsze. Mieliliśmy już działającą kuchnię z dwoma zamykanymi na zamek spiżarkami. Jadalnia była duża i przewiewna. W salonie panowała prawdziwie domowa atmosfera dzięki kominkowi, kilku fotelom i, oczywiście, mojemu fotelowi na biegunach.

Budynek restauracji pomalowaliśmy z zewnątrz białą farbą. Wzdłuż werandy biegła bambusowa balustrada. Blaszany dach mabati miał być czerwony. Świeże pnącza wznosiły się po kominie, a wokół werandy wisiały lampy naftowe.

Na stołach znajdowały się kompozycje kwiatowe. Do salonu wstawiliśmy brązowe półki na książki, na których poukładaliśmy nasze ulubione bibeloty. Kredensy wypełniały komplety szklanek i kieliszków oraz serwis dla ośmiu osób. Reszta leżała na razie spakowana w kartonach.

Zbudowaliśmy wiatę w miejscu do grillowania i wyflukiwania złota. Powstał cementowy basen dla początkujących poszukiwaczy. Niedaleko grilla wykopaliliśmy dziurę w ziemi, żeby przyrządzać mięso na sposób australijski, tak jak nauczył nas Micky.

Dotarły cztery pierwsze łóżka dla gości, a wkrótce przywieźli stoły i krzesła do jadalni - na początek dla ośmiu osób. Brakowało jeszcze paru drobiazgów, to i owo trzeba było poprawić, ale i tak było przytulnie.

Adam był prawdziwym kamerdynere - pomysłowym, przemysłowym i usłuznym. Był jednocześnie służącym i kucharzem - utalentowanym i starannym. Zawsze chciałam mieć kogoś takiego. Krzątał się po domu, zamiatał, sprzątał,

przygotowywał posiłki, czyścił. Wcześniej pracował u Europejczyków w Eldoret, więc wiedział, czego od niego oczekujemy.

Rano witał nas widok stołu nakrytego do śniadania - ze świeżymi ogórkami i pomidorami, pięknie pokrojonymi owocami, herbatą i kawą, płatkami zbożowymi i mlekiem oraz jajkami przygotowanymi na wszelkie możliwe sposoby. Ojciec Adama był kucharzem i syn chyba wiele się od niego nauczył.

Adam tak dobrze o nas dbał, że wreszcie przestała nam grozić śmierć głodowa. Po wielu miesiącach życia niczym na kempingu, w końcu żyliśmy niemal w luksusie.

Pewnego dnia pojechaliśmy z Per Erikiem na północ na całodniowe safari. Kiedy wróciliśmy o wpół do dziewiątej wieczorem, czekała już na nas wspaniała kolacja, pięknie nakryty stół, zapalone lampy naftowe i świece. Adam znowu ujawnił swoje talenty.

Tak, Adam był naprawdę wspaniały, ale ja chciałam, żeby był idealny, dlatego dużo czasu poświęcałam na doskonalenie jego umiejętności. Pod moim nadzorem nauczył się robić między innymi: zapiekanki ziemniaczane, tarty i zupy. Nie był za szybki ani w działaniu, ani w myśleniu, ale miał wrodzony dryg do gotowania. Potrafił tak przyrządzić banalną sałatkę, że wyglądała ładnie, a przy tym nadzwyczajnie smakowała, umiał także dobrać odpowiednie przyprawy. W odróżnieniu od innych Afrykanów z naszego otoczenia, którzy bali się próbować nowych nieznanymi potraw, on był szczęśliwy, kiedy mógł to robić. I chyba naprawdę wszystko mu smakowało.

Adam nagle ciężko zachorował na malarię. Byliśmy bardzo zaniepokojeni. Przez kilka dni leżał nieprzytomny, a my w tym czasie kursowaliśmy jak szaleni między domem a apteką w Kakamega, aby przywieźć lekarstwa i strzykawki. Po kilku niespokojnych dniach lekarstwo podziałało i, dzięki Bogu, Adam znowu stanął na nogi.

Podczas upałów ciężko było skupić się na pracy. Obecna pora sucha była znacznie gorętsza niż poprzedniego roku. W nocy, kiedy siedzieliśmy na werandzie przy świetle lamp naftowych, pot lał się z nas ciurkiem. W takich dniach ukojeniem

był porządny prysznic. Ponieważ cztery osoby musiały codziennie przez kilka godzin napełniać wodą zbiornik zaopatrujący prysznice i toalety, częste kąpiele były ekstrawaganckim wydatkiem. Żyliśmy więc jak milionerzy. Musieliśmy jak najszybciej doprowadzić wodę.

Choć, prawdę mówiąc, wąpiliśmy, czy kiedykolwiek uda się nam ją podłączyć. Pod koniec ubiegłego miesiąca położono niemal do końca rury od głównej drogi w Wushiye aż do terenu gminy, tuż obok naszej bramy. Obiecano nam, że wkrótce położą ostatni odcinek. Niestety, inżynier znowu coś źle obliczył i teraz rury kończyły się trzysta metrów przed naszą posesją. Jak zwykle minął wieki, zanim przywiozą brakujące rury.

Rozdział 30.

Tu nie ma IKEI.

Szwedzi zbyt wiele rzeczy przyjmują za pewnik - pomyślałam, siedząc na werandzie i czekając na stolarza. Oddałabym wszystko za sklep IKEA w Kisumu.

Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że takim problemem będzie znalezienie prostych drewnianych stołów i krzeseł do jadalni w naszej restauracji. Większość Szwedów niemal wychowała się na IKEI albo na OBS Interior. W Kenii takie sklepy istnieją tylko w dużych miastach, a i tam mają jedynie bardziej ekskluzywną i droższą kolekcję.

Odwiedziliśmy szereg warsztatów stolarskich w poszukiwaniu gotowych mebli stołowych, ale albo nie mieli nic odpowiedniego, albo cena okazywała się niezwykle wysoka, jakby podwyższona specjalnie dla Wazungu. Na szczęście pewien stolarz zaproponował, że wykona dla nas próbny komplet: stół i cztery krzesła za 1700 szylingów. Widać było, że to ręczna chałupnicza robota, meble miały jednak swój urok, więc zgodziliśmy się i zamówiliśmy kilka kompletów do jadalni.

Mieliśmy o czym myśleć - trzeba było dopracować mnóstwo detali. Ciężko pracowałam, szyjąc obrusy na stoły i zasłony do chat. W Kakamega znaleźliśmy ładny materiał, używany przez afrykańskie kobiety na spódnice, zwany kanga. Stwierdziłam, że będzie się świetnie nadawał na obrusy i zasłony, dzięki czemu nasz dom nabierze afrykańskiego klimatu.

Recepcja w głównym budynku była już gotowa. Przód kontuaru wyłożono pionowo przybitymi, polakierowanymi bambusami, a na wierzchu przylepiliśmy czarną, lśniącą płytę akrylową - zewnętrzną, bardzo cienką warstwę laminatu Perstorpa. Błat wyglądał naprawdę elegancko, choć był stosunkowo tani.

W Busia, niedaleko granicy z Ugandą, znaleźliśmy wykonane z ratanu i drewna fotele, odpowiednie zarówno na werandę, jak i do chat. Takie same, sprzedawane na naszym targu w Kakamega, były kilka razy droższe. Bertil pojechał zatem do Busia i załadował cały samochód meblami.

W chatkach dla gości przybiliśmy haczyki do zawieszenia luster, moskitier i lamp naftowych. Pokoje wyposażyliśmy również w: szafki, wazon, maty i obrazki. Kiedy stolarz dostarczył ostatnie łóżka dla gości, mogłam w końcu ułożyć na nich koce i bieliznę pościelową - oczywiście z IKEI. Byliśmy na tyle przewidujący, że jeszcze przed wyjazdem ze Szwecji kupiliśmy zapas kompletów pościeli: poszwy na kołdry, poszewki na poduszki i prześcieradła.

Nie chcieliśmy, żeby nasze psy przeszkadzały przyszłym gościom, więc zbudowaliśmy płot wokół nowej chatki, a także wokół naszej dawnej banda. W ten sposób psy miały dla siebie więcej przestrzeni, a jednocześnie nikomu nie wadziły.

Ponieważ jasnoniebieski kontener ustawiony pośrodku posesji był potwornie brzydki, pomalowaliśmy go na biało i z trzech stron obsadziliśmy krzewami męczennicy. Mieliśmy nadzieję, że w pewnym momencie zakryją to ohydztwo.

Aby przyciągnąć do nas gości i rozkręcić interes, musieliśmy umieścić informację przy większych drogach w okolicy. Nie mogliśmy oszczędzać na reklamie. Człowiek, który podjął się wykonania zlecenia, praktycznie cały czas był pijany. Malował napisy na znakach z błędami ortograficznymi albo opuszczał całe słowa. Zdarzało się, że zapominał rozplanować sobie miejsce. W rezultacie zaczynał malować napis wielkimi literami, a potem musiał je strasznie ścisnąć, żeby zmieścić tekst. Bertil wielokrotnie go prosił, żeby przerobił tablice. Poddaliśmy się w końcu i przyjęliśmy takie, jakie zostały wykonane. Postanowiliśmy, że później poprosimy prawdziwego fachowca, żeby je zrobił na nowo. Ciekawe, że nasze tablice, jako jedyne w okolicy, reklamowały słynny las tropikalny w Kakamega. Nawet Kenijskie Służby Dzikiej Przyrody (Kenya Wildlife Service - KWS) nie umieściły ani znaku informacyjnego, ani żadnej strzałki kierującej do niego.

Hotel nie może funkcjonować bez dobrych pracowników, dlatego zatrudniliśmy na okres próbny młodą dziewczynę - Veronicę. Mieszkała w banda niedaleko nas. Skończyła trzyletni kurs komputerowy w Nairobi. Chcieliśmy sprawdzić, czy nadaje się na recepcjonistkę i hostessę, kiedy zaczniemy przyjmować gości w hotelu. Była chętna do pracy, ładna i wydawała się inteligentna. Poprosiłam

ją, żeby w wolnym czasie spisała podstawowe wiadomości o lokalnych zwyczajach i obrzędach ludu Luhia z naszej wioski, które to informacje mieliśmy zamieścić w naszej broszurze.

W podobny sposób chcieliśmy wypróbować Bena, jednego z przewodników po lesie tropikalnym. Miał za zadanie spisać nazwy wszystkich ptaków, drzew i roślin w Riverdale Gardens i zabiegać o klientów. Młodzi okazali się przedsiębiorczy, wykształceni i gotowi do pomocy.

Niestety, musieliśmy wyrzucić Milly. Mieliśmy dowody, że była nieuczciwa, niedbała i leniwa. Już wcześniej wiedzieliśmy, że podkradała nam ubrania i wielokrotnie okłamywała. Wręczyliśmy jej już dwa pisemne ostrzeżenia. Nasza cierpliwość się skończyła, kiedy odkryliśmy, że ukradła osiemdziesiąt kilogramów kukurydzy przeznaczonej na obiady dla pracowników.

Zastąpiła ją mieszkająca na drugim końcu doliny Maria. Wcześniej pracowała u pewnej szwajcarskiej rodziny w Nairobi, mieliśmy więc nadzieję, że okaże się lepsza.

W okolicy dużo opowiadano o naszym hotelu. Przez cały tydzień przychodzili do nas goście: misjonarze, lekarze, przewodnicy po lesie tropikalnym, nauczyciele z miejscowych szkół, katolickie zakonnice. Wszyscy byli ciekawi i wyraźnie zachwyceni naszym miejscem.

Przyjeżdżali zobaczyć, co możemy zaoferować. Często powoływali się na przyjaciół, którzy odwiedzali nas wcześniej, najwidoczniej poczta pantoflowa była tu sprawdzoną metodą reklamy. Dużo czasu poświęcaliśmy na oprowadzanie gości. Uważaliśmy, że trzeba być miłym. Właściciele innych hoteli w okolicy - nasza konkurencja - także wpadali i prosili, żeby ich oprowadzić. My oczywiście już u nich byliśmy.

Pewnego popołudnia odwiedził nas leśniczy ze swoim przyjacielem. Oniemieli na widok restauracji, atrakcyjnej broszury dla gości, programu wycieczek i cenników, a już zupełnie zaskoczył ich widok pokoi. Nie mogli uwierzyć, że mamy telefon.

W końcu nadszedł czas na gości z innego kraju niż Szwecja. Zadzwonił mężczyzna i powiedział, że w szpitalu w Eldoret dostał od kogoś naszą ulotkę reklamową z mapką. Chciał przyjechać z żoną i trójką dzieci, by zwiedzić las tropikalny. Nigdy się nie pojawili, a my zapomnieliśmy poprosić ich o numer telefonu. Ten falstart był dobrą próbą przed premierą.

Rozdział 31.

Bułeczki z cynamonem.

Pogoda się zmieniła; nadszedł okres przelotnych deszczy. Prawie codziennie padało i trochę się ochłodziło, chociaż nie było zbyt zimno - ciągle jeszcze chodziliśmy w szortach i podkoszulkach.

Pewnego dnia padało bez przerwy przez sześć godzin i po dwudziestu minutach z naszego tysiącilitrowego zbiornika zaczęła się przelewać woda.

Oczywiście kwestia wody nadal pozostawała nierozwiązana. Ciągłe słyszeliśmy, że brakujące rury nadejdą w kolejnym tygodniu, ale jakoś się nie pojawiały. W tym momencie nie było to takie ważne, ponieważ specjalne rynny kierowały deszczówkę prosto do zbiorników.

W ostatni weekend października byliśmy rzeczywiście bardzo zajęci. W piątek przyjechały do nas trzy osoby, między innymi dyrektor nowego, luksusowego, nie otwartego jeszcze hotelu w Kakamega. Dwójka gości poprosiła o kolację i pokój na noc. Kiedy dyrektor zobaczył menu, zamówił kolację. Podaliśmy zupę pomidorową, kurczaka a la Riverdale z zapiekanką ziemniaczaną, a na deser - sałatkę owocową. Mimo dużego doświadczenia w branży hotelarskiej i gastronomicznej, żaden z nich nigdy wcześniej nie jadł takiej zapiekanki jak u nas. Bardzo im smakowało i wykrzyknęli:

- Pomyśleć tylko, że coś takiego można zrobić z ziemniaków!

W sobotę wieczorem kilku miłych Hindusów urządziło sobie rodzinny obiad w Riverdale. Świece, lampy naftowe i trzaskające płomienie w kominku tworzyły kameralny nastrój. Wspaniały trzydaniowy obiad z dobrym winem oraz kawą i ciasteczkami własnego wypieku sprawiły, że goście byli w siódmym niebie. Obiecali często nas odwiedzać.

- Kanelbullar!- ktoś wykrzyknął z entuzjazmem. - Czyja dobrze widzę? To bułeczki z cynamonem.

Młody, około dwudziestopięcioletni mężczyzna wskazał na stół w jadalni.

- Uwielbiam kanelbullar.

Na stole postawiliśmy herbatę, kawę i całą górę bułeczek z cynamonem. Wokół nich tłoczyło się siedmiu amerykańskich studentów medycyny. Zeszli właśnie z dachu mat atu, który przywiózł ich z odległego o sto kilometrów Eldoret. Młodzi zabrali się do pochłaniania smakołyków, a „cynamonowy chłopiec” powiedział mi, że ma szwedzkie korzenie, a jego matka piekła czasem kanelbullar.

Po rozgoszczeniu się w swoich pokojach, studenci zapakowali się do land rovera. Charlie zawiózł ich do lasu tropikalnego, gdzie czekał na nich Ben. Wszyscy byli zafascynowani lasem deszczowym, więc Ben chciał im opowiedzieć o właściwościach leczniczych niektórych roślin.

Wycieczka była niewątpliwym sukcesem. Po powrocie wszyscy mieli wspaniałe humory. Przed kolacją posiedzieli trochę przy piwie na werandzie.

Ciężko napracowaliśmy się podczas przygotowań. Kiedy przyjmowałam rezerwację, dowiedziałam się, że w grupie są osoby jedzące mięso, wegetarianie i weganie, dlatego musieliśmy szczególnie uważać. Bertil umieścił na półmiskach specjalne znaczki, żeby było wiadomo, co jest dla kogo.

Wieczorem studenci bawili się w różne gry. Kiedy na niebie pojawiły się gwiazdy, Bertil przyniósł wielki teleskop, za co dostał gorące brawa. Każdy chciał popatrzeć na niebo i Bertil spędził prawie całą noc na dworze razem z kilkoma miłośnikami gwiazd, którzy pragnęli nasycić się tym wspaniałym widokiem.

Następnego ranka mat atu wrócił po naszych gości. Spytałam jedną z dziewcząt, czy chcieliby dostać dynie. Mieliśmy ich cały stos pod drzewami eukaliptusowymi, a Amerykanie jadają przecież dynie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

- O tak, placek z dynią.

Zawołała kolegów i wspólnymi siłami zaczęli ładować dynie do samochodu. Machaliśmy im na pożegnanie, a studenci medycyny obiecali napisać o nas w książce z rekomendacjami wyłożonej w ich akademiku.

Rozdział 32.

Przyjeżdżają moi rodzice.

- Tam są - powiedział Bertil, wskazując na chodnik przy wejściu na Lotnisko Międzynarodowe w Kisumu. - Tutaj zaparkuj, Charlie.

Wyskoczyłam z samochodu, zygzakiem przemknęłam między samochodami na parkingu, a tuż za mną Bertil, i w ciągu sekundy już byłam przy nich. Płakałam jak bóbr i wyściskałam oboje. W końcu moi rodzice przyjechali nas odwiedzić. Byłam taka szczęśliwa.

Mój Boże, wyglądali na starych i zmęczonych. A może nie powinnam się dziwić. Mój ojciec przekroczył już osiemdziesiątkę, a mama była tylko dwa lata od niego młodsza.

Wyczałowaliśmy się i ruszyliśmy do samochodu, niosąc z Bertilem bagaże. Wcześniej poprosiliśmy Charliego, żeby poszedł z nami i zajął się walizkami, ale jak zwykle nie posłuchał i został w land roverze. Przeklęty chłopak! Bertil wyciągnął specjalne schodki, które zrobiliśmy, żeby pomóc rodzicom wsiąść do samochodu. Nie były potrzebne. Bez pomocy i uskarżania się weszli do środka. Pewnie przeciwycyli to przez lata spędzone w tropikach.

- Teraz pojedziemy do hotelu Imperial, żebyście zjedli śniadanie i trochę odpoczęli - powiedziałam. - Co się stało? Przecież mieliście przylecieć wczoraj i przenocować w Imperialu.

Rodzice powiedzieli nam, że samolot zatrzymano na lotnisku w Kairze na całą dobę z powodu awarii silnika. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu na lotnisku pojechali odpocząć trochę w Sheratonie. Kiedy dwadzieścia po piątej rano wylądowali w Nairobi, uznali, że najlepiej będzie polecieć od razu do Kisumu. Czuli się dobrze, choć byli bardzo zmęczeni.

Po kilku godzinach odpoczynku w Imperialu pojechaliśmy zrobić jeszcze zakupy w Nakumatt, nowo otwartym supermarkecie w Kisumu, w którym można było dostać absolutnie wszystko. Uwielbiałam go, bo mieli to, czego brakowało w Kakamega. Nawet łososia – choć w astronomicznej cenie. Zakupy w Nakumatt

więzały się z pewnym ryzykiem, ponieważ zdarzało się, że nieopatrznie robiłam nieplanowane sprawunki za kilka tysięcy szylingów.

Zrobiliśmy zakupy i byliśmy wreszcie z moimi rodzicami w drodze na północną półkulę. Pragnęli jak najszybciej zobaczyć nasz raj.

Przez całą drogę paplaliśmy bez przerwy. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia i cieszyliśmy się, że to Charlie prowadzi i nic nie rozumie po szwedzku. Opowiedzieliśmy rodzicom o naszych problemach z pracownikami. Zwolniliśmy Milly, a ona złożyła skargę w miejscowym urzędzie pracy, domagając się od nas odszkodowania. Już raz się spotkaliśmy z dość aroganckim urzędnikiem. Był wtedy z nami Timothy, który chciał nam pomóc. Kolejne spotkanie miało się odbyć za kilka dni. Do wodza i jego zastępcy, zarówno w naszej wiosce, jak i w wiosce Milly, wystosowaliśmy długie listy ze szczegółowymi wyjaśnieniami, jakich wykroczeń się dopuściła. Milly miała jakieś układy z Thomasem, jednym z naszych nocnych askari. Kukurydzę, którą nam ukradła, trzymała u niego w domu, więc i jego postanowiliśmy odprawić. Bertil musiał teraz sam pilnować domu i samochodu. Spał dlatego na podłodze w restauracji, samochód zaś stał pod oknem. Lukę natomiast sprawował wartę w dolnej części posesji.

Człowiek z urzędu pracy utrzymywał, że złamaliśmy prawo, pożyczając pieniądze naszym pracownikom. Nie wolno pożyczać więcej, niż wynosi równowartość jednego miesięcznego wynagrodzenia. Nieważne, że pożyczając pieniądze, chcieliśmy im pomóc. Powiedział także, że zatrudnianie ludzi bez pośrednictwa urzędu pracy jest nielegalne. Według tego, co mówił urzędnik, wielokrotnie złamaliśmy prawo. I nieistotne było to, że niewielu zatrudnionych w tym rejonie traktowano tak dobrze, jak my naszych pracowników. Otrzymywali przynajmniej dwukrotność minimalnej pensji i korzystali z wielu różnych świadczeń.

Rodzice bardzo nam współczuli. Nie chcieliśmy ich straszyć, więc nie mówiliśmy im, że ten urzędnik to jakiś krewny Milly. Timothy ostrzegł nas, że rodzina Milly to niezłe rzezimieszki i musimy uważać, bo mogą nas nieoczekiwanie odwiedzić w nocy. Moi rodzice nie musieli o tym wiedzieć.

Powiedzieliśmy im także, że Charlie się objęła i na wszystko narzeka. Występował się ogrodnikami, nie można mu było zwrócić uwagi i opowiadał wszystkim, że za dużo pracuje i za mało zarabia.

Miałam wrażenie, że rodzice wyglądają na wykończonych, więc daliśmy im spokój. Niech trochę wypoczną, pomyślałam, choć wcale nie było to łatwe w aucie podskakującym na wybojach i wpadającym w wielkie dziury na drodze.

W końcu dojechaliśmy do domu i, jak wszystkich gości, zabraliśmy ich od razu na werandę, żeby pokazać roztaczający się stamtąd wspaniały widok na okolicę. Podaliśmy zimne piwo, a shamba boys zanieśli bagaże do chaty numer jeden. Potem krótki odpoczynek, a po południu mała wycieczka po Riverdale Gardens.

- Och, jak tu ślicznie! - wykrzykiwała wielokrotnie mama. -Prawdę powiedziawszy byliśmy nieco zaniepokojeni, bo widzieliśmy film, który Per Erik nakręcił w kwietniu. Tyle tu zmian!

Jeszcze drinki przed wspaniałą kolacją, a potem położyłam rodziców spać. Byłam szczęśliwa, że wreszcie są ze mną.

Po kilku minutach ja też poszłam do łóżka. Musiałam położyć się wcześniej, bo znowu miałam malarię, choć powoli zaczynałam dochodzić do siebie. Ostatni atak dopadł mnie podczas afery z facetem z urzędu pracy. Nagle dostałam wysokiej gorączki i potwornie rozboleła mnie głowa. Nie chciałam, żeby rodzice się dowiedzieli, jaka jestem słaba, musiałam więc robić dobrą minę do złej gry i wziąć się w garść. Ale na razie chciałam odpocząć.

Cieszyłam się, że rodzice u nas byli, kiedy przyjeżdżali do nas goście. Rodzice byli bardzo otwarci, łatwo nawiązywali kontakty, znacznie lepiej niż ja i Bertil. Goście pewnie uważali nas za dość egzotyczną rodzinę, kiedy słuchali naszych opowieści o dalekich zakątkach świata. Mój tata był w centrum uwagi. Naprawdę chciałam, żeby napisał książkę o tym, co przeżył podczas swoich licznych podróży po świecie.

Bardzo rzadko spotykaliśmy Europejczyków. Mieszkaliśmy na wsi, na odludziu, i trudno było prowadzić ożywione życie towarzyskie. Nie chcieliśmy zostawiać naszej posiadłości na całą noc, a nie mogliśmy wracać do domu po

zmroku, bo na drogach o tej porze było niebezpiecznie. Tęskniliśmy za ludźmi, więc cieszyliśmy się z niespodziewanych gości. Wpadli do nas na lunch europejscy lekarze ze Szpitala Misyjnego. Starsza pani - Amerykanka badająca zwyczajnie małp w lesie tropikalnym - chciała kiedyś skorzystać z naszego telefonu. Usłyszał o nas urodzony w Kenii Anglik i przyjechał nas odwiedzić...

Wieczorami, kiedy nie mieliśmy gości, snuliśmy plany i rozmawialiśmy o naszej przyszłości w Kenii. Rodzice byli prawdziwą skarbnicą wiedzy i teraz dzielili się z nami swoimi doświadczeniami. Wiele lat spędzili w tropikach, dlatego doskonale rozumieli nasze problemy i wielokrotnie podpowiadali nam całkiem trafne rozwiązania. Podobnie jak my w Kenii, oni mieszkali w Sri Lance z dala od cywilizacji i bez żadnego wsparcia. Wiedzieli więc, jak dodać nam otuchy, żebyśmy znaleźli siłę w momentach rozczarowań i kryzysów.

Bertil cieszył się, że wreszcie ma z kim dyskutować na temat rozwiązań technicznych. Dokładnie omówili z moim ojcem szczegóły budowy pierwszej i drugiej chaty tak, aby uniknąć ewentualnych błędów przy powstawaniu kolejnej. Problemy, które czasem się napotyka przy pracach budowlanych w tropikach, stały się tematem długich, a przy tym czasem i zabawnych, opowieści. Ojciec wiele się nauczył, pracując w Sri Lance i w Etiopii, gdzie, między innymi, budował szkoły, natomiast Bertil wciąż gromadził doświadczenia dzięki ciężkiej pracy.

Na przykład, drewno nie zawsze miało średnicę zgodną z naszym zamówieniem - nawet kiedy kupowaliśmy w tartaku w mieście. Nie zauważyliśmy tego, póki nie zaczęliśmy układać podłogi w restauracji. Każda deska miała inne wymiary, dlatego nigdy nie spełniły się nasze marzenia o pięknej, idealnie równej podłodze. Poza tym musieliśmy tłumaczyć naszym budowlańcom, co to znaczy jakość i estetyka wykończenia. Daniel zrozumiał w końcu, o co nam chodzi, ale poświęciliśmy na te dyskusje dużo czasu.

Kolejnym problemem był czasochłonny transport drewna: pnie rżnięto na mniejsze kawałki w miejscu, w którym ścięto drzewo, czasem bardzo daleko od drogi. Bale trzeba było przenosić, a ponieważ twarde drewno jest dość ciężkie, często do przeniesienia jednego bala potrzebowaliśmy aż dwóch silnych mężczyzn.

Czasem na realizację zamówienia czekaliśmy kilka dni i dostawaliśmy nie wysuszone drewno. Ku naszemu zdziwieniu dostrzegliśmy pewnego razu szerokie szpary między deskami podłogowymi - po prostu drewno się skurczyło.

Dużo rozmawiałam z mamą. Pomogła mi przy rozpakowywaniu reszty kartonów z kontenera. Wyciągnęliśmy wiele ciekawych rzeczy. Okazało się na przykład, że mam cały stos wieczorowych i koktajlowych sukni, które trzeba było przewietrzyć. Gdzie do diabła miałam je nosić? Kiedy się wywietrzyły, spakowałyśmy je ponownie do kartonu i nie mogłyśmy się nadziwić, jaka kiedyś byłam szczupła.

W listopadzie padało jeszcze bardziej niż w październiku, jeśli to możliwe. Lało całymi godzinami; nasze zbiorniki na wodę przelewały się niemal codziennie. Czasami w ogóle nie widywaliśmy słońca; inaczej niż w porze deszczowej na wiosnę. Wszystko było przesiąknięte wilgocią. Parasole, kalosze i płaszcze musiały leżeć zawsze pod ręką. Chociaż kupiliśmy ponad tuzin ogromnych parasoli używanych w czasie gry w golfa, ciągle nam ich brakowało. Co rusz musieliśmy jeździć do miasta po nowe. Trzeba było także kupić kalosze dla moich rodziców. Spryt miejscowych złodziei parasoli doprowadzał mnie do szału. Pewnego dnia ojciec rozmawiał przy bramie z Danielem.

Wbił swój parasol w ziemię, jakieś pół metra z tyłu. Nagle okazało się, że zniknął.

Zauważyliśmy jednak istotną różnicę w porównaniu z naszą pierwszą porą deszczową: było znacznie mniej błota. Trawa przetrwała suszę i w rezultacie błoto nie spływało już potokiem po stoku. Wodę wchłaniały rośliny. Drzewa, krzewy i kwiaty wystrzeliły w górę i ogród piękniał w oczach.

Kiedy nadeszły ulewne deszcze, od razu stwierdziliśmy, że postawienie szklarni było wielkim błędem, na dodatek bardzo kosztownym. W trakcie pory deszczowej została prawie doszczętnie zniszczona. Folia polietylenowa porwała się i musieliśmy ją ściągnąć, zanim woda i wiatr rozniosły skrawki po całej okolicy. Popełniliśmy wielki błąd konstrukcyjny; szklarnia była po prostu za duża: miała ponad dwieście metrów kwadratowych. W rezultacie dach był za mało spadzisty. W

czasie deszczu zbierała się na nim woda i pod jej ciężarem pękała folia. Poza tym postawiliśmy szklarnię w miejscu narażonym na podmuchy wiatru, które wciskały ściany do środka. Wszystkie pomidory zaatakowała pleśń i trzeba je było wyrzucić. I tak runął nasz kolejny piękny projekt - tylko tym razem sami sobie byliśmy winni.

Rozdział 33.

Boże Narodzenie w naszej wiosce.

Nadszedł grudzień, co oznaczało, że minął prawie rok od naszego przyjazdu ze Szwecji. Tyle rzeczy zdarzyło się w tym czasie; wiele dobrych, ale też o wiele więcej złych, niż mogliśmy sobie wyobrazić.

A oto nasze ostatnie pechowe zdarzenie: nawalił generator. Często korzystaliśmy z elektrycznego piekarnika. Jak mieliśmy gotować obiady dla naszych gości? Kiedy nazajutrz po awarii naszego generatora byliśmy z Bertilem w Kakamega, poszliśmy do sklepu żelaznego i opowiedzieliśmy hinduskiemu właścicielowi, jaki mamy kłopot. Uroczy Hindus natychmiast zaproponował, że pożyczy nam swój generator, na co zresztą liczyliśmy. Jeden problem z głowy.

Tygodnie mijały błyskawicznie i nadszedł czas, żeby zawieźć moich rodziców do Kisumu, skąd mieli odlecieć do Sztokholmu. Ich wyjazd bardzo mnie przygnębił. Czułam się taka szczęśliwa, kiedy byli w Riverdale Gardens. Rodzice, bawiąc u nas, byli tacy ożywieni, świetnie się czuli i pomagali nam dekorować, sprzątać, planować i rozwiązywać doraźne problemy. Na pożegnanie podarowali nam kolejnych sześć paneli słonecznych i transformator. Mieliśmy więc teraz dziesięć paneli słonecznych. Mieliśmy nadzieję, że wystarczy nam energii przynajmniej na potrzeby zamrażarki i lodówki, oczywiście, jeśli tylko słońce pojawi się na dłużej.

Nadszedł trzynasty grudnia, dzień Świętej Łucji, uroczyste obchodzony w Szwecji. Nie mieliśmy co prawda grzanego wina, ale za to pod dostatkiem szafranowych bułeczek i pierniczków. Wieczorem odpoczywaliśmy przy szklaneczce whisky i chipsach krewetkowych, na świątecznym obrusie postawiłam zapalone świece. W świetle księżycy bananowce wyglądały jak ośnieżone. Bertil obserwował z werandy rozgwieżdżone niebo. Do Ziemi zbliżał się rój meteorytów i mój mąż nie chciał przegapić tego zjawiska.

Jak zwykle nasze problemy z pracownikami nie miały końca. Charlie zawałał wszystkie sprawy, a urząd pracy słał nam kolejne pisma.

Najprawdopodobniej Milly domagała się ogromnego odszkodowania, ale nie byliśmy tego pewni, bo odkładaliśmy otwarcie listów na później. Pewnej nocy Luke'a, jednego z naszych nocnych askari, który należał jednocześnie do wioskowej starszyny, zaatakował jego własny brat. Otóż Lukę próbował pogodzić skłóconego z żoną brata, a ten walnął go w głowę drewnianą pałką. Początkowo nie wiedzieliśmy, czy doznał uszkodzenia mózgu. Przerazał nas ten absolutny brak szacunku dla ludzkiego życia.

Przez ponad tydzień gościła u nas nasza przyjaciółka Karin. Przeżywała ostatnio jakiś stresujący okres, więc po przylocie tylko spała, odpoczywała i jadła. Dopiero po tygodniu poczuła się lepiej. Chodziłyśmy razem na niezbyt długie spacerki, próbowałyśmy uzyskać różne roślinne barwniki, przygotowując wywary z kwiatów i liści. Chciałyśmy też sprawdzić, czy uda nam się zrobić własną herbatę Earl Grey, przy pomocy olejku z bergamotki, kupionego za ciężkie pieniądze w Nairobi. Liście pochodziły z plantacji herbaty sąsiadów. Gdyby udało się nam stworzyć własną herbatę Earl Grey, miałyśmy jeszcze zamiar poeksperymentować z herbatkami z hibiskusem i cynamonem. Przyjemnie mieć cały asortyment herbat dla siebie i gości. Chociaż Kenia jest ważnym producentem herbaty, w lokalnych sklepach można dostać niestety tylko jeden gatunek i to o nie najlepszym smaku.

Poza Karin odwiedziła nas także Ann, nasza znajoma z Nairobi. Przyjechała razem z rocznym synkiem i nianią. Zajęli naszą starą banda i zdaje się, że byli zadowoleni.

Trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia George przywiózł trzykilową szynkę i żeberka. Przy pomocy strzykawki zapekowaliśmy szynkę. Zrobiliśmy tradycyjne danie, tak zwaną „pokusę Janssona” (krojony śledź, ziemniaki i cebula zapiekane w śmietanie) oraz inne świąteczne specjały, korzystając z przysmaków przywiezionych ze Szwecji przez rodziców i Karin. Oczywiście mieliśmy grzane wino i ciasteczka imbirowe. Przystroiliśmy odświętnie dom, ale przyrzekliśmy sobie nie wręczać prezentów.

Przerwaliśmy wszystkie prace budowlane na kilka dni przed świętami. Nasi pracownicy urządzali przyjęcia dla krewnych, często aż dla 40-50 osób, i chcieli

mieć trochę wolnego czasu na przygotowania. Prezenty świąteczne daliśmy im więc trochę wcześniej: pieniądze, kilka kilogramów mięsa i trochę warzyw. Nawet Kabeji, stary, uparty i skorumpowany facet od wodociągów z Wushiye, dostał od nas prezent świąteczny i ciepły koc.

Wigilię Bożego Narodzenia rozpoczęliśmy od śniadania w formie szwedzkiego stołu. Słuchaliśmy kolęd w wykonaniu Binga Crosbyego. Do prawdziwie świątecznego nastroju brakowało tylko śniegu. Po południu wystawiliśmy stół na werandę, a sami przebraliśmy się w szorty i podkoszulki. Mieliliśmy prawie wszystko, co powinno znaleźć się w Boże Narodzenie na szwedzkim stole: śledzie marynowane, pokusa Janssona, żeberka z grilla i szynkę. Do tego sznaps, białe wino, grzane wino i szwedzki poncz. Bertil właśnie nakładał sobie śledzie, lał się sznaps, kiedy przywieziono nasz naprawiony generator. Prawdziwy prezent świąteczny!

Ulewa i burza przegoniły nas z werandy. Z pełnymi talerzami i kieliszkami przenieśliśmy się do salonu i dalej uctowaliśmy, siedząc przed płonącym kominkiem. Zapaliliśmy lampy naftowe i świece. Na stole królował mój malutki, przekazywany w rodzinie z pokolenia na pokolenie, drewniany święty Mikołaj. Cyprys udawał choinkę; naprawdę wyglądał jak miniaturowy świerczek.

W Boże Narodzenie poszliśmy z Karen do katolickiego kościoła na poranną mszę. Potem pojechaliśmy do Wulushi i tam wstąpiliśmy do kilku innych kościołów, wysłuchaliśmy konkursów śpiewu i obejrzałyśmy pokazy tańca na ulicach. Mieszkańcy byli niezwykle muzykalni. Cieszyliśmy się, że mogliśmy zobaczyć i posłuchać ich występów.

W drugi dzień świąt poszliśmy z Bertilem do wioski oglądać konkursy rodzinne w pobliskiej szkole. Poproszono, żebyśmy usiedli na honorowych miejscach obok proboszcza. Zgadnijcie, kogo wybrano, by wręczał nagrody? Oczywiście, Bertila. Wręczał około stu osobom filiżanki, plakietki, mydła, pasty do zębów, pudełka zapalek i wszystkim serdecznie ścisnął dłonie. Nagrody przyznano za pierwsze miejsce w przeciąganiu liny, wyścigach w workach, biegach z pełną wodą butelką po fancies na głowie, wyławianiu ustami pomarańczy z wypełnionej

wodą miski oraz innych podobnych konkurencjach. Przypominało to szwedzką sobótkę.

Pewnego dnia, gdzieś między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, poczuliśmy, że potrzebujemy chwili relaksu. Postanowiliśmy udać się na Lirhanda Hill, wzgórze w środku lasu. Nie ma nic lepszego od lasu tropikalnego, by odświeżyć umysł. Pojechaliliśmy tam boda boda, rodzajem rikszy, a właściwie zwykłym rowerem z tapicerowanym bagażnikiem do przewożenia ludzi - nawet dość wygodnym. Po prostu siedzisz i tylko na zakrętach musisz przechylać się w odpowiednią stronę. Po wstrząsach na wyboistej i kamienistej drodze po pewnym czasie boli pupa.

Przechadzaliśmy się po wzgórzu, szukając ciekawych kamieni. Podobno ktoś wiele lat temu znalazł tam całkiem sporą grudkę złota. Może tym razem nam się poszczęści. Chłopcy od boda boda mieli przyjechać po nas o trzeciej. O wpół do trzeciej niebo pociemniało i ewidentnie zanosilo się na deszcz. Stwierdziliśmy, że chłopcy pewnie nie przyjadą, więc postanowiliśmy ruszyć piechotą do domu; w najgorszym wypadku to dziesięciokilometrowy spacer. Nie zaszliśmy daleko, kiedy lunęło jak z cebra - to była potężna tropikalna ulewa. W ciągu kilku minut wyglądaliśmy jak zmokłe kury, ale ponieważ z doświadczenia wiedzieliśmy, że po krótkim deszczu zaraz się rozpogodzi, szliśmy dalej. Po pół godzinie, tak jak się spodziewaliśmy, już grzało słońce. Niedługo potem spotkaliśmy nasze bardzo spóźnione boda boda. Podczas jazdy wysuszyło nas gorące powietrze, kiedy z obolałymi pupami podskakiwaliśmy na bagażnikach.

Rozdział 34.

Wybory w Kenii.

Szwedzka ambasada ostrzegła wszystkich Szwedów mieszkających w Kenii, że w związku z wyborami może dojść do zamieszek. Dlatego, w miarę możliwości, postanowiliśmy siedzieć w domu.

Wcześniej przebywało u nas kilku gości, ale już wyjechali. Na razie, pomimo naszej akcji reklamowej, nie było żadnych turystów na horyzoncie. Pogoda nie zachęcała do podróży, szczególnie po lokalnych drogach. Kampania wyborcza też się pewnie do tego przyczyniła. Wierzyliśmy, że w przyszłości będzie lepiej.

Wybory poprzedziła partyjna propaganda prawie taka sama jak w Szwecji: głośniki na samochodach, plakaty i reklamy telewizyjne. Czytaliśmy w gazetach o bójkach i zamieszkach w innych częściach kraju, ale na szczęście były to tylko sporadyczne przypadki w Prowincji Zachodniej. Tak było do momentu ogłoszenia, że w wyborach zwyciężył parlamentarzysta z Wulushi, z ramienia KANU. Potem okazało się, że zwycięzca sprzeniewierzył astronomiczne sumy z funduszy partyjnych, by kupić głosy wyborców. Interweniował nawet sam prezydent i ogłosił zwycięzcą drugiego kandydata, naszego dotychczasowego przedstawiciela w parlamencie.

Skończyło się zamieszkami w Wulushi i zniszczeniem samochodów należących do zwycięzcy. Interweniowały oddziały prewencji. Z naszej werandy słyszeliśmy, jak policja oddała strzały ostrzegawcze. Następnego dnia było już cicho, ale opowiadano, że wiele osób zostało rannych lub zabitych. Na szczęście były to fałszywe pogłoski.

Dwudziestego dziewiątego grudnia odbyły się wybory prezydenckie. Ze względu na problemy z kartami do głosowania oraz z pogodą, w niektórych miejscach przedłużono wybory do trzydziestego grudnia. Sklepy i urzędy były zamknięte, a nasi pracownicy dostali dzień wolny.

Wulushi, wcześniej silny okręg wyborczy KANU, zmienił się teraz w zwolenników FORD - Kenia. Na szczęście, wybory przebiegały dużo spokojniej i w

większym porządku, niż się spodziewano. Jednak kilku liderów opozycji nie pogodziło się z wynikami. Dobrze, że osoby znane i cieszące się społecznym autorytetem zaapelowały do wicherzycieli, by uszanowali wynik, który powinien być traktowany jako wyraz woli Kenijczyków.

W dniu wyborów Karin zachorowała; dostała silnej biegunki i gwałtownych torsji. Ponieważ w okolicy zdarzały się wypadki cholery, zawieźliśmy ją do szpitala. Lekarz stwierdził, że jest odwodniona i postawił diagnozę: albo to cholera, albo ameba. Na wszelki wypadek wołał zatrzymać ją w szpitalu na kilka dni. Biedna Karin, sama w afrykańskim szpitalu, gdzie nie miała nawet do kogo ust otworzyć. Musiało jej być ciężko, a co gorsza, miała pozostać tam na Nowy Rok.

Kiedy Karin była w szpitalu i Ann podtrzymywała ją tam na duchu, odwiedziła nas rodzina z Kakamega. Bardzo sympatyczni ludzie. Zona była Hiszpanką, a mąż Kenijczykiem. Elena opowiadała nam o swojej największej życiowej pasji - roślinach. Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań, co na bardzo ucieszyło - dobrze jest mieć przyjaciół w okolicy. Byliśmy zachwyceni, kiedy Elena zaproponowała, żebyśmy odwiedzili ich, kiedy będziemy w mieście.

W sylwestra wszyscy byliśmy osowiali. Wznieśliśmy toast za zdrowie Karin. Mieliśmy nadzieję, że niedługo zabierzemy ją ze szpitala. Nikt z nas nie miał nastroju do zabawy, byliśmy zmęczeni, więc poszliśmy do łóżka jeszcze przed północą. We wsi nie było żadnych fajerwerków. Tu ludzi nie stać na takie ekstrawagancje.

Mieliśmy nadzieję, że rok 1998 okaże się lepszy: dla nas i dla mieszkańców wioski.

Rozdział 35.

Efekt El Nino.

Ciągle nie było słońca, choć od dawna powinniśmy już mieć porę suchą. Wciąż nie mogliśmy korzystać z paneli słonecznych. W tym roku El Nino uderzył szczególnie mocno, przyniósł ze sobą ulewne deszcze i powodzie. W różnych rejonach kraju uszkodzone zostały drogi, wodociągi, zawaliły się mosty. Gazety donosiły, że trzy lata zabierze odbudowa zrujnowanej infrastruktury. Zniszczone zostały wielkie obszary kraju, ludzie stracili dach nad głową, szerzyły się epidemie. Spodziewano się kiepskich zbiorów, kolejnej klęski głodu oraz plagi moskitów roznoszących malarię. Sytuacja była tak tragiczna, że Kenia poprosiła o nadzwyczajną pomoc z zagranicy.

Tutaj, w górach, byliśmy pewnie w lepszej sytuacji. Woda szybko spłynęła, ale drogi do Kakamega były miejscami nieprzejezdne.

Tuż po Nowym Roku jednak się wypogodziło, wyszło słońce i zrobiło się pięknie. Kiełkowała trawa, kwiaty i drzewa także budziły się do życia. Zasiałiśmy dużo nowych roślin i cieszyliśmy się już z pierwszych obfitych zbiorów warzyw. Nawet gdyby miała się spełnić przepowiednia dotycząca klęski nieurodzaju, my nie głodowalibyśmy.

Karin wyszła już ze szpitala. Wyleczono ją z amebozy i wkrótce w pełni odzyskała zdrowie. Na szczęście nie miała cholery, czego początkowo obawiali się lekarze.

Bertil cały czas pracował nad zapewnieniem nam większego bezpieczeństwa. Napisał program komputerowy, który miał losowo generować trasę obchodu dla naszych nocnych askari. Najważniejsze, żeby nie patrolowali tego samego odcinka co noc. Bandyci mogli czaić się za płotem i obserwować nasze zwyczaje. Aby upewnić się, że askari rzeczywiście sprawdzają wszystkie miejsca, których kazaliśmy im pilnować, postanowiliśmy skorzystać z tak zwanego nadzorca askari. Była to specjalna funkcja programu, dzięki której można było sprawdzić, czy askari pojawiał się w punkcie kontrolnym. Po przeczytaniu planu, który Bertil

drukował co wieczór, askari wiedzieli, jaką mają trasę. Dzięki nadzorcy askari mogliśmy również sprawdzić, czy wartownicy nie śpią, zamiast pilnować. Codziennie znajdowaliśmy w różnych miejscach dowody na to, że spali: wygnieciona trawa gdzieś w kącie, zaśmiecone tylne siedzenie samochodu...

Nadzorca askari działał sprawnie, był tylko jeden problem. Askari nie umieli czytać; akurat tego byliśmy pewni.

Od mamy i ojca otrzymaliśmy list z ofertą pożyczki na przybudówkę, którą chcieliśmy postawić przy budynku restauracji. Miało to być niewielkie mieszkanie dla nas. Widzieli, ile się musieliśmy nabiegać z różnymi drobiazgami w zależności od tego, gdzie spali nasi goście. Koniec z tym. Wspaniale będzie mieć własne miejsce. David obiecał pomóc nam przy planach, ale nie chcieliśmy zaczynać budowy, póki nie zgromadzimy wszystkich materiałów. Kupowaliśmy je zatem stopniowo i składowaliśmy na naszej działce.

Rodzice pożyczili nam też pieniądze na kupno małego samochodu do codziennego użytku. Land rover był drogi w eksploatacji i utrzymaniu; odkryliśmy to z przerażeniem, kiedy odebraliśmy go z warsztatu po długiej i poważnej naprawie. Wzruszyła nas propozycja pomocy ze strony moich wspaniałych rodziców. W pewien poniedziałek przestał nagle działać telefon. Rozpatrywaliśmy różne możliwości. Niezapłacony rachunek? Zerwana linia telefoniczna?

Wysłałam chłopca do budki telefonicznej, żeby zadzwonił i się dowiedział, czy mamy jakiś niezapłacony rachunek. Okazało się, że nie. Chłopak sprawdził druty telefoniczne i stwierdził, że są uszkodzone. Ktoś ściął drzewo, nie zwracając na nie uwagi. Za pomocą kabli, drabiny i lutownicy Bertil szybko dokonał prowizorycznej naprawy. Załatwiliśmy kilka pilnych telefonów i wysłaliśmy emaile.

Nadszedł wieczór i zrobiło się ciemno. Około siódmej zawsze sprawdzaliśmy pocztę. Co się dzieje? Cholerny telefon znowu przestał działać. Bertil wyszedł z narzędziami pomiarowymi i latarką. Chyba druty znów zostały przerwane. Może Bertil źle je połączył, choć to raczej niemożliwe. Odszukał nocnego askari, wziął narzędzia i zniknął w ciemnościach, żeby sprawdzić kable. Miejsce, które naprawiał, było nietknięte.

W drodze powrotnej sprawdził kabel na całej długości. Po chwili znalazł wśród krzaków kolejne ścięte drzewo. Jakieś dzieci wskazały coś w ciemności i powiedziały, że mieszka tam stary człowiek, który ścina drzewa prosto na linię telefoniczną. Bertil połączył druty i podwiesił kabel wysoko na drzewach, żeby nikt go nie zerwał.

Po powrocie do domu stwierdził jednak, że telefon ciągle nie działa. Wyszedł więc znowu). Tym razem sprawdzał dokładnie w różnych miejscach na całej długości kabla i znalazł podejrzone połączenie na samym szczycie słupa tuż za naszym terenem. Był jednak zmęczony i odłożył naprawę na następny dzień.

Rano, po kilku godzinach bezowocnej pracy, Bertil odkrył w końcu, że problemem była skrzynka przyłączeniowa zainstalowana w chacie. Kiedy wymienił kilka śrubek, mieliśmy pewność, że przynajmniej ona nie przysporzy nam w przyszłości kłopotów.

To była tylko jedna z wielu „naprawczych” wypraw Bertila. Zorientowaliśmy się, że nie możemy liczyć na pomoc ze strony kenijskiej telekomunikacji. Można było czekać na nich w nieskończoność. „Najlepsza pomocna dłoń to twoja własna”, jak mówi pewne szwedzkie przysłowie, czyli „obywatelu, radź sobie sam”. A ponieważ sąsiedzi z premedytacją niszczyli linię telefoniczną, przecinając druty i zwalając na nie drzewa, nasz telefon często nie działał - zdarzało się to czasem nawet kilka razy w tygodniu. Zatem jedynym sensownym rozwiązaniem kwestii zepsutych telefonów była działalność Bertila.

Rozdział 36.

Życie za cenę lunchu.

Cieśla David i jego żona ciężko zachorowali na malarię, roczny synek Veronici także. Pomagaliśmy, tak jak mogliśmy, najczęściej dając pieniądze na leki. Wiedzieliśmy, że prawie w każdej chacie w sąsiedztwie leżą chorzy na malarię. Nie mogliśmy, niestety, pomóc wszystkim.

Na dodatek po drugiej stronie Wulushi, bliżej lasu tropikalnego, odnotowano przypadki cholery. Do tej pory zmarła jedna osoba. Obecnie, przy odpowiednim leczeniu, można uratować większość chorych, pod warunkiem, że szybko trafią do szpitala. Lekarze ze szpitala misyjnego twierdzili, że nie jesteśmy w grupie ryzyka, ale mimo to przykładaliśmy szczególną wagę do czystości i stanu zdrowia naszych pracowników. Jeszcze nie mówiono o epidemii cholery, ponieważ były to tylko pojedyncze przypadki. Malaria była znacznie groźniejsza.

Mieszkańcy wioski żyli w biedzie, w bardzo ciężkich warunkach. W innych rejonach kraju sytuacja była pewnie równie zła, a może nawet gorsza, ale prawdziwą nędzę zobaczyliśmy dopiero w dystrykcie Kakamega. Ludzie wprawdzie nie umierali masowo na ulicach, ale cierpieli we własnych domach. Największym problemem był transport chorych do miejscowych klinik i szpitali. Musieli iść piechotą albo przewożono ich na taczkach, jeśli takowe mieli.

Przede wszystkim potrzebne były lekarstwa na malarię. Niektórzy mogli pozwolić sobie jedynie na najtańsze tabletki chlorochininy. Sprzedawano je w miejscowym sklepie. Wielu nie było stać nawet na wykupienie całej dawki, tylko na jedną czy dwie tabletki. W ten sposób ich stan zdrowia się nie poprawiał, a pasożyty uodparniały się na chlorochininę. Aby zapobiec odwodnieniu podczas biegunek konieczne były kroplówki. Potrzeby były ogromne.

Siedzieliśmy w ciemnościach na werandzie z filiżanką herbaty w dłoni i czuliśmy się przygnębieni. Za mało robiliśmy. Gdybyśmy mieli pieniądze, moglibyśmy działać więcej, na przykład wybudować przychodnię lub ambulatorium tam, gdzie były najbardziej potrzebne. W ten sposób pomogliśmy

ludziom żyjącym w buszu. To był wspaniały pomysł. Prosty budynek z cegieł o powierzchni 20-30 metrów kwadratowych, trochę podstawowego sprzętu. Pewnie koszt zamknąłby się w 300 000 szylingów.

Oficjalne kanały pomocy były niestety zawodne, pieniądze znikają gdzieś po drodze. W administracji kenijskiej na wszystkich szczeblach szerzyła się korupcja. Mieliliśmy nadzieję, że codzienna audycja telewizyjna Komitetu Antykorupcyjnego - informująca Kenijczyków, że łapówkarstwo jest zarówno niemoralne, jak i nielegalne - wywrze jakiś wpływ. W obecnej sytuacji, jeśli coś się chciało załatwić, trzeba było przede wszystkim dysponować dużą ilością pieniędzy. To znaczy, jeżeli załatwiała się sprawę drogą oficjalną.

- Gunilla, chyba wyślę emaila do przyjaciół w Norrland i może do mojego dawnego biura, i opiszę, jak ludzie tu cierpią. Kto wie, może załatwi jakąś pomoc - powiedział nagle Bertil.

- Świetny pomysł - przytaknęłam. - Pomyśl tylko, ilu Szwedów chodzi codziennie na lunch do restauracji. Gdyby każdy z nich choć raz zrezygnował z tego wydatku, a pieniądze wysłał nam, wyobraź sobie, ile byśmy zebrali.

Postanowiliśmy wysłać emaile. Jeżeli dostaniemy pozytywną odpowiedź od naszych przyjaciół ze Szwecji, skontaktujemy się z Nelsonem, miejscowym pielęgniarzem, żeby omówić z nim tę kwestię.

Rozdział 37.

Groźby i zniszczenia.

Nasze życie nagle pograżyło się w chaosie. Ktoś ukradł kłódkę od bramy ogrodowej; obcy mogli teraz bez trudu wejść na nasz teren. Obawialiśmy się, że zniszczą nam samochód. Adamowi grożono śmiercią, my też mogliśmy być w niebezpieczeństwie.

Wysłaliśmy Marka, jednego z askari, z listem do naszego wodza. Prosił go, żeby do nas przyszedł, ponieważ mamy krytyczną sytuację.

W Szwecji dzwoniemy w takich sprawach, w Kenii wysłaliśmy posłańca z listem.

Wódz odpowiedział:

-Jestem zmęczony. - Koniec kwestii. Dodał jeszcze: - może wpadnę w przyszłym tygodniu. - Tak brzmiała odpowiedź człowieka, który, gdy kupowaliśmy nasz kawałek ziemi, oświadczył: Wasze bezpieczeństwo to moja sprawa.

Byliśmy zdruzgotani. Bertil z Markiem wybrali się natychmiast do domu wodza, by nakłonić go do odwiedzin. Musieliśmy z nim porozmawiać. Zmęczony... A kto nie jest zmęczony? Bertil to wcielenie spokoju, ale tym razem był naprawdę wściekły.

Wódz znowu odmówił. W takiej sytuacji byliśmy zmuszeni skontaktować się z naszym nowym przedstawicielem w parlamencie, a także z szefem dystryktu w Wulushi - bezpośrednim zwierzchnikiem naszego wodza.

Ale nic to nie pomogło; sytuacja wróciła do normy: Bertil, w towarzystwie nocnych strażników, skradał się chyłkiem po własnym terenie, nasłuchując bacznie, czy nikt nas nie atakuje.

- Czy chce pani, żebyśmy ukarali Charliego publiczną chłostą, zanim pojawi się policja? - spytał kapral Wekasa kilka dni później w Wulushi przed biurem szefa dystryktu.

- Nie - odparłam. - To wbrew naszym zasadom. Szwedzi nie godzą się na kary cielesne.

- Wymierzamy je wszystkim Kenijczykom, którzy łamią prawo. Dziś rano, na przykład, wychłostaliśmy służącą, która okradła swego pracodawcę. Oprócz tego skazają ją co najmniej na siedem lat więzienia. Nikt nie będzie miał wam za złe, jeśli przetrzepie się mu trochę skórę. - Kapral uśmiechnął się do nas.

Ten skądinąd miły człowiek, który wielokrotnie odwiedzał nas w Riverdale Gardens, zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto może kogoś publicznie wychłostać.

Kiedy staliśmy przed biurem szefa dystryktu i czekaliśmy na oficera śledczego, widzieliśmy, jak przywożą i wywożą więźniów, i byliśmy kilkakrotnie świadkami bicia. W tym wypadku raczej nie chodziło o zadanie fizycznego bólu. Jeden z żołnierzy, świeżą gałązką, jeszcze z listkami, szybko uderzał więźnia w rękę czy w nogę. Najprawdopodobniej to nawet nie bolało, ale, o ile dobrze zrozumieliśmy intencję, kara pod względem psychologicznym była bardzo surowa. Publiczna chłosta jest poniżająca. Przy naszym szwedzkim wychowaniu wywoływała w nas zażenowanie. Bez względu na to, na jakie straty naraził nas Charlie, nie mogliśmy zgodzić się na publiczną karę chłosty. Dla nas oznaczało to naruszenie jego godności osobistej.

- Cóż, przynajmniej zakuliśmy go w kajdanki. Wygląda niebezpiecznie i nie chcemy się z nim szarpać; z tym będziecie musieli się pogodzić - zapowiedział kapral. - Siedzi i czeka na swojego ojczyma. Możemy wejść tam razem.

Charlie odwrócił wzrok, kiedy go przywitaliśmy na komisariacie. Prawdę mówiąc, wyglądał dość odpychająco.

Zatrudniliśmy go, bo był znany jako zręczny mechanik, specjalista od land roverów. Opłaciliśmy mu kurs prawa jazdy i samo prawo jazdy, ponieważ czasem potrzebowaliśmy kierowcy. Miał u nas dach nad głową, dostawał też wysoką pensję. Dziwne, że zawsze miał coś do zrobienia przy naszym land roverze. Naprawa za naprawą, a kosztowało to wszystko straszne pieniądze. W sumie zapłaciliśmy mu kilkaset tysięcy szylingów. Okazało się, że niepotrzebnie.

Czasami, kiedy Charlie nie zajmował się samochodem, prosiliśmy go, żeby, zgodnie z umową, pomógł naszym ludziom w ogrodzie. W takich wypadkach zachowywał się okropnie. Był wyniosły wobec innych i wielokrotnie odmawiał

wykonania pracy. Często zdarzało się, że nam odburknął. Właśnie dlatego coraz częściej mieliśmy go dosyć.

Charlie oświadczył, że musi wyjechać do Nairobi na tygodniowe wakacje; to była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Po jego wyjeździe musieliśmy skorzystać z land rovera. Bertil włączył silnik, samochód przejechał może z metr i zgasł. Nie mogliśmy go uruchomić i musieliśmy zostawić go tuż za bramą.

Kiedy pojawił się Moses, nasz nocny askari, powiedzieliśmy mu, dlaczego samochód tam stoi. I wtedy coś nam opowiedział. Poprzedniego wieczora, kiedy stał na straży za płotem, podsłuchiwał, jak Charlie, który był na zewnątrz, chwali się przed dziewczyną, że zepsuł nam samochód, wyjmując jakiś element ze skrzyni biegów. Powiedział, że to on będzie decydować, kiedy opuszczamy teren.

Usłyszawszy to, poprosiliśmy mechanika, żeby zrobił przegląd. Dostaliśmy od niego oświadczenie na piśmie, że samochód został umyślnie zepsuty. Potem poprosiliśmy, żeby go naprawił. Charlie kilkakrotnie dzwonił do nas z Nairobi, dopytując się, czy z samochodem wszystko w porządku. Bertil odpowiedział, że na razie mamy tyle roboty w domu, że w ogóle go nie ruszaliśmy.

Kiedy Charlie wrócił z Nairobi, nieświadom tego, że jego postępek wyszedł na jaw, nie mógł wynieść ze swojego pokoju worków z kukurydzą, które kupił, by spekulować. Podczas jego nieobecności założyliśmy na drzwiach dodatkową kłódkę i jeden klucz oddaliśmy szefowi dystryktu, a drugi zatrzymaliśmy. O przestępstwie poinformowaliśmy szefa dystryktu i policję w Kakamega, i zgodziliśmy się z nimi, że Charlie nie może zabrać kukurydzy, zanim nie zostanie wszczęte śledztwo. Charlie natychmiast skontaktował się z prawnikiem, a następnie został aresztowany. Teraz siedział zakuty w kajdany w budynku szefa dystryktu.

Po długiej rozmowie wspólnie z policją przekonaliśmy ojczyma Charliego, że powinien nakłonić pasierba do rezygnacji z jakichkolwiek roszczeń wobec nas. Wreszcie Charlie podpisał dokument, w którym zobowiązał się do zapłacenia za naprawę skrzyni biegów oraz zwrócenia długów. Zrezygnował z prawnika i oświadczył, że nie domaga się od nas żadnego odszkodowania. Potem zrobiło nam się go żal i znowu emocje wzięły górę nad rozumem. Postanowiliśmy nie wnosić

sprawy do sądu i, wbrew zdrowemu rozsądkowi, pozwoliliśmy Charliemu zabrać kukurydzę.

Niestety, wyszły na jaw inne przykre fakty. Następnego dnia, podczas porządkowania mieszkania Charliego, znaleźliśmy bloczki z rachunkami in blanco z pieczętką warsztatu. Poszliśmy spytać o to Edgara, właściciela warsztatu. Charlie, który wcześniej u niego pracował, pewnie ukradł mu rachunki i podstemplował. Potem wpisywał sumy, które mieliśmy zapłacić za rzekome naprawy. W ten sposób wyciągnął od nas sporo pieniędzy. Mieliśmy dosyć kłopotów z Charliem. Ponieważ nie mogliśmy dowieść, ile pieniędzy od nas wyłudził, postanowiliśmy nie składać doniesienia na policji.

I tak jak wielokrotnie wcześniej, byliśmy zaskoczeni, jak bardzo naiwni jesteśmy.

Pewnego dnia po powrocie do domu chcieliśmy napić się po kieliszeczku sherry i odkryliśmy, że ktoś ukradł z naszego barku otwartą butelkę. Następnego dnia rano stwierdziliśmy, że zniknęły nowo zakupione sadzeniaki ziemniaków. Zgromadziliśmy naszych pracowników i wręczyliśmy im na piśmie nowe ustalone przez nas zasady. Nie będziemy już dłużej tolerować kradzieży i niesubordynacji. Oczywiście zawsze tak mówiliśmy, a potem zapominaliśmy i znowu nas oszukiwali. Nasi pracownicy często się kłócili. Oskarżali się wzajemnie o próby otrucia i o czary. Staraliśmy się ich godzić, ale od czasu do czasu musieliśmy krzyknąć. Byli jak dzieci.

Adam, który w gruncie rzeczy był dość sympatyczny, coraz więcej pił. Byliśmy pewni, że to on wypił sherry. Prawie codziennie cuchnął alkoholem, chodził, zataczając się, z głupkowatym uśmiechem na twarzy.

Kiedy postanowiliśmy zorganizować dzień otwarty dla miejscowych, przygotowaliśmy broszurkę reklamową. Wysłaliśmy Adama do Wageya ze stosem prospektów. Aż buchał entuzjazmem i wrócił bardzo z siebie zadowolony, rozdawszy wszystkie broszurki. Kiedy spyaliśmy, komu je wręczył, powiedział, że był bardzo sprytny i wsiadł do autobusu do Nairobi. Rozdał je wszystkim pasażerom w autobusie. Nie rozumiał, kiedy próbowaliśmy mu wyjaśnić, że kiedy otworzymy

Riverdale Gardens dla publiczności, podróżni będą pewnie w Nairobi. Cała akcja reklamowa poszła na marne. Równie dobrze mogliśmy te broszury spalić.

Tylko raz widziałam, jak łagodny Adam wpada w szał. Zdarzyło się to wtedy, kiedy Petrus postawił na werandzie duże donice z roślinami i w pewnej odległości od domu posadził dzikie banany. Adam był wściekły. Twierdził, że natychmiast należy usunąć wszystkie kwiaty i wykopać bananowce. Uważaliśmy, że Petrus bardzo ładnie to urządził i nie rozumieliśmy, na czym polega problem. Adam powiedział, że to rośliny magiczne, a Petrus dzięki nim chce przejąć władzę nad nami. Zakończyliśmy ten spór, usuwając jedną z donic, tylko po to, żeby uspokoić Adama.

Rozdział 38.

Epidemia cholery.

Przypadków cholery przybywało i można już było mówić o epidemii. Jeden z sąsiadów z chaty położonej o jakieś trzysta metrów od nas zmarł. Śmierć coraz bardziej nas osaczała. Razem z zespołem do spraw zdrowia, Nelson - lokalny pielęgniarz - odwiedził dom zmarłego i zmusił mieszkańców wioski, żeby natychmiast go pochowali. Zniszczono i zakopano całe jedzenie przeznaczone na stypę, a żałobnicy rozeszli się do domów.

Miejscowe obrzędy pogrzebowe będące lokalną rozrywką, przyczyniały się do rozwoju epidemii. Wszyscy gromadzili się wokół zmarłego, nie przejmując się wcale, że mogą się zarazić. Ludzie spotykali się, wspólnie opłakiwali zmarłego, pili, kopali groby w obejściu. Czasem trwało to kilka dni i nocy.

- Gunilla, zmarła moja siostra. Mogę dostać wolne dni, żeby pójść na pogrzeb? - spytała pewnego ranka Veronica.

- Przykro mi. Która z twoich sióstr? Na co umarła?

- Ta mężatka, która mieszkała po drugiej stronie Khasili. Zmarła na cholere. Muszę pożyczyc jakieś pieniądze na podróż - odpowiedziała Veronica. Wyglądała na zmartwioną.

Ponieważ wymieniła dosyć dużą kwotę potrzebną na koszty podróży, zaoponowałam, bo Khasili leżało niedaleko. Z drugiej strony, doskonale rozumiałam, że chce się dołożyć do pogrzebu, choć dziwne, że jako pretekst podaje koszty podróży. A jednak nie kłamała.

Wyjaśnienia Veronici były dla mnie czymś nowym i poszerzyły moją wiedzę o tradycjach ludu Luhia. Powiedziała, że jeśli mąż nie zapłacił jeszcze za żonę, a ona zmarła, nie miał prawa jej pochować. Żona musi być wtedy pochowana w domu swoich rodziców. Rodzice Veronici mieszkali daleko. W takim przypadku ludzie twierdzili, że mąż nie kochał swej żony wystarczająco mocno i za karę czekało go nędzne życie, bo nie mógł się powtórnie ożenić.

Ponieważ siostra Veronici zmarła na chorobę zakaźną, trzeba ją było pochować natychmiast, w objęciu męża, a ziemię z jej grobu krewni musieli dostarczyć do domu rodziców. Wykonano nawet małą trumienkę z zawiniętą w biały całun ziemią, i rozpoczęto prawdziwe ceremonie pogrzebowe. Veronica musiała najpierw pojechać z rodzicami i rodzeństwem do domu swego szwagra, żeby zebrać trochę ziemi z grobu, a następnie przewieźć ją do domu rodziców, gdzie pogrzeb i stypa miały trwać ponad tydzień.

Nasi pracownicy usłyszeli nowe zalecenia dotyczące zdrowia i higieny. Wyglądało na to, że od tego momentu będziemy musieli trzymać ręce w kieszeniach, by unikać ich podawania (bo mogą być brudne), nie będziemy kupować mleka ani mięsa (bo może być zakażone), i sami będziemy zbierać i gotować warzywa.

Patrzyliśmy na siebie ze zdumieniem. Któż by pomyślał, że w jesieni życia będziemy siedzieć w Afryce i poświęcać się dobroczynności, mając nad głową widmo grożącej nam epidemii cholery.

Odbyliśmy bardzo udane spotkanie z Nelsonem w sprawie przychodni. Postawiliśmy sprawę jasno: nie możemy niczego obiecać, ale postaramy się zebrać w Szwecji pieniądze na przychodnię w Wuasiva. W ten sposób można będzie pomóc mieszkającym na dużym obszarze ludziom pozbawionym opieki medycznej. Nelson uznał to za świetny pomysł, ostrzegł nas tylko, żebyśmy nie włączali Kościoła do tego projektu. Wyglądało na to, że korupcja była powszechna również tam i pieniądze mogły zniknąć. Lokalna administracja także nie powinna być zaangażowana, bo w takim przypadku sto procent środków przepadnie. Zasugerował zatem, żebyśmy założyli Wioskowy Komitet do spraw Zdrowia. Przede wszystkim nie powinniśmy wspominać, że możemy otrzymać pieniądze ze Szwecji.

Aby łatwiej uzyskać finansową pomoc rządu, konieczną do realizacji naszych planów, powinniśmy włączyć poradnictwo rodzinne i zdrowotne oraz opiekę nad matką i dzieckiem. Nelson już malował przed nami wizję przychodni z licznymi salami o różnym przeznaczeniu, ale musieliśmy go przystopować. Trzeba zacząć od czegoś skromnego, by zaspokoić podstawowe potrzeby, a i to pod

warunkiem, że w ogóle zdołamy zdobyć pieniądze. Potem będzie można dobudować więcej pomieszczeń.

Wielu mieszkańców naszej wioski chorowało na AIDS. To był ogromny problem. Po jednej stronie naszej posesji, tam gdzie mieszkali najbiedniejsi ludzie, 35 procent wszystkich dorosłych i bardzo duży procent dzieci było zarażonych albo już miało objawy AIDS. Nikt o tym nie mówił. Kiedy ktoś umierał, stwierdzano po prostu, że to przez czary.

Spotkanie dobiegło końca i Nelson zbierał się do odjazdu, kiedy zauważyłam, że Johannes siedzi na ziemi. Wyglądał na chorego.

Poprosiłam Nelsona, żeby go zbadał. Diagnoza - malaria. Nelson przypomniał, że Johannes był też zagrożony cholerą. Wysłaliśmy Veronicę do Wulushi po lekarstwa, w tym także po tetracyklinę, zabezpieczającą przed zarażeniem cholerą. Veronica także musiała przyjąć tetracyklinę, bo jechała na pogrzeb swojej siostry. I znowu kolejny wydatek, na który nie mogliśmy sobie pozwolić, ale musieliśmy go ponieść.

Tego samego wieczora dość blisko granicy naszej działki umarł kolejny sąsiad. O śmierci kogoś w sąsiedztwie świadczył widok biegających we wszystkie strony ludzi oraz donośne zawodzenie zawodowych płaczek. Trochę później nocny askari powiedział nam, że płaczące kobiety słychać było także niedaleko domu Marii, po drugiej stronie doliny. Maria pracowała u nas. Mieliśmy nadzieję, że nic się nie stało jej dzieciom. Ostatnio pomogliśmy jej, płacąc rachunek za szpital, gdzie przez parę dni leżała pod kroplówką.

Po kilku kolejnych spotkaniach spyaliśmy Nelsona, czy możemy towarzyszyć mu podczas obchodu. Musieliśmy zrobić zdjęcia na potrzeby projektu związanego z budową przychodni.

Zaczęliśmy od odwiedzenia rodziny, która mieszkała na uboczu, z dala od nas. Przed małą zrujnowaną bandą z dziurawym dachem siedzieli wszyscy w komplecie - apatyczni, w brudnych łachmanach. Troje dorosłych i pięcioro dzieci - wszyscy chorzy na AIDS. Mieli też zapalenie płuc i ciężką malarię. Najstarsza z nich, babka, miała próchnicę kości jednej ręki - przypadek nie do leczenia, bo koszt

był zbyt wysoki. Matka, jak twierdził Nelson zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna, miała już pięcioro dzieci. Ponieważ byli biedni, nie szukali pomocy lekarskiej.

Nelson słyszał o tej rodzinie i dlatego postanowił ją odwiedzić. Ponieważ musieli zażywać najdroższe lekarstwa, kupił je i wydał na to 2 400 szylingów. Łzy napłynęły mi do oczu. Ci ludzie i tak już nie mieli zbyt wiele życia przed sobą, a jednak nie mogliśmy pozwolić im tak po prostu umrzeć. Zrobiliśmy kilka zdjęć i daliśmy Nelsonowi sporą sumę na leki dla nich.

Malaria bezustannie zbierała żniwo w naszej wiosce. Kilka dni później zmarła dwuletnia dziewczynka. Nelson powiedział, że rodzice uznali, że chorobę spowodowały czary, i poszli do wioskowego czarownika, zamiast podać jej leki. Był wściekły, kiedy o tym mówił. Nie mógł znieść bezsensownej śmierci dziecka. Czuł się bezsilny wobec czarów, czarnej magii i zabobonów, tak powszechnych wśród mieszkańców wioski.

Gdy przechodziliśmy koło szkoły, zaproszono nas do środka. Dyrektor oprowadził nas po całym budynku, zajrzeliśmy do każdej klasy. Dzieci powitały nas chóralnym: Dzień dobry goście. Nauczyciele poprosili, żebyśmy opowiedzieli uczniom o Riverdale Gardens, o tym, co tam robimy, jakie uprawiamy warzywa; o wszystkim po trochu. Szkoła wydawała się zadbana, ale uboga.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tej szkole. Podobnie jak w szkole w Sotanini, tu też wiele dziewcząt przerywało naukę, ponieważ zachodziły w ciążę. Nie tak dawno rząd zdecydował, że wszystkie dziewczęta rodzące poniżej piętnastego roku życia mają mieć wykonywane cesarskie cięcie. W ten sposób niemowlęta unikały obrażeń, które często się zdarzały, gdy rodziły dwunastoletnie jeszcze nie w pełni rozwinięte dziewczynki. Nieletnie matki nie wiedziały, jak prawidłowo zajmować się dziećmi, więc często dochodziło do śmierci noworodków. Dlatego Nelson tak bardzo nalegał na włączenie do naszego projektu punktu o opiece nad matką i dzieckiem oraz planowaniu rodziny.

Zawsze wydawało mi się, że niemowlęta w ramionach małych dziewczynek to młodsze rodzeństwo, ale teraz zrozumiałam, że często to ich własne dzieci.

Chcieliśmy jeszcze sfotografować, jak się czerpie wodę ze strumienia. Miał to być ostatni punkt programu. Upał był coraz większy. Po długim spacerze krętą ścieżką doszliśmy do strumienia. Po jednej stronie ktoś wykopał niewielką dziurę, w której stała kałuża brudnej wody. Wkrótce podeszła kobieta i do prania nabrała wody ze strumienia, a do picia - z kałuży. Oczywiście powinna postąpić na odwrót. Kiedy zrobiliśmy zdjęcia, wspięliśmy się na stromy brzeg rzeki. Była to długa, mozolna wspinaczka, a kobiety musiały pokonywać tę trasę kilka razy dziennie, niosąc na głowach baniaki z wodą.

W drodze do domu Nelson opowiadał o problemie z wodą. Ludzie nie gotowali wody, którą przynosili z zanieczyszczonych strumieni albo źródeł. Nie mogli zbierać deszczówki, ponieważ większość z nich miała chaty kryte strzechą. Co dziwniejsze, ci którzy mieli blaszane dachy nie zakładali rynien umożliwiających zbieranie deszczówki. Rynny zaoszczędziłyby im dźwigania wody, zwłaszcza w porze deszczowej.

Bydło pasło się często dość blisko dziury z wodą i to prowadziło do jej zanieczyszczenia. Brudna woda była przyczyną szerzenia się wielu chorób: tyfusu, amebozy i cholery. Już w styczniu w naszej okolicy wielu mieszkańców wioski zmarło na tyfus, a wielu miało amebę, lamblię i inne pasożyty.

Przed rozstaniem z Nelsonem opowiedzieliśmy mu o naszej wcześniejszej składce na szkołę w Sotanini i o tym, jak bardzo się poprawiły w niej warunki. Teraz myśleliśmy o wysianiu do naszych szwedzkich przyjaciół listu z nagłówkiem: Życie za cenę lunchu. W ten sposób mogliśmy zebrać trochę pieniędzy na potrzeby przychodni. Nelson poinformował nas, że jest w kontakcie z niewielką parafią sponsorującą naszą wiejską szkołę. Myśleli o udostępnieniu kawałka gruntu na potrzeby projektu.

Rozdział 39.

Mieliśmy niewiele powodów do śmiechu.

Staraliśmy się mądrze gospodarować tą niewielką ilością szylingów, jaka nam jeszcze została. Wydawaliśmy je tylko wtedy, gdy chodziło o przeżycie - nasze lub bliźnich. Dlatego rzadko używaliśmy samochodu i, jadąc do Kakamega, korzystaliśmy z matatu. W poprzednim tygodniu Bertil był tam dwukrotnie, by odebrać jeden z naszych aktów własności. Uzyskanie go zabrało nam ponad rok.

Każda wyprawa do Kakamega była prawdziwym utrapieniem. Najpierw musieliśmy iść kilka kilometrów, a następnie czekać, czasem i godzinę, na busik. Kiedy przyjeżdżał, kierowca upychał nas wśród dwudziestki innych pasażerów. Busik ruszał, kolebiąc się i podskakując na wertepach. Po trzech kwadransach dojeżdżał do miasta albo i nie, bo nawalił w drodze.

Ale chyba nie powinniśmy się skarżyć. Wielu mogło tylko pomarzyć o jeździe matatu, bo nie było ich stać na przejazd. Na przykład Glenn, brygadzysta w kopalni w Sotanini, który pewnego dnia przyszedł do nas piechotą, co zabrało mu pewnie kilka godzin. Dał nam w prezencie kamień z dużą zawartością złota znaleziony w ich kopalni.

Powiedział, że zmienili metody pracy. Założyli spółkę górniczą i dostali koncesję na wydobycie złota. Główny szyb miał trzydzieści metrów głębokości; tunele rozchodziły się od niego w różne strony. Glenn twierdził, że złoto jest wszędzie, rozłożone w równomiernych warstwach. Kawałek skały wielkości piłki mógł zawierać złoto wartości 2000 szylingów.

Niestety, mogli pracować na dole tylko od pięciu do dziesięciu minut, bo potem brakowało tlenu. Zaproponowali nam członkostwo w spółdzielni w zamian za pomoc w znalezieniu rozwiązania. Bertil zetknął się z takim problemem przy wydobyciu opalu w Australii i obiecał nad tym pomyśleć.

Już po paru dniach pojechaliśmy do Sotanini i przedstawiliśmy szkice dużej pompy tłoczącej powietrzne, która wyglądała jak ogromne miechy. Należało użyć takich materiałów i zastosować takie metody, żeby pracownicy sami mogli

konserwować i naprawiać to urządzenie. Dlatego postanowiliśmy zbudować te wielkie miechy z desek i z materiału powlekanego warstwą PCV; jako przewodów wentylacyjnych użyliśmy plastikowych rurek o średnicy dziesięciu centymetrów. Konstrukcja była prosta i tania. Bertil zaproponował, aby kilku członków spółdzielni obserwowało prace budowlane. Mogliby potem pokazać członkom innych spółdzielni, jak to się robi. Wszyscy przyjęli naszą propozycję z radością. Miechy miały zostać zrobione w następnym tygodniu, spółdzielnia obiecała pokryć koszty, my zaś dorzuciliśmy niewielką kwotę w prezencie. W rewanżu przyjęto nas na członków spółdzielni i odtąd mieliśmy udziały we wszelkich zyskach. Zrobiliśmy to nie dla pieniędzy, pokazaliśmy tylko, jak mogą sobie sami pomóc. Daliśmy im wędkę zamiast ryby.

Nadeszły urodziny Bertila. Razem z Per Erikiem, który przyjechał parę godzin wcześniej, obudziliśmy go, fałszując okrutnie: Sto lat, sto lat. Na urodzinowe śniadanie na werandzie podałam biszkopt domowego wypieku.

Swoje poprzednie, pięćdziesiąte urodziny, Bertil obchodził, biegając po ministerstwach w Nairobi. Przyjrzałam się mojemu ukochanemu mężowi i zauważyłam, że jest w znakomitej formie. W ciągu ostatniego roku schudł ponad dwadzieścia kilo. Przez rok przebywaliśmy na wysokości tysiąca ośmiuset metrów i mieliśmy płuca jak miechy.

Tego samego dnia spotkała nas dodatkowa atrakcja (niewątpliwie na cześć Bertila). Pamiętacie taką kreskówkę o Kaczorze Donaldzie, kiedy Donald pracuje na polu golfowym? Roześmiałam się na widok naszego ogrodu, w którym z dnia na dzień pojawiło się zatrząsienie małych kopczyków ziemi. Na szczycie małego świeżo usypanego kretowiska obok krzewów hibiskusa dostrzegłam czarny łebek.

-Tam! Szybko! - krzyknęłam do naszych shamba boys, którzy właśnie kosili trawę.

Natychmiast rzucili się do nowego kopczyka, ale przybiegli za późno, żeby złapać szkodnika. Jakies piętnaście metrów dalej powstawała właśnie nowa piaszczysta górka. Znowu krzyknęłam, znowu chłopcy przybiegli, i znowu za późno.

Cały ranek upłynął nam na zabawie w kotka i myszkę: ja krzyczałam, oni biegali, a kret uciekał. Co rusz rosły nowe kopczyki, a tymczasem w starych chłopcy umieszczali pułapki i puste butelki. Musieliśmy złapać szkodnika, nim popodgryza wszystkie nowo posadzone krzewy.

A winowajca? Mały kret, kopacz. Sądząc po liczbie kopczyków, można by pomyśleć, że kretów jest cała kolonia. A my, tak samo jak Kaczor Donald na polu golfowym, próbowaliśmy złapać łobuziaka. W końcu, gdy Bertil włożył kilka rac do kretowiska i podpalił, udało nam się zmusić intruza, żeby się przeniósł w spokojniejsze rejony łowieckie.

Jeszcze w tym samym tygodniu zdemaskowaliśmy jednego ze złodziei naszych kur - mangustę egipską, półtorametrowej długości. Askari powiedzieli nam, że zwykle przebiegała przez nasz teren po przekątnej, mijając kontener w nocy, ale nigdy wcześniej jej nie widzieliśmy. A więc to był ten łotr, któremu smakowały nasze kury. Mieliśmy nadzieję, że także łapie węże tak jak RikiTikiTavi z opowieści Rudyarda Kiplinga.

Inne zwierzę, które najwyraźniej nas sobie upodobało, to Elvis -wspaniały orlik długoczubny. Nazwaliśmy go tak, ponieważ czub na jego łebku opadał mu na dziób jak włosy na twarz słynnej gwiazdy rocka. Ptak towarzyszył nam od pierwszego dnia naszego pobytu w wiosce. Zwykle przesiadywał na słupku ogrodzenia niedaleko pierwszej chaty. Czasami kołował wysoko nad nami, zdarzało się, że słyszeliśmy jego charakterystyczny krzyk. Raczej nie wzbudzał strachu i psy wcale się nim nie przejmowały. W gruncie rzeczy jego towarzystwo było całkiem sympatyczne.

Wieczorem Bertil parzył herbatę.

Usłyszeliśmy stukanie do drzwi kuchni. Na zewnątrz, w ciemnościach, stał nasz nocny askari.

- Sir, potrzebne mi są nowe baterie do mojej latarki - oświadczył.

- Mark, tak naprawdę latarka jest moja, a nie twoja, a ty z niej korzystasz tylko w pracy. A zresztą dostałeś nowe baterie kilka dni temu - odparł Bertil lekko poirytowany, bo właśnie rozlał herbatę.

- Tak - potwierdził Mark - ale się wyczerpały. Strasznie słabo świeci.

Zapalił latarkę i - faktycznie - ledwie świeciła.

- OK, Mark. Tu są dwie nowe baterie. Tylko nie włączaj latarki bez potrzeby. Jeszcze nabawisz się kurzej ślepoty.

- Dobrze, bwana, będą oszczędzał światło - obiecał Mark, odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Słyszałam całą rozmowę z recepcji.

- Mam wrażenie, że baterie za szybko się wyczerpują. Ciągłe musimy kupować nowe, prawda?

- Tak - zgodził się Bertil. - Zanotuję, żeby sprawdzić na jak długo wystarczą.

Zwykle kupowaliśmy po dwadzieścia baterii do latarki i rozchodziły się jak świeże bułeczki. Następnego wieczora znowu ta sama śpiewka. Przyszedł Mark, żeby pokazać nam, że latarka słabo świeci. Bertil zaczął coś podejrzewać. Poprosił Marka, żeby dał mu na chwilę latarkę. Chciał sprawdzić, co z nią jest nie tak. Mark czekał w ciemnościach na werandzie, a Bertil wszedł do recepcji i wyjął baterie. Były innej marki niż te, które włożył poprzedniego wieczora.

Wieczorem, przed objęciem warty, nocni askari wkładali do latarki zużyte baterie. Skarżyli się, że są wyczerpane, chociaż dopiero co Bertil dał im nowe. Rano, po przyjeździe do domu, wyjmowali nowe baterie i wkładali je do radyjka tranzystorowego. Sprytny sposób na zdobycie darmowej energii.

Trzeba było z tym skończyć. Teraz Bertil znakował baterie swoim inicjałem i datą włożenia do latarki. Ponadto odnotowywał na liście, kiedy wymienił baterie. Ten prosty sposób sprawił, że zużycie baterii bardzo spadło. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? Pewnie wszyscy nasi nocni askari robili tak samo. Bertil przypomniał sobie, że Jim miał małe radio tranzystorowe, które podłączał kabelkami do latarki tam, gdzie powinna być żarówka. Sposób prosty, a przy tym skuteczny, tym bardziej, że my za to płaciliśmy.

Gdybyśmy pomyśleli o tym wcześniej, przywieźlibyśmy ze Szwecji więcej niż jedną latarkę z akumulatorem. Była naprawdę dobra. Używaliśmy jej co noc, a

ładowaliśmy w dzień z baterii słonecznej. Chociaż niewiele energii pozyskiwaliśmy z paneli, to jednak wystarczało, by naładować latarkę. Łatwo być mądrym po szkodzie.

Przygnębiał nas fakt, że ciągle musieliśmy wyrzucać pracowników za nieuczciwość. Tym razem padło na Adama. Dostał trzecie ostrzeżenie, ponieważ znowu upił się w pracy, opróżnił nasz barek. Tym razem musieliśmy go wyrzucić. Jednak rozstaliśmy się jak przyjaciele i mieliśmy nadzieję, że znowu się spotkamy. Będzie nam brakowało jego wspaniałych gulaszów, sałatek, a także spokojnego i życzliwego sposobu bycia.

Marię, która po godzinach pracowała w ogrodzie, przenieśliśmy na razie do kuchni. Znała europejskie zwyczaje, naszą kuchnię i była jedyną osobą w naszym otoczeniu, która potrafiła odróżnić rodzaje mięsa. Z zakupów zawsze wracała z ładnym kawałkiem.

Ciągle nie umiałam zrozumieć tych pięknych, gościnnych i wesołych ludzi. Rozumiiałabym, gdyby kradli z biedy i głodu. Ale oni traktowali kradzież jak hobby, a tego już nie mogłam pojąć. Miałam przy tym wrażenie, że wcale nie są speszzeni, kiedy się ich złapie na gorącym uczynku. Byliśmy hojni i w razie potrzeby chętnie dawaliśmy im koce, jedzenie, a czasem i pieniądze. A oni ciągle nas okradali. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że byliśmy biali?

Jeszcze gorsza była przemoc. Wszędzie, w całym kraju, ludzie się mordowali. Nie wystarczyło, że zabijały ich choroby i ginęli w wypadkach? Po co jeszcze zabijać? Policja twierdziła, że nasz dystrykt, Wulushi, miał najwyższy w Kenii wskaźnik przestępczości.

Kilka dni wcześniej niedaleko Nakuru doszło do masakry. Gazety podawały relacje tych, którzy przeżyli. Członków ludu Kikuju przywieziono samochodem, a potem cała wataha z głośnym wyciem zaatakowała wioskę i wymordowała mieszkańców zatrutymi strzałami i maczetami.

Kilka dni później parę kilometrów od nas, w Wageya, odbywał się pogrzeb. Nagle pojawiło się dwóch bandziorów. Próbowali zaatakować uczestników

pogrzebu, ale żałobnicy dostali szału, rzucili się na nich i ich zamordowali. Opowiadano, że jednego z bandytów ludzie rozerwali na strzępy.

Pewnej nocy myśleliśmy, że u nas też doszło do masakry. O wpół do trzeciej w nocy obudził nas warkot samochodów jadących po naszej drodze, która była bardzo kiepska i kończyła się w naszej wiosce. Zazwyczaj tylko my z niej korzystaliśmy. Potem usłyszeliśmy krzyki i przeraźliwy wrzask jakiejś kobiety. Brzmiało to jak wycie, jak okrzyki wojenne. Wyszukaliśmy po omacku panga, rodzaj maczety o szerokim ostrzu przypominającej miecz. Zawsze trzymaliśmy ją pod łóżkiem na wypadek napadu. Hałas był taki, jakby robiło go więcej ludzi, niż mieszka w tej części doliny. Mieliśmy wrażenie, że samochody krążą w tę i z powrotem. Kiedy całkiem otrząsnęliśmy się ze snu, zrozumieliśmy, co się stało.

Jeden z braci wodza zginął w Nairobi w wypadku samochodowym. W nocy ciało przewieziono do domu w naszej wiosce. Dotarło o wpół do trzeciej w nocy. Już wcześniej zebrały się tłumy ludzi, żeby odebrać zwłoki, wśród nich były także zawodowe płaczki.

Stypa ciągnęła się ponad dobę. Część żałobników dotarła pod naszą furtkę; byli odurzeni domowym piwem, ale jeszcze nie mieli dość. Nie wpuszczono ich jednak. Byliśmy podenerwowani, bo jeden z naszych nocnych askari także uczestniczył w stypie, a drugi spał jak zabity. Warkot samochodów tuż pod bramą wywołał w nas panikę. Może kierowcy chcą wyłamać bramę? Pewnie będziemy mieli problemy z wodzem, bo nie wpuściliśmy jego przyjaciół. Ale na to nic nie mogliśmy poradzić. Nie chcieliśmy mieć u siebie nocą całej zgrai pijanych żałobników.

Kilka dni później obudziły mnie, jeszcze przed świtem, dochodzące gdzieś zza chaty odgłosy świstu bata w powietrzu i potem ciężkiego uderzenia. Przekleństwa i krótkie rozkazy, jęki, ale żadnych krzyków. Kiedy chwilę później wyjrzałam z chaty, zobaczyłam, że to nasz sąsiad pożyczył cztery woły i usiłował zaorać pole. Przy okazji ostro smagał batem biedne zwierzęta.

Siedzieliśmy z Per Erikiem na werandzie i popijaliśmy kawę, kiedy przez bramę wjechał nasz land rover. Dziwne! Przecież Bertil przed chwilą pojechał do warsztatu samochodowego i miał tam spędzić kilka godzin. Może czegoś zapomniał?

Kiedy wysiadł z samochodu, zorientowałam się, że coś się stało. Był zielony na twarzy i płakał. Bez słowa wzięłam go za rękę i weszliśmy do restauracji. Tam znowu wybuchnął płaczem. Mój biedny mąż, co się stało?

Po chwili opanował się i łamiącym głosem próbował mi opowiedzieć:

-Jechałem drogą przez wieś i jakieś kilkaset metrów stąd minąłem matkę, która niosła na ręku zawinięte w szmatki dziecko. Zamachała, żebym stanął. Zatrzymałem się. Zastanawiałem się, czego chce. Powiedziała, że jej córka jest chora i musi szybko dojechać do szpitala. Zrozumiałem, że dziecko jest ciężko chore, więc powiedziałem, żeby wsiadła. Ruszyłem na pełnym gazie do przychodni w Wulushi. Pędziłem, więc dojazd zabrał mi tylko kilka minut. Kiedy otworzyłem drzwiczki, zobaczyłem, że ręce i nogi dziecka zwisają bezwładnie. Miało otwarte oczy bez wyrazu. Umarło u nas w samochodzie. To potworne.

W nocy znowu usłyszeliśmy bębny śmierci. Tym razem wiedzieliśmy, kto umarł. Prawdopodobna przyczyna: malaria. Matka za późno pojechała do szpitala.

Rozdział 40.

Hiacynty wodne.

Per Erik chciał sfilmować hiacynty wodne na Jeziorze Wiktorii, a ponieważ my także ich nie widzieliśmy, postanowiliśmy wybrać się na wycieczkę. Wsiadliśmy do samochodu i pełni zapału wyruszyliśmy do Kisumu.

Poprzedniej soboty również tam byliśmy. Chcieliśmy kupić kilka niezbędnych rzeczy. W Kenii sobota jest zwykłym dniem pracy. Kiedy podjechaliśmy pod sklep, okazało się, że chociaż to sobota, wszystko jest zamknięte. Byliśmy bardzo zawiedzeni, bo przebyliśmy długą drogę. Przed powrotem do domu

zjedliśmy lunch w mieście. Kiedy spyaliśmy kelnera, dlaczego sklepy są zamknięte, odpowiedział, że poprzedniego wieczora prezydent ogłosił, że najbliższa sobota jest świętem narodowym. Społeczeństwo poinformowano o tym dopiero w sobotnich wiadomościach, dlatego mnóstwo ludzi musiało zawrócić z drogi do pracy. Nie mieliśmy radia i oczywiście nic o tym nie wiedzieliśmy.

Dojechaliśmy do Kisumu, a następnie skręciliśmy w stronę Jeziora Wiktorii. Znaleźliśmy sympatycznego przewodnika, który zaprowadził nas na brzeg.

Hiacenty wodne są naprawdę piękne, zwłaszcza w porze kwitnienia. Wysokie niebieskie kwiaty wyglądające jak zwykle hiacenty. Kiedy patrzyliśmy na ogromną, pływającą, zieloną masę roślin, mogliśmy sobie wyobrazić, że dla rybaków to prawdziwa udręka. W porcie tłoczyło się mnóstwo dużych łodzi. Powinny pływać po jeziorze, ale stały uwięzione i czekały, aż wiatr zwieje hiacenty. Prowadzono prace badawcze nad alternatywnymi metodami pozbycia się tej plagi. Obiecano sporą nagrodę. Nie można było ich po prostu ściąć, bo wtedy jeszcze szybciej się rozrastały. Poza tym, na unoszących się na wodzie liściach wylegiwały się kobry, więc ludzie nie chcieli się do nich zbliżać. Przewodnik powiedział nam, że kilkakrotnie ukąsiła go kobra wodna, ale szybko wypalił rany i dzięki temu przeżył.

Opowiedzieliśmy Per Erikowi o KICK (Kisumu Innovation CenterKenia - Kenijskie Centrum Innowacji w Kisumu). Było to porozumienie jednoczące społeczności wiejskie w celu realizacji lokalnych projektów. W tym przedsięwzięciu brały udział setki mieszkańców małych wiosek położonych nad Jeziorem Wiktorii. Z powodu plagi hiacyntów wiele rybackich rodzin z tych terenów straciło podstawowe źródło utrzymania. KICK prowadziło badania nad wykorzystaniem hiacyntów wodnych do produkcji przedmiotów użytkowych. Wytwarzano z tych roślin: papier, pamiątki, klosze, dywany, artykuły biurowe i wiele innych rzeczy. Także piękne, oryginalne meble.

Kiedy byliśmy nad jeziorem, skorzystaliśmy z okazji i wybraliśmy się na targ rybny. Czego tam nie było! Ogromne okonie nilowe, tilapie, ryby dwudyszne i wiele innych gatunków, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Małe jednożaglowe łodzie rybackie dobijały jakimś cudem do brzegu, lawirując wśród

ławic hiacyntów wodnych, co prawda nie tak ciasno zbitych, jak w głównym porcie. Mnóstwo dorodnych mew i rybitw dreptało wśród rybich wnętrzności. W promieniach słońca lśniła tafla wody, a śpiew ptaków mieszał się z radosnym śmiechem przekupniów. Idylla.

W drodze powrotnej zboczyliśmy z trasy, żeby zwiedzić niewielki rezerwat zwierząt, Park Impala, usytuowany nad brzegiem jeziora. Chcieliśmy zobaczyć gazy impala i lamparta w klatce, którego schwytano w naszej okolicy, w Wulushi, kilka lat temu. Powinien żyć na wolności w lesie tropikalnym.

Fred, który przyjechał z nami, przechadzał się po brzegu. Nagle zeszywniał. Podniecony wskazał na stertę odchodów zwierzęcych leżących na ziemi.

- Mogę to zabrać? - spytał naszego przewodnika.

Przewodnik roześmiał się i skinął głową. Fred natychmiast rozłożył plastikową płachtę w bagażniku samochodu i zaczął rękami zgarniać odchody do auta.

Spytaliśmy Freda, czy chce to wykorzystać jako naturalny nawóz. Nie. Wyglądał na zmieszanego. Wreszcie wyznał, że to odchody hipopotamów, które wychodzą w nocy z jeziora na popas. Odchody te były poszukiwanym towarem i Fred miał nadzieję, że je sprzeda i zarobi mnóstwo pieniędzy. Kiedy zapytaliśmy, jak je można wykorzystać, trochę się płątał w zeznaniach, aż w końcu wyznał, że ludzie twierdzą, iż odchody wpływają na wzrost potencji. Nigdy się nie dowiedzieliśmy czy należy je włożyć pod poduszkę, czy raczej skosztować. W każdym razie, życzyliśmy Fredowi szczęścia w jego handlowym przedsięwzięciu.

Ta jednodniowa wycieczka dodała nam wigoru; poczuliśmy się tak, jakby świeża krew krążyła nam w żyłach. Harowaliśmy ciężko od świtu aż do późnej nocy, żeby zapewnić naszym gościom miły wypoczynek. Dzięki Bogu, trzecia chata była wreszcie gotowa. Potrzebowaliśmy dodatkowej powierzchni, bo mieliśmy niespodziewany napływ gości. Byliśmy wykończeni, ale szczęśliwi. Odkąd szwedzka ambasada zaleciła, żeby Szwedzi zaniechali podróży w nasze rejony ze względu na epidemię malarii, nasi rodacy przestali do nas przyjeżdżać. Niemiej

jednak miło było widzieć, że ludzie, niezależnie od narodowości, czują się u nas jak w domu. Nie liczyło się zmęczenie, bo rekompensatą za to były pochwały gości zadowolonych z pokoi, smacznej kuchni i gościnności.

Teraz musieliśmy sami gotować. Z hukiem wyrzuciliśmy Marię. Nikomu już nie mogliśmy ufać. Veronica była świadkiem nieuczciwości Marii. Pewnego dnia zaciągnęła mnie na werandę. Powiedziała, że gdy weszła do recepcji, zauważyła, że Maria szpera w kieszeniach wiszącej na krześle kamizelki Bertila. Następnego dnia zastawiliśmy pułapkę i złapaliśmy ją na gorącym uczynku - wyciągała z kieszeni banknoty. Po tygodniu, kiedy sprawdzaliśmy ogrodzenie, znaleźliśmy plastikową torbę z lekarstwami między płotem a sanitariatami. Leżała tak blisko płotu, że można ją było wyciągnąć z drugiej strony. Podejrzewaliśmy, że Maria chciała ją prawdopodobnie zabrać w drodze do domu. Ale widocznie zabrakło jej czasu. Po co, do jasnej cholery, były jej nieznane lekarstwa?

Byłam coraz bardziej zaskoczona, odkrywając ewidentne dowody na to, że Maria miała lepsze ręce. Jak jej się udało wynieść te wszystkie fanty z naszego terenu? Wszystkie moje sukienki, łącznie z wieczorowymi i koktajlowymi, które zabrałam ze sobą do Kenii wyłącznie przez sentyment, bieliznę, kilka par butów, odzież wierzchnią i mnóstwo drobiazgów. Pewnie przerzuciła je przez płot albo zostawiała w tym samym miejscu co lekarstwa. A jej dzieci i krewni pewnie co dzień tu wpadali i zabierali skradzione rzeczy. Czemu byliśmy takimi głupcami? Dlaczego zawsze wierzyliśmy w uczciwość naszych pracowników?

Chociaż dopiero zaczynał się marzec, przestało padać. Parę tygodni nie było deszczu i temperatura na werandzie skoczyła już do 38 stopni Celsjusza. Ponieważ nie łało, pojawili się goście. Z powodu upałów było strasznie gorąco w naszej kuchni, w której przesiadywaliśmy, kiedy nasi klienci jedli. Mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia będziemy mieli jakiś przytulny kącik, w którym się schronimy, gdy nasi goście będą chcieli zostać sami w jadalni albo w salonie.

Teraz, kiedy przyjeżdżali do nas ludzie, odetchnęliśmy z ulgą, że liczba przypadków cholery w naszym najbliższym sąsiedztwie znacznie spadła. Tereny przy wiejskim bazarku zajmowały pierwsze miejsce w Kenii pod względem liczby

zachorowań. Mieliśmy także nadzieję, że nieoczekiwana upalna i bezdeszczowa pogoda nie wywoła suszy. Wtedy znowu pojawiłoby się widmo głodu, bo na domiar złego wszystkie nowo posadzone rośliny i nasiona zmył deszcz. Ludzie ciągle umierali i prawie każdej nocy odzywały się bębny śmierci.

Pewnej gwiazdzistej nocy usłyszeliśmy przytłumione dudnienie - zmarł na AIDS ojciec naszego przyjaciela Nelsona. Uroczystości pogrzebowe miały się zacząć następnego dnia rano, ale w nocy już wykopano grób.

Gorączka Rowów Afrykańskich była przyczyną śmierci weterynarza, który mieszkał w sąsiedztwie.

Kiedy niespodziewanie mieliśmy mniej gości, a tym samym więcej czasu dla siebie, Bertil wysłał do swojego byłego pracodawcy list z informacją: Życie w cenie lunchu. Otrzymałaliśmy wspianą odpowiedź od pracowników i uczniów szkoły z Góteborga. Przesłali nam pieniądze zarobione na dyskotecę. Wspianą dzieciaki! Mogliśmy wreszcie rozpocząć realizację projektu przychodni, a Nelson mógł kupić w Kisumu podstawowe leki. Potrzebowaliśmy ich natychmiast.

Rozdział 41.

Tłum.

Słaniałam się ze zmęczenia. Ledwie trzymałam się na nogach, pękała mi głowa i bolały plecy. Bertil z Per Erikiem siedzieli na werandzie, popijając drinka. Kiedy ruszyłam do nich chwiejnie, popatrzyli na mnie pytająco.

- O co chodzi? - odezwał się Bertil. - Źle się czujesz?

Miałam ochotę czymś go walnąć. Mężczyźni są tacy niewrażliwi i pozbawieni empatii. Byłam wściekła.

- Jestem po prostu wykończona. Cały dzień jestem na nogach i nie miałam tyle szczęścia, co niektórzy, żeby siedzieć w czasie lunchu - wypaliłam.

- Spokojnie, siostrzyczko, nie unos się. Siadaj i napij się whisky. Zaraz ci naleję.

Per Erik podał mi szklaneczkę, przyciągnął krzesło i położył na nim moje nogi. Mimo wszystko potrafił się zachować.

- Gunilla, odwaliłaś dzisiaj kawał dobrej roboty - stwierdził mój kochany Bertil. - Obiad był pyszny i pięknie podany. Sama sobie ze wszystkim poradziłaś, byłaś fantastyczna.

Wydaliśmy lunch dla prasy. Veronica miała mi pomóc w kuchni, ale kiedy pojawiła się rano, okazało się, że ma atak malarii i odesłałam ją do domu.

Sama musiałam przygotować jedzenie dla dwudziestu siedmiu osób i nakryć do stołu. Podaliśmy pieczony rostbef z sosem grzybowym na bakłażanach. Na deser były pływające banany. Do tego napoje bezalkoholowe i piwo oraz tradycyjnie whisky dla szefa dystryktu.

Ostatnio wyszorowaliśmy na błysk podłogę w kuchni. Nie zainstalowaliśmy jeszcze blatów kuchennych ani szafek, musiałam zatem rozłożyć na podłodze czyste prześcieradła i na nich stawiałam talerze z potrawami. Krążyłam między kuchnią a jadalnią i serwowałam dania. Cały czas musiałam pamiętać, w jakim porządku obsługiwać gości. Tutaj ludzie są na to szczególnie wyczuleni. Pochwalono jedzenie z wyjątkiem sosu - w Kenii nie jada się mięsa z sosem. I chyba ludzie nie wiedzą, co

to jest bakłażan. Per Erik wśliznął się do kuchni, żeby zająć się przygotowaniem płonących bananów.

W czasie lunchu Bertil i mój brat siedzieli przy stole z wodzami, członkami komitetu do spraw budowy przychodni, reporterami z czterech gazet, ludźmi z telewizji publicznej (KBC) i przedstawicielami prywatnego kanału (KTN). Bertil wygłosił mowę i wręczył czek opiewający na sumę, którą udało nam się zebrać wśród hojnych Szwedów. Pieniądze miały być przeznaczone na budowę przychodni w wiosce.

Zorganizowaliśmy ten lunch, żeby uczcić zbiórkę pieniędzy oraz pochwalić się Riverdale Gardens, ponieważ założyliśmy także kafejkę internetową.

Po lunchu Bertil zademonstrował gościom Internet, o którym było już głośno. Wszyscy byli pod wrażeniem, część po raz pierwszy widziała komputer. Jeden z dziennikarzy był przeszczęśliwy, kiedy -wśród krzyków entuzjazmu - udało mu się z pomocą Bertila wysłać swój materiał emailem do gazety.

Potem zorganizowaliśmy zwiedzanie Riverdale Gardens, chat oraz innych obiektów. Toalety wzbudziły entuzjazm i podziw, podobnie jak nasz imponujący warzywnik. Operatorzy kręcili wszystko jak szaleni, a my mieliśmy nadzieję, że wkrótce zobaczymy naszą posiadłość w telewizji.

Następnego dnia między dziewiątą rano a wpół do trzeciej po południu byłam cały czas na dworze i zmywałam po lunchu. Kiedy skończyłam, postanowiłam, że do końca dnia sobie poleniuchuję. Usiadłam w bujanym fotelu na werandzie, nogi położyłam na barierce i zabrałam się do lektury. Moi panowie pojechali do miasta załatwić parę spraw i sfilmować jakieś scenki rodzajowe.

Nagle usłyszałam, jak przy akompaniamencie odgłosów z rury wydechowej wjeżdża nasz land rover. Bertil i Per Erik weszli na werandę i usiedli. Nic nie mówili, byli bladzi i posępni. Coś było nie tak. Mój brat nigdy nie był taki milczący.

Ciszę przerwał Bertil.

- Gunilla, w mieście o mało nas nie zlinczowali. To było straszne. Tłum, było tam pewnie ze sto osób, chciał nas zlinczować. Przede wszystkim Per Erika.

Cała roztrzęsiona wstałam i podałam im drinki. Co się stało?

Pojechali na dworzec matatu, bo Per Erik chciał je sfilmować.

Niedawno jeden z mikrobusików z Kakamega miał wypadek i zginęło wielu pasażerów.

Kiedy Per Erik włączył kamerę, ludzie uznali, że chce zebrać dowody na to, że niektóre samochody jeżdżą bez wymaganych zezwoleń. Otoczył go agresywny, nieprzyjazny tłum. Bertil zobaczył, co się święci, i szybko podjechał land roverem z otwartymi drzwiczkami tak, aby Per Erik szybko wskoczył do środka. Bertil wcisnął gaz i natychmiast odjechał. Rozwścieczony tłum ruszył za nimi, próbując zatrzymać samochód, ale Bertilowi i mojemu bratu udało się uciec. Dziwne, że nieopodal siedziało w radiowozie dwóch policjantów, którzy jedynie przypatrywali się całej scenie z uśmiechem. Ewidentnie ich nie obchodziło, czy dwójka białych ludzi zostanie zlinczowana.

Kilka dni później spotkaliśmy w mieście jednego z chłopaków z telewizji KBC. Powiedział nam, że parę dni po lunchu wydanym dla prasy widział w Nairobi program informacyjny z Riverdale Gardens. Program trwał kilka minut i wyemitowano go w porze największej oglądalności. Pokazano kadry z przemową Bertila, moment przekazania czeku, wnętrza chat numer dwa i trzy, a także ubikacje i prysznic. Wspaniała reklama dla nas. Ale, oczywiście, właśnie tego dnia w naszym dystrykcie nie odbieraliśmy telewizji, a więc nigdy - ani my, ani nasz biedny wódz, który w czasie lunchu tak bardzo pchał się przed kamerę - nie mieliśmy szansy obejrzeć programu.

Pieniądze na przychodnię leżały w banku. Przed rozpoczęciem budowy trzeba było uzyskać tytuł własności gruntu. Zebrana kwota nie wystarczała na sfinansowanie całej budowy, gdyż część funduszy musieliśmy natychmiast przeznaczyć na leki. Mieliśmy już jednak oficjalnie zatwierdzony projekt budowy przychodni, a zatem mieszkańcy wioski mogli już nam pomagać: przynosić własne drewno, oferować trzy dni nieodpłatnej pracy, tysiąc cegieł i tak dalej. Informacje o darach miały być umieszczane na stronie internetowej projektu.

Rozdział 42.

Marzenia o złocie.

W następnym tygodniu pojechaliśmy do kopalni w Sotanini, żeby zrobić kilka ujęć. Bertil chciał nakręcić o niej film i wysłać w prezencie ojcu na osiemdziesiąte urodziny, a Per Erik, jak zwykle, kręcił swój materiał o złocie.

Do kopalni wchodziło się przez zwykłą dziurę w ziemi, nad którą wznosił się prymitywny wyciąg. Dwóch ludzi musiało obsługiwać każdą korbę wykonaną z drewnianych drągów przymocowanych gwoździami do głównej osi wyciągu. Szyb był głęboki na osiem pięter, miał jakieś 30 metrów.

Per Erik pierwszy zjechał na dół. Wszedł do wiadra, jedną ręką trzymał się liny, drugą zaś odpychał się od miękkich, glinianych ścian, które w każdej chwili mogły się osunąć. Na plecach wiózł sprzęt do filmowania. Ciężar jego ciała ściągał go w stronę ścian. Kiedy brakowało zaledwie dziesięciu metrów, był przekonany, że bez asekuracji spadnie jak kamień na dno szybu. Mój brat nie należy do szczupłych, więc ja też się denerwowałam, widząc, jak stoi w wiadrze w drodze do wnętrza ziemi. Kiedy usłyszeliśmy sygnał z dołu, mój mąż także zniknął w dziurze. Zostałam sama, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zobaczę ukochanego męża i brata.

Podczas filmowania Per Erik wcisnął się do wąskiego, stemplowanego belkami chodnika opadającego stromo wzdłuż złotej żyły, która biegła na wysokości dwudziestu centymetrów szeroką wstęgą na jednej ze ścian. Jedyne światło, oprócz latarek i kamery, dawała paląca się przy wejściu do chodnika świeczka - oznaczało to, że jest tam wystarczająco dużo świeżego powietrza.

Bertil wraz z szefem ekipy górniczej, Glennem, czołgali się do głównego szybu, by dotrzeć do miejsca wydobycia kruszcu, które znajdowało się na samym końcu tunelu. Musieli jednak szybko zawrócić z powodu braku tlenu. Per Erik ześliznął się w dół. Na dnie dwóch mężczyzn, każdy ze świeczką, młotem i łomem, napelniało worek złotą rudą. Trwało to długo, a płomienie świec były niepokojąco wątle. W następnym tygodniu miano już zamontować miechy i przewody, dzięki

którym górnicy nie będą wychodzili po swojej zmianie sini na twarzy z powodu niedotlenienia.

- Co zrobimy ze znalezionym złotem? - spytał Bertil, popijając poranną herbatę. - Philip twierdzi, że w lesie tropikalnym można znaleźć ogromne ilości złota.

- No cóż - odpowiedziałam. - Pamiętasz jeszcze o naszych dalekosiężnych planach, kiedy myśleliśmy, że odkryliśmy żyłę złota na północy, niedaleko Boliden? Czuliśmy się jak milionerzy. Dopóki nie dowiedziliśmy się, że to tylko drobno zmielony arsenopiryt. Tak czy siak, płukanie złota w lesie tropikalnym jest zabronione, prawda?

- Jasne, najpierw sprawdzimy, czy poszukiwacze złota mają aktualne pozwolenia. W każdym razie jedziemy tylko po to, żeby pokazać im sprzęt. Ale pomarzyć dobra rzecz, prawda? - dodał Bertil z nadzieją.

- Nie bądź taką pesymistką - zaproponował Per Erik. - Oczywiście, że będziemy obrzydliwie bogaci.

Przed tygodniem Philip, jeden ze strażników leśnych, powiedział nam, że spotkał poszukiwaczy złota, którzy dostali pozwolenie na płukanie w lesie tropikalnym. Opowiedział im o nas i o naszych doświadczeniach ze Szwecji i Kenii, oraz o naszym sprzęcie. Poszukiwacze strasznie się zapalili, więc teraz razem wybieraliśmy się na wyprawę do lasu tropikalnego.

Wstąpiliśmy najpierw do biura strażników leśnych po Philipa i pojechaliśmy dalej kiepskimi drogami do wartowni w środku lasu, gdzie czekała już na nas dwójka poszukiwaczy. Potem wyruszyliśmy razem piechotą, wspinając się pod górę i mijając małe wioski.

Gdy dotarliśmy na skraj lasu, byłam półżywa z upału i miałam ochotę zawrócić, ale po krótkim wypoczynku poszliśmy dalej.

Musieliśmy iść gęsiego wąską ścieżką, tak aby zmieścić się nasz sprzęt. W lesie było dużo chłodniej. Po paru godzinach doszliśmy do stromego urwiska i Philip powiedział:

- Przed nami jeszcze dwadzieścia metrów w dół do rzeki.

Chwyciliśmy się zwisających z drzew lian. Ostrożnie, właściwie na siedząco, zsuwaliśmy się w przepaść.

Wspaniale było zejść i odpocząć nad niewielką rzeczką Ikuywa wijącą się wśród soczystej zieleni zarastającej polanę. Było nam gorąco, więc skorzystaliśmy z okazji, by ochłodzić się w wodzie.

- Znalazłem tutaj dużo złota. Największy samorodek ważył ze czterdzieści gramów i dużo mi za niego zapłacili - powiedział jeden z poszukiwaczy.

Potem rozmawiali z Philipem w suahili. Philip wyjaśnił, że mamy iść kilka kilometrów w dół rzeki na próbne płukanie. Po jednej stronie roślinność była taka gęsta, że musieliśmy brodzić po kolana w wodzie. Nie zdejmowaliśmy butów, żeby nie poranić sobie stóp o kamienie na dnie.

- Bertil, coś nie tak?

Bertil stał na środku rzeki i wahał.

- Mam deja vue, zupełnie, jakbym siedział na drewnianym pomoście na Archipelagu Sztokholmskim w słoneczny letni dzień - zauważył. - Czuję w powietrzu lekki zapach smoły. Powąchaj, czujesz, Gunillo?

- O co ci chodzi? - zapytałam, nic nie rozumiejąc.

- Nie czujesz zapachu smoły? - zapytał Bertil.

Wciągnęłam nosem powietrze i zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedziałam.

Podszedł do nas Philip. Był wyraźnie zaintrygowany.

- Czy coś się stało? - spytał.

Bertil powiedział ze zdziwieniem, że czuje w powietrzu zapach smoły. A przecież to niemożliwe, bo byliśmy z dala od cywilizacji, w samym środku lasu tropikalnego; nie było tu żadnej smoły.

- Rzeczywiście! - przyznał Philip - Skąd wieje wiatr?

Zdumiony Bertil zwilżył palec i podniósł w górę.

- Stamtąd! - powiedział, wskazując w lewą stronę.

- Zostańcie tu, zaraz wracam! - Philip wyglądał na zaniepokojonego.

Per Erik dołączył do naszej wężącej grupy i spytał Philipa, czy może pójść z nim i nakręcić parę scen.

-Nie, to niebezpieczne - odparł Philip i ruszył przez rzekę w głąb buszu. Zniknął wśród bujnej zieleni.

- Wykapię się - postanowił Per Erik i oparł statyw o kamień. -Nagiywaj! - Podał kamerę Bertilowi.

Wkrótce w cieniu olbrzymiego figowca benjamina mignęło nam coś białego. To Per Erik pluskał się w wodzie i rozkoszował chłodem.

Usiedliśmy z Bertilem na kamieniu w cieniu innego drzewa i wypiliśmy piwo na spółkę. Philip przedzierał się do nas przez wodę. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Co to było? - spytałam.

- Dokładnie to, co podejrzewałem. Jacyś przestępcy ścięli kilka dużych drzew na węgiel drzewny. To nielegalna wycinka. W ten sposób niszczą równowagę ekologiczną lasu. I nie wahają się przed zabiciem tych, którzy ich na tym nakryją.

- Co z nimi zrobisz? - zapytał Per Erik, który skończył się kąpać.

- Dziś wieczorem napiszę raport, a jutro przyjedzie patrol, żeby ich aresztować - odpowiedział Philip z surowym wyrazem twarzy.

- Co się z nimi stanie, kiedy już ich złapiecie? - dopytywałam się.

Philip odpowiedział z uśmiechem pełnym satysfakcji:

- Najpierw wychłoszczemy ich długo i boleśnie. Potem przekazemy policji z nadzieją, że nigdy nie wyjdą z więzienia. - A teraz już chodźmy. Ani czas, ani rzeka nie zatrzymują się tylko dlatego, że my stoimy w miejscu - powiedział i ruszył.

Szliśmy dalej, brodząc w wodzie. Czasami mijaliśmy zupełnie bajkowe widoki. Przechodziliśmy pod zwieszającymi się nad wodą drzewami, czasem przeskakiwaliśmy przez niewielkie wodospady, a Per Erik nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić się w krystaliczną toń. W pewnym momencie zobaczyliśmy małpki, gerezy, skaczące z 20-30-metrowych drzew na gałęzie po drugiej stronie rzeki. Jednej z nich omsknęła się łapka i małpka z hukiem runęła na ziemię.

Benjamin, nasz drugi przewodnik po lesie tropikalnym, był zachwycony. On, który codziennie zajmował się pokazywaniem turystom miejscowej fauny i flory, teraz był oczarowany. Nigdy nie przypuszczał, że z koryta rzeki można podziwiać tak wspaniałą zieleń, korony drzew, w których zamieszkiwały kolorowe i niezwykle gatunki ptaków.

Po krótkim wypoczynku Bertil nabrał trochę piasku z brzegu rzeki. Wrzuciłam go do mojej płuczki. Po chwili zobaczyłam na dnie kilka dużych płatków złota. A to dopiero radość! Były to największe płatki złota, jakie do tej pory znaleźliśmy w Afryce. Po drugiej stronie rzeki ustawiliśmy koryto do płukania. Jeden z chłopców nasypał piasku, a ja z drugiej strony nalewałam wiadrami wodę. W tym samym czasie Bertil usunął kilka dużych kamieni. Minęło dwadzieścia minut; nie mogłam już dłużej czekać. Wrzuciliśmy zawartość koryta do płuczki i starannie przecedziliśmy. Biorąc pod uwagę, jak mało wzięliśmy piasku, wynik był wręcz fantastyczny. Na płuczce pozostało 20-30 średniej wielkości okruchów złota i kilka obiecujących samorodków. W czasie naszych wypraw na północ Skandynawii nigdy nie osiągnęliśmy nawet zbliżonego wyniku.

Nadszedł czas, by pomyśleć o powrocie do domu. Obawiałam się tej drogi, bo byłam głodna, bardzo zmęczona i było mi gorąco. Spakowaliśmy sprzęt, a nasi towarzysze schowali swój wśród krzaków, ponieważ mieli wrócić tu następnego dnia.

Droga powrotna do samochodu była męcząca. Musieliśmy iść kilka kilometrów przez gęstą puszcze, ale też po otwartym terenie, w palącym słońcu. Obawiałam się, że Per Erik, który nie przypominał bynajmniej zawodnika wagi piórkowej, zasłabnie.

Odwieźliśmy naszych towarzyszy do domów i ustaliliśmy, że spotamy się za tydzień. Przywieziemy naszą ciężką artylerię, marzenie każdego poszukiwacza złota: pogłębiarkę (komplet składający się z tłoka ssącego do piasku i koryta do wypłukiwania złota, który działał dzięki pompie benzynowej), kanistry z benzyną, kilofy i łopaty.

Kiedy znaleźliśmy się w domu, wyszliśmy na werandę, by odpocząć przy zimnym drinku. Co za dzień. Gwałtowna burza szybko zagnała nas do domu. Rozpaliliśmy w kominku. Per Erik chciał wypić kolejnego drinka, ale zostawił butelkę w chacie. Musiał rozebrać się niemal do naga i przebiec w strugach deszczu. Na zewnątrz było ciemno, ale nie potrzebował latarki, bo błyskawice przecinały niebo i wtedy było widno jak w dzień.

Nie rozumieliśmy, co się dzieje z pogodą. Wydawało się nam, że pora deszczowa, wyjątkowo krótka w tym roku, już się skończyła, a okazało się, że nie. Woda z dachu spływała strumieniami do zbiorników. Grzmiało bezustannie, a dudnienie deszczu o blaszany dach było ogłuszające. Deszcz strasznie zacinał. Nasza weranda miała szerokość trzech metrów, a deszcz walił w ścianę i okna tak mocno, że obawialiśmy się, że szyby nie wytrzymają.

Minął tydzień. Już o świcie Bertil, Per Erik i ja zerwaliśmy się, bo mieliśmy spędzić w lesie tropikalnym prawie cały dzień. Po szybkim śniadaniu przygotowaliśmy butelki z wodą do picia, jakieś skromne przekąski i, razem z Johannesem i Markiem, wyruszyliśmy w drogę. Johannes miał nam pomóc dźwigać ciężki sprzęt, a Mark - pilnować samochodu.

Jazda przez las po naszych towarzyszy zajęła nam około trzech kwadransów. Przywitaliśmy się i od razu oznajmiliśmy, że do celu chcemy iść rzeką. Philip zapewnił nas, że wodą to tylko cztery kilometry, a więc dużo krócej niż nasz powrotny marsz. Zapomniał jednak dodać, że miał na myśli odległość w linii prostej. Reszta była zdumiona, ale po chwili wahania się zgodziła.

Samochód zostawiliśmy przy niewielkim moście na rzece Ikuywa. Mark wziął ze sobą stertę gazet i został w samochodzie. Obiecał czekać na nas, obojętnie o której wrócimy. Zrzuciliśmy plecaki, pogłębiarkę zanurzyliśmy w wodzie i weszliśmy do rzeki. I tak rozpoczął się nasz marsz, a raczej brodzenie w wodzie. To było wspaniałe doświadczenie - dawaliśmy się prowadzić nurtowi rzeki płynącej pod baldachimem liści. Tam gdzie nurt robił się wyjątkowo wartki, Bertil prznosił pogłębiarkę nad kamieniami, a w miejscach gdzie rzeka płynęła spokojniej, pogłębiarka unosiła się po prostu na wodzie trzymana na sznurku przez Bertila. Po

kilku godzinach przestałam już liczyć wszystkie niespodzianki na drodze: bystrza, wodospady, zakręty, nie mówiąc już o zwalonych w poprzek rzeki drzewach, ponad którymi musieliśmy przenosić pakunki (w przypadku Bertila była to pogłębiarka), balansując na śliskich pniach. Była to mozolna wędrówka, ale od czasu do czasu Per Erik ożywiał atmosferę, udając pletwala błękitnego na tych odcinkach, gdzie woda była trochę głębsza. Czas płynął i zrozumieliśmy, że musimy wypróbować pogłębiarkę w najbliższym nadającym się do tego miejscu, bo możemy nie zdążyć dotrzeć do naszego uroczego i złotodajnego zakątka sprzed tygodnia.

Za kolejnym zakrętem Bertil znalazł odpowiednie do przeprowadzenia próby miejsce. Nasi poszukiwacze wyglądali na zadowolonych. W końcu mogli zobaczyć w akcji europejski sprzęt do płukania złota. Zamontowaliśmy pogłębiarkę i włączyliśmy silnik. Do koryta popłynęła woda z piaskiem tak, jak należy. Po pół godzinie przenieśliśmy zawartość koryta do płuczki. Jeden z poszukiwaczy wykonał ostatnie płukanie. Znaleźliśmy trzy maleńkie ziarna złota. Wrzuciliśmy je z powrotem do wody.

Minęło kilka godzin, od kiedy zostawiliśmy za sobą niewielki mostek na rzece Ikuywa, i właściwie już przyzwyczailiśmy się do mokrych butów. Teraz Johannes trzymał linę, żeby Bertil mógł filmować.

Był zafascynowany scenerią i szukał ciekawostek do sfilmowania. Niestety, nie mieliśmy specjalistycznego sprzętu do filmowania zwierząt, więc musieliśmy zadowolić się jedynie patrzeniem na różnobarwne i niezwykle ptaki.

Dotarliśmy do miejsca przeprawy, gdzie rzeka zwalniała swój bieg. Po lewej stronie zobaczyliśmy niewielką przesiekę w lesie. Wysłałam z wody, żeby przyjrzeć się martwemu wężowi, którego Philip znalazł chwilę wcześniej. Musiałam przyzwycząić się do węży, przy najmniej do tych martwych. Czułam się taka odważna.

Bertil podszedł do prawego brzegu rzeki. Roślinność zwisała ze skarpy jak gruba, zielona kurtyna. Zdziwiło mnie, że tak długo stał bez ruchu.

- Bertil, co się stało?! Skaleczyłeś się?! - zawołałam.

- Nie - odpowiedział spokojnym głosem. - Właśnie filmuję węża, który przed sekundą złapał żabę.

- Zwariowałeś?! Uciekaj stamtąd i to już! - niemal ryknęłam, bo wężę mnie przerażały.

Bertil podszedł do mnie, usiadł na kamieniu i powiedział:

- Zobaczyłem tam węża. Dokładnie na powierzchni wody. Ponieważ Philip ostrzegał nas przed wężami, ostrożnie posuwałem się w jego kierunku. Był szmaragdowozielony z jasnozielonym wzorem, miał 20-30 centymetrów. Właśnie upolował żabę na obiad. Zanim znalazł spokojne miejsce, żeby ją pożreć, zdążyłem zrobić kilka ujęć. Myślę, że są to najlepsze zdjęcia fauny, jakie kiedykolwiek zrobiłem: zielony wąż z żabą w paszczy w lesie tropikalnym.

Philip, który widział ostatnie centymetry znikającego wśród roślinności węża, powiedział:

- To mały wąż drzewny. Nie jest niebezpieczny, chyba że jesteś żabą albo jakimś innym zwierzątkiem mniej więcej tej wielkości.

Wszyscy troje roześmialiśmy się z widoczną ulgą i pokonaliśmy kolejny zakręt. Za każdym razem, kiedy pytaliśmy naszych poszukiwaczy złota czy daleko jeszcze, odpowiadali:

- Jeszcze trzy zakręty.

Dochodziła czwarta. Mogło się ściemnić, zanim wrócimy do domu, postanowiliśmy więc wypróbować pogłębiarkę tam, gdzie staliśmy. Rezultat - po godzinie pracy sprzętu ani śladu złota.

Poddaliśmy się. Czuliśmy, że powinniśmy wracać do domu. Uważałam, że spędzenie nocy w lesie nie jest dobrym pomysłem. Pomyślałam o wężach i wzdrygnęłam się.

Philip powiedział, że wie, jak dojść do samochodu na skrót.

- To tylko trzy kilometry spokojnego marszu.

Musieliśmy mu zaufać, koniec końców zarabiał na życie, oprowadzając turystów po lesie. Tak, miał rację. Droga rzeczywiście nie była uciążliwa, przynajmniej przez pierwszych trzysta metrów. Potem stanęliśmy nagle przed zbitą

ścianą roślinności. Philip wyciągnął panga i odrąbał kilka gałęzi. Początkowo myśleliśmy, że chodzi o usunięcie tylko jednego czy dwóch krzaków rosnących na naszej drodze. Ale po godzinie przedarliśmy się zaledwie przez pięćset metrów, a nasi poszukiwacze wraz z Philipem wywijali maczetami na lewo i prawo, aż pot z nich ściekał. Często musieliśmy czekać w kolejce, aż dwóch mężczyzn wyrąbie tunel w roślinności. Co dziesięć metrów nasze plecaki zaczepiały o jakieś chaszczki. Na szczęście za nami szedł Johannes. Jeśli my nie mogliśmy oswozić plecaków, pomagał. Czasem miałam wrażenie, że najtrudniejsze odcinki w tym gąszczu najrozsądniej byłoby pokonać na czworakach. Przedzieraliśmy się przez miejsca najeżone kolcami i wtedy współczułam idącemu na końcu Johannesowi. Zastanawiałam się, jak sobie radzi na bosaka, stąpając po ciernistych gałązkach wyciętych przez naszą grupę.

I tak wędrowaliśmy przez kilka godzin. Zapadał już zmierzch. W pewnym momencie zobaczyliśmy przed sobą strome, prawie pionowo opadające zbocze. Prowadziło do niewielkiej rzeczki niespełna półmetrowej szerokości. Kilka metrów nad wodą leżał stary pień drzewa. Wszystko zatopione w zieleni. Musieliśmy przejść na drugą stronę, balansując na oślizłym pniu. Philip i Johannes zniknęli w gąszczu, w którym wycinali przejście. Nie zauważyli, że mamy problem. Bertil na ochotnika zsunął się do rzeki. Posługując się statywem Per Erika trzymany na piersi, podtrzymał mnie i jego, kiedy przechodziliśmy przez rzekę. Sam nie miał już podpórki, więc kiedy przyszła jego kolej, musiał manewrować statywem dla zachowania równowagi jak akrobaci chodzący po linie.

Wspinaliśmy się. Zbocze było niewiarygodnie strome, ale wdrapywaliśmy się, łapiąc się roślin. Kiedy stanęliśmy w końcu na skarpie, zobaczyliśmy małą, porośniętą wysoką trawą polanę, a przynajmniej takie mieliśmy wrażenie. Niestety, myliliśmy się. Nie był to twardy grunt, ale sieć splątanych gałęzi i korzeni jakieś pół metra nad ziemią. Z każdym naszym krokiem podłoże zapadało się, kolebało, a stopy klinowały się między korzeniami. Zapadł już zmierzch, było ciemno, że oko wykol. Zaczęliśmy na serio zastanawiać się nad spędzeniem nocy w lesie.

Johannes i Philip spierali się, w którą stronę musimy iść. W końcu postanowiliśmy zaufać Philipowi, który pracował w lesie. Mijaliśmy kolejne krzaki. Poprosiłam Johanna, żeby szedł przede mną, ponieważ jego biały T-shirt był jedynym widocznym w ciemnościach szczegółem. Przez trzy godziny posunęliśmy się nie więcej niż kilometr i doszliśmy do ścieżki. Była dość szeroka i rozwidła się w lewo i w prawo. Philip postanowił pójść w prawo. Chociaż widziałam przed sobą jedynie biały T-shirt, starałam się dotrzymać kroku chłopcom. Po kolejnych dwudziestu minutach doszliśmy do szerszej wiejskiej drogi, a potem, kiedy zeszliśmy w dół, nagle znaleźliśmy się koło naszego samochodu. Wierny Mark smacznie spał na przednim siedzeniu. Chociaż czekał tyle godzin, nie był wcale niespokojny.

Odwieźliśmy poszukiwaczy do domów i wyruszyliśmy do Riverdale Gardens. Kiedy przejechaliśmy przez bramę, zobaczyliśmy, że cały nasz dom tonie w świetle lamp naftowych. Co za wspaniałe powitanie. Z Lindą, naszą służącą, został Fred, żeby, czekając na nas, nie czuła się samotna. Przygotowała dla nas wspaniałą kolację. W kominku płonął ogień. Byłam wzruszona, że o tym pomyślała. Przed kolacją usiedliśmy na chwilę przy kominku, żeby wypłatać z włosów i strzepnąć z ubrania liście, nasiona i kolce. To był niezapomniany dzień.

Ostatnie zdanie Bertila przed zaśnięciem brzmiało:

-Wożę w samochodzie latarkę; dlaczego nie zabraliśmy jej do lasu?

Rozdział 43.

Moje biedne psy.

Ponieważ kuchnia w naszej pracy była bardzo ważna, postanowiliśmy zainwestować trochę czasu i pieniędzy w jej udoskonalenie. Dodaliśmy kilka praktycznych półek i obłożyliśmy białym laminatem zlew - wyglądało to bardzo czysto i estetycznie. Na szczęście nasza zamrażarka stała już podłączona w sklepiku Petrusa w Wulushi. Trzymaliśmy w niej zapasy jedzenia oraz warzywa. Nie musieliśmy już jeździć codziennie do miasta po zakupy.

Poprosiliśmy naszego stolarza o wykonanie drzwi do recepcji, żeby zamykać tam nasze psy. Ludzie z sąsiedztwa bali się psów, zwłaszcza czarnych i brązowych, takich jak nasze. Czuliśmy się bezpieczniej, kiedy były blisko. Chroniły nas przed nieproszonymi gośćmi. Psy nauczyły się leżeć bez ruchu na swoich posłaniach pod kontuarem; były takie spokojne, że goście nawet nie zauważali ich obecności, a czasem i my o nich zapominaliśmy.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że Rufus i Merry są ciche i nie zauważyliśmy, że są bardzo chore. Po prostu leżały sobie na kocykach. Przestały jeść i się bawić, a potem także pić. Wstrzykiwaliśmy im wodę, wkładając do pysków grubą igłę do peklowania świątecznej szynki. W takim upale, nic nie pijąc, mogły się szybko odwodnić. Po kilku dniach zorientowaliśmy się, że to coś poważnego i wezwaliśmy najbliższego weterynarza.

Weterynarz przyjechał z Wulushi, spojrzął na psy, prawie ich nu dotknął, i przepisał środek na robaki. Po długich poszukiwaniach dostaliśmy w końcu lekarstwo, ale niewiele pomogło. Z psami było coraz gorzej.

Poszukaliśmy weterynarza w Kakamega. Ten bardzo starannie zbadał psy i postawił diagnozę: obydwa mają gorączkę kleszczową, chorobę roznoszoną przez kleszcze, a na dodatek zapalenie płuc. Uważał, że nie przeżyją, ale mimo to podał im antybiotyki i witaminy w zastrzykach. Minęły dwa koszmarnie dni i dwie jeszcze gorsze noce. Spędziliśmy je obok naszych psów na podłodze, co trzy godziny podając im po kropelce rosołu i wody.

Ulżyło nam, kiedy Rufus i Merry wychłęptały więcej rosółu, a po dobre zjadły trochę mielonego mięsa. Potem szybko wróciły do zdrowia - dosłownie stanęły na łapy i po zaledwie paru dniach baraszkowały razem. Znowu wszystko wróciło do normy.

Być może strach o psy sprawił, że obniżyła się moja odporność. Znowu miałam atak malarii. Byłam taka zmęczona, że mało nie spadłam z krzesła. Czułam, jakby moje kończyny ważyły tonę. Długo nabierałam sił i, prawdę mówiąc, wątpiłam, czy kiedykolwiek odzyskam dawną formę. Zastanawiałam się, jak sobie poradzę z Francuzami, którzy przyjeżdżali do nas następnego dnia.

W lesie tropikalnym jest chłodno; może tam nabiorę sił, pomyślałam. Szybko spakowaliśmy koszyk z jedzeniem i pojechaliśmy do lasu, nad rzekę Ikuywa. Kilka godzin w cieniu nad jej brzegiem zdziało cuda. Było tak, jakbym dostała zastrzyk z witamin i w miarę jak przybywało mi sił, czułam się też psychicznie coraz lepiej. Gdzieś ulotniły się obawy o to, czy sobie poradzę z gośćmi. Byli dla nas bardzo ważni, bo nasza sytuacja finansowa wyglądała katastrofalnie.

Jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, mając nadzieję na pojawienie się zamożniejszych gości. Od półtora miesiąca kiepsko było z rezerwacjami, aż tu nagle sytuacja uległa zmianie i parę osób zapowiedziało się na drugą połowę kwietnia. Od razu poprawił nam się humor. Może to początek stabilnych dochodów? Musieliśmy dbać o każdego gościa, żeby wyrobić sobie dobrą opinię. Tylko co robić z wodą? Przecież to konieczny warunek, żeby goście byli zadowoleni.

Panowały nieprawdopodobne upały, niezwykle o tej porze roku, a stojące powietrze sprawiało, że trudno było oddychać. Powinno teraz codziennie padać, ale w praktyce między deszczami mijało czasem nawet kilka dni. Jeśli pogoda się nie zmieni, nieuchronnie czeka nas kłęska. W początkowym okresie kukurydza potrzebuje dużo deszczu, a tych kilka kropel, które spadało od czasu do czasu to za mało, zarówno do uprawy kukurydzy, jak i na nasze potrzeby. Obliczaliśmy, ile wody potrzeba na umycie rąk, s płukania toalet i kąpeli. Nasze zbiorniki były puste. Pilnie potrzebowaliśmy wody.

Pewnego dnia zjawił się u nas Nixon, zastępca wodza, w towarzystwie strażników i więźniów. Przybyli po to, żeby wkopać czterdzieści rur wodociągowych, które od dwóch miesięcy leżały na naszym terenie. W drodze do Kakamega zatrzymaliśmy się, żeby porozmawiać z Nixonem. Przywiozłam wielką, co najmniej czterokilogramową, torbę owoców passiflory. Nixon stwierdził, że sam przekaże owoce strażnikom. Odpowiedziałam, że nie ma mowy. Sama dałam torbę więźniom, inaczej pewnie nic by nie dostali. Ci rozpromienili się na ten widok, bo rzadko widywali owoce.

Po powrocie z miasta spyaliśmy, co z rurami. Nixon oświadczył, że nie mogli skończyć pracy, bo rur zabrakło, nie pierwszy raz zresztą. Tym razem do granicy naszej posesji brakowało zaledwie trzydziestu metrów.

Bertil wziął taśmę mierniczą i poszedł sprawdzić, ile rur położono. Szybko obliczył, że ewidentnie część skradziono. I to w obecności zastępcy wodza. O mało mnie szlag nie trafił.

Ta cała operacja układania rur trwała już ponad szesnaście mu sięcy. Odległość wynosiła niecały kilometr. Przez większość czasu czekaliśmy na kolejne decyzje wodza, a on wyraźnie nas ignorował. Pewnie dlatego, że nie chcieliśmy mu wręczyć zwyczajowej łapówki.

Czas mijał błyskawicznie. Znowu zbliżała się Wielkanoc. Chcieliśmy przygotować choć kilka naszych świątecznych dań. Musieliśmy improwizować. Mieliśmy puszkę marynowanych śledzi przywiezioną ostatnio przez Per Erika, a zamiast łososia postanowiliśmy przyrządzić okonia nilowego. Niewielki okoń ważył ponad dwadzieścia kilogramów, kupiliśmy zatem tylko kawałek. Mieliśmy też sznapsa, bo Per Erik zostawił nam kilka buteleczek esencji z Alborga.

Na Wielkanoc potrzebowaliśmy oczywiście jajek. Myśleliśmy, że w tej kwestii będziemy samowystarczalni. Wielki błąd. Naszych dziesięć kur padło ofiarą kobr, sąsiadów, drapieżnych ptaków i mangust. Ostatnie dwie przez dwa miesiące nie zniosły ani jednego jajka, a zatem skończyły jako potrawka na talerzach niespodziewanych gości.

Nasz hydraulik, który miał już dawno przyjść i zamontować nowe urządzenie do grzania wody, przysłał posłańca z informacją, że jest chory.

Kiedy się wreszcie pojawił, wyglądał okropnie. Cały posiniaczony, z ręką na temblaku. Został potrącony przez motocyklistę, kiedy jechał na rowerze. Gdy policja dotarła na miejsce wypadku, skonfiskowała rower hydraulika, chociaż to nie on spowodował wypadek, i oświadczyła, że będzie musiał sporo zapłacić, aby odzyskać rower. Oczywiście policji.

Hydraulik był świetnym fachowcem, więc wkrótce cieszyliśmy się gorącym prysznicem i to przez całą dobę. Niewielki ogień przez kilka godzin podgrzewał wodę w dużej beczce po oleju umieszczonej na kominku w budynku z prysznicami; ta prosta i zmyślna konstrukcja zaopatrywała nas w gorącą wodę. Około szóstej rano nocny askari rozniecał ogień, który palił się do dziewiątej czy dziesiątej rano. W ten sposób przez cały dzień mieliśmy ciepłą wodę.

Kilka dni po Wielkanocy Bertil zainstalował w kopalni w Sontanini system wentylacji własnego pomysłu. Wszyscy byli szczęśliwi, kiedy okazało się, że miechy działają bez zarzutu. Wystarczyło tylko kilka razy nimi poruszyć, żeby ludzie wytrzymali przez godzinę na dole trzydziestometrowego szybu. Teraz mieli motywację i lepsze warunki do ciężkiej pracy, dzięki której mogli zdobyć pieniądze na opłacenie czesnego swoim dzieciom.

Kiedy wyruszyliśmy do domu, rozpadało się na dobre. Jazda pod górę, nawet naszym land roverem, przypominała przeprawę samochodem przez rzekę. Na głównej drodze powstały koleiny z wodą głębokie na pół metra. W śliskim błocie samochód zsuwał się do rowu. Kilkakrotnie baliśmy się, że się wywróci, ale nawet nie ugrzązł i dzielnie pokonał całą trasę. To w końcu był land rover. Kiedy dojechaliśmy do placu w wiosce przed naszą główną bramą, zbliżał się wieczór. Zanosilo się na burzę.

- Gunilla, czujesz ten zapach? - spytał Bertil.

- Tak, rzeczywiście coś mi przypomina. Ale co?

- To chyba ozon. Mam wrażenie, że przejeżdżamy przez chmurę burzową.

Czujesz mrowienie?

- Tak, ale myślałam, że to od szalonej jazdy - zażartowałam.

Mieliśmy nieprzyjemne odczucie, że powietrze było naładowane elektrycznością. Zupełnie jak w sztokholmskim Muzeum Techniki, gdzie stało się na izolowanym szklanym stołku z generatorem w ręku i czuło się przepływający ładunek.

Ledwie zdążyliśmy wypakować zakupy, kiedy rozpętała się burza. Błysnęło i zagrzmiało. Psy pomknęły na werandę, a my za nimi, by stąd obserwować rozszalały żywioł.

- Co za szczęście, że nie mamy dziś gości - powiedziałam, kiedy już rozsiedliśmy się na werandzie.

- Dobrze, że zdążyliśmy wyłączyć telefon i inne urządzenia - stwierdził Bertil.

Powiedział to w złą godzinę.

Dokładnie w tym momencie nasz domofon zaczął wyc jak szalony.

- No, to teraz mamy zepsuty domofon - powiedziałam.

- Miejmy nadzieję, że da się go naprawić. - Bertil był przygnębiony.

Domofon eksplodował zarówno w pomieszczeniach pracowników, jak i w chacie. Bertilowi udało się naprawić trzy spośród pięciu aparatów. Elektronika i przewody nie radzą sobie z siłami natury.

Rozdział 44.

Grupa ornitologów.

Przez ostatnich kilka tygodni mieliśmy mnóstwo pracy przy obsłudze gości z ambasad i różnych oenzetowskich agend. Z reguły byli to mieszkańcy Nairobi i Mombasy. Dużo łatwiej było obsługiwać rodowitych Kenijczyków lub rezydentów, niż turystów z zagranicy. Po pierwsze, nie oczekiwali, że wszystko będzie działało, a kiedy działało, byli szczęśliwi. Doświadczenia z kempingów w parkach narodowych i inne tego typu przygody przyzwyczyły ich do znacznie niższych standardów. W takich miejscach to nie komfortowe warunki były najważniejsze. Najważniejszy był dobry nastrój.

Kiedy przyjmowałam rezerwacje, zawsze informowałam gości, że warunki u nas są raczej prymitywne, a Riverdale Gardens położone jest z dala od głównych szlaków. Pytałam o upodobania kulinarne i o to, czy są w grupie wegetarianie.

Staliśmy z Bertilem na werandzie przy wejściu, czekając na grupę ornitologów z Anglii. Kiedy przyjmowałam rezerwację, coś przerywało, więc nie usłyszałam odpowiedzi na moje zwyczajowe pytania. Trochę się tym denerwowałam.

- Przyjechali - powiedział Bertil. - Słyszę samochód przy bramie.

Po chwili podjechał mikrobus i zaparkował na trawniku przed domem. Wysiadło z niego siedem osób. Miałam wrażenie, że w grupie panuje ponury nastrój i poczułam się niespokojna. Miałam ochotę wrócić do łóżka.

- Bertil, to będzie katastrofa - stwierdziłam - Oni są za starzy na takie miejsce. Co my zrobimy?

- Tylko spokojnie. Damy radę - odpowiedział Bertil, dziwnie spokojny. Poszedł do samochodu przywitać się z grupą. Rozmawiał z nimi przez kilka minut i zaraz wrócił do mnie. - Chcą od razu zacząć obserwację ptaków - stwierdził. - Zaproponowałam im, żeby stanęli na szambie. Pokażę im drogę.

Cała grupa zniknęła w ogrodzie i spędziła tam ponad godzinę, stojąc z lornetkami na zbiorniku. Chciałam, żeby zameldowali się w swoich pokojach przed

zachodem słońca, ale nie było o tym mowy. Kiedy wrócili, było już ciemno. Wyciągnęli bagaże, a nasi chłopcy pomogli je zanieść. Sprawdziłam, czy wszyscy zabrali swoje walizki, pokazałam im jeszcze sanitariaty i poinformowałam, o której godzinie podajemy kolację. Wszyscy milczeli i zachowywali się z dużą powściągliwością.

Przed kolacją zaproponowaliśmy im szklaneczkę sherry - ostatecznie to byli Anglicy. Miałam nadzieję, że to rozluźni atmosferę. Trafili do buszu, i jak mogłam się domyślić z rozmowy, przeżyli prawdziwy szok. Poza tym, nie było u nas pokojów z łazienkami. Do tej pory zatrzymywali się pewnie w luksusowych hotelach, różnica dla tych biedaków była więc kolosalna.

Zauważyliśmy, że raczej nie lubią opiekuna grupy, który zresztą okazał się strasznym zrzędą, bo zaraz zaczął narzekać, że: toaleta znajduje się za daleko od jego pokoju, na dworze niewątpliwie grasują lwy i lamparty, na pewno nikt nie potrafi porządnie pracować, a drzwi do jego pokoju nie zamykają się na klucz. Przy świetle latarki Bertil natychmiast wymienił zamek. Uspokoiałam marudę, obiecałam mu, że ubranie zostanie uprane oraz zapewniłam, że w okolicy nie ma dzikich zwierząt. Kolacja była jak zwykle smaczna, ale prawie jej nie tknęli.

Po posiłku usiedli w salonie, zaznaczając w spisie wszystkie ptaki, jakie w tym dniu widzieli. Bertil wyszedł na dwór, żeby sprawdzić, czy zbiornik z wodą jest pełny.

Okolo dziewiątej usłyszeliśmy pukanie do drzwi kuchennych. To był nasz nocny askari, Mark. Wskazał na podobny do sznurka przedmiot leżący obok paneli słonecznych. Zabił właśnie zielonego węża. Bogu dzięki, nie był to jadowity wąż z buszu, ale podobny do tego, którego Bertil filmował nad rzeką. I co za szczęście, że nie zobaczyli go wystraszeni goście.

Anglicy nie uwierzyli naszym zapewnieniom, że w okolicy nie ma żadnych lwów ani lampartów. Pewnie następnego dnia rano będą jeszcze bardziej zmęczeni - pomyślałam. Spaliśmy w nieukończonyj jeszcze chacie numer trzy i powiadomiliśmy o tym naszych gości na wszelki wypadek, gdyby potrzebowali pomocy.

Obiecaliśmy im lekkie śniadanie. O wpół do siódmej mieli już być w lesie tropikalnym. O czwartej byłam na nogach. Poszłam do toalety i ku memu przerażeniu odkryłam, że skończyła się woda. Jak to się stało, do cholery? Spanikowana pobiegłam do Bertila i przekazałam mu złe wieści. Wskoczył z łóżka i ubrał się w mgnieniu oka. Razem pobiegliśmy do głównego budynku. Musieliśmy uporać się z wodą, zanim goście wstaną.

Kwadrans później zrywałam boki ze śmiechu. Bertil w samych slipkach stał na dnie wielkiego zbiornika o pojemności tysiąca litrów.

Wystawała mu tylko głowa. Plastikowym wiaderkiem wybierał resztki wody. Nocni askari biegali przez trawnik do rezerwuaru z wodą do toalet, wdrapywali się na drabinę i wlewali wodę z kubelków. Przypominało to nasze zabawy w sobótkę w Szwecji. W końcu było tyle wody, żeby wystarczyło na poranne wizyty gości w toalecie. Mieliśmy nadzieję, że z prysznicem wstrzymają się do powrotu z lasu.

Kiedy mikrobus zniknął za bramą, Bertil natychmiast poprosił naszych dzielnych pomocników, żeby wykopali rowy po obu stronach wodociągu. Gdzieś musiał być przeciek. Do tej pory żadni goście nie zużyli 400 litrów wody w ciągu jednej nocy. Ale dziury nie było. Co u licha?! Mieliśmy czas do powrotu gości na drugie śniadanie, żeby napełnić zbiornik. Nawet nie zauważyli, co się stało.

Po śniadaniu przygotowałam dla całej grupy ogromny kosz piknikowy ze wspianą sałatką z kurczaka i innymi smakołykami. Resztę dnia Anglicy mieli spędzić w lesie. Kilka pań przyszło do mnie do kuchni, żeby powiedzieć, że lunch wygląda naprawdę smacznie. Nastroje najwyraźniej się poprawiały.

Mikrobus wrócił dopiero późnym popołudniem. Kiedy zobaczyłam miny naszych gości, od razu zrozumiałam, że coś się stało. I na pewno nic miłego. Kierowca szedł oddzielnie, a oni wyglądali na wściekłych.

Według relacji przewodnika zrzędy, który po tym, jak Veronica przyniosła mu wyprane, wyprasowane i ładnie złożone ubranie, okazał się sympatycznym gościem, kierowca zachował się beznadziejnie. Zostawił całą grupę w lesie z przewodnikiem, a sam pojechał do Kakamega naprawić tłumik. Nie było go aż sześć

godzin, a lunch został w samochodzie. W Kakamega mikrobus stał przez cały dzień na słońcu, więc kiedy wrócił, nasi wygłodniali goście nie mieli odwagi ruszyć jedzenia. Nic nie jedli i nie pili przez cały dzień.

Tym bardziej przyłożyłam się do przygotowania kolacji. Jedzenie musiało być pyszne i podane w ekspresowym tempie. Ale goście znowu ledwie skubnęli danie. Może nie odpowiadała im moja kuchnia?

Następnego dnia dowiedziałam się, że od kilku dni cierpieli na zatrucie pokarmowe. Ciśnienie mi podskoczyło. Gdy wpadłam na opiekuna grupy, spytałam, dlaczego nic nam nie powiedział o problemach żołądkowych. Mogliśmy przecież załatwić i lekarza, i lekarstwa. Był zdziwiony, zachowywał się, jakby to nie była jego sprawa. Troskliwy opiekun. Ale przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego w rezerwuarze w toaletach zabrakło wody. Nasze strute nieboraki spędziły tam pewnie całą noc.

Tuż po wyjeździe obserwatorów ptaków przyjechali nowi goście i tak to trwało przez kilka tygodni. Tylko czasami trafiała się noc bez gości. W zależności od obłożenia przenosiliśmy się do różnych chat, oczywiście razem z psami. Zdarzało się, że spaliśmy w salonie na materacach przy kominku. Wtedy mieliśmy nadzieję, że goście nie okażą się nocnymi markami, ponieważ nie mogliśmy się położyć, póki nie rozeszli się do swoich chat. Nasze psy chyba się czuły trochę zagubione i nie bardzo wiedziały, co się dzieje.

W kuchni objawił się nowy talent kulinarny. W dodatku pracował za darmo. Western Hotel College szukał miejsc na trzymiesięczne praktyki dla swoich uczniów i zgodziliśmy się przyjąć chłopca, który tam się uczył. Był to bardzo ambitny młody człowiek o imieniu Max. Już pierwszego dnia przygotował dla naszych gości mnóstwo pyszności. Wprowadził się do jednego z mieszkań dla pracowników i wyglądało na to, że dobrze dogaduje się z resztą personelu. Mieliśmy nadzieję, że wyjdzie na ludzi. Na razie byliśmy bardzo zadowoleni.

Mieliśmy naprawdę szczęście, że Max zajmował się kuchnią, a Veronica pomagała nam w recepcji i robiła pranie. Nasi pozostali pracownicy również się

sprawdzali. Zmywanie, sprzątanie, ścinanie trawy - wszystko szło jak z płatka, a personel był miły i uprzejmy dla gości.

Poinformowaliśmy pracowników, że jeśli ktokolwiek dopuści się kradzieży, zostanie surowo ukarany i zawiadomimy policję.

Powiedzieliśmy im także, że na kontuarze w recepcji leży pudełko na pieniądze. Tam lądowały napiwki, które następnie równo dzieliliśmy pomiędzy wszystkich pracowników. W ten sposób dowiedzieli się, że warto zanosić walizki turystom. Miałam wrażenie, że mieszkańcom wioski podobało się, że mamy dużo gości. Śmiali się, machali i uśmiechali, wyglądało na to, że są dumni ze „swojego” hotelu.

Jednym z ulubionych punktów programu turystów były spacery po naszej wiosce. Jeśli wiedzieliśmy, że goście są tym zainteresowani, jeden z pracowników oprowadzał ich po okolicy. Odwiedzali wtedy chaty, rozmawiali z mieszkańcami, słuchali o miejscowych zwyczajach. Niektórzy goście, na przykład lekarze, chcieli spotkać się z plemiennym czarownikiem w towarzystwie wioskowego pielęgniarza Nelsona. Nauczyciele zaś planowali odwiedzić miejscową szkołę. Życie na kenijskiej wsi naprawdę ciekawiło naszych gości. Mieliśmy nawet przyjaciela, Anglika mieszkającego na północy, który przywoził do nas swoich gości, by mogli przejść się i poznać naszą wioskę.

Nie do wiary, ilu ludzi jest wegetarianami. Wypróbowywaliśmy coraz więcej dań dla jaroszów. Ostatnia potrawa była ogromnym sukcesem. Mama przysłała mi wycinek z gazety - przepis na burgery z kwiatu bananowca. Mieliśmy kilka tysięcy bananowców, a ich liczba rosła w astronomicznym tempie, więc nie wszystkie kwiaty musiały zmienić się w kiście bananów. Liliowe kwiaty bananowca kroiliśmy na kawałki i podgotowywaliśmy. Siekane na drobne kawałki zastępowały mielone mięso w burgerach. Naprawdę smacznych.

Być może sami utrudnialiśmy sobie życie, podając tyle wspaniałych potraw na lunch oraz szykując obfity szwedzki stół na śniadanie. Wszyscy uważali, że nasza kuchnia jest znakomita, ale goście często powtarzali, że nie dadzą rady już nic więcej zjeść. Może powinniśmy ograniczyć liczbę posiłków? Ale sprawiały nam

przyjemność pochwały i stwierdzenia, że nasza kuchnia jest jedną z najlepszych w Kenii. Po co zatem oszczędzać?

Naszym największym i najbardziej kosztownym problemem była błyskawicznie rosnąca trawa. Cały nasz teren zajmował powierzchnię 20 000 metrów kwadratowych i trzy czwarte porastała wysoka trawa, w której kobra leśna stawała się niewidoczna; kryły się w niej także inne niebezpieczne zwierzęta. Musieliśmy więc regularnie kosić trawę. I to nie tylko dlatego, że umierałam ze strachu przed węzami, ale przede wszystkim ze względu na gości.

Postanowiliśmy zasiać inny gatunek trawy. Tubylcy dowiedzieli się o tym i zaczęli przywozić do nas taczki pełne trawy na sprzedaż. Gatunek ten płożył się, a nie rósł w górę. Niewielkie kępki szybko się rozrastały, i gdzieś tam je posadziliśmy. Stopniowo zajmowały coraz większą powierzchnię i spodziewałam się, że w przyszłości pewnie całkiem zdominują wysoką trawę.

Kwestia wody była naszym ciągłym utrapieniem. Oszukiwano nas i naciągano. Kiedy pozostałe rury miały zostać położone wzdłuż granicy naszej działki, znowu ich zabrakło. Kupiliśmy rury na własną rękę, a nasi pomocnicy ogrodnika wykopali rów. Wreszcie wszystko było gotowe do podłączenia wody. Bieżąca woda w kranach oznaczała dla nas nowe życie.

Rozdział 45.

Ale jesteśmy naiwni!.

Jak w wielu innych sytuacjach sprawy nie potoczyły się tak gładko, jak się spodziewaliśmy. W końcu w czwartek podłączono nas do sieci wodociągowej.

Kabeji, starszy mężczyzna odpowiedzialny za wodę w wiosce przy głównej drodze, zażądał 250 szylingów łapówki za otwarcie dopływu wody do głównego zbiornika. Bertila nie było w domu, więc zapłaciłam. Oczywiście wody nadal nie było.

W piątek Kabeji wrócił z dwoma pomocnikami, żeby znaleźć przeciek. Chciał, by dwóch naszych ogrodników zajęło się kopaniem. W tym samym czasie jego pomocnicy po prostu stali i się przyglądali. Wieczorem popłynęła z kranu cieniutka strużka wody. Byliśmy zadowoleni i zaprosiliśmy mężczyzn do ogrodu na lemoniadę i chleb. Bertil poszedł się położyć, bo miał atak malarii.

Pół godziny później zawałam go, by mu powiedzieć, że mężczyźni nie chcą odejść, póki nie dostaną kolejnego 1000 szylingów łapówki. Bertil się wściekł, wyskoczył z łóżka, złapał niewielki magnetofon i schował go do kieszeni. Wymachując kartką papieru i ołówkiem podszedł do mężczyzn i poprosił, żeby zapisali swoje nazwiska. Potem zapytał, na co czekają.

- Chcemy łapówki - wyjaśnili spokojnie. Tysiąc szylingów.

Nie rozumieli, że żądanie łapówki było przestępstwem. Po długiej dyskusji w końcu sobie poszli. Ponieważ woda przestała płynąć z kranu, najwyraźniej w drodze powrotnej do wioski zamknęli zawór. Tak czy siak, kran, zamontowany w górnej części posesji, wyglądał wspaniale.

Mówiono, że starzec zakręcił wodę i utrzymywał, że musi mieć pieniądze na olej napędowy do pompy.

Planowaliśmy, że później wykopimy własną studnię. Dzięki temu uwolnimy się wreszcie od skorumpowanego starca.

Oszukano nas także, gdy kupowaliśmy ziemię. Tytuły własności naszych dwóch przylegających do siebie działek przesłano nam faksem, zanim wyjechaliśmy ze Szwecji, ale później odkryliśmy, że dokumenty są nieostemplowane. Od tamtej

pory kłóciliśmy się o to z władzami, które odpowiadały, że od czasu naszej transakcji zmieniło się prawo i cudzoziemcom nie wolno już posiadać ziemi rolnej. Chodziło o to, że Kenia chciała zapobiec spekulowaniu ziemią przez cudzoziemców. Żeby zdobyć nasze tytuły własności, musieliśmy więc (za duże pieniądze) zatrudnić architekta i planistę, którzy sporządziliby oficjalne pismo zawierające opis naszego planu inwestycyjnego tylko po to, żeby udowodnić, że nie kupiliśmy ziemi w celach spekulacyjnych.

Pewnego dnia na początku maja w drodze do miasta wpadliśmy na Timothy'ego. Oznajmił nam, że nasz ostatni tytuł własności jest już do odebrania. Natychmiast zmieniliśmy plany i po czterech godzinach czekania w urzędzie ziemskim mieliśmy w końcu nasz drugi tytuł własności. Zdobyliśmy dokumenty potwierdzające nasz kenijski majątek.

W drodze do domu wstąpiliśmy na pocztę, żeby sprawdzić naszą skrytkę. Czekająca tam na nas kolejna cudowna niespodzianka - dowód rejestracyjny land rovera. Kiedy wcześniej trzeba było dodać na nim kolejny znaczek, dokument zaginął gdzieś w Nairobi. Teraz pojawił się nagle w kopercie z urzędu skarbowego. Nie dołączono nawet żadnego listu.

Chociaż w dalszym ciągu nie było wody, czuliśmy, że mamy powody do świętowania i wzniesienia toastu lampką wina na werandzie.

Tymczasem powtórzyła się sytuacja z przeszłości. Znowu sprzedali nam śmierdzące mięso. Przez dwa dni z rzędu musieliśmy improwizować posiłki. Max był naprawdę fantastyczny i błyskawicznie potrafił postawić na stole jakieś zastępcze pyszne danie. Nasi goście nigdy się nie zorientowali, co się działo w kuchni.

Drugiego dnia przyjechało do nas z Kisumu na lunch mnóstwo gości, w tym siedmioro dzieci. Podaliśmy im zaimprovizowaną i lubianą, zwłaszcza przez dzieci, pizzę z pieca.

Po posiłku podaliśmy dorosłym kawę na werandzie. Dom rozbrzmiewał radosnym śmiechem i wesołą paplaniną dzieci. Niektóre z nich płuwały z Rogerem złoto w basenie. Otoczony maluchami Fred siedział na podłodze w salonie i karmił

niedawno urodzone króliczki, które biegały sobie swobodnie; jeden z nich skorzystał z okazji i uciekł. Dzieciarnia bawiła się pluszowymi zabawkami i samochodzikami albo wirowała na obrotowym krześle. Rodzice beztrudnie spędzali czas na werandzie, a my biegaliśmy z ich dziećmi. Prawdziwy sukces. Spodziewaliśmy się, że każda europejska rodzina posiadająca dzieci prędzej czy później do nas wpadnie. U nas można było odpocząć od własnych latorośli.

Kiedy nie było gości i mieliśmy trochę spokoju, korzystaliśmy z wolnego czasu, żeby przeprowadzić prace konserwacyjne. Murarz już się zabrał do tynkowania zewnętrznych ścian budynku dla pracowników. Było nam wstyd, bo deszcze naniósł mnóstwo błota i budynek wyglądał szkaradnie.

Pewnego dnia, kiedy pracownicy jedli lunch w pomieszczeniach socjalnych, Fred poczuł, że coś mu pełza po ramieniu. To był malutki, niegroźny wąż. Zabili go. Tego samego dnia Bertil musiał zabić węży w pokoju Maxa. Max wychował się w mieście i nienawidził węży. Wpadł w histerię i nie chciał zostać w swoim pokoju. Musieliśmy go przenieść do jednej z gościnnych chatek, gdzie był do czasu, aż ktoś wyniósł gada z budynku dla pracowników. Zamontowaliśmy maty z papirusu pod sufitem, żeby węże nie spadały prosto do łóżek. Prawdę mówiąc, to były niegroźne węże mahoniowe - ale tak czy siak, węże...

Już od roku mieszkaliśmy w naszej pierwszej chacie dla gości. Tyle się zdarzyło w tym czasie. Kiedy w 1996 roku pojawiliśmy się w wiosce, Riverdale Gardens było wyschniętym i zakurzonym polem kukurydzy, porośniętym suchymi badyłami, pełnym skał i kamieni. Trudno było sobie to teraz wyobrazić.

W ciągu ostatniego roku rośliny bardzo wybujały, a rozłożyste korony drzew przyciągały różne gatunki ptaków. Wśród zasadzonych przez nas kwiatów fruwały różnobarwne motyle. Wybudowaliśmy trzy chaty. Jedna obrosła kwiatami w różnych odcieniach czerwieni, druga - tylko niebieskimi, a trzecia - żółtymi. Wykończyliśmy już budynek restauracji otoczony bujnymi kępami hibiskusa, kalistemonami i tulipanowcami afrykańskimi, a wokół werandy pięły się strączyńce cewiaste. Budynek z sanitariatami oraz olbrzymie szambo były zasłonięte przez bananowce. Nie do wiary! Ogród przy kuchni pełen był rozmaitych warzyw.

Po ogrodzeniu pięły się setki krzewów passiflory. Setka drzew papai i awokado osiągnęła już kilka metrów wysokości. Eukaliptusy rozrosły się wręcz nieprawdopodobnie, obok naszej starej wygodki zaś posadziliśmy pachnący wanilią *Selenicereus grandiflorus*, czyli królową nocy, żeby zabić wszystkie przykre wonie. Kaktus wyglądał przepięknie i wspaniale pachniał.

Ugór zmienił się w prawdziwy raj. I to zaledwie w ciągu jednego roku!

Nie mogłam uwierzyć, że mieszkałam w trzydziestoletniej banda. I że wytrzymałam w niej przez ponad pół roku.

Rozdział 46.

Dziennikarze turystyczni.

Odpoczywaliśmy w salonie przed płonącym ogniem, a tymczasem na dworze szalała potworna burza. Bałam się, jak zawsze zresztą, że piorun uderzy w nasz eukaliptus. Był taki wysoki, że zdawał się sięgać nieba. Przy każdej nawałnicy obawiałam się, że drzewo zwali się na restaurację.

Stawiałam pasjansa w świetle lamp naftowych i myślałam o tym, jak zdobywaliśmy drewno do kominka. Mieliśmy sporo eukaliptusów, a jeszcze posadziliśmy kilka nowych. Eukaliptus to niezwykle drzewo. Gdy obetnie mu się gałąź, wyrasta kilka nowych pędów. Musieliśmy jednak jeszcze poczekać, zanim będziemy mieli pod dostatkiem własnego drewna na opał.

Jakieś pół roku temu mieszkający po drugiej stronie doliny chłopak chciał pożyczyć od nas pieniądze na osła. Zamierzał na nim przywozić chrust z lasu. Dług chciał spłacić drewnem na opał. Uzgodniliśmy, że w ramach spłaty dostarczy dwadzieścia ładunków drewna. W ten sposób cały czas mieliśmy czym palić, a każdy ładunek odhaczaliśmy na kartce w kuchni.

- Bertil, ktoś stuka do drzwi - powiedziałam. - Chyba przed chwilą słyszałam samochód.

Było już wpół do dziewiątej wieczorem, na dworze panowały ciemności. O tej porze turyści nigdy nie przyjeżdżali. Bertil otworzył drzwi. Przy wejściu na werandę stał jakiś kompletnie przemoczony i nieszczęśliwy Europejczyk.

- Proszę wejść - powiedział Bertil po angielsku.

Mężczyzna wszedł, zostawiając mokry ślad na podłodze. Przedstawił się jako Jack, dziennikarz z Anglii, z czasopisma turystycznego. Był w lesie tropikalnym i zamierzał przenocować w tamtejszym schronisku. Bezskutecznie próbował kogoś znaleźć, a ponieważ w łazience nie było wody, nie został. Dopytywał się o nocleg w przydrożnych barach, aż w końcu ktoś mu powiedział o Riverdale Gardens. W ten sposób trafił do nas.

Zaprosiliśmy Jacka przed kominek i na rozgrzewkę poczęstowaliśmy go szklaneczką whisky. Niemal od razu odzyskał dobry humor. W czasie rozmowy pokazał nam artykuły, które napisał dla „Sunday Telegraph” i „Financial Times”. Przygotowałam mu naprędce kolację i zaproponowałam, żeby został u nas na noc jako gość. Chętnie się zgodził.

Podczas rozmowy powiedzieliśmy mu, że naszym hobby jest poszukiwanie i płukanie złota. Stwierdził, że to fantastyczne i spytał, czy jutro mógłby się z nami wybrać.

Następnego ranka zawieźliśmy Jacka do Sotanini. Z zapalem kruszył i miał kamienie. Szybko zaprzyjaźnił się z tubylcami. W drodze do domu zatrzymaliśmy się w lesie i przedstawiliśmy mu jednego ze strażników, który miał go oprowadzić przez godzinę po lesie deszczowym - obowiązkowy punkt programu dla każdego dziennikarza zajmującego się turystyką.

Po lunchu w Riverdale Gardens Jack chciał znowu płukać złoto. Bertil zabrał go do pobliskiego Nianini, gdzie udzielił naszemu dziennikarzowi krótkiej lekcji. Jack wypróbował płuczkę i znalazł kilka ziaren złota, które wrzuciliśmy do plastikowej wanny z korkiem. Niewiarygodne szczęście. Jack wyjechał zadowolony. Parę dni po wizycie Jacka kolejny dziennikarz zajmujący się turystyką zastukał do naszych drzwi; tym razem z Niemiec. Zjeździł na rowerze całą Afrykę i napisał przewodnik dla rowerzystów. Teraz pisał bedeker o Kenii. Mówił i mówił, a potem pisał i pisał.

Chciał rozstawić u nas namiot, ale zaproponowaliśmy mu pokój i posiłek na koszt firmy. Widok z werandy wprawił naszego Niemca w liryczny nastrój i gdyby nie napięty harmonogram pewnie zostałby u nas parę dni.

Dziwne. Żyliśmy w zupełnej głuszy, a do tej pory odnalazło nas już czterech dziennikarzy zajmujących się turystyką, chociaż Riverdale Gardens nie figurowało w żadnym przewodniku. Miało się to wkrótce zmienić, bo nasi znajomi dziennikarze obiecali wspomnieć o nas w swoich książkach.

Już niemal uwierzyłam, że wioskowy czarownik rzucił klątwę na nas i na Riverdale Gardens. Był koniec miesiąca, wieczór. Petrus powiadomił nas, że

człowiek, od którego kupowaliśmy elektryczność na potrzeby naszej zamrażarki, chce nam odciąć prąd. Pewnie w ten sposób próbował wymusić od nas jakąś milionową łapówkę. Płaciliśmy mu miesięcznie trzysta szylingów, chociaż zużywaliśmy prądu za niecałe sześćdziesiąt. Wiedział, jak ważna jest dla nas zamrażarka i miał nadzieję, że szantażem wymusi pieniądze. Musieliśmy znaleźć innego dostawcę, zanim ten zrealizuje swój plan i żywność się zepsuje. Pertus obiecał nam pomoc. Bez zamrażarki nie mogliśmy przyjmować gości.

Zastanawiałam się, czy klątwa czarownika nie objęła także naszych pomocników ogrodnika. Wcześniej jeden z chłopców zranił się w nogę przy koszeniu trawy. Trzeba było założyć szwy, zaaplikować zastrzyki, potem jeszcze kilka razy odwiedzić lekarza i oczywiście zwolnić rannego z pracy. Teraz to samo przytrafiło się Fredowi.

Bertil musiał zawieźć go do szpitala. Na szczęście tym razem obyło się bez krwi. Duński lekarz powiedział, że najczęstszą przyczyną śmierci związanej z wypadkami przy pracy na roli jest zakażenie krwi. Dlatego dbaliśmy, żeby wszyscy, którzy skaleczyli się przy pracy, dostawali zastrzyk przeciwtężcowy.

Jeśli już mowa o strasznych rzeczach to pamiętam, jak pewnego dnia chłopcy, wykopując karpę starego drzewa, wypłoszyli kobrę leśną. Kopali dalej i znaleźli jedenaście jaj kobry. Szybko je zebrali. Nie mogliśmy sobie pozwolić na hodowlę kobr na naszym terenie; byłoby to zagrożenie dla gości i psów.

- Gunilla, dzwonili z poczty w Wulushi. Niedługo zawieszą drut telefoniczny - rzucił Bertil w drodze z recepcji na werandę.

- A, to dlatego tak ładnie mówiłeś po angielsku - powiedziałam. - Kiedy jesteś zły, mówisz świetnie po angielsku. Powinieneś się posłuchać. Czy druty nie spadły na ziemię kilka tygodni przed Wielkanocą? Teraz mamy czerwiec.

Tak, kable telefoniczne leżały na ziemi od jakichś jedenastu tygodni. Póki nie zobaczę na własne oczy, nie uwierzę, że znowu wiszą porządnie na słupach - pomyślałam

Nie tylko ludzie z telekomunikacji doprowadzali nas do rozpacz. Kabeji, starszawy facet od wodociągów, kompletnie wyprowadzał mnie z równowagi.

Niemal przez cały czas chodził pijany, był brudny i śmierdział, a na dodatek był chyba najbardziej skorumpowany ze wszystkich skorumpowanych Kenijczyków. Pod tym względem niemal przebijał naszego wodza. Chociaż pod koniec każdego miesiąca przykładowie płaciliśmy za wodę, wciąż jej nie było. Kończyła się pora deszczowa i sytuacja stawała się poważna. Kabeji to wykorzystywał. Dobrze wiedział, że rozpaczliwie potrzebujemy wody, zwłaszcza gdy przebywali u nas goście. Dlatego kilka razy w miesiącu wpadał do nas, żeby oznajmić, że nie ma pieniędzy na paliwo. Okazało się, że nawet gdy płaciliśmy mu łapówkę i tak nie mieliśmy wody. Nawet jeśli, ku naszemu zdziwieniu, pojawiała się w kranach, to i tak tylko na chwilę. Potem starzec zakręcał zawór i twierdził, że nie ma pieniędzy.

Ostatnim razem, kiedy woda teoretycznie skończyła się w zbiorniku, wspięliśmy się i zajrzeliśmy przez otwór. Zbiornik był prawie pełen. Parę godzin później Kabeji założył na pokrywie kłódkę.

Kłopoty z wodą doprowadzały nas do szału. Jako jedyni zapłaciliśmy za rowy i za położenie wodociągu; byliśmy też jedynymi klientami, którzy płacili za paliwo. Ale dla starca to nie było ważne. Handlował wodą wzdłuż całego ruociągu. Kierował wodę do swojego sklepu w Wulushi i tam też ją sprzedawał.

Niewiarygodne, że temu niewdzięcznemu staruchowi dałam prezenty na Gwiazdkę: gruby koc, koszulę, kilogram mięsa i jeszcze kilka drobiazków. Można było się załamać.

- Kiii, kiii, iii, iii...

Podniosłam oczy znad książki. Rozpoznałam ten krzyk. To Elvis. Spojrzałam w niebo i natychmiast zobaczyłam, jak krąży nade mną. Pomyślałam, że pewnie za chwilę usiądzie na dachu pierwszej chaty. Bezwiednie spojrzałam na banda. Tam usadowił się już inny orlik długoczuły. Czyżby Elvis znalazł wreszcie narzeczoną, jakąś skrzydlatą Priscillę?

Przez kolejne dni wypatrywaliśmy z Bertilem naszej orlej zakochanej pary. W końcu dopisało nam szczęście. Ptaki uwiły sobie gniazdo na samym czubku najwyższego eukaliptusa. Latały teraz razem, jedno czekało na drugie na dachu chaty albo na jednym ze słupów ogrodzenia.

Lubiłam obserwować drapieżne ptaki. Mieszkaliśmy na wyżynie, więc często widywaliśmy z bliska orły, sokoły i jastrzębie.

Na początku lata przebywało u nas przez parę dni dziewięcioro gości z Holandii. Aż miło było patrzeć, jak świetnie się u nas bawią. Smakowała im nasza kuchnia, lubili przesiadywać na werandzie. Uznali, że to niezwykle, że sami mogą zapisywać, co biorą z baru.

-Jak możecie aż tak ufać gościom? To w Kenii nie do pomyślenia - stwierdził jeden z Holendrów.

- Wcale nie ufamy wszystkim naszym gościom, ale chcemy, żeby się czuli u nas jak u siebie w domu - odparłam.

Holendrzy obiecali polecieć Riverdale Gardens holenderskiej kolonii w Nairobi. Dotrzykali obietnicy i wkrótce odwiedzało nas coraz więcej Holendrów.

Rozdział 47.

Trzy ptaszki.

Kilka dni później pojawił się nasz holenderski przyjaciel Kees. Tym razem przyjechał samochodem, a nie jak zwykle na motorze. Zналиśmy go z Kakamega, gdzie prowadził fiński projekt eksploatacji lasów, który niestety dobiegał końca. Zaprzyjżnili się z Bertilem, ponieważ obaj interesowali się minerałami.

Przywiózł nam w prezencie trzy milutkie papużkami nierozłączki zamknięte w rozpadającej się klatce. Przed wyjazdem do Finlandii likwidował mieszkanie i już wcześniej podarował nam mnóstwo roślin. Ptaszki były urocze. Można by je nazwać „paletą kolorów Pana Boga”. Ciemnobrązowe główki, żółte lub pomarańczowe kołnierzyki, ciemnozielone skrzydełka, jasnozielony tułów, czarne lotki skrzydeł, zielone nóżki, czerwone dziobki, białe oczka z czarnymi źrenicami. Były bajecznie kolorowe. Nie lubiliśmy trzymać ptaków w klatkach, ale nie mogliśmy nie przyjąć prezentu - trzech uroczych skrzydlatych stworzonek. Wiedzieliśmy, że w Kisumu papużki nierozłączki uważa się za szkodniki, bo wyjadają plony, ale one były takie piękne...

Zanim nasz przyjaciel odjechał, jeszcze wyjaśnił:

-Musicie przenieść papużki do tej większej klatki, którą wam przywozłem. Pamiętajcie tylko, one muszą być razem, bo inaczej zdechną.

Tak uroczo wyglądały, siedząc obok siebie na żerdzi.

- Trzy małe ptaszki siedzą na gałęzi... - zawodził Bertil. (Była to przeróbka znanej szwedzkiej piosenki).

Poprosiliśmy naszych pracowników, żeby przenieśli ptaszki. To dopiero było nieszczęście! Zrobili takie zamieszanie, że jedna z papużek wyleciała przez otwarte drzwi. Kiedy ochłonęliśmy, byliśmy na tyle niemądrzy, że dalej nalegaliśmy, aby przenieśli pozostałe dwa ptaki. Veronica straciła cierpliwość i huknęła w klatkę, żeby ptaki przefrunęły do drugiej. Ptaki tak się przestraszyły, że jeden z nich padł. A my byliśmy o krok od załamania nerwowego. Pozostał jedynie Doff (pozostałe

nazwaliśmy Ole i Dole, tak jak w szwedzkim wierszyku dla dzieci). Teraz Doff był samotny. Co mamy zrobić, żeby nie zdechł z tęsknoty?

Jeden ze strażników leśnych, który przyjechał w odwiedziny, powiedział, że papużki nierozłączki można kupić na targu po tej stronie Kisumu. Razem z Fredem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do miasta. Po drodze zatrzymywaliśmy się na różnych bazarach i wypytywaliśmy o papużki nierozłączki. W końcu trafiliśmy na mężczyznę, który twierdził, że wie, gdzie je znaleźć. Podwieźliśmy go, żeby nam pokazał bazar. Po jakichś dziesięciu kilometrach trafiliśmy na kolejny targ i zaczęliśmy się rozglądać. Ani śladu ptaków.

Kiedy mężczyzna dał znak, że chce wysiąść z samochodu, Bertil się wściekł i zawrócił do domu. Pozwolił wysiąść naszemu przewodnikowi dopiero wtedy, kiedy dojechaliśmy na targ, na którym go spotkaliśmy. Próbował nas oszukać, chciał skorzystać z okazji i za friko wrócić do domu, ale nic z tego. Musiał wracać piechotą główną drogą.

Żadnych ptaków. Taki był finał kilkugodzinnego wypadu i poszukiwań. Mieliśmy tylko nadzieję, że uciekinier powróci, gdy mu zabraknie przyjaciela. A jeśli nie, będziemy musieli wypuścić biedaka, żeby odnalazł swoją połówkę na wolności.

Mieliśmy nadzieję, że David do nas dotrze, zanim wypuścimy Doffa z klatki.

Dochodziła czwarta rano. Na dworze panowały kompletne ciemności i było bardzo zimno. Szybko wypiliśmy filiżankę kawy, wskoczyliśmy do land rovera i próbowaliśmy ruszyć do bramy. Pomimo napędu na cztery koła samochód buksował, a błoto bryzgało dookoła. Bertil zagwizdał i wkrótce przybiegli nocni askari, żeby nas wypchnąć.

Po chwili jechaliśmy już do Kakamega. Drogi były w fatalnym stanie, więc wybraliśmy boczną trasę. Na szczęście była przejezdna. Spieszyliśmy się na przystanek Akamba, na którym zatrzymywał się autobus z Nairobi. Miał nim przyjechać nasz młodszy syn, David.

Po drodze jeszcze kilka razy utknęliśmy w błocie, w końcu jednak dotarliśmy na dworzec w Kakamega. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy uściskamy Davida. Tylko gdzie jest autobus? Dworzec wyglądał na wymarły. Co się stało? Czy był jakiś wypadek na trasie z Nairobi? Byłam przerażona. Gdzie jest mój syn?

- Gunilla, uspokój się - powiedział Bertil. - Może zatrzymali się za rogiem.

Pobiegliśmy za róg przy szkole podstawowej w Kakamega. Zobaczyliśmy autobus - był pusty. Jakiś metr dalej kierowca w uniformie linii Akamba palił spokojnie papierosa. Rzuciliśmy się do niego.

- Widział pan przed chwilą w autobusie młodego mężczyznę, Mzungu? - spytał Bertil.

- Ależ oczywiście - odpowiedział kierowca. - Przyjechał moim autobusem. Spytał, czy są tu jakieś taksówki. Powiedział, że mieli na niego czekać rodzice, ale nie przyjechali. Pewnie złapał taksówkę i pojechał do was.

- Nie! - krzyknęłam. - Na pewno nie pojechał taksówką do Wuasiva. Nie jest taki głupi. Jadąc taksówką poza miasto, ryzykowałby życie. Wie o tym. Musi być gdzieś w mieście.

- Golf - wrzasnął Bertil. - Na pewno jest w hotelu Golf. Jedziemy.

Wskoczyliśmy do samochodu i pojechaliśmy do hotelu. Zastaliśmy tam jeszcze recepcjonistkę z nocnej zmiany, bo była dopiero szósta. Bertil miał rację.

Kiedy wpadliśmy do holu, recepcjonistka, którą znaleźliśmy już z naszych poprzednich wizyt, od razu powiedziała:

- Chłopak, którego szukacie, siedzi w holu. Jest strasznie śpiący.

- Heeej, witajcie - odezwał się ktoś niskim głosem i natychmiast wpadłam w ramiona Davida. Bertil także zniknął w niedźwiedzim uścisku mojego syna. Po chwili wszyscy siedzieliśmy na kanapie i gadaliśmy jedno przez drugie.

David był głodny, więc zamówiliśmy dla naszej trójki śniadanie. Nie śpieszyliśmy się z powrotem, bo woleliśmy poczekać, aż się rozwidni. Może do tej pory drogi obeschną po gwałtownej nocnej ulewie - pomyślałam.

Po powrocie do domu próbowałam przekonać Davida, żeby się położył i odpoczął. Całą noc spędził w autobusie i musiał być zmęczony. Nie posłuchał mnie.

Poszedł do recepcji, wziął bujany fotel, wyniósł na werandę i usiadł. W milczeniu patrzył na dolinę.

- Niewiarygodne - powiedział w końcu. - Jak to się stało? Kiedy byłem u was w zeszłym roku w marcu, rozciągało się tu tylko wyschnięte pole. Jak tu pięknie! Wręcz niewyobrażalnie pięknie.

Roześmialiśmy się szczęśliwi. Każdy lubi, kiedy go chwala. Oczywiście, to nie była nasza zasługa, że ziemia była tu taka żyzna, ale, prawdę mówiąc, to my wszystko zaplanowaliśmy, kupiliśmy i zasadziliśmy mnóstwo drzew i krzewów. Również uważaliśmy, że jest tu bardzo pięknie.

Natomiast absolutną zasługą Davida, chwala mu za to, były zabudowania na naszej działce - wynik jego architektonicznej twórczości.

Oczywiście, to nie jego wina, że nic nie zgadzało się ze szwedzkimi normami. Drzewo kupowaliśmy w ciemno, kiedy jeszcze rosło, potem je ścinano i obrabiano w tradycyjny tutejszy sposób. Jakoś nie pomyśleliśmy o tym, że drewno, kiedy wysycha, to się kurczy. Mieliśmy szczęście, że nie żyliśmy w szwedzkim klimacie, bo zamarzlibyśmy na śmierć. Szpary między deskami podłogi miały chyba centymetr i w nocy w domu było tak samo zimno jak na dworze.

David chwilę odpoczął, otworzył bagaże i wręczył nam krzewinkę jagody, pędy krzaczka czarnej porzeczki i korzeń rabarbaru. Miałam je posadzić w ramach eksperymentu w warzywniku. Obawiałam się, że się nie przyjmą. David przywiózł jeszcze dla nas różne łakocie od mamy i taty. Śledzie i inne letnie specjały. Stwierdziłam, że zjemy je w sobótkę, kiedy odwiedzi nas Johan, jeden z najlepszych przyjaciół Davida.

David przez chwilę pobawił się z psami na werandzie, a potem Bertil pokazał mu całą posiadłość i przedstawił go naszym pracownikom. Bardzo chcieli poznać Davida, bo tylko Johannes widział go wcześniej.

Świetnie się złożyło, że David przyjechał akurat w czerwcu. Planowaliśmy dobudować niewielkie mieszkanko do pawilonu restauracji. Do tej pory przenosiliśmy się z miejsca na miejsce i, prawdę mówiąc, nie mieliśmy własnego kąta.

David szybko zabrał się do pracy i naszkicował dobudówkę. Miał spędzić z nami miesiąc i przez ten czas chciał zrobić jak najwięcej. Poleciał Danielowi, naszemu fundi, żeby natychmiast zdobył cement i deski na szalowanie fundamentów. Mieli się zabrać do roboty, jak tylko nadejdą materiały.

Trzeba było zaplanować i omówić mnóstwo rzeczy. Chcieliśmy na przykład ograniczyć używanie generatora. Właściwie wykorzystywaliśmy go do zasilania piekarnika, który był nam bardzo potrzebny, kiedy mieliśmy gości. Inne urządzenia były zasilane energią słoneczną.

Kabel doprowadzający prąd z sieci kończył się zaledwie 400 metrów przed naszą działką. Spółka energetyczna za podłączenie zarządała równowartości 20000 dolarów, oczywiście w kenijskich szylingach, więc nie było o tym mowy. Mieliśmy nadzieję, że podłączą nam elektryczność później, w ramach krajowego programu na rzecz rozwoju obszarów wiejskich.

Rozdział 48.

Śmierć dziecka.

Bertil walnął pięścią w stół tak mocno, że aż podskoczyły filiżanki. Potem ryknął:

-Wynocha! Więcej się tu nie pokazuj! Jesteś cholernym mordercą!

Johannes kulił się i zasłaniał głowę rękami. Czy naprawdę się bał, że Bertil go uderzy? Prawdę mówiąc, sama miałam ochotę to zrobić. Johannes był zupełnie pozbawiony ludzkich uczuć. Egoista pierwszej klasy. Więzienie to dla niego za mała kara. Niestety, zwyciężyła lepsza strona mojej osobowości i dalej siedziałam na krześle. O mało nie wybuchłam płaczem. David i jego przyjaciel Johan chodzili wte i wewte, kopiąc wszystko po drodze. Im także chyba zbierało się na płacz. Reszta personelu siedziała cicho; przerażeni nie wiedzieli, gdzie patrzeć...

- Wyoś się stąd - syknęłam do Johanna. - I pamiętaj, na pewno wódczynie dowie się, że uważamy, że spowodowałaś śmierć swojej córki.

Kiedy Johannes, który był jednym z shamba boys od naszego przyjazdu do wioski, wymknął się przez furtkę, spytałam:

- Czy tylko ja muszę się napić whisky? Aż się cała trzęsę z nerwów i oburzenia.

Bertil i chłopcy też potrzebowali czegoś na uspokojenie, usiedliśmy więc na werandzie ze szklaneczką whisky. Milczeliśmy, myśląc o tym, co się stało.

- Powiedźcie, dlaczego jesteście tacy wściekli na tego chłopaka?

- spytał nagle Johan. - Oczywiście, to straszne, że jego córka zmarła. Ale mam wrażenie, że byliście naprawdę wkurzeni, nie tylko smutni - dodał.

Johan przyjechał do nas ostatnio, żeby spotkać się ze swoim starym kumplem Davidem. Miał zamiar spędzić razem z nami w Afryce sobótkę. Był studentem medycyny i właśnie przed godziną słuchał przez stetoskop bicia serca Sharon. Niedługo potem czteroletnia dziewczynka zmarła.

Przerywając sobie nawzajem opowiedzieliśmy z Bertilem historię Johanna. Od samego początku, kiedy to wódczyna poprosił nas, żebyśmy pożyczili

Johannesowi pieniądze, aby mógł odebrać z kostnicy ciało swojej żony. Miał odpracować dług. Później dowiedzieliśmy się, że w jego banda przecieka dach i woda leje się wprost na posłanie Sharon, więc go odwiedziliśmy. Jego banda niemal się waliła. Nie było w niej ani łóżek, ani materaców. Za łóżka służyły im stare kartony porozkładane wprost na mokrej ziemi.

Nasz fundi obliczył, ile będzie kosztować zbudowanie nowej banda dla Johannesesa. Ze względu na Sharon pożyczaliśmy Johannesowi potrzebne pieniądze. Ten dług także miał odpracować. Kiedy banda była już gotowa, daliśmy Sharon jedno z naszych łóżek, materac, poduszkę, koc i prześcieradło. Uzgodniliśmy z Johannesem, że co tydzień będzie dostawał od nas dla małej mąkę, herbatę i cukier. Często dawaliśmy mu także jajka i mleko. W ten sposób zadbaliliśmy o to, by jego osierocona przez matkę córeczka nie cierpiała głodu ani zimna. Wszyscy nasi pracownicy wiedzieli, że płaciliśmy za opiekę lekarską dla nich i dla ich najbliższej rodziny. Byliśmy więc pewni, że wszystko będzie dobrze z naszą małą dziewczynką. Kilka dni temu przyszedł do nas Johannes i poprosił o pożyczanie dwóch tysięcy szylingów. Sharon była chora i chciał, żeby czarownik się nią zajął. Odmówiliśmy mu pożyczki i zamiast tego zaproponowaliśmy, żeby zawiózł małą do szpitala. Trochę później wysłaliśmy do Johannesesa Veronicę, żeby sprawdziła, co się dzieje z Sharon. Po powrocie poinformowała nas, że dziewczynka jest bardzo chora i potrzebuje lekarza. Veronica uważała, że Sharon jest niedożywiona. Natychmiast poprosiłam, żeby zawiozła dziecko do szpitala. Johannes, który nie chciał jej oddać, nawet z nimi nie pojechał.

Kiedy Sharon trafiła do szpitala, dowiedzieliśmy się, co się właściwie stało. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, co się działo u Johannesesa. Otóż przed rokiem, kiedy nowa banda była już gotowa, Johannes znalazł sobie nową żonę. Wprowadziła się do niego i niedługo potem urodziła dziecko. Wtedy Sharon musiała wynieść się do dziadków. W ich starej banda dach był jak sito. Macocha zatrzymała łóżko dla siebie. W ten sposób Sharon znowu sypiała na mokrej ziemi, nawet bez materaca. Jedzenie, które dawaliśmy Johannesowi, zjadała macocha, a Sharon nie dostawała nic ani od swojego ojca, ani od dziadków.

W ostatnich dniach kilkakrotnie byliśmy w szpitalu, żeby sprawdzić, jak się mała czuje. Matka Johanna ani na chwilę nie odchodziła od jej łóżka. Daliśmy jej pieniądze najedzenie. Ale sam Johannes ani razu nie odwiedził córki. Lekarze powiedzieli, że tylko w szpitalu dziewczynka ma szansę wyjść z niedożywienia i zapalenia płuc.

Tego ranka w szpitalu pojawił się Johannes i mimo protestów lekarzy zabrał córkę. Nelson przyszedł do nas i powiedział, że dziewczynka leży teraz przed chatą Johanna i umiera. Pobiegliśmy tam razem z Davidem i Johanem. Nelson zbadał ją i stwierdził, że jeśli dziecko dostanie bardzo drogi lek, może przeżyje. Trzeba było natychmiast kupić lekarstwo. Chłopcy zadeklarowali, że zapłacą. Nelson wskoczył na rower i pojechał po nie, ale zanim wrócił, Sharon już nie żyła.

- Sam widzisz - powiedziałam. - Uważamy, że jest winien śmierci swojej córki. Już na samą myśl o nim robi mi się niedobrze.

- I jak zwykle musimy zapomnieć o pieniądzach, które jest nam winien. Ciągłe obiecujemy sobie, że nie będziemy nikomu pożyczać. Ale co mamy zrobić, kiedy ludzie cierpią? - podsumował Bertil.

Dokładnie w tym momencie usłyszeliśmy wołanie przy furtce. Przyszedł ojciec Johanna, by prosić nas o pomoc. I jak zwykle stanęło na tym, że pożyczylimy mu pieniądze na trumnę i ubranie dla małej Sharon, nie mając żadnej nadziei, że nam je zwróci.

Rozdział 49.

Nie ma wdzięczności na tym świecie.

Mieszkańcy naszej wioski byli straszliwie niewdzięczni. I to niezależnie od pomocy, jakiej im udzielaliśmy. Ciągłe sprawiali nam zawód.

Bertil wyszedł na werandę, na której razem z Davidem piłam herbatę. Nawet z daleka widać było, że jest zły.

- Njombo ma źle w głowie - wyszczał. - Piekielny sukinsyn. Nie chce zapłacić czynszu, wyobrażasz sobie? Będzie musiał się wynieść po południu.

- Przecież to niemożliwe! - krzyknęłam. - Mieszka za darmo już od ośmiu miesięcy. A dzięki nam zarabia fortunę. Tyle kupujemy w jego sklepie Bertil przyniósł z recepcji kalkulator, przez moment coś obliczał i potem stwierdził:

- Na samych napojach ma przynajmniej dziewięćset szylingów zysku miesięcznie. A jeszcze dodajmy do tego codzienne zakupy: chleb i mleko, margaryna Blue Band i papierosy... Zawsze ma pełno klientów w sklepie.

- Ile wynosi czynsz? - spytał zaciekawiony David.

- Zaledwie pięćset szylingów.

- I pomyśleć tylko, że sami wybudowaliśmy mu sklep. Jego ojciec alkoholik zaatakował Njomba w zeszłym roku, ścigał go z panga, rozwalił dawny sklepik w drobiazgi. Przy okazji chłopak o mały włos nie stracił życia. Pamiętam jeszcze, jak pokazywał nam ranę na ręce. Przybiegł do nas z krzykiem i płaczem, błagając o pomoc. Zgodziliśmy się wtedy wybudować budkę na naszym terenie, tuż obok głównej bramy. Jest dość duża, można w niej nawet spać. A na dodatek jest całkiem porządnie zbudowana i ma blaszany dach.

Bertil zamilkł, choć wciąż jeszcze trząsał się z oburzenia.

David wyglądał na co najmniej zdumionego, a ja dodałam, że takie rzeczy ciągle nam się zdarzają. Takie pojęcie jak wdzięczność nie istnieje. Wydaje się oczywiste, że my - biali ludzie - powinniśmy wszystkim pomagać. A na dodatek musimy przyjmować ze spokojem wszystko, co nas spotyka. Tak, wdzięczność na

tym świecie nie istnieje. Teraz mieliśmy pusty sklep. Brakowało nam czasu, siły, a przede wszystkim pieniędzy, żeby poprowadzić go na własną rękę.

Dni szybko mijały, a my byliśmy szczęśliwi, że jest u nas David i zabawia gości anegdotami ze swojej podróży na motorze po południowoschodniej Azji. Naprawdę, aż miło było popatrzeć, jaki jest sympatyczny. Chyba wszyscy go polubili, zarówno goście, jak i personel. Pomagał nam w wielu codziennych obowiązkach, takich jak: zmywanie, przygotowywanie jedzenia dla psów czy też zbieranie warzyw. Wielka szkoda, że musiał wracać do Szwecji jakiś tydzień po wyjeździe Johana. Musieliśmy zatem jak najlepiej wykorzystać czas do jego wyjazdu, aby przyniósł nam jak najwięcej przyjemności i pożytku.

David był szczęśliwy, kiedy spyaliśmy go, czy chce wybrać się z nami do Kisumu, aby rozejrzeć się za samochodem do codziennego użytku. Land rover palił za dużo, więc musieliśmy znaleźć jakiś bardziej ekonomiczny pojazd. Nasz belgijski znajomy Olivier miał do sprzedania odkryty, czerwony samochód marki Suzuki Samuraj. Jazda kabrioletem to świetna sprawa, choć może nie do końca rozsądna w takim kraju jak Kenia, gdzie ciągle słyszy się o napadach i złodziejach. Ale można przecież zainstalować na stałe dach w samochodzie, dlatego ostatecznie zdecydowaliśmy się na jego kupno.

Kilka dni później, kiedy przyjechała para naszych holenderskich przyjaciół, dostarczono nam samochód. I tak jak sobie wyobrażałam, David rzucił się do auta, zasiadł za kierownicą i już po chwili mijał bramę, aby wyruszyć na jazdę próbną. Pomyślałam sobie, że miał to być samochód dla mnie, ale wiedziałam, że ostatecznie będzie tak samo jak z fotelem na biegunach, który dostałam na pięćdziesiąte urodziny. Wszyscy się na nim bujali oprócz mnie, oczywiście. Sama dość rzadko i krótko w nim siedziałam.

Przewodnicy po lesie tropikalnym odgrywali szczególnie ważną rolę w naszej kampanii reklamowej. Mieli polecać turystom miejsca, w których można się zatrzymać na nocleg. Musieli wiedzieć, jak wygląda nasza oferta. Zresztą większość z nich już u nas bywała. Był także Smith ornitolog, który utrzymywał ścisły kontakt z profesorem Działu Ornitologii w Kenijskim Muzeum Narodowym. Powiedział

nam - ku naszej wielkiej radości - że profesor włączył Riverdale Gardens do książki wydanej dla obserwatorów ptaków. Niewiele miejsc w Kenii spotkał taki zaszczyt.

Tyle jeszcze musieliśmy zrobić przed przyjęciem kolejnych gości. Im więcej zapewnialiśmy im atrakcji, tym chętniej zostawali na dłużej. Na przykład nasi holenderscy przyjaciele z Kisumu obiecali, że wkrótce przyjadą płukać złoto razem z dziećmi. A więc musieliśmy pojechać do Sotanini, żeby przygotować całodzienną wyprawę. Poszukiwanie złota razem z mieszkańcami przyciągało wielu turystów i miało w sobie posmak egzotycznej przygody.

Niestety, poszukiwacze złota napotkali kolejną przeszkodę. Ostatni kłopot - brak tlenu - udało się już Bertilowi rozwiązać. Tym razem kopalnia i szyby napełniały się wodą. Mój tata z Bertilem gorączkowo usiłowali jakoś temu zaradzić. Woda prawdopodobnie przedostawała się żyłami złota z kopalni odkrywkowej. Co robić? Należało znaleźć jakiś tani i skuteczny sposób, bo w końcu chodziło o biednych mieszkańców wioski.

Przyjmowaliśmy coraz więcej gości, a tymczasem, ku naszej rozpacz, praktyki Maxa dobiegły końca i musiał wrócić do szkoły hotelarskiej. Mieliliśmy nadzieję, że do nas wróci - był naprawdę świetnym kucharzem i miał wrodzony talent do gotowania. Od wyjazdu Davida musieliśmy z Bertilem pełnić funkcje: menedżera, kucharza, kelnera, hydraulika, przewodnika, nocnego askari, a przy tym animatora rozrywki dla naszych gości i niejednokrotnie wykonywać wszystkie te role naraz. A przede wszystkim musieliśmy szeroko się uśmiechać i wszystko znosić z anielską cierpliwością. Pewnego razu mało nie umarliśmy ze śmiechu, kiedy uganiał się za myszą, która biegała między kuchnią a jadalnią pełną uczujących gości. Przypominało to scenę z Hotelu Zacisze z Johnem Cleesem w roli głównej. Bez dwóch zdań, mysz wygrała. Innego wieczora, kiedy właśnie mieliśmy podawać do stołu, tysiące brązowych żuczków obsiadło talerze. Rozpaczliwie szukaliśmy pęset, a potem wyciągaliśmy z jedzenia skrzydlate potworki jednego po drugim. Mieliliśmy wtedy kolejną nauczkę: nigdy więcej podczas gotowania nie wolno zostawiać otwartych drzwi kuchennych na werandę.

Nawiązując do owadów, nie mogliśmy się doczekać miodu z naszego ula. Kiedyś para amerykańskich misjonarzy z Kakamega przyjechała do nas na lunch. Przywieźli ze sobą komputer, prosząc Bertila, żeby go naprawił. W dowód wdzięczności przekazali nam mnóstwo: książek dla dzieci, Biblii, puzzli, gier rodzinnych, a także ul do powieszenia między drzewami. Moim zdaniem ul wyglądał dość makabrycznie -jak dziecięca trumienka - ale trzeba go było zawiesić. Po naszej posiadłości latało mnóstwo pszczoł i naprawdę byłoby skrajną rozrzutnością, gdybyśmy nie skorzystali z możliwości produkcji własnego miodu. Shamba boys zapewniali nas, że wiedzą wszystko na temat hodowli pszczoł, a zatem bez wahania powierzyliśmy im to zajęcie, które dla nas było czarną magią.

Rozdział 50.

Dama?

- Bertil, czy możesz poszukać w kontenerze hinduskiej książki kucharskiej, o której wczoraj rozmawialiśmy? - krzyknęłam do Bertila, który rozsiadł się wygodnie na werandzie z nogami na poręczu, w towarzystwie leniwie wyciągniętego na podłodze Rufusa. Najprawdopodobniej przeszkodziłam mu, choć może był zadowolony, że odrywam go na chwilę od nudnego wypisywania kwitów z wynagrodzeniami dla naszych pracowników. Chcieliśmy wypróbować jakieś nowe danie kuchni hinduskiej i pilnie potrzebowałam przepisu.

- Chwileczkę, już idę.

Bertil wypadł na podwórko przed restauracją i poleciał przez wysoką trawę prosto do pomalowanego na biało kontenera.

- Chłopczy znowu muszą skosić trawę - zrzędził. - Szkoda, że teren jest taki nierówny i nie możemy użyć tej nowej kosiarki, którą kupiliśmy w Kakamega.

Dochodząc do kontenera, zauważył, że tuż pod skrzynią pszczoły założyły nowe gniazdo. I to naprawdę wielkie. Można się tego było domyślić po głośnym brzęczeniu. Bertilowi udało się otworzyć ciężkie drzwi i rój niewielkich pszczołek wielkości komarów z bananowca zaczął krążyć wokół jego głowy. Z reguły te małe nie żądliły. Zbudowały sobie gniazdo w gumowej uszczelce do drzwi kontenera i teraz miód ściekał wzdłuż krawędzi. Miał delikatny i słodki smak, choć nie było go wiele, nawet jak na nasze domowe potrzeby.

Bertil nagle zauważył, że pszczoły, które widział na zewnątrz kontenera, były dużo większe niż te, które siedziały na drzwiach. O co tu chodzi? Czyżbyśmy mieli w kontenerze dwa różne gatunki?

Bez trudu znalazł książkę kucharską. Nagle zobaczył na stole wiertarkę na baterie, z sześciomilimetrowym wiertłem. Jak mały psotnik, wziął śrubokręt i przyłożył go do podłogi. Przystawił ucho do kontenera i zabrał się do roboty. Kręcąc delikatnie narzędziem, dość szybko zlokalizował środek nowego gniazda.

Ostrożnie wywiercił dziurę w drewnianej podłodze kontenera aż do samego gniazda. Pszczoły nawet tego nie zauważyły. Potem złapał książkę kucharską i zszedł do mnie do kuchni, w której rozmawiałam z naszym tymczasowo zatrudnionym kucharzem.

- Proszę, to ta książka kucharska - powiedział. - Muszę usunąć gniazdo spod kontenera. Co za ogromne pszczoły!

- Znowu się pojawiły? Uważaj, to mogą być pszczoły afrykańskie - ostrzegłam go. - Są bardzo niebezpieczne.

Bertil wziął ze składziku środek owadobójczy. W kontenerze ustawił krótką metalową tubę tuż nad wywierconym w podłodze otworem. Ledwie słyszał przytłumione bzyczenie. Wsadził otwór środka owadobójczego do tuby i, nacisnąwszy przycisk, wpuścił do środka potężną dawkę trucizny. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że nie trafił, ale wkrótce bzyczenie zmieniło się w straszliwy hałas. Złe rozeznał sytuację. W dzień większość pszczół była w gnieździe. Wyskoczył z kontenera otoczony czarną chmurą rozwścieczonych pszczół afrykańskich. Byłam na dworze tuż obok drzwi do kuchni i na niego patrzyłam. Wrzasnął do mnie:

- Biegiem do samochodu. Szybko!

Sam już tam pędził. Dotarliśmy do auta niemal jednocześnie. Siedząc w środku, z przerażeniem obserwowaliśmy, jak pszczoły atakowały wszystko w okolicy. Bertila ukąsiły w trzech miejscach w ramię, ale ja jakoś się uchroniłam. Tymczasem pszczoły zaczęły przedostawać się do środka wszelkimi możliwymi szczelinami. Na zewnątrz ludzie biegali, wymachując rozpaczliwie rękami. Bertil włączył silnik i odjechał.

- Co na to powiedzą nasi sąsiedzi? Widziałem, jak pszczoły wpadły do sąsiedniej banda - wykrzyknął Bertil. - Lepiej zostać na obiedzie w Little Home i przeczekać, aż pszczoły i sąsiedzi się uspokoją.

Po wyjeździe Maxa do szkoły hotelarskiej mieliśmy mieliśmy okazję przetestować nową gwiazdę kucharską - Ellę. Wedle świadectw, jakie nam

przedstawiła, była najlepszą uczennicą w klasie. Okazała się jednak dosyć dziwną osobą, jeśli tak to mogę określić.

Już pierwszego dnia jej pobytu u nas zobaczyłam, jak Fred stał przed kuchnią i chichotał. Spojrzałam w stronę pokoi dla personelu i dostrzegłam scenę niczym z Przemięto z wiatrem. Ella dreptała przez trawnik w powłóczystej, jasnoniebieskiej sukni z długimi koronkowymi rękawami sięgającymi aż do palców. Linda niosła za nią koniec sukni, żeby się nie pobrudził i nie postrzępił. Nie mogłam oderwać od nich oczu. Jak, na miłość boską, ta dziewczyna miała się przydać w kuchni, paradując w tak eleganckiej sukni? Poprosiłam ją stanowczo, acz grzecznie, żeby poszła do siebie i włożyła na siebie coś zwyczajnego, jeśli nie ma fartuszka kucharki.

Burcząc coś gniewnie pod nosem, znikła, ale najpierw stwierdziła, że chciała pięknie wyglądać dla naszych gości. Odparłam, że powinna przede wszystkim wyglądać czysto i schludnie, i że to wystarczy, bo jej miejsce jest w kuchni.

Krótko mówiąc, początek naszej znajomości nie był zbyt udany, dlatego oboje z Bertilem staraliśmy się naprawić kontakty z Ellą. Być może była po prostu zdenerwowana i z tego powodu tak fatalnie zaczęła? Potem spędziłam z nią mnóstwo czasu w kuchni, wypytujac między innymi o jej rodzinę.

- W naszej rodzinie jest tylko jedna dama - to ja - i siedmiu dżentelmenów - oświadczyła poważnie.

- Och, to znaczy, że twoja mama nie żyje? - spytałam.

- Nie, ale ona się nie liczy - odparła Ella i kontynuowała opowieść o swojej rodzinie. Ostatnio była na pogrzebie jednego z krewnych. Zmarły był dość postawnym mężczyzną, a rodzina źle wymierzyła trumnę; okazała się za mała. Kosztowała 20 000 szylingów i nie mieli czasu przygotować większej.

- Ale - ze spokojem opowiadała dalej Ella - łatwo było zrobić trochę miejsca. Po prostu ucieliśmy mu czubek głowy.

Czasami naprawdę można by pomyśleć, że mamy kłopoty ze słuchem. Ale jej krótka historia mogła być zwyczajnie niezbyt udaną próbą żartu. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Jeśli przez kilka dni nie mieliśmy gości, Ella kompletnie zapomniała o swoich obowiązkach. Kiedy byliśmy z Bertilem sami, zazwyczaj jadaliśmy w jadalni i obsługiwała nas jedna ze służących lub kucharz. Nasze posiłki nie były specjalnie wykwintne, ale chcieliśmy, żeby były smaczne i elegancko podane. To był jeden ze sposobów szkolenia naszego personelu.

Ella nie gotowała na obiad tego, o co ją prosiliśmy, a przy tym wrzucała nam jedzenie na talerz, chociaż powtarzaliśmy jej, że sami chcemy sobie nakładać. Wytknęliśmy jej niedociągnięcia, jak zwykle w taktowny sposób. Wtedy oświadczyła, że ona też powinna zasiadać przy stole razem z nami i być obsługiwana, ponieważ „w końcu jest damą”. Kiedy nie zgodziliśmy się na jej warunek, trzasnęła drzwiami i wybiegła z domu. Tym samym nasza współpraca dobiegła końca.

Kiedy zaczęliśmy dopytywać się o nią w szkole gastronomicznej, dowiedzieliśmy się, że Ella już wielokrotnie dostała naganę za nieodpowiednie zachowanie.

Bogu dzięki, Max wrócił do nas do pracy na parę miesięcy. Ponieważ nie miał wystarczających oszczędności, aby opłacić chesne, nie mógł przystąpić do egzaminów we wrześniu, tak jak planował. Była to dość spora kwota, więc nie mogliśmy mu jej pożyczyć, ale udało nam się przekonać dyrektora szkoły, żeby pozwolił mu zdawać egzaminy w marcu; do tego czasu miał u nas zarobić potrzebną sumę.

Ole, papuzka nierozłączka, która uciekła kilka miesięcy temu, pojawiła się pewnego dnia na terenie naszej posiadłości. Ptak usiadł na klatce i świergotał do Doffa. Potem znowu zniknął.

Zamartwialiśmy się tym, że Doff sam siedzi w klatce, dlatego zaoferowaliśmy nagrodę w wysokości 500 szylingów temu, kto schwyta towarzyszkę Doffa. Injehu, pomocnik naszego stolarza Daniela, powiedział, że

często udaje mu się łapać małe ptaki na specjalny klej, którym smaruje patyki. Zgodziliśmy się, żeby wypróbował swoją metodę. W rezultacie mieliśmy mnóstwo tych patyczków zalegających na wierzchu klatki, którą codziennie przenosiliśmy w cień z dala od domu.

Pewnego ranka widziano Ole w pobliżu, ale znowu zniknęła, zanim ktoś podszedł do klatki. Nasz łowca Injehu nie miał szczęścia. Zdawało się jednak, że Doff chciał sam rozwiązać problem. Cały czas uporczywie wyskubywał dziury w siatce. W tej sytuacji jego ucieczka była chyba najlepszym rozwiązaniem.

Kiedyś Injehu zapytał, czy może dla nas złapać szarą papugę w lesie tropikalnym. Parokrotnie w Kakamega pokazywano nam nielegalnie schwytane ptaki, trzymane później w workach. Poruszał mnie widok tych biednych ptaków więzionych w tak okropnych warunkach. Zirytowała nas propozycja Injehu i wytłumaczyliśmy mu, co o tym myślimy. Powiedzieliśmy, że łapanie i sprzedawanie papug jest niezgodne z prawem, ale wydawało się, że ta informacja wpadła mu jednym uchem, a wypadła drugim. Pewnie myślał, że się na tym dorobi.

Kiedy tak sobie rozmawialiśmy, usłyszeliśmy okropny hałas dochodzący z wiejskiej drogi. Jechały ciągniki z naczepami wyładowanymi materiałami budowlanymi i drewnianymi belkami potrzebnymi do budowy ośrodka zdrowia. Tyle lat starań, wypełniania papierków i wreszcie coś się dzieje - pomyślałam. Prace miały się rozpocząć w przyszłym tygodniu, a my zamierzaliśmy się tam pojawić i sporządzić dokumentację.

Rozdział 51.

Wielka rodzina.

- Fred, czy mógłbyś mi pomóc przez chwilę? - zawołał Bertil. Staliśmy pod słupem telefonicznym tuż obok kontenera. - Czy możesz wspiąć się na słup i przymocować kabel na górze?

Spojrzałam na Bertila ze zdumieniem. Żaden człowiek nie wdrapie się na gładki słup telefoniczny. Czy to w ogóle możliwe? - pomyślałam. Byłam jeszcze bardziej zdumiona, kiedy zobaczyłam, jak w mgnieniu oka Fred znalazł się na samej górze i przytwierdził antenę radiową zgodnie z instrukcjami Bertila.

- Fred, jak ci się to udało? Gdzie się tego nauczyłeś? - spytałam, kiedy roześmiany Fred znalazł się z powrotem na ziemi.

-Wszyscy wiejscy chłopcy muszą umieć robić takie rzeczy, a przynajmniej ci obrzezani.

- Co jeszcze umiesz? Czy przeszedłeś więcej prób męskości?

Zasypaliśmy go gradem pytań. Poczul się zmieszany. W końcu przyznał, że nie wolno mu o tym mówić. To była tajemnica.

Kilka miesięcy później przypomnieliśmy sobie to zdarzenie. Późnym sierpniowym wieczorem usłyszeliśmy śmiechy i pieśni dochodzące z wioskowego placu. Podeszliśmy do bramy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zobaczyliśmy gromadę nastoletnich chłopców schodzących w rozśpiewanym i roztańczonym korowodzie w dół do Wushiye. Nasz nocny askari wyjaśnił, że są to pieśni związane z rytuałem obrzezania. Zdaje się, że dobra zabawa była bardzo ważna podczas tej ceremonii. W przeciwnym wypadku chłopcy ułożyliby pieśni o ludziach, którzy nie potrafią się zachować, a potem wykonałby je przed publicznością.

Merry bardzo utyla w ciągu ostatniego miesiąca. Czasem zastanawiałam się, czy nie pęknie. Pewnie wkrótce się oszczeni - pomyślałam. Wyjęłam kalendarz i zaczęłam liczyć. Zauważyłam, że czas szybko upłynął i termin porodu zbliżał się wielkimi krokami. Minęło już sześćdziesiąt jeden dni.

- Bertil, Merry wkrótce się oszczeni. Pewnie został jeden, może ze dwa dni - powiedziałam i spojrzałam na niego znad filiżanki herbaty.

Bertil natychmiast ukląkł obok Merry i poklepał ją po karku. Właśnie zjadła śniadanie i odwróciła łepkę do swojego pana. Polizała mu twarz.

- Moja malutka, wkrótce zostaniesz mamą, a sama jesteś taka dziecinna. Co będzie, jeśli weterynarz nie zdąży na czas? Co my wtedy zrobimy? - martwiłam się. Nasi ulubieńcy po raz pierwszy mieli zostać rodzicami, a my „psimi dziadkami”. - Mama pisała, że nie powinniśmy się martwić - mówiłam dalej. - Suczki w takich sytuacjach same sobie dają radę. Jej sunia Bustra urodziła trzy szczeniaki w garażu na Sri Lance. Chociaż mama była przy niej cały czas, nic nie musiała robić. Aleja się niepokoję.

- Pamiętaj, że w naszej książce o psach poświęcono kilka stron psim porodom - uspokajał mnie Bertil. - Wszystko będzie dobrze. A zresztą jestem pewien, że weterynarz zdąży dojechać.

- Czy mógłbyś poprosić Freda, żeby jeszcze dzisiaj zrobił pudło dla szczeniactwa? - spytałam, jedząc po śniadaniu małego „małpiego” banana. Był to gatunek, który bardzo lubiliśmy, choć lokalni mieszkańcy zupełnie go nie doceniali. Siódmego sierpnia, razem z Bertilem odebraliśmy poród ośmiu szczeniactwa. Oczywiście przy czynnym udziale naszej Merry. Biedactwo. Nie było jej łatwo, tak jak i nam. Poród zaczął się o siódmej rano. Wtedy zadzwoniliśmy po weterynarza. Głucha cisza. Mijały godziny, a Merry coraz bardziej cierpiała. Przesiedzieliśmy obok niej kilka godzin, nerwowo wertując książkę o psach. Raz za razem wydzwanialiśmy po weterynarza; bez skutku. Pierwszy szceniactwo urodził się dopiero o trzeciej po południu i został z dumą powitany przez Merry. Wcześniej odprowadziliśmy Rufusa do dużego domu, żeby nie przeszkadzał suni. Pierwszy piesek był kruczo czarny i wyglądał na bardzo ruchliwego. Przy porodzie kolejnego szceniactwa sprawy się skomplikowały. Merry była trochę nieostrożna i przegryzła pępowinę za blisko ciała. Krew buchnęła strumieniem. Na bosaka pognałam do restauracji w poszukiwaniu grubych nici, a potem zbiegłam na dół do naszej chatki, gdzie w końcu udało nam się przewiązać maleństwu pępowinę. Uspokoił się

trochę i po kolejnym nieudanym telefonie do weterynarza uczestniczyliśmy w porodzie następnego pieska. Szczeniak numer dwa był identyczny jak pierwszy. A potem pojawiły się kolejne, niemal jak z matrycy: trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy i wreszcie... ósmy. Wszystkie kruczocharne. Dwa z nich były mniejsze od reszty. Kiedy cała akcja porodowa dobiegła końca, włożyliśmy szczeniaczki do pudełka, a Bertil przygotował dla nas po szklaneczce whisky. Wyczerpani usiedliśmy na ziemi, wpatrując się z czułością w naszą powiększoną rodzinę.

Ta noc nie należała do najłatwiejszych. Bertil z Rufusem przeniósł się z materacami i wszystkimi gratami do restauracji, a ja leżałam spięta przez całą noc, czuwając, żeby Merry nie przygniotła szceniąt. Każdy pisk sprawiał, że zrywałam się na równe nogi, chwytałam latarkę i zaglądałam do pieków. Parę dni później odwiedził nas weterynarz; młody, sympatyczny i na dodatek wielbiciel psów. Dokładnie zbadał Merry oraz szczeniaczki i powiedział, że mamy dwie suczki i sześć pieków. Wszystkie wyglądały na zdrowe, ale stwierdził, że powinniśmy bacznie obserwować tę suczkę, która była dużo drobniejsza od reszty.

Pewnego wieczora wybraliśmy się z Bertilem na spokojną przechadzkę po naszej posiadłości, żeby choć trochę odpocząć od naszych „psich” obowiązków. Postanowiliśmy policzyć kiście bananów.

Około 35 słodkich bananowców oraz tyle samo rodzących banany do gotowania dało nam w sumie około pół tony owoców. Pierwszych 250 bananowców teraz tak się rozmnożyło, że łącznie mieliśmy od 1500 do 2000 sadzonek. Wyobraźcie sobie, co będzie, jeśli jeszcze więcej drzew będzie owocowało w tym samym czasie.

Dodatkowo mieliśmy około 200 krzewów męczennicy jadalnej, na których już pojawiły się owoce i około 100 drzew papai, z których wiele zdążyło obrodzić. Drzewa awokado, które zasadziliśmy ponad rok temu miały teraz od dwóch do trzech metrów wysokości. Ale pewnie minie jeszcze kilka lat, zanim zaowocują drzewa pomarańczowe i mangowce. Spodziewaliśmy się, że w nieodległej przyszłości będziemy popijali pyszne soki z tych owoców.

Bardzo brakowało nam wędzonych potraw, dlatego wybudowaliśmy wędzarnię, gdzie przyrządzaliśmy tilapie prosto z Jeziora Wiktorii. Były naprawdę wyśmienite. Zamroziliśmy także schab i soloną słoninę, ponieważ chcieliśmy sprawdzić, czy uda nam się je uwędzić i otrzymać coś w rodzaju wędzonej polędwicy oraz bekonu.

Znowu ogarnęła nas tęsknota za szwedzką kuchnią. Gdy po wielu próbach w końcu udało nam się wyhodować koper, przygotowaliśmy dillstromming (śledzie bałtyckie w pomidorowo-koperkowym sosie -śledzie zastąpiliśmy tilapią). Pewnego dnia zrobiliśmy sobie kanapki z tajskich miniaturowych krewetek z puszki, majonezu domowej roboty, kopru z naszego ogródka i sałaty, a do tego wypiliśmy butelkę białego wina. Musiałam jednak zapłacić majątek za to falukow (to typowa szwedzka kiełbasa wyrabiana w Falun, w Dalecarlii) oraz za karton Kalles Kaviar (popularna szwedzka pasta kawiorowa w tubce).

Kiedy tęskniliśmy za jedzeniem w restauracji, jechaliśmy do hotelu Golf w Kakamega i zamawialiśmy kurczaka a la Tropicana. To była chyba jedyna jadalna potrawa z całego hotelowego menu. Jednak pewnego dnia zupełnie straciliśmy apetyt. Całe stado marabutów afrykańskich, które zazwyczaj gromadziły się na stertach śmieci za hotelem, przechadzało się teraz między stolikami. Były takie odrażające.

Powiedziałam Bertilowi, że już na samą myśl o marabutach na tabliczce czekolady dostaję mdłości. (W Szwecji fabryka popularnej czekolady Marabou ma w swoim logo właśnie wizerunek marabuta.) Dziwne, że dyrekcja hotelu zezwalała personelowi na wyrzucanie na trawnik resztek jedzenia; ptaki je wydziobywały, drepcząc między stolikami. Pewnie dlatego te okropne marabuty myślały, że są mile widzianymi gośćmi.

Rozdział 52.

Wybuch bomby w Nairobi.

Siódmego sierpnia 1998 roku w południe, po zrobieniu zakupów na lokalnym bazarze, siedzieliśmy przy ciepłym piwie w ogródku hotelu Franka w Kakamega. Nagle zobaczyliśmy stado dziennikarzy, którzy pędzili w kierunku publicznych budek telefonicznych stojących na chodniku tuż obok nas. Gorączkowo o czymś rozprawiali i walczyli o miejsce przy telefonach. W powietrzu wyczuwało się napięcie; musiało zdarzyć się coś poważnego. Spojrzeliśmy na siebie z Bertilem. Mąż poderwał się i podbiegł do jednego z mężczyzn, którego znaleźliśmy z uroczystego lunchu dla prasy. Powiedział Bertilowi, że terroryści wysadzili amerykańską ambasadę w Nairobi. Wtedy dowiedzieliśmy się tylko tyle, ale z upływem czasu docierało do nas coraz więcej informacji.

Zamach bombowy sparaliżował niemal całą Kenię. Odbiło się to także na nas, ponieważ cudzoziemcy mieszkający w Kenii - personel dyplomatyczny USA oraz pracownicy zatrudnieni w różnych organizacjach pozarządowych - którzy nie wracali do swoich krajów na wakacje w lipcu i sierpniu, teraz niechętnie podróżowali po kraju. Woleli zostać w domu. Nie wiedzieliśmy jednak, jak zamach wpłynie na branżę turystyczną w Kenii; byliśmy nastawieni dość pesymistycznie i postanowiliśmy nie tracić czasu i pieniędzy na reklamę. Nasza sytuacja finansowa była coraz gorsza. Od połowy lipca nie mieliśmy żadnych gości, a oszczędności topniały błyskawicznie. Nie było żadnych widoków na zarobek.

Tak czy siak, nie zamierzaliśmy się poddawać. Wręcz przeciwnie, ciężko pracowaliśmy, wprowadzając kolejne udogodnienia w naszych chatkach dla gości, w głównym budynku oraz na całym terenie.

Pod koniec sierpnia pomalowaliśmy na biało chatę numer trzy. Porzuciliśmy już nadzieję na gładkie i lśniące podłogi z cementu, dlatego pozwoliliśmy jednemu z naszych pomocników położyć warstwę czerwonej farby na rudawej posadzce. Wyglądała mniej więcej tak, jak się spodziewaliśmy.

Po zakupie paru dodatkowych mebli mieliśmy teraz trzy chaty z sześcioma obszernymi pokojami gościnnymi. Wokół trzeciej chaty posadziliśmy tylko trochę kaptownic i innych żółtych kwiatów.

Warzywnik przy kuchni wymagał dużo pracy. Tuż po zebraniu pierwszych plonów musieliśmy przekopać ziemię i użyźnić nawozem glebę. Nasze pierwsze zbiory były znacznie bardziej obfite niż obecne, dlatego pewnie powinniśmy zastosować płodozmian.

Pewnego ranka zebraliśmy zielony groszek. Byliśmy tacy szczęśliwi, kiedy zrywaliśmy strączki, by przechowywać je później w zamrażarce dla naszych gości. Szkoda, że groszek cukrowy nie najlepiej się przyjął. Pierwsze zbiory były fantastyczne, ale teraz gleba miała pewnie zły wskaźnik kwasowości.

- Pamiętasz - zwróciłam się nagle do Bertila - kiedy pieliliśmy groszek cukrowy, jak ciężko było wypatrzeć rośliny? Paliki do pnączy także wypuściły korzenie i liście, i trudno je było od siebie odróżnić.

- Kilka dni temu wycinałem siekierą witki w części ogrodu. One także się ukorzeniły - odparł Bertil.

Kilka tygodni później Bertil pojechał do Nairobi suzuki, aby zamontować zamówiony przez nas dach z włókna szklanego. Edgar, nasz znajomy z warsztatu, pojechał razem z nim. Przez kilka dni musiałam sobie radzić sama. Oczywiście ósemka małych psich terrorystów nie da mi się nudzić - pomyślałam.

Budowa naszego prywatnego mieszkania dłużyła się w nieskończoność. Powierzchnia mieszkalna wynosiła około 48 metrów kwadratowych, dodatkowo mieliśmy zadaszoną 43-metrową werandę. Miały się tam znaleźć: duży pokój dla nas, niewielka sypialnia gościnna oraz toaleta i prysznic. Byłam przekonana, że mieszkanie będzie śliczne.

Szczeniaczki spędzały całe dni na nowej werandzie. Nasi budowlancy wcale się z tego nie cieszyli. Maluchów wszędzie było pełno; powarkiwały, poszczekiwały i, od czasu do czasu, wydobywały z siebie żalosne skomlenie. Nie wypuszczaliśmy ich jeszcze na dwór w obawie, by nie porwał ich jakiś drapieżny ptak - kania czarna,

orzeł czy jastrząb. Ulubioną zabawą naszych milusińskich było podgryzanie robotników w stopy - średnia przyjemność dla kogoś, kto nie ma na sobie butów.

Znowu zachorowałam na malarię. Lekarstwo, które zawsze przyjmowałam, Fansidar, nie pomagało. Na szczęście doszłam do siebie jeszcze przed powrotem Bertila i nie musiał mi kupować innych leków. Pomimo choroby doglądałam prac ciesielskich, pilnowałam reszty pracowników oraz zajmowałam się dziesięcioma psami. Byłam z siebie naprawdę dumna.

Po paru dniach Bertil wrócił do domu naszym małym czerwonym suzuki. Auto miało teraz zamontowany biały dach i przypominało budkę z hot dogami. Mój uroczy małżonek przywiózł także cały kilogram gotowanych ogonków rakowych. Kosztowały tylko 250 szylingów za kilogram. Można było także kupić żywe raki, które w opinii mieszkańców były pyszne, co kosztowało jakieś 70 szylingów za kilo plus opłata za transport autobusem z Jeziora Naivasha, tylko po co kupować całe raki, skoro ich najsmaczniejsza część to ogonki?

Szybko przygotowaliśmy marynatę i na parę godzin włożyliśmy do niej część ogonków. Teraz nadszedł czas, żeby się nimi delektować. Resztę, około 700 gramów, schowaliśmy w zamrażarce.

Wieczorami lubiłam zasiadać w fotelu w naszym holu i czytać w słabym świetle lampy naftowej, póki moje biedne oczy cokolwiek jeszcze widziały. Potem zabierałam się do pasjansa. Odkąd Bertil miał w recepcji krótkofalowy nadajnik, spędzał przy nim całe godziny. W Szwecji jest około dziesięciu tysięcy aktywnych radioamatorów. W Kenii tylko dwanaście osób łączyło się z Bertilem przez radio. Uwielbiałam przysłuchiwać się rozmowom mojego męża z krótkofalowcami na całym świecie, ale jeśli któryś z nich wspomniał przypadkiem o truskawkach z bitą śmietaną albo o grzybobraniu, czułam ogarniającą mnie tęsknotę.

Radio dawało nam poczucie bezpieczeństwa. W momencie zagrożenia mogliśmy za jego pomocą porozumieć się z całym światem.

Rozdział 53.

Znikające lampy naftowe.

- Musimy policzyć nasze lampy naftowe, Gunilla. Zanim w przyszłym tygodniu przyjadą do nas goście.

- Jak myślisz, ile ich jeszcze zostało? - zastanawiałam się.

- Kupiliśmy około osiemdziesięciu lamp. Pamiętasz chyba, że zazwyczaj kupowaliśmy za jednym razem około dwudziestu lamp. Policzymy, ile zostało.

Po zrobieniu remanentu stwierdziliśmy, że mamy jedynie dziewięć sprawnych lamp naftowych. Musieliśmy zatem dokupić przynajmniej dwadzieścia.

Ach, te lampy naftowe. Myślenie o nich zupełnie mnie rozstrajało. Wiecznie ten sam kłopot. Dolewać naftę, wkładać nowe knoty. Nasz personel zazwyczaj zapominał o wymianie pękniętych kloszy. Znajdowaliśmy porzucane lampy we wszystkich możliwych miejscach, ale szybko okazywało się, że są popsute, i to tak, że nie dało się ich naprawić.

- Zamiast hotelu powinniśmy założyć fabrykę lamp naftowych.

- A i owszem, a oprócz tego fabrykę gwoździ - odparłam ze znużeniem. - Kiedy wreszcie skończą się te kradzieże? Przecież okradają nas praktycznie ze wszystkiego. Pewnie cała wioska cieszy się teraz miłym światłem lamp naftowych. A może powinniśmy sprawdzić, czy któryś z naszych pracowników nie założył sklepu z lampami?

Musieliśmy wybrać się do sklepu z wyposażeniem wnętrz, gdzie zazwyczaj kupowaliśmy lampy w przyzwoitych cenach. Pewnie się uśmieją, kiedy nas znowu zobaczą.

- Tym razem oznakujemy je - zaproponował Bertil.

- Niezły pomysł - stwierdziłam. - Tylko jak?

- Może wyryjemy na spodzie litery „RG” jak Riverdale Gardens.

- Mam nadzieję, że to pomoże - odparłam.

Lampy jednak dalej znikwały. Niestety nie mogliśmy wpadać z zaskoczenia do chat naszych pracowników i odwracać lamp, żeby sprawdzić, co jest napisane pod spodem. Wylałyby się nafta, chociaż pewnie i za nią zapłaciliśmy.

W Szwecji odbyły się wybory. Otrzymaliśmy zawiadomienie ze szwedzkiej ambasady za ledwie na dwa dni przed głosowaniem. Poinformowano nas, że możemy przyjechać do Nairobi po karty do głosowania. Oczywiście tam też trzeba było głosować. Wielka szkoda, że personel ambasady nie potrafił zrozumieć, że nie wszyscy Szwedzi w Kenii mieszkają w stolicy. Po raz pierwszy więc w naszym dorosłym życiu nie głosowaliśmy ani nie dowiedzieliśmy się o wynikach wyborów. Już wcześniej, przed wyborami w Kenii, mówiono, że w całym kraju mogą wybuchnąć zamieszki. Wezwano nas do Nairobi na specjalne spotkanie informacyjne. Wyprawa do stolicy w gruncie rzeczy była długa i niebezpieczna dla wielu Europejczyków mieszkających na prowincji. To było pozbawione sensu zwłaszcza, że spotkanie dotyczyło zamieszek - w sytuacji zagrożenia nikt nie wybiera się w drogę, chyba że w bardzo pilnej sprawie. Co prawda nie mieliśmy zbyt daleko do Nairobi, za ledwie 500 kilometrów, ale była to bardzo wyczerpująca trasa. Podróż trwała ponad siedem godzin, oczywiście jeśli nie było po drodze żadnych problemów.

Kilka miesięcy upłynęło od naszej ostatniej wizyty u fryzjera i przyszedł czas na kolejną. W drodze do Kisumu rozmyślałam o mojej pierwszej i ostatniej wizycie u fryzjera w Kakamega. Obok hotelu Golf wypatrzyłam szyld salonu fryzjerskiego, w którym rzekomo strzyżono także Europejczyków. Z ufnością weszłam do zakładu. Zanim usiadłam na fotelu, jeszcze raz spytałam, czy wiedzą, jak obcinać włosy Europejczykom. Ależ tak, oczywiście! - potwierdzili. Dziewczyna zabrała się za ścinanie moich włosów. Była naprawdę szybka. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje. Z jedną ręką nonszalancko przyciśniętą do boku strzygła mnie na chybił trafił, wycinając całe kępy włosów - bez pomocy grzebienia, szczotki czy innego sprzętu. Z głośnym krzykiem zerwałam się z krzesła. Oczywiście nie zapłaciłam za usługę i jak najszybciej wybiegłam z „salonu”. Teraz moja fryzura wyglądała co najmniej dziwnie - gdzieś tam miałam kępki włosów przyciętych na

kilka centymetrów, miejscami zwisały kosmyki dwudziestocentymetrowej długości. Moja głowa przypominała wystrzępiony mop do podłogi. Jedynym sposobem, by powrócić do normalnego wyglądu, był natychmiastowy zwrot do Kisumu i wizyta u hinduskiego fryzjera. Dzięki Bogu, Hindusi potrafili mnie poratować. Od tej pory był to jedyny zakład, z którego korzystaliśmy.

W Kisumu zjedliśmy doskonały lunch w naszym ulubionym miejscu - w chińskiej restauracji na ulicy Oginga Odinga. Po posiłku wybraliśmy się do supermarketu Nakumatt. Zawsze robiliśmy sprawunki przy okazji wyprawy do większego miasta. Mogliśmy na przykład znaleźć puszki z tuńczykiem albo inne specjały, których nie było w Kakamega.

Wydawaliśmy fortunę, a niewiele za to udawało nam się dostać. Kupiliśmy także pół litra mleka i duży bochen chleba dla małego bezdomnego chłopca, który pilnował naszego samochodu. Zawsze był to ten sam chłopak - miał mniej więcej dziesięć lat i wachał klej. Do rozpaczy doprowadzał mnie widok małych dzieci, które to robiły. Zazwyczaj były sierotami lub chorowały na AIDS. Wcześniej dawaliśmy chłopcu trochę pieniędzy, ale ktoś nam powiedział, że mały kupuje za to klej. Pomyśleliśmy zatem, że lepiej dać mu mleko i chleb, ale ochroniarz ze sklepu twierdził, że chłopak pędzi natychmiast za róg i wymienia żywność na klej. Co jeszcze mogliśmy zrobić? Jak można mu było pomóc?

W drodze powrotnej do Kisumu zatrzymaliśmy się jak zwykle przy małym targowisku nad Jeziorem Wiktorii. Zanim stanęliśmy, dobrze zamknęliśmy okna. W ciągu kilku sekund nasz samochód otoczyły kobiety z koszami i kubłami. Wszystkie chciały nam sprzedać owoce i to za taką samą cenę. Bertil ostrożnie opuścił trochę szybę i powiedział do jednej z kobiet:

- Awokado. - Potem trochę szerzej otworzył okienko i kobieta wrzuciła przez szparę całą zawartość wielkiego koszyka. Owoce rozsypały się po całym samochodzie. Około 70 szylingów za jakieś 30 owoców. Chociaż kupiliśmy cały koszyk, reszta kobiet nalegała, aby kupić jeszcze od nich. My i nasze pieski uwielbialiśmy awokado, pochłanialiśmy ich całe stosy, ale trzydzieści owoców

wystarczało nam na długo. Zanim opuściliśmy bazar, musieliśmy wyregulować boczne lusterka, które przestawiły tłoczące się kobiety.

Bertil zaczął reklamować się jako ekspert od komputerów. Rzeczywiście był świetnym fachowcem i szybko pojawili się pierwsi chętni; po paru dniach miał już kilka zamówień. Odetchnęliśmy z prawdziwą ulgą, chociaż jego wynagrodzenie stanowiło niewielki procent tego, co zarabiał w Szwecji. Stwierdziłam, że jeśli od czasu do czasu będzie miał jakieś dorywcze prace, wkrótce staniemy na nogi. Wreszcie zaczęliśmy z optymizmem patrzeć w przyszłość, bo prawie wszyscy w naszej okolicy, którzy mieli kłopoty z komputerami, do tej pory szukali fachowej pomocy aż w Nairobi. Poza tym nikt inny w Prowincji Zachodniej nie miał tak rozległej wiedzy z dziedziny elektroniki jak mój mąż.

Bertil odnosił w pracy sukcesy, a po dwóch miesiącach pojawili się wreszcie pierwsi goście. Parę dni później zatrzymała się u nas grupa amerykańskiej młodzieży licząca czternaście osób. Co prawda zapłacili za pobyt tylko połowę stawki, ale tak czy siak, był to zarobek. Coraz częściej przyjeżdżali do nas goście na lunch, co stanowiło dodatkowy dochód. Wędzona tilapia z Jeziora Wiktorii z gotowanymi w koperku kartoflami i sosem Rhode Islands albo sosem tatarskim okazały się hitem sezonu. Sądząc po licznych zamówieniach, byliśmy chyba jedynym miejscem w Kenii, w którym je serwowano.

Do tych wszystkich pozytywnych zdarzeń dochodziło także to, że nasi dawni klienci - obcokrajowcy mieszkający w Kenii - powrócili z wakacji i zaczęli nas odwiedzać. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nasze kłopoty wreszcie powoli się kończą.

Nasz personel zachowywał się nadzwyczaj dobrze, zwłaszcza gdy mieliśmy gości. Prawdę mówiąc, byliśmy dumni z pracowników, chociaż, ku naszemu zdziwieniu, tuż po wyjeździe gości ich zachowanie znowu się pogarszało. Pod koniec miesiąca musieliśmy wszystkim wręczyć upomnienia i karcic za zaniedbania. Rzeczy psuły się lub w tajemniczy sposób znikwały, a nasze pisemne instrukcje odnośnie opieki nad szczeniakami po prostu ignorowano. Jeśli pieski pękały z przejedzenia bądź dostawały niewłaściwą karmę to tylko dzięki naszym

pracownikom. Nigdy też nie nauczyli się, że czarne chmury nadciągające zza horyzontu oznaczają deszcz i nie spieszyli się z zebraniem wiszącego na dworze prania.

Nie mogliśmy tego pojąć. Dlaczego oni tak robili? Czy po prostu nie chciało im się dobrze zachowywać na dłuższą metę? A może chcieli tylko pokazać, że mają nad nami władzę czy też, jak bardzo jesteśmy od nich zależni? Prawdę mówiąc, dziwiliśmy się, że z czasem coraz mniej rozumiemy zachowanie tych ludzi. A przecież powinno być odwrotnie. A może oni się tak na co dzień zachowywali?

Ponieważ zdarzały się również powody do radości, szybko zapominaliśmy o kłopotach z personelem. My i nasza psia dziesiątka mieliśmy się wkrótce przeprowadzić do rozbudowanego domu. Nieważne, że ciągle brakowało drzwi w środku, ściany nie były pomalowane i nie była gotowa ubicacja ani prysznic. Byłam wystarczająco szczęśliwa, że w naszej sypialni miałam szafę na całą ścianę. Na początku szczeniaki miały mieszkać w największym pokoju, ponieważ stamtąd można je było wypuszczać przez drzwi prosto na werandę.

Daniel, fundi, z dumą pokazywał nam swoje dzieło. Mieszkanie rzeczywiście sprawiało miłe wrażenie. Bardzo solidnie wykonał framugi drzwi prowadzących na werandę; naprawdę byliśmy zachwyceni jego pracą.

Zamknęliśmy drzwi i wyszliśmy na werandę, gdzie czekał Daniel na resztę wynagrodzenia. Był dumy jak paw i przygotował bardzo dokładne rozliczenie oparte na szczegółowych rachunkach. Wiedział, że zarówno on, jak i jego pracownik, Injehu, dostaną dodatkowe pieniądze za dobrą robotę.

Kiedy rozliczyliśmy się i Daniel wyszedł, wróciliśmy do naszych szczeniaków. Gdy weszłam do salonu, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Co leży na podłodze? Wrzasnęłam głośno: - Bertil, popatrz tylko!

Bertil wszedł i po chwili oboje wybuchliśmy śmiechem. Wspólnymi siłami nasze małe potworki w ciągu zaledwie kwadransa zdołały zedrzeć framugi i roznieść je w drzazgi. Musiały chyba wskakiwać sobie na plecy, żeby dosięgnąć w najwyższym miejscu. Drzwi wyglądały okropnie, a rudawy pył pokrywał podłogę. Skąd on się wziął? Potworki w amoku zaczęły wgryzać się w ścianę z cegieł, przy

której zamierzaliśmy niebawem postawić regał na książki. Wyglądało na to, że wygrzyły niewielkie szczeliny w ceglach i po nich mogły się wspinać.

- Dzięki Bogu, że Daniel już wyszedł - stwierdził Bertil. - Pewnie by się rozpłakał, gdyby zobaczył, co się stało z jego dziełem.

- Nie ma sensu tego naprawiać, póki nie sprzedamy szczeniąt - odparłam.

Rozdział 54.

Nieporozumienia językowe.

- James, proszę cię, przynieś trochę drewna na werandę.

Pogoda była okropna i wieczorem zamierzałam napalić w kominku. Polana w domu się skończyły, poprosiłam więc o nie Jamesa, który właśnie przechodził w pobliżu. To ten sam chłopak, który zranił się w rękę, kiedy o mało co nie ukąsił go wąż w lesie, i był jedną z osób, którą zazwyczaj zatrudnialiśmy do pracy przy koszeniu trawy.

- Tak, psze pani - odpowiedział ze swoim ślicznym angielskim akcentem i prędko zniknął w składziku, żeby przynieść mi drewnienka, o które prosiłam.

Przysiadłam na chwilę na werandzie, żeby trochę odsapnąć. Ciężko było wspinać się na górę, idąc od chatek dla gości, a ja nie należałam już do najmłodszych.

- Gunillo, czy pani naprawdę poprosiła Jamesa, żeby rozpałił ognisko na werandzie? - Max wyjrzał zdumiony z jadalni z pytającym wyrazem twarzy.

- Ależ nie, nic podobnego. Poprosiłam go tylko, żeby przyniósł polana do kominka na werandę. Czemu pytasz?

- Bo James już przygotował na werandzie drewno na ognisko. Przed chwilą wpadł do mnie i poprosił o zapalki.

O mój Boże, co by było, gdyby Max nie zareagował, tylko pozwolił Jamesowi rozpałić ogień na pięknej drewnianej podłodze werandy! Zapomniałam dopytać Jamesa, czy zrozumiał moje polecenie. Pewnie pomyślał, że kazałam mu „rozpałić ogień na werandzie”, zamiast „położyć drewno na ogień na werandzie”. James, jak wielu innych, udawał, że rozumie po angielsku. Zamiast przyznać się, że nie wie, o co mi chodzi, robili to, co im się zdawało, że powiedziałam. Dlaczego się nie sprzeciwił, żeby rozpałić ognisko na werandzie?

Przypominałam sobie inne wydarzenia związane z nieporozumieniami językowymi.

Pewnego dnia Bertil chciał przygotować pesto i potrzebował bazylii. Poprosił więc Freda, żeby zerwał kilka listków, a potem zapomniał o całej sprawie. Po dłuższej chwili zobaczyliśmy Freda, Maxa i Petrusa z naręczami świeżo zebranej bazylii. Zebrali całą naszą bazylię. I to do niewielkiej ilości pesto.

Nieporozumienia nie zawsze wynikały ze złej znajomości angielskiego. Czasami brały się po prostu z naszej skąpej wiedzy na temat miejscowych obyczajów. Przypominam sobie zdarzenie z Markiem, jednym z naszych nocnych askari. Poprosił kiedyś o kilkudniowy urlop.

- Moja mama umarła - powiedział. Muszę pojechać na pogrzeb.

- Bardzo ci współczuję, oczywiście masz prawo do urlopu - odpowiedziałam. - Czy to przypadkiem nie twój brat niedawno umarł?

- Tak, mój brat umarł, a teraz moja mama.

Kilka tygodni później znowu przeszedł do mnie Mark i spytał:

- Czy mogę wziąć parę dni wolnego, bo muszę jechać na pogrzeb?

- Och, bardzo mi przykro. Znowu? Kto tym razem umarł w twojej rodzinie?

- Moja matka umarła.

Tym razem prawie się wściekłam. Czy on naprawdę wierzył, że dam się nabrać?

- Mark, przecież twoja matka umarła niedawno, chyba nie może umierać kilka razy pod rząd. Prawda?

- Moja matka znowu umarła. Naprawdę. Znowu umarła.

Kiedy próbował mi wytłumaczyć całe nieporozumienie swoim zerowym angielskim, w końcu zdołałam zrozumieć, że tym razem chodzi mu o drugą żonę jego ojca, która zmarła. Było całkiem możliwe, że Mark jeszcze kilka razy się pojawi, żeby mi oświadczyć, że jego matka nie żyje, ponieważ nie wiedziałam, ile matek, czyli żon ojca, ma w swojej rodzinie.

To się nazywa liczna rodzina.

Nieporozumienia językowe zdarzały się także, kiedy mówiliśmy o czasie. Jako Europejczycy raczej przywykliśmy do hiszpańskiego pojęcia mañana i odkładania spraw na jutro, ale kenijskie podejście do obowiązków jest jeszcze

gorsze. Codziennie, zdawać by się mogło od wieków, mówiono nam, że budowa wiejskiej przychodni zacznie się następnego dnia. Wreszcie to nastąpiło.

Budowę zainaugurowano tradycyjną ceremonią, która składała się między innymi z krótkiego kazania i długiej modlitwy. Następnie nestor miejscowego Komitetu Budowy Przychodni miał „wgrzyźć się w ziemię”, czyli jako pierwszy wbić łopatę w grunt. Wybrany w tym celu mężczyzna był tak stary, iż wątpiłam, że w ogóle uda mu się udźwignąć szpadel.

Musieliśmy poczekać i zobaczyć, jak daleko mogą posunąć się prace za pieniądze, które zdołaliśmy zebrać na ten cel w Szwecji. Mieszkańcy również musieli dotrzymać obietnicy, że będą mieli swój udział w budowie. Większość zobowiązała się wnieść wkład rzeczowy w postaci jedzenia, własnej pracy, cegieł czy innych materiałów budowlanych. Niestety, na polecenie wodza wycofali się ze swoich obietnic. Właśnie tego mogliśmy się spodziewać. Oświadczyliśmy Komitetowi Budowlanemu, że jeśli mieszkańcy wioski nie pomogą w budowie, nie zbierzemy już w Szwecji ani szylinga na ten cel, ale zdaje się, że nie uwierzyli w nasze groźby.

Ponieważ nie chcieliśmy, aby oskarżono nas o malwersacje woleliśmy przezornie nie angażować się w rozliczanie projektu i nie wypłacać osobiście pieniędzy z konta. Jeśli projekt się nie uda, to nie z naszej winy - stwierdziliśmy.

Przy okazji kontrolnej wizyty w szpitalu po ataku malarii odwiedziliśmy naszą znajomą, Elisabeth, żonę duńskiego dyrektora szpitala. Podarowała mi niewielką roślinkę, którą szczególnie polecali z mężem w przypadku nawrotów zimnicy. Zwykle stosowane lekarstwa na malarię już mi nie pomagały. Powiedziała, że dostała kilka flanc od filipińskiego aptekarza, który sprowadził to zioło do Kenii. Świetnie się przyjęło w miejscowym klimacie. W szpitalu stosowano je przy cięższych atakach malarii. Wyjaśniła mi, że wystarczy zaparzyć siedem listków i pić napar przez trzy dni, a malaria przejdzie. Byłam strasznie podniecona i chciałam natychmiast sprawdzić, czy w moim przypadku lekarstwo okaże się skuteczne. Posadziliśmy cenne zioło w ogrodzie, ogradzając je palikami, żeby nikt przypadkiem go nie rozdeptał.

Niespodziewanie zaproponowano nam w mieście niewielki lokal biurowy do wynajęcia za przystępną cenę. Mogliśmy w nim korzystać z elektryczności i połączeń telefonicznych z lepszej centrali niż ta, do której byliśmy podłączeni. Planowaliśmy rozwinąć wreszcie naszą sieć komputerową. Chcieliśmy zaoferować publiczny dostęp do usług emailowych, dotychczas w Kakamega niedostępnych, komputerowy system rezerwacji w Riverdale Gardens i, być może, prywatny nadzór nad systemem komputerowym dla wyższych rangą pracowników banków i hoteli, internetową sprzedaż owoców i warzyw z naszej plantacji, ofertę wydawniczą i tak dalej. Nasza prawa ręka, Veronica, która przez ostatnie dni zajmowała się szczenięciami kupkami oraz praniem i sprzątaniami (mimo skończonego kursu komputerowego), była w stanie poprowadzić biuro w Kakamega razem z Bertilem, i przy mojej pomocy.

Ponieważ od paru tygodni nie mieliśmy gości i potrzebne nam było dodatkowe źródło dochodów, po długim namyśle przyjęliśmy ofertę. Z naszym nowoczesnym sprzętem komputerowym i wiedzą to biuro mogło nam przynieść spory zarobek. Niestety z przeprowadzką musieliśmy poczekać, póki firma, która do tej pory wynajmowała biuro, nie przeniesie się na inne piętro. Nie mogli tego zrobić, bo jeszcze nie podłączano tam elektryczności. Spółka energetyczna odmówiła podłączenia prądu, dopóki nie dostanie „czegoś”, co zazwyczaj oznaczało łapówkę od właściciela lokalu. Czyli wszystko po staremu.

Ostatnio parę razy pojechaliśmy do Kakamega i nawiązaliśmy kontakt z pracownikami Kenya Wildlife Service, którym pomogliśmy opracować prezentację atrakcji turystycznych w Prowincji Zachodniej, by zwiększyć liczbę turystów. Zarządca prowincji docenił naszą prezentację i przysłał nam bardzo oficjalne zaproszenie na całodniowe seminarium, które miał poprowadzić osobiście. Chciał poznać właścicieli wszystkich najważniejszych hoteli w regionie. Na zaproszeniach wyraźnie napisano: „Prosimy o punktualne przybycie. Spotkanie zaczyna się o ósmej”. Jako dobrze wychowani Szwedzi byliśmy na miejscu już o wpół do ósmej. Mieliśmy jednak wrażenie, że trafiliśmy pod zły adres. Nikogo tam nie było. Czekaliśmy i czekaliśmy. Powoli schodzili się inni uczestnicy spotkania. O godzinie

jedenastej pojawił się zarządca prowincji i rozpoczął seminarium. Dużo gadania i niewiele treści. I ani herbaty, ani wody przez cały dzień. Około trzeciej po południu spotkanie dobiegło końca. W efekcie powołano do życia Towarzystwo Turystyczne Prowincji Zachodniej, do którego miały należeć wszystkie hotele.

Miejscowa kierowniczka Kenya Wildlife Service, Eunice, była zachwycona naszą turystyczną wioską. Szczególnie jej się podobało, że do budowy wykorzystano lokalne materiały. Już w czasie pierwszej wizyty w Riverdale Gardens zachwyciło ją dziecinne łódeczko wykonane z plecionych i polakerowanych liści bananowca.

„Buum... buuum... buuum...”. Czarny potok lawy wylał się zza rogu werandy. Bertil położył się na podłodze. Sfora szczeniaków dopadła go w oka mgnieniu, łaszcząc się, liżąc go i poszczekując. Od czasu do czasu Bertil syczał z bólu, kiedy jakiś ostry psi kiełek wbijał się w niego za mocno. Gryzły wszystko, co pojawiał się w polu widzenia, i były niebywale ruchliwe.

Merry przestała już karmić szczenięta i widać było, że wyraźnie jej ulżyło. Miała ostatnio kłopoty z karmieniem i bardzo cierpiała. Dość często wymiotowała. Poza tym bolały ją sutki, ponieważ małe potworki mocno ją gryzły. Nasza kochana sunia była naprawdę szczęśliwa, gdy mogła wrócić do normalnego psiego życia: biegania, gonienia za kotami i kurami i robienia tysiąca innych ulubionych rzeczy.

Nasze urwisy w dalszym ciągu uwielbiały się wspinać. Siatka na kury, którą umocowaliśmy, żeby nie wypadły za balustradę werandy, bardzo szybko okazała się pomocna we wspinaczce. Maluchy szybko nauczyły się wkładać łapki między metalowe kraty i w ten sposób wdrapywać się na płotek. Musieliśmy dodatkowo postawić płytę, i to na tyle wysoką, aby szczeniaczki nie mogły, stając na tylnych łapkach, zaczepić o krawędź i podciągnąć się. Toteż stopniowo, w miarę jak rosły, musieliśmy przesuwac sklejkę coraz wyżej i wkrótce ustawić wyższe płyty.

Trzy z naszych szczeniaków znalazły już nowe domy. Ustaliliśmy porządek, w jakim miały nas opuszczać: przycinaliśmy krócej na grzbiecie sierść temu, który był najzwałszy i najbardziej agresywny. Kiedy nadchodził czas, aby pozbyć się psa, zawsze wybieraliśmy tego z przyciętą sierścią. Wtedy kolejny z psów przejmował przywództwo w stadzie, a my powtarzaliśmy akcję.

Pierwszy ze szczeniaków, który nas opuścił, znalazł nowy dom u hinduskiego właściciela sklepu żelaznego. Kiedy odwoziliśmy pieska, posikał się kilka razy na moich kolanach. Ponieważ nie mogłam pokazać się ludziom w obszernym ubraniu, poszliśmy najpierw na bazar z używanymi ciuchami, żeby kupić bluzkę i spodnie. Kiedy dotarliśmy do sklepu żelaznego, szczeniak rozpoczął swoje nowe życie od zaznaczenia wszystkich kątów, oczywiście sikając.

Teraz zostało nam już tylko pięć szczeniaków. Zamierzaliśmy zatrzymać jednego z nich, nie wiedzieliśmy jednak czy suczkę, czy psa. Bez wątplenia żyłoby się nam lepiej, gdyby reszta opuściła nasz dom, ponieważ zajmowaliśmy tę samą przestrzeń pozbawioną wewnętrznych drzwi. Szczeniaki zazwyczaj zaczynały dzień bardzo wcześnie i już od piątej przejawiały nieprawdopodobną wręcz aktywność.

Rozdział 55.

Złe wieści.

O mało nie zemdlałam. Kręciło mi się w głowie. Nie docierały do mnie słowa mojego ojca, z którym rozmawiałam przez telefon. To nie mogła być prawda, ale wiedziałam przecież, że w takiej sprawie tata by nie kłamał.

- Musisz natychmiast przyjechać, Gunillo. Mama ma guza mózgu. Nie pożyje długo.

Czułam, że nie jestem w stanie ogarnąć sytuacji.

- Przecież ostatnio dostałam list od mamy. Nawet powiedziałam Bertilowi, że zmienił jej się charakter pisma. - Potem dodałam: - Chociaż Per Goran także mi mówił, że zeszłego lata mama nie czuła się najlepiej, a ty się tym bardzo martwiłeś.

- Niestety, to prawda - odpowiedział tata. - Wczoraj lekarz postawił diagnozę. Zdaniem lekarzy guz jest nieoperacyjny. Mamie zostało najwyżej kilka tygodni życia.

Zdołałam się w końcu trochę opanować, chociaż łzy spływały mi po policzkach.

-Jak najszybciej przyleć do Szwecji.

Tata zawiadomił mnie, że mój starszy brat Per Goran załatwi dla mnie bilet lotniczy i muszę być z nim w kontakcie. Pożegnaliśmy się, a ja duszkiem wypiąłam szklankę whisky, którą nalał mi Bertil.

Brat zdołał zabukować dla mnie miejsce na lot do Szwecji na początek następnego tygodnia. Czas włókł się niemiłosiernie. Pragnęłam tylko być jak najszybciej z mamą. Przez weekend zmusiłam się, żeby wziąć się w garść i skupić na naszych gościach. Było mi bardzo ciężko. Jednocześnie próbowałam się pakować.

Zadręczałam się rozmyślaniami o mojej ukochanej mamie, a na dodatek dostałam kolejnego ataku malarii. Potwierdzono to parę dni później w szpitalu.

Podczas lotu do Szwecji czułam, że pomimo zażytych lekarstw ciągle mam gorączkę i byłam coraz słabsza, ale to było najmniejsze z moich zmartwień. Znacznie bardziej stresujący był fakt, że mój młodszy brat Per Erik znajdował się

gdzieś w Amazonii i nie wiedział, że mama jest chora. Miałam jednak głęboką nadzieję, że biuro podróży zdoła go odnaleźć, żeby przyleciał do domu na czas.

Rozdział 56.

Z powrotem w Kenii.

Autobus dowiózł mnie do dworca w Kakamega i drzwi otworzyły się z sykiem. Czekał na mnie stęskniony Bertil. Odetchnęłam z ulgą. Cieszyłam się, że go widzę i wreszcie jestem z powrotem w Kakamega.

Podróż była długa i męcząca, szczególnie ten ostatni odcinek z Nairobi autobusem firmy Akamba. Oczywiście, kupujesz bilet i masz zarezerwowane miejsce. Wydaje ci się, że możesz usiąść, zasnąć albo poczytać, ale nic z tych rzeczy. Kierowcy uczestniczą w kenijskiej korupcji. Kiedy tylko autobus wyjeżdża z Nairobi, pracownicy zaczynają stosować zasadę: Zatrzymaj się na widok każdej machającej osoby, zażądaj dwudziestu szylingów i upchaj wszystkich pasażerów na stojaka. W rezultacie ci z nas, którzy myśleli, że zapłacili za podróż w wygodnych warunkach, mieli cudze łokcie i kolana wbite w żebra, tobołki i kury na głowie, a wokół siebie tłum ludzi.

Kilkakrotnie zatrzymywała nas policja. Oczywiście przewożenie w autobusach pasażerów na stojąco jest surowo zabronione, a w naszym przez wiele godzin jechało w ten sposób ponad pięćdziesiąt osób ściśniętych w wąskim przejściu. Policjant dostawał łapówkę i autobus jechał dalej. Tuż przed wjazdem do Kakamega zatrzymaliśmy się po raz kolejny. Wszyscy pasażerowie bez biletów musieli wsiąść. Na dworcu autobusowym wszystko więc wyglądało na zgodne z prawem. Dodatkowy zysk znalazł się, jak łatwo się domyśleć, w kieszeniach kierowcy i jego pomocnika.

- Gdzie jest Mathias i Gunseli? - spytałam Bertila, kiedy ładowaliśmy się z bagażami do samochodu.

Mathias to jeden z synów Per Erika, nasz obecny kucharz, a Gunseli to jego dziewczyna. Zaraz po pogrzebie mojej mamy młodzi wyruszyli do Riverdale Gardens, aby pomóc nam przez kilka miesięcy.

- Zostali w domu, na straży.

W drodze do domu z Kakamega pojechaliśmy zobaczyć naszego małego ulicznika, Andre. Wyglądał na chorego i miał zapalenie oka. Szedł zapłakany ulicą. Byłam jednak tak bardzo zmęczona, że nie poprosiłam Bertila, aby się zatrzymał.

Po wyśmienitej trzydaniowej kolacji nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku i rozmyślałam o małym Andre. Dręczyło mnie sumienie. W żaden sposób nie byliśmy za niego odpowiedzialni, ale zawsze dawaliśmy mu jakieś pieniądze, kawałek chleba, kiść bananów czy trochę mleka. Nigdy nie żebrał - po prostu na nas patrzył. Zerwałam się wcześniej rano; słuchałam śpiewu ptaków i oglądałam wschód słońca. Bertil przyniósł mi śniadanie. Młodzież jeszcze spała.

- Gunillo, mam ci coś niemiłego do przekazania - powiedział niespodziewanie Bertil.

- O nie, żadnych złych wiadomości. Więcej już nie zniosę. Mam zupełnie zszargane nerwy.

- Przykro mi, ale muszę to zrobić. Nie chciałem psuć ci pierwszego wieczoru w domu, dlatego nic ci wczoraj nie mówiłem. Ale to ważne.

- W porządku. Mów.

- Max ukraść nam dwadzieścia tysięcy szylingów. Poza tym chyba przywłaszczył sobie moją kamerę wideo. - Próbowałam mu przerwać, ale mówił dalej. - Pieniądze zniknęły pewnego wieczoru, kiedy byliśmy sami, tylko on i ja, dlatego nie ma innych podejrzanych.

Gapiałam się na niego oszołomiona. To niemożliwe. Nasz wspaniały kucharz, któremu ufaliśmy w stu procentach!

- Czy on wie, że się domyślasz?

- Nie. Młodzi także nic nie wiedzą. Musimy udawać, że nic się nie stało, póki nie zadecydujemy, co robić dalej. Sądzę, że powinniśmy najpierw zapytać o zadanie Elenę; może skonsultować się także z policją.

- Przecież pisałeś do mnie, że Max się wyprowadził. Nie mieszka już w pokojach dla personelu.

- Rzeczywiście. Znowu znalazł parę niegroźnych węży mahoniowych i stwierdził, że dłużej tam nie zostanie. Wynajął sobie pokój w pobliżu targu w Wulushi.

Przyznałam rację Bertilowi, że nie powinniśmy zdradzać Maxowi, czego się dowiedzieliśmy, ale w duszy aż kipiałam ze złości, kiedy z nim rozmawiałam. Musiałam jednak zacisnąć zęby i jakoś to wytrzymać, żeby niczego nie podejrzewał. Niespodziewanie wpadł do nas Nelson i poprosił, żebyśmy podrzucili go do miasta. Musiał zawieźć do szpitala siedmioletniego chłopca ważącego zaledwie czternaście kilo. Mały miał zapalenie płuc i prawdopodobnie AIDS. Miałam wrażenie, że umiera. Oczywiście zgodziliśmy się pomóc, więc Nelson, chłopiec oraz jego babcia wsiedli do samochodu i stłoczyli się na tylnym siedzeniu.

Kiedy zostawiliśmy chłopca i jego babcie w szpitalu w Kakamega, pojechaliśmy z Nelsonem do centrum, żeby poszukać małego Andre. Słyszeliśmy, że jest sierotą i leży chory gdzieś na ulicy. Ale dzieciaki włóczące się po centrum nie chciały nam powiedzieć, gdzie jest. Ktoś dodał, że chłopca aresztowała policja, bo kradł, i teraz siedzi w więzieniu. Chory i nieszczęśliwy.

Nelson dalej poszukiwał Andre, a my pojechaliśmy do naszej znajomej Eleny, żeby spytać ją o radę. Jak powinniśmy postąpić z Maxem i co zrobić z Andre? Ona i jej kenijski mąż dali nam parę cennych wskazówek. Poszliśmy zatem na komendę policji i opowiedzieliśmy inspektorowi o Maxie. Spytałiśmy go, czy nie powinniśmy najpierw porozmawiać z jego rodzicami, a dopiero potem ponownie skontaktować się z policją. Oficer przyznał, że to bardzo dobre rozwiązanie. Kiedy spyaliśmy go, czy Andre może być w więzieniu, kategorycznie zaprzeczył. Wyjaśnił, że policja nigdy nie zatrzymuje tak małych dzieci. Uwierzyliśmy.

Pojechaliśmy do domu rodziców Maxa i porozmawialiśmy z jego matką i bratem. Ojciec był w pracy. Przedstawiliśmy im całą sprawę i uzgodniliśmy, że spotkamy się wieczorem następnego dnia w Riverdale Gardens, w obecności ojca Maxa. Jeśli nie odzyskamy naszych pieniędzy, zawiadomimy policję.

Kiedy mieliśmy już wracać do domu, podjechaliśmy po Nelsona. Powiedział, że zostawił wiadomość dla Andre, żeby się z nami skontaktował, to

pomożemy mu dostać się do szpitala. Teraz już tylko od niego zależało, czy zechce skorzystać z naszej pomocy. Nic więcej nie mogliśmy dla niego zrobić.

W drodze powrotnej do Riverdale Gardens Bertil nagle spytał:

- A jak twoja malaria? Atak przeszedł? Pisałaś, że wybierasz się do Instytutu Medycyny Tropikalnej do kliniki w Huddinge.

Roześmiałam się trochę sarkastycznie.

- Posłuchaj. Byłam na konsultacji u najbardziej pyszałkowego lekarza, jakiego tylko można sobie wyobrazić. Kiedy pielęgniarka pobrała mi krew do analizy, od razu stwierdziła, że wygląda na typowo malaryczną krew, to znaczy jest bardzo rozrzedzona. Uważała, że to typowe dla malarii. Kiedy udałam się do lekarza, stwierdził, że nie mam malarii i nigdy jej nie miałam. Oświadczył, że moje zmęczenie to skutek zdenerwowania podczas ostatnich dni życia mamy. Jeśli o to chodzi, to może miał rację, ale gdy kazałam mu zajrzeć do badań ze Szpitala Misyjnego, on się tylko roześmiał. „Typowym symptomem malarii jest bardzo wysoka gorączka, a liczenie „pierścieni” to najgłupszy test malaryczny”. Dodał jeszcze: „Lekarze w Afryce wiedzą znacznie mniej niż my tu, w Instytucie Medycyny Tropikalnej w Huddinge”. Zarozumiały kretyn i tyle. Wycodziłam tylko, iż sądzę, że powinien popracować w ciężkich warunkach w Afryce, to wtedy może się czegoś nauczyć.

Byliśmy w domu około wpół do szóstej wieczorem zupełnie wykończeni tak intensywnym dniem. Parę minut wcześniej Mathias natknął się na stalowoniebieskiego węża i przy okazji znalazł profesjonalny kompas Brunton i refraktometr. Rzeczy leżały ukryte przy płocie; pewnie schował je któryś z naszych pracowników i zamierzał zabrać pod koniec dnia. No cóż, uroczo.

Teraz musieliśmy zdradzić Mathiasowi i Gunseli prawdę o Maxie. Usłyszawszy o kradzieży pieniędzy oraz kamery wideo, byli równie jak my zaskoczeni. Oni także uważali Maxa za sympatycznego chłopaka.

Kiedy powiedzieliśmy im, że Max panicznie boi się węży, Mathias natychmiast wykrzyknął:

- Coś takiego!? Sam zaoferował swoją pomoc przy szukaniu węża. Może chciał sprawdzić, czy nie znalazłem tych twoich ukrytych rzeczy, Bertil.

Gdy omawialiśmy jeszcze inne kradzieże, stwierdziliśmy, że nie tylko Max musi być w to zamieszany, ale także Linda i prawdopodobnie jeden z naszych shamba boys. Czułam, jakby zawałił mi się świat. Nie mogłam już tego dłużej wytrzymać. Wydawało mi się, że od dawna tworzyliśmy jedną szczęśliwą rodzinę, a tu kolejny raz ludzie nas nabrali. Czy to się nigdy nie miało skończyć?

Zadzwoniłam do Eleny i opowiedziałam jej, czego się ostatnio dowiedzieliśmy. Pełna współczucia stwierdziła, że powinniśmy kuć żelazo, póki gorące, i zagrozić im, że policja zdejmie odciski palców z przedmiotów znalezionych na terenie naszej posiadłości i zawiezie ich wszystkich na komendę. Mieszkała ponad dwadzieścia lat w Kenii i uważała, że to jedyne rozsądne wyjście. Jednocześnie dodała, że jeśli my, to znaczy Bertil i ja oraz Mathias z Gunseli, zadbamy o wszystko sami, wtedy udowodnimy innym, że potrafimy doprowadzić sprawę do końca.

Przez chwilę rozważaliśmy tę całą sytuację. Nagle Bertil wykrzyknął:

- Nie ma mowy! Zadzwonimy na policję i poprosimy, żeby jutro rano do nas przyjechali. Mam już dosyć tej naszej układności.

I tak zrobiliśmy. Bertil skontaktował się z inspektorem, z którym rozmawialiśmy wcześniej i poinformował go o tym, co się stało. Inspektor przyznał, że rzeczywiście miarka się przebrała i trzeba przeszukać mieszkania pracowników, a przynajmniej Maxa i Lindy.

Dwaj detektywi, Mike i Lynn, przyjechali wczesnym rankiem i razem wyruszyliśmy na bazar w Wulushi, gdzie mieszkał Max. W drodze wypytywali nas jeszcze, skąd pochodzi Max. Kiedy odpowiedzieliśmy, że z Kisumu, Mike od razu wykrzyknął, że Max musi być winny. Wszyscy z ludu Luo są, według niego, złodziejami. Trochę się załamaliśmy tym komentarzem, chociaż byliśmy świadomi, że tylko Max mógł być winny i zażądaliśmy, aby policja przeszukała jego dom, zanim go aresztuje.

Maxa obudziło walenie do drzwi. Był wyraźnie zdenerwowany, kiedy zrozumiał, że policja ma zamiar dokonać rewizji w jego nowym lokum.

We czworo weszliśmy do środka i jedną z pierwszych rzeczy, jakie zobaczyłam, była nasza otwarta teczka. W środku znaleźliśmy szwedzki banknot o nominale stu koron oraz kilka rachunków ze sklepu meblowego za zakup kompletu wypoczynkowego składającego się z sofy i foteli oraz zestawu stolików do kawy. Nowe nabytki już stały w pokoju i były naprawdę dobrej jakości - z pewnością nie mógł sobie na nie pozwolić skromnie zarabiający, młody człowiek. Na kwitach widniała data - dzień po kradzieży pieniędzy, a suma opiewała na 18 000 szylingów. - No cóż, Max, nie trzeba więcej dowodów, żeby stwierdzić, że jesteś winny. Tylko od twoich pracodawców zależy, czy pójdziesz do więzienia, czy nie - oświadczył Lynn.

Powiedzieliśmy Maxowi, żeby przyszedł do nas wieczorem i jednocześnie poinformowaliśmy go, że jego rodzice również będą obecni. Wtedy wspólnie zastanowimy się, co trzeba zrobić. Po powrocie do domu policjanci oświadczyli Lindzie, że chcą przeszukać jej dom i sprawdzić, czy nie ma tam naszych rzeczy. Podaliśmy im dokładny opis przedmiotów, które zaginęły bez śladu. Po chwili wrócili i powiedzieli, że w mieszkaniu Lindy nie znaleźli żadnego opisanego przedmiotu, a zatem nie możemy oskarżyć jej o kradzież, bo inaczej sami wpakujemy się w kłopoty. Nie wolno jej nawet zwolnić z pracy. To nas zdziwiło, ponieważ byliśmy pewni, że tylko ona mogła wejść do naszego mieszkania i ukraść kamerę wideo.

Po wyjeździe policji zebraliśmy wszystkich pracowników i poinformowaliśmy ich, co się stało. Oświadczyliśmy im także, że jesteśmy niemal pewni, że ktoś z nich, a może i więcej osób, jest zamieszany w kradzież. Jeśli powtórzy się to jeszcze raz, wszyscy zostaną zwolnieni, natomiast jeżeli ktoś z personelu pomoże nam ująć winnego, pozostanie dalej w pracy. Ta wiadomość oczywiście nie wpłynęła na poprawę stosunków między naszymi pracownikami.

Podczas wieczornej rozmowy z Maxem i jego rodzicami podpisaliśmy dokument stwierdzający, że złożymy doniesienie na policję, jeśli nie odzyskamy skradzionych pieniędzy najpóźniej do dwudziestego dziewiątego grudnia.

Mathias z Gunseli grali w Monopoly, a ja z Bertilem usiedliśmy na werandzie, próbując się odprężyć po raz pierwszy od mojego powrotu. Przed godziną, spacerując po naszym terenie, zobaczyłam na prawo od werandy okrągły klomb ze świeżo posadzonymi kwiatami. Bertil wyjaśnił, że - dla uczczenia pamięci mojej mamy - posadził mnóstwo białych lilii, a wśród nich poukładał piękne zielone kamienie, które znaleźliśmy w kamieniołomach. Wzruszył mnie jego pomysł - niewielki symboliczny grób mojej mamy.

- Bardzo ci dziękuję za te wszystkie emaile, które mi wysyłałeś. Niestety, rzuciłam tylko na nie okiem. Nie byłam w stanie przejmować się jeszcze tutejszymi sprawami. Czy możesz mi opowiedzieć, co się działo? Dla przypomnienia możesz zajrzeć do emaili.

Bertil sięgnął po wydrukowane emaile i swój notes. Przeglądając je, zaczął szczegółowo streszczać, co się działo w Riverdale podczas mojej nieobecności.

- Przede wszystkim zajmowałem się urządzeniem naszego nowego biura w Kakamega - opowiadał. - Daniel zachorował na malarię, zabrałem więc Veronicę i Freda do miasta i kazałem im umyć i pomalować ściany oraz sufit. Zobaczysz, jak to ładnie teraz wygląda. Kiedy Daniel wyzdrowiał, zbudował razem z Fredem wygodny blat do pracy i ruchomy stół pod komputer podłączony do Internetu. Zainstalowałem alarm i podłączyłem sprzęt komputerowy, Yeronica natomiast przeszła się po mieście i poroznosiła ulotki. Wieść o naszej europejskiej kawiarence internetowej już się rozniosła w Kakamega.

Wspomniał jeszcze, że kiedy podłączył serwer, którego nie używaliśmy od przyjazdu ze Szwecji, rozległo się głośne „buuum”. Serwer był nastawiony na 115 wolt, zamiast na 230. Być może wskaźnik przestawił się samoczynnie pod wpływem drgań przy transporcie kontenera, a może w czasie przeprowadzki któryś z naszych pomocników nie potrafił się powstrzymać i coś nacisnął. W każdym razie mieliśmy

o jeden serwer mniej. Ale już przyzwyczailiśmy się do strat, więc, szczerze mówiąc, nie zrobiło to nam wielkiej różnicy.

Mnóstwo ludzi potrzebowało pomocy przy obsłudze komputerów. Chcieli drukować kartki harambi, zaproszenia, mapki dojazdu, listy, emaile, a nawet kalendarze z zeskanowanymi zdjęciami. Były to wszelkiego rodzaju zlecenia, ale Kenia to jednak biedny kraj, więc nasze dochody były raczej niskie, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę szczególną dbałość, z jaką drukowaliśmy każde zamówienie. Znacznie większe zyski Bertil czerpał ze stałych usług świadczonych Rainforest Retreat, supermarketowi i Szpitalowi Misyjnemu. W szpitalu mówiło się nawet o podpisaniu z Bertilem stałej umowy.

Opowiadał mi także o budowie przychodni, która - po wielu próbach wymuszenia łapówki - wciąż stała w miejscu. W Kenii realizacja jakiegokolwiek przedsięwzięcia, nie mówiąc już o doprowadzeniu go do szczęśliwego końca, jest w zasadzie niemożliwa bez wręczenia choćby symbolicznej kwoty.

Powiedział mi także więcej na temat tragicznego wypadku w Sotanini, o którym wspominał w jednym ze swoich emaili. Po katastrofie w pobliskiej kopalni szyb w Sotanini został tymczasowo zamknięty. Syn właściciela codziennie rano ukradkiem zjeżdżał prawie czterdzieści stóp na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jego brat natomiast zostawał na górze i czekał na znak, że może do niego dołączyć. Tym razem żadnego sygnału nie było. Chłopak nie zrozumiał, że cisza mogła oznaczać coś złego, dlatego postanowił zjechać i sprawdzić, o co chodzi. Okazało się, że brat się udusił. Drugi chłopak także stracił życie. Bracia raczej nie byli przyzwyczajeni do pracy pod ziemią i nie zabrali ze sobą świeczki, żeby sprawdzić poziom tlenu w szybie. Bertil akurat przechodził obok miejsca tragedii razem z naszymi gośćmi, kiedy mieszkańcy wioski wyciągnęli ciało jednego z chłopców.

Mazizi, jedna z naszych dwóch suczek, opuściła dom podczas mojej nieobecności. To była miłość od pierwszego wejrzenia; przygarnęła ją jedna z dziewcząt z Amerykańskiego Korpusu Pokoju. Teraz Mazizi mieszkała w Kipkarren River. Przed moim wyjazdem do Szwecji postanowiliśmy z Bertilem, że zostawimy

sobie Musse'a, jednego z naszych piesków i chyba dokonaliśmy dobrego wyboru, bo mały był rozkoszny.

Rozdział 57.

Niezapomniane Boże Narodzenie.

Tego roku, kiedy gościliśmy u nas Mathiasa z Gunseli, postanowiliśmy, pomimo żałoby, urządzić prawdziwe święta Bożego Narodzenia.

George, pełniący funkcję zarówno stolarza, taksówkarza, jak i rzeźnika, załatwił dla nas szynkę i żeberka. Mieliśmy także parę puszek śledzi, butelkę grzanego wina, poncz i esencję na sznaps. Słowo się rzekło i zabraliśmy się do dzieła. Delikatnie posoliliśmy szynkę, ugotowaliśmy czerwoną kapustę z własnego ogródka i spokojnie czekaliśmy na wigilię Bożego Narodzenia. Wczesnym rankiem zasiedliśmy do wspaniałego świątecznego śniadania. Dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, pani Gunillo. Tu mówi Singh.

- Dzień dobry, panie Singh. Czym mogę służyć?

Pan Singh był najbogatszym człowiekiem w całej zachodniej prowincji. Wraz z rodziną kilkakrotnie jadł obiad w Riyerdale Gardens, z reguły z jakiejś specjalnej okazji, i nasza kuchnia bardzo im odpowiadała. Teraz chciał spędzić Boże Narodzenie w Riverdale Gardens. Miało to być przyjęcie dla piętnastu członków jego rodziny. Przede wszystkim prosił o indyka, ale wyjaśniłam mu, że kilkukilogramowy ptak nie zmieści się w naszym piekarniku, dlatego zdecydowaliśmy się na kurczaki. Ponieważ część jego rodziny była wegetarianami, musiałam przygotować dla nich specjalne potrawy. Oczywiście spodziewali się aperitifów przed obiadem, a do dań - najlepszych win. Bardzo ważny był deser oraz odpowiedni wystrój i dekoracje: kapelusiki, serpentyny, piszczalki karnawałowe i confetti. Jak zawsze, pieniądze nie grały roli. Wszystko musiało być wspaniałe. Omówiliśmy jeszcze kilka dodatkowych szczegółów i się pożegnaliśmy. Wróciłam do stołu.

Na widok mojej miny, Bertil roześmiał się:

-Aha, więc nici z naszego Bożego Narodzenia w rodzinnym gronie?

- Chyba sam rozumiesz, że nie mogłam odmówić panu Singhowi. Zarobimy przecież mnóstwo pieniędzy, musiałam się zgodzić.

- O co chodzi? - przerwał mi Mathias.

- OK, już wszystko wyjaśniam - mówiłam dalej. - Jutro na bożonarodzeniowy obiad przyjdzie do nas piętnaście osób. Musimy przygotować najlepsze dania w całej prowincji. Poza tym nasi goście życzą sobie typowych gadżetów na przyjęcie, wiecie, o co chodzi: kapelusiki, trąbki, serpentyny i tego typu rzeczy jak na Sylwestra. A najgorsze, że nie dostaniemy tego w Kakamega. Musimy wybrać się na zakupy do Kisumu i to natychmiast.

- Przecież dzisiaj jest Wigilia - Mathias i Gunseli wykrzyknęli niemal jednocześnie.

- Nieważne. Jeśli prowadzisz hotel znany w całej prowincji z najlepszej kuchni, musisz być dyspozycyjny - stwierdził Bertil. - Ale najpierw ustalmy menu.

Zasiedliśmy razem przy stole. Zupełnie zapomnieliśmy o świątecznym śniadaniu. Natychmiast sprawdziliśmy listę produktów, które trzymaliśmy w zamrażarce w Wushiye. Mathias zasugerował, że powinniśmy oprzeć nasze menu na tym, co ustaliłam z panem Singhem.

- No i gotowe - oświadczyłam w końcu. - Na przystawkę podamy ogony krewetek z Naivasha w marynacie czosnkowej, z awokado i świeżą sałatą w szklanych pucharkach, danie główne to coqauvin, czyli kurczak w winie, a na deser - ciasto rabarbarowe z sosem waniliowym. Możemy także uwędzić kilka tilapii i podać je z na zimno jakimś sosem tym gościom, którzy nie jedzą mięsa. Co o tym myślicie?

Szybko przygotowaliśmy listę zakupów, schowaliśmy do lodówki nieskończone świąteczne śniadanie, ubraliśmy się i popędziliśmy suzuki na półkulę południową do Kisumu. Mieliśmy nadzieję, że jeszcze zdążymy zjeść wigilijną wieczerzę.

Wróciliśmy z Kisumu o wpół do szóstej i od razu zabraliśmy się za szykowanie obiadu na następny dzień. Zjadłszy po jednej kanapce z szynką, zupełnie wykończeni zwaliliśmy się do łóżek. Taki był finał naszej Wigilii.

Boże Narodzenie zaczęliśmy śniadaniem zjedzonym naprędce, a potem natychmiast zabraliśmy się za gotowanie, nakrywanie do stołów i nadmuchiwanie balonów. O pierwszej przybyła piętnastoosobowa rodzina Singhów. Rozsiedli się na ustawionych w cieniu wielkiego eukaliptusa kanapach, gdzie podaliśmy im grzane wino. Nigdy przedtem tego nie pili i smakowało im tak bardzo, że skończyli całą butelkę. Oczywiście dla nas już nic nie zostało na Boże Narodzenie.

Obiad podaliśmy na werandzie, na rozstawionym, długim stole pod rozwieszonymi serpentynami. Goście włożyli kapelusiki, rozległ się dźwięk piszczałek, a w powietrzu fruwało confetti. Nasze świąteczne specjały bardzo im smakowały, a przy tym świetnie się bawili, śmiali i rozmawiali. Zauważyliśmy jednak, że matka pana Singha, bardzo pięknie prezentująca się w swoim haftowanym sari, jadła tylko ogórki. Powiedziała, że dawno, dawno temu w świątyni ślubowała nie jeść do ogórków nawet kartofli. Poprosiliśmy zatem jednego z naszych shamba boys, żeby szybko zerwał wszystkie ogórki z naszego warzywnika. Starsza pani dostanie przynajmniej michę świeżych ogórków. Do kawy podaliśmy mrożony szwedzki poncz sporządzony z esencji przywiezionej ze Szwecji. Ten napój także bardzo im smakował. Pan Singh, prawdziwy smakosz, stwierdził, że ten świąteczny obiad był najlepszy, a zarazem najbardziej egzotyczny, jaki kiedykolwiek jadł. Dodał jeszcze, że pragnie, aby Mathias nauczył gotować jego kucharza.

Kiedy goście pili kawę, przybyło około dwudziestu pięciu kolejnych Hindusów. Chyba chcieli się pokazać w towarzystwie lokalnego milionera i coś zjeść, niestety byliśmy już tak wykończeni, że musieliśmy im odmówić.

Niewiele zostało nam dojedzenia w Boże Narodzenie. Po kilku szklankach whisky padliśmy do łóżek i postanowiliśmy przełożyć świętowanie na następny dzień.

Drugiego dnia świąt w bramie pojawiła się niespodziewanie czwórka Holendrów z dziećmi. Chcieli zostać na obiad i kolację oraz przenocować. Mathias miał wolny dzień, a zatem szybko zaimprovizowałam pizzę na lunch, a na obiad podałam klopsy z sosem grzybowym oraz kilka świątecznych przysmaków, jakie nam jeszcze

zostały. Kiedy w końcu goście położyli się spać, rzuciliśmy się do łóżek bez kolacji i bez świątecznego nastroju.

Życie właściciela hotelu nie jest łatwe. Dwudziestego siódmego grudnia, tuż po wyjeździe Holendrów, pojawiła się czwórka Belgów, którzy uprzednio dokonali rezerwacji. Zameldowali się, wręczyli voucher z agencji turystycznej i powiedzieli, że zamierzają spędzić kilka godzin w lesie tropikalnym, a swoje bagaże wniosą do chatki po powrocie z wyprawy. Wyruszyliśmy do miasta po zakupy, ponieważ nasza spiżarka świeciła już pustkami. Mathias przygotował dla Belgów lunch. Parę godzin później dowiedzieliśmy się, że jeden z naszych gości zostawił wiadomość w bramie, że ktoś z ich grupy zachorował i wszyscy muszą nagle wracać do Nairobi. Szybko zorientowałam się, że voucher, który nam dali, gdzieś zniknął; podejrzewaliśmy, że musieli go ukraść. Ponieważ nas oszukali, wskoczyliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Rainforest Retreat, gdzie się dowiedzieliśmy, że nasi goście zameldowali się na nocleg. Wracając z lasu, Belgowie na nasz widok niemal spalili się ze wstydu. Koniec końców przyznali się do kradzieży i zwrócili nam voucher, bez którego agencja turystyczna nigdy nie zwróciłaby nam poniesionych kosztów.

Dwudziestego ósmego grudnia - kanapka na śniadanie, pośpieszna wyprawa do miasta po zakupy (na szczęście sklepy były już otwarte), omlet na obiad. Pod wieczór przyjechała czwórka Anglików na nocleg. Przygotowaliśmy dla nich smaczną kolację, a sami zjedliśmy resztki z poprzedniego dnia.

Dwudziestego dziewiątego grudnia nasi goście zjedli wczesne śniadanie, a my trochę później przekąśliśmy po skromnej kanapce. Przygotowaliśmy dla nich jedzenie na piknik, który chcieli urządzić sobie w lesie, po czym się wymeldowali. Parę godzin później pojawiła się grupa Finów, którzy nagle postanowili zjeść lunch w Riverdale. Znowu musieliśmy coś zaimprovizować, ale na całe szczęście mieliśmy zamrażarkę oraz własne warzywa i owoce.

Byliśmy naprawdę wykończeni. Umościliśmy się w fotelach, kiedy tylko nasi goście zniknęli w bramie. I chociaż całkiem nieźle zarobiliśmy, zastanawialiśmy się teraz, czy naprawdę warto było tak się wysilać.

- Ale mieliśmy święta ... - stwierdził skołowany Mathias.

- Tak - odparł Bertil również oszołomiony. - I założę się, że tym razem schudliśmy kilka kilogramów.

Rozdział 58.

Napaść.

- Możecie pokazać mi lotnisko? - spytała Gunseli, kiedy skończyliśmy załatwiać sprawy w Kakamega.

Zjedliśmy właśnie lunch w hotelu Golf i wracaliśmy do domu, w którym siedział tylko Mathias, doglądając naszych włości. Pewnie marzył, żeby ktoś go zastąpił.

- No cóż, lotnisko to trochę zbyt szumna nazwa jak na kawałek lądowiska - roześmiałam się. - Ale jasne, możemy się tamtędy przejechać w drodze do domu.

Bertil skręcił w drogę prowadzącą obok szpitala miejskiego w Kakamega. Rozmawialiśmy z ożywieniem, a Bertil lawirował, próbując trafić na miejsce pokryte jeszcze asfaltem. Droga naprawdę była koszmarna. Bydło, ludzie, rowery, dziury i wyboje...

Po lewej stronie, na niewielkim półwyspie utworzonym przez zakole rzeki, zobaczyliśmy jeden z najnowszych hoteli w rejonie. W ogrodzie posadzono mnóstwo różnych wspaniałych gatunków bambusa. Właśnie tu kupiliśmy część bambusowych kijków potrzebnych do naszej budowy.

- Były kierownik tego hotelu kupił jednego z naszych szczeniaków - powiedziałam.

Kiedy wjeżdżaliśmy na pagórek tuż za hotelem, Gunseli nagle krzyknęła:

- Gunilla, uważaj!

Odwrociłam się i po prawej stronie zauważyłam przed nami mężczyznę oddalonego o jakiś metr. Właśnie zamierzał rzucić kamieniem i wyglądało na to, że celował w moją głowę. Kamień szybował prosto w moim kierunku. Uchyliłam się. Bertil wcisnął hamulec. Kamień trafił w przednią szybę, która roztrzaskała się w drobny mak. Gdyby mój mąż ostro nie zahamował, kamień wleciałby przez otwarte okno i uderzył mnie w głowę. Odłamki szkła posypały się na mnie i czułam je wszędzie, nawet na twarzy. Co za szczęście, że miałam okulary.

Zszokowana wytoczyłam się z samochodu, a Bertil wyskoczył z drugiej strony. Gunseli wygramoliła się z tylnego siedzenia i pośpiesznie do mnie podbiegła. Była śmiertelnie blada i przytuliła mnie. Wokół nas zebrali się ludzie, śmiejąc się i wytykając nas palcami.

Mężczyzna, który rzucił kamieniem, zbiegł po zboczu. Domyśliłam się, że musiał zobaczyć minę Bertila.

Roztrzęsiona oparłam się o auto i poczułam, że natychmiast muszę zapalić. Kiedy zapalałam papierosa, łzy ściekały mi po policzkach. Jakiś facet podszedł i nagabywał mnie o jednego. Wydarłam się na niego histerycznie.

Gunseli odeszła parę kroków od drogi i zwymiotowała. Kilku gapiów poszło za nią i śmiało się z niej. Wróciła do mnie i nagle z wrzaskiem rzuciła się na jakiegoś mężczyznę, który za moimi plecami skradał się do auta, żeby ukraść moją torbę. Wyrwała mu ją, krzycząc, że powinien się wstydzić.

Bertil poprosił Gunseli, żeby poszła do hotelu i zadzwoniła po policję. Miała powiedzieć, żeby jak najszybciej przyjechali. Sam zebrał kilku mężczyzn i ruszył w pościg za napastnikiem.

Po chwili wróciła Gunseli i relacjonowała:

- Policjant był dla mnie bardzo niegrzeczny. Spytał, po co do nich dzwonię. Uważał, że powinniśmy sami złapać złoczyńcę i przyprowadzić go na komendę. Wyjaśniłam, że moim zdaniem to ich obowiązek, bo nas nikt nie uczył łapać przestępców. Powiedziałam, że boję się linczu, jeśli my - biali - złapiemy miejscowego. Ale policjant upierał się przy swoim, więc nie ma co liczyć, że przyjadą.

Gunseli czuła się zupełnie zagubiona. Wprost nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała przez telefon.

Tymczasem mężczyźni schwytali napastnika i przyprowadzili go do samochodu. Rozpoczęła się gorączkowa dyskusja. Zaczęli na nas pokrzykiwać. Zrozumieliśmy, że domagają się pieniędzy za schwytanie sprawcy. Ponieważ nie mogliśmy im zapłacić, bo nie mieliśmy już przy sobie gotówki, puścili winowajcę, a on szybko zniknął w tłumie.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta i czuliśmy się autentycznie zagrożeni. Kobiety zaczęły podnosić z ziemi wielkie kamienie i zanosić na to, że zaraz nas nimi obrzuca. Byliśmy naprawdę przerażeni. Wydawało się, że wszyscy nas nienawidzą. Kierownik hotelu, który usłyszał krzyki, wyszedł porozmawiać z tłumem i zdołał odciągnąć ich uwagę. My w tym czasie wślizgnęliśmy się do samochodu i natychmiast ruszyliśmy.

Kiedy zawróciliśmy w stronę miasta, Bertil na szczęście przycisnął pedał gazu, bo już niektóre kobiety rzucały w nas kamieniami. Gunseli i ja siedzieliśmy z tyłu, skulone na podłodze, żeby nie trafił w nas żaden kamień. Dzięki Bogu, wszystkie chybiły.

Pojechaliśmy prosto na komisariat i zgłosiliśmy próbę morderstwa. Policjanci jednak nie byli nawet w najmniejszym stopniu zainteresowani naszą sprawą. Oczywiście do momentu, kiedy Bertil zagroził, że skontaktuje się z Ministerstwem Turystyki. Wtedy zobowiązali się schwytać napastnika. Po długich namowach Bertilowi udało się nakłonić policjantów, by poszli z nim do samochodu, w którym siedziałam razem z Gunseli.

Jeden z nich zajrzał przez okienko, rzucił na mnie okiem i spytał:

- I co się właściwie pani stało?

Wtedy Bertil wybuchł. Przecież od dłuższego czasu tłumaczył policjantom, co się stało.

Po zgłoszeniu napaści pojechaliśmy prosto do Szpitala Misyjnego. Ktoś musiał mi udzielić fachowej pomocy i usunąć odpryski szkła wbite w moją twarz, szyję i resztę ciała. Przejrzeli moje ubranie i okazało się, że odłamki tkwią nawet w plecach. Niestety, dyżurujący personel szpitalny wykazał absolutny brak zainteresowania moją osobą. Wyszliśmy i postanowiłam sama usunąć odpryski w domu przy pomocy pęsetki, przyświecając sobie latarką.

Całe wieki zabrało mi wyszukiwanie odłamków szkła, które tkwiły we mnie. Czulałam się, jakby wbito we mnie tysiące szpileczek. Odwaliliśmy niezły kawał detektywistycznej roboty. Potem wzięłam prysznic i dwukrotnie umyłam włosy, aż poczułam, że są zupełnie czyste. Stwierdziłam, że nie będziemy mogli

korzystać z kabiny prysznicowej, póki nie zostanie dokładnie spłukana, ponieważ na podłodze wciąż błyszczały kawałki szkła.

W najbliższych dniach miał do nas przyjść na lunch dyrektor szpitala i z pewnością nie ucieszyłaby go wiadomość, że pracownicy szpitala zaniedbali swoje obowiązki.

Bertil usiadł do komputera i wystosował pismo do Ministra Turystyki; powinien się dowiedzieć, że według nas wyprawy turystów do lasów tropikalnych nie są zbyt bezpieczne. Należało go także poinformować o zeszłorocznym ataku na Per Erika i Bertila oraz przekazać mu naszą opinię o funkcjonariuszach policji w Kakamega, którzy okazują kompletny brak zainteresowania kwestiami bezpieczeństwa.

- Bertil, już nigdy więcej nie pojedę boczną drogą do Kakamega - oświadczyłam, pijąc wieczorem herbatę. - Nawet nie znamy ludzi stamtąd. Nie wiem, dlaczego tak nas nienawidzą.

- Otóż to - odparł - nad tym naprawdę należy się zastanowić. Robimy, co w naszej mocy, żeby im pomóc. Jesteśmy biedni jak myszy kościelne. A to, czego nie oddamy im z własnej woli, sami ukradną. Naprawdę głęboko się zastanawiam, po co tu w ogóle przyjechaliśmy.

- Tak, w tej chwili chciałabym jak najszybciej stąd wyjechać. Nie chcę stać się ofiarą kolejnej napaści.

Rozpłakałam się po raz kolejny, rozmyślając o tym, co nam się przydarzyło tego dnia. Same kłopoty. A przecież już tyle nieszczęść nas spotkało.

Po paru tygodniach wezwano nas na policję. Podejrzewaliśmy, że Ministerstwo Turystyki zwróciło się do funkcjonariuszy, żądając dochodzenia w naszej sprawie. Policjant poinformował nas, że mężczyznę, który rzucił we mnie kamieniem, schwytano jeszcze tego samego wieczora. Był znany z tego, że obrzucał kamieniami przejeżdżające samochody. Nie oznaczało to wcale, że atak był wymierzony w nas, białych, w przeciwieństwie do napaści tłumu. Ich nienawiść rzeczywiście mogła być spowodowana niechęcią do białych i to było naprawdę przerażające.

Na komisariacie policjanci poddali nas idiotycznemu przesłuchaniu. Zrobiliśmy, co tylko się dało, żeby wyglądać na niechętnych do współpracy i w końcu odmówiliśmy podpisania protokołów z przesłuchania, póki nie zostanie w nich umieszczone nasze oświadczenie, że policja wykazała się kompletnym brakiem dobrej woli i nie udzieliła nam pomocy. Samochód został obfotografowany ze wszystkich stron, ale niestety, to my musieliśmy zapłacić za kupno i wstawienie przedniej szyby.

Rozdział 59.

Co my tu robimy?.

Zeszło z nas powietrze. Tak bardzo podupadliśmy na duchu, że właściwie nic nie chciało się nam robić. Ciągłe pozostały nierozwiązane kłopoty z wodą i telefonem. Chorowaliśmy na malarię i mieliśmy problemy żołądkowe. Wizyty w szpitalu nie były rzadkością.

W styczniu raczej nie spodziewaliśmy się natłoku gości i rzeczywiście nasze przewidywania się sprawdziły. Mieliśmy wystarczająco dużo klientów podczas świąt Bożego Narodzenia i na Nowy Rok, teraz musieliśmy sami się pozbierać. Szkoda tylko, że wszystko znowu zmierzało w złym kierunku.

Tak bardzo się cieszyłam, że tata znowu z nami będzie. Bardzo się za nim stęskniłam. Leżałam w łóżku pod kołdrą i nie chciało mi się wstawać. Ostatnio w ogóle straciłam chęć do działania. Miałam wrażenie, że każdy nowy dzień przynosi tylko same zgryzoty. Co noc śniły mi się koszmary. Widziałam w nich przerażające, pełne nienawiści twarze i kamienie lecące w moją stronę. Nagle zaczęłam bać się ludzi. Nie chciałam, żeby się do mnie zbliżali, bo w każdym z nich dostrzegałam bandziora. Tak to czułam. A przecież ani ja, ani Bertil nie byliśmy rasistami. Przyjechaliliśmy do Kenii, żeby pomóc ludziom i nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego mieli do nas takie wrogie podejście. Czasem dostrzegaliśmy w ich oczach nienawiść. Dlaczego? Zastanawiałam się nad słowami, które powiedziała jedna z naszych przyjaciółek - półkrwi Afrykanka - kiedy opowiedzieliśmy jej o napaści.

- Chociaż jestem pół Afrykanką, pół Europejką, ja także boję się tłumu. Dobrze wiem, jak szybko tłum wpada w masową histerię, i staram się trzymać z daleka, kiedy coś się dzieje. Wiem, jak łatwo sama mogę wpaść w tarapaty i stać się obiektem agresji. Wyobraź sobie, jedziesz sobie spokojnie ulicą i nagle przewraca się rowerzysta. Nawet jeśli jesteś sto metrów dalej, wciskaj gaz do dechy i uciekaj. Tłum może nagle stwierdzić, że to twoja wina i to ty spowodowałaś wypadek. Nie pytaj, nie zatrzymuj się, nie okazuj współczucia - po prostu uciekaj.

To były ostre słowa, ale może warto je zapamiętać.

W końcu zwlokłam się z łóżka. Wybieraliśmy się z Bertilem do Kisumu, żeby przekazać nasze dokumenty imigracyjne Olivierowi, który miał je zawieźć do Nairobi. Wiza pobytowa kończyła się nam za jakiś tydzień, więc musieliśmy natychmiast ją przedłużyć.

Młodzi zostali w domu, aby wypocząć. Nabierali sił po durzę brzuszny. Ciągle jeszcze brali lekarstwa i byli pod opieką lekarza. Narzekali, że muszą pić okropny słonawy płyn, żeby zapobiec odwodnieniu.

Nawet jeśli nie był to poważny atak, to duru brzuszego można było uniknąć. Podstępny staruch od wodociągów sprzedał naszą wodę, za którą mu zapłaciliśmy, jakiemuś nadzianemu Afrykaninowi, który wybudował się w pobliżu. Nie mieliśmy wody przez ponad tydzień w czasie ostatniej fali największych upałów. W rezultacie musieliśmy myć naczynia w brudnej wodzie. Przekłeta korupcja.

Przed wyjazdem do Kisumu wydałam w kuchni polecenie, aby całą zastawę stołową jeszcze raz wymyło, tym razem w przegotowanej wodzie. Powiedziałam Mathiasowi, że postaramy się kupić w Kisumu filtry do wody. Od tej pory będziemy ich używać do wody pitnej. Oczywiście najpierw, tak jak zawsze, przegotujemy ją. Ponadto w niedzielę zorganizujemy obowiązkowe zebranie na temat higieny, które poprowadzi Nelson. Będziemy surowo tępić każde naruszenie zasad.

Kiedy przyjechał tata, zasiedliśmy razem z nim, próbując znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie odnośnie dostawy wody oraz wymyślić najskuteczniejszą metodę gotowania wody do celów spożywczych. Nasi pracownicy ewidentnie nas oszukiwali i wcale nie przegotowywali wody w garach na kuchennych palnikach.

Czwartego lutego obchodziliśmy po raz trzeci urodziny Bertila w Kenii. Lata miały niewiarygodnie szybko. Mathias i Gunseli przygotowali wspaniałe urodzinowe przyjęcie. Ustawili stół na placu obok grilla i rozwiesili girlandy. Zrobili także przezabawne nakrycie głowy dla bohatera naszej imprezy oraz wręczyli mu w prezencie żywą kurę, co wywołało salwy śmiechu wśród zaproszonych gości. Fred wykonał dla Bertila rzeźbiony breloczek do kluczy, a ja podarowałam mu butelkę sherry i słodycze.

To było naprawdę wspaniałe przyjęcie. Krwiste steki z grilla z masłem ziołowym i pieczone banany, a do tego sałata i wyborne bordeaux.

Co robiliśmy w poprzednim roku na urodziny Bertila? Usilnie próbowałam sobie przypomnieć. Nagle olśniło mnie.

- Wiecie, że Per Erik był tu dokładnie rok temu? Właśnie razem z nim obchodziliśmy urodziny Bertila. Jedliśmy wtedy lunch na werandzie.

- Będzie zabawnie, jak tu się znowu pojawi. Myślę, że powinien przylecieć pod koniec marca - powiedział Mathias, najmłodszy syn Per Erika.

W ciągu kilku następnych miesięcy spodziewaliśmy się wizyt naszych krewnych. Wkrótce miał przylecieć tata, a zaraz po nim, w marcu, Christian, nasz najstarszy syn, ze swoją dziewczyną Kicki.

O ile dobrze rozumiałam, zostaną na krótko, ale i tak bardzo się cieszyłam z ich przyjazdu. Do tej pory jeszcze u nas nie byli.

- Przypuścmy, że w tym samym czasie przyjadą do hotelu goście... Gdzie my się wszyscy pomieścimy? - spytała Gunseli.

-To żaden kłopot. My możemy spać na podłodze w jadalni albo przed kominkiem, ale mój teść będzie spał w wygodnym łóżku w naszej sypialni. Nie pozwolimy mu koczować na ziemi - oświadczył Bertil.

Naszą wspaniałą urodzinową ucztę zakończyliśmy kawą i likierem podanymi na werandzie. Panował potworny upał i duchota. Nawet na zacienionej werandzie powietrze tak drgało, że trudno było wytrzymać na zewnątrz.

Niestety, popełniliśmy głupstwo, malując blaszany dach czerwoną farbą. Ten kolor bardzo się nagrzewa. Zresztą farba z dachu już oblażyła, więc w porze deszczowej musieliśmy kłaść siatkę na rynny po to, żeby potem nie łowić w zbiornikach z wodą płatów czerwonej farby. Takjak nam mówiono, powinniśmy poczekać jeszcze rok, zanim pomalujemy ponownie i, prawdę mówiąc, będziemy musieli użyć białej farby. Teraz było już za późno, żeby coś naprawiać.

Był jeden sposób na obniżenie temperatury na werandzie: musieliśmy zostawić wolną przestrzeń między sufitem a dachem. Powietrze mogłoby wtedy lepiej cyrkulować, a sufit wykonany z mat z papirusu wyglądałby bardziej

przytulnie. Nasze obsypane złocistym kwieciami krzewy strączyńca wyrosły nad podziw. Teraz mogliśmy wpleść jego długie kwitnące pędy między maty z papirusu, co będzie wyglądało bardzo egzotycznie. Czemu nie wpadliśmy na to wcześniej?

Szybko zrezygnowaliśmy z pomysłu siedzenia na rozgrzanej werandzie; zeszliliśmy na dół na fotele rozstawione na trawniku w cieniu domu, i tam spędziliśmy przyjemnie resztę popołudnia. Kiedy po zachodzie słońca i po kolacji ochłodziło się, wróciliśmy na werandę posłuchać muzyki. Było miło i przytulnie. Widok z drugiej strony doliny na dwudziestometrową werandę rozświetloną płomieniami lamp naftowych musiał być piękny.

Przy piosenkach Barbry Streisand razem z Bertilem interpretowaliśmy kształty drzew rosnących na wzgórzu po drugiej stronie, opisując wszystkie szczegóły. Było to nasze ulubione zajęcie. Bawiliśmy się tak przez wiele wieczorów. Kiedy przeprowadziliśmy się do naszej afrykańskiej wioski, sporą powierzchnię po drugiej stronie doliny porastał prawdziwy las tropikalny. Teraz ten obszar bardzo się skurczył. Nikt się nie przejmował tym, że wycinanie drzew jest nielegalne, a zatem ich zarys ciągle się zmieniał. Spędziliśmy kilka przemiłych godzin, śmiejąc się i żartując pod rozgwieżdżonym niebem Afryki, wyobrażając sobie smoki, księżniczki, zamki, baletnice, i im podobne.

Rozdział 60.

Kameleon.

Właśnie odkurzałam regały na książki w sali klubowej, kiedy nagle usłyszałam straszliwy wrzask dobiegający z dołu posiadłości. Rzuciłam ścierkę i wypadłam na werandę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Linda i Veronica darty się jak opętane i zakrywały rękami usta. Były śmiertelnie przerażone. Początkowo pomyślałam, że ukąsił je wąż. W tym samym momencie nasi shamba boys dobiegli do dziewczyn. Oni co prawda nie krzyczeli, ale wyglądali na równie wystraszonych.

- Czy wąż kogoś ukąsił? Co się stało? - spytałam.

- Nie - odpowiedział Fred - ale dziewczyny przechodziły przez furtkę do chatek gościnnych i zobaczyły nagle, jak to... - umilkł i pokazał coś ze zgrozą - ... siedzi sobie tutaj.

Wybuchłam gromkim śmiechem, bo pokazał mi małego słodkiego kameleona. Często siadywaliśmy na werandzie i przez lornetkę obserwowaliśmy kameleony przemykające się wśród zarośli lub siedzące na drucie telefonicznym. Były takie piękne, mieniły się kolorami.

- Szczerze mówiąc, one są zupełnie niegroźne. Patrzcie tylko, jaki jest piękny.

- Nie - powiedzieli niemal jednogłośnie. - My, Kenijczycy, nie lubimy kameleonów. Są paskudne, przynoszą pecha i pewnie gryzą.

Wtedy sobie przypomniałam, co przeczytałam na temat kameleonów w Kenii w książce *The Flame Trees of Thika* Elspeth Huxley. Autorka opowiadała, jak z rodzicami - białymi kolonizatorami - przybyła do Kenii w 1913 roku. Uwielbiam tę książkę, czytałam ją kilka razy. Doskonale pamiętam fragment o kenijskich kameleonach, dlatego postanowiłam opowiedzieć tę historię naszemu owładniętemu przerażeniem i zgrozą personelowi.

Opowiedziawszy im o samej autorce i książce, zaczęłam:

- Pewnego dnia dziewczynka postanowiła podarować swojemu przyjacielowi - chyba miał na imię Njombo - kameleona. Odskoczył z przerażeniem i z odrazą na twarzy.

- To złe zwierzęta - wydusił z siebie, nie wyjaśniając jednak dlaczego.

Dziewczynka nie mogła zrozumieć jego niechęci, kameleony są raczej pożytecznymi stworzeniami, nie gryzą, nie są jadowite, nie parzą.

Jeden z jej znajomych znalazł wytłumaczenie tej niezwykłej niechęci w pewnym zbiorze kenijskich legend i bajek, a Elspeth opowiedziała ją Njombo. Ponoć kameleony miały przekazać jakąś wiadomość od boga pierwszemu człowiekowi, który żył gdzieś w pobliżu Mount Kenia. Bóg polecił kameleonowi, żeby, nie ociągając się, powtórzył jego słowa człowiekowi jeszcze przed zachodem księżyca.

Kameleon wyruszył w drogę, ale szybko zapomniał o celu swojej misji. Oczywiście, po drodze przeżył wiele przygód, ale pewnego dnia przypomniał sobie boskie postanie, ruszył dalej i w końcu dotarł do celu. Niestety, księżyc już dawno zniknął i minął czas na przekazanie wiadomości.

Bóg rozgniewał się na kameleona i krzyknął:

- Popatrz, co zrobiłeś! Miałeś przekazać człowiekowi, że księżyc przestanie znikać co miesiąc, a ludzie nigdy nie będą umierać. Teraz jest już za późno. Od tej pory księżyc będzie znikał co miesiąc, a mężczyźni i kobiety będą umierali, kiedy nadejdzie kres ich życia. I to wszystko przez ciebie, bo nie dotrzymałeś danego mi słowa.

Od tamtej pory biedny kameleon, który miał ocalić ludzkość i sprawę zawałił, stał się najbardziej zniechęconym stworzeniem.

Ta historia trochę rozbawiła Veronicę i Lindę, ale dalej twierdziły, że boją się biednego małego kameleona tak samo jak dawniej. Ja z kolei uznałam, że to zdumiewające, jak bardzo książki odzwierciedlają rzeczywistości. Kenijczycy naprawdę boją się kameleonów.

Ogłosiliśmy, że potrzebujemy nowego kucharza i służącego. W rezultacie zjawił się u nas tłum kandydatów. Jedni nam odpowiadali, inni nie. Tym razem

byliśmy bardzo ostrożni. Nigdy więcej Maxa. Staraliśmy się dokładnie sprawdzić referencje, a kandydat musiał przejść próbę.

Gdybyśmy wierzyli we wszystkie listy polecające, w zachodniej Kenii znaleźlibyśmy samych mistrzów patelni, którzy pracowali w hotelach na wybrzeżu, w ambasadach i tego typu miejscach. Jednak my już nie wierzyliśmy w pisma, jakie ludzie nam pokazywali. Wielokrotnie w naszym biurze w Kakamega zwracano się do nas z prośbą o napisanie listu polecającego. Proszono nas, żebyśmy na firmowym papierze z nagłówkiem hotelu wydrukowali treść na komputerze. Oczywiście były to fałszywe referencje. I oczywiście nigdy się na to nie godziliśmy.

W każdym razie pewnego dnia zjawił się u nas kolejny kandydat starający się o posadę kucharza. Młody, przystojny, dobrze ułożony, choć trochę nieśmiały chłopak o imieniu Bernard. Od razu go polubiliśmy. Pracował jako pomocnik w kuchni w Rainforest Retreat, ale szukał jakiegoś lepszego zajęcia. Personel kuchenny w Rainforest Retreat nie mógł się go nachwalić. Bernard był spokojny, pracowity, lojalny i pojętny. Oczywiście, menedżerowie oświadczyli nam, że chcieliby go zatrzymać. Po tych wszystkich pochwałach postanowiliśmy zatrudnić go na próbę.

Bernard okazał się bardzo pomocny w kuchni. Początkowo pracowałam razem z nim, przyrządzając dania, ale wkrótce zaczęłam przydzielać mu coraz trudniejsze i bardziej odpowiedzialne zadania, którym umiał sprostać. Lubił wyzwania i swoją pracę. Zwierzył mi się kiedyś, że jego ojciec też był kucharzem i on od dawna marzy, żeby nim zostać.

Właśnie rozmawiałam w kuchni z Bernardem, kiedy usłyszałam klakson samochodu przy bramie. Poleciłam Fredowi, żeby jak najszybciej otworzył. Domyślałam się, kto przyjechał. Włożyłam buty i wbiegłam szybko na górę. Bertil już zaparkował nasze suzuki, wyskoczył z samochodu i pobiegł na drugą stronę, żeby pomóc wysiąść mojemu ojcu. Nareszcie przyjechał.

Poprzedniego dnia wieczorem Bertil wyjechał po niego do Kisumu. Zatrzymali się na noc w hotelu Imperial, żeby tata odpoczął trochę przed podróżą w głąb kraju. Wyglądał zdrowo, ale był trochę zmęczony, miał w końcu już 81 lat.

Rzeczywiście to nie lada wyczyn przylecieć w tym wieku samemu ze Szwecji. Ojciec zamierzał spędzić u nas sześć tygodni, a ja się czułam bardzo szczęśliwa.

Gorąco go wyściskałam. Jego wnuk Mathias z dziewczyną także wybiegli na powitanie. Zaprowadziłam tatę na werandę, gdzie od razu podaliśmy mu butelkę zimnej wody mineralnej.

Zrobiło mi się smutno na widok taty siedzącego samotnie na werandzie. Ostatni raz był tu razem z mamą.

Rozdział 61.

Znikający ambasador.

Po śmierci mamy tata postanowił wznieść naszą rodzinną siedzibę w górnej części działki: dom, w którym on i moi bracia z rodzinami będą mogli spędzać część roku. Z Davidem zrobił plany wspaniałego budynku z cegły. Planował nawet, żeby na dachu werandy urządzić miejsca do spania, by można było stamtąd podziwiać wspaniałe widoki. Trochę powątpiewałam w cały ten pomysł - tata był już stary. Czy na pewno wystarczy mu siła na przeprowadzenie tak dużego projektu? Czy w tym wieku wytrzyma długie godziny w skwarze? Ale póki on był zadowolony, ja też nie miałam nic przeciwko temu, żeby robił to, co sprawia mu przyjemność. Bardzo przeżył stratę mamy, a zatem dobrze, że się w coś zaangażował.

Zobaczyłam, jak tata idzie na górną część naszej posiadłości, gdzie się umówił z Danielem w miejscu przeznaczonym pod budowę. Dźwigał mnóstwo szkieł i był pełen zapału. Właśnie miały się rozpocząć roboty poprzedzające wylanie fundamentów. Daniel z tatą dyskutowali całymi godzinami. Kiedy ojciec usłyszał, że trudno będzie wynająć ciężarówkę, która przewiezie piasek potrzebny do wyrobienia cementu, opowiedział Danielowi o karawanie osłów, jaką zorganizował podczas wznoszenia szkoły w Etiopii. Daniel zaczął działać i wkrótce zobaczyliśmy karawanę osłów, objuczonych worami z piaskiem, która szła z wioski nad rzeką Yala, skąd czerpano piasek. Wyglądała naprawdę malowniczo.

Tego samego dnia tata poprosił mnie, żebym poszła z nim na plac budowy. Chciał mi opowiedzieć o swoich planach oraz o tym, jak sobie wyobraża przyszły dom. Pokazywał mi wszystko i opowiadał z ogromnym ożywieniem, aż wreszcie stwierdził:

- Tu właśnie zbudujemy przytulny, wygodny dom - niezbyt duży, ale przestronny. Wyobraź sobie widok na dolinę. Co o tym myślisz, Gunilla?

-Wspaniale brzmi, tato. I widok jest naprawdę fantastyczny. Ale...

Przerwał mi Fred; powiedział, że jakiś człowiek idzie od bramy. Nie chce podać nazwiska ani zdradzić, w jakiej sprawie przychodzi. Mężczyzna szedł w

kierunku miejsca, w którym staliśmy w wysokiej trawie. Fred był wyraźnie poirytowany. Nasz gość był wysoki, szczupły, elegancko ubrany i wyglądał na takiego, co lubi rządzić. Kazał Fredowi, odejść i spytał nas, kim jesteśmy. Potem przedstawił się jako szef wydziału śledczego departamentu Kakamega.

- Zrobiono u pani w hotelu rezerwację na jutro - stwierdził. - Właśnie w tej sprawie przychodzę.

- Nie, nie mamy żadnych rezerwacji - odpowiedziałam.

- Ależ tak, na pewno ktoś robił rezerwację. Wiem, co mówię - upierał się.

- Gunilla, nasza linia telefoniczna jest popsuta - wtrącił się ojciec. - Jeśli ktoś chciał zrobić rezerwację, pewnie się nie dodzwonił.

- Nie rozumiem o co panu chodzi? Co pana obchodzą nasi goście? - pytałam zaskoczona.

- Muszę skontrolować przed przyjazdem gości, czy jest tu bezpiecznie.

- To należy do obowiązków mojej córki i zięcia, a oni naprawdę o to dbają - stwierdził ojciec, tak samo poirytowany jak ja.

Nadszedł Bertil i szybko powiedzieliśmy mu, o co chodzi. Nic z tego nie rozumieliśmy. Do tej pory nikt nie zrobił u nas żadnej rezerwacji. Co w takim razie na naszym terenie robił szef wydziału śledczego?

- Kto taki miał u nas niby zarezerwować miejsce? - spytał Bertil.

- Nie mogę tego powiedzieć. To tajemnica - odparł nasz gość. - Ale kwestia bezpieczeństwa jest niezwykle istotna. Musicie państwo wpuścić moich ludzi, żeby przeszukali hotel. I proszę pamiętać, że należy stosować się do ich poleceń.

- Przecież to śmieszne - sprzeciwiłam się. - Nic nie wiemy na temat tej rezerwacji. Nie mamy pojęcia, ile osób przyjedzie i na jak długo. Tak się nie robi. Nawet nasz telefon nie działa.

- Sprawna linia telefoniczna jest najważniejsza.

Mężczyzna wyjął radiotelefon i wydał jakieś polecenia w suahili. Potem powiedział do Bertila:

- Kiedy będzie pan w mieście na zakupach, proszę podjechać do spółki telekomunikacyjnej i się dowiedzieć, kiedy załatwią sprawę.

- Czy hotel może być otwarty tak jak zwykle, czy raczej wszystkie miejsca powinniśmy trzymać dla tajemniczych gości? - wypytywał Bertil lekko ironicznym tonem.

- Nie mogę panu odpowiedzieć na to pytanie. Dowie się pan tego w odpowiednim czasie - wycedził mężczyzna. - Niestety, ja się śpieszę. Moi ludzie przyjadą trochę później, sprawdzą ogrodzenie oraz inne konieczne zabezpieczenia. Wkrótce dotrze tu Margie, jedna z naszych funkcjonariuszek. Ona będzie waszym oficerem łącznikowym - i proszę pamiętać - to sprawa poufna. Nie wolno wam nikomu opowiadać o wizycie.

Mężczyzna pożegnał się, wsiadł do auta i zniknął za bramą. Gapiliśmy się niepewnie na siebie, a potem poszliśmy do głównego pawilonu, gdzie zasiedliśmy na werandzie ze szklankami piwa. Rozmaite myśli chodziły nam po głowie. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Nasi pracownicy byli strasznie zaintrygowani i starali się podejść bliżej w nadziei, że powiemy im, o co chodzi. Przydzieliliśmy im jakieś zajęcia w ogrodzie i wyjaśniliśmy powód tajemniczej wizyty, mówiąc, że policja chciała zobaczyć, jak wygląda Riverdale Gardens oraz sprawdzić wprowadzone tu zasady bezpieczeństwa, abyśmy, zarówno my, jak i goście, czuli się bezpiecznie.

Poprosiliśmy Mathiasa i Gunseli, żeby do nas dołączyli, ponieważ musimy odbyć rodzinną naradę. Jak mamy zachować się w tej tak dziwnej sytuacji?

Wszystkie te procedury „tajne łamane przez poufne” oznaczały, że ma się zatrzymać u nas prawdziwy VIP. Któż może być aż tak ważny, że nic nam nie powiedziano na jego temat? Czyżby sam prezydent? Nie, raczej nie. Ale - rozważaliśmy dalej - ostatnio był u nas na kolacji ambasador jednego z krajów skandynawskich i często zatrzymywali się tu członkowie korpusu dyplomatycznego. A zatem może chodzi o jakiegoś dyplomatę?

Naszą ożywioną dyskusję przerwała wspomniana Margie ubrana w policyjny mundur. Chciała omówić z nami jeszcze pewne kwestie i sprawdzić chaty dla gości. Poleciała, abyśmy odprawili naszych pracowników tak, żeby nie podsłuchiwali, a potem przeszliśmy do chatek.

- Czy to tu będą spali goście? - spytała, wchodząc do jednego z domków.

- Prawdopodobnie, ale najpierw musimy wiedzieć, o ilu gościach mówimy i czy będą zajmować pokoje jednoczy dwuosobowe. Czy jest pani absolutnie pewna, że ci tajemniczy goście do nas przyjeżdżają? I czy naprawdę wiedzą, że toalety i prysznice znajdują się w oddzielnym budynku?

- Tak, goście mają przyjechać do was - odparła Margie. - Cztery osoby zatrzymają się na jedną noc w Riverdale Gardens.

- Tylko proszę powiedzieć, czy będą zajmować pojedyncze czy dwuosobowe pokoje? - próbował ustalić Bertil. - A może niektórzy z nich będą woleli mieć całą chatę dla siebie?

- Co zamówią do jedzenia? - indagował ojciec. - I co będą pili?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Margie. - Powinniście przygotować coś wyjątkowego. Najlepiej kupić wytrawne wino i najlepsze gatunki wódki. Z pewnością jeden z domków zajmie najważniejsza osoba z całej grupy. Jestem pewna, że wszystko się uda.

- A jednak - nie ustępowałam - musimy wiedzieć, kto ma przyjechać. Przecież to śmieszne. Oświadczacie, że mają do nas przybyć ważni goście, ale nikt nie chce powiedzieć, kto.

- Dobrze, jutro wam powiem. Tylko bardzo proszę, żeby o tym nie rozpowiadać nawet własnemu personelowi. Teraz proszę pojechać do miasta i dowiedzieć się w spółce telekomunikacyjnej, kiedy naprawią waszą linię. Jutro będę z powrotem. Do zobaczenia.

Margie odjechała, a ja z Bertilem zaczęłam się szykować do wyprawy do Kakamega. Przed wyjazdem musieliśmy zrobić listę niezbędnych zakupów. Co podać gościom?

Postanowiliśmy przygotować takie same menu jak dla hinduskiej rodziny Singh na Boże Narodzenie: na przystawkę pucharki z ogonami krewetek w zalewie czosnkowej przybranymi sałatą oraz kuleczkami papai, na szczęście jeszcze mieliśmy zapas w zamrażarce w wiosce; danie główne to coquavin, a na deser sorbet z owoców passiflory oraz ciasto rabarbarowe z sosem waniliowym. Do tego nasze

najlepsze wina, aperitify przed obiadem i miniaturowe zakąski. Oczywiście potem kawa i brandy.

Po ustaleniu menu wskoczyliśmy do samochodu i ruszyliśmy do miasta. Skręciliśmy na asfaltową drogę do Kakamega, zobaczyliśmy pędzącą w stronę naszej wioski furgonetkę spółki telekomunikacyjnej. Być może była to reakcja na polecenie wydane przez naszego ważnego inspektora śledczego. Na próżno próbowaliśmy od trzech tygodni zmusić telekomunikację w Kakamega do naprawienia naszej linii, a teraz patrzcie państwo, jaka szybka reakcja!

W Kakamega zatrzymaliśmy się najpierw przed siedzibą spółki telekomunikacyjnej. Recepcjonista w dziale obsługi klienta spytał, jaki numer jest uszkodzony.

- 21651. Oficer policji zdaje się dzwonił w naszej sprawie i podał niezbędne szczegóły - odpowiedział Bertil.

- 21651 - wrzasnął mężczyzna do kobiety za ladą. - Co się z tym dzieje? Proszę odpowiedzieć, to pilne. Telefon miał już dzisiaj działać.

Kobieta wyglądała na zdenerwowaną i zaczęła przerzucać papiery.

- Właśnie tam pojechali, powinna zaraz być naprawiona - rzuciła w końcu niedbale.

- Powinna?! Przecież to miało być załatwione natychmiast. W przeciwnym razie będziemy mieli kłopoty.

Spojrzelśmy na siebie z Bertilem zupełnie zaskoczeni. Co takiego, do diabła, powiedział oficer w cywilnych ciuchach pracownikom spółki telekomunikacyjnej?

Wieczorem, przy świetle lampy naftowej, zrobiliśmy dokładne plany na następny dzień. Kto przemebluje chatki gościnne? W jednej z nich zamierzaliśmy zmienić sypialnię w salon. Kto nazrywa i wstawi kwiaty do wazonów? O której powinniśmy zacząć przygotowywać potrawy? Musimy jeszcze pamiętać, aby wydać polecenie pracownikom, żeby nie przyjmowali innych gości, jeśli się pojawią. Wykonywaliśmy jedną rzecz po drugiej. Wszystko musiało wypaść idealnie. W końcu byliśmy gotowi zmierzyć się z tym, co miał nam przynieść kolejny dzień.

Przed spaniem odprężyliśmy się jeszcze przy drinku. Potem znowu zaczęliśmy rozważać, któż to taki ma się u nas pojawić. W końcu wszyscy zgodziliśmy się, że pewnie chodzi o ambasadora Stanów Zjednoczonych.

Szybko upłynął kolejny ranek. Wszyscy uwijaliśmy się jak w ukropie, sprzątaaliśmy, szykowaliśmy chatki, a potrawy wyszły nam naprawdę wyborne. Brakowało tylko gości, ale byliśmy absolutnie pewni, że zaraz się pojawią.

Margie przyjechała wczesnym popołudniem. Przechadzała się ze swoimi ludźmi po całym terenie, sprawdzała: chaty i główny budynek. Polecili nam zamknąć psy na klucz, aby nie przeszkadzały gościom. Nasi pracownicy krążyli z posępnymi minami, ponieważ dalej nie mieli pojęcia, co się dzieje. Powiedzieliśmy im zatem, że to sławni Szwedzi mają odbyć ważne spotkanie w Riverdale i pewnie zostaną na noc. Pod żadnym pozorem nie wolno im przeszkadzać. I to cała tajemnica.

Zbliżała się pora przyjazdu naszych gości. Margie stała z radiotelefonem w dłoni w otwartych drzwiach błękitnej chatki teraz zwanej „Chatką ambasadora”. W końcu wyjawiała nam pewnym głosem, że ma do nas przyjechać pani ambasador Stanów Zjednoczonych. Staliśmy odświętnie wystrojzeni, czekając na polecenia. Margie wciąż gorączkowo rozmawiała przez radiotelefon. Przekazywała nam stopniowo informacje na temat nadjeżdżającej kawalkady samochodów pani ambasador.

Wreszcie krzyknęła podekscytowana:

- Właśnie skręcili w waszą drogę. Za parę minut powinni tu być. Lećcie do bramy, będziecie mogli powitać panią ambasador, kiedy się pojawi.

Pobiegliśmy pełni nadziei, choć jednocześnie wykończeni całym dniem gorączkowych przygotowań. Nasi sąsiedzi zaczęli ewidentnie coś podejrzewać, bo na wioskowym placu gromadził się tłum. Czas włókł się niemiłosiernie. Czekaliśmy niemal w nieskończoność i nic się nie działo. Dlaczego nasi goście nie przyjeżdżają? Dziwne. Co się stało?

Po pół godzinie zeszlśmy do Margie. Była tak samo zdziwiona jak my. Nagłe przerwano połączenie radiowe i na swoje wezwania nie miała żadnych odpowiedzi. Wszczęto alarm. Czyżby był napad na panią ambasador? Czy mogło się

to zdarzyć na naszej lokalnej drodze? Właściwie dysponowaliśmy tylko jedną wiarygodną informacją - że samochody skręciły w naszą drogę. Na trasie nie było innych rozwidleń.

Odczekawszy jakieś trzydzieści minut Margie postanowiła wyruszyć razem z podwładnymi na poszukiwanie pani ambasador. Bertil także chciał im pomóc, ale przekonano go, aby został w domu. Margie obiecała skontaktować się z nami, tak abyśmy byli gotowi na przyjazd pani ambasador.

Jedzenie mogło w każdej chwili się popsuć. Nawet nie mieliśmy śmiałości sięgnąć po drinka. Musieliśmy być trzeźwi, kiedy przyjadą goście. Krążyliśmy wokół jak potępieńcy.

Godziny mijały, a tu żadnej wiadomości. W końcu, po czterech godzinach, Margie przekazała nam przez telefon krótką wiadomość.

- Pani ambasador jest w Rainforest Retreat. Tam właśnie mieli zarezerwowane domki. Oczywiście, musiało zajść jakieś nieporozumienie. W Rainforest Retreat także są bungalowy, ono też leży w rejonie lasów tropikalnych i jego nazwa zaczyna się na R - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Co za szaleństwo!

Wieczór upłynął nam w posępnej atmosferze. Minęła godzina, zanim ktoś z nas się odezwał. Zupełnie uszła z nas para. Ledwie skubnęliśmy jedzenie. Snuliśmy się samotnie, burząc coś do siebie. Najpierw zamartwialiśmy się, co się mogło stać pani ambasador, a potem to idiotyczne wyjaśnienie.

W końcu Bertil wziął się w garść i zawołał nas wszystkich na werandę. Zasiadliśmy razem w świetle lamp naftowych i nalaliśmy sobie po szklance drogiej whisky. Zaczęliśmy rozmawiać.

Czy tę całą aferę wymyślono tylko dla zmyłki? Czy byliśmy tylko kamuflażem? Czy służby bezpieczeństwa wykorzystały nas i Riverdale dla zamydlenia oczu? - Nie wiedzieliśmy co o tym sądzić. Byliśmy zdenerwowani, rozczarowani i wściekli. Ta cała farsa drogo nas kosztowała.

Ojciec nas uspokoił i przekonał, żebyśmy najpierw dowiedzieli się, czy policja zwróci nam koszty. Jeśli odmówią, musimy natychmiast skontaktować się z ambasadą USA.

Głodni i posepni poszliśmy spać. Najpierw jednak wysłaliśmy naszych pracowników do domu, wyjaśniając im pobieżnie, że oczekiwani goście nie mogli przyjechać z powodu innych zobowiązań.

Następnego dnia Bertil zadzwonił do służb bezpieczeństwa i porozmawiał z trzecim zastępcą szefa. Szef nie chciał z nami rozmawiać. Bertil spytał, czy możemy wysłać rachunek policji, ale otrzymał szorstką odpowiedź, że policja w żaden sposób nie jest w to zaangażowana. Poradzono mu, aby skontaktował się z ambasadą USA. Wysłaliśmy dyplomatyczne, a zarazem kateryczne pismo do ambasady amerykańskiej w Nairobi. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy chłodną odpowiedź. Wyparli się wszystkiego. Zasugerowali, żebyśmy zgłosili się z prośbą o zwrot kosztów na policję.

Pewnie nigdy się nie dowiemy czy to ambasada, czy policja wystrychnęła nas na dudka.

Rozdział 62.

Linie lotnicze bez obsługi.

Petrus szedł do mnie, wymachując listem.

- To do ciebie i Bertila - oświadczył. - Dał mi go policjant, który mieszka w Wulushi. Powiedział, że to ważne. Ale chce za to pieniądze - przynajmniej 500 szylingów.

- Czy mogę zobaczyć? - spytałam i zabrałam list.

Otworzyłam i przeczytałam, że my - Bertil, Gunseli i ja - jesteśmy wezwani do stawienia się w sądzie w Kakamega, gdzie mamy świadczyć przeciwko Peterowi, mężczyźnie, który rzucił we mnie kamieniem. Jeśli nie stawimy się w sądzie, zostaniemy ukarani grzywną.

- Nie ma mowy! Nie zamierzamy zapłacić policji ani szylinga -krzyknął Bertil, przeczytawszy pismo. - To jego obowiązek dostarczyć nam wezwanie. Chyba się ze mną zgadzasz, Petrusie?

-Jasne, oczywiście, że to jego obowiązek. Z tym się zgadzam, ale proszę pamiętać, że ten policjant to niedobry człowiek i jeśli poczuje się urażony, może wam bardzo zaszkodzić - stwierdził Petrus.

Gdy zdarzało się coś takiego - kiedy widziałam, jak wielu skorumpowanych ludzi jest wokół nas - zaczynało we mnie wrzeć. Przyspieszył mi puls, serce waliło, czułam, że mam podwyższone ciśnienie. Muszę się uspokoić, stwierdziłam. W przeciwnym razie coś mi się stanie. Czy można dostać udaru ze złości i frustracji? Na szczęście opanowałam się i usiadłam na werandzie, gdzie Christian i Kicki jedli śniadanie. Ponieważ Christian wyglądał na chorego, spytałam, czy dobrze spał.

- Nie za dobrze - odpowiedział. - Przez ten profilaktyczny lek na malarię, który biorę, zdaje się Lariam, mam koszmary.

- O tak, krzyczał w nocy jak opętany - dodała Kicki. - A najgorsze, że wcale nie jesteśmy pewni, czy to lekarstwo naprawdę jest skuteczne. Słyszeliśmy, że Mathias zachorował, chociaż brał lariam.

- Tak, rzeczywiście miał malarię - odpowiedziałam. - Większość leków profilaktycznych jest mało skuteczna. Możesz zapomnieć o zwykłej chlorochinie. Niektórym Lariam pomaga, ale na wielu w ogóle nie działa. Tak czy siak, mam nadzieję, że oboje jesteście na tyle rozsądni, aby spać w nocy pod moskitierą.

Christian spytał, czy odmiana malarii w naszym rejonie należy do najniebezpieczniejszych. Trochę się uspokoił, kiedy powiedziałam, że nie. Oczywiście, zagrożenie malarią było tu poważne, ale nie da się go porównać z ostrą górską malarią występującą koło Kisii. W tamtym rejonie zdarzały się straszliwe epidemie i wielu chorych umierało.

Christian i Kicki spędzili u nas już parę dni i wkrótce wybierali się na wakacje na Maderę. Po raz pierwszy odwiedził nas mój starszy syn i czułam się naprawdę szczęśliwa. Nie byli jednak przyzwyczajeni tak jak mój młodszy syn, David, do egzotycznych miejsc, chociaż już kiedyś spędzili urlop w Kenii. Z pewnością wielką odmianą dla nich było spotkanie z nami w tak nietypowych okolicznościach. Między spokojną egzystencją w szeregowym domku w Taby a życiem w Afryce była wielka różnica - zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę nasz wiek.

Wieczorem Christian i ja uciekliśmy od reszty po to, żeby szczerze porozmawiać tak jak matka z synem. Uważałam, że nie powinno się ukrywać uczuć, szczególnie wobec własnych dorosłych dzieci. Kiedy mi obiecał, że nie powtórzy moich zwierzeń dziadkowi, opowiedziałam mu, jak okropnie się czułam po napaści oraz o wszystkich przykrościach, oszustwach i kradzieżach, jakie nas tu spotkały. Przyznałam, że jestem w strasznym stanie psychicznym i że bardzo mnie męczą ataki malarii. Kazał mi przyrzec, że jeśli pewnego dnia zrezygnujemy z naszych planów, bo już dłużej nie wytrzymamy, nie będziemy sobie robić wyrzutów, że to był błąd.

Kilka dni później nadszedł czas, żeby odwieźć Christiana i Kicki do Kisumu, skąd mieli polecieć na Maderę. Przyjechaliśmy ze sporym wyprzedzeniem, więc postanowiliśmy pojechać do hotelu Imperial i tam poczekać. Mieli zabrać się specjalnym autobusem z hotelu na lotnisko, tak żebyśmy nie musieli wracać do

Riverdale po ciemku. Autobus na lotnisko zawsze zatrzymywał się przed Imperialem, skąd kierowca zabierał pasażerów czekających w hotelowym lobby.

Czas mijał, a autobus na lotnisko nie przyjeżdżał. Co chwila wypytywaliśmy, kiedy będzie, ale nikt nic nie wiedział. Nagle ktoś powiedział, że już dawno temu odjechał, bo zmieniono rozkład lotów i samolot odlatuje o godzinę wcześniej. Christian z Kicki wskoczyli do taksówki i pojechali na lotnisko. My także wyruszyliśmy samochodem, żeby się upewnić, czy nasze dzieci zdążą na samolot. Na lotnisku jednak nigdzie nie zauważyliśmy Christiana i Kicki. Samolot ciągle jeszcze stał na pasie startowym. W końcu pojawili się, okropnie spóźnieni. Taksówkarz pomylił drogę. Ostatnio zmieniono trasę dojazdową do lotniska; myśmy już o tym wiedzieli, ale oczywiście taksówkarz nie miał pojęcia. Popędziliśmy do odprawy i próbowaliśmy przekonać personel, żeby wpuścił Christiana i Kicki na pokład. Na próżno. Chociaż samolot jeszcze nie wystartował, powiedziano nam, że jest już za późno. Nie pomogły żadne prośby ani perswazje.

Samolot wystartował, a nasza czwórka została na płycie lotniska z przekleństwami na ustach. Przechrzcziliśmy kenijskie linie lotnicze z „Dumy Afryki” na „Obciach Afryki”. Nie zawiadomiono Christiana i Kicki o zmianach w rozkładzie lotu, chociaż potwierdzali datę i dzień. Pewnie jakaś miejscowa szychy była na pokładzie i zażyczyła sobie wylądować w Eldoret. Zmieniono więc trasę i przesunięto godzinę odlotu.

Po długich awanturach z personelem lotniska, w końcu uzyskaliśmy obietnicę załatwienia pokoju hotelowego w Kisumu. Niestety, wszystkie hotele były zajęte. W mieście odbywało się huczne hinduskie wesele. Wreszcie po kilku godzinach wydzwaniania znaleźli hotel na jedną noc. Odjechaliśmy, a Christian obiecał zadzwonić następnego dnia z Nairobi i zawiadomić nas, czy udało im się załatwić miejsca w samolocie na Maderę, gdzie czekali na nich znajomi.

Następnego dnia prowadziliśmy ożywione rozmowy telefoniczne. Ku naszemu zdumieniu dowiedzieliśmy się, że personel na lotnisku w Nairobi wcale nie zamierzał im pomóc. Dopiero po dwudziestoczterogodzinnym oczekiwaniu na międzynarodowym lotnisku imienia Jomo Kenyatty Christianowi i Kicki udało się

zabukować lot. Ich wakacje z przyjaciółmi na Maderze skróciły się w rezultacie do kilku dni.

- Bertil, coś złego się dzieje z Veronicą. Zawsze była taka uśmiechnięta, a teraz chodzi skwaszona i to już od kilku tygodni.

Postanowiliśmy wypytać ją, co się dzieje. Kiedy usiedliśmy razem, żeby pogadać, zachowywała się beczelnie i arogancko. Oświadczyła, że chce dostać referencje na piśmie i kilka dni wolnego. Ewidentnie coś ukrywała i była nam bardzo niechętna. Nie potrafiliśmy jednak nakłonić jej do zwierzeń.

Dostała referencje i natychmiast poinformowała nas, że nie będzie już dłużej pracować. Powiedziała to w beczelny sposób. Nic z tego nie rozumieliśmy. Czy zrobiliśmy jej coś złego? Naprawdę byliśmy z niej bardzo zadowoleni i myśleliśmy, że ona czuje się u nas szczęśliwa.

Tak czy siak, dowiedzieliśmy się, że Veronica pojechała do Nairobi i tam dostała pracę. Po paru dniach Bertil odkrył, że wraz z Veronicą przepadł także mój laptop. Nie wiedziała, że zupełnie zniszczyła go cieknąca bateria i nie da się go naprawić. Kolejna osoba, którą lubiliśmy i której ufaliśmy, nas zawiodła. Czy to się nigdy nie skończy?

Budowa mojego ojca posuwała się naprzód zgodnie z planem, jaki przygotował na czas swojego pobytu u nas. Resztę prac odłożył do następnego przyjazdu.

Ponieważ tata nie potrafił siedzieć beczynnie dłużej niż kilka minut, postanowił przez ostatnie dwa tygodnie pobytu w Kenii zająć się innym projektem. Chciał zreperować większą drogę, kilometrowy odcinek między Wushiye a naszą działką, łącznie z kawałkiem przypominającym wykop, okropnym w porze deszczowej, gdzie łatwo można było ześliznąć się i wylądować wprost na plantacji herbaty.

Mój tata był przecież doświadczonym inżynierem budowy dróg i kanałów, znał się zatem na robocie. Poza tym, przez wiele lat pracował w tropikach - długo mieszkał w Sri Lance i w Etiopii. Przy pomocy Daniela wkrótce zebrał grupę

młodych i silnych robotników. Kiedy zgromadził piasek i duże kamienie, zaczęły się roboty drogowe.

To był naprawdę wspaniały widok: mój osiemdziesięcioletni ojciec w szortach i kapeluszu godzinami stał na drodze z laską w ręku. Pokazywał coś końcem laski i wtedy cała ekipa rzucała się, by wykonywać jego polecenia. Wyjaśnił im, że miejscowa metoda wypełniania gruntem dziur w drodze się nie sprawdza. Deszcze wypłukują ziemię. Lepiej pozbyć się sypkiej ziemi z drogi, wykopać tak duże dziury, aby zmieściły się w nich kamienie, potem dołożyć gałęzie i konary, a na wierzchu uzupełnić betonem i piaskiem. Ten rodzaj wypełnienia wyrw przetrwa nawet największe ulewy.

To było nowatorskie rozwiązanie technologiczne na tym terenie i ludzie gromadzili się tłumnie, żeby gapić się na starego Mzungu i jego dziwne metody naprawy dróg. Niebezpieczny rów na drodze zniknął w ciągu paru dni; powstał normalny przejezdny odcinek. Doprawdy ciekawe, że droga pozostała równa przez całą porę deszczową.

Rozdział 63.

Zamykamy hotel.

- No, nie. To nie ma sensu. Dosyć. Zamykamy hotel - krzyknął Bertil, na próżno odkręcając kurki, żeby sprawdzić, czy płynie woda.

- Ci ludzie naprawdę nie chcą naszej pomocy.

Napełnianie zbiorników było nie tylko kłopotliwe, ale i kosztowne. Ludzie, których zazwyczaj wynajmowaliśmy do noszenia wody ze źródła, pracowali teraz na polach kukurydzy. I oczywiście wtedy, kiedy mieliśmy problemy z wodą, zawsze pojawiali się goście, którzy na nasze nieszczęście uwielbiali brać prysznic o dziwnych porach.

Jak zawsze Kabeji - złośliwy staruch od wody z naszej wioski - sprawiał kłopoty. Bertil rozmawiał już z człowiekiem z Ministerstwa Wodociągów, który obiecał załatwić sprawę. A jednak w dalszym ciągu nie mieliśmy wody. Być może on także siedział w kieszeni u wodza naszej wioski? Wódz Weaky nie chciał, żeby nam się udało, mimo że nasi goście przynosili dochody mieszkańcom wioski. Bertil wielokrotnie stawiał się na zebraniach Komitetu do spraw Wody w Wushiye, ale z reguły wszystkie odwoływano, ponieważ był jedyną obecną osobą.

Nie mogliśmy z czystym sumieniem przyjmować turystów. Narażaliśmy ich na kłopoty ze zdrowiem, ponieważ trudno było utrzymać higienę. Dostarczanie świeżej wody było niezbędnym warunkiem prowadzenia hotelu, zwłaszcza przy kapryśnej pogodzie. W kwietniu spodziewaliśmy się ulewnych deszczy, natomiast, ku naszemu zdziwieniu, słońce niemiłosiernie prażyło przez cały dzień.

Jak na ironię, „Informator Turystyczny”, wydawany przez największą kenijską agencję turystyczną, w kwietniowym numerze zamieścił pochwalny artykuł o nas. Po przeczytaniu publikacji mnóstwo osób zaczęło wydzwaniać, żeby zarezerwować pokój i telefon urywał się niemal przez całą dobę. Tymczasem my nie mogliśmy przyjmować rezerwacji, odpowiadaliśmy zatem: Zamknięty od szóstego kwietnia z powodu miejscowej korupcji. To było okropne.

Na początku kwietnia mój tata wrócił do Szwecji. Bez niego zrobiło się pusto. Mimo podeszłego wieku przyczynił się w wielu sprawach do poprawy naszej egzystencji. Lokalna droga była teraz przejezdna, chociaż zamierzaliśmy jeszcze naprawić niektóre jej odcinki. Wybudował także zewnętrzną zadaszoną kuchnię z zeliwnym piecykiem, dwiema fajerkami i piekarnikiem. Grzaliśmy tam wodę do zmywania, gotowaliśmy jedzenie dla psów, szykowaliśmy posiłki dla personelu i tym podobne. Piecyk również działał idealnie i bardzo nam to pomogło, ponieważ ten w kuchni się popsuł.

Tata był bardzo hojny. Kiedy dowiedział się, że nasza zamrażarka we wsi jest pełna żywności, a nagle odcięto prąd - o czym właściciel nawet nie raczył nas powiadomić - kupił ogromną lodówkę na gaz, którą mogliśmy ustawić na werandzie. To był naprawdę wspaniały prezent. Niestety, mieliśmy mały kłopot. Temperatura w lodówce nigdy nie spadała poniżej pięciu stopni Celsjusza - dla nas to było zdecydowanie za mało - dlatego zadzwoniliśmy do domu towarowego w Kisumu i poprosiliśmy, żeby ją zabrali. Zgodzili się nawet zwrócić pieniądze - z wyjątkiem drobnej opłaty za transport. To był naprawdę miły gest z ich strony.

Pierwsze wstępne przesłuchania w sądzie w sprawie napaści były nieprzyjemne. Na widok szaleńca, który rzucił we mnie kamieniem, znowu odżyły wspomnienia. Sala sądowa pełna była gapiów, a mnie w tłumie zrobiło się słabo. Jeden ze znajomych dziennikarzy usiadł z nami na sali rozpraw. Poradził, żebyśmy podczas przesłuchania świadków nie wspominali, że policja nie chciała przyjechać na miejsce zdarzenia. W przeciwnym razie funkcjonariusze będą się mścić, a to może okazać się dla nas niebezpieczne. Jedyne Bertil został poproszony o złożenie zeznań; musiał szczegółowo opisać przebieg wydarzeń oraz rozpoznać winnego.

Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, sędzia oświadczył, że następną rozprawa odbędzie się pod koniec kwietnia. W tym czasie Peter zostanie poddany badaniom, które przeprowadzi lekarz sądowy.

W drodze powrotnej do domu spotkaliśmy na szosie naszego znajomego Glenna z kopalni w Sotanini. Zatrzymaliśmy się i spytaliśmy, dokąd idzie. Zaproponowaliśmy także, że go podrzucimy.

- Wezwano mnie na policję, na przesłuchanie - odparł. - Mniej więcej przed miesiącem znalazłem zwłoki dziecka w rzece Yala i zawiadomiłem o tym fakcie policję. Teraz co chwila wzywają mnie na przesłuchania. Ile razy przychodzę - bo nie stać mnie na matatu - oświadczają, że przesłuchanie zostało przesunięte i muszę przyjść kiedy indziej. A jeśli się nie stawię, ukarzą mnie grzywną.

- O mój Boże! - krzyknęłam. - Nie wiesz, czyje to było dziecko?

- Nie mam pojęcia. O ile wiem, nie pochodziło z mojej wioski. Po prostu znalazłem.

Zawieźliśmy Glenna na komisariat. W drodze do domu rozmawialiśmy o dziwnych zwyczajach policji. Świadców i ofiary traktowano jak przestępców. Byliśmy w stanie zrozumieć ludzi, którzy odmawiali złożenia zeznań, bądź doniesienia o przestępstwie, bo wiązały się z tym same kłopoty.

Rozdział 64.

Grzmoty i błyskawice.

Znowu zostaliśmy sami z Bertilem. Bez naszych gości było pusto i nudno. Per Erik, który wpadł do nas na krótko w czasie jednej ze swoich podróży, wyjechał razem z Mathiasem i Gunseli. Na razie nie spodziewaliśmy się wizyt rodziny. Hotel nie przyjmował gości. Wszystko doprowadzało mnie do rozpaczki. Chciałam tylko naciągnąć koc na głowę, zasnąć i obudzić się zupełnie gdzie indziej.

Natomiast pogoda wyraźnie robiła sobie z nas kpiny. Zamknęliśmy hotel z powodu braku wody spowodowanego lokalną korupcją.

Teraz, gdy nasz ośrodek nie działał, zaczęła się prawdziwa pora deszczowa; codziennie grzmiało i błyskało, a woda aż się wylewała ze zbiorników.

Gwałtowne burze bywały groźne. Pewnego wieczoru Bertil stał z kablem telefonicznym, który zamierzał podłączyć do modemu. Usłyszeliśmy potężny grzmot i zobaczyliśmy błyski wydobywające się ze wskazującego palca jego lewej dłoni. Piorun uderzył w przewód wentylacyjny kotła do podgrzewania wody umieszczonego około pięćdziesięciu metrów od głównego budynku i właśnie stamtąd ładunek przeskoczył na rękę Bertila. Nie wiem, które z nas było bardziej przerażone: Bertil z palcami rzucającymi iskry czyja ogłuszona niewiadomego pochodzenia hukiem. Dzięki Bogu, że Bertil wyszedł z tego bez szwanku, choć był z pewnością śmiertelnie przestraszony.

Zgony od uderzenia pioruna były dość częste w naszej okolicy. Burze bywały gwałtowne, towarzyszyły im ulewne deszcze utrudniające widoczność nawet na odległość metra. Porywisty wiatr, bezustannie zmieniający kierunek, wrywał drzewa, a ostatnio także porwał naszą antenę telewizyjną. Potężne grzmoty brzmiały tak, jakby wielkolud ciskał ogromne kłody drewna na nasz dach. Błyskawice rozdierały niebo. Burze powodowały ogromne zniszczenia, drogi zaś wyglądały, jakby płynęły nimi strugi błota; stawały się zupełnie nieprzejezdne.

Pewnego wieczoru przeżyliśmy gradobicie. Grad był wielkości piłeczek golfowych. Kiedy burza ucichła, sterty gradu zalegały na werandzie. Wypuściliśmy

psy, które, choć na początku zaskoczone i nieufne, po chwili zabrały się do lizania i pochłaniania lodowych kuleczek. Smakowały im.

Spojrzałam w niebo. Gromadziły się na nim czarne chmury. Może znowu będziemy mieli burzę z piorunami. Chociaż nie, raczej wyglądało to na fałszywy alarm.

Założyłam klapki, na wszelki wypadek złapałam parasolkę i pomaszero wałam do ubikacji.

Spędziwszy chwilę w mojej świątyni dumania, nagle poczułam zapach ozonu i ostry metaliczny smak w ustach.

Dziwne, przecież nie słyszałam żadnego grzmotu. Ledwie to pomyślałam, zobaczyłam jak moje włosy podnoszą się w górę. Sterczały tak, jakby ktoś trzymał mi nad głową naelektryzowany grzebień. Trzaski zmieniły się w gwałtowny grzmot. W tym samym czasie, niebiesko-biały błysk, tak oślepiający, że zamazały się wszystkie szczegóły, rozświetlił ziemię przed toaletą. Co to było? Trwało zaledwie ułamek sekundy, a potem zatrzęsa się i ziemia, i sanitariaty. Z nieba posypały się błyskawice. W ich świetle wszystko wyglądało nierealnie. To było wręcz niewiarygodne, siedziałam w samym środku gradu błyskawic. Potem nastąpiła głucha cisza. Odetchnęłam głęboko. Czy to już koniec? Nic podobnego. Błyski i wyładowania trwały nadal, choć już nie tak blisko jak ten pierwszy piorun, który pewnie uderzył w przewód wentylacyjny kotła do podgrzewania wody.

Wszędzie widziałam błyskawice rozdzierające niebo i słyszałam ogłuszające grzmoty. Tak, teraz sobie przypominałam. To właśnie w nasze sanitariaty trafił piorun, wtedy, gdy Bertil miał porażoną dłoń. O mój Boże, Bertil pewnie nawet nie wiedział, że tu jestem.

Teraz na dodatek zaczęło lać. Co mam robić? Bałam się wyjść na dwór z rozłożoną parasolką. Metalowy szpic mógł ściągnąć wyładowania atmosferyczne.

Przycupnęłam na podłodze tuż obok drzwi, spodziewając się najgorszego. Czy woda ściąga błyskawice, czy wręcz odwrotnie? Nie pamiętałam. Nie wiedziałam, która jest godzina, ale miałam wrażenie, że siedzę tam całą wieczność.

Denerwowałam się już na samą myśl o przewodzie wentylacyjnym kotła. Pomyśleć tylko, że piorun znowu w niego uderzy, choć ludzie powiadają, że nigdy nie trafia w to samo miejsce. Poczułam, że wpadam w coraz większą histerię. Po twarzy spływały mi łzy, miałam wrażenie, że siedzę tu wieki. Dlaczego nikt mnie nie szuka?

Wydawało mi się, że deszcz leje całą wieczność. W końcu ulewa uspokoiła się i wyładowania atmosferyczne również stawały się coraz rzadsze. Czy dam radę przebiec do głównego budynku? Zdaje się, że nikt nie słyszał moich krzyków o pomoc.

Niespodziewanie nabrałam odwagi. Zostawiłam parasolkę w toalecie i pobiegłam w górę do domu po śliskiej, błotnistej łące. Przestraszona błyskawicą potknęłam się i upadłam; byłam przemoknięta do suchej nitki, ubłocona i cała we łzach, kiedy w końcu otworzyłam drzwi do recepcji. W środku siedział Bertil i spokojnie czytał.

Na mój widok stwierdził:

- Och, jesteś? A już się zastanawiałem, gdzie się podziewasz.

Miałam ochotę go zabić. Spojrzałam na zegar i stwierdziłam, że spędziłam ponad godzinę w toalecie, a on nawet tego nie zauważył.

Rozdział 65.

Dosyć tego!.

Musieliśmy sprzedać Riverdale i wydostać się z Kenii. Marzenie mojego taty o stworzeniu miejsca rodzinnych spotkań pozostanie zatem tylko nieczyszczalnym snem. Wspięłam się, żeby przypatrzeć się budowli, którą rozpoczął. Bolało mnie serce. Pewnie w głębi duszy on sam rozumiał, w jakim piekle żyliśmy w tym cudownym raju, jaki stworzyliśmy z pola kukurydzy.

Teraz najważniejszą sprawą było znalezienie kupca. Wypytywaliśmy ludzi wokoło, czy mogą nam coś podpowiedzieć, toteż szybko rozeszła się wieść, że chcemy sprzedać hotel. Pewnego dnia odwiedziliśmy naszych hinduskich znajomych, żeby się dowiedzieć, co należy załatwić przy ewentualnej sprzedaży. Zanim zasiedliśmy, aby omówić tę kwestię, oprowadzili nas po swojej przypominającej pałac rezydencji. Boże, co za luksus. Naprawdę czuliśmy się jak ubodzy krewni. Niestety, nasi znajomi dali nam tylko kilka ogólnikowych rad. Przyrzekli jednak mieć uszy otwarte na wszelkie wiadomości o chętnych do nabycia ziemi w tej okolicy.

Kiedy zsiłszy do samochodu, wyskoczyły na nas dwa głośno ujadające owczarki alzackie. Nasz znajomy ostrzegł nas, że są to groźne psy obronne. Ja jednak bezwiednie wyciągnęłam do nich rękę, żeby mogły mnie obwąchać. Już po chwili dwie ogromne bestie łąsiły się bezwstydnie i nadstawiały, żebym je podrapała. Miłość od pierwszego wejrzenia. Znajomi wyglądali na podenerwowanych i jestem pewna, że po naszym odjeździe zarówno psy, jak i ich treser, dostali potężną reprimendę. Nie chodziło im przecież o to, żeby groźne, pilnujące rezydencji psy łąsiły się do obcych i pokazywały, że są łagodne jak baranki.

Czekając na ewentualnego kupca, staraliśmy się jakoś zarobić. Deborah, która teraz pomagała Bertilowi prowadzić naszą komputerową firmę w mieście, całkiem nieźle sobie radziła sama i miała nawet jakieś dochody.

Żeby się nie załamać, staraliśmy się spędzać jak najwięcej czasu razem. Psy były dla nas znakomitym towarzystwem. Meriy znowu miała cieczkę i musieliśmy trzymać ją z dala od Rufusa i Mussea. Spała w małej sypialni, a psy razem z nami w dużym pokoju. Ten system całkiem dobrze funkcjonował, znacznie lepiej niż poprzednim razem, kiedy jedno z nas musiało sypiać z Meriy w drugiej chatce, gdy miała ruję.

Pewnego wieczora, kiedy weszłam do sypialni, żeby pogłaskać Merry na dobranoc, zobaczyłam, że jej nie ma. Którędy się wymknęła? I gdzie się podziała? Na dodatek ma cieczkę. Dziwne, prawdopodobne i nieprawdopodobne scenariusze przychodziły mi do głowy. Pobiegłam do salonu i krzyknęłam:

- Bertil, Merry uciekła!

Bertil pobiegł werandą do mieszkania i wpadł do sypialni. W pośpiechu zamknęłam za sobą drzwi. Pewnie w jego głowie kłębiły się takie same myśli jak w mojej. Nagle usłyszałam gromki wybuch śmiechu. A po chwili:

- Niezłe gniazdko sobie uwiłaś, malutka.

Serce znowu mi zabiło, pobiegłam do pokoju. Rozejrzałam się. Nasz skarb leżał na półce; widać było tylko czubek nosa. Merry wskoczyła na jedną z półek i przytuliła się do ściany. Miała więc sporo miejsca, które wymościła sobie naszymi Tshirtami i bielizną. Naprawdę stworzyła sobie komfortowe gniazdeczko. Musiała spać sama w pokoju, więc nawet nie mieliśmy serca jej stamtąd wygonić.

Całkiem niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, spadła na nas wiadomość, że wyrzucają nas z biura w Kakamega.

Firma komputerowa, od której wynajmowaliśmy pomieszczenie, zachowała się wobec nas nieuczciwie i nielojalnie. Najpierw wykorzystali nazwisko Bertila, aby zdobyć renomę jako szkoła komputerowa i organizator kursów naprawy i serwisowania sprzętu. Teraz Bertil nie był już im potrzebny.

To my wprowadziliśmy i rozpowszechniliśmy w Kakamega usługi emailowe i Internet. Teraz właściciele naszego lokalu zawarli lepszą umowę z inną firmą internetową, która oferowała usługi emailowe za 5% naszej ceny. Stać ich było na ceny dumpingowe, ponieważ lwia część ich dochodów pochodziła z kursów. A to

oznaczało, że skończą się nasze zyski, chyba że otworzymy firmę w innym miejscu. Mogliśmy zatem zamknąć biuro i sprzedać sprzęt.

Nadeszły okropne czasy. Tak ciężko walczyliśmy, niemal do utraty sił. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy do miasta i wracaliśmy głodni po zachodzie słońca. Wykańczały nas wysokie koszty paliwa i nieustanne stresy - musieliśmy przecież przygotować komputery do sprzedaży. Mieliśmy do dyspozycji parę metrów kwadratowych na terenie należącym do naszego przyjaciela Johna, przewieźliśmy więc tam cały nasz dobytek, a Deborah i John pomagali nam w sprzedaży.

Frustrowało nas, kiedy otrzymywaliśmy pięćset szylingów za unikatowy sprzęt najnowszej generacji, za który sami zapłaciliśmy pięćdziesiąt tysięcy. Sprzedaliśmy jedyny skaner, jedyną bindownicę i jedyną kolorową drukarkę w Kakamega. Zainteresowanie było ogromne. Nasi klienci mówili:

- Powinniście sprzedać stary sprzęt za grosze, bo zawsze możecie kupić nowy.

Staraliśmy się tego po sobie nie okazywać, ale, prawdę mówiąc, dzienne dochody ledwie starczały na paliwo do Kakamega i z powrotem.

Czasami musieliśmy instalować nasze komputery u nabywców. Jeden z klientów, który kupił u nas sprzęt, miał problemy z drukarką. Kiedy przyjechaliśmy do niego, Bertil odkrył, że spalił się transformator. Sprawdził napięcie i zdenerwował się, kiedy stwierdził, że było za wysokie. Powinno wynosić 230 volt, a oscyloowało między 245 a 275. Spółka Energetyczna nie dbała o to, chyba że dostała łapówkę.

Wszechobecna korupcja wzmocniła jeszcze nasze przeświadczenie, że pobyt w Kenii nie ma sensu. Ponieważ mieszkaliśmy w buszu jako osoby prywatne, bez żadnego wsparcia poważnej organizacji, ludzie z naszego otoczenia wykorzystywali nas bez umiaru. Niezależnie od tego, jak wiele dobrego robiliśmy, jak bardzo pomagaliśmy wiosce i tubylcom, ciągle doznawaliśmy zawodu, nigdy nie okazano nam wdzięczność. Nie chcieliśmy zmienić się w twarde, bezdusznych

ludzi, a zatem postanowiliśmy się wycofać, zanim wszystkie nasze ideały legną w gruzach.

Ostatnia kradzież, jaką odkryliśmy, była dość nietypowa, przynajmniej dla nas. W poprzednim roku kupiliśmy kilkaset roślin na żywopłot i obsadziliśmy nimi jedną stronę naszej posiadłości. Nabyliśmy także od tego samego sprzedawcy około pięćdziesięciu sadzonek eukaliptusów do wkopania na niższej części obok strumienia.

Pewnego dnia przyszły do nas dzieci z sadzonkami roślin na żywopłot oraz drzew eukaliptusowych i zaproponowały nam kupno. Według Freda rośliny, które posadziliśmy w poprzednim roku, nie przyjęły się, ponieważ wkopaliśmy je podczas pory suchej. Kupiliśmy więc roślinki od dzieci i wsadziliśmy do gruntu. Tego samego dnia, trochę później, przyszedł Petrus. Opowiedziałam mu o naszych nowych roślinach.

- Szkoda, że mnie tu nie było - powiedział z westchnieniem. - Nie pozwoliłbym wam ich kupić.

Chcieliśmy wiedzieć dlaczego. Wyjaśnił, że to właśnie ojciec dzieciaków sprzedał nam krzaczki i drzewka. Potem wysłał swoje latorośle, żeby wykopały roślinki i wtedy ponownie nam je sprzedał. Kupiliśmy zatem dwa razy te same rośliny. Podałam się.

Zapał wieczór, usadowiliśmy się wygodnie na werandzie. U naszych stóp rozłożyły się dwa skarby, umyte i ostro pachnące specjalnym szamponem przeciwpchelnym. Trzeci, najmłodszy, wdrapał się oczywiście na kolana swojego pana.

Spędziliśmy cały dzień w domu, ponieważ w Kakamega przez weekend nie było światła. Niedziela dobiegała już końca. Po całym pełnym deszczu i grzmotów dniu wreszcie, tuż przed zmierzchem, wyjrzało na chwilę słońce.

Pogoda wcale nam nie przeszkadzała, ponieważ przez cały dzień sortowaliśmy papiery i opróżnialiśmy kartony. Około dziesięciu pudeł trafiło teraz do kontenera i wszystkie były już załadowane; dokumenty i osprzęt komputera, które

leżały przedtem na wszystkich stolikach w restauracji i w naszym mieszkaniu, zniknęły.

Uporządkowaliśmy także nasz domek, pomalowaliśmy ściany, powiesiliśmy obrazy i wstawiliśmy kwiaty do wazonów. Musieliśmy mieć prawdziwy dom, zwłaszcza teraz, gdy nadeszły ciężkie czasy. Jakość życia była szczególnie ważna podczas reszty naszego pobytu w Kenii, niezależnie od tego, ile on jeszcze potrwa. Dzień powrotu nadejdzie, kiedy, jeśli nie sprzedamy Riverdale, poddamy się i przestaniemy szukać kupców. Spakujemy kilka walizek, parę kartonów i po prostu wyjedziemy. Na razie jakoś to znosiliśmy, chociaż praca była wyczerpująca zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Bolały nas stawy, karki i plecy i byliśmy naprawdę wykończeni. Od ponad dwóch lat nie mieliśmy ani jednego dnia urlopu.

Tak, to pewne, trzeba sprzedać Riverdale Gardens, ale mieliśmy przeczucie, że wcale nie będzie to takie proste. Byliśmy pewni, że długo będziemy szukać dobrego kupca. Szacunkowa wartość Riverdale Gardens wynosiła wiele milionów szylingów i raczej trudno będzie znaleźć kogoś, kto, ot tak po prostu, wyciągnie gotówkę z kieszeni. Tak czy siak, przygotowaliśmy pięknie oprawione prospekty z nowo zeskanowanymi zdjęciami i rozesłaliśmy już pierwsze egzemplarze do potencjalnych kupców.

Było nam naprawdę ciężko. Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby tu zostać, wytrzymaliśmy znacznie więcej, niż znieśliiby inni, ale teraz dotarliśmy już do kresu wytrzymałości.

Kolejnym ciosem były kłopoty z wyrobieniem nowych wiz. Otrzymaliśmy je ponad dwa lata temu jak najbardziej legalną i oficjalną drogą. Teraz, kiedy chcieliśmy je przedłużyć, urzędnicy z Nairobi stwierdzili, że takie zezwolenia nigdy nie zostały wydane i oskarżyli nas o nielegalny pobyt w Kenii. Grozili nam wydaleniem z kraju na podstawie nakazu w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nie mogliśmy do tego dopuścić. Cały nasz dobytek znajdował się w Riverdale Gardens. Musieliśmy natychmiast znaleźć kogoś, kto nam pomoże w tym bałaganie. Nasz sympatyczny znajomy z Belgii, Oliyier, podjął się tego i nowe wizy

były gotowe od ręki. Choć kosztowały nas krocie, od razu poczuliśmy się lepiej, bo w przeciwnym razie już od następnego dnia przebywalibyśmy w Kenii nielegalnie.

Oczywiście nie chcieliśmy przeżywać tych samych kłopotów co dwa lata. Jeśli nawet oficjalne zaświadczenia z Biura Imigracyjnego nie były dowodem, że jesteśmy w Kenii legalnie, co jeszcze można było zrobić? Teraz mieliśmy wszystko co trzeba, choć z drugiej strony, stosowne dokumenty już dawno istniały.

Kiedy siedzieliśmy na werandzie, trudno było unikać rozmów na temat wszechobecnej korupcji.

- Gunilla, czy wiesz, że tylko siedem razy w kwietniu mieliśmy wodę? Zgodnie z moimi obliczeniami woda płynęła z kranów zaledwie przez dwanaście godzin, a raczej, prawdę mówiąc, ciurkała.

- Przecież to chore - stwierdziłam. - Komitet do spraw Wodociągów założono w początkach lutego i jeszcze nie odbyło się żadne zebranie.

- A ten okropny facet, nasz wódz, nie może zrozumieć, że to przede wszystkim jego wioska straci, kiedy my wyjedziemy. Czy on naprawdę nie widzi, że pomagamy wielu mieszkańcom?

- Bo to on jest najbardziej skorumpowany ze wszystkich. Dba wyłącznie o swoje interesy. Patrzy tylko, jakie profity może czerpać, nic przy tym nie robiąc. Nigdy nie zapomnę, jak powiedział: Jako wódz muszę przede wszystkim dbać o interesy własne i mojej rodziny.

Bertil wyglądał na wściekłego, kiedy przypominałam mu słowa, które wódz skierował do nas na samym początku naszego pobytu w wiosce, gdy nalegał, żebyśmy zatrudnili jego krewnych, zanim poszukamy kogoś innego. Oczywiście odmówiliśmy mu wtedy.

Rozdział 66.

Nocne koszmary.

Lato w Szwecji. Pięknie brzmi. Marzyłam, aby znowu zobaczyć świetliste wieczory, poczuć powietrze przepojone zapachem czeremchy i bzu. W Kenii zmrok zapada mniej więcej o tej samej porze (wpół do siódmej) codziennie przez okrągły rok i w ciągu kilku minut świat ogarnia głęboka ciemność.

Gdyby w porze deszczowej drogi nie stawały się nieprzejezdne, to prawdę mówiąc, wolałabym ją od pory suchej. Powietrze było świeższe, roślinność rostała jak szalona, a na dodatek przynajmniej przez parę godzin dziennie świeciło słońce.

Oczywiście, łatwo mówić. Nie musiałam, tak jak mieszkańcy wioski, żyć w przeciekających chatach. Nawet jeśli przez szpary w podłodze wpadał chłód, było przynajmniej sucho. Mogliśmy otulić się kocami i zasiąść przed kominkiem z kubkiem gorącej herbaty.

Brrr.... Tego dnia było naprawdę zimno, zaledwie dziewiętnaście stopni. Dlatego włożyłam sweter, długie spodnie i napaliłam w kominku. Potem, zanim poszłam do łóżka i przykryłam się kołdrą, układałam jeszcze przez chwilę pasjansa.

W nocy śniła mi się Szwecja. We śnie nie pozwolono mi wrócić do mojej ojczyzny, w Kenii zatrzymały mnie grzyby, osaczając strzępkami grzybni. Miałam nadzieję, że ten sen nie będzie proroczy.

We wsi często odbywały się pogrzeby. Nieodłączną ich częścią były: konduktory pogrzebowe, walenie w bębny, muzyka dyskotekowa i obowiązkowy szloch. Ściągały ludzi z bliska i z daleka. Życie w okolicy zamierało. Z powodu pogrzebu ludzie nie pojawiali się w pracy przez długie tygodnie. Kiedy wreszcie przychodzili, umierał kolejny krewniak lub znajomy, a zatem znowu znikali, aby wziąć udział w pochówku.

Pogrzeby były rozrywką w codzienności. Żałobnicy brali udział w stypie, jedli, pili, tańczyli i oczywiście kopali grób. Pamiętam jak nasza poprzednia pomoc domowa Milly śpiewała z radością, ponieważ szła na pogrzeb. Fakt, że umarła mała

dziewczynka, nie był wystarczającym powodem do żałoby. „Tak czy siak by tańczyła”.

Przypomniałam sobie także sąsiada z za płotu, który kilka miesięcy temu umarł jakieś piętnaście metrów od naszej sypialni. Tuż przed śmiercią wynieśli go z chaty, aby skonał na świeżym powietrzu. Gdyby zmarł w środku, jeden z jego braci musiałby ją spalić. Ponieważ mężczyzna skonał na zewnątrz, zgodnie z miejscowym zwyczajem chata miała pozostać pusta przez rok. Dopiero potem ktoś mógł w niej zamieszkać.

Ten pogrzeb trwał dwa tygodnie. Wynajęto dwa zestawy grające i mnóstwo akumulatorów samochodowych. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez całe dwa tygodnie słyszeliśmy muzykę dyskotekową, łoskot, hałas i gwar; z trudem mogliśmy zmrużyć oko przez ten czas.

Pewnej nocy po drugiej stronie doliny dostrzegłam płonąca chatę. To jeden ze znajomych, który dostarczał nam drewno do kominka, podłożył ogień pod banda swojego brata, który zmarł w środku, a zatem musieli zniszczyć chatę.

Nasi pracownicy z Riverdale także często chorowali. Shamba boy Willy zapadł na malarię. Słyszeliśmy nawet, że miał sto pierścieni we krwi - jest to metoda mierzenia stopnia zaawansowania malarii. Kiedy chorowaliśmy z Bertilem i czuliśmy się naprawdę fatalnie, mieliśmy zaledwie osiem. Teraz Willygo leczono dużymi dawkami chininy, ale pojawiły się przy tym skutki uboczne: miał problemy ze słuchem i równowagą.

Po powrocie z chaty Willy'ego, któremu zanieśliśmy jedzenie oraz napoje witaminizowane, wręczyliśmy naszym pracownikom moskitiery i kazaliśmy im rozwieszać je na noc. Zawiadomiliśmy ich także, że zamierzamy zawieźć wszystkich do Szpitala Misyjnego, by szczegółowo zbadano stan ich zdrowia.

Atmosfera w naszym najbliższym sąsiedztwie stała się okropna. Ktoś podburzał ludzi przeciwko nam. Plotki głosiły, że to sam wódz był inspiratorem, ale nie byliśmy pewni, czy to prawda. Od razu zauważyliśmy różnicę w zachowaniu mieszkańców, zwłaszcza gdy wyjeżdżaliśmy samochodem. Dwa razy dzieci zaatakowały mnie przez otwarte boczne okno. Pewnego dnia obrzuciły nas

kamieniami, kiedy przejeżdżaliśmy obok, a raz chłopiec próbował zniszczyć samochód uderzając go panga. Trudno było nie płakać w takich okolicznościach. Pomagały nam jedynie środki uspokajające i tabletki nasenne.

Odetchnęliśmy z ulgą dopiero, kiedy ludzie ze spółki telekomunikacyjnej naprawili naszą linię. Tym razem telefon nie działał przez dwanaście dni. Powodem awarii był kabel spalony przez piorun.

Usłyszeliśmy wtedy dochodzący z recepcji huk i zobaczyliśmy iskrę przeskakującą między gniazdkiem telefonicznym a transformatorem baterii słonecznej. Transformator padł od razu i trzeba go było zawieźć do Kisumu, żeby wycenić koszty naprawy. Ponieważ nowy kosztował ponad 50 tysięcy szylingów, byliśmy naprawdę przygnębieni.

I jak zwykle pracownicy spółki telekomunikacyjnej tłumaczyli się na różne sposoby, żeby odwlec przyjazd. Najczęściej nie mieli paliwa, nie mieli kierowcy, w ogóle nie mieli samochodu i, oczywiście, musieli uczestniczyć w pogrzebie.

Rozdział 67.

Śmierć Bernarda.

Bernard, kucharz i pomocnik w domu, a oprócz tego bardzo sympatyczny młody człowiek, na naszą wyraźną prośbę zaczął spędzać z nami wieczory w głównym budynku. Ponieważ uwielbiał rysować, daliśmy mu wszystkie potrzebne materiały plastyczne i teraz szkicował coś z zapalem przy stole w jadalni. Chyba lubił nasze towarzystwo, zresztą z wzajemnością. Na pewno czuł się mniej samotny, niż kiedy przesiadywał w części przeznaczony dla personelu. Opowiadał nam o swojej dziewczynie w Wulushi i o ich małym synku. Czasem też wychodził, żeby się z nimi zobaczyć.

Martwiliśmy się o zdrowie Bernarda. Bardzo kaszłał i wyznał, że czuje się słabo. A jednak kiedy chcieliśmy zawieźć go do szpitala na kontrolę, zdecydowanie odmówił. Wobec tego zaproponowaliśmy, żeby wziął przynajmniej kilka dni urlopu i odpoczął.

Wreszcie po wielu prośbach zgodził się pojechać z nami do przychodni Nelsona w Wulushi. Nelson postawił diagnozę, że Bernard przechodzi ciężką postać malarii. Natychmiast zaordynowano mu serię zastrzyków z chininy i zalecono odpoczynek. Nelson powiedział, że Bernardowi przepisano w sumie osiem zastrzyków, które miał dostawać przez dwa kolejne dni, i poprosił Bertila, żeby przywoził go do przychodni. Po powrocie do Riverdale Gardens natychmiast wpakowaliśmy Bernarda do łóżka. Był tak bardzo osłabiony, że nawet nie miał siły protestować. Poprosiliśmy Lindę, żeby o niego dbała i przypilnowała, aby odżywał się prawidłowo.

Po paru dniach Linda powiedziała, że Bernard nic nie je i jest bardzo chory. Poszłam do niego; przestraszył mnie jego pogarszający się stan zdrowia. Siedział na progu pokoju i wymiotował żółcią. Usiadłam obok, objęłam go i próbowałam mu pomóc.

Bernard oświadczył, że teraz, kiedy nie musi już brać zastrzyków chininy, a tylko pastylki przez trzy kolejne dni, chce wrócić do rodziców. Przez ten czas

pragnął wypocząć w domu. Oboje z Bertilem uważaliśmy, że wygląda na ciężko chorego, natomiast on uparcie odmawiał wizyty w szpitalu. Zgodził się tylko pójść po raz ostatni do Nelsona. Chcieliśmy, żeby Nelson wyraził zgodę na pobyt Bernarda u rodziców. Mieszkali bardzo daleko, na skraju lasu tropikalnego, w trudno dostępnym terenie, więc w razie nagłej potrzeby ciężko by było zapewnić choremu pomoc lekarską.

Kiedy pomagaliśmy Bernardowi wsiąść do samochodu, zauważyliśmy, że ma zupełnie żółte białka oczu i z trudem oddycha. Byliśmy naprawdę przestraszeni i poprosiliśmy Nelsona, żeby przekonał Bernarda, aby dał się zawieźć do szpitala.

- Nie - odpowiedział Nelson. - On nie chce. Próbowałem już go do tego zmusić. Stwierdził, że się zabije, jeśli zabierzemy go do szpitala wbrew jego woli. Nie rozumiem dlaczego.

- Czy naprawdę powinniśmy mu pozwolić wrócić do domu? Oczywiście, możemy go zawieźć aż do końca drogi, ale potem będzie miał jeszcze spory odcinek do pokonania piechotą. Czy wystarczy mu siła? Wygląda na bardzo chorego.

- Jest bardzo chory, ale może wytrzyma. Leczenie chininą niewiarygodnie wyniszcza organizm, ale pewnie wkrótce dojdzie do siebie. Musi tylko brać pastylki przez trzy kolejne dni. Potem powinien wyzdrowieć. Pozwólmy mu pójść do domu.

Ponieważ Bernard był dorosły, nie mogliśmy go zatrzymać. Podwieźliśmy go zatem do końca drogi. Tam życzyliśmy mu szybkiego powrotu do zdrowia i chłopak wyruszył w głąb lasu.

Kilka dni później, wczesnym rankiem, przyjechał do nas na rowerze Petrus. Właśnie usłyszał od jednego z chłopców od boda boda, który mieszkał w lesie, że Bernard umarł poprzedniego wieczoru. Nie mogłam w to uwierzyć. Zaledwie dwa dni minęły od naszego ostatniego spotkania, a teraz on nie żyje. Taki sympatyczny, miły chłopak; miał tylko jedno marzenie: zostać takim samym dobrym kucharzem jak jego ojciec. Co prawda, nie pracował u nas długo, ale bardzo go polubiliśmy. Nie mogłam się z tym pogodzić.

Natychmiast postanowiliśmy razem z Petrusem i Lindą wyruszyć do domu Bernarda, żeby złożyć jego rodzinie kondolencje i uczestniczyć w ostatnim

pożegnaniu. Kiedy zaparkowaliśmy samochód na końcu drogi, Petrus oświadczył, że mamy do pokonania piechotą krótki odcinek.

Wędrówka wzgórzami i polami kukurydzy w palącym słońcu zabrała nam ponad godzinę. Nie czułam się za dobrze i męczący marsz raczej mi nie pomógł. Krewni i przyjaciele rodziny Bernarda powitali nas serdecznie. Jego łóżko wystawiono przed chatę i ocieniono dużymi liśćmi bananowca. Nasz ulubiony pracownik leżał spokojnie otoczony zdjęciami i kwiatami, ubrany w uniform kucharza, który podarował mu Mathias. Przywitaliśmy się ze wszystkimi żałobnikami, podeszliśmy do łoża i położyliśmy kilka nowych fotografii Bernarda w stroju kucharza.

Zgodnie z tradycją Linda złożyła kondolencje i zaniósła się płaczem. Potem wspólnie odśpiewaliśmy spokojny psalm, po którym odmówiliśmy modlitwę języku luhia.

Razem z ojcem Bernarda usiedliśmy pod drzewem. Petrus pomógł nam wyjaśnić, co się stało. Powiedział, że bardzo chcieliśmy zawieźć Bernarda do szpitala, ale on zdecydowanie odmawiał. Ojciec wspominał, że poprzedniego wieczoru Bernard wyszedł przed banda.

- Czas już odejść, żegnajcie - powiedział i umarł.

Przed powrotem do domu wręczyliśmy ojcu Bernarda pieniądze na pokrycie kosztów pogrzebu.

Wszyscy nasi pracownicy dostali wolne w Sobótkę, żeby uczestniczyć w pochówku. Ponieważ źle się czułam i nie mogłam pokonywać długich dystansów w trudno dostępnym terenie, zostałam razem z Bertilem w domu. Linda i Fred, nasi przedstawiciele na uroczystościach pogrzebowych, mieli przekazać od nas i naszych rodzin piękny wieniec oraz list pożegnalny.

Następnego dnia po południu nasi pracownicy wrócili po spędzeniu całej doby w domu rodziców Bernarda. Wykopali grób, odmówili modlitwy i pochowali chłopca. Kiedy wrócili - porządnie ubrani - razem pomodliliśmy się w pokoju Bernarda. Potem otworzyliśmy drzwi. Musiały pozostać otwarte przez trzy dni i trzy noce, żeby z pokoju przepędzić złe duchy. Następnego dnia rano cały nasz personel

przyszedł ugotować koguta, którego zjedliśmy razem, a po paru dniach pojawili się krewni Bernarda, aby odmówić modlitwę w jego pokoju. Wtedy pozwoliliśmy im, zgodnie z miejscowymi zwyczajami, zabrać całe wyposażenie pomieszczenia.

Rozdział 68.

Wypoczynek.

Aby uciec od smutku i zgryzot, wybraliśmy się na jednodniową wycieczkę do Iten. Nasz trud - wielogodzinna jazda po okropnych, wyboistych drogach - został nagrodzony z nawiązką najpiękniejszym z widoków. Przed nami, jakieś dwa tysiące metrów poniżej, rozciągały się Wielkie Rowy Afrykańskie. Imponujące niebieskie wzniesienia Skarpy Elgeyo łagodnie rysowały się na tle nieba - jakby dla kontrastu z dnem Rowów i piaszczystymi wydymami. Czuliśmy się tacy mali, kiedy siedzieliśmy w punkcie widokowym. Panorama, która rozciągała się przed i pod nami, wydawała się jak z innej planety. A do tego była niewyobraźalnie piękna.

Kiedy wróciliśmy do domu dość późnym popołudniem, Linda z szerokim uśmiechem powiedziała, że przygotowała dla nas kolację. Postawiła przed nami pachnącą potrawkę z kurczaka, ryż i sałatkę z papryki. To był miły gest z jej strony, nie prosiliśmy o przygotowanie jedzenia. W gruncie rzeczy, nawet nie spodziewaliśmy się, że będzie dla nas gotować, bo po śmierci Bernarda nikogo nie zatrudniliśmy w kuchni.

Przed kolacją postanowiliśmy zrobić sobie drinka, o którym marzyliśmy, wracając do domu. Bertil chciał przygotować Vodka Martini. Mieliśmy jeszcze resztę Kenya Cane (kenijskiego białego rumu) w butelce. Dwie miarki Kenya Cane i jedna wytrawnego martini oraz kilka oliwek i koktajl gotowy. Wznieśliśmy toast. Co to jest? Nasze drinki miały dziwny perfumowany smak. Może Bertil wlał za dużo martini? Łatwo będzie zneutralizować ten smak, dodając więcej Kenya Cane. A jednak smak był jeszcze wyraźniejszy.

Nagle sobie przypomniałam.

- Bertil, czy ty ostatnio nie robiłeś likieru w butelce Kenya Cane?-
spytałam.

Bertil próbował uratować sytuację, dodając resztę dżinu z butelki. Smak był jeszcze dziwniejszy. Koktajl smakował prawie jak cointreau - z oliwkami - ale kolacja była wspaniała.

- Bertil, źle się czuję. Cały czas wali mi serce i jest mi słabo.

Zmartwiony Bertil bacznie mi się przyjrzał. Ja też się niepokoiłam. Zastanawialiśmy się przez chwilę i w końcu postanowiliśmy pojechać do Kisumu do szpitala Agi Khana. Znaliśmy tam wspaniałego hinduskiego lekarza. Uważałam, że jest mądry i miły.

Zrobili mi mnóstwo badań, ale wyniki, które dostaliśmy jeszcze tego samego dnia, nie były jednoznaczne. Lekarz, na wszelki wypadek, zalecił mi zwiększyć dawkę leków nasercowych, tych samych, które brałam do tej pory oraz zapisał mi lekarstwo zwalniające akcję serca.

Kiedy wypytywałam go o przyczynę, odparł, że przede wszystkim winien jest stres oraz ostatnie traumatyczne przeżycia. Opowiedział mi o innej swojej skandynawskiej pacjentce, która ostatnio musiała wyjechać z Kenii, ponieważ zapadła na zdrowiu po podobnych kłopotach jak nasze. Najlepsze lekarstwo to wyjazd z Kenii - podsumował z poważną miną.

Wizyta kosztowała majątek, ale szpital był bardzo nowoczesny, lekarz kompetentny, a do tego nie było kolejek. Doktor na wszelki wypadek podał mi nawet swój numer domowy, gdybym poczuła się gorzej i musiała się z nim skontaktować.

Wreszcie zakończyliśmy jedną z naszych akcji charytatywnych dla wioski Wuasiva. Po trwających prawie trzy tygodnie robotach, których koszt sięgał prawie 40 tysięcy szylingów, wyremontowaliśmy całą drogę z Wushiye do naszej posiadłości w Wuasiva. Roboty prowadzono metodą, jaką pokazał tata podczas swojego ostatniego pobytu. Okazało się, że jego sposób był niezawodny, ponieważ droga pozostała w nienaruszonym stanie przez całą porę deszczową.

Wszyscy się cieszyli. Wielu ludzi, którzy mieszkali wzdłuż drogi i sprzedawali nam kamienie i beton, żyło pewnie teraz dostatnio. Byłam pewna, że wierzyli, iż głupi Wazungu nie wiedzą, że mieszkańcy wioski kradli kamienie wykopywane przez nas na poboczu, a potem sprzedawali nam i kamienie, i beton. Świetnie sobie zdawaliśmy z tego sprawę, ale mieliśmy dosyć użerania się. Dla uczczenia naprawy drogi wydaliśmy wspaniałe przyjęcie przy grillu dla naszych pracowników oraz ludzi najętych do robót drogowych.

Sąsiedzi machali do nas, kiedy sprawdzaliśmy stan drogi. Może zakazą dzieciom obrzucać nas kamieniami, kiedy będziemy przejeżdżać obok - pomyślałam. Nasz wódz, jako jedyny, nie pojawił się na przyjęciu.

Mieliśmy nadzieję, że ze względu na dobrą nawierzchnię potencjalni nabywcy nie będą się wahać przed kupnem naszej posiadłości. Może, kiedy wyjedziemy, ludzie zapamiętają nas jako Europejczyków, którzy naprawili drogę?

A propos darowizny. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób Nelson zdołał zarobić na własną przychodnię. Mieliśmy nadzieję, że wybudował ją za pieniądze zdobyte dzięki pracy, jaką wykonywał poza Wulushi, a nie z darowizn na budowę naszej wioskowej przychodni. Ta zresztą leżała odłogiem. Kiedy wódz przekonał ludzi, żeby wycofali swoje darowizny, prace przy budowie przychodni stanęły w miejscu. A my postanowiliśmy nie zwracać się już pod żadnym pozorem o pomoc do hojnych Szwedów, póki miejscowa ludność nie dołoży się w jakikolwiek sposób.

Nowe lekarstwo wydawało się skuteczne. Bicie serca się unormowało, a ponieważ lekarz zalecił mi wypoczywać w miłym otoczeniu, kupiliśmy dużo książek w kieszonkowym wydaniu oraz wypożyczyliśmy filmy na wideo. Mogliśmy jednak oglądać zaledwie dwa tygodniowo, bo niebo było pochmurne i trudno było naładować baterie słoneczne. Bawiliśmy się z psami, urządzaliśmy krótkie wycieczki i za wszelką cenę staraliśmy się unikać zdenerwowania i stresów.

Bertil opiekował się mną troskliwie; kisił ogórki, robił wspaniałe kanapki z krewetkami, nalewał mi wina i, szczerze mówiąc, strasznie mnie rozpieszczał, a ja wkrótce poczułam się lepiej.

Żeby ułatwić sobie życie, zaangażowaliśmy adwokata, który miał się zająć kontaktami z ewentualnymi nabywcami Riverdale Gardens. W lipcu pokazaliśmy naszą posiadłość dwóm chętnym. Obaj chcieli założyć tu dom dziecka i obaj mieli jakieś kontakty zagraniczne. Wyglądali na bardzo zainteresowanych, ale „najpierw musieli przekonać swoich współpracowników”, a zatem wcale nie byliśmy optymistycznie nastawieni. Nie mogliśmy zapominać o fakcie, że mieszkamy w głębi buszu, na dodatek bez elektryczności i bieżącej wody.

Rozdział 69.

Składkowe przyjęcie.

- Witajcie, witajcie! - Szczęśliwa objęłam moją hiszpańską przyjaciółkę Elenę i jej męża Sebastiana, a w tym czasie Bertil wnosił bagaże i naczynia z jedzeniem do kuchni.

Co za radość! Mieszkali w Kakamega, a jednak odwagili się odwiedzić nas w buszu. Elena i Sebastian przyjechali do nas na noc, a my zgodziliśmy się, że dołożą się do jedzenia. Tak jak my, oni także nie lubili wyruszać w drogę po zmierzchu.

Wypakowałyśmy smakołyki w kuchni, szczebiocząc beztróska. Potem dołączyliśmy do naszych mężów, którzy rozsiedli się wygodnie na werandzie ze szklanką piwa. Pogoda była piękna, nasze psy przymilne i dobrze wychowane, cała nasza czwórka czuła się szczęśliwa, ciesząc się sympatycznym towarzystwem, spokojem i beztróską. Zazwyczaj wpadaliśmy do naszych przyjaciół tylko na chwilę, żeby zobaczyć ich wypielęgowany ogród.

Nasi pracownicy mieli dzień wolny, więc mogliśmy swobodnie rozmawiać po angielsku bez obaw, że ktoś nas podsłucha.

Potem postanowiliśmy przejść się po ogrodzie. Elena świetnie się znała na roślinach, więc byliśmy pewni, że nam doradzi, pomoże wybrać warzywa, drzewa i kwitnące krzewy.

Od ich pierwszej wizyty na naszej działce zaszło wiele zmian. Elena naprawdę była zachwycona. Poprosiłam ją o radę w sprawie palm, ponieważ wcale nie rosły i teraz wyglądały na zwiędnięte i słabe. Zdaniem Eleny nasza ziemia była nieodpowiednia dla palm. Moje marzenie o pięknych, rozkotysanych, zielonych koronach rozwiało się jak sen.

- Co to za drzewo? Czy to przypadkiem nie chlebowiec? - spytała. - Natychmiast musisz go przesadzić. Miejmy nadzieję, że zniesie to dobrze, ale tak czy siak, musisz zmienić mu miejsce.

Spojrzałam na nią pytająco. Myślałam, że znaleźliśmy dla drzewa najlepsze miejsce - przed wejściem do restauracji. Drzewo miało być ogromne - jeśli się przyjmie - a do tego ozdobne.

Nagle olśniło mnie i wybuchłam śmiechem. Oczywiście musimy je przesadzić. Wykopaliśmy sobie grób. Jeśli drzewo urośnie za wysokie, nigdy więcej nie będziemy mogli korzystać z wejścia do restauracji bez ryzykowania życia.

- Wiem, o co ci chodzi. - Zachichotałam. - Widzieliśmy drzewo rosnące obok Kenya Seed Company. Jest wielkie i rodzi ogromne owoce. Każdy z nich waży co najmniej piętnaście kilo. Kiedyś zastanawialiśmy się z Bertilem, co by było, gdyby taki owoc spadł na samochód, ale nie pomyśleliśmy o własnych głowach. Dobrze, że mi o tym przypomniawsz.

Po miłym spacerze, podczas którego postanowiliśmy się wymieniać roślinami, weszliśmy do kuchni, żeby przygotować kolację. Było to udane połączenie hiszpańskiej i szwedzkiej kuchni: na początek gazpacho, na główne danie wołowina z grilla z sosem grzybowym z pieprznika trąbkowatego, a na deser ciasto ananasowe. Do tego oczywiście dobre wina.

Naprawdę to wspaniałe uczucie, posiedzieć z przyjaciółmi przy dobrym jedzeniu do późna w nocy. My sami nigdy nie mogliśmy zasiedzieć się w gościach. Do naszego powrotu ludzie wyczyściliby dom do cna.

Podzieliliśmy się z przyjaciółmi wszystkimi naszymi kłopotami i zwierzyliśmy się, że jesteśmy gotowi się poddać, sprzedać wszystko i wyjechać. Elena również uważała, że od roku, od dnia, kiedy zamieszkała w Kenii, nastroje wśród miejscowej ludności są coraz gorsze, zmieniło się także nastawienie do cudzoziemców. Korupcja i przemoc są coraz większe. Chociaż Sebastian był Kenijczykiem, przyznał nam rację. Poza tym powiedział, że rejon Wulushi uważany jest za najgorszy pod względem korupcji, przemocy i przestępczości w całej Kenii. A to mi świetna nowina. Szkoda, że nikt nam tego nie powiedział, zanim kupiliśmy tu ziemię.

Ale nie poruszaliśmy wyłącznie ponurych tematów. Mijały godziny, a my się świetnie bawiliśmy. Na lekkim rauszu poszliśmy spać o drugiej w nocy.

Jeden z naszych askari miał wolne, a inny został w domu, bo miał chore dziecko. A zatem Bertil musiał zastąpić wartownika, kiedy my spokojnie poszliśmy spać. W towarzystwie Merry, trzymającą w ręce. panga obchodził z latarką cały oświetlony światłem księżycyca teren.

Z naszymi przyjaciółmi spędziliśmy naprawdę uroczy, relaksujący dzień.

Rozdział 70.

Nowe hobby.

Ciężko było znaleźć grzyby odpowiednie do gotowania. Nawet w Kisumu nie mogliśmy dostać ani świeżych, ani puszkowanych, czy suszonych. Parę miesięcy wcześniej przetwórnia grzybów w Eldoret wstrzymała produkcję. Zanim ostatecznie zamknęli działalność, pojechaliśmy tam wykupić ostatnie puszki grzybów. Już je zużyliśmy, a zatem, próbując pogodzić interes z przyjemnością, postanowiliśmy zająć się hodowlą grzybów. Na dłuższą metę oczekiwanie na potencjalnego nabywcę Riverdale Gardens okazało się dość frustrujące. W międzyczasie mogliśmy oddać się jakimś konkretnym zajęciom.

Po przeprowadzeniu śledztwa naszym prawdziwi detektywi zdobyliśmy w końcu aktualny numer telefonu hodowcy boczniaków ostrygowatych z Limuru. Przez telefon uzyskaliśmy zgodę na zakup kilograma grzybni, a więc wysłaliśmy po nią Petrusa autobusem.

Oczywiście nie mieliśmy zielonego pojęcia o hodowli grzybów, ale postanowiliśmy zacząć metodą prób i błędów. Testowaliśmy kolejno hodowlę grzybni na różnych podłożach. Wykorzystaliśmy trawę z kompostownika, trociny oraz innego rodzaju podłoża. Bez rezultatów.

Bertil wpadł na pomysł skorzystania z Internetu i szybko trafił na grupę dyskusyjną hodowców grzybów. Należeli do niej z reguły doświadczeni hodowcy rozprawiający na temat niuansów, ale widząc pytania Bertila, zdradzające totalną ignorancję, zlitowali się nad nim i wyjaśnili mu szczegółowo podstawowe kwestie związane z hodowlą grzybów.

A zatem podłoże musi być odpowiednio wysterylizowane, zanim zostanie zaszczipiona na nim grzybnia, dlatego potrzebowaliśmy znacznie większej ilości grzybni, niż mieliśmy. Krok po kroku kontynuowaliśmy próby i oto pewnego pięknego dnia pojawiły się pierwsze boczniaki. Co prawda niewielkie, ale w końcu to nie o rozmiar chodzi. Willy znalazł je na ziemi, niemal pod naszymi stopami,

kiedy jedliśmy śniadanie z personelem. Prawdopodobnie przez przypadek opuściliśmy w tym miejscu kawałek grzybni.

Teraz zabraliśmy się do dzieła z większym zapałem. A nuż się uda. Któż to wie? Najważniejsze to znaleźć podłoże bogate w błonnik. Wypróbowaliśmy rozdrobnione włókno bananowe oraz zmiażdżone kolby kukurydzy; potem ołśniło nas, że mieszkamy w rejonie uprawy trzciny cukrowej. Wytłoczyny z cukrowni mogły nam się przydać ze względu na dużą wartość odżywczą. Trafiliśmy na pozostawione wzdłuż drogi resztki trzciny cukrowej. Oczywiście natychmiast załadowaliśmy je do samochodu. Teraz mogliśmy rozpocząć próby z mieszanką trzciny i włókna z bananów.

Wysterylizowane podłoże zmieszaliśmy z grzybnią i napełniliśmy taką mieszanką plastikowe worki. Następnie odłożyliśmy je w banda na parę tygodni. Grzybnia spoczywała w naszej starej chacie w ciemnym miejscu o odpowiedniej, stałej temperaturze i wilgotności, które utrzymywaliśmy dzięki temu, że wyłożoną cegłami podłogę kilka razy dziennie polewano wodą. Należało to do obowiązków naszych shamba boys. W ten sposób obniżyliśmy temperaturę pomieszczenia o sześć stopni Celsjusza, a jednocześnie podnieśliśmy poziom wilgotności. Cieszyliśmy się, widząc, że nasza hodowla ma się dobrze.

Bertil był pełen zapału, ja też próbowałam uwierzyć, że nam się uda. Co prawda obawiałam się, że kłopoty, które nas prześladowały przy realizacji innych pomysłów, znowu się pojawiają. Nic jednak nie mówiłam Bertilowi o moich koszmarach na temat grzybów. Czyżby klątwa, którą rzucił na nas czarownik, dotyczyła również grzybów?

To było takie typowe. Miałam wrażenie, że los z nas drwi. Teraz, kiedy zamknęliśmy hotel, telefony z prośbą o rezerwacje wręcz się urywały. Na nadchodzący weekend mogliśmy liczyć na ponad dwadzieścia pięć osób: entomolodzy z Hawajów, jakaś wycieczka ze szpitala i kilka grup z agencji turystycznych. Hotel w lesie tropikalnym był przepełniony, a tych w mieście raczej nie polecano. Nasza wioska turystyczna mogła być z powodzeniem otwarta. Tyle że bez wody niewiele mogliśmy zdziałać.

Na dodatek mieliśmy coraz więcej potencjalnych i zarazem poważnych chętnych na kupno naszej posiadłości. Oprócz dwóch domów dziecka skontaktowała się z nami agencja turystyczna oraz kilku zamożnych Kenijczyków, działających w branży hotelarskiej. Wszyscy oczywiście zapewniali, jak bardzo pragną kupić naszą posiadłość, ale potem nieuchronnie pojawiała się kwestia pieniędzy. Przestałam wierzyć, że kiedykolwiek uda nam się sprzedać Riverdale Gardens.

Chcieliśmy mieć pewność, że nawet opuszczając to miejsce w pośpiechu, nie pozostawimy żadnych rzeczy osobistych. Pozbyliśmy się więc wszystkich niepotrzebnych przedmiotów, których nie mogliśmy zabrać ze sobą. Samolotem można wywieźć bagaż o wadze dwustu kilogramów. Wszystkie podręczniki oprogramowania po szwedzku zniknęły w płomieniach, ponieważ nikt w Kenii nie znał tego języka. Spaliliśmy także setki fotografii, niektóre z nich już i tak były zbutwiałe bądź nadgryzione przez termyty. Niestety, także mnóstwo negatywów zostało zniszczonych.

Rozdział 71.

Ziołolecznictwo.

- Ciii, Gunilla.

Budziłam się niechętnie. Leżałam otulona puchową kołderką, ostrożnie wysunęłam nos spod moskitiery. Zastanawiałam się, czego Bertil chce ode mnie o tak wczesnej porze.

- Ciii... Obudziłaś się? Chodź tu, ostrożnie. I nie obudź psów. Włóż szybko dres. Jest jeszcze zimno. - Szeptał gorączkowo Bertil. -1 pośpiesz się.

Usłyszeliśmy nagle warczenie Rufusa, Merry i Musse'a. Zorientowały się, że coś się dzieje, i chciały iść z nami.

- Nie! - rozkazał Bertil. - Wróćcie na posłanie. Natychmiast, cała trójka. Leżeć.

Na chwiejnych nogach, zaspana, mamrocząc pod nosem, wywlekłam się z łóżka i zaczęłam się ubierać. Po krótkiej przepychance w drzwiach zdołałam zamknąć nasze trzy czworonożne skarby w sypialni i poczłapałam na werandę. Faktycznie było bardzo zimno. Najwyżej jakieś 10 stopni.

Bertil rozstawił stolik śniadaniowy na werandzie i powitał mnie gorącą kawą oraz wychłodzonymi przez noc owocami papai. Na dworze było jeszcze ciemno i zastanawiałam się, o co, do licha, Bertilowi chodzi.

Było cicho i bardzo chłodno. Nagle zdarzyło się coś niezwykłego. Rząd drzew po drugiej stronie doliny zmienił kolor na różowopomarańczowy.

Bertil uśmiechnął się do mnie i wyszeptał:

- Teraz może zrozumiesz, dlaczego tak rano wstaję.

To był naprawdę niesamowity widok. W jednej chwili weszło słońce, zabarwiając naszą przepiękną dolinę na nieprawdopodobne odcienie czerwieni i żółci, a na dodatek, jakby tego było mało, nagle usłyszeliśmy niebiańską muzykę. Wszystkie ptaki najróżniejszych gatunków przyłączyły się do koncertu i prawie każdy z nich wykonywał swoją pieśń.

Zapomniałam o zmęczeniu i o wszystkich troskach. To było niemal jak wezwanie, żebym zakasała rękawy i spojrzała na wszystko z jaśniejszej strony.

Po chwili, kiedy w uroczystym milczeniu upajaliśmy się pięknem poranka i rozkoszowaliśmy poranną kawą, Bertil poszedł do kuchni zrobić śniadanie. Zastygłam na swoim miejscu i wkrótce zaczęłam rozpoznawać po świergotaniu rozmaite gatunki ptaków.

Byłam w radosnym nastroju i nawet czepigi rudawe kryjące się w zaroślach bugenwilli wydawały mi się piękne. Tego ranka nektarnik fartuszkowy odwiedził naszego nektarnika brązowego na drzewie papai. Na poręczy werandy, po mojej lewej stronie, zobaczyłam nagle parę motylików krasnouchych, ptaków z gatunku, który poznaliśmy dopiero parę dni temu. Były zachwycające i, jak ludzie mówili, dawały się oswoić, dlatego cieszyliśmy się, że pojawiły się u nas. Dźwięk, jaki wydawała z siebie dzierzba gąsiorek, brzmiał jak dzwonek telefonu i wielokrotnie biegliśmy, żeby odebrać telefon, na ogół niepotrzebnie. Zazwyczaj dzierzby rażno się uwijały wśród gałęzi eukaliptusa. Nasze czarne wikłacze kryzowane podskakiwały jak zwykle na pobliskim polu kukurydzy.

Niespodziewany hałas spłoszył ślicznych porannych śpiewaków.

- Jasna cholera! - zaklął Bertil. - Te krzykacze też nas dzisiaj odwiedziły.

Zanim skończył zdanie, ptaki z głośną wrzawą zawładnęły naszą działką. Czarne i białe dzioborożce przylatujące z lasu tropikalnego usadowiły się nieopodal doliny. Zawzięcie kłócąc się i walcząc, rozsiadły się wśród drzew. Ich wrzask mógł zagłuszyć tylko ibis przelatujący czasem z przeraźliwym skrzekiem nad naszymi głowami. Często podczas rozmowy musiałam podnosić głos, by przekrzyknąć hałas, jaki robiły dzioborożce, czyli „cykliści”; tak czasami nazywaliśmy te ptaki, bo wyglądały, jakby na głowach miały spiczaste kaski rowerowe.

- Bertil, pamiętasz jeszcze, jak pewnego ranka nasz figowiec na łące zmienił kolor z zielonego na fioletowy? - spytałam.

- Oczywiście, że pamiętam. Błyszczaki amethystowe objadały się owocami. Nigdy nie widziałem takiej chmury ptaków naraz w jednym miejscu. I rzeczywiście,

całe drzewo było fioletowe - potwierdził. - A swoją drogą, pamiętasz, jak się nazywa nasz figowiec? Podobno miejscowi uważają go za święte drzewo.

- O tak, pełna łacińska nazwa to Ficus Thoningii. Ponoć dawno, dawno temu pochowano pod nim człowieka. I wiem, że nie wolno nam ściąć tego drzewa. Zgodnie z legendą jedynie specjalnie wybrany człowiek może to zrobić. Jeśli dobrze pamiętam, tylko brat zmarłego albo ktoś z jego rodziny.

No cóż, życie ptaków było naprawdę fascynujące. W Szwecji nie umiałam odróżnić sroki od wrony, a teraz przesiadywałam całymi godzinami z lornetką i atlasem ptaków pod ręką.

- Ta papaja naprawdę dziwnie wygląda. Inaczej niż te, które jedliśmy dotychczas. Jest bardziej owalna i, popatrz, miąższ ma inny kolor - zastanawiałam się głośno.

- Faktycznie - przyznał Bertil. - Mamy kilka gatunków melonowca. W zeszłym roku dostałem różne nasiona od Eleny. Wysiałem je w naszym przykuchennym ogródku. To chyba inny gatunek niż te, które mieliśmy.

- A wiesz, - mówiłam dalej - że papaje są nie tylko zdrowe na żołądek. Mają mnóstwo innych właściwości leczniczych. Zaraz pokażę ci, co zanotowałam.

Wzięłam moje notatki z biurka, a potem przeczytałam na głos Bertilowi: „Niemal wszystkie części tej rośliny mają zastosowanie lecznicze, zawierają bowiem enzymy zabijające robaki i amebę. Jeśli odczuwamy jakieś dolegliwości wywołane pasożytami, powinniśmy codziennie przeżuwać liście i nasiona. Owoce są bogate w witaminy A, B i C. Witamina A ma szczególne znaczenie dla wzroku, B - dla stanu naszych nerwów, a C - dla systemu odpornościowego. Korzenie można gotować w wodzie. Taki wywar to najlepsze lekarstwo na rozwolnienie, natomiast susz z liści należy palić jako lek na astmę. Melonowce są skutecznym lekarstwem na dyzenterię, bronchit i zapalenie wątroby. Miąższ z owoców oraz liście to znakomity środek do zmiękczenia mięsa”.

- Twój spis roślin jest naprawdę wspaniały - stwierdził Bertil.

- Może ja też się do niego w pewien sposób przyczynię, zamiast ograniczać się tylko do robienia oznaczeń.

Wieczorami Bertil często szkicował numery na pergaminie, przypiętym pinezkami do ściany. Następnie ołówkiem kopiował numery na ładnie wycięte i pomalowane na biało plansze. Potem była moja kolej; musiałam pomalować numery na czarno. Bertil mocował tabliczki do palików i znakował nimi wszystkie gatunki roślin, które uprawialiśmy na naszej działce. A ja wykorzystywałam te numery przy sporządzaniu mojego zielnika, opisując rośliny oraz ich właściwości lecznicze.

Przyszła Linda. Jak zwykle, nasze psiaki najpierw ją wylizaly, po czym rzuciły się do misek. One także dostały śniadanie i teraz chleptały mleko z rozdrobnionym chlebem.

- Porozmawiam dzisiaj z Petrusem o uprawie roślin. Wczoraj wysłał wiadomość, że Benjamin z lasu ma przyjść do nas dziś po południu. Człowiek z boda boda mi to przekazał.

- Świetnie - powiedział Bertil. - W takim razie może dowiemy się czegoś więcej na temat roślin zasadzonych w zeszłym tygodniu.

Oznakowałem je numerami od 52 do 58. Są wśród nich zioła na ukąszenie węża i jakieś nowe na malarię. Wiesz, to raczej nie byłoby śmieszne, gdyby ukąsił nas wąż, a my sięgnęlibyśmy po roślinę na malarię.

- A propos malarii, Petrus musi sprawdzić, czy to filipińskie zioło dobrze rośnie. To ważne, bo właśnie dzięki niemu wyleczyłam się z trwającej trzy miesiące malarii na początku tego roku. Pomyśl, kupowaliśmy tyle drogich i nieskutecznych lekarstw, a teraz wystarczy wypić napar z liści. Ziołolecznictwo jest naprawdę fascynujące - stwierdziłam. - I cieszę się, że nasze roślinki przetrwały działalność Merry.

- No cóż, to był tak zwany psi protest. - Bertil się roześmiał. - Nie tylko wywaliła masywną glinianą donicę w rogu, ale też potraktowała roślinki w odpowiedni sposób. Musiała je zdrowo poszarpać, sądząc po liściach na podłodze. Nawet nie wiedziałem, że tak bardzo nie lubi, kiedy wyjeżdżamy do miasta.

Właśnie taki widok zastaliśmy po powrocie z Kakamega. Zioło dowiodło, że jest naprawdę skuteczne, kiedy po wypiciu wywaru wyzdrowiałam, a żadne

lekarstwa brane wcześniej nie pomagały. Teraz okazało się, że jest także odporne na ataki Merry.

Bertil wyjechał do warsztatu samochodowego i przy okazji miał zamówić mięso. Przez chwilę pogadałam z Lindą i z naszymi ogrodnikami Fredem i Willym, którzy po skoszeniu trawy czekali na dalsze polecenia. Czuliśmy się świetnie i tryskaliśmy humorem. Poprosiłam chłopców o poszatowanie włókien banana oraz o rozłożenie wytłoczn z trzciny cukrowej (pozostałości po wyciśnięciu cukru z trzciny) na słońcu do wysuszenia. Musieliśmy dysponować dużą ilością podłoża do hodowli grzybów.

Kiedy jedli śniadanie, powiedziałam, że następnego dnia zamierzamy zorganizować wspólny lunch dla naszej brygady, podczas którego omówimy plany na najbliższą przyszłość. Byli oczywiście bardzo ciekawi i próbowali coś ode mnie wyciągnąć, ale nie powiedziałam nic oprócz tego, co podam na lunch: grillowane mięso - nyama choma z kachumbari - sałatką ze świeżych pomidorów z cebulą i z papryczką chili. Kiedy oznajmiłam im, że mogą zrobić sobie chapati, krzyczeli z radości.

Obeszłam naszą posiadłość, sprawdzając, jakie szkody wyrządziło gradobicie sprzed paru dni. Grad zalegał jeszcze do rana, nawet zrobiliśmy zdjęcia Willyemu, jak stoi w nim aż po kostki i pielęgnuje nasze krzewy hibiskusa. Burza potłukła aż 160 szyb w oknach w seminarium ojca Bede na obrzeżach Kakamega. Budynek został prawie zupełnie zdewastowany przez rozszalały żywioł.

Zauważyłam, że hibiskus oraz bugenwille - tak samo jak melonowce - straszliwie zniszczyło gradobicie; liście były podziurawione na wylot.

Dobrze się stało, że zajęliśmy się hodowlą grzybów. Wymagały ogromnego zaangażowania, dzięki czemu przestaliśmy myśleć o kiepskich perspektywach sprzedaży naszej działki. Australijczycy nie mieli pieniędzy. Niemcy byli poważnie zainteresowani kupnem, ale ich sponsorzy uważali, że wystarczy już jeden sierociniec, jaki utrzymują w Kenii. Wyglądało na to, że mamy jeszcze innych potencjalnych kupców, ale już nie marzyliśmy o dużych pieniądzach za naszą

ziemię. Musimy się znowu skontaktować z prawnikiem i polecić mu, by sprzedał naszą posiadłość nawet za dużo mniejszą kwotę.

Postanowiłam, że lepiej pomyślę o grzybach i udałam się na inspekcję do naszej starej banda.

To naprawdę był wspaniały widok. Cudowne kolonie na razie mikroskopijnych grzybów, które nagle się pojawiły. Choć nie chcieliśmy więcej inwestować w hodowlę boczniaków, to jednak samo przedsięwzięcie okazało się fascynujące.

W drodze powrotnej przeszłam obok naszej plantacji bananów, tam gdzie wyrzucaliśmy torby z grzybami. Zobaczyłam całe kolonie boczniaków niemal gotowych do zbiorów. OK, jutro wypijemy wino musujące do grzybów z naszej domowej hodowli.

Rozdział 72.

Lekcja w szkole grzybów.

- A teraz, moi kochani, muszę wam przekazać pewne informacje - powiedział Bertil, siadając przy stole na werandzie.

Linda, Fred i Willy patrzyli na niego wyczekująco. Bertil wyglądał na zadowolonego, a więc nie musieli się martwić. Zresztą, wszyscy byli w znakomitych humorach po wspaniałym lunchu z dużą ilością nyama choma (grillowanego mięsa) i napojów orzeźwiających.

- Od przyszłego tygodnia wszystkie nasze wysiłki wkładamy w hodowlę grzybów. Jeśli odbije się to na waszych codziennych obowiązkach, zatrudnimy dodatkowych pracowników. Ciągłe jeszcze mamy mnóstwo grzybni w zamrażarce, ale musimy ją oszczędzać, póki nie wyhodujemy własnej.

- Co takiego? Mamy wyhodować własną grzybnię? - dopytywał się Fred. - Czy to się uda?

- Ależ oczywiście - odpowiedział Bertil. - Zamówiliśmy podręczniki w Stanach. Zawierają dokładne opisy, jak to się robi. Niestety, dostaniemy je dopiero za parę miesięcy. Marina, która bada zachowanie małp w lesie tropikalnym, przywiezie je w lutym.

- Nie zapomnij o lekcjach - szepnęłam do Bertila.

- Ach, rzeczywiście. Byłbym zapomniał o najważniejszej sprawie. Od poniedziałku wasza trójka znowu rozpocznie zajęcia w szkole.

Bertil uśmiechnął się na widok pytającego wzroku naszych pracowników.

- To ja będę waszym nauczycielem. Przez dwie godziny przed południem będę was uczył o hodowli grzybni. Zajęcia będą odbywały się tu, na werandzie. Dostaniecie notesy i ołówki. Do poniedziałku Fred i Willy mają zrobić tablicę. Ja kupię kredę w mieście.

Linda i chłopcy wyglądali na zadowolonych. W godzinach pracy będą się uczyli o hodowli grzybów, która zresztą bardzo ich interesowała.

Jeszcze przez chwilę omawialiśmy szczegóły techniczne związane z hodowlą i postanowiliśmy dobudować specjalne pomieszczenie z boku banda przeznaczone do uprawy grzybów. Po wyniesieniu toreb z podłożem z chaty zauważyliśmy, że błyskawicznie pojawiają się w nich całe kolonie grzybów. Dopóki leżały w środku, nic się nie działo. Doszliśmy zatem do wniosku, że bardzo ważne jest światło, kiedy grzybnia wydostaje się z toreb. Mogliśmy zapewnić cień, tworząc zadaszenie z liści bananów rozłożonych na siatce. Bertil wykonał szkice i wyjaśnił, jak to ma wyglądać. Na początek wywiesiliśmy na próbę torby z grzybnią. Bertil postanowił także skonstruować system nawadniania działający dzięki ręcznej pompie.

Z wyraźnym zaangażowaniem pracownicy podpowiadali nam różne rozwiązania. Wszyscy wyglądali na bardzo przejętych nowym projektem, nawet Linda, która zazwyczaj była dość małowówna.

Nadszedł czas, żeby wstać od stołu i powrócić do normalnych zajęć.

- I jeszcze coś - dodałam, podnosząc się. - Zapomnieliśmy wam powiedzieć, że zabieramy was na wycieczkę pogładową. Za parę minut Bertil zawiezie was do lasu tropikalnego, po którym będziecie chodzić przez kilka godzin pod opieką przewodnika. Potem trzema boda boda wrócić do domu. Bo nie może tak być, że mieszkając w pobliżu lasu tropikalnego, nigdy go nie obejrzyście. Oczywiście damy wam pieniądze na powrót. A zatem resztę dnia macie wolną. Życzymy wam miłego dnia.

Niemal podskakiwali z radości, idąc z Bertilem do samochodu. Wyobraźcie sobie: mieli w godzinach pracy zwiedzić las, o którym słyszeli tyle ekscytujących rzeczy. Było tam tyle roślin leczniczych. Wszyscy pewnie słyszeli dawne opowieści o tajemniczych lekach na jakie można było - pewnie aż do tej pory - natknąć się w lesie deszczowym.

Pomimo sukcesu, jaki odnieśliśmy w hodowli grzybów i optymistycznych nastrojów w Riverdale Gardens, właściwie nie było dnia, żebyśmy nie wściekali się, rozmawiając o korupcji. Co prawda, takie dyskusje niczego nie załatwiały. Bo co innego słyszeć, czy czytać o korupcji, a co innego obcować z nią na co dzień.

Podobno pod względem korupcji Kenia zajmuje trzecie miejsce na świecie i krąży dowcip, że Kenijczycy zapłacili łapówkę, aby uplasować się tak wysoko w rankingu. Miesięczne rachunki za nasze prywatne rozmowy telefoniczne zazwyczaj wynosiły od 300 do 600 szylingów. Ostatnia faktura opiewała na sumę 8 200. Słyszeliśmy, że w Kenii zdarza się, iż pracownicy spółki telekomunikacyjnej podłączają się do linii abonentów, żeby prowadzić prywatne rozmowy. Ich własne telefony miały blokadę; można z nich było dzwonić tylko na lokalne numery. Niestety, trudno było udowodnić przekręt, za to znaleźliśmy mnóstwo osób, którym się to przydarzyło.

I na dodatek nic nie można było zrobić, bo jeśli odmówiłeś zapłacenia astronomicznej sumy, odcinano ci telefon. Tym razem padło na nas.

Bez przerwy mieliśmy kłopoty z Internetem. Poczta i Telekomunikacja, poprzednio Biuro Telekomunikacji, zostały podzielone na różne wydziały. Nowa spółka, TelCom Kenia, nie potrafiła sobie poradzić z naziemną stacją satelitarną w Longonot, w której oprócz innych drobiazgów zapomniano o dopasowaniu współrzędnych do niewielkich odchyień satelity. Gwałtowne burze z porywistymi wiatrami, które wywracały drzewa na linie telefoniczne, również przyczyniały się do fatalnej jakości odbioru.

- Bertil, popatrz! - krzyknęłam uszczęśliwiona.

Właśnie siedzieliśmy przed Urzędem Pocztowym w Kakamega, w którym Bertil odebrał paczkę po otrzymaniu oficjalnego zaświadczenia z kontroli celnej. Przesyłkę nadała Gertrud, uroczą szwedzką pomoc dentystyczną, która odwiedziła nas parę miesięcy temu. W środku były: puszki anchois, herbata, kilka tubek ze szwedzką pastą kawiorową, trzy pęta kiełbasy, paczka pieczywa, a nawet czasopismo z krzyżówkami. Co za radość!

Zawsze cieszyliśmy się z wiadomości, że na poczcie w Kakamega jest dla nas paczka. Tata często przysyłał nam książki w wydaniu kieszonkowym. Najpierw je ważył i jeśli waga nie przekraczała limitu określonego dla przesyłek pocztowych, dokładał paczuszki z herbatą. Czasami również dorzucał chrupkie pieczywo. Często przychodziło połamane i pokruszone, ale nasze pieski pożerały je jednym kłapnięciem. Niestety, niektóre przesyłki ginęły w drodze. Koperty zawierające

torebki z nasionami z góry skazane były na zaginięcie; nigdy do nas nie docierały. Prawdopodobnie brano je za przesyłki z pieniędzmi lub narkotykami.

Wszystkie paczki ze Szwecji bardzo skrupulatnie sprawdzano w urzędzie celnym. Gdy na samym początku naszego pobytu w Kenii przysłano nam wielką szwedzką flagę, celnik przez ponad pół godziny sprawdzał szczegółowo instrukcje, zanim doszedł do wniosku, że nie musimy płacić za nią cła.

Znowu zginęły dzieci - pewnej nocy trójka dzieciaków z drugiej strony doliny schroniła się podczas potwornej burzy pod ogromnym drzewem. Trafił w nie piorun i cała trójka zginęła na miejscu.

W Riverdale Gardens podczas tej samej burzy porywisty wiatr wyrwał pięć drzew, w tym trzy bananowce. Wzdłuż naszej wiejskiej drogi przewróciło się pięć wielkich drzew oraz słup telefoniczny. Oczywiście, linia znowu została zerwana.

Rozdział 73.

Tam, gdzie oddychają węże.

Pewnego dnia skontaktowała się z nami jakaś para z synkiem; chcieli zarezerwować miejsce na dziewiątego listopada. Odpowiedzieliśmy, że, niestety, nasz hotel jest zamknięty, nie wiemy, czy i kiedy go otworzymy oraz zwierzyliśmy się, że zamierzamy go sprzedać. Poradziliśmy, żeby spróbowali zarezerwować miejsce w Rainforest Retreat i poinformowaliśmy, że możemy pomóc im skontaktować się z hotelem. Na koniec spytaliśmy, skąd dowiedzieli się o Riverdale Gardens i o naszym hotelu.

Odpowiedzieli natychmiast. Przeczytali o nas w Rough Guide - popularnym międzynarodowym przewodniku - i zakochali się w Ri-verdale Gardens. Spytali, czy naprawdę zamierzamy sprzedać nasz hotel. Kobieta urodziła się i wychowała w Kenii i ostatnio postanowili się tu przeprowadzić.

Dalej wymienialiśmy e-maile. Stwierdzili, że szukają dokładnie takiego miejsca jak nasze. Pieniądze nie były problemem. Mogli także przejąć nasze psy, zatrudnić naszych pracowników, zająć się uprawą warzyw oraz hodowlą grzybów. Zamierzali kontynuować nasz styl pracy, bo fascynowało ich wszystko, co miało związek z ekologią. Uznali nawet nazwę posiadłości za idealną, bo oni także byli fanami Tolkiena.

Zaprosiliśmy ich do nas jako prywatnych gości na parę dni w listopadzie. W ten sposób będą mieli okazję sprawdzić, czy Riverdale Gardens spodoba im się tak samo w rzeczywistości, jak w wyobrażeniach. Cieszyliśmy się, że może w końcu trafiliśmy na poważnych kupców.

Czekając na przyjazd naszych potencjalnych kupców, większość czasu poświęcaliśmy hodowli grzybów. W ten sposób czas mijał szybciej. Próbką naszej hodowli znajdowała się przed sklepem ogrodniczym Petrusa w Wulushi. Wystawiliśmy ją, żeby ludzie zobaczyli na własne oczy, jak rosną grzyby. Gromadzili się tam ciekawscy, obserwując jak grzyby pojawiają się w mgnieniu oka. Wieść o naszym cudzie niosła się coraz dalej i dalej, i schodziło się coraz więcej

gapiów. Niektórzy mamrotali coś pod nosem o diabelskiej sztuczce i czarach, a jednocześnie patrzyli zafascynowani.

Ludzie opowiadali, że nawet na naszym wioskowym wodzu ekspozycja zrobiła wrażenie. Chwalił się, że to jego biali dokonali tego cudu, a nawet opowiadał, że zamierza wziąć udział w naszym szkoleniu na temat hodowli grzybów.

Miejscowi nie wierzyli, że można samodzielnie hodować grzyby. Zgodnie z ich przekonaniem grzyby rosną tam, „gdzie oddychają węże”. To znaczy uważali, że grzyby rosną tylko w miejscach, gdzie jest mnóstwo węży, a zatem takich, od których lepiej się trzymać z daleka. Może dlatego grzyby zawsze otaczała tajemnica, bo w gruncie rzeczy niewiele o nich wiedziano. Oświadczyć miejscowym, że potrafisz hodować grzyby, to tak jakby jakiś Szwed nagle stwierdził, że wie, jak hodować na przykład cegły.

Atmosfera w Riverdale Gardens znowu była dobra. Nasi pracownicy byli lojalni i zadowoleni, że nauczyliśmy ich rozmnażania i hodowli grzybów. Linda zebrała już swoje pierwsze plony, a reszta personelu miała to zrobić wkrótce. W ciągu ostatnich kilku dni, zebraliśmy około 650 gram grzybów, a już rosło 400 gram nowych. Każdy kolejny wysyp był coraz bardziej udany, zarówno pod względem jakości, jak i ilości.

Nasz pomysłowy, ręcznie sterowany system nawadniania grzybni w dodatkowym pomieszczeniu do uprawy był już gotowy. Ponieważ grzyby wymagały nawadniania także w nocy, musieli się tym zajmować nocni askari. To rzeczywiście była wielka frajda obserwować, jak niemal na naszych oczach rosną boczniaki ostrygowate, tym bardziej, że wymagały zaledwie trzech tygodni od momentu założenia grzybni do pierwszych zbiorów.

Przy dostatecznej ilości wody i dobrym oświetleniu grzyby rosły błyskawicznie. Sprzedawaliśmy niemal na pniu całe nasze zbiory. Pewnego dnia przyjechał do nas na rowerze sam szef kuchni z hotelu w lesie deszczowym i kupić cały zbiór. Zanim odjechał, oświadczył, że chcą kupować wszystkie wyhodowane,

świeże grzyby. Co za satysfakcja, że mogliśmy mu obiecać, że za parę dni będziemy mieli na sprzedaż następny kilogram.

Kiedy już wracał do lasu, przekonaliśmy go, żeby kupił od nas bakłażany, ogórki, dynie i paprykę, warzywa, których na ogół nie było w Kakamega. Wyglądał na szczęśliwego i pewnie już sobie wyobrażał przysmaki, jakie z nich przyrządzi. Wyjeżdżając przez bramę, rzucił: „Pracujcie tak dalej”.

Czekając na naszych angielskich klientów, staraliśmy się utrzymać Riverdale Gardens w idealnym stanie. Chcieliśmy zrobić na nich dobre wrażenie. Fred, Willy i Linda skakali z radości, kiedy dostali nowe granatowe uniformy, i spędzili mnóstwo czasu, przymierzając je. Pewnie wydawało im się, że ich ranga teraz niepomiarowo wzrosła.

Ciągle jeszcze trzymaliśmy w tajemnicy fakt, że zamierzamy sprzedać posiadłość i wyjechać. Wspomnieliśmy tylko naszym pracownikom, że Anglicy to znajomi naszych dobrych przyjaciół, a my przyrzekliśmy jak najlepiej się nimi zająć.

Rozdział 74.

Hurra!

Anglicy przyjechali i zdaje się, że cała trójka świetnie się u nas bawiła. Ja z Bertilem ciężko pracowaliśmy, szykując jedzenie, obwoząc i zabawiając gości; oczywiście przy czynnym udziale naszego personelu.

Przed powrotem do Anglii goście potwierdzili, że są zainteresowani kupnem Riverdale Gardens. Oczywiście, przed podjęciem wiążącej decyzji musieli tę sprawę przemyśleć. Decyzja o wyjeździe z Wielkiej Brytanii była poważnym krokiem dla całej rodziny, poprosili zatem o parę tygodni do namysłu. My w tym czasie zajęliśmy się hodowlą boczników, gryząc palce ze zdenerwowania.

Całe szczęście, że nasi pracownicy zainteresowali się hodowlą grzybów i nabrali takiej wprawy. My przez tydzień nie mieliśmy ani chwili, żeby zająć się bocznikami. Chociaż hotel był oficjalnie zamknięty, to jednak parę razy zrobiliśmy wyjątek i przyjęliśmy gości.

Najpierw trzy Szwedki, które usłyszały o nas na spotkaniach klubu Rotary w Szwecji. Były bardzo sympatyczne. Zatrzymały się u nas na kilka dni. Linda fantastycznie sobie radziła w kuchni, gotowała wspaniałe potrawy przy minimalnej pomocy z mojej strony.

Tuż po wyjeździe Szwedek ojciec Samuel poprosił nas o przenocowanie jego czterech przyjaciół z Europy. Musieliśmy oczywiście się zgodzić, bo był naprawdę wspaniałym człowiekiem i niejednokrotnie wspierał nas w ciężkich czasach. Jeździliśmy do niego do kościoła na długie i szczerze pogawędki, czasami on wpadał do nas na herbatę i kieliszeczek wina. Nasi goście byli bardzo sympatyczni i miło spędzaliśmy czas w ich towarzystwie. Nigdy nie podejrzewaliśmy, że nasz spokojny i cichy przyjaciel, ojciec Samuel, potrafi być taki radosny i dowcipny, kiedy nie pełni obowiązków kapłańskich i może się rozluźnić.

- Nie do wiary! - krzyknął Bertil, kiedy przysiadł się do mnie na werandzie po odwiezieniu ojca Samuela i jego przyjaciół do Kaka-mega. - Wyobraź sobie, że

reperują drogę za kościołem katolickim. Ojciec Samuel mówił, że mają naprawić odcinek między Wageya i Wulushi. Co za postęp!

- Czy zadbają także, żeby woda spływała z drogi? - spytałam z ciekawością.

Podczas pory deszczowej wołałam tamtędy nie jeździć samochodem. Było tam niewiarygodnie ślisko, a ponieważ z jednej strony droga stromo opadała, auta także ześlizgiwały się w dół. Chociaż mieliśmy terenówkę z napędem na cztery koła, zdarzało się, że niemal łądownaliśmy w rowie.

- Chyba raczej nie, ale zawsze pozostaje nam nadzieja. Tak czy siak, przenieśli wielkie głazy i ułożyli w największych dziurach. To już jakiś krok naprzód. Może przejęli metodę twojego ojca.

No cóż, cieszyłam się, że mogłam opowiedzieć tacie, przynajmniej w liście, że tubylcy czegoś się od niego nauczyli. Prawdę mówiąc, wielokrotnie zastanawialiśmy się, czy informacje i wiadomości, które przekazywaliśmy miejscowym, wpadają im jednym, a wypadają drugim uchem.

Stałam na palcach, z sekatorem w ręku, gotowa do akcji. Właśnie zabierałam się do ścinania rozkwitłych, wybujałych dalii do wazonu na kominku. Nasza ziemia była chyba idealna dla dalii, które osiągały prawie dwa metry wysokości. Kwiatostan miał także ogromne rozmiary i wszelkie możliwe odcienie.

Nagle zobaczyłam pędzącego w moją stronę z pomieszczeń służbowych Freda, który przerwał szykowanie jedzenia.

- Gunilla, niech pani przyjdzie razem z bwana Bertilem. Znaleźliśmy dziwne zwierzę.

Zawołałam Bertila i poprosiłam, aby przyniósł atlas zwierząt.

Fred, w towarzystwie Willyego i Lindy, pokazał nam, gdzie jest zwierzę. Siedziało w łazience dla personelu skulone w kącie i przytulone do ściany. Wyglądało na przerażone i, w gruncie rzeczy, całkiem miłe.

Wszyscy pięcioro cisnęliśmy się w otwartych drzwiach, a Bertil gorączkowo przerzucał strony atlasu, szukając zdjęcia gryzonia zastygłego naprzeciwko. Zwierzę przez cały czas siedziało spokojnie w kącie.

- To wielkoszczur! - krzyknął nagle Bertil. - Chwileczkę, zaraz przeczytam, co o nim napisali. - Po chwili kontynuował: - Aha, to mały złodziejasek. Napisali, że podkrada świecące przedmioty, takie jak na przykład monety, i chowa je później w swojej norce. I zdaje się, że łatwo go oswoić. Można też trzymać je w domu.

Wielkoszczur był naprawdę duży, miał prawie pół metra, nie licząc długiego, nagiego ogona jak u zwykłego szczura. Wewnętrzna część ogona była czarna, a zewnętrzna biaława, natomiast brzusek miał porośnięty białą sierścią, a grzbiet brązową.

Willy chciał ubić wielkoszczura, ale mu nie pozwoliliśmy. Kazaliśmy zostawić przerażonego gryzonia w spokoju, aby wrócił do norki, pewnie gdzieś na terenie naszej działki. Fakt, że kradł błyskotki nie był jeszcze powodem, żeby go zabijać.

Myślałam tylko o jednym. Czy oni się zdecydują? Czy kupią nasz hotel? Czy wreszcie będziemy mogli wyjechać?

Dla zabicia czasu, zorganizowaliśmy jednodniową wyprawę do Szpitala Okulistycznego w Sabatia, gdzie pracował fiński lekarz z żoną. Lubiłam zawierać nowe znajomości. Ogromne wrażenie wywarła na nas ich opowieść o lotach do Sudanu. Od czasu do czasu latali tam niewielką awionetką z miejscowego lądowiska w Kaka-mega. W Sudanie operowali niewidomych i w dziewięćdziesięciu procentach przypadków pacjenci odzyskiwali wzrok. Zabiegi odbywały się w prymitywnych warunkach, w prowizorycznych szpitalach w buszu; do dyspozycji mieli tylko własny generator i sprzęt medyczny. Wszystkie operacje były oczywiście darmowe. To dopiero jest prawdziwa dobroczynność.

Nadszedł 30 listopada, a my spodziewaliśmy się w każdej chwili odpowiedzi od naszych Anglików. Czuliśmy się zawieszeni w próżni i myśleliśmy tylko o butelce szampana leżącej w lodówce. Albo uczcimy tym trunkiem zwycięstwo, albo utopimy w nim smutki.

- Hurrra! - Usłyszałam krzyk radości.

Bertil właśnie sprawdził skrzynkę e-mailową. Pobieглиśmy do kuchni, wyjęliśmy dwa kieliszki i butelkę szampana z lodówki. Właśnie odpisali nasi Anglicy, że możemy odkorkować szampana, którego nam podarowali.

Co za radość! Pewnie upłynie jeszcze parę miesięcy, zanim wrócimy do Szwecji, ale wszystko stało się znacznie łatwiejsze. Mieliśmy kupca. Mogliśmy wyjechać.

Rozdział 75.

Na przełomie tysiącleci.

Przełom tysiącleci. Byłam sama pośród czarnej jak smoła afrykańskiej nocy, zagubiona gdzieś na pustkowiu. Kto by pomyślał, że w taki sposób będę świętowała nadejście nowego tysiąclecia?

Oprócz moich psów i nocnych askari nie było nikogo. Parę lamp naftowych i kilka świec rozświetlało salon. Psy spoczywały spokojnie wokół mnie, spod kocyków wystawały tylko nosy: jeden ciemnobrązowy i dwa czarne. Chociaż nasze psy były najgorszymi stróżującymi psami na świecie, dawały mi jednak poczucie bezpieczeństwa.

Byłam zbyt zmęczona, żeby przygotować elegancki posiłek. Pewnie moja sylwestrowa kolacja ograniczy się do paru szklanek whisky i kieliszków wina. Miałam także mnóstwo owoców z ogrodu: banany, papaje, gujawy oraz owoce passiflory.

Przed chwilą, ku memu zdziwieniu - byłam chyba najmniej uzdolnioną technicznie osobą na świecie - udało mi się włączyć telewizję. Widziałam, jak świętują nadejście nowego tysiąclecia na całym świecie, w Guam i w Australii, fajerwerki, wiwaty, szampan, ale po kilku minutach wyczerpała się bateria. Mogłam jedynie wyjąć talię kart i postawić pasjansa, nie dało się nawet czytać, bo lampa na baterię nie działała, a światło lamp naftowych było za słabe dla moich oczu. Czułam się bardzo rozżalona i miałam nie najlepszy nastrój. Nagle się zawstydziłam, przecież biedny Bertil miał jeszcze gorzej. W Boże Narodzenie musiał natychmiast polecieć do Szwecji. Mój teść umierał. Bertil dowiedział się o tym parę dni przed świętami, ale w samolotach nie było wolnych miejsc aż do Bożego Narodzenia. Żywiłam nadzieję, że zdążył na czas. Nie miałam żadnych wiadomości, jak się czuje ojciec Bertila.

I tak znowu Boże Narodzenie upłynęło, tak jak inne święta w Kenii, bez podniosłego nastroju, bez specjalnych przysmaków. Tylko raz, podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia spędzonych w Kenii, mieliśmy czas na uroczyste obchody.

Spisawszy wydarzenia minionego dnia, zamknęłam pamiętnik. Wyszłam na werandę, zawiesiłam parę lamp naftowych i skuliłam się w fotelu. W ciemnościach nocy cała dolina zdawała się pulsować życiem.

Z półka bananów, oddalonego zaledwie o kilkaset metrów od naszego płotu, dochodziły rozdrażnione głosy ludzi, kłócących się gwałtownie w języku luhia. Na polu znajdowała się nielegalna bimbrownia, zresztą jak na wielu innych plantacjach. Miałam nadzieję, że byli zbyt pijani, żeby się wziąć za łby. A jednak istniała taka możliwość. W minionym roku w naszej niewielkiej dolinie wielu mężczyzn odurzonych alkoholem zginęło podczas pijackich bijatyk.

Najgorsze, że w stanie upojenia alkoholowego okrutnie traktowali swoje dzieci. Przypomniałam sobie, ile razy Bertil musiał interweniować, aby je uratować. Pamiętałam jeszcze noc, kiedy nasz pijany sąsiad próbował udusić synka, ponieważ chłopiec był za słaby, żeby wnieść ojca do banda. Na polecenie Bertila nasi nocni askari rzucili się na pomoc. Pijak w końcu wypuścił syna, który natychmiast uciekł. Następnego dnia, dowiedzieliśmy się, że wszczęto tam bójkę i sąsiedzi mało nie zatłukli pijanego ojca.

Trudno było zapobiec przemocy. Rozmyślałam, wkładając kawałek papai do ust. Jednego z naszych nocnych askari, Luke'a, należącego do wioskowej starszyny, zaatakował kiedyś rodzony brat. Kiedy Lukę próbował godzić brata kłócącego się z żoną, ten wyrzwał go rungu (drewnianą maczugą) w kark. Po tym incydencie Lukę będzie miał do końca życia zaburzenia umysłowe. Przypomniałam sobie także przypadek chłopca, którego zabił jego najlepszy przyjaciel, kiedy wracali z pasterki. Posiekane na kawałki zwłoki znaleziono w rowie w samo Boże Narodzenie 1998 roku. Właśnie z tego powodu ojciec Samuel przestał odprawiać pasterki. Stwierdził, że noc jest zbyt niebezpieczną porą.

Łzy cisnęły mi się do oczu, dlatego postanowiłam zrobić coś konstruktywnego. W lodówce znalazłam kurczaka i gotowane kartofle.

Odgrzałam je, wyszłam na dwór i zawołałam Joego, naszego nocnego askari, który w tę sylwestrową noc był na warcie. Bezszelestnie zjawił się przede mną. Kochany Joe potrafił skradać się jak kot. Był naprawdę zachwycony, kiedy

postawiłam przed nim talerz z parującym jedzeniem. Wieczorem Joe dostał już, tak jak zawsze, termos z gorącą, obficie posłodzoną herbatą z dużą ilością mleka. Podczas rozmowy wypytywałam go, jak sobie radzi jego rodzina, czyjego dziesięcioro dzieci jest zdrowych i jak on się czuje.

Miał już koło siedemdziesiątki i w czasie wojny walczył w Egipcie. Był bardzo dumny z ciepłego, szwedzkiego płaszcza wojskowego, modelu z roku 1939. Podarowaliśmy naszym nocnym askari ciepłe okrycia. Mimo podeszłego wieku Joe był jeszcze krzepki i bardzo się cieszył, kiedy mógł nam pokazać, jak pewnej nocy zatłukł drewnianą pałką ogromną kobrę leśną, wylegającą się na ścieżce do naszej toalety. Następnego dnia hojnie go za to wynagrodziliśmy.

Kiedy Joe udał się do służbowej jadalni, wróciłam do siebie, żeby pogłaskać Merry, która tropiła w kuchni myszy. Oczy piekły mnie ze zmęczenia i z powodu słabego światła. Pozamykałam starannie wszystkie drzwi i zabrałam psy do sypialni. Trochę pobaraszkowałam z moimi ulubieńcami na podłodze, potem położyły się na legowiskach, a ja sama też poszłam do łóżka. Jak zwykle na wszelki wypadek, sprawdziłam, czy panga leży pod łóżkiem, a latarka pod poduszką, i wczółgałam się pod moskitierę.

Bum! Bum! Bum! Wskoczyłam przerażona z łóżka, a psy zaczęły wyć. Co się dzieje? Nie miałam odwagi zapalić latarki i przerażona podkrađłam się do okna. Czemu nie przybiegł Joe? Czyżby zasnął na warcie? Myśli wirowały mi w głowie i czułam się zupełnie bezradna, ale nagle wśród i hałasów usłyszałam jakieś radosne głosy, na dodatek dziecięce. A zatem nie wydarzyło się żadne nieszczęście. Razem z psami wyszłam na werandę i zobaczyłam tłum ludzi, biegnących po zboczu. Patykami i kamieniami walili w plastikowe naczynia, starając się robić jak najwięcej hałasu. Wtedy zrozumiałam, że w taki sposób świętują nadejście nowego tysiąclecia. Właśnie minęła północ.

Rozdział 76.

Spis rzeczy.

Bez Bertila było bardzo pusto. Miotalam się bezustannie między jednym zajęciem a drugim. Taka pewnie była reakcja na intensywny czas, jaki przeżywałyśmy razem z Lindą.

W zeszłym tygodniu przez trzy dni gościliśmy pięcioro Hindusów z dwójką rozwrzeszczanych dzieci. Nasi goście byli wegetarianami; dwoje z nich cierpiało na cukrzycę (musiałam wyeliminować cukier), kolejna dwójka nie jadła jajek, a na dodatek dzieci domagały się ciągle czegoś dobrego. Linda zabłysła swoimi zdolnościami kulinarnymi. Dobrze się nam razem pracowało i moja dzielna kucharka szykowała potrawy z curry, ciasta z owocami, do niej także należało zmywanie. Przez dwa dni nocowała w hotelu i wtedy świetnie się bawiliśmy. Hindusi byli przesympatyczni, zawsze w dobrym humorze i aż się palili do wspólnego gotowania. Tuż po ich wyjeździe, wpadło do nas na lunch siedmiu Afrykanów. Podałyśmy im łagodne curry z kurczaka, a na deser ozdobnie wyciętego ananasa z kuleczkami arbuza w środku. Bardzo im smakowało.

Mieliśmy prawdziwe szczęście, że nasz personel był taki lojalny i uczciwy. Linda miała jednak zbyt wiele pracy przy gotowaniu dla naszych gości, dlatego musiał nam pomagać Fred. Gotował dla psów, prał i prasował pościel oraz zmywał naczynia. Naprawdę starał się pomagać nam na wszystkich frontach. Czasem, kiedy miał pół godziny przerwy, wprawiał się w prowadzeniu naszego suzuki. Wtedy jego twarz jaśniała z dumy jak słońce.

Kiedy nie mieliśmy gości, zajmowałam się inwentaryzacją. Jęczałam nad tym okropnie. Cóż za mordęga. Musiałam robić spis inwentarza w tajemnicy. Miał być gotowy do przyjazdu naszych kupców na spisanie umowy w połowie stycznia. Nie spodziewałam się, że mamy aż tyle rzeczy.

Wczesnym rankiem podeszłam do bramy. Chciałam się przyjrzeć, jak wygląda nasz ogródek skalny po ostatnim pieleniu. Mark stał w bramie i właśnie wkładał płaszcz. Nie zauważył, że się zbliżam. Nagle zobaczyłam, że pod płaszcz

chowa lampę naftową. Zupełnie zgłupiałam. To oznaczało, że oprócz tego, że zasypia i upija się na warcie, także kradnie. Nikomu nie można zaufać.

Cicho podeszłam od tyłu i odezwałam się najspokojniejszym głosem, jaki mogłam z siebie wydobyć:

-Jesteś złodziejem, Mark. - Podskoczył zaskoczony - Nie możesz dłużej u nas pracować. Nie rozumiesz, że nie wolno samowolnie brać naszych rzeczy? Przecież tyle razy ci pomagaliśmy, kiedy chorowałeś ty albo twoje dziecko. Lepiej się przyznaj, że już wiele razy kradłeś lampy naftowe. Zauważyliśmy, że dużo z nich zniknęło.

Zmieszany Mark przyznał się do kradzieży lamp oraz wielu innych rzeczy; wyznał, że ten proceder uprawiał już od dawna. Nie byłam w stanie dłużej tego słuchać, kazałam mu zatem iść do domu i wrócić po południu. Chociaż go lubiliśmy, nie mogliśmy dłużej go zatrudniać. Przecież to tak, jakbyśmy dali przyzwolenie na kradzież. Musieliśmy go zwolnić, żeby inni wiedzieli czego nie będziemy tolerować. Tego samego dnia pod wieczór Mark, w obecności Joego i Freda jako świadków, podpisał oświadczenie, że odchodzi na własną prośbę, ponieważ upijał się i spał podczas warty, okradał nas, opuścił teren bez naszej zgody oraz kłamał. Dodał jeszcze, że nie będzie się domagał żadnego odszkodowania i jest świadom, że kopię pisma dostanie wódz wioski oraz jego zastępcę. Ja jednak powiedziałam, żeby wpadł do nas po powrocie Bertila ze Szwecji. Może, jeśli uznamy za stosowne, wypłacimy mu jakiś niewielki dodatek do wynagrodzenia za okres dobrej pracy.

Poprosiłam Joego, do którego mieliśmy największe zaufanie, aby znalazł dla nas kolejnego nocnego askari. Od razu zaproponował nam mężczyznę o imieniu Moses, który - przynajmniej jego zdaniem - był uczciwy. Zaprosiłam Mosesa na spotkanie w sprawie pracy i oświadczyłam, że do powrotu Bertila przyjmuję go na próbę.

Parę dni później, około szóstej wieczorem, kiedy Joe i Moses obejmowali swoją nocną zmianę, nagle usłyszeliśmy rozpaczliwy krzyk dochodzący z drugiej strony wioskowego placu.

- Mój syn nie żyje! - krzyknął Joe.

Natychmiast wysłałam go do domu, a po minucie Moses potwierdził, że rzeczywiście młodszy syn Joego umarł.

Następnego dnia rano Joe przyszedł do mnie i dostał zaliczkę na poczet wynagrodzenia. Aby mu pomóc opłacić koszty pogrzebu, wręczyłam mu także darowiznę od nas, należne wynagrodzenie za urlop, cukier i dwie kiście bananów. Jeszcze przed południem poszłam z Fredem do chaty Joego, aby złożyć mu kondolencje. Czternaście osób mieszkało w najmniejszej banda, jaką można sobie wyobrazić, i wszyscy żyli tylko z pieniędzy Joego, które u nas zarabiał.

Obeszłam zebranych, uściśnęłam im ręce i powiedziałam merem-be połowie wioski, a potem zmówiłam modlitwę razem z rodzicami chłopczyka przy jego łóżku. Następnie pozostawiłam żałobników, którzy zaczęli szykować ceremonię pogrzebową. Joe nie będzie się już czuł najgorszy w swojej wiosce. Niewątpliwie, bardzo ważny był dla niego fakt, że przyszłam do jego chaty i okazałam mu współczucie i lojalność. Teraz wiedział, że ja i Bertil go wspieramy. Dzień był naprawdę pełen wzruszeń, ale czasem tak bywa.

Jechałam z Fredem na lotnisko, żeby odebrać Bertila. Ogromnie się cieszyłam, że wraca do domu. Ciągłe zdumiewało mnie, jak udało mi się pogodzić wszystkie obowiązki. A jednak teraz, nawet jak dla mnie, nagromadziło się za dużo spraw. Odkąd Merry miała cieczkę, musiałam uwiązywać Rufusa i Musse'a. Psy wyły i skowytały. Robiły straszliwy harmider.

Biedny Bertil nie mógł nawet zostać w Szwecji na pogrzeb ojca. Nasi przekłęci kupcy mogliby okazać zrozumienie i przełożyć termin przyjazdu.

Postanowiłam nie przejmować się stylem jazdy Freda, niestety, trudno było powstrzymać się od krzyku, kiedy niemal przeskakiwał nad progami ograniczającymi prędkość na drodze. Powiedziałam, żeby się uspokoił, bo wyjechaliśmy z domu wcześniej i mamy jeszcze mnóstwo czasu, więc nie musimy pędzić. Oświadczyłam mu także, że kiedy wjedziemy do Kisumu, ja usiądę za kierownicą, ponieważ on jeszcze nie przywykł do miejskiego ruchu. Chociaż raczej rzadko prowadziłam w Kenii, to jednak prawo jazdy miałam od kilkudziesięciu lat.

Ogromnie się cieszyłam z powrotu Bertila. Wyglądał na skrajnie zmęczonego, ale trudno się w końcu temu dziwić.

Powiedziałam mu, że kiedy nasi pracownicy dowiedzieli się o śmierci ojca bwana, z własnej inicjatywy złożyli kwiaty i zapalili świece na małym miejscu pamięci, które zrobiliśmy dla mojej mamy, a teraz także dla mojego teścia. Odmówili także modlitwę.

Kiedy dotarliśmy do domu, trzy rozszalałe psy, które po kolei zwalnialiśmy z uwięzi, rzuciły się na powitanie swojego pana. Sądząc po wylewnym zachowaniu, bardzo się stęskniły za Bertilem.

Następnego dnia rano usiedliśmy na werandzie, żeby spisać, co jeszcze musimy zrobić. Nasi potencjalni kupcy mieli przyjechać już za dwa dni, w niedzielę. Zaplanowaliśmy, że pierwszą noc spędzą w Rainforest Retreat, gdzie mieliśmy ich zawieźć, a kolejnych pięć nocy - u nas. Wtedy właśnie podpiszemy umowę.

Faktycznie, zostało nam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia przed ich przyjazdem. Musieliśmy napisać list intencyjny, spisać nasze propozycje umowy, zarezerwować terminy spotkań z prawnikami, sędziami i wózami. To była Afryka i większość ludzi nie miała telefonu. Należało zatem spotkać się z nimi osobiście. Oczywiście, pewnie tak jak zwykle, część z nich będzie na pogrzebie albo na innej uroczystości i nikt nam nie będzie potrafił powiedzieć, kiedy wrócą. Wtedy będziemy musieli poczekać albo udać się do kolejnej osoby z naszej listy. To wszystko było strasznie czasochłonne.

Temperatura dochodziła do 32 stopni Celsjusza, ale mieliśmy tak wiele ważnych spraw do załatwienia, że musieliśmy wsiadać do rozgrzanego samochodu. Najpierw wyruszyliśmy do lasu tropikalnego, żeby spotkać się z jednym z pracujących tam przewodników. Miejscowi przewodnicy pracowali na zasadach samozatrudnienia; nie dostawali stałej pensji, tylko żyli z napiwków od turystów. Byli przy tym naprawdę oddani, rzetelni i kompetentni. W poprzednim roku wystartowali z programem KEEP. W każdą sobotę uczniowie z całej prowincji zjeżdżali do lasu tropikalnego, aby go zwiedzić i poznać jego znaczenie. KEEP

ostatnio otrzymał grant od ONZ na sumę ponad trzech milionów szylingów na rozwój projektu, jako wyraz uznania za działalność i pomysł.

Potem pojechaliśmy jeszcze do KWS i tam długo rozmawialiśmy z pracownikami. Żalowali, że postanowiliśmy wyjechać z Kenii i próbowali nakłonić nas jeszcze do zmiany decyzji. Twierdzili, że nasze pomysły i sugestie bardzo im pomogły w pracy.

Rozdział 77.

Podupadająca wiara.

Potencjalni kontrahenci byli już u nas od paru dni. Byliśmy skrajnie wyczerpani niekończącym się ciągiem spotkań, które musieliśmy dla nich organizować. Życzyli sobie, żeby ich wszędzie wprowadzać i wszystkim przedstawiać, a zatem w koszmarnym upale jeździliśmy w tę i z powrotem. Wieczorem wspólnie gotowaliśmy posiłki w naszej kuchni i wtedy naprawdę świetnie się bawiliśmy.

Anglicy mieli okazję, aby choć trochę poznać smutną kenijską rzeczywistość. W biały dzień złodziej ukradł trzydzieści metrów kabla telefonicznego. W rezultacie nie mogliśmy wysyłać wiadomości e-mailowych, tylko korzystaliśmy z krótkofalówki za pośrednictwem radioamatora z południowej Afryki.

Angielka chciała się spotkać ze swoimi przyjaciółmi z dzieciństwa w Kenii, dlatego zaproponowaliśmy gościom, aby skorzystali z naszego samochodu i ich odwiedzili. Podczas nieobecności Anglików chcieliśmy zdobyć wszystkie wymagane przez sąd dokumenty związane ze sprzedażą.

Kiedy wrócili następnego dnia, okazało się, że są bardzo wzburzeni. Rozmawiali z prawnikiem, który oświadczył, że to niemożliwe, że zdobyliśmy tytuły własności w legalny sposób. Słyszeli w radio, jak prezydent Kenii mówił, że cudzoziemcy nie mogą posiadać gruntów rolnych, chyba że zainwestują pieniądze. W naszym przypadku nie stanowiło to raczej kłopotu. Mieliśmy ziemię rolną, a kilka lat temu zgłosiliśmy szczegółowy spis naszych inwestycji, zarówno tych przeprowadzanych, jak i planowanych i władze wyraziły na nie zgodę. Dopiero wtedy otrzymaliśmy tytuły własności.

To nie miało sensu. Naszym potencjalnym kupcom zdaje się nie sprawiało różnicy, co robimy i co mówimy. Mogliśmy w absolutnie legalny sposób zdobyć wszelkie zaświadczenia z każdego ważnego urzędu, dowodzące, że jesteśmy

właścicielami, niestety, Anglicy uznali, że kłamiemy i pewnie przekupiliśmy urzędników albo nasze dokumenty są sfałszowane.

Koniec końców, Anglicy stwierdzili, że zdecydują się na kupno, jeśli zdobędziemy pisemne świadectwo z Wydziału Gospodarki Gruntami. Niestety, nie można było załatwić tego od ręki. Wydział Gospodarki Gruntami zbiera się tylko dwa razy w miesiącu, a ponieważ niedawno odbyło się takie spotkanie, następne wypadało dopiero za parę tygodni.

W rezultacie kupcy wrócili do domu bez podpisania umowy wstępnej i wpłacenia zaliczki. Przygnębieni i źli odwieźliśmy ich na lotnisko w Kisumu, gdzie Kenijskie Linie Lotnicze „The Pride of Africa” ośmieszyły się po raz kolejny. Lot z Kisumu do Nairobi Anglicy zabukowali jeszcze w domu. Kiedy pokazali swoje bilety na lotnisku w Kisumu rano przed odlotem, pracownik odprawy oświadczył, że nie ma lotu o wpół do drugiej. Zlikwidowano ten rejs parę lat temu.

Kilka dni później mieliśmy okazję porozmawiać z panią prezes zarządu Wydziału Gospodarki Gruntami. Powiedzieliśmy jej, co się dzieje. Zapewniła nas, że wszystkie nasze dokumenty, w tym także tytuły własności, są w absolutnym porządku oraz obiecała przygotować stosowne zaświadczenie, ale najpierw chciała, żeby został przeprowadzony podział gruntów na działce naszych sąsiadów. Tę sprawę zaczęliśmy załatwiać tuż po przylocie do Kenii.

Kiedy nabyliśmy dwie przylegające do siebie działki w 1996 roku, poprzedni właściciel poinformował nas, że niewielka część jednej z nich, nie została włączona do transakcji. Poprzedni właściciel sprzedał ten kawałek parę lat wcześniej, ale nabywca nigdy nie wystąpił o tytuł własności. Wielokrotnie, przy niezliczonych okazjach, zwracaliśmy się do nowego właściciela, żeby załatwił stosowne dokumenty, ale na próżno. Nawet sprowadziliśmy geodetę, żeby dokonał pomiarów działki. Wszystko było gotowe do wydania odpowiedniego dokumentu. Urzędnik z gminy oraz sam wódz tłumaczyli naszemu sąsiadowi, że póki nie zdobędzie tytułu własności, póty my mamy prawo uważać się za prawowitych posiadaczy gruntu, ponieważ tak jest zapisane w naszym dokumencie. Oczywiście, nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili i niestety nasz sąsiad chyba dobrze o tym

wiedział, bo wcale się nie śpieszył z załatwieniem sprawy. Teraz trzeba będzie go do tego zmusić.

I znowu, tak jak i poprzednie miesiące, styczeń 2000 roku dobiegał końca, a my jeszcze nie sprzedaliśmy naszej posiadłości.

Rozdział 78.

Skóry z makaków.

Ciągle jeszcze byliśmy oszołomieni, że z naszych planów sprzedaży Riverdale Gardens nic nie wyszło. Czarę goryczy przepełnił ostatni e-mail, jaki dostaliśmy od naszych klientów z Anglii, pełen brudnych oskarżeń i pomówień. Odpowiedziałam, że w Szwecji są ludzie, którzy w niedzielę udają się na oglądanie mieszkań i nieruchomości, traktując to jako weekendową rozrywkę. Zastanawiałam się, czy oni czasem nie postąpili podobnie. Zresztą za darmo bawili u nas przez parę dni, a nawet pożyczylimy im samochód.

Mogliśmy jedynie powrócić do codziennych obowiązków i czekać na nowe oferty.

Znowu nadeszły urodziny Bertila. Ależ ten czas szybko płynął. Miałam wrażenie, że zaledwie wczoraj byli u nas Mathias i Gunseli, a od tamtej pory minął już rok.

Postawiłam wazon z kwiatami oraz paterę ciastek na naszym stoliku śniadaniowym na werandzie. Przyjęcia urodzinowe, które obchodziliśmy w buszu, były raczej zwyczajne. Nawet Boże Narodzenie miało mało świąteczny charakter. Na ostatnie święta zamówiliśmy u George'a szynkę i żeberka. Miał je dostarczyć tuż przed Bożym Narodzeniem, ale nigdy się nie pojawił. Może to i lepiej, że tak się stało, bo w święta Bertil musiał wyjechać do Szwecji.

Dla uczczenia tego dnia Linda przygotowała wspaniały lunch, na który podała kurczaki Tandoori, a na deser - sałatkę owocową. Kurczaki przez cztery godziny leżały w marynacie z mieszanki ziołowej i jogurtu, a potem usmażyliśmy je na grillu. Parę tygodni temu Bertil pokazał Lindzie, jak należy przyrządzać kurczaka Tandoori. Teraz poradziła sobie bez naszej pomocy i efekt był nadzwyczajny. Cóż za niezwykły kulinarny talent!

Benjamin, jeden z przewodników po lesie tropikalnym, wpadł do nas po południu. Przyniósł ze sobą nie poprawiony rękopis podręcznika o leczniczym działaniu roślin występujących w lesie tropikalnym. Zaproponowałam, że pomogę mu przepisać tekst na komputerze, żeby łatwiej było go redagować.

Przez trzy lata Benjamin wypytywał starszych ludzi, znachorów i czarowników o stosowanie roślin i drzew rosnących w lesie tropikalnym w celach leczniczych. Sam również odkrył, obserwując zachowanie koczokodanów czarnosiwych, około dwudziestu roślin leczniczych. Kiedy mały chorował, sięgały po zioła i wysysały sok z roślin.

Jak zawsze bardzo się zaangażowaliśmy w sadzenie drzew z lasu deszczowego na naszej parceli. Te, które zasadziliśmy najwcześniej, już się przyjęły, a my czekaliśmy tylko na deszcz, żeby posadzić następne. Benjamin i inni przewodnicy byli naprawdę zadowoleni, że przeznacziliśmy sporą część naszego terenu na tę szkółkę w ramach rekompensaty za las, który rolnicy wycięli po drugiej stronie doliny. Las tropikalny zajmował obecnie jedną czwartą powierzchni, na której rósł, kiedy przyjechaliśmy do wioski.

Umieściliśmy ponumerowane tabliczki na różnych drzewach i roślinach zgodnie ze spisem roślin, który samodzielnie sporządziłam.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych roślin zarastających pobocza dróg w Prowincji Zachodniej jest *Lantana camara* (lantana pospolita). Rozrasta się błyskawicznie i w wielu miejscach tworzy nieprzebyty gąszcz. Oznakowaliśmy ją numerem 42. Kiedy byłam przeziębiona, kaszłałam lub bolała mnie głowa, przygotowywałam napar z tej rośliny.

W naszym ogrodzie rósł także *Ricinus communis* (rącznik pospolity). Tej rośliny akurat nie lubiłam. Jej nasiona zawierają jedną z najbardziej niebezpiecznych substancji na świecie. Bałam się zatem, że któryś z naszych pracowników może jej użyć przeciwko swoim wrogom. Z nasion wyciska się olej rycynowy. Roślinę, czy to liście, nasiona, czy kwiaty można stosować w celach leczniczych na wiele dolegliwości: ból ucha, wrzody, kłopoty jelitowe, choroby weneryczne rany, czy też w postaci maści lub kremu na problemy skórne.

Wcześniej czy później zamierzałam przygotować prospekt o życiu ludu Luhia w Wuasiva. Veronica, jeszcze kiedy pracowała u nas, sporo mi opowiadała o miejscowych zwyczajach i obrzędach. Chciałam napisać coś na ten temat i wręczać broszurę naszym przyjaciołom i gościom, którzy wybierali się do Wuasiva.

Wszyscy chcieli korzystać z naszej pomocy i uważali nas za ekspertów. Oczywiście, znakomicie wpływało to na nasze ego, więc działaliśmy dalej i byliśmy pełni zapału. Może w ten sposób, myśleliśmy, pewnego dnia znajdziemy kupca.

Niespodziewanie przyszedł do nas e-mail ze Stanów. Jacyś młodzi ludzie przysłali idiotyczną wiadomość. Napisali, że chcieli zarezerwować u nas miejsce na wakacje. Sądzieli, że Riverdale Gardens to swego rodzaju raj, ale nagle na naszej stronie internetowej zauważyli straszliwą rzecz i teraz już wcale nie mają zamiaru do nas przyjechać. Co z nas za okropni ludzie!

Co takiego mogli zobaczyć? Otóż znaleźli zdjęcie, na którym widać było dwie małpie skóry gerezy białobrodziej zawieszona na ścianie po obu stronach kominka w salonie. Fakt, to nie był przyjemny widok, ale miał swoje uzasadnienie.

Dostaliśmy te skóry od wodza wioski. Prezent od takiej osobistości miał wielką wartość; zresztą był to rodzaj zaszczytu. Jako już zasiedzieli na tym terenie, złamalibyśmy lokalne zasady, nie przyjmując prezentu i nie wieszając skór na ścianie.

Kiedy ten sam wódz chciał nam ofiarować skórę lamparta, w której obejmował swój urząd, w bardzo grzeczny sposób powiedzieliśmy, że to dla nas wielki zaszczyt, ale nie możemy przyjąć prezentu, ponieważ jesteśmy absolutnie przeciwni polowaniu na lamparty. Na całe szczęście wódz zrozumiał nasze wyjaśnienia.

Należy przy tym dodać, że zarówno małpie skóry, jak i skóra lamparta były bardzo stare i korzystano z nich już od dawien dawna, jeszcze kiedy ojciec naszego wodza piastował tę godność. Tak czy siak, musieliśmy ściągnąć skóry ze ściany, mieliśmy tylko nadzieję, że podczas swojej kolejnej wizyty wódz niczego nie zauważy.

Przez te wszystkie kłopoty i stresy, na które ostatnio byliśmy narażeni, stwierdziliśmy, że musimy choć trochę odreagować. Okazja do relaksu pojawiła się niespodziewanie, kiedy odwiedził nas pewien stary Afrykanin. Mzee (stary człówek) chciał nam sprzedać kilka oszlifowanych kamieni szlachetnych. Usiedliśmy z nim w cieniu i słuchaliśmy jego barwnych opowieści. Powiedział, że

zazwyczaj pokonuje piechotą trasę sześćset kilometrową na północ do Turkana i dystryktu Zachodni Pokot, aby zdobyć kamienie szlachetne. Bertil grzecznie mu wyjaśnił, że nie mamy pozwolenia na handel minerałami i kamieniami szlachetnymi, dlatego nie możemy nic od niego kupić, ale z chęcią posłuchamy o jego wędrówkach.

Mzee wyjaśnił nam, że zwykle dostarcza żywność podczas swoich pieszych wypraw na północ i dzięki temu ma mnóstwo przyjaciół wśród ludów wojowników w tamtych rejonach. Z pewnością spodobałaby się nam wyprawa na północ Kenii, ale niestety słyszeliśmy, że jest to zbyt niebezpieczne. Biali ludzie muszą poruszać się w konwoju z uzbrojoną eskortą.

Daliśmy staruszkowi coś do picia, a on pokazał nam swoje cenne zbiory. Wśród nich znajdowały się zielone szmaragdy i niebieskie szafiry, a nawet rzadko spotykany szafir gwiazdzisty. Mężczyzna opowiadał, że czasem trafia na rubiny i granaty. Jaka szkoda, że nic nie mogliśmy od niego kupić. Gdybyśmy dokonali transakcji i to by się wydało, wydalono by nas z Kenii. Tak czy siak, popołudnie spędzone w towarzystwie staruszka było ekscytujące, a jego barwne historie godne zapamiętania.

Rozdział 79.

Pracowici jak pszczołki.

Codziennie po południu gromadziło się coraz więcej chmur. Wszyscy twierdzili, że pora sucha już się kończy i pogoda zmieni się na lepszą. Było co prawda gorąco, choć nie tak bardzo, jak przez cały rok. Jak tylko zaczną padać, chcieliśmy jak zawsze posadzić kukurydzę i fasolę. Grunt pod uprawę warzyw był już skopany i czekał tylko na zasiew. Nasi sąsiedzi posadzili już kukurydzę i zastanawialiśmy się, co będzie, jeśli nie spadnie deszcz. Tyle pracy na marne.

Czy choć raz pogoda nie mogła być przewidywalna? Kiedy spodziewaliśmy się deszczu, z nieba nie spadała ani kropla, a czasem zdarzało się na odwrót. Nadszedł kwiecień, pora deszczowa powinna się zacząć już dawno temu, a ciągle jeszcze panowała susza.

Tymczasem pracowaliśmy jak pszczołki. A raczej pszczołki dostarczały nam pracy i to niemal przez cały dzień. To one nas wybrały - nie odwrotnie - jakby chciały mieć pewność, że ich nie zignorujemy. A zatem, choć nie z własnej woli, zostaliśmy pszczelarzami.

Dwukrotnie w ciągu minionych dwóch tygodni znajdowaliśmy na drzewie w pobliżu domu gniazda pszczół i to tak duże jak bokerskie worki treningowe - miały ponad metr wysokości. Ewidentny znak, że potrzebujemy więcej uli. Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy w końcu ule w dość odległym mieście i od razu kupiliśmy aż trzy. Pszczoły chyba bardzo się śpieszyły, bo nawet nie chciały czekać na zainstalowanie swoich nowych domków, tylko dwukrotnie tego samego dnia próbowały się wprowadzić do naszej chaty. Oczywiście wymagało to sporo poświęcenia i ciężkiej pracy, żeby utrzymać rój z dala od nas.

Następnego dnia po zakupie uli, znaleźliśmy kolejny rój w pobliżu wydrążonej barci. Chłopcy szybko przygotowali jeden z nowo nabytych uli. Powiesili go i tysiące pszczół natychmiast się do niego wprowadziło. Ale już za chwilę był nam potrzebny kolejny ul. Zawiesiliśmy go i wszystko zdawało się zmierzać w dobrym kierunku, kiedy znowu cały rój postanowił zawłaszczyć naszą

restaurację - choć miał już do dyspozycji własne lokum. Zużyliśmy mnóstwo sprejów ze środkiem do zwalczania owadów i zdrowo się napociliśmy, zanim wreszcie pszczoły się wyniosły i znalazły ostatni wolny ul.

W sumie mieliśmy cztery ule i mogły być w nich plastry miodu o wartości 3 000 szylingów. Nasi shamba boys twierdzili, że w każdym z nich jest po kilka kilogramów miodu i zamierzali zabrać się za wybieranie plastrów przy pełni księżyca, czyli w przyszłym tygodniu.

- Czy ty widziałeś to drzewo, Bertil? - spytałam, stojąc na werandzie tuż obok drzwi do sypialni.

- Nie... Właściwie to nie jestem pewny. W każdym razie nigdy przedtem o nim nie myślałem - odpowiedział z wahaniem Bertil.

- Może wyrosło w nocy - zażartował.

Ciekawe, że nikt z nas nie zauważył wcześniej drzewa rosnącego przed werandą między domem a rzędem rozłożystych krzewów kalistemonu. Nasze nowe drzewo pokrywały prześliczne żółte kwiatuszki oraz zielone, delikatne liście. Rosło jak szalone. Co to mogło być?

Jeszcze przed południem przeszłam się na górną części naszej posiadłości i nagle zauważyłam mnóstwo drzew podobnych do tego, które wybujało koło werandy. Były naprawdę piękne i dawały miły cień tam, gdzie zazwyczaj było bardzo gorąco. Tylko dziwne, że tak nagle wyrosły. Przedtem nie zauważyliśmy ich u nas i nie przypominałam sobie również, żebym je widziała gdzie indziej. Na całe szczęście miał nas dzisiaj odwiedzić Benjamin.

Kiedy się pojawił, natychmiast spytałam go o nasze nowe drzewa. Wyjaśnił, że w miejscowym języku nazywa się ono omukhule, a po łacinie Sesbania sesban. Potrafiło wyrosnąć nawet do sześciu metrów, jego gałęzie zaś były lekko mechate. W sprzyjających warunkach rosło błyskawicznie, ale żyło zaledwie parę lat. Liście sesbanii można skruszyć, wymieszać z wodą i podawać krowom, które się ociełiły, po to, by pobudzić u nich laktację. Zmielone liście można stosować jako lekarstwo na kłopoty żołądkowe. Drewna natomiast używa się na opał.

Benjamin był naprawdę chodzącą encyklopedią. Uwielbialiśmy go słuchać. Zanim wyszedł, oznakowaliśmy jedno z nowo zauważonych drzew, a ja zanotowałam wszystkie informacje na jego temat.

Gdy Benjamin wrócił do lasu, rozsiadłam się wygodnie w fotelu i zaczęłam przeglądać notatki, jakie zrobiłam na temat naszych leczniczych roślin. Mieliśmy już lekarstwa na malarię, raka prostaty i wszelkiego rodzaju dolegliwości żołądkowe, uporczywy ból głowy, choroby weneryczne, choroby wieku dziecięcego oraz pasożyty układu pokarmowego. Poza tym mieliśmy drzewa mydlane, rośliny, z których można tkać materiał na odzież, zioła na zapalenie ucha, zapalenie oskrzeli i płuc... Rosło u nas także dziesięć ziół o działaniu przeciwmalarycznym, sześć na bóle głowy, jedenaście na kaszel, dwa na bóle mięśni, dwa na ukąszenia węży i wiele wiele innych. Każdego dnia uczyłam się czegoś nowego.

Benjamin miał nam wkrótce dostarczyć jeszcze więcej ziół. Musieliśmy ustawić 110 nowych znaków, a to oznaczało, że przybyło nam właśnie tyle nowych roślin leczniczych. Ludzie zwiedzający naszą działkę byli naprawdę oczarowani. Riverdale Gardens przypominało teraz prawdziwy ogród botaniczny.

Jeden z amerykańskich naukowców badających małpy wpadł do nas z grubymi, zamówionymi przez nas w Stanach podręcznikami na temat hodowli grzybów. Mogliśmy wreszcie się dowiedzieć, w jaki sposób mieć większe i lepsze zbiory, a i tak byliśmy dumni, że udało nam się wyhodować całkiem dorodne kolonie boczników i to bez żadnych poradników.

Bertil zaczął wytwarzać grzybnie. Nie było to wcale takie proste, ponieważ nie dysponowaliśmy sterylnym laboratorium. A czystość była najważniejsza. Wszystko musiało być absolutnie sterylne. Jedna bakteria albo strzępka pleśni wystarczyły, żeby wszystko trafił szlag. Bertil używał sterylnego pojemnika własnego pomysłu w celu zapewnienia idealnych warunków. Pokrywka była ze szkła, z przodu znajdowały się dwa otwory z umieszczonymi w nich gumowymi rękawiczkami. Jeśli musieliśmy coś zrobić w pojemniku, najpierw wkładaliśmy rękawiczki. To było nie lada osiągnięcie, zachować sterylną czystość w tak prymitywnych warunkach, w dodatku bez elektryczności.

Grzybnię można wyhodować albo z zarodników, albo przez klonowanie. Bertil wypróbował obie metody. Przy klonowaniu tworzył identyczne kopie wyjątkowych okazów boczników, które otrzymywaliśmy z grzybni uzyskanej z drobniutkich kawałków grzyba. W drugim przypadku hodowaliśmy grzybnię z zarodników.

Wszyscy byli zainteresowani naszym projektem hodowli grzybów. Nawet nasz lokalny przedstawiciel w parlamencie odwiedził nas kiedyś. Długo siedział w pomieszczeniu z hodowlą grzybów. Innym razem przyjechał do nas przedstawiciel UNDP i także był zachwycony. Wódz naszej wioski chciał nam przysłać dziesięcioosobową grupę na szkolenie z hodowli grzybów, a kolejną grupę dziesięciu osób skierowała do nas parafia kościoła katolickiego.

Jeśli udało nam się nauczyć miejscowych hodowania grzybów, to mamy powód do dumy. Afrykanie, tak samo jako Europejczycy uwielbiają grzyby.

Kwiecień zakończył się tradycyjnym ogniskiem Walpurgii. Spłonęła chata naszego sąsiada. Ogień zajął wszystko po wybuchu jego aparatury do produkcji bimbru. Ależ to był huk. Musse był śmiertelnie przerażony i, szukając w panice schronienia pod stołem, stracił wazon z kwiatami.

Chata sąsiada płonęła przez całą noc. Rano widać było tylko zgliszcza. Wszystko pochłonął ogień. Takie wypadki zawsze mogą się zdarzyć przy nielegalnym pędzeniu bimbru. To także było tu zabronione.

Rozdział 80.

Czerwona rtęć.

Już pod wieczór, kiedy Linda zbierała się do wyjścia, nagle wręczyła nam list, mówiąc:

- Przepraszam, ale zapomniałam przekazać to państwu.

Ponieważ stałam bliżej, wzięłam złożoną kartkę i spytałam:

- Skąd to masz?

- Od mojego męża. Pracuje w Kipkarren River. Dostał to od jakiegoś mężczyzny, który powiedział, że powinniście to przeczytać.

Rozłożyłam kartkę i zaczęłam czytać. Linda zdążyła już zniknąć w bramie. Totalnie zdezorientowana przekazałam list Bertilowi.

Był to ręcznie spisany dokument zaczynający się od słów: „Informacje ogólne! Substancja jest szczelnie zamknięta w metalowym pojemniku z dwoma drutami oznaczonymi plusem i minusem, wychodzącymi z chemicznej zawartości”.

Na kartce opisano walec ze szklaną szybką z jednej strony i dwoma drutami z drugiej. Na walcu, zgodnie z treścią pisma, widniał napis: „Czysta czerwona rtęć - substancja niebezpieczna. Opieczętowano w Wielkiej Brytanii w 1945 roku”.

Bertil grzebał w pamięci. Gdzie czytał o czerwonej rtęci? Podłączył się do Internetu i wstukał w wyszukiwarkę hasło „czerwona rtęć”. Wyobraźcie sobie jego zdziwienie, kiedy przeczytał, że ten materiał może służyć za detonator w broni nuklearnej. To silna substancja wybuchowa poszukiwana przez terrorystów i inne grupy przestępcze.

Bertil wydrukował tekst ze strony internetowej i stwierdził, że musimy skontaktować się z mężem Lindy, żeby się dowiedzieć, skąd ma ten list.

Zrozumieliśmy, że to bardzo poważna sprawa. Oczywiście, nie chcieliśmy mieć z tym do czynienia. Dlaczego ktoś chciał nas w to wrobić?

Następnego dnia poprosiliśmy Lindę, żeby ściągnęła do nas męża. Obiecaliśmy, że podrzucimy go na przystanek autobusowy, żeby nie spóźnił się do pracy. Powiedział nam, że otrzymał list od jakiejś nieznanego osoby z Kipkarren

River, która oświadczyła mu, że Europejczycy, u których pracuje jego żona, będą na pewno bardzo tym zainteresowani. I to wszystko, co miał nam do powiedzenia.

Bertil zadzwonił do szwedzkiej ambasady i poinformował o całej sprawie szefa służb bezpieczeństwa. Funkcjonariusz poprosił go o przesłanie listu faksem. Zapewnił go także, że przekażą pismo do brytyjskiej ambasady. Jednocześnie poradzono nam, żebyśmy skontaktowali się z komendą policji w Kakamega. Ponieważ znaleźliśmy miejscowego inspektora, postanowiliśmy powiedzieć mu o całej sprawie.

Na komendzie poprosiliśmy, żeby przyjęto nas bez rejestracji. Wręczając list inspektorowi, oświadczyliśmy:

- Dała nam to nasza służąca - a potem opowiedzieliśmy o wszystkim ze szczegółami. Kiedy policjant przeczytał pismo, był wyraźnie zaskoczony; Bertil wręczył mu wydrukowaną stronę z Internetu, na której było wyjaśnione, co to jest czerwona rtęć. Inspektor przez chwilę gapił się na tekst. Potem wstał, otworzył drzwi i zawołał swojego zastępcę. Obaj z ożywieniem omawiali tę sprawę w lokalnym języku i wyglądali na bardzo podenerwowanych.

- Zajmiemy się tą sprawą - zwrócił się do nas inspektor. Nie musicie już się tym przejmować. Zaraz pojedziemy na północ do Kipkarren River i zobaczymy, o co w tym wszystkim chodzi.

Później dowiedzieliśmy się, że jacyś Ugandyjczycy skontaktowali się z mężczyzną, który zaczął później męża Lindy na lokalnym targu. Według niego, mieli w posiadaniu pudło z opisanymi walcami, ale znajdowało się ono jeszcze na terenie Ugandy. Dwa tygodnie później mężczyźni mieli pojawić się na targu z próbką towaru. Policja postanowiła zastawić na Ugandyjczyków pułapkę.

Później dowiedzieliśmy się od inspektora, że ci ludzie zamierzali zażądać od nas 3,5 miliona szylingów za każdy walec z czerwoną rtęcią. Co za naiwność myśleć, że będziemy tym zainteresowani. Sądziли pewnie, że biali mają nieograniczone fundusze.

Przy okazji składania zeznań na policji, zapytaliśmy o szczeniaka, jednego z braci Musse'a. Z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że piesek został otruty, zresztą tak samo jak inne psy inspektora.

Nie dość, że ludzie się mordowali, to na domiar złego zabijali także niewinne zwierzęta.

Rozdział 81.

Narastająca przemoc.

Wieczory spędzaliśmy przy świeczkach, siedząc przed komputerami. Świece tworzyły miły nastrój, choć czasem trudno było rozróżnić klawisze. Było też strasznie parno. W kuchni trzymaliśmy szklane pojemniki z pszenicą, które gotowaliśmy niemal bez przerwy w szybkowarze. To właśnie ta sterylizacja. Po ostygnięciu pojemników, wkładaliśmy do nich grzybnię bocznika i po kilku tygodniach otrzymywaliśmy około dwóch kilo grzybni, z której, jeśli cały proces był przeprowadzany prawidłowo, mogliśmy zebrać kilka kilogramów grzybów.

Fred chyba urodził się w laboratorium. Uwielbiał tam przesiadywać; wkładał rękawiczki i godzinami zajmował się naszą hodowlą w naczyniach laboratoryjnych w sterylnym pojemniku. Próbowaliśmy także przyuczyć Lindę i Willyego, ale nie byli tacy zręczni jak Fred. Mimo wszystko cała trójka była już całkiem doświadczona w hodowli grzybów; mogli uczyć ludzi z naszego regionu.

Aby choć na chwilę oderwać się od pracy przy grzybach, postanowiliśmy odwiedzić naszą przyjaciółkę Elenę. Już dawno nie mieliśmy od niej znaku życia i przy okazji wizyty w mieście zamierzaliśmy do niej wpaść.

Bertil długo dobijał się do bramy, zanim ktoś otworzył furtkę.

- Czy jest Elena, Angelino? - spytałam.

Najmłodsza córka Eleny wyglądała na spłoszoną i wyraźnie nie miała ochoty odpowiedzieć. Zdziwiło nas to - zawsze była taka radosna i otwarta, a teraz wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Co się dzieje?

- Taaak - odpowiedziała z wahaniem i dodała: - Tylko mama nie chce nikogo widzieć.

Zmartwiłam się. Wysłałam do Eleny mnóstwo e-maili i nie dostałam żadnej odpowiedzi. Wielokrotnie dzwoniłam, ale nikt nie odbierał. Musiałam się z nią zobaczyć i dowiedzieć się, co się stało.

- Angelino, musisz nas wpuścić. Jesteśmy przyjaciółmi twojej mamy i może nas potrzebować.

Gdy mała otworzyła nam bramę, zobaczyłam moją przyjaciółkę na podwórku. Wyglądała na totalnie rozbitą; podbiegła i rzuciła się nam w ramiona. Objęliśmy ją i dostrzeżliśmy łzy spływające jej po policzkach.

Po chwili trochę się uspokoiła. We troje usiedliśmy w kuchni i wtedy, jękając się chaotycznie opowiedziała nam, co się stało. To było straszne. Jakiś tydzień wcześniej banda Afrykanów wdarła się nocą do ich domu. Elena doświadczyła strasznego okrucieństwa, a Sebastiana pobili tak mocno, że stracił przytomność. Dziwne, że ich dwa psy wcale nie zareagowały na napad. To mogło oznaczać, że знаły kogoś z przestępców.

Od tego dramatycznego wydarzenia niemal codziennie nasi znajomi odbierali anonimowe telefony z pogrózkami; ktoś im groził śmiercią, więc cała rodzina ciągle się przenosiła, śpiąc co noc gdzie indziej. Pewnego dnia znaleźli jednego ze swoich psów martwego. Został otruty. Teraz bali się, że drugiego psa także to spotka.

Elena czuła się okropnie i chciała jak najszybciej wyjechać z Kenii. Niestety, jej mąż nie chciał się na to zgodzić. W najgorszym wypadku będzie musiała wyjechać sama. W swojej ojczyźnie nie miała już żyjących krewnych. Zastanawiała się, czy nie przenieść się do Anglii, gdzie studiowało jedno z jej dzieci. To, co się wydarzyło, było naprawdę okropne. Dwadzieścia lat mieszkała w Kenii, a teraz musiała uciekać. Nie miała pieniędzy ani nic cennego. Czy miała inne wyjście? Nie mogła zamieszkać z nami, bo wiele gangów w Kakamega pochodziło właśnie z Wulushi, tuż obok nas. W Riverdale Gardens także nie byłaby bezpieczna.

Wkrótce na obiad wrócił Sebastian, mąż Eleny. Opowiedział, że sytuacja w Kakamega i okolicach jest coraz gorsza. Jeden gang, a może i więcej, grasował w tym rejonie, dokonując włamań, napaści, grabieży. Swoje ofiary ranili maczetami, kobiety zaś gwałcili. Napadnięto już wielu mieszkańców; nie tylko Hindusów i białych, ale także Afrykanów. Właściwie każdy, kogo bandyci podejrzewali, że ma pieniądze, mógł stać się ofiarą ataku. Nocami Hindusi patrolowali miasto samochodami. Policja właściwie nic nie robiła. Sebastian potwierdził, że wielu

członków gangu pochodziło z Wulushi i atakowali już wcześniej w naszej okolicy. Poradził, żebyśmy byli ostrożni i nikomu nie ufali.

Dowiedzieliśmy się, że napadnięto nawet na sierociniec w mieście. Pobito zakonnice i zrabowano wszystkie pieniądze. Cóż za ludzie mogli to zrobić?

Obiecaliśmy sobie, że będziemy w kontakcie i wróciliśmy do domu wstrząśnięci i przerażeni wydarzeniami, o których się dowiedzieliśmy. Oczywiście, oznaczało to dla nas wielką zmianę. Wieczorami siedzieliśmy przy drzwiach zamkniętych na cztery spusty. Dawniej, póki nie szliśmy spać, drzwi i okna były szeroko otwarte. Teraz przez całą noc nasi askari mieli patrolować teren wokół domu. Bertil zainstalował system antynapadowy tak, żebyśmy mogli dosięgnąć przycisk z łóżka. Tylko kto nam przybiegnie na pomoc, jeśli usłyszy wyjący alarm?

To rozwiązanie wydawało się trochę dramatyczne i żalosne; choć, szczerze mówiąc, wcale nie było nam do śmiechu, kiedy zasypialiśmy z maczetą pod łóżkiem i wiatrówką leżącą między nami.

Po paru dniach odezwała się do nas Elena. Z płaczem opowiadała, że zdechł jej drugi ukochany pies. On także został otruty. Jej rodzina znowu przeprowadziła się do willi. Za ciężkie pieniądze zainstalowali stalowe antywłamaniowe drzwi i grube kraty w oknach. Elena dalej zamierzała uciec z Kenii, nie wiedziała tylko, gdzie i kiedy.

Postanowiliśmy na wszelki wypadek spakować jedną walizkę z najważniejszymi rzeczami. W ten sposób mogliśmy uciec w każdej chwili, gdyby w okolicy wydarzyło się coś niepokojącego. W krytycznej sytuacji zamierzaliśmy dostać się do naszej ambasady w Nairobi i stamtąd skontaktować się z rodzinami i poprosić o pieniądze na bilety lotnicze.

Tym razem nie tylko przemoc, ale i korupcja pokazały swoją nową twarz. Oczywiście, zdarzali się dobrzy i szlachetni ludzie, ale można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Przez cztery lata pobytu w Kenii zatrudniliśmy ponad sześćdziesiąt osób, z czego pięćdziesiąt cztery musieliśmy zwolnić za nieuczciwość. W tej chwili mieliśmy tylko pięciu pracowników i czas miał pokazać, czy są uczciwi.

A oto kolejny przykład korupcji: pewnego dnia pojechaliśmy do miasta, żeby kupić żywność i skrzynkę piwa. Chłopak przyjmujący od nas skrzynkę z pustymi butelkami wrócił po chwili z butelką z nadtłuczoną szyjką. Oświadczył, że Bertil musi zapłacić kaucję w wysokości 25 szylingów. Cała transakcja miała się odbyć bez świadków, na dworze i oczywiście bez żadnego kwitka. To jasne, że miał jakąś swoją nadtłuczoną butelkę, którą wciskał naiwnym klientom, żeby wyłudzić od nich pieniądze.

Kolejny przykład: nasz znajomy, który występował o zezwolenie w pewnej sprawie, udał się do Wydziału Zezwoleń Urzędu Miejskiego i poprosił o odpowiedni formularz.

- Przepraszam bardzo, ale druki nam się skończyły - odpowiedział urzędnik.

- Proszę przyjść w przyszłym tygodniu.

W następnym tygodniu petent otrzymał identyczną odpowiedź i trwało to miesiącami, o ile nie latami. Oczywiście, gdyby wcisnął urzędnikowi sto szylingów, od razu znalazłyby się wszystkie potrzebne formularze.

Jakoś pod koniec miesiąca wreszcie spadł deszcz, a my przeżyliśmy najgorszą burzę w naszym życiu. Walące się drzewa zerwały druty telefoniczne. Wiatr wyrwał około dziesięciu bananowców razem z korzeniami. Mangowiec został rozłupany na połowę, a dwa rozłożyste, wielkie drzewa rozpadły się niemal w drzazgi. Widoczność ograniczała się chwilami do metra. Z naszego mieszkania w budynku restauracji nie widzieliśmy nawet samochodu zaparkowanego metr dalej.

Strasznie tęskniliśmy za szwedzkim latem; czasem szarawym, kiedy indziej w kolorze błękitu, ale bez tych ekstremalnych zjawisk pogodowych, jakie występowały w Kenii. Zastanawialiśmy się, gdzie byśmy obchodzili Sobótkę w Szwecji? W letnim domku moich rodziców w Tyresó? To był mój letni raj.

Kiedy w końcu podjęliśmy decyzję, od razu nam ulżyło. Musieliśmy odpocząć od naszych codziennych trosk. Niezależnie od tego, czy wkrótce znajdziemy kupca, czy nie, postanowiliśmy spędzić dwumiesięczne wakacje w Szwecji. Będziemy spacerowali po lesie, zbierali grzyby, jedli jagody prosto z

krzaka i cieszyli się naszym towarzystwem. Żadnych podłych ludzi; będziemy żyli spokojnie, bez pośpiechu i stresów. Odpoczniemy.

Na pokład samolotu planowaliśmy zabrać ze sobą dwie drewniane skrzynie z przedmiotami, których nie chcieliśmy zostawiać, gdybyśmy musieli nagle uciekać z Kenii.

Rozdział 82.

Czas grzybobrania.

W oczekiwaniu na letnie wakacje w Szwecji zajęliśmy się hodowlą grzybów. Wszyscy w naszym regionie uwielbiali grzyby, ale niewiele zbierało je w lesie. Ci, którzy sprzedawali grzyby na targu, twierdzili, że trudno odróżnić jadalne od trujących. Poza tym uważali - o tym zresztą już słyszeliśmy - że „grzyby rosną tylko tam, gdzie oddychają węże”. Dopiero gdy pokazaliśmy ludziom, jak można je hodować, zainteresowanie grzybami wzrosło.

„Grzybowy projekt” okazał się strzałem w dziesiątkę. Nasi pracownicy wyszkolili dwudziestu ekspertów na miejscu, w Wulushi, na obszarze około 200 kilometrów kwadratowych, zamieszkanym przez ponad 100 000 osób. Uczyliśmy ludzi nawet w odległym Butere. Potem wyuczeni przez nasz personel eksperci mogli szkolić swoich sąsiadów w rodzinnych wioskach. Nasz jednodniowy kurs, na dodatek darmowy, cieszył się znakomitą opinią, a zainteresowanie nim rosło lawinowo.

Hodowla grzybów była bardzo tania, więc nawet najuboższych ludzi było na to stać. Na dodatek rynek coraz bardziej się rozszerzał. Miejscowi wodzowie wyglądali na zadowolonych. Właściwie wszyscy byli szczęśliwi, bo dzięki temu pomysłowi rosły dochody niezamożnych mieszkańców naszej okolicy. Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy?

Pewnego dnia odwiedził nas zaprzyjaźniony hodowca grzybów z Butere. Powiedział nam, że za dwa dni odbędzie się wystawa rolnicza w Kakamega. Poprosił o pomoc w stworzeniu stoiska okręgu Mumias-Butere. Mieszkańcy z tamtych okolic pragnęli pokazać zainteresowanym hodowlę grzybów i chcieli pożyczyć od nas specjalne torby z podłożem. Przyrzekliśmy, że nasi pracownicy pojawią się na wystawie jeszcze przed otwarciem.

W dniu wystawy wysłaliśmy Lindę, Freda i Willy’ego do miasta. W swoich służbowych białych T-shirtach z logo Riverdale

Gardens wyglądali schludnie i elegancko. Wręczyliśmy im także całkiem spore kieszonkowe, życząc dobrej zabawy. Byli naprawdę szczęśliwi.

Następnego dnia sami wybraliśmy się na wystawę rolniczą. Przechadzając się po niej zauważyliśmy nowinki w rodzaju pojemników do gotowania na słońcu oraz mnóstwo atrakcji, takich jak karuzela. Stoisko Mumias-Butere przyciągało najwięcej zwiedzających i, zgodnie z oczekiwaniami wystawców, zgarnęło pierwszą nagrodę za hodowlę boczników ostrygowatych. Nawet pokazano ich w dzienniku telewizyjnym. I ani jednej wzmianki, że za tym projektem stała pewna europejska para.

Późnym wieczorem do drzwi zapukał Joe. Pytał, czy może zerwać buzina, które znalazł na naszym terenie. Jego angielszczyzna nie była najlepsza, więc kiedy spyaliśmy go, co to jest buzina zaczął żywo gestykulować, wygłaszając długą tyradę w języku Luhia przeplataną angielskim słowami. Joe był naprawdę uroczy. W końcu udało nam się zrozumieć, że mówi o jakichś miejscowych grzybach, które znalazł na naszej działce. Pozwoliliśmy mu je pozbierać, ale poprosiliśmy, żeby zostawił parę, abyśmy mogli rzucić na nie okiem. Widok miny Joego, kiedy dostał zgodę, był bezcenny.

- Dużo buzina, dużo buzina. Dziękuję - dukał, kiedy wręczyłam mu torbę.

Następnego dnia poszliśmy przyjrzeć się miejscowym grzybom.

- O mój Boże, przecież one wyglądają zupełnie jak nasze pieczarki! - wykrzyknął Bertil.

Zbadaliśmy dokładnie to miejsce i znaleźliśmy mnóstwo małych grzybów, które dopiero wyrastały z podłoża. Pieczarki! Wcześniej na naszym terenie znalazłam już purchawki, ale pieczarki były dla nas miłą niespodzianką.

Bertil obejrzał uważnie grzyby. To były prawdziwe okazy Agaricus - pieczarki. Oczywiście zebrał grzybnię, żebyśmy w przyszłości mogli hodować również i te grzyby.

Parę dni później zapanował kompletny chaos. Przyjechali do nas ludzie z UNDP oraz z KEEP. Tego samego dnia odwiedził nas miejscowy przewodniczący międzynarodowej organizacji ekologicznej, a wkrótce po nim pojawił się ojciec

Samuel z dwoma braćmi z kościoła katolickiego. Jednocześnie w chacie numer dwa prowadziliśmy całonocne seminarium na temat hodowli grzybów. Nasi goście byli żywo zainteresowani prowadzonymi zajęciami; stanęli za uczestnikami i z uwagą słuchali wykładu. Wyglądało na to, że prelekcja wywarła na nich ogromne wrażenie. Pod koniec tego intensywnego dnia próbowaliśmy z Bertilem podsumować efekt poszczególnych wizyt. Doszliśmy do następujących wniosków:

KEEP był naprawdę zainteresowany kupnem Riverdale Gardens, a my bylibyśmy szczęśliwi, gdyby udało im się przejąć naszą posiadłość. Niestety, nie mieli na to pieniędzy i byli uzależnieni od finansowej pomocy z zewnątrz. Ich główny sponsor, UNDP, nie mógł przekazać im środków finansowych na zakup nieruchomości.

Katolicy duchowni i ojciec Samuel byli zachwyceni naszą własnością. Pomagali dzieciom ulicy i Riverdale Gardens pasowało jak ulał do tego przedsięwzięcia. Niestety, oni także w tej chwili nie mieli na to funduszy. Nasz trzeci gość, lokalny przedstawiciel międzynarodowej organizacji, był także wyraźnie zainteresowany, ale i on nie dysponował teraz odpowiednimi środkami finansowymi; już dawno przekroczył budżet na ten rok.

A więc mimo poważnego zainteresowania, wszyscy nasi potencjalni nabywcy mieli, zdaje się, ten sam problem: brak pieniędzy. Choć obniżyliśmy już znacząco naszą cenę, ciągle jeszcze nie miał kto jej zapłacić.

Musieliśmy rozważyć pomysł z transakcją z odroczonym terminem płatności. Komu najbardziej moglibyśmy zaufać w takiej sytuacji?

Po licznych spotkaniach z naszymi ewentualnymi kontrahentami postanowiliśmy sprzedać Riverdale Gardens dużej międzynarodowej organizacji, chociaż mogła nam zapłacić dopiero w następnym roku budżetowym. Miejscowy przedstawiciel mógł się wprowadzić do głównego gmachu dziesiątego czerwca, tuż po naszym wyjeździe do Nairobi. Mieliśmy do załatwienia kilka spraw w stolicy przed planowanym na połowę miesiąca wyjazdem do Szwecji na nasze dwumiesięczne wakacje.

Uzgodniona kwota nie była za wysoka, ale organizacja prowadziła kilka wartościowych projektów w Kenii. Umowę sprzedaży mieliśmy podpisać po naszym powrocie.

Pojawił się jednak nowy kłopot: co zrobić z naszymi psami, skoro znaleźliśmy kupca? Po długich naradach stwierdziliśmy, że musimy znaleźć nowy dom dla Rufusa i Merry. Nasi przyjaciele z Kisumu twierdzili, że RSPCA może znaleźć dla nich odpowiednią rodzinę. Oczywiście, mieliśmy jeden warunek: nie wolno rozdzielać tej pary. Na razie postanowiliśmy zostawić nasze psy w schronisku w Nakuru, skąd RSPCA miał je zabrać. Prawdopodobnie uda nam się znaleźć w okolicy nowy dom dla naszego najmłodszego psa -Musse'a.

Pod żadnym warunkiem nie chciałam towarzyszyć Bertilowi w wyprawie do Nakuru. Nie chciałam zapamiętać naszych psów z momentu rozdzierającego pożegnania. Pragnęłam widzieć je takimi, jakimi były w Riverdale Gardens, dlatego postanowiłam zostać w domu, a Bertil miał pojechać z Fredem.

Pożegnanie na łące było bardzo smutne. Przeżyliśmy razem tyle lat. Pamiętam, jak omal nie zdechły, pomogliśmy naszej suni urodzić szczeniaki i przypomniałam sobie wiele innych wydarzeń. W końcu przytuliłam nasze pupile na pożegnanie, a potem pobiegłam do chaty i, leżąc na łóżku, wybuchłam płaczem. Nawet nie spojrzałam na odjeżdżający samochód.

Rozdział 83.

Nasze szwedzkie wakacje.

Gdy Bertil wrócił z Nakuru, z radością opowiadał mi, że właściciel schroniska powiedział, że nie obowiązuje już kwarantanna dla psów przybywających do Szwecji z Kenii. Może załatwić nam tani transport lotniczy i będziemy mogli zabrać ze sobą nawet Musse'a. Razem z Bertilem doszli do wniosku, że RSPCA nie będzie musiał opiekować się naszymi psami. Pozostaną w schronisku, póki nie wylecimy na stałe do Szwecji.

Pomyślałam, że to bardzo dziwne, ale z drugiej strony chyba właściciel schroniska powinien się na tym znać.

- Linda, pozwól na chwileczkę - powiedziałam podczas wspólnego lunchu na werandzie z naszymi pracownikami. - To dla ciebie na pamiątkę.

Zapięłam jej na szyi srebrny łańcuszek z małym serduszkciem. Taki sam, tyle że z kłem rekina, dostał Fred, Willy zaś z niewielkim słoniem z jadeitu.

Bertil, który uczył ich szlachetnej sztuki hodowli boczników ostygowatych, od razu zauważył, że czują się bardzo niepewni.

- Wracamy pod koniec sierpnia, nie będzie nas zaledwie dwa miesiące - powiedział. - Podczas naszej nieobecności musicie dbać o hodowlę grzybów. Pamiętajcie o zachowaniu sterylnej czystości. Macie zresztą swoje notatki, wszystko będzie dobrze.

- Będziemy wysyłali e-maile przez cały czas. Jeśli zdarzy się coś pilnego, zadzwonimy do was - dodałam. - I przyrzeknijcie, że będziecie dbać o Musse'a.

Nasz pupilek jakby zrozumiał moje słowa; wskoczył mi na kolana i polizał po czubku nosa.

Kilka godzin później musieliśmy wyruszać do Kisumu, żeby zdążyć na samolot do Nairobi. Pan Muasya przybył w samą porę. Miał pilnować Riverdale Gardens podczas naszej nieobecności. Gdyby nie mógł zostać na noc, zamiast niego mieli stróżować nasi pracownicy.

W końcu zawiadomiliśmy personel, że sprzedajemy naszą posiadłość. Pewnie już się tego domyślali, sądząc po szybkości, z jaką niesły się plotki w Kenii. Na pocieszenie oświadczyliśmy im, że hodowla grzybni będzie kontynuowana, toteż nie muszą się martwić o zabezpieczenie na przyszłość.

- Do zobaczenia! - Wyściskawszy Musse'a na pożegnanie, wskoczyliśmy do samochodu. Towarzyszył nam Fred, który miał wrócić suzuki do domu. A zatem zostawialiśmy Riverdale Gardens na dwa miesiące, a nas czekały wspaniałe długie wakacje w Szwecji.

Rozdział 84.

Powrót do domu.

Autobus firmy Akamba ruszył ciężko z dworca autobusowego w Nairobi. Głęboko odetchnęliśmy. Po zamieszaniu i chaosie, jaki panował na dworcu, poczuliśmy głęboką ulgę, że wreszcie siedzimy w środku, chociaż czekała nas długa i męcząca całodniowa podróż. Tak czy siak, wracaliśmy wreszcie do domu. Do Riverdale Gardens.

Mijały godziny. Przez niemal całą drogę siedzieliśmy w milczeniu, z wyjątkiem momentów, kiedy ze zdenerwowania dostawaliśmy przyspieszonego oddechu, gdy nasz autobus niemal staczał się z drogi albo kiedy cudem uniknęliśmy wypadku. Kierowca chyba był szalony. Jak zwykle wioził nadkomplet pasażerów ściśniętych jak śledzie w beczce. Śmierdziało potem, było tłoczno, duszno i parno. Panował taki hałas, że nie dało się rozmawiać. Oboje zatem pograżyliśmy się w myślach.

Moją głowę przepelniały pytania i rozterki. Co teraz zrobimy? Czy jest jakieś inne wyjście? Jak oni mogli? Czy kompletnie postradali zmysły? Ale przecież przedstawiciel był Europejczykiem... Nurtowało mnie wiele niespokojnych myśli.

Podczas wakacji w Szwecji dowiedzieliśmy się, że międzynarodowa organizacja zrezygnowała z zakupu Riverdale Gardens. Wbili sobie do głowy, że zamierzamy zapłacić panu Muasyi prowizję od sprzedaży. Nigdy o tym nawet nie mówiliśmy. Byliśmy pewni, że te plotki rozsiewają wrogowie pana Musayi. Na dodatek nikt nas nawet nie zapytał, czy to prawda.

Zaraz po naszym powrocie ze Szwecji udaliśmy się do głównej siedziby tej organizacji w Nairobi. Europejski szef zarzucił nam, że jesteśmy nieuczciwi, ponieważ próbowaliśmy przywłaszczyć sobie działkę sąsiada. Nawet nie mieliśmy okazji zdementować kłamstw.

To wystarczyło, żeby wyprowadzić nas z równowagi. Byłam bardzo przygnębiona. Wyparowała ze mnie nawet cała radość ze spotkania z tatą w Szwecji.

Wolałabym, żebyśmy nigdy nie usłyszeli o Kenii. Znowu byliśmy w punkcie wyjścia.

Po krótkim odpoczynku w Nakuru wjeżdżaliśmy powoli w górę po zachodniej stronie Wielkich Rowów Afrykańskich. Po około godzinie nagle zobaczyłam na poboczu coś białego i szturchnęłam Bertila.

- Popatrz! - zawołałam. - Zaspy śnieżne.

Po raz pierwszy widziałam śnieg w Kenii i, szczerze mówiąc, bardzo dziwnie się poczułam. Nie wjechaliśmy zbyt wysoko ponad poziom morza - może ze dwa tysiące metrów - widok śniegu zatem zupełnie nas zaskoczył. Podczas naszej nieobecności musiało być tu wyjątkowo zimno.

Udało mi się może z godzinkę zdrzemnąć, ale wkrótce obudził mnie Bertil, ponieważ mieliśmy wysiadać. Dojeżdżaliśmy prawie do Wageya, gdzie miał na nas czekać Fred w naszym suzuki.

- Psze pani, strasznie się za panią stęskniłem! - wykrzyknął Fred, obejmując mnie i całując w policzek.

Co to było? Afrykański mężczyzna, a co więcej pracownik, przytula białą kobietę - swoją szefową - w miejscu publicznym w tłumie ludzi, którzy dobrze go znają. Coś było nie tak. Przypominało to raczej farsę. Fred i ja nigdy się przedtem nie obejmowaliśmy. Jedyłą oznaką poufałości był kiedyś mój opiekuńczy gest, kiedy położyłam mu rękę na czole, aby sprawdzić, czy ma gorączkę. Nie chodziło tu absolutnie o rasizm, tylko o prosty fakt, że w małych miejscowościach i wioskach kobiety i mężczyźni, niezależnie od koloru skóry, nie mogli się dotykać na oczach innych ludzi. Może w miastach wśród nowoczesnych Afrykanów było inaczej.

Wkrótce znowu byliśmy w domu. Ludzie przy drodze uśmiechali się do nas i machali. Tłum na publicznym placu koło naszej bramy gapił się na nas, kiedy przejeżdżaliśmy obok. Cóż to za zamieszanie? Czy coś się stało? A może po prostu chcieli dalej pracować przy hodowli grzybów? Czemu wszyscy zachowywali się tak życzliwie?

Kiedy samochód zatrzymał się przed restauracją i otworzyłam drzwiczki, przygnał do nas jakiś czarny stwór. Położył się na grzbiecie, żeby podrapać go po brzuszku, a potem próbował wskoczyć mi na ręce. To nasz ukochany mały Musse.

Linda, Fred i Willy mieli nam tysiące spraw do przekazania, ale poprosiliśmy, żeby na chwilę zostawili nas w spokoju. Chcieliśmy posiedzieć na werandzie i zaczerpnąć oddechu. Tymczasem nasi pracownicy byli rozpromienieni i wkrótce znowu próbowali nam pokazać to i owo...

Rozdział 85.

Pocałunek Judasza.

Wieczorem rozsiedliśmy się wygodnie na werandzie przy świetle lampy naftowej. Dużo rozmawialiśmy o bocznikach ostrygowatych oraz o wysiłkach podejmowanych przez pracowników podczas naszej nieobecności. Wedle ich opowieści oraz e-maili wysyłanych do Szwecji, pracowali z prawdziwym oddaniem. Tylko dlaczego wydali tyle pieniędzy?

- Bertil, zamierzam wprowadzić sprawozdania finansowe do komputera i sprawdzić, dlaczego tak dużo pieniędzy wydali na różne rzeczy. Nie mogę zrozumieć, co się stało z gotówką.

Po chwili usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Joe i Moses przyszli się z nami przywitać. Ucieszyliśmy się, że znowu widzimy naszych nocnych askari i przez chwilę z nimi pogadaliśmy.

- Bwana i Bibi, jak wam się podoba po powrocie? Czy pracownicy dobrze się spisali? Daliśmy sobie ze wszystkim radę? - spytał Joe po chwili.

Kiedy odpowiedzieliśmy, że jesteśmy zadowoleni, Joe i Moses sprawiali wrażenie, jakby coś jeszcze chcieli dodać, ale powstrzymali się w ostatniej chwili i zniknęli w ciemnościach.

- Mam wrażenie, że coś ich dręczy - stwierdził Bertil. - Musimy wypytać ich później. Jeśli zdarzyło się coś szczególnego, to pewnie sami będą nam chcieli opowiedzieć.

Następnego dnia rano usiadłam do komputera i zaczęłam wpisywać liczby w arkusze kalkulacyjne. Bertil natomiast poszedł sprawdzić hodowlę grzybni, wrócił po chwili pochmurny i stwierdził, że jest bardzo zanieczyszczona i właściwie wszystko musimy zacząć od początku. Dlaczego nasi pracownicy nie powiedzieli nam o tym?

Później w ciągu dnia poszliśmy do Wulushi spotkać się z naszym przyjacielem Petrussem. Dziwne, że do tej pory nie wpadł się z nami przywitać. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy go i spytaliśmy, co się działo w Riverdale

Gardens podczas naszej nieobecności. Poskarżył się, że między nim a naszymi pracownikami doszło do scysji i go wyrzucili. Nie bywał tam więc zbyt często i trudno mu powiedzieć, co się działo. Znowu odnieśliśmy wrażenie, że Petrus coś ukrywa. Zaniepokoiiliśmy się. Coś złego musiało się stać.

Chciałam jeszcze dokończyć pracę na komputerze i podliczyć wpływy i wydatki, zanim zabiorę się za dokładne wypytywanie. Pomyślałam, że może sama coś wykryję i rzeczywiście tak było. Nasi pracownicy kupili ilość paliwa wystarczającą na dwadzieścia podróży do Nairobi i z powrotem, koszty jedzenia były wręcz astronomiczne oraz pojawiło się, nie wiadomo skąd, mnóstwo dziwnych drobnych wydatków bez kwitów i faktur. Zginęło sto kilogramów grzybni, chociaż odliczyliśmy tę ilość, która, zdaniem Lindy, była zepsuta. Summa summarum rozeszło się mnóstwo pieniędzy, natomiast nie było śladu jakichkolwiek wpływów. To nie wyglądało na brak doświadczenia i niechlujstwo, a raczej na umyślne działanie.

Trudno było udawać szczęśliwych przed naszymi pracownikami, ale zanim wysuniemy jakieś oskarżenia, postanowiliśmy najpierw wypytać ludzi w okolicy, co tu się działo.

Tak jakby czytał w naszych myślach, nagle pojawił się u nas pan Ongeri z Butere - jeden z hodowców grzybów w tamtej okolicy. Pokazał nam długą listę zakupów, którą dostał od pewnego mężczyzny w Butere. Lista zawierała rozmaite rzeczy konieczne do hodowli grzybni. Ten człowiek poprosił pana Ongeri o ich zakup i teraz nasz znajomy chciał nam zadać parę pytań.

Przyjrawszy się uważnie specyfikacji, stwierdziliśmy, iż pomimo różnych błędów, figurowały tam rzeczy, których sami używaliśmy do produkcji grzybni. Można stosować wiele różnych składników, ale lista zawierała dokładnie te, których my używaliśmy. Ktoś z pracowników musiał zdradzić naszą tajemnicę hodowli. Pan Ongeri był życzliwym człowiekiem i naprawdę bardzo się przeraził, kiedy usłyszał prawdę.

Obiecał nam, że spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej i wykryć, w jaki sposób ta lista trafiła w niepowołane ręce.

Tego wieczoru Joe miał wolne, ale przyszedł do nas Moses i oświadczył, że musi nam o czymś powiedzieć. Usiedliśmy razem w domu i wtedy wyznał nam, co się działo w Riverdale Gardens podczas naszej nieobecności.

Służący, Fred i Willy, na zmianę korzystali z naszej sypialni i sprowadzali sobie dziewczyny. Wieczorami przez nasz dom przewijały się gromady ludzi i niemal co dzień odbywała się jakaś popijawa. Dom i mieszkanie zmieniły się niemal w publiczny lokal. Oczywiście Linda nie uczestniczyła w wieczornych balangach, natomiast od rana godzinami zmywała kieliszki i szklanki z naszego barku. Chłopcy rozbijali się po całej okolicy naszym samochodem. Hodowla grzybów z Riverdale Gardens okryła się złą sławą ze względu na spleśniałą grzybnię, którą sprzedawali Fred i Willy. Moses poprosił nas, żebyśmy nikomu nie mówili, co nam wyznał, a my obiecaliśmy mu, że dotrzymamy słowa.

Siedzieliśmy jak otępiali, kiedy Moses wyszedł na swoją nocną wartę. Dostałam mdłości już na samą myśl o tym, że nasza prywatna sypialnia stała się po prostu burdelem. Miałam ochotę ich zabić.

- W porządku - stwierdził Bertil. - Teraz już wiemy, co tu się działo. Możemy przepytac Joego i Petrusa, udając, że słyszeliśmy plotki krążące w wiosce. W ten sposób nikt się nie dowie, że to Moses ich zdradził.

Poczułam się kompletnie wyprana z emocji. Zupełnie pusta. Ze szczerego serca podarowałam im srebrne łańcuszki na pamiątkę. Przecież byliśmy jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Jak oni mogli?

Przez kolejne dwa dni przepytywaliśmy Joego, Petrusa oraz innych ludzi, którym ufaliśmy. Dowiedzieliśmy się, że nasze Suzuki było używane jako taksówka. Fred, Willy, Simon i jeszcze jeden chłopak wozili się po całej okolicy jak królowie. Joe potwierdził opowieści Mosesa na temat nocnych ekscesów, a z kolei Petrus opowiedział, co się działo za dnia. Niektórzy z hodowców grzybów poskarżyli się na spleśniałą grzybnię, a my obliczyliśmy, ile pieniędzy zniknęło. Zgromadziliśmy już wystarczająco dużo dowodów, aby skonfrontować się z tym trio.

Zwołaliśmy zebranie na werandzie. Cała trójka, nic nie podejrzewając, stawiała się razem. Wcześniej nie daliśmy po sobie poznać, że coś wiemy. To dopiero był szok.

W końcu ujawniliśmy, że wiemy wszystko o ich przewinieniach. Pokazaliśmy im spis wydatków i zażądaliśmy wyjaśnień. Gdzie są codzienne notatki, które obiecał prowadzić Fred? Gdzie się podziało tyle kilogramów grzybni? Co się stało z warzywami o wartości wielu tysięcy szylingów? A te nocne libacje w naszym prywatnym mieszkaniu? Cała trójka milczała, byli coraz bardziej zmieszani.

W końcu zapytaliśmy, jak mogą to wszystko wytłumaczyć oraz czy chcą nam powiedzieć prawdę. Wszyscy troje uparcie milczeli, nie odzywając się ani słowem. Powiedzieliśmy im zatem, że mają trzy dni, żeby do wszystkiego się przyznać. Jeśli wyznają prawdę, zastanowimy się, czy ich dalej zatrudniać. Oczywiście ci, którzy nic nie powiedzą, zostaną zwolnieni i nie dostaną listu polecającego. Ostrzeżyliśmy ich, że jeszcze nie podjęliśmy decyzji, czy powiadomić o całej sprawie policję, czy nie.

Tylko Fred przyznał się do winy - może nie do wszystkich swoich przewinień, ale przynajmniej do części - i oczywiście obwiniał pozostałych, jak tylko mógł. Prawdę mówiąc, niewiele swoich występków mógł usprawiedliwić, ale potrzebne nam były jego zdolności techniczne, dlatego zdecydowaliśmy się go zatrzymać i dać mu drugą szansę.

Jednakże byliśmy głęboko przeświadczeni, że nie możemy mu już nigdy więcej zaufać. Na jego widok, za każdym razem przypominałam sobie tamten pocałunek w policzek na dworcu. Prawdziwy pocałunek Judasza.

Linda i Willy więcej się nie pojawili. To oznaczało, że zostali zwolnieni. Żałowałam Lindy, bo naprawdę ją lubiłam. Natomiast Willy był zimnym, wyrachowanym draniem, i szczerze mówiąc, cieszyłam się, że się go pozbyliśmy.

Rozdział 86.

I znowu ciężka harówka.

Postanowiliśmy zapomnieć o naszych kłopotach, rzucając się w wir pracy. Wieczorami czuliśmy się tak wyczerpani, że szybko kładliśmy się spać. Codzienny trud okazał się dużo lepszy niż rozmyślanie o tym, że oszukali nas pracownicy, którym zaufaliśmy. Najgorsze, że traktowaliśmy ich niemal jak członków rodziny.

Przyjęliśmy Freda na dwumiesięczną próbę. Najmniejszy popełniony błąd i natychmiast miał wylecieć. Pracował teraz z nami nasz przyjaciel Petrus, który do pomocy przy hodowli grzybów ściągnął swojego kolegę, Berniego. Naszą służącą została Macy; nie potrafiła co prawda dobrze gotować, ale przede wszystkim miała nas wesprzeć przy hodowli boczników. Zatrudniliśmy także dwudziestoletniego Tommy'ego, głuchoniemego po przebytej w czwartej klasie odrze. Ponieważ uczył się w szkole rolniczej, miał się przede wszystkim zająć ogrodem i uprawą warzyw. Łatwo się było z nim porozumieć za pomocą ręcznie pisanych notatek, ponieważ potrafił czytać po angielsku i był szczęśliwy, że dostał pracę. Poprawił nam się nastrój, a harówka przy grzybach była dla nas miłą odmianą.

Chłopcy pracowali na zmianę co drugą sobotę. Chyba nawet polubili zajęcia, jakie im zlecałam. Na przykład ścinanie kwiatów i układanie z nich kompozycji w wazonach. Oczywiście, Petrus nie miał konkurencji. Był przede wszystkim ogrodnikiem, ale Bernie, Fred i Tommy również świetnie dawali sobie radę. Zabierało im to z reguły kilka godzin, ale mogli zrywać kwiaty i gałęzie, jakie im się podobały. Chcieliśmy tylko, żeby wazony były pełne kwiatów i to jak najładniej ułożonych. Ale musiałam ugryźć się w język, kiedy pewnego dnia Bernie zerwał kwiat agapanu, lilii afrykańskiej, która zakwitła po raz pierwszy.

Poświęciliśmy się pracy. Grafik był szczerlnie wypełniony spotkaniami związanymi z naszym „grzybowym projektem”. Jeździliśmy w różne miejsca, a hodowlę należało bez przerwy nawadniać. Na bieżąco trzeba było robić notatki, wszystko sprawdzać i przeprowadzać kontrolę jakości. Musieliśmy także przejrzeć pudła z suszonymi grzybami, które spakowała Linda podczas naszego pobytu w

Szwecji. Niestety, nie przejrzała grzybów przed suszeniem i nie odrzuciła robaczywych. Teraz ja musiałam to zrobić, a nie było to proste, suszone grzyby były bowiem zapakowane w małe plastikowe torebki, żeby łatwiej było je sprzedać.

Bertil i ja dużo jeździliśmy po okolicy. Odwiedzaliśmy znajomych w odległych miejscowościach oraz odbywaliśmy wizyty handlowe w Kitale, Kisumu, Eldoret i Kakamega. Ludzie byli na ogół życzliwi. Nasze plastikowe torebeczki z suszonymi grzybami, hermetycznie zamknięte specjalnym urządzeniem i z ładną naklejką na opakowaniu, bardzo się wszystkim podobały i teraz czekaliśmy na zamówienia. Wysyłaliśmy także ulotki reklamowe do sieci hoteli oraz obozowisk i kempingów w parkach narodowych.

Zainteresowanie miejscowych hodowlą grzybów nie miało końca. Byliśmy między innymi w lesie deszczowym, w siedzibie KEEP, gdzie zorganizowaliśmy wykład dla grupy japońskich profesorów i doktorów, ekspertów od ochrony lasów tropikalnych. Czułam się tak, jakbym woziła drzewo do lasu. Japonia słynie z najlepszych hodowli grzybów, ale różnica między uprawą grzybów w sterylnych i nowoczesnych warunkach, a dość prymitywną metodą na włóknie banana jest naprawdę ogromna.

Nasz holenderski znajomy, którego poznaliśmy go przez Internet, przyjechał do nas na parę tygodni i przez ten czas nauczył nas paru sztuczek związanych z hodowlą grzybów. Pozwoliliśmy Fredowi dalej pracować przy grzybni, ale tym razem byliśmy czujni. Najważniejsze szczegóły dotyczące uprawy tym razem trzymaliśmy w sekrecie, aby znowu nas nie oszukał.

Bertil skonstruował suszarnię grzybów zasilaną energią słoneczną. Idealnie suszyła grzyby - dziesięć kilogramów dziennie - a jednocześnie mogliśmy sprawdzać ich czystość i jakość.

Przez cały dzień przewijały się przez nasz dom tłumy ludzi, przynoszących grzyby z domowych hodowli. Każdego dnia przyjmowaliśmy od pięciu do sześciu kilogramów. Najzdrowsze i najładniejsze okazy sprzedawaliśmy świeże, natomiast pozostałe - trochę gorszej jakości - suszyliśmy i pakowaliśmy.

Wielka sieć hoteli zwróciła się do nas z prośbą o dostarczenie świeżych grzybów. Chcieli od nas kupić całą produkcję. Najtrudniej jednak było opracować taką metodę, aby były świeże, nawet po transporcie chłodniami do Nairobi lub na wybrzeże.

Udowodniliśmy wszystkim, że można hodować grzyby tanim kosztem i wcale nie są do tego potrzebne najnowocześniejsze metody. Chcieliśmy przekształcić naszą ideę w projekt pomocowy na skalę całego regionu. Ponieważ sami nie mogliśmy zapłacić za jego realizację, próbowaliśmy pozyskać środki finansowe. Po wykonaniu tytanicznej pracy wysłaliśmy w końcu projekt budżetu do naszych potencjalnych sponsorów, między innymi do UNDP i USAID.

Rozdział 87.

Nasze psy wracają do domu.

Wiedzieliśmy, że jeszcze przez jakiś czas pozostaniemy w Afryce, dlatego postanowiliśmy zabrać Rufusa i Merry do domu. Bardzo za nimi tęskniliśmy.

Właściciel schroniska w Nakuru nie chciał nikomu ich powierzać z prostej przyczyny: „Tubylcy mają źle w głowach. Zabijają psy i wszystko, co się rusza”. W swoim schronisku trzymał czterdzieści psów, za co nikt mu nie płacił. Na dodatek miał u siebie w domu jeszcze jedenaście rannych i okaleczonych psów oraz całą gromadę bezdomnych kotów, a w nocy osły z okolicy mogły paść się w jego ogrodzie.

Dowiedzieliśmy się jednak, że nie można wwozić do Szwecji psów z Afryki bez poddania ich długiej kwarantannie. Sprawdziliśmy to podczas naszego pobytu w domu, a zatem w tej sprawie właściciel schroniska był źle poinformowany. To oznaczało, że nie będziemy mogli zabrać naszych psów do Szwecji, dlatego musieliśmy nacieszyć się ich towarzystwem, póki mieliśmy ku temu okazję.

To było wzruszające powitanie. Na nasz widok psy zaczęły wyć. Kiedy przyjechaliśmy do Riverdale Gardens, Rufus i Merry natychmiast poznały znajome kąty. Ponieważ nie wiedzieliśmy, jak zachowują się nasze samce, Rufus i Musse, trzymaliśmy Musse'a na smyczy. Merry podbiegła do niego, wylizała dokładnie i zaczęła go iskać, tak jak dawniej. Rufus w ogóle nie zwrócił uwagi na Musse-'a i szybko odzyskał dawną pozycję przywódcy stada. Musse przyjął to bez problemu. Innymi słowy, w naszej sforze wszystko wróciło do normy.

Kilka dni po powrocie naszych psów szłam do toalety położonej w dolnej części naszej posiadłości. Nasi pracownicy właśnie jedli lunch, a Bertil wyjechał do Kakamega. Gwizdnęłam na psy i zesłam na dół otworzyć furtkę. Nagle wylądowałam na ziemi i gorączkowo zastanawiałam się, jak stanąć na nogi. Rozpędzone psy wpadły na siebie w otwartej furtce i zeslizgnęły się w dół, wprost na moją prawą nogę i kolano. Jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilogramów rozpędzonej żywej wagi. Takiego uderzenia nie da się nie poczuć.

Po chwili zdołałam się pozbierać. Przynajmniej nie miałam złamanej kości udowej. Za to straszliwie napuchło mi kolano. Czułam także, że mam stłuczone mięśnie nogi, ale dzięki maści, środkom przeciwbólowym i opatrunkom po paru dniach mogłam stanąć na nogi. Na całe szczęście nie miałam uszkodzonej łąkotki. Od tej pory, kiedy wychodziłam na spacer, zawsze nosiłam ze sobą wodę w rozpylaczu. Jeśli jakiś pies usiłował się wepchnąć przede mną, robiłam mu prysznic. Ponieważ nasi byli pracownicy zmarnowali mnóstwo grzybni, musieliśmy zająć się produkcją nowej. Było to bardzo czasochłonne zajęcie. Codziennie mnóstwo ludzi przyjeżdżało do nas kupić grzybnię - byli nawet gotowi wpłacać zaliczkę - niestety wyjeżdżali z pustymi rękami, ponieważ nie mieliśmy jeszcze wystarczającej ilości na sprzedaż.

Wielkonakładowa popularna gazeta zamierzała zamieścić artykuł o naszym „grzybowym projekcie”, telewizja także planowała nakręcić jakąś migawkę, a my zostaliśmy zaproszeni do udziału w wielkim wydarzeniu związanym z hodowlą grzybni w Butere. Wszyscy miejscowi notable także dostali zaproszenia, a my oczywiście mieliśmy nadzieję, że nasza grzybnia rozwinie się na czas.

W międzyczasie szykowaliśmy torby z grzybami dla nas, by mieć przynajmniej dosyć świeżego towaru, którego sprzedaż pokryje koszty paliwa potrzebnego na nasze podróże do Kisumu. Porządnie zapakowane paczuski suszonych grzybów dostarczaliśmy do sklepu w Kakamega, w którym zaopatrywali się właściciele hoteli.

Długo próbowaliśmy rozwiązać problem transportu świeżych grzybów tak, aby wytrzymały wielogodzinną podróż, ale mimo różnych prób nie udało nam się wymyślić sensownego rozwiązania. Teraz postanowiliśmy wybudować wielką chłodnię działającą nie na prąd, paliwo czy naftę, tylko poprzez odparowywanie wody z użyciem węgla drzewnego.

Za kuchnią znajdował się ocembrowany basenik o wymiarach 3,5 na 1,2 metra - wcześniej traktowaliśmy go jako brodzik dla dzieci naszych gości; bawiły się w nim w płukanie złota. Teraz wznieśliśmy nad nim nadbudówkę i w ten sposób

mieliśmy chłodnię o wysokości prawie dwóch metrów. Było w niej mnóstwo miejsca na świeże grzyby oraz przechowywanie innych produktów żywnościowych.

Ściany wyłożyliśmy metalową siatką, zarówno od wewnątrz, jak i zewnątrz, a między nimi pozostawiliśmy około 30 centymetrów wolnej przestrzeni wypełnionej węglem drzewnym. Na dachu również wysypaliśmy warstwę węgla, a na samym wierzchu położyliśmy cynową blachę z brzegiem wygiętym do góry. Napelniliśmy tę specyficzną tacę węglem i wodą. Paski juty odprowadzały wodę z tacy w dół, na ściany z węgla. Kiedy woda parowała na słońcu, temperatura wewnątrz chłodni spadała.

Aby chłodnia dobrze spełniała swoją funkcję, potrzebowaliśmy dużo wody. Ta kwestia ciągle jeszcze pozostawała nierozwiązana.

Pewnego dnia facet od wody po raz kolejny poprosił o pieniądze na paliwo do pompy. Wręczyliśmy mu pewną kwotę, ale, jak można się było spodziewać, ktoś inny, kto nigdy nie zapłacił za wodę, a do wodociągu podłączył się samowolnie, korzystał z niego za darmo. Ponieważ Riverdale Gardens znajdowało się na samym końcu, dla nas zazwyczaj wody już brakowało. Szanse na wykorzystanie nowo wzniesionej chłodni były więc dość mizerne. Czy dawne doświadczenia niczego nas nie nauczyły? Powinniśmy w końcu zrozumieć, że tu nic nie będzie działało bez zakłóceń.

Nie mogliśmy hodować i sprzedawać grzybni bez dostępu do bieżącej wody potrzebnej do chłodzenia naszego magazynu. Chłodnia była niezbędna do przechowywania świeżych grzybów. Mogliśmy osiągnąć całkiem niezłe dochody z ich sprzedaży, a jednocześnie potrzebowaliśmy dopływu gotówki, żeby zapłacić miejscowym za dostawę. I tu koło się zamykało, nie ma wody, nie ma gotówki dla miejscowych.

Podczas ostatniego spotkania Komitetu do spraw Wody, wyrzucono starego pracownika od wodociągu. Na kolejnym spotkaniu wódz, stojący ponad całym komitetem, przywrócił go na dawne stanowisko.

W ten sposób wstrętny staruch miał teraz oficjalne poparcie wodza i wiedział, że nie zmusimy go do odkręcenia zaworu, nawet jeśli mu zapłacimy. W

ten prosty sposób zniszczono nasz pomysł na nową chłodnię. A to oznaczało, że próbują nas zmusić do wyjazdu.

Drut telefoniczny prowadzący do naszego domu miał około kilometra długości i wisiał na słupach i drzewach. Miejscowi często ścinali jakieś drzewo, a ono zwykle spadało na kabel. Oczywiście drut się przerywał, a my nie mieliśmy telefonu. Wtedy do roboty zabierał się Bertil. W sumie tysiącmetrowy drut był naprawiany aż w 123 miejscach. Przez skręcone lub zlutowane kable nasze połączenia przerywały wciąż trzaski i szумы. Czasami mogliśmy łączyć się ze światem tylko przez Internet. Transmisja danych odbywała się z prędkością 1200 bodów zamiast 14 400, a nasz telefon często nie działał. Byliśmy częstymi gośćmi w spółce telekomunikacyjnej, choć ostatnio zaszły tam pewne zmiany.

Urząd pocztowy, do którego wcześniej należała także spółka telekomunikacyjna, został ostatnio sprywatyzowany. Jedynym widocznym rezultatem były nowe estetyczne tablice w Kakamega z wielkim napisem: TelCom Kenia. Poniżej można było przeczytać między innymi: Obsługa Klientów i Dział Przyjmowania Skarg i Zażaleń. Jednak, jak okazywało się po wejściu do budynku, wspomnianych czynności już nie wykonywano. TelCom widocznie uznał, że sobie świetnie bez tego poradzi. Jeśli klient chciał złożyć skargę, nie miał się do kogo zwrócić.

Po wielu nieudanych próbach Bertil wreszcie zdołał się umówić w czwartek na spotkanie z zastępcą kierownika oddziału TelCom Kenia w Kakamega. Przypomniawszy urzędnikowi o obietnicy złożonej dwa i pół roku temu, że ciągle zrywane i naprawiane kable zostaną wymienione. Kierownik obiecał załatwić to następnego dnia, najpóźniej w sobotę. Wyobraźcie sobie, że następnego dnia naprawę pojawiła się ekipa i wymieniła tysiącmetrowy drut. Wszystko działało teraz dużo lepiej. Ale po dwóch dniach znowu ktoś zwałił drzewo na linię telefoniczną.

Wódz wioski organizował kolejne harambee. Tym razem zbierał pieniądze na wykończenie swojego biura, ale tylko dwadzieścia osób uczestniczyło w zbiórce, zamiast kilkuset, jak to zawsze bywało. Przy ostatnim harambee, kiedy

podarowaliśmy wodzowi okazałą kwotę, zebrał tyle, że wystarczyło na wybudowanie nowego biura, które jednak nigdy nie zostało wykończone. Ciągłe jeszcze brakowało drzwi i okien. Choć, z drugiej strony, okazało się, że pieniędzy wystarczyło na to, żeby wódz mógł się przeprowadzić do nowo wybudowanego, przytulnego, własnego domu. Właśnie dlatego postanowiliśmy zignorować kolejne harambee.

Niechęć wodza do świadczenia nam pomocy, która byłaby działaniem na rzecz wioski i ciągle złośliwe niweczenie naszych planów doprowadzały nas do szału. Na dodatek fakt, że był przekupny, nie nastrajał nas do niego przyjaźnie. W pewien piątek wywołałam skandal w Wulushi. Przy ludziach nawrzeszczałam na wodza, a nawet kazałam mu zamilknąć. Pewnie, odkąd wybrano go na wodza, po raz pierwszy ktoś odważył się powiedzieć mu coś takiego w twarz.

Po tej scenie pojechaliśmy prosto do Urzędu Dystryktu i wręczyliśmy zarządcy długą listę naszych zastrzeżeń do wodza. Zarządca zbladł, kiedy przeczytał nasze pismo do końca.

Opowiedzieliśmy także, powołując się na świadków, że pewnego wieczoru w barze w Wushiye słyszano, jak wódz mówił:

- Ci Europejczycy, którzy mieszkają w mojej wiosce, to źli ludzie. Zatrudniają miejscowych, potem im nie płacą i wyrzucają z pracy. Jeśli ktoś z naszej wioski zaatakuje Wazungu w nocy, nie chcę, żeby sąsiedzi biegli im na pomoc.

Mogliśmy spróbować nakłonić świadków do złożenia pisemnych zeznań, ale problem w tym, że nie wiedzieliśmy, czy się odważą. Na podstawie takiego dokumentu wódz natychmiast straciłby swoje stanowisko, ale nas pewnie wyrzucono by z Kenii. Akurat tym wcale się już nie zajmowaliśmy.

Pojawiło się zresztą nowe zagrożenie. Otóż, choć na razie niewielu, byli nam niechętni tylko dlatego, że byliśmy biali. Może brało się to z nienawiści wobec białych osadników, której korzenie sięgały jeszcze czasów kolonialnych. Dodatkowo podgrzewały tę atmosferę napięcia w Zimbabwie. Chociaż wielu miejscowych miało do nas dobre nastawienie, to jednak nawet nieliczni poprzez rozsiewanie złośliwych

plotek mogli wyrządzić nam wiele zła. Już wcześniej przekonaliśmy się na własne oczy, jak łatwo podburzyć tłum.

Słowa wodza, które niosły przekaz: Huzia na Wazungu oraz antykolonialne nastroje naprawdę mnie przerażały. Znowu nocami dręczyły mnie koszmary i nie zgadzałam się pod żadnym pozorem wyjść poza granice naszej działki. Jadąc samochodem, nie zatrzymywaliśmy się, żeby porozmawiać z ludźmi na drodze, nawet jeśli dawali nam znaki, że chcą z nami pogadać. To było zbyt niebezpieczne. To straszne nie wiedzieć, kto jest naszym prawdziwym przyjacielem, a kto tylko udaje. Przez lata spędzone w Kenii zaufaliśmy tyłu złym ludziom, że teraz woleliśmy nie ufać nikomu z wyjątkiem naszych najbliższych współpracowników.

Rozdział 88.

Legalizacja pokątnego pędzenia bimbru.

Podobnie jak wiele razy wcześniej stwierdziliśmy, że ten kraj oszalał. Nieoczekiwanie prezydent zalegalizował do tej pory nielegalne pędzenie bimbru. To się zdarzyło tuż po śmierci 140 osób, które spożyły skażony bimber destylowany domowym sposobem, a wielu innych ciągle umierało w Nairobi i okolicach.

W naszym rejonie bimber pędzono w buszu. Przemoc i przestępczość narastały na skutek domowej produkcji samogonu. Jeden z zastępców naszego wodza był w śpiączce. Raniono go panga w głowę, kiedy parę dni wcześniej, razem z wioskową starszyzną, próbował zamknąć nielegalną bimbrownię w Wulushi. Właściciel wściekł się, złapał panga i kilkakrotnie uderzył zastępcę wodza w głowę. Ten wypadek miał miejsce parę dni przed oświadczeniem głowy państwa. Biedny zastępca i jego rodzina prawdopodobnie nie dostali żadnej zapomogi, bo okazało się, że teraz produkcja samogonu jest zgodna z prawem.

Otrzymaliśmy mnóstwo odpowiedzi na e-maile do ambasad oraz międzynarodowych organizacji pomocowych w sprawie finansowania naszego projektu. Niestety, kilkanaście z nich odpowiedziało nam, że wycofuje się z działalności na terenie Kenii: niewiele nowych projektów było obecnie realizowanych z powodu wszechobecnej korupcji. Z UNDP jeszcze nie przystąpi ostatecznej odpowiedzi, ale spytali, czy istnieje możliwość rozszerzenia projektu na inne rejony Kenii. Odpowiedzieliśmy, że jest to uzależnione od klimatu, dostępu do rynku i podstawowych komponentów. Zupełnie niespodziewanie przedstawiciel UNDP pojawił się u nas, aby z bliska przyjrzeć się projektowi. Niestety, właśnie wtedy byliśmy w Kisumu.

Z drugiej strony, władze Prowincji Zachodniej Kenii miały nadzieję na pozyskanie większych środków dla poprawy sytuacji chorych na AIDS. Próbowaliśmy zatem z większym zapałem znaleźć kupca pragnącego zmienić Riverdale Gardens w sierociniec.

Pewnego dnia rano zabrakło mleka dla naszych psów. Postąpiliśmy tak samo jak nasi pracownicy, kiedy nie było mleka do herbaty: kupiliśmy je w sklepiku Njomba. Znowu otworzył sklep spożywczy w domu ojca. Nabyliśmy dziwnie rozwodniony, prawie przezroczysty płyn w plastikowej torebce.

Bertil sprawdził mleko swoim densymetrem i odkrył, że w 50% składa się z wody. Za coś takiego płaciliśmy personelowi kupę pieniędzy codziennie przez wiele lat. Na dodatek wątpiliśmy w czystość wody, którą Njombo rozcieńczał mleko. Po tym odkryciu zaczęliśmy kupować je w mieście nawet to na śniadanie dla pracowników. Dawaliśmy im co prawda połowę tego, co wcześniej, ale i tak otrzymywali więcej prawdziwego tłustego mleka, niż otrzymywali poprzednio.

W mieście kupowaliśmy tylko kilka kartonów świeżego mleka i resztę mleka UHT. Co pewien czas zaopatrywaliśmy się w zgrzewkę mleka UHT, toteż wszystkie kartony miały tę samą datę. Czasami okazywało się, że mleko jest skwaśniałe i nie nadaje się do spożycia. Wtedy zwracaliśmy całą zgrzewkę i pokazywaliśmy sklepikarzowi kartonu ze skwaśniałym mlekiem. Nie było mowy o tym, żeby odsyłał mleko z reklamacją do producenta - nic podobnego. Trafiało z powrotem na półki z nabiałem. Jeśli mieliśmy pecha, mogliśmy znowu nabyć to samo zepsute mleko.

Jeśli chodzi o przypadki otruc, to spotkaliśmy pewnego dnia naszego hydraulika, który wyglądał na przybitego. Spytałam go, co się stało. Powiedział, że ktoś zawistny otruł jego dwie świnię, które kupił kiedyś jako małe prosiaczki i długo tuczył, aby ubić na Boże Narodzenie. Miał nadzieję, że dużo na tym zarobi, a teraz obydwie świnię zdechły.

Mimo przeszkód schyłek jesieni okazał się dla nas bardzo pomyślny. Wszyscy czuliśmy się dobrze, praca była dla nas przyjemnością, mieszkańcy byli szczęśliwi, a nasi pracownicy przyjaźnili się z nami. Z naszego terenu dochodził radosny śmiech.

Jednak pora deszczowa była najgorsza z dotychczasowych. Równowartość średnich rocznych opadów w Szwecji tu spadała w ciągu godziny. Lokalne drogi były podtopione i większość z nich przypominała błotniste bajora. Słońce pojawiało

się rzadko, a to oznaczało, że nie mogliśmy doładować baterii słonecznych. Natomiast nasze zbiorniki wody przelewały się niemal co dnia, toteż na brak wody nie mogliśmy się skarżyć.

Być może z powodu intensywnych opadów deszczu wszystkie nasze drzewa awokado miały dziesięciocentymetrowe owoce.

Posadziliśmy je zaledwie dwa i pół roku temu - i już rodziły. Mieszkańcy twierdzili, że to wręcz niewiarygodne. Zazwyczaj dopiero po siedmiu latach na drzewach pojawiały się owoce. Nasze drzewa miały teraz po pięć, sześć metrów wysokości i były obsypane kwiatami i owocami.

Pewnego dnia, kiedy wyjątkowo nie padało, postanowiliśmy na jeden dzień wyskoczyć po zakupy do Kisumu. Kiedy szliśmy główną ulicą, zahamował przy nas raptownie jakiś samochód. Kierowca zaprosił nas do sklepu ze sprzętem elektrycznym. Powiedział, że właśnie wrócił z centrali firmy w Kanadzie. Chciał nam dać nowy transformator zamiast poprzedniego, który nam się zepsuł jeszcze na gwarancji i zwróciliśmy go jakieś dwa lata temu. Prawdopodobnie była to reakcja na ostry e-mail Bertila skierowany do centrali firmy ze skargą na miejscowy sklep. Czekaliśmy wieki i wreszcie kupiliśmy nowy który nasi pracownicy zepsuli podczas naszego pobytu w Szwecji. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy dostali prezent na Gwiazdkę i mieliśmy nadzieję, że wreszcie pooglądamy sobie wideo.

Ale sprawy nigdy nie układały się tak, jak chcieliśmy. Pięć dni bez przerwy lał deszcz i baterie słoneczne były zupełnie wyczerpane. Potem przez pewien czas było słonecznie, ale wtedy odkryliśmy, że jedna z baterii jest popsuta. Nie mieliśmy zamiaru wydawać pieniędzy na kolejną. A zatem mieliśmy nowy transformator, ale nie mieliśmy baterii.

Rozdział 89.

Inwazja szczurów.

Nasz piekarnik nie działał tak jak trzeba. Już od dawna z niego nie korzystaliśmy. Postanowiliśmy wystawić go z kuchni i oczyścić. Być może gruntowne wyszorowanie pomoże - pomyślałam. Pracowaliśmy ciężko przez całe dwa dni. W tym czasie przyrządzaliśmy posiłki na kuchni węglowej jiko, a ponieważ mieliśmy niewielkie doświadczenie, raczej niewiele gotowaliśmy.

Podczas czyszczenia stwierdziliśmy, że szczury przegryzły wszystkie przewody i założyły sobie w nich gniazda. Ohyda! Teraz mieliśmy kuchenkę gazową, ale bez piekarnika. To samo stało się z lodówką; wszystkie przewody elektryczne były przegryzione; działała tylko na gaz. Kuchenkę mikrofalową zapakowaliśmy do kontenera. W ogóle nie działała, ale tym razem zawiniło krótkie spięcie, a nie szczury.

Grasujące szczury budziły we mnie wstręt. Nocami słyszeliśmy, jak skrobały pazurami o ścianę, a po chwili dochodziły odgłosy gryzienia. Bertil wywiercił od wewnątrz niewielkie otworki i spryskaliśmy te miejsca kwasem octowym. Szczury ponoć nie znoszą tego zapachu.

Po każdym spryskaniu mieliśmy spokój przez parę godzin. Ale kiedy intensywny zapach wyparował, gryzonie wracały. Niszczyły dosłownie wszystko. Wygryzały dziury w wielkich plastikowych baniakach z olejem roślinnym. Zazwyczaj robiły to tuż przy denku i wtedy olej powoli wyciekał. Nie oszczędziły nawet pojemnika z kwasem octowym. Czyżby w ramach zemsty?

Wieczorami Bertil parzył dla nas herbatę i wtedy Merry szła z nim do kuchni na wielkie polowanie. Była fenomenalna w chwytaniu i zagryzaniu szczurów. Można było niemal uwierzyć, że jest kotem. Czatowała na gryzonie, a potem wykańczała je w mgnieniu oka.

Żałowaliśmy, że tuż po przyjeździe nie kupiliśmy kota, żeby polował na szczury. Teraz woleliśmy tego nie robić, bo to nasze psy raczej zapolowałyby na koty. Wiedzieliśmy, że szczury przyciągają węże i przerażała nas myśl, że kobry

mieszkające gdzieś na naszym terenie mogą wślizgnąć się do domu. Bertil ostatnio opowiedział mi, że czasem w nocy słyszy, jak coś się ślizga po ścianie. Oczywiście podejrzewał, że to węże. Szkoda, że mi to powiedział.

Gdy stwierdziliśmy, że szczury są wszędzie, zaczęliśmy przeglądać nasze rzeczy. Kiedy nadejdzie dzień powrotu do Szwecji, nie chcieliśmy zabierać ze sobą żadnych pamiątek z naszego dawnego życia, tym bardziej tego rodzaju. Niestety, przede wszystkim trzeba było przejrzeć i oczyścić nasz kontener. Śmierdziało w nim pleśnią.

Kichaliśmy, kaszleliśmy, i dalej harowaliśmy. Musieliśmy w każdej chwili być gotowi do ucieczki.

Teraz, kiedy mieliśmy tyle energii, potrzebowaliśmy zmiany. Tak dużo dobrego słyszeliśmy o brazylijskim sierocińcu pod Kakamega, że postanowiliśmy go odwiedzić.

Brazylijska zakonnica, siostra Augusta, która zarządzała tym domem, była naprawdę wspaniałą osobą. Opiekowała się pięćdziesięciorgiem, sześćdziesięciorgiem dzieci w bardzo różnym wieku. Najstarsze liczyły ponad siedemnaście lat, a najmłodsze - jeden dzień. Traktowała je jak własne dzieci. Wycierała im nosy, myła, czesała i pocieszała. Czasem musiała je pochować. Dwoje noworodków umarło w czasie jednej z naszych wizyt. Niemowlęta często znajdowano porzucone w rowach, w lesie tropikalnym i na plantacjach trzciny cukrowej. Zostawiały je tam matki.

Starsi chłopcy byli z reguły bezdomni. Siostra Augusta przekonała ich, że lepiej będą mieli w sierocińcu niż na ulicy. W każdą sobotę w ręczała swoim podopiecznym kieszonkowe i pozwalała im spędzić czas z dawnymi kolegami z miasta. Mogli nawet włożyć swoje stare ciuchy i zostać tam przez cały dzień. Wracali dobrowolnie jeszcze przed kolacją, często w towarzystwie innych dzieci ulicy, którzy chcieli zamieszkać w sierocińcu siostry Augusty. Uważałam, że było to bardzo rozsądne i pedagogiczne podejście do dzieci.

Przywieźliśmy pudło z puzzlami dla dzieci. Zostawiło je nam małżeństwo amerykańskich misjonarzy, którzy przed rokiem wrócili do Stanów. Mieliśmy

mnóstwo zabawek, ale najpierw musieliśmy sprawdzić, czy działają, a zatem wieczorami układałam puzzle albo bawiłam się zabawkami. Zawieźliśmy także siedem czy osiem kiści bananów, ponieważ bananowce rosnące na terenie sierocińca były jeszcze za małe i nie owocowały. Zamierzaliśmy także podarować flance papai i papryki. Siostra Augusta tryskała radością, kiedy jej to wszystko ofiarowaliśmy. Daliśmy jej jeszcze wielkie torby suszonych grzybów. Chciała nam za to zapłacić, ale dla nas najlepszą gratyfikacją było jej poświęcenie dla tych biednych dzieci i, oczywiście, nie przyjęliśmy żadnych pieniędzy.

Elena i Sebastian także przyjaźnili się z siostrą Augustą i często zbierali datki na sierociniec. Siostra Augusta dopytywała się, co się dzieje z Eleną. Z ciężkim sercem opowiedzieliśmy jej, że nasza przyjaciółka parę dni temu wyjechała z Kenii zupełnie sama, bez grosza przy duszy i bez rzeczy. Wyemigrowała do Anglii, gdzie mieszkało jedno z jej dzieci. To było straszne.

Rozdział 90.

Boże Narodzenie.

Mieliśmy cztery ule. Tuż przed Bożym Narodzeniem z trzech z nich można już było wybrać miód. Taką operację przeprowadza się w nocy. Musisz się rozebrać niemal do naga i wziąć latarkę. Następnie wyjmujesz z ula plastry miodu, odcinasz warstwę wosku i wrzucasz do miski. W ten sposób gniazdo ulegało zniszczeniu, ale nie było to w końcu tak ważne, jak to, że cała operacja zwykle kończyła się wieloma ukąszeniami, ponieważ w nocy wszystkie pszczoły były w ulu.

Tym razem nasi shamba boys chcieli wybierać miód za dnia. Ze starych kapeluszy i moskitier zrobili osłony na głowy. Pewnie by się sprawdziły, gdyby nasi chłopcy ściślej przymocowali je do ciała. Kiedy zaczęli wybierać plastry z pierwszego ula, kilka pszczół dostało się pod siatki Freda i Petrusa. Fred zachował zimną krew, uchylił siatkę i przegnał pszczoły. I koniec. Za to Petrus, kiedy trzy pszczoły usiadły mu na twarzy, wpadł w panikę. Zabił je i uniósł siatkę. Natychmiast zaroilo się od przyjaciół zabitych. Kiedy ginie pszczoła, wysyła silny sygnał zapachowy, który wywołuje agresję całego roju.

Petrusa użądliło w twarz prawie trzydzieści pszczół. Biedak uciekł pod prysznic i zemdał. Kiedy go znalazłam, był bardzo słaby. Bertil pognał za mną, miał tylko dziesięć żądeł. (Ja byłam największą szczęściarą, bo tylko jedna pszczoła mnie ukąsiła.) Popędził do samochodu i przez krzaki i grządki kwiatowe podjechał pod sanitariaty. Załadowaliśmy Petrusa do samochodu, Fred trzymał go na kolanach. Bertil ruszył na pełnym gazie do Szpitala Misyjnego. Kiepska droga miała około ośmiu kilometrów, ale jechaliśmy zaledwie siedem minut zamiast dwudziestu siedmiu.

W szpitalu Petrus dostał dożylnie kortyzon i po kilkunastu minutach zaczął dochodzić do siebie. Po pół godzinie czuł się znacznie lepiej i chciał wracać do domu, więc lekarz pozwolił mu jechać. Jednak, kiedy dotarliśmy do domu, po zaledwie dziesięciu minutach znowu mu się pogorszyło. Nie mieliśmy wyjścia i znów pogналиśmy do szpitala. Tym razem Petrus został na noc na obserwacji.

Petrus nie powiedział nam, że cierpi na malarię. Malaria plus trzydzieści użądleń pszczoł to poważne zagrożenie życia. A jednak następnego dnia obudził się jak nowo narodzony i Bertil mógł go zabrać ze szpitala.

Ten dramatyczny epizod zdecydowanie ostudził przedświąteczną gorączkę. Bogu dzięki, że wszystko dobrze się skończyło.

Znowu nadeszło Boże Narodzenie (to szwedzka kolęda: Nu dr detjuligen...)

Nasze Boże Narodzenie, jak zwykle, nie było normalne. Żadnych świątecznych dekoracji z wyjątkiem kilku czerwonych świeczek, paru gałązek cyprysu ukradzionych z żywopłotu sąsiada i wielu czerwonych, żółtych i zielonych bukietów. Rano dolinę spowijała gęsta mgła, było pochmurno i niemal przez cały dzień padało. A według kalendarza pora sucha już się zaczęła.

Na święta mieliśmy szynkę i żeberka. Bertil zamarynował jeszcze śledzie. Jego grzane wino domowej roboty z miejscowymi przyprawami było znacznie lepsze od grzanego wina kupowanego w Szwecji. I to wszystko.

Niestety, „nasi przyjaciele” ukradli nam świąteczny prezent od ojca. Musieliśmy zadowolić się pięciolitrowym kartonem wina i kilkoma świeżo zakupionymi kieszonkowymi wydaniem książek.

W Wigilię siedzieliśmy na werandzie przy świetle lamp naftowych i świec. Na stoliku obok mnie stała filiżanka kawy i szklaneczka koniaku domowej roboty. 23 stopnie Celsjusza - i to wieczorem! Za to nie musieliśmy odśnieżać. Było romantycznie i egzotycznie. Jak pisał Vic-tor Rydberg w wierszu Tomten: „... .a gwiazdy skrzyły się i lśniły..

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem zebraliśmy z Fredem około dwudziestu pięciu kilogramów żółtej papryki. Nie była jeszcze zupełnie dojrzała, ale w domu doszła po kilku dniach. Nie mogliśmy dłużej zostawić jej na krzakach, bo w palącym słońcu więdła.

Co zrobić z taką ilością papryki? Postanowiliśmy na próbę po-szatkować ją i wstawić do suszarni na grzyby. Poprosiliśmy Petrusa, żeby najpierw pokroił jakies

trzy papryki. Chcieliśmy zobaczyć, czy się uda. Sami wybraliśmy się do miasta na zakupy.

Po powrocie okazało się, że Petrus poszatkował całe dwadzieścia pięć kilo i wstawił do suszarni. Faszzerowana papryka na kolację przeszła nam koło nosa. Suszarnia działała tylko na światło słoneczne, więc oczywiście po południu przyszła nawałnica. Mieliśmy nadzieję, że następnego dnia wyrzy słońce. Inaczej dwadzieścia pięć kilogramów papryki zamieni się w spleśniałą zgniłą breję.

Tuż przed Nowym Rokiem otrzymaliśmy wielką paczkę ze Stanów Zjednoczonych. Przysłała od holenderskiego znawcy grzybów, który odwiedził nas we wrześniu. Kupił nam duży amerykański szybkar, prawdę mówiąc, ogromny, pojemności ponad czterdzieści litrów. Przysłał go nam w prezencie. W ekspresowym tempie wyste-rylizowaliśmy trociny i pszenicę, których używaliśmy jako podłoża do hodowli grzybni. Dzięki szybkarowi mogliśmy produkować siedemdziesiąt kilogramów grzybni tygodniowo.

Pewnego dnia, kiedy zrywałam kwiaty do wazonów, znowu trafiłam na coś naprawdę niezwykłego. Na naszym terenie pojawił się jeszcze jeden smaczny grzyb - pierścieniak królewski, gatunek osiągający olbrzymie rozmiary, nawet do metra średnicy. Należy go zerwać, kiedy osiągnie wielkość piłki golfowej. Wygląda jak czerwona pieczarka i jest przepyszny.

Po długiej dyskusji doszliśmy do wniosku, że to my jesteśmy odpowiedzialni za to, że grzyb pojawił się na naszej posesji. Nasz holenderski przyjaciel dał nam niewielką ilość grzybni pierścieniaka królewskiego. Myśleliśmy, że nie udało nam się go wyhodować, więc rzuciliśmy podłoża w krzaki i natychmiast o tym zapomnieliśmy. W porze deszczowej podłoża zregenerowało się i niewiarygodnie szybko urosło.

Rozdział 91.

Duże zamówienie.

Zaczął się 2001 rok.

Na kenijskiej wsi ludzie obchodzą Nowy Rok trochę inaczej niż w Europie. O zachodzie słońca wszyscy zaczynali walić w bębny, puszki, pojemniki i inne naczynia wydające głośnie dźwięki. Hałas i rejwach trwał przez godzinę, póki nie zapadły kompletne ciemności. A wraz z nimi cisza.

Czekaliśmy na werandzie, aż dzwony kościelne w Wushiye wybiją północ. Odezwały się za dziesięć dwunasta. Uczciliśmy to kanapką z krewetkami (krewetki były z puszki) i zimnym białym winem.

Wcześniej tego dnia odwiedził nas pewien mężczyzna z Nairobi. Powiedział, że ma kontakty wśród ludzi, którzy mogą być zainteresowani kupnem suszonych grzybów. Obiecał z nimi porozmawiać i przysłać nam e-maila. Byliśmy ciekawi czy to tylko przechwałki, czy też wyniknie z tego coś konkretnego.

Pewnego ranka dostaliśmy e-maila z odpowiedzią. Ten człowiek załatwił nam kontrakt na sto kilogramów suszonych grzybów miesięcznie! Odpowiadało to mniej więcej jednej tonie świeżych. Ogromna międzynarodowa firma spożywcza uznała, że nasze grzyby są odpowiedniej jakości. Otrzymały najwyższe oceny we wszystkich testach laboratoryjnych.

Teraz musieliśmy szybko wyprodukować dużo grzybni, tak żeby hodowcy rozpoczęli uprawę na większą skalę. Za kilogram suszonych grzybów hodowca dostawał 1500 szylingów. Było to więcej niż przeciętny roczny dochód. Szybko zwołaliśmy zebranie kilku hodowców i instruktorów, żeby omówić sytuację. Naprawdę mieliśmy nadzieję, że nam się uda. Po wszystkich trudnych chwilach byliśmy spragnieni sukcesu. O większości Europejczyków zapominano natychmiast, jak opuszczali Kenię, więc my chcieliśmy zostawić coś po sobie. Coś, co ludzie zapamiętają. Coś naprawdę wielkiego. Wydawało nam się, że właśnie do tego zmierzamy.

Kontrakt na dostarczanie grzybów sprawił, że musieliśmy zaangażować dużo więcej współpracowników. Dlatego pewnej soboty wyruszyliśmy z Bertilem na poszukiwanie kolejnych chętnych do rozpoczęcia hodowli. Jeździliśmy wąskimi drogami po buszu. Byliśmy już prawie u celu, kiedy musieliśmy zawrócić na szosę po paliwo. Potem wróciliśmy do buszu. Nie znaleźliśmy chętnych do pracy, ale trafiliśmy na małą wioskę leżącą u podnóża wysokiego pasma górskiego. Poinformowaliśmy mieszkańców, że uczymy hodowli grzybów. Uśmieiali się z nas do łez. Grzybów nie można hodować. Nie mają przecież nasion, prawda?

Teraz, kiedy dostaliśmy takie duże zamówienie, znowu czekało nas fascynujące wyzwanie. Fred całymi dniami produkował grzybnię, a my z Bertilem jeździliśmy po wioskach w poszukiwaniu zainteresowanych hodowlą. Organizowaliśmy seminaria.

Willy i Linda, wyrzuceni przez nas po naszym powrocie ze Szwecji, zaczęli pomagać mężczyźnie, który myślał, że szybko dorobi się na hodowli grzybów. Sądził, że uda mu się wyeliminować nas z rynku. Mógł sobie gadać, co chciał, ale nie zamierzaliśmy pozwolić na to, żeby popsuł nam kontrakt.

Mężczyzna przysyłał do nas ludzi, którzy chcieli kupić grzybnię. Miał zamiar ją rozmnażać na własną rękę, ale ponieważ wszyscy nasi hodowcy posiadali identyfikatory, jego znajomi długo, dzięki naszym działaniom, nie mogli nigdzie dostać grzybni. Niestety, jakimś sposobem ktoś ją zdobył i pewnego dnia zobaczyliśmy na wiejskim sklepiku informację: Sprzedajemy nasiona grzybów i skupujemy grzyby.

Daliśmy pieniądze jednemu z przyjaciół, żeby kupił „nasiona” grzybów. Po otwarciu torebki poczuliśmy zapach zgniłego mięsa. Bertil przeprowadził analizę zawartości i stwierdził, że grzybnia do niczego się nie nadaje. Intensywny i na dodatek coraz większy smród przyciągnął rój much. Z tej grzybni nigdy nie wyrosną grzyby. Byliśmy absolutnie przekonani, że mężczyzna wcale nie przejmuje się tym, że oszukał swoich przyjaciół, wciskając im taki chłam.

W połowie stycznia niespodziewanie dostaliśmy świąteczne prezenty. Paczkę otwarto pod naszą nieobecność w Urzędzie Celnym w Kisumu. Zawierała

mnóstwo luksusowych produktów toaletowych, a także małe świąteczne krasnale, herbatę i świece. Należało się domyślić, że części zamienne do konwertera, których Christian poszukiwał całymi miesiącami, znikły na cle. Ale kiedy popijaliśmy świeżą herbatę, nic nie było w stanie pozbawić nas świątecznego nastroju.

Po „nieistniejącej” porze suchej, która powinna zacząć się pod koniec grudnia i trwać do końca marca, dzień bez deszczu był prawdziwie miłą niespodzianką. Przez poprzednie miesiące, oprócz nielicznych dni, niemal od rana do wieczora padało. Kiedy nie było słońca, panele słoneczne nie były dobrym rozwiązaniem, dlatego też od dłuższego czasu oszczędzaliśmy energię. Było lodowato. Rano, kiedy wstawaliśmy z łóżka, temperatura w pomieszczeniu wynosiła zaledwie trzynaście, piętnaście stopni Celsjusza: kto by pomyślał, że w Afryce będziemy otulać się puchowymi kołdrami. Całe szczęście, że zabraliśmy je ze sobą.

Rozdział 92.

Dlaczego?

Szybko mijały dni i tygodnie. Znowu był luty. Niemal przez cały styczeń nasz telefon nie działał, ponieważ pioruny w wielu miejscach trafiły w linię telefoniczną. Wreszcie, kilka dni temu, z wielomiesięcznym opóźnieniem zaczęła się pora sucha.

Przestały boleć mnie stawy, minęło okropne zmęczenie i skończył się uporczywy kaszel. Najprawdopodobniej te wszystkie problemy były wywołane chłodem i przenikliwą wilgocią. Aby złagodzić kaszel, wypijałam ogromne ilości domowej herbaty z ziół numer 41 osłodzonej miodem z własnej pasieki. Chodziłam do łóżka już o siódmej i zakopywałam się pod stertą koców. W łóżku czytałam przy świetle lampy gazowej, którą kupiliśmy w tym roku. Była idealna, jednocześnie grzała i dawała całkiem dobre światło do czytania. Dlaczego nie kupiliśmy jej wcześniej?

Biskup katolicki nie zdecydował się jednak na kupno Riverdale Gardens, a zatem nadal szukaliśmy kupca. Cena była już śmiesznie niska. Musieliśmy szybko sprzedać ziemię, bo nasza wiza pobykowa kończyła się w maju.

Pewnej nocy nasze psy pogryzły się przed domem z jakimś zdziczałym kundlem. Joe ukrył się na szczycie zbiornika zaopatrującego w wodę sanitariaty. Myślał, że to zaatakował lampart. Musse miał naderwane ucho, ale oprócz tego psy wyszły z tej potyczki bez szwanku. Na wszelki wypadek umyliśmy się płynem odkażającym i spirytusem; trzeba było uważać, bo w okolicy zdarzały się przypadki wścieklizny.

Kilka dni później psy uciekły. I to nie pierwszy raz. Słyszeliśmy, jak ujadają gdzieś w dolinie. Dużo czasu minęło, zanim wróciły. Rufus, jak przystało na retrievera, niósł dumnie w pysku zdobycz, czyli upolowanego przez Merry kota. Nie mogliśmy ich skarcić. Przecież kierował nimi instynkt łowiecki.

Coraz dotkliwiej odczuwaliśmy brak wody. Pora sucha trwała już od paru tygodni. Tylko dzięki wodzie mogliśmy stworzyć grzybni odpowiednie warunki:

chłód i wilgoć. Nasza lodówka była za mała, aby pomieścić wszystkie torby z grzybnią wyprodukowaną w ogromnym szybkowarze.

Nowo wybudowana chłodnia byłaby idealna, niestety, krany były suche. Daliśmy facetowi od wodociągów pięć litrów paliwa potrzebnego do pompy. Patrzyliśmy, jak wlewa je i uruchamia pompę. Widzieliśmy, jak zbiorniki komunalne o pojemności 60 metrów sześciennych napełniają się wodą. Po chwili woda wpłynęła do wodociągu, a facet zapewnił nas, że zawory prowadzące do innych użytkowników zlokalizowanych na naszej Unii są zamknięte. Kiedy mieliśmy już osiemset litrów, woda przestała płynąć. Popędziliśmy do faceta i spytaliśmy, co się dzieje, a on na to:

- Hakuna maj i (Nie ma wody).

Pięć litrów paliwa pozwalało na przepompowanie trzydziestu tysięcy litrów wody, a my dostaliśmy z tego niecały metr sześcienny, czyli tysiąc litrów. Resztę mężczyzna sprzedał innym. W ten sposób zarobił na wodzie podwójnie. Powtarzało się to niemal co tydzień.

W porze deszczowej, kiedy od czasu do czasu padało, nie było problemu. Ale w porze suchej nasi shamba boys musieli schodzić trzysta metrów do źródła, żeby przynieść wodę do kuchni, toalety, do zmywania i do innych celów. Doprowadzało nas to do rozpacz.

Na dodatek facet od wodociągów nie mówił po angielsku. A wściekanie się na kogoś przez tłumacza nie ma sensu.

Pora sucha była w tym roku naprawdę sucha. Kupiliśmy wilgotnościomierz. Po południu względna wilgotność powietrza wahała się od zera do dziesięciu procent. W nocy podnosiła się do pięćdziesięciu.

Zniwelowano nawierzchnię odcinka prowadzącego do głównej drogi między Kisumu a Kakamega. Pokrywała ją teraz niemal dziesięciocentymetrowa warstwa kurzu, więc trzeba było mieć terenówkę z napędem na cztery koła, żeby nie wpaść w poślizg. Panował potworny upał, więc jeździliśmy z otwartymi oknami, a wtedy wszystko pokrywał kurz. Oczywiście po powrocie trzeba było od razu wziąć

prysznic, a chłopcy musieli gnać po wodę... A zatem niekończące się pasmo kłopotów.

Poinformowaliśmy wodza, że jeśli uda nam się zrealizować zamówienie na suszone grzyby, znacząco poprawi to sytuację ekonomiczną całego regionu. Potrzebowaliśmy naprawdę potężnej ekipy hodowców grzybów, żeby zebrać zakontraktowaną ilość, a do tego niezbędna była woda. Wódz Weaky nic się nie zmienił. Nie docierały do niego żadne argumenty. Ewidentnie chciał się nas pozbyć nawet kosztem dobra ludzi, którym z urzędu powinien pomagać.

Sąsiad w dalszym ciągu nie zgadzał się na dokonanie podziału gruntu. Dwukrotnie zablokował nam sprzedaż, opowiadając kłamstwa na temat praw własności. Pewnie wyobrażał sobie, że dzięki temu po naszym wyjeździe dostanie całe Riverdale Gardens gratis.

Szef dystryktu, który jednocześnie pełnił teraz funkcję Prezesa Zarządu Kontroli Gruntów, postawił naszemu sąsiadowi ultimatum: jeśli nie załatwi sprawy do piętnastego marca (my wszystkie dokumenty podpisaliśmy dwa lata wcześniej), zostanie eksmitowany razem z rodziną na mocy nakazu sądowego. Powiedzieliśmy też sąsiadowi, że jeśli coś nam się stanie, ziemię odziedziczą nasi synowie.

Znowu pojawił się potencjalny kupiec chętny do nabycia naszej posiadłości. Jakies bractwo katolickie chciało kupić Riverdale Gardens i zamienić na dom dla dzieci ulicy oraz dzieci osieroconych przez rodziców zmarłych na AIDS. Był tylko jeden odwieczny problem - pieniądze. Obniżyliśmy cenę o ponad sześćdziesiąt procent i była teraz naprawdę śmiesznie niska. A jednak nadal mieli kłopoty ze zdobyciem pieniędzy. Być może będziemy musieli im zaufać, wyjechać wcześniej i czekać na zapłatę.

Jednocześnie spotkała nas kolejna niemiła niespodzianka. Drogi sąsiad pozwał nas do sądu w Kakamega. Twierdził, że jeszcze w 1981 roku kupił od poprzedniego właściciela naszych dwóch działek jedną z nich. Faktycznie kupił tylko jej niewielką część. Nasz nocny askari Joe był jednym ze świadków sprzedaży i, w razie potrzeby, mógł potwierdzić, że sąsiad kupił tylko kawałek działki - reszta należała do nas.

Znowu ta sama stara śpiewka. Sąsiad liczył na to, że po naszym wyjeździe dostanie całą naszą działkę, my jednak postanowiliśmy, że jeśli nie uda się jej sprzedać, podarujemy ją komuś potrzebującemu.

Przypadała właśnie kolejna rocznica naszego ślubu. Mimo wszystkich problemów postaraliśmy się ją uczcić. Na kolację był duszony kurczak ze świeżą bazylią, cytryną i odrobiną białego wina. Na werandzie temperatura dochodziła do 35 stopni, wilgotność wynosiła pięć procent.

Po kolacji wyszliśmy, by zrobić zdjęcia na granicy sąsiada. Zadbaliśmy o to, żeby na fotografii widać było gazetę z datą z poprzedniego dnia - dowód, kiedy się fotografowaliśmy. Cały czas sąsiad próbował zmienić granicę podziału. Tak przycinał swój cyprysowy żywopłot, żeby gałęzie rosły po naszej stronie. Podczas kilku minionych lat przesunął pewnie miedzę o jakieś pół metra. Jednocześnie w dole działki inni pomysłowi sąsiedzi wcinali się w naszą posesję w ten sposób, że przekopywali stopniowo koryto strumyka stanowiącego jej naturalną granicę. Nie mieliśmy już siły, żeby się tym przejmować.

Byliśmy okropnie przygnębieni. Żałowaliśmy, że kiedykolwiek w ogóle usłyszeliśmy o Kenii. Najbardziej na świecie pragnęliśmy być teraz na wybrzeżu i w domu z elektrycznością pisać książkę o Kenii i Kenijczykach. Kilka wolnych dni, spędzonych na płukaniu złota, pewnie poprawiłoby nam humor, ale teraz nie mogliśmy sobie pozwolić na podobny luksus. Cały czas musieliśmy się zajmować bzdetami, które w ogóle nie powinny zaprzętać nam głowy.

I ciągle to samo pytanie bez odpowiedzi, które mnie prześladowało. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego nas tak traktowali? Dlaczego nie rozumieli, że zależało nam na nich i że ich lubimy? Dlaczego nie widzieli w nas ludzi, tylko patrzyli na kolor naszej skóry? Dlaczego nie rozumieli, że pragniemy ich dobra i chcemy im pomóc? A oni tylko kradli i niszczyli; i tak naprawdę, na dłuższą metę, szkodzili sami sobie. Takie zachowanie w ich wydaniu to czysty rasizm.

Rozdział 93.

Co za tupet!

Umówiliśmy się na spotkanie z naszym przyjacielem Timothy w jego domu. Pomagał nam przy zakupie ziemi, a teraz miał nam pomóc przy podziale.

Tuż pod domem zobaczyliśmy zgromadzony tłum. Przeszliśmy obok i w domu spyaliśmy o wodza Timothy'ego. Usłyszeliśmy, że jest wśród ludzi na drodze, wyszliśmy więc i wmieszaliśmy się w tłum. Nagle w sam środek wepchnięto mężczyznę z zakrwawioną głową. Ludzie trzymali w rękach potężne kije i pałki. Timothy wyjaśnił, że właśnie prowadzą złodzieja na komendę policji w Kakamega, a my możemy poczekać na niego w ogródku kawiarnianym hotelu Franka. Później dowiedzieliśmy się, że mężczyzna zmarł w swojej celi; pewnie był to skutek ciężkiego pobicia pałkami przez motłoch.

Właśnie popijaliśmy napoje orzeźwiające przy stoliku, kiedy zobaczyliśmy „wór kartofli”. Tak nazywaliśmy postawnego, przystojnego mężczyznę, który chodził po mieście przyodziany jedynie w worek po kartoflach. Czasem dochodził do wniosku, że jest za ciepło ubrany, ściągał jutowy worek i paradował zupełnie nagi. Zwykle przesiadywał na centralnej wysepce na głównej drodze, tam gdzie ludzie wyrzucali śmieci. Czasami tam spał i nie przeszkadzał mu smród ani buszujące w śmieciach osły i kozy. Tego dnia jednak było inaczej. Widzieliśmy, jak kłęczy goły jak święty turecki na chodniku i pisze manifest polityczny po angielsku. Kto by powiedział, że ktoś taki nie tylko potrafi pięknie kaligrafować, ale ma także dar słowa?

Po męczącym, dłużącym się niemiłosiernie trzygodzinnym czekaniu w kurzu i upale w końcu zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do domu. Mieliśmy nadzieję, że Timothy - jak tylko znajdzie czas - wpadnie do nas i pomoże załatwić sprawę.

- Biedne jest społeczeństwo pozbawione normalnej łączności - powiedział Bertil następnego dnia, kiedy jechaliśmy na północ, do Khasili, z nadzieją, że będziemy mogli zabrać Timothy'ego. Dostaliśmy wiadomość, że być może znajdzie

dla nas dzisiaj czas. -W Szwecji wystarczy tylko podnieść słuchawkę i wykręcić numer, żeby dowiedzieć się, czy osoba, z którą się umówiliśmy, czeka na nas.

Wódz Timothy był w swoim biurze i musieliśmy poczekać tylko chwilę - około godziny. W końcu ruszyliśmy w drogę do miasta, do archiwum w Urzędzie do spraw Gruntów.

Nagle Timothy krzyknął:

- Wodzowie w Wulushi nie mieli racji.

- Co masz na myśli? - Bertil spojrzał na niego.

- Cóż, kiedy sprowadziliście się do Wulushi, założyli się, że nie wytrzymacie nawet roku, ale widać jesteście twardsi, niż myśleli.

A więc Timothy przez cały czas wiedział, że nasz wódz założył się z innymi wodzami w okolicy, że zanim upłynie rok, nie wytrzymamy i uciekniemy.

Ewidentnie nawet nie zastanawiali się nad korzyściami dla wioski, płynącymi z faktu, że przyjechali ludzie z Europy i chcą tu zainwestować.

Pocieszała nas tylko świadomość, że niedługo wyjeżdżamy. Mieliśmy wrażenie, że ci ludzie nie chcą żadnej pomocy. Jaki podły był ten zakład. A swoją drogą, czy w Wulushi podobna sytuacja nie miała już miejsca wcześniej? Spytałam o to wodza Timothyego.

- Podobno kilka lat temu w Wulushi mieszkała jakaś Japonka, nauczycielka, ale mieszkańcy tak ją wystraszyli, że wyjechała. Czy to prawda? Ludzie wspominali o tym parokrotnie, ale nikt nie chciał nam powiedzieć, co się właściwie stało.

Nie, nawet Timothy nie życzył sobie, żebyśmy dowiedzieli się, co spotkało biedną Japonkę. Ewidentnie był zakłopotany i natychmiast zmienił temat, choć nie zaprzeczył, że japońska nauczycielka rzeczywiście tu mieszkała. Coś naprawdę strasznego musiało się jej przydarzyć.

Teraz musieliśmy załatwić sprawę naszego sąsiada i podziału. Postanowiliśmy sami się tym zająć, a przy okazji także uregulować tytuły własności. Trwało to cały tydzień, kosztowało nas mnóstwo czasu i nerwów, ponieważ dokumenty, które wcześniej podpisaliśmy, były już nieaktualne i trzeba było wystąpić o nowe, ale w końcu załatwiliśmy wszystko. Biedak nie wiedział

oczywiście, że dokonaliśmy tego, czego jemu nie udało się zrobić przez dwa lata. Będzie musiał teraz zwrócić nam koszty poniesione na wyrobienie jego dokumentów. Nie ma pieniędzy, nie ma papierów.

Umówiliśmy się na spotkanie z prawnikiem sąsiada, ponieważ chcieliśmy wręczyć mu kopię pisma, które wysłaliśmy do sądu; obalaliśmy w nim kłamstwa rozprowadane przez jego klienta. Na próżno czekaliśmy dwie godziny w kancelarii adwokackiej. W końcu zrezygnowaliśmy i poszliśmy do hotelu Franka napić się czegoś przed powrotem do domu.

Kiedy siedzieliśmy tam, popijając piwo i czytając gazetę, przyszedł Noah. Pomógł nam wcześniej sprzedawać nasze używane rzeczy. Powiedział, że w zeszłym roku, kiedy byliśmy w Szwecji, skontaktowali się z nim Fred i Willy. Spytali, czy chce kupić elektryczną lutownicę. Powiedzieli mu także, że mają do sprzedania benzynową pompę do wody i kamerę wideo. Chłopcy jeździli po okolicy naszym suzuki i oferowali na sprzedaż nasze rzeczy. Noah dodał, że jeszcze tydzień temu, to znaczy w marcu 2001 roku, nasza lutownica była ciągle do sprzedania w Malava, jakieś trzydzieści kilometrów stąd, w warsztacie należącym do brata Freda.

Zupełnie osłupiliśmy. Co za tupet!

Pompę skradziono nam czternastego czerwca 1997 roku, a lutownica i kamera wideo zniknęły na przełomie listopada i grudnia 1998. Zawsze podejrzewaliśmy Freda, ale bez dowodów nic nie mogliśmy zrobić. Ponieważ Noah miał pozwolenie na handel używanymi rzeczami, miał obowiązek informować policję o wszystkich ofertach dotyczących przedmiotów pochodzących z kradzieży. Musiał więc natychmiast zgłosić to policji.

Fred był miły i inteligentny. Wcześniej planowaliśmy, że po naszym wyjeździe z Kenii nadal będzie się zajmował hodowlą grzybni, ale teraz wydawało się, że nasz „grzybowy projekt” ponownie wrócił do punktu wyjścia. Drań Fred nadal dla nas pracował, ale dosyć tego. Należało go aresztować.

Noah obiecał, że postara się odnaleźć warsztat w Malava. Miał nas powiadomić jeszcze tego samego wieczoru. Postanowiliśmy, że następnego dnia

udamy się do wydziału śledczego miejscowej policji. Zналиśmy tam kilku inspektorów.

Następnego dnia wieczorem pojawił się nieoznakowany land ro-ver z czterema policjantami i Noah. Uzbrojeni w trzy kałasznikowy i pistolet maszynowy Uzi funkcjonariusze, pod osłoną nocy i w towarzystwie Bertila, przeszli chyłkiem, w dół doliny przez rzekę, by zaskoczyć Freda i jego brata. W poszukiwaniu dowodów przeprowadzili rewizję we wszystkich domach. Akcja zakończyła się sukcesem; odzyskano wiele skradzionych rzeczy, ale najcenniejszych przedmiotów nie znaleziono. Freda i jego brata zakuto w kajdanki i przyprawiono do nas. Więźniów załadowano na tył land rovera. Potem policjanci razem z Bertilem pojechali do wioski, gdzie przeszukali dom Willy'ego i tam również znaleźli obciążające dowody. Willyego także zakuto w kajdanki i załadowano do samochodu.

Ponieważ było wpół do dwunastej w nocy i zapadła już ciemność, samochód policyjny wyruszył na komendę w Kakamega bez Bertila.

Tę samą akcję powtórzono wieczorem następnego dnia. Tym razem jej celem był dom Lindy, ponieważ Fred powiedział, że ona również jest zamieszana w kradzieże. Znowu znaleziono dowody przestępstwa, to znaczy skradzione przedmioty.

Mnóstwo czasu spędziliśmy na komisariacie. Identyfikowaliśmy przedmioty i składaliśmy zeznania. Zgodnie z kenijskim prawem za kradzież groziła kara trzech lat więzienia, natomiast okradzenie pracodawcy mogło się skończyć wyrokiem nawet i siedmiu lat więzienia. Handel skradzionymi przedmiotami, czyli paserstwo, to kara od siedmiu do czternastu lat ciężkich robót.

Jak widać, byliśmy bardzo zajęci i przeżywaliśmy niezwykle burzliwy okres: spór z sąsiadem o działkę; sprzedaż Riverdale Gardens bractwu zakonnemu, a teraz sprawa sądowa, na którą musieliśmy stawić się jako świadkowie.

Rozdział 94.

Krytyczne dni.

W sobotni poranek jechaliśmy do Kakamega porozmawiać z policją. Kiedy mijaliśmy ciągnącą się wzdłuż naszej drogi plantację herbaty, zobaczyliśmy mężczyznę ścinającego drzewo. Zatrzymaliśmy się i poprosiliśmy, żeby uważał na kabel telefoniczny. Odpowiedział, że zna się na swojej robocie. Uspokojeni pojechaliśmy dalej.

Kiedy wróciliśmy po południu, linia wyglądała normalnie. Drzewo było ścięte tak jak trzeba, ale telefon milczał. Bertil poprosił nocnego askari, Mosesa, żeby poszedł z nim naprawić linię. Kiedy doszli na miejsce, zobaczyli, że druty zostały związane. Rozmawiali z kobietą, która zatrudniła „rezolutnego” fachowca od drzew. Wyjaśniła:

- To był wiatr.

OK, wypadki przy pracy się zdarzają, ale dlaczego nie przyznali się i związali druty? Bez odpowiedzi.

Bertil i Moses zeszli między krzewami herbaty, żeby poprosić jakiegoś chłopca o wdrapanie się na słup i zdjęcie drutów. Byli w trakcie naprawy, kiedy pojawiła się bardzo gruba kobieta i zaczęła wrzeszczeć na nich w miejscowym dialekcie. Moses przetłumaczył to Bertilowi. Kobieta krzyczała:

- Nie możecie przychodzić tu jak bogowie i aresztować ludzi bez żadnego powodu. - Była coraz bardziej wściekła. - Nie mieliście prawa stawiać słupów telefonicznych i rozciągać drutów.

Awanturze przysłuchiwało się kilku świadków. Bertil i Moses nie zwracali uwagi na rozłoszczoną kobietę i dalej zajmowali się naprawą. Dzięki zwinnemu chłopczkowi druty ponownie umieszczono na słupie. Zapłacili mu za pomoc dwadzieścia szylingów i "wrócili do domu bardzo z siebie zadowoleni. Sprawdziliśmy pocztę i wykonaliśmy kilka telefonów. Linia była sprawna.

W niedzielę rano Bertil podniósł słuchawkę. Głucha cisza. Poprosił Mosesa, żeby sprawdził, czy z drutami wszystko w porządku, bo w razie czego trzeba zawiadomić spółkę telekomunikacyjną o awarii.

Moses wrócił po półgodzinie i zameldował, że druty zniknęły. Cóż, pewnie znowu ktoś potrzebował sznura do bielizny. Trochę później przyszedł jeden z synów sąsiada i poinformował nas, że w drodze z kościoła zauważył, że druty telefoniczne poprzecinano pomiędzy wszystkimi słupami. Brakowało też jednego kawałka. Ewidentnie był to sabotaż. Zaczęliśmy się niepokoić, bo atmosfera wokół nas stawała się coraz bardziej napięta.

Po południu wysłaliśmy posłańca po jeszcze jednego nocnego askari, Joego. Kiedy przyszedł, zamknęliśmy psy w domu i pojechaliśmy do ojca Samuela z kościoła katolickiego. To on w najbliższym sąsiedztwie miał telefon; dzieliło nas od niego zaledwie 500 metrów. Miałam wrażenie, że pokonanie tego odcinka trwało całą wieczność.

Wydawało mi się, że w każdej chwili może nas zaatakować horda rozwścieczonych mieszkańców wioski i błagałam Bertila, żeby wcisnął gaz do dechy.

Ojciec Samuel nas uspokoił. Skontaktowaliśmy się z TelCom Kenia i zawiadomiliśmy zdumionego pracownika o sabotażu:

- Druty przecięto aż w jedenastu miejscach.

Zadzwoniliśmy jeszcze na numer alarmowy policji i powtórzyliśmy to samo. Dyżurny policjant obiecał przekazać tę informację detektywowi. Wróciliśmy do domu i wysłaliśmy Joego, żeby coś zjadł. Musiał być w dobrej formie podczas nocnej warty. Groziło nam ogromne niebezpieczeństwo.

Około ósmej wieczorem podjechał pod bramę biały land rover. Joe wpuścił auto do środka. W samochodzie pełno było policjantów uzbrojonych w kałasznikowy i pistolety Uzi. Ich dowódca oświadczył, że zostaną na noc.

- Uważamy, że to poważna sprawa - powiedział.

Kiedy zapytałam go, czy są głodni, odparł szczerze:

- Nie jedliśmy jeszcze kolacji.

Usmażyłam kiełbaski, bekon i dziesięć jajek, wyciągnęłam cały bochen chleba, zaparzyłam dzban herbaty i postawiłam napoje chłodzące. Z chat przynieśliśmy materace i koce.

Położyłam się wcześniej, ale przedtem starałam się dyskretnie schować wszystkie wartościowe przedmioty. W Kenii nawet policji nie można ufać. Betril rozmawiał z funkcjonariuszami do jedenastej w nocy, potem wszyscy poszli spać. Detektyw radził, żebyśmy w nocy nie wychodzili na dwór, nawet do toalety, bo jego ludzie mają rozkaz strzelać do wszystkiego, co się rusza.

W nocy nic się nie działo, tylko psy były zaniepokojone, bo słyszały obce głosy dochodzące z jadalni za ścianą.

Nadszedł ranek, ciągle było spokojnie. Policjanci skarżyli się, że nocą było im zimno. Temperatura spadła do 12-13 stopni i rozumiałam, że jeden koc na osobę nie wystarczył. Przed odjazdem detektyw odciągnął nas na stronę i oświadczył, że po południu wróci po prezent.

Jeszcze tego samego przedpołudnia pojechaliśmy do sądu w Kakamega, aby uczestniczyć w postępowaniu dotyczącym nakazu aresztowania. Podejrzani - Fred, Willy i Linda - mieli usłyszeć zarzuty.

Po raz pierwszy policja była świadkiem tak masowego najazdu ludzi z jednej tylko miejscowości. Salę sądową wypełniali mieszkańcy Wulushi, nasi sąsiedzi. Siedzieliśmy pośród wrogiego tłumu. Wyczuwałam niebezpieczeństwo i byłam straszliwie zestresowana. Nie wiem, skąd wzięło się tyle nienawiści. W każdym momencie mogliśmy dostać cios nożem w plecy. Byliśmy zupełnie sami, pozbawieni wszelkiej ochrony.

Kiedy odczytano akty oskarżenia, a cała trójka podejrzanych, tak jak się spodziewaliśmy, oświadczyła, że jest niewinna, sędzia wyznaczył dla każdego kaucję w wysokości 100 000 szylingów plus zabezpieczenie w takiej samej kwocie. Chyłkiem wymknęliśmy się z sali sądowej i udaliśmy się do wydziału śledczego, żeby poczekać na naszego detektywa. Kiedy przyszedł, oświadczył beztrąsko, że policja ciągle jeszcze nie przesłuchała dwóch najważniejszych świadków. Jego postępowanie i brak zaangażowania uświadomił nam, że także osiemnastego

kwietnia nikt nie wezwie tych ludzi na przesłuchanie. W każdym razie detektyw obiecał, że postara się, aby rozprawa była niejawna. On także wyczuł wrogą atmosferę panującą na sali sądowej.

Udaliśmy się potem do TelCom Kenia na spotkanie z zastępcą dyrektora. Wyjaśniliśmy mu sytuację i podkreśliliśmy, że ponieważ nam grożono, musimy mieć czynny telefon. Obiecał, że naprawę rozpoczną jeszcze tego samego popołudnia przed drugą.

Detektyw dotrzymał słowa i zjawił się po południu po prezent. Czuliśmy, że w tej sytuacji odmowa jest ryzykowna. Upatrzył sobie magnetofon i lornetkę. Cóż było robić, niechętnie, ale musieliśmy mu dać prezenty. Niestety zapomnieliśmy, że w magnetofonie została taśma z nagrany porannym koncertem ptaków. Słuchaliśmy go często, siedząc na werandzie.

Po kilku dniach musieliśmy przekazać sąsiadowi jego tytuł własności i nie dostaliśmy nawet szylinga zwrotu poniesionych kosztów. Jego adwokat oświadczył nam z cynicznym uśmiechem, że jeśli tego nie zrobimy, jego klient wytoczy nam sprawę cywilną. Proces może się ciągnąć nawet i pięć lat. Prawnik dobrze wiedział, że to my byśmy wygrali, ale po co czekać tak długo? Chyba lepiej stracić jakieś 14 000 szylingów i mieć święty spokój. Postanowiliśmy jednak opóźnić podpisanie dokumentów do czasu, aż atmosfera się poprawi.

Oboje z Bertilem byliśmy wykończeni fizycznie i psychicznie. Baliśmy się pić wodę, kupować warzywa, czy opuszczać nasz teren. Wielokrotnie w ciągu dnia sprawdzaliśmy płot, żeby się upewnić, że nikt nie podłożył naszym psom trutki na szczury. Byliśmy śmiertelnie przerażeni. Teren na zewnątrz patrolowali uzbrojeni w kałasznikowy policjanci. Wielu z nich było bliskimi znajomymi i krewnymi tego drania Willyego. Założę się, że gdybyśmy zostali napadnięci, nikt nie pośpieszyłby nam z pomocą. Byliśmy zdani tylko na siebie.

Te pełne nienawiści twarze. Na sali sądowej czułam na sobie wzrok co najmniej pięćdziesięciu osób; w ich oczach czaiła się groźba. Wszyscy niewątpliwie życzyli nam śmierci. Przemoc była zjawiskiem normalnym. Niedawno jakieś 500 metrów od naszej działki zamordowano mężczyznę, a poćwiartowane części jego

ciała, w tym także genitalia, porozrzucano. I jak zawsze poszło pewnie o jakiś drobiazg.

Najważniejsze, żebyśmy zdążyli wyjechać z tego kraju, zanim nas zamordują. Linda, Fred, jego brat Boniface i Willy stali na czele tych, którzy chcieli nas zabić. Niestety, tylko Fred siedział jeszcze w areszcie. Innych wypuszczono za kaucją, więc nie byliśmy już bezpieczni. Może właśnie skradali się do nas, może czaili się tuż za płotem...

Ten okres pamiętam jak przez mgłę, ale wiem, że myślałam o tym, jacy dzielni są nasi służący Petrus i Macy. Mimo całej tej przerażającej sytuacji pozostali nam oddani i wierni. Codziennie przychodzili do pracy, chociaż niewiele było do roboty teraz, kiedy zaprzestaliśmy hodowli grzybów i planowaliśmy wyjazd. Nocni askari, Joe i Moses, także byli życzliwi i lojalni. Poprosiliśmy, żeby patrolowali przede wszystkim okolice głównego budynku. Jeśli chaty zostaną spalone, nie będzie to koniec świata. Ale my i nasze psy musieliśmy przeżyć, to było najważniejsze.

Pewnego dnia późnym popołudniem pojawił się Sebastian, mąż Eleny, a z nim jakaś kobieta, która wbiła sobie do głowy, że wioskowy czarownik rzucił klątwę na Bertila i na mnie. Przyproceedziła własnego czarownika. Nie mogliśmy w to uwierzyć! Czarownik odczytał uroki, żeby pozbyć się klątwy. Byliśmy tak zaskoczeni, że nie protestowaliśmy i nie zadaliśmy sobie nawet trudu, żeby spytać, czy naprawdę wierzą, że ciąży na nas przekleństwo. Przede wszystkim, jak najszybciej chcieliśmy pozbyć się całej trójki.

Niesłychane, że Sebastian, nowoczesny, wykształcony młody człowiek, wierzył w takie gusła. Nie potrafiłam tego zrozumieć, ale być może to właśnie ta mieszanka nowoczesności i dawnych tradycyjnych wierzeń sprawia, że cudzoziemcom tak ciężko żyć w Kenii. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać i co przyniesie jutro.

Sędzia znowu odroczył rozprawę, tym razem do dwudziestego siódmego kwietnia. Zdaje się, że policja za bardzo się nie przykładła. Chociaż ciągle im o tym przypominaliśmy, nie skontaktowali się jeszcze ani ze świadkami, ani z innymi ludźmi zamieszkanymi w tę sprawę. Wielokrotnie jeździliśmy z Noahem do Malava,

żeby odnaleźć mężczyznę, który jeszcze w marcu tego roku usiłował sprzedać naszą lutownicę. Policja nawet się tam nie pofatygowała.

Rozeszła się wieść, że niedługo wygasa ważność naszej wizy pobytowej i wyraźnie starano się przeciągać wszelkie procedury sądowe poza tę datę.

Pewnego ranka spotkaliśmy się z wysoko postawionym inspektorem policji z wydziału śledczego; chcieliśmy wnieść skargę na miejscowych funkcjonariuszy. Nie do wiary, jak arogancko nas potraktował. Bertil, który zawsze był spokojny, tym razem dostał szału, zerwał się z krzesła, walnął pięścią w stół i zaczął wrzeszczeć. Potem wyszliśmy z pokoju.

Bracia zakonni wpłacili zaliczkę. Co prawda tylko dziewięć procent od już i tak obniżonej ceny. To wszystko, co na razie zdołali zebrać. Zamierzali wystąpić do swoich sponsorów o dotacje, a my mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia dostaniemy od nich całą kwotę.

Trzeciego maja miał się wprowadzić do nas jeden z braci. Chciał się dowiedzieć, jak wszystko funkcjonuje oraz, przede wszystkim, poznać nasze psy. Bracia obiecali zająć się troskliwie Rufusem i Merry. Musse miał zostać u Petrusa, który bardzo go lubił.

Rozdział 95.

Masakra.

Och, tak bardzo pragnęłam, żeby Linda wyzdrowiała. Kiedy siedziałam skulona na werandzie, myśli kłębiły mi się w głowie. Czułam się chora i miałam wrażenie, że wszystko idzie źle. Rufus i Merry poszturchiwały mnie nosami. Musse wskoczył mi na kolana i się łąsił; chciał, żeby podrapać go za uszkami. Moje kochane psy, nawet one nie potrafiły mi pomóc. Czułam się tak, jakby zawałił mi się świat. Dlaczego ludzie są tacy okrutni?

Właśnie wróciliśmy ze szpitala. Siedziałam koło Lindy. Leżała na łóżku i jęczała z bólu. Z ogoloną i zabandażowaną głową była nie do poznania. Mimo całego zła, jakie wyrządziła nam ona i inni, głęboko jej współczułam; ubolewałam nad tym, że taki los spotkał ją i całą jej rodzinę.

Wiedziała chyba, że jestem przy niej, bo wymamrotała po angielsku:

- Boli mnie, bardzo mnie boli. Proszę mi pomóc!

Poprawiłam jej koc, pogłaskałam po policzku. Chciałam pomóc jej w jakiś inny sposób, a nie tylko dając pieniądze. Biedna, biedna Linda!

Wzięłam koc, otuliłam się nim i znowu zaczęłam rozmyślać. Przypomniałam sobie ten straszny poranek sprzed kilku dni. Kiedy Petrus przyszedł bardzo spóźniony, zażartowałam, że pewnie za długo wylegiwał się w łóżku.

Wyglądał jednak na zupełnie zdruzgotanego i zamiast odpowiedzieć mi żartem, krzyknął z rozpaczą:

- Tyle krwi, tyle krwi! Nigdy tego nie zapomnę!

- Co ty mówisz? Co się stało? Petrus, mów, tak dziwnie wyglądasz.

- Właśnie byłem na wsi, w domu Lindy. To potworne, to straszne! - ciągnął nasz przyjaciel.

- Mów, co się stało.

- Wszędzie trupy, mnóstwo rannych i pełno krwi.

- Petrus, uspokój się. Spróbuj mi opowiedzieć, co się dzieje. Co z Lindą? - spytałam i nagle się przestraszyłam.

Petrus był w szoku. Co się stało we wsi?

- Wszędzie mnóstwo trupów. To straszne. Nie wytrzymam. - Petrus o mało nie wybuchnął płaczem.

Posadziłam go na krzesło i zawołałam Bertila. Powiedziałam, że we wsi chyba stało się coś straszego. Po chwili Petrus trochę się uspokoił i mógł nam opowiedzieć, co prawda trochę chaotycznie, co zaszło minionej nocy.

Otóż jeden z krewnych Lindy wpadł w szal. Nikt nie wiedział dlaczego. Niektórzy twierdzili, że poszło o ziemię. W każdym razie mężczyzna złapał panga i zarąbał swoją ciężarną żonę i dzieci. Następnie zakradł się do krewnych z sąsiednich chat, podstępem zmusił ich do otwarcia drzwi i ich także zaatakował. Kiedy już rozprawił się z krewnymi, ruszył dalej, tym razem do zastępcy wodza - Nixona. Jego też próbował wywabić z domu. Ale Nixon coś przeczuwał i nie otworzył mu drzwi. Morderca zbiegł i ukrył się na plantacji bananów. Tam połknął truciznę na szczury. Rano wszczęto poszukiwania, znaleziono zabójcę. Zawieziono go do szpitala, gdzie wkrótce doszedł do siebie mimo zażycia trucizny. Został aresztowany przez policję. W sumie zranił lub zabił szesnastu członków rodziny. Jeszcze nie było wiadomo, czy ranni przeżyją. Wszyscy otrzymali liczne ciosy przypominającą maczetę panga.

Petrus twierdził, że Linda została poważnie ranna w głowę. Jej bratowa, która wcześniej pracowała u nas przy hodowli grzybów, miała ciężkie obrażenia mózgu i była w stanie krytycznym. Żona i dzieci mężczyzny nie żyły. Nikt nie wiedział, ile osób jeszcze umrze, ale naprawdę straszne nieszczęście spadło na rodzinę Lindy i na naszą wioskę.

Po kilku godzinach przyszedł Moses. Był umazany we krwi i zupełnie zdruzgotany tym, co zobaczył we wsi. Pomagał opatrywać rannych i zbierać trupy. Spytał, czy może się umyć, bo zgodnie z miejscowym zwyczajem nie wolno mu było zbliżyć się do żony ani wejść do domu, póki nie oczyści się z krwi.

Kilka dni później ponownie odwiedziliśmy Lindę w szpitalu. Czuła się już lepiej, ale bardzo cierpiała. Dostała trzy ciosy w głowę i była nie do poznania. Lekarze stwierdzili, że przeżyje, chociaż długo będzie dochodzić do siebie. Na

szczęście ani mąż Lindy, ani jej dzieci nie ucierpiały w czasie masakry. Jednak większość jej krewnych nie żyła albo została ciężko ranna.

Powiedzieliśmy mężowi Lindy, żeby przyszedł do nas. Przekazaliśmy mu, że wspólnie z naszą rodziną w Szwecji zdołaliśmy zebrać dość pieniędzy, żeby zapłacić za pobyt Lindy w szpitalu, oraz że chyba wystarczy także na opłacenie rachunków za szpital paru jej krewnym.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o przesłuchaniu w sądzie, które odbyło się poprzedniego dnia. Stanęliśmy twarzą w twarz z dwójką zdrajców - Willym i Fredem. Nie do wiary, że nawet odwiedziliśmy z Bertilem Freda w więzieniu i wypłaciliśmy mu pensję, choć trafił tam, bo nas okradał. Ależ z nas głupcy! I ciągle te cholerne szwedzkie ideały!

Tym razem przesłuchanie odbywało się w pokoju sędziego, za zamkniętymi drzwiami. Powiedzieliśmy mu, że wybaczymy Lindzie jej postęпки i będziemy szczęśliwi, jeśli umorzą prowadzone przeciwko niej postępowanie. Sędzia chyba podzielał nasze zdanie, że Linda wystarczająco już się nacierpiła, i podziękował za naszą postawę.

Nie mieliśmy pojęcia, kiedy zostanie ogłoszony wyrok; pewnie dopiero po naszym wyjeździe. Nie zdziwiłabym się, gdyby rozpoczęli całą procedurę od początku. Ostatecznie i tak, z powodu naszej nieobecności, sprawa zostanie umorzona. Wszystko było możliwe w tym zapomnianym przez Boga kraju.

To był nasz ostatni dzień w Riverdale Gardens.

Nie mogłam w to wierzyć. Skąd wezmę tyle siły, żeby zacząć wszystko od początku w jakimś nowym miejscu? Jak zniosę rozstanie z moimi psami? Czy do końca życia będę już cierpieć? Przecież jednym z powodów naszej emigracji była ucieczka od szwedzkiego surowego klimatu, w którym zaostrzała się moja fibromialgia.

Choć, z drugiej strony, tu, wśród przemocy, przy kompletnym braku poszanowania norm moralnych i etycznych, też nie mogłam żyć. I ta ciągła niepewność, co się stanie. Czy ktoś nas nie zaatakuje? Czy nas nie otrują? Czy nie

podłożą ognia nocą? Ten ciągły strach psychicznie mnie dobijał. Nie mogłam dłużej tak żyć.

Od dnia masakry w rodzinie Lindy cały czas rozmyślałam o tym, że morderca mógł przecież wdrzeć się także na nasz teren i nas zabić. Najwyraźniej uważał się za pokrzywdzonego przez los. W głowie rodziły się setki różnych scenariuszy - wyobrażałam sobie, co mogło nas spotkać. To doprawdy szczęście, że udało nam się stąd wyjechać, zanim te wszystkie myśli doprowadziły mnie do szaleństwa.

Postanowiliśmy pożegnać się z naszym rajem w wielkim stylu. Chcieliśmy wyjechać z Wuasiva z wysoko podniesionym czołem. Ostatnim naszym gestem było wydanie pożegnalnego lunchu. Zaprosiliśmy około dwudziestu osób: pracowników, ojca Samuela, braci zakonnych i miejscowych notabli - wodzów i ich zastępców oraz VIP-ów z całego dystryktu. Lunch był smaczny, a atmosfera przyjemna. Robiliśmy dobrą minę do złej gry. Wiedzieliśmy, że niektórzy z zaproszonych gości zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby zrujnować życie zarówno mieszkańcom wioski, jak i nam. Rozmawiałam z wodzem cała w uśmiechach, paplałam, żartowałam, ale w środku czułam się zupełnie inaczej.

Ze wszystkich zaproszonych tylko jedną osobę uważaliśmy za prawdziwego przyjaciela. Był to ojciec Samuel, naprawdę zacny i szlachetny człowiek. Przestaliśmy ufać nawet wodzowi Timothy'emu, którego znaliśmy od tylu lat i który zawsze pomagał nam w kłopotach. Od początku wiedział o zakładzie wodzów i nawet słowem nie pisnął. Niewykluczone, że sam do nich dołączył. Kiedy patrzyłam na roześmianych, rozbawionych ludzi, zastanawiałam się, czy wypuszczą nas stąd żywych. Może nawet już zastawili na nas zasadzkę. Póki nie znajdziemy się w Kisumu, nie będziemy bezpieczni, myślałam.

Po lunchu wręczyliśmy braciom nową księgę gości. Zainaugurowaliśmy ją, składając im życzenia na piśmie. Potem, leżąc na trawniku, długo głąskałam i czochrałam moje ukochane psy. Jeszcze tego samego dnia Musse'a zabrał do domu Petrus, a Rufusem i Merry mieli się zająć nowi właściciele Riverdale Gardens. Miałam nadzieję, że okażą moim psom dużo uczucia.

Potem były prezenty pożegnalne dla Petrusa, Macy, Berniego, Tommy'ego, Joego i Mosesa, uściski i życzenia. Pożegnaliśmy się z pozostałymi i odjechaliśmy.

Bracia mieli nas odwieźć do hotelu Imperial w Kisumu. Postanowiliśmy, że nikomu nie powiemy, dokąd 'wyjeżdżamy. Według oficjalnej wersji przed wylotem do Szwecji mieliśmy pojechać na wakacje na północ Kenii, bo nie znaleźliśmy jeszcze tej części kraju. Czuliśmy się zagrożeni i baliśmy się, że ktoś albo coś może nam przeszkodzić nam w wyjeździe. Lepiej było nikomu nie mówić, gdzie jesteście.

Przy bramie odwróciłam się i po raz ostatni patrzyłam długo na nasz dom. Tym razem opuszczaliśmy go na zawsze. Prawdziwy raj, ale z domieszką piekła.

Epilog.

(Maj 2006).

Cóż za cudowne uczucie! Po pięciu latach depresji i nocnych koszmarów czuję się teraz tak, jakbym przeszła prawdziwe katharsis. Pisząc tę książkę, musiałam zmierzyć się z doświadczeniami, o których wcześniej próbowałam zapomnieć. Poruszyłam na jej stronach sprawy, o których przedtem nie chciałam ani myśleć, ani rozmawiać. Przeczytałam wszystkie swoje dawne zapiski z dziennika, e-maile i faksy do rodziny. Ponownie musiałam przejść przez smutne i traumatyczne doświadczenia. Czasami wylewałam hektolitry łez, czasem piekliłam się tak, że aż we mnie bulgotało, ale mam to już za sobą i czuję się nowym człowiekiem.

Powrót do Szwecji wcale nie był łatwy. Przecież pożegnaliśmy się z nią ostatecznie w chwili, kiedy postanowiliśmy wyjechać na stałe do Afryki. Ja ciągle czułam, że mój prawdziwy dom jest w Kenii. Wróciliśmy bez pieniędzy, nie mieliśmy mieszkania ani pracy; musieliśmy zacząć od zera, a na dodatek wcale nie chcieliśmy tu być.

Lata spędzone w Kenii też nie były łatwe. Teraz, po spisaniu tych wspomnień, nareszcie poczułam, że wszystko jest znowu na swoim miejscu. Lepiej się cieszyć, że mogliśmy niektórym ludziom pomóc, niż rozpaczać, że nie mogliśmy uratować wszystkich ofiar wszechobecnej korupcji, przestępczości i przemocy. W gruncie rzeczy zachowanie mieszkańców wioski wcale nie było takie dziwne: życie w okresie przejściowym między starymi wartościami i nowymi, w świecie naznaczonym odwiecznymi, lokalnymi tradycjami, i skażonym współczesną korupcją nie jest proste.
